



artefakty

**GENE
WOLFE**
CIEŃ I PAZUR



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

cień kata

rozdział 1 Zmartwychstanie i śmierć

rozdział 2 Severian

rozdział 3 Oblicze Autarchy

rozdział 4 Triskele

rozdział 5 Konserwator obrazów i inni

rozdział 6 Mistrz kuratorów

rozdział 7 Zdrajczyni

rozdział 8 Interlokutor

rozdział 9 Lazurowy Pałac

rozdział 10 Ostatni rok

rozdział 11 Święto

rozdział 12 Zdrajca

rozdział 13 Liktor z Thraxu

rozdział 14 Terminus Est

rozdział 15 Baldanders

rozdział 16 Sklep z łachmanami

rozdział 17 Wyzwanie

rozdział 18 Zniszczenie ołtarza

rozdział 19 Ogrody Botaniczne

rozdział 20 Zwierciadła Ojca Inire

rozdział 21 Szałas w dżungli

rozdział 22 Dorcas

rozdział 23 Hildegryn

rozdział 24 Kwiat nieistnienia

rozdział 25 Gospoda Straconych Uczuć

rozdział 26 Sennet

rozdział 27 Czy on nie żyje?

rozdział 28 Oprawca

rozdział 29 Agilus

rozdział 30 Noc

rozdział 31 Cień kata
rozdział 32 Przedstawienie
rozdział 33 Pięć nóg
rozdział 34 Poranek
rozdział 35 Hethor

pazur łagodziciela

rozdział 1 Wioska Saltus
rozdział 2 Człowiek w ciemności
rozdział 3 Zielony człowiek
rozdział 4 Bukiet
rozdział 5 Granica
rozdział 6 Błękitne światło
rozdział 7 Zabójcy
rozdział 8 Armia Vodalusa
rozdział 9 Suzeren Liści
rozdział 10 Thea
rozdział 11 Thecla
rozdział 12 Notule
rozdział 13 Pazur Łagodziciela
rozdział 14 Przedpokój
rozdział 15 Błędny ogień
rozdział 16 Jonas
rozdział 17 Opowieść o uczniu i jego synu
rozdział 18 Zwierciadła
rozdział 19 Szafy
rozdział 20 Obrazy
rozdział 21 Hydromancja
rozdział 22 Personifikacje
rozdział 23 Jolenta
rozdział 24 Sztuka doktora Talosa: Eschatologia i Genesis
rozdział 25 Bitwa z hierodulami
rozdział 26 Rozstanie
rozdział 27 W kierunku Thraxu
rozdział 28 Odaliski Abaii
rozdział 29 Pasterz
rozdział 30 Ponownie Borsuk
rozdział 31 Oczyszczenie

dodatek

Gene Wolfe

CIEŃ I PAZUR

Cień kata
Pazur Łagodziciela

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *The Shadow of the Torturer. The Claw of the Conciliator*

Copyright © 1980, 1981 by Gene Wolfe

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta: Elwira Wyszzyńska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miszkurka

ISBN 978-83-66409-76-7

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228251943

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227335010

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

cień kata

*Tysięczne stulecia w twoim spojrzeniu
Jak wieczór mijający;
Strażnik skończył swoją służbę
Wraz ze wschodzącym słońcem.
Zmartwychwstanie i śmierć*

rozdział 1

Zmartwychstanie i śmierć

Jest zupełnie możliwe, iż już wówczas niejasno przeczuwałem, co spotka mnie w przyszłości. Wznosząca się przed nami zardzewiała, zamknięta na głucho brama, z nanizanymi na ostre blanki strzępami wilgotnej mgły, pozostaje mi do dzisiaj w pamięci jako symbol mojego wygnania. Dlatego rozpoczynam swoją relację właśnie od pływackiej eskapady przez Gyoll, podczas której ja, Severian, uczeń konfraterni katów, niemal utonąłem.

– Strażnik gdzieś sobie poszedł – powiedział mój przyjaciel Roche do Drotte’a, który sam zdążył już to zauważyć.

Mały Eata zaproponował niezbyt pewnym głosem, żebyśmy obeszlą bramę dookoła. Jego szczupłe, pokryte piegami ramię wskazywało na ciągnący się tysiącami stadiów mur, który przecinał miasto i wspinał się na wzgórze, gdzie łączył się z niebotycznymi bastionami Cytadeli. Kiedyś, dużo później, miałem przebyć tę drogę.

– Mielibyśmy przejść przez mur? Natychmiast trafilibyśmy do mistrza Gurloesa.

– Ale dlaczego nie ma strażnika?

– Nieważne. – Drotte zastukał w przerdzewiałe prety. – Eata, spróbuj, czy uda ci się przecisnąć.

Drotte był naszym kapitanem, toteż Eata bez słowa przełożył nogę i rękę na drugą stronę. Już po chwili stało się oczywiste, że nic więcej nie uda mu się osiągnąć.

– Ktoś idzie – szepnął ostrzegawczo Roche. Drotte wyszarpnął Eatę spomiędzy pretów.

Obejrzałem się za siebie. W perspektywie ulicy kołysały się przy akompaniamencie stłumionych rozmów i odgłosów kroków migotliwe latarnie. Chciałem rzucić się do ucieczki, ale Roche dał znak dłonią, bym

tego nie czynił.

– Widzę halabardy – powiedział.

– Myślisz, że to strażę wracają?

Potrząsnął głową.

– Jest ich zbyt wielu.

– Co najmniej tuzin – dorzucił Drotte.

Czekaliśmy, ciągle jeszcze mokrzy po kąpieli w Gyll. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach mego umysłu stoimy tam do tej pory, drżąc z chłodu. Tak jak wszystko, co niezniszczalne, dąży do samozagłady, tak i te najbardziej nawet ulotne chwile powracają wciąż na nowo, nie tylko w mojej pamięci (z której nic nie jest w stanie zniknąć), ale także w biciu serca i mrowieniu skóry na głowie, odradzając się tak samo, jak każdego ranka w przenikliwych dźwiękach fanfar odradza się nasza Wspólnota.

Wkrótce zobaczyłem w żółtym pełgającym świetle latarni, że zbliżający się ludzie nie mieli na sobie zbroi; mieli za to halabardy, tak jak powiedział Drotte, a oprócz tego topory i sękate kije. Za pasem ich dowódcy błyszczał długi obosieczny sztylet. Jednak dużo bardziej od sztyletu zainteresował mnie masywny klucz wiszący na jego szyi; wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać klucz pasujący do potężnego zamka bramy.

Mały Eata drżał z niepokoju; właśnie wtedy dowódca dostrzegł nas i uniósł latarnię nad głowę:

– Chcemy wejść do środka – odezwał się Drotte. Był wyższy od tamtego, ale udało mu się nadać swojej ciemnej twarzy wyraz szacunku i niepewności.

– Dopiero o świcie – odburknął dowódca halabardników. – Lepiej wracajcie do domu.

– Panie, strażnik obiecał nas wpuścić, ale gdzieś sobie poszedł.

– W nocy tu nie wejdziecie. – Mężczyzna położył dłoń na rękojęści sztyletu i postąpił krok w naszą stronę. Przez moment obawiałem się, że odgadł, kim jesteśmy.

Drotte cofnął się, mając nas cały czas za plecami.

– Kim jesteście, panie? Nie macie mundurów...

– Jesteśmy ochotnikami – odparł jeden z nich. – Chronimy naszych zmarłych.

– Więc możecie nas wpuścić.

Dowódca już zdążył się od nas odwrócić.

– Nie może tu być nikogo oprócz nas – stwierdził nieznoszącym

sprzeciwu tonem. Klucz zazgrzytał w dawno nieoliwionym zamku i brama z przeraźliwym skrzypieniem nieco się uchyliła. Nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Eata rzucił się w wąską szparę. Ktoś zaklął głośno, a dowódca z jeszcze dwoma ludźmi ruszyli w pogoń, ale on był dla nich zbyt szybki. Widzieliśmy jego jasną głowę i połataną koszulę między pozapadanymi grobami pospólstwa, po czym zniknął wśród wysokich marmurowych obelisków w zamożniejszej części cmentarza. Drotte chciał popędzić za nim, ale dwaj mężczyźni chwycili go mocno za ramiona.

– Musimy go znaleźć! Nie tkniemy waszych zmarłych.

– Więc czego tutaj szukacie? – zapytał jeden z ochotników.

– Ziół – odparł Drotte. – Jesteśmy pomocnikami medyków. Zbieramy zioła dla chorych.

Uzbrojony w halabardę mężczyzna przyjrzał mu się dokładniej. Kiedy człowiek, który otworzył bramę, rzucił się w pogoń za Eatą, upuścił swoją latarnię i teraz jedyne oświetlenie stanowiły niemrawe płomienie pozostałych kaganków. W ich przytłumionym blasku twarz ochotnika wyglądała głupio i niewinnie. Przypuszczam, że zarabiał na życie, wynajmując się do różnych, niezbyt skomplikowanych prac.

– Z pewnością wiesz, że niektóre gatunki leczniczych ziół mają największą moc tylko wtedy, gdy zbiera się je na cmentarzu przy świetle księżycy – ciągnął dalej Drotte. – Zanim nadejdą pierwsze przymrozki i zabiją wszystkie rośliny, nasi chlebobawcy muszą mieć gotowe zapasy na zimę. Właśnie dlatego kazali nam dzisiaj przyjść tutaj.

– Nie macie worków, do których moglibyście je zbierać.

Do dzisiaj podziwiam Drotte'a za to, co wtedy uczynił, wyjął mianowicie z kieszeni kawałek najzwyczajszego sznurka i powiedział:

– Mamy je wiązać od razu w pęczki, żeby prędzej wyschły.

– Rozumiem – mruknął ochotnik. Było oczywiste, że nic nie rozumie. Roche i ja przysunęliśmy się nieco bliżej uchylonej bramy.

Drotte natomiast odstąpił w tył o krok.

– Skoro nie chcesz nas wpuścić, żebyśmy nazbierali ziół, to lepiej stąd pójdziemy. Zresztą wątpię, czy udałoby nam się znaleźć teraz tego chłopca.

– Nie, nie odchodźcie. Musimy go odszukać!

– Niech będzie – zgodził się z ociąganiem Drotte i weszliśmy do środka, a ochotnicy za nami.

Niektórzy twierdzą, że cały rzeczywisty świat został stworzony przez nasz umysł, naszym postępowaniem rządzą bowiem jak najbardziej

sztuczne kategorie, którym podporządkowujemy wszystkie, najmniej nawet istotne rzeczy i zjawiska, dużo mniej ważne i znaczące niż słowa, którymi je nazywamy. Po raz pierwszy pojąłem intuicyjnie tę zasadę właśnie tamtej nocy, gdy usłyszałem za sobą zgrzyt zamykanej bramy.

– Będę stróżował przy mojej matce – powiedział jeden z tych ochotników, którzy do tej pory nie odezwali się ani słowem. – Zmarnowaliśmy masę czasu. Mogli ją już dawno przenieść nie wiadomo gdzie.

Kilku innych mruknęło potwierdzająco i grupa zaczęła się rozpraszać – jedna latarnia skręciła w lewo, a druga w prawo. My wraz z pozostałymi ochotnikami ruszyliśmy główną aleją (tą samą, którą szliśmy zawsze, gdy chcieliśmy dotrzeć do zasypanego gruzami wyłomu w murach Cytadeli).

Moją naturą, radością i przekleństwem zarazem jest to, że nigdy niczego nie zapominam. Każde grzechoczące uderzenie łańcucha i każdy poświst wiatru, każdy widok, zapach i smak pozostają niezmienione w mojej pamięci, i chociaż wiem, że jest to cecha właściwa tylko mnie jednemu, to nie potrafię sobie wyobrazić, jak może być inaczej, jak można nie pamiętać czegoś, po co wystarczy tylko sięgnąć nieco głębiej i dalej niż po wydarzenia ostatniego dnia... Widzę teraz wyraźnie, jak szliśmy bielejącą w ciemności aleją: było zimno, a robiło się jeszcze zimniej, nie mieliśmy światła, a znad Gyll zaczynały napływać coraz gęstsze zwały mgły. Ptaki, które przyleciały specjalnie po to, żeby spędzić noc w gęstych gałęziach pinii i cyprysów, przenosiły się niespokojnie z drzewa na drzewo. Pamiętam dotknięcie moich dłoni, gdy rozcierałem nimi zziębnięte ramiona, światło latarni migające od czasu do czasu między nagrobkami i zapachy: łagodny rzeki, osiadający wraz z mgłą na mojej koszuli, i ostry, natarczywy świeżo wzruszonej ziemi. Tego dnia, zaplątawszy się w zdradzieckie pętle wodorostów, niemal utonąłem w nurtach rzeki; tej nocy zacząłem stawać się mężczyzną.

Rozległ się strzał; jeszcze nigdy w życiu nic takiego nie słyszałem ani nie widziałem – fioletowa błyskawica rozdzierająca ciemność niczym potwornych rozmiarów klin, potem czarna kurtyna zasuwana się z głuchym łoskotem gromu. Gdzieś w oddali z potężnym trzaskiem runął obalony posąg, po czym zapadła cisza... Wszystko dokoła zdawało się rozpląwać... Popędziliśmy przed siebie w kierunku, z którego zaczęły dobiegać pomieszane okrzyki. W pewnej chwili usłyszałem przeraźliwy zgrzyt stali, jakby ktoś trafił ostrzem halabardy w kamienny pomnik.

Biegłem zupełnie nieznaną mi ścieżką (w każdym razie taką się wtedy wydawała), wijącą się zygzakiem między nagrobkami i szeroką ledwie na tyle, żeby dwaj ludzie mogli zejść nią ramię w ramię do czegoś w rodzaju małej dolinki. W gęstniejącej mgle widziałem tylko ciemne sylwety grobowców po obu jej stronach. I wtedy ścieżka umknęła tak nagle, jakby ktoś wyszarpnął mi ją spod nóg – przypuszczam, że po prostu nie zauważyłem nagłego zakrętu. Rzuciłem się w bok, żeby uniknąć zderzenia z ogromnym obeliskiem, który wyrósł tuż przede mną, i z całym impetem wpadłem na mężczyznę ubranego w czarny, sięgający do ziemi płaszcz.

Stał niczym drzewo, siła uderzenia zbiła mnie z nóg i pozbawiła tchu. Usłyszałem wymamrotane pod nosem przekleństwo, a potem krótki świszczący odgłos wysuwania broni z pochwy. – Co to było? – zapytał jakiś głos.

– Ktoś na mnie wpadł. Zniknął, ktokolwiek to był. Stałem bez ruchu.

– Odsłońcie lampę – poleciał trzeci głos, bez wątplenia należący do kobiety. Przypominał łagodne gruchanie gołębic, ale były w nim także ponaglenie i niepokój.

– Rzucą się na nas jak stado dzikich psów, madame – odparł ten, na którego wpadłem.

– I tak tego nie unikniemy. Słyszałeś przecież, że Vodalus wystrzelił.

– Powinno ich to raczej odstraszyć.

– Żałuję, że w ogóle to zabrałem – powiedział ten, który odezwał się jako pierwszy; moje małe doświadczenie i młody wiek sprawiły, że nie od razu rozpoznałem po akcencie arystokratę. – To źle, że musieliśmy tego użyć w starciu z takim przeciwnikiem.

Mówiąc to, zbliżał się do mnie i już po chwili mogłem go dojrzeć – był wysoki, szczupły i nie miał żadnego nakrycia głowy. Stał tuż przy potężnie zbudowanym mężczyźnie, z którym się zderzyłem. Trzecia postać, cała spowita w czerń, musiała być kobietą. Siła uderzenia pozbawiła mnie nie tylko tchu, ale i niemal wszystkich sił, zdołałem jednak przetoczyć się za pobliski pomnik i z bezpiecznego ukrycia obserwowałem to, co się działo.

Mój wzrok zdążył już przyzwyczaić się do ciemności, dzięki czemu mogłem dostrzec twarz kobiety w kształcie serca oraz zauważyć, że była niemal równie wysoka jak szczupły mężczyzna, którego nazwała imieniem Vodalus. Drugi z mężczyzn tymczasem gdzieś zniknął, ale wkrótce usłyszałem jego głos.

– Więcej liny – zażądał.

Sądząc po tym, jak doskonale go słyszałem, znajdował się nie więcej niż krok lub dwa od mojej kryjówki, chociaż roztopił się w ciemności równie dokładnie jak wrzucona w szalejący ogień świeca. Dopiero po chwili dostrzegłem coś ciemnego poruszającego się tuż przy stopach Vodalusa; był to kaptur jego towarzysza. Mężczyzna zeskoczył po prostu do wykopanej w ziemi dziury.

– Co z nią?

– Świeża jak kwiat, madame. Nie ma obawy, prawie nie cuchnie. – Wyskoczył na górę ze zręcznością, o jaką bym go nie posądzał. – Chwyć teraz za jeden koniec, panie, a ja za drugi i wyciągniemy ją jak marchew.

Kobieta powiedziała coś, czego nie dosłyszałem, na co szczuplejszy mężczyzna odparł:

– Nie musiałaś tutaj przychodzić, Theo. Ale jak by to wyglądało, gdybym ja nie brał w tym udziału?

Obaj mężczyźni zaparli się mocno nogami, pociągnęli i zobaczyłem, jak u ich stóp pojawia się coś białego. W chwili kiedy schylili się, żeby to podnieść, mgła – niczym pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki amschaspanda – zawirowała i rozstąpiła się, przepuszczając zielonkawy promień księżyca. Na ziemi leżało ciało kobiety. Niegdyś ciemne włosy zakrywały w nieładzie część bladej twarzy; miała na sobie długą szatę z jakiegoś jasnego materiału.

– Tak jak ci mówiłem, panie – odezwał się mimowolny sprawca mojego upadku – dziewięć razy na dziesięć nie ma żadnych problemów. Teraz musimy ją już tylko przenieść przez mur.

W tej chwili usłyszałem krzyk. Trzej ochotnicy pędzili co sił ścieżką, którą i ja zbiegłem do dolinki.

– Powstrzymaj ich, panie – stęknął potężnie zbudowany mężczyzna, zarzucając sobie zwłoki na ramię. – Ja się nią zajmę. I wyprowadzę stąd madame.

– Weź to – powiedział Vodalus. Światło księżyca padło na błyszczący metal pistoletu. Obarczony martwym ciężarem człowiek zagapił się na broń.

– Nigdy tego nie używałem, panie...

– Bierz, może ci się przydać. – Vodalus schylił się i podniósł z ziemi coś, co wyglądało na zwyczajny kij. Rozległ się krótki świst i błysnęła stal wąskiego ostrza.

– Brońcie się! – krzyknął.

Kobieta wyjęła pistolet z dłoni mężczyzny i obydwójce zniknęli w ciemności.

Trzej ochotnicy zawahali się, dopiero po chwili jeden z nich przesunął się na lewo, drugi zaś na prawo, by zaatakować jednocześnie z trzech stron. Ten, który został na ścieżce, miał halabardę, jeden z pozostałych ścisnął oburącz stylisko topora.

Ten z halabardą okazał się dowódcą oddziału, tym samym, z którym Drotte rozmawiał przy bramie.

– Kim jesteś? Jakie moce Erebu dały ci prawo wejść tutaj i czynić to, co czynisz?

Vodalus nie odpowiedział; ostry koniec jego miecza poruszał się to w jedną, to w drugą stronę niczym obserwujące napastników oko.

– Teraz! – rzucił dowódca przez zaciśnięte zęby. Ruszyli, ale niezbyt pewnie, i zanim zdążyli go dopaść, Vodalus skoczył naprzód. Dostrzegłem błysk uniesionego ostrza i usłyszałem szcęk, gdy cięcie dosięgło metalowego okucia halabardy – zupełnie jakby stalowy wąż prześlizgnął się po żelaznej gałęzi. Zaatakowany ochotnik krzyknął coś i odskoczył. Vodalus uczynił to samo, prawdopodobnie obawiając się, by dwaj pozostali nie znaleźli się za jego plecami, ale zachwiał się, stracił równowagę i upadł.

Wszystko to działo się w ciemności i mgle. Przez większość czasu walczący mężczyźni byli tylko niewyraźnymi cieniami, podobnie jak kobieta o głosie gołębicy, zanim odeszła z człowiekiem, który niósł na ramieniu wydobyte z grobu zwłoki. Kobieta nagle stała się dla mnie niezwykle cenna, chyba dlatego, że Vodalus bez wahania zdecydował się zaryzykować własne życie, żeby ją ocalić. A już na pewno to właśnie było przyczyną, dla której zacząłem go wtedy podziwiać. Później zdarzało się wielokrotnie, że gdy stałem na skrzypiącej platformie wzniesionej pośrodku rynku jakiegoś małego miasteczka, trzymając w dłoni rękojeść Terminus Est, u kolan zaś miałem drżącego z przerażenia włóczkę i słyszałem szmer przyciszonych głosów wyrażających nienawiść tłumu, albo – co jeszcze gorsze – czułem podziw i zadowolenie tych, którzy znajdują upodobanie w cierpieniu i śmierci innych, przypominałem sobie Vodalisa leżącego na krawędzi świeżo rozkopanego grobu i, unosząc w górę miecz, mówiłem, że robię to dla niego.

Jak powiedziałem, zachwiał się i upadł. Właśnie wtedy nastąpił moment, w którym moje życie splotło się nierozzerwalnie z jego życiem.

Trzej napastnicy ruszyli na niego, ale on nie wypuścił miecza z dłoni. Ostrze strzeliło w górę, a ja nie wiadomo dlaczego pomyślałem, że dobrze by było mieć taką broń tego dnia, kiedy Drotte został kapitanem

uczniów naszej konfraterni.

Człowiek z toporem, w którego było wymierzone pchnięcie, cofnął się pośpiesznie, jednocześnie drugi – dowódca ochotników – rzucił się naprzód z wyciągniętym zza pasa sztyletem. Zerwałem się na nogi i wyglądając zza ramienia chalcedonowego anioła, zobaczyłem, jak nóż mija o szerokość kciuka gardło Vodalusa i wbija się aż po rękojeść w miękką ziemię. Zamiast się cofnąć, mężczyzna zostawił nóż w ziemi i niczym zapaśnik chwycił leżącego w objęcia. Znajdowali się nad samą krawędzią rozkopanego grobu – przypuszczam, że Vodalus potknął się właśnie o wyrzuconą z niego ziemię.

Drugi ochotnik uniósł topór, ale nie mógł uderzyć, rozplątały bowiem głowę swemu dowódcy. Zaszedł walczących z drugiej strony, dzięki czemu znalazł się może dwa kroki ode mnie. Kątem oka dostrzegłem, jak Vodalus wyrywa sztylet z ziemi i wbija go w gardło przeciwnika. Topór uniósł się w górę; niemal odruchowo chwyciłem drzewce tuż poniżej ostrza i nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robię, szarpnąłem z całej siły, a potem uderzyłem.

Walka była skończona. Człowiek, którego zakrwawiony topór trzymałem w dłoniach, nie żył, dowódca ochotników dogorywał u naszych stóp, a uzbrojony w halabardę napastnik zniknął, pozostawiając swoją broń leżącą w poprzek ścieżki. Vodalus odszukał w trawie pochwę i schował do niej miecz.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Nazywam się Severian. Jestem katem. To znaczy uczniem konfraterni katów, panie. Uczniem Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy. – Przerwałem, by nabrać powietrza w płuca. – Jestem Vodalarianinem. Jednym z tysięcy Vodalarian, o których istnieniu może nawet nie wiesz, panie. – Była to nazwa, która raz czy dwa obila mi się o uszy.

– Masz. – Położył mi na dłoni małą monetę, tak gładką i śliską, że wydawała się czymś posmarowana. Ściskając ją z całej siły, stałem bez ruchu przy rozkopanym grobie i patrzyłem, jak Vodalus odchodzi szybkim krokiem. Mgła i ciemność pochłonęły go na długo przedtem, zanim dotarł do krawędzi dolinki; niebawem nad moją głową przemknął z rykiem przypominający strzałę srebrny ślizgacz.

Sztylet w jakiś sposób wypadł z rany na szyi martwego mężczyzny – prawdopodobnie sam wyszarpnął go w agonii. Kiedy schyliłem się, żeby go podnieść, zdałem sobie sprawę, że ciągle ściskam w dłoni małą monetę. Wrzuciłem ją do kieszeni.

Uważamy, że to my tworzymy symbole, natomiast prawda jest taka, że to one nas tworzą. Jesteśmy ich dziełem, ograniczonym ostrymi, definiującymi krawędziami. Każdy z żołnierzy po złożeniu przysięgi otrzymuje monetę, małą asimi z wybitym profilem Autarchy. Przyjmując ją, jednocześnie przyjmuje na siebie ciężar obowiązków żołnierskiego życia, choć może nawet nie zdaje sobie sprawy, jakie one rzeczywiście są i czego będą od niego wymagać. Ja wówczas również nie zdawałem sobie z niczego sprawy, chociaż w błędzie są ci, którzy twierdzą, że musimy o wszystkim zawczasu wiedzieć, ulegając tym samym przemożnemu wpływowi takiej wiedzy. W gruncie rzeczy ci, którzy w to wierzą, stają się wyznawcami najpodlejszego i najbardziej przesadnego rodzaju magii. Niedoszły czarnoksiężnik wierzy głęboko w skuteczność i niezawodność czystej wiedzy; racjonalnie myślący ludzie wiedzą, że wszystko, co się dzieje, dzieje się samo przez się albo w ogóle się nie dzieje.

W chwili gdy mała moneta zniknęła w mojej kieszeni, nic nie wiedziałem o ruchu, na którego czele stał Vodalus, ale bardzo szybko nadrobiłem te zaległości. Wraz z nim nienawidziłem autarchii, chociaż nie miałem pojęcia, co by mogło ją zastąpić. Wraz z nim nienawidziłem arystokratów, którzy nie mieli dosyć odwagi, żeby wystąpić przeciwko Autarsze, i zamiast tego oddawali mu w ceremonialnym konkubinacie najpiękniejsze ze swoich córek. Wraz z nim gardziłem ludźmi za ich brak dyscypliny i wspólnego celu działania. Spośród cnót, które próbowali mi wpoić mistrzowie Malrubius (był mistrzem wtedy, gdy ja byłem jeszcze małym chłopcem) i Palaemon, uznawałem tylko jedną: lojalność wobec konfraterni. Miałem chyba słuszną; żywiłem głębokie przekonanie, iż mogę służyć wiernie Vodalusowi, będąc jednocześnie katem. Tak właśnie zaczęła się moja długa wędrówka, która miała mnie zaprowadzić aż na sam tron.

rozdział 2

Severian

Moja pamięć przygniata mnie. Wychowawszy się wśród katów, nigdy nie znałem ani swej matki, ani swego ojca. Podobnie zresztą jak inni uczniowie naszej konfraterni. Od czasu do czasu, najczęściej zimą, do Bramy Zwłok pukają nieszczęśni łajdacy, którzy mają nadzieję na przyjęcie do naszego starożytnego bractwa. Często raczą Brata Furtiana dokładnymi opisami męczarni, jakie z radością zadawaliby w zamian za miskę stawy i dach nad głową; czasem demonstrują niektóre z nich na zwierzętach.

Wszystkich odsyła się precz. Tradycja sięgająca dni naszej świetności, które poprzedzały obecne zdegenerowane czasy, a także dawniejszych i jeszcze dawniejszych, o których nie pamiętają już nawet najznakomitsi z uczonych, nie pozwala nam na tego rodzaju rekrutację. Nawet gdy nasze szeregi stopniały do dwóch mistrzów i niespełna dwudziestu czeladników, nikt nie śmiał jej złamać.

Od pewnego momentu pamiętam dokładnie wszystko. W najstarszym z moich wspomnień bawię się kamykami na Starym Dziedzińcu, leżącym na południowy zachód od Wiedźmińca, już właściwie na terenie Wielkiego Dworu. Odcinek muru, którego obrona należała niegdyś do obowiązków naszej konfraterni, już wówczas leżał częściowo w gruzach, otwierając szerokie przejście między Czerwoną i Niedźwiedzią Wieżą; chodziłem tam często, by wdrapać się na rumowisko nietopliwego metalu i spoglądać w dół na nekropolię zajmującą całe zbocze Wzgórza Cytadeli.

Kiedy podrosłem, cmentarz stał się moim ulubionym miejscem zabaw. Jego kręte alejki były co prawda patrolowane, ale tylko za dnia, w dodatku strażnicy zwracali baczną uwagę jedynie na świeże groby znajdujące się w dolnej części cmentarza, wiedząc zaś, kim jesteśmy, nie

bardzo mieli ochotę uganiać się za nami wśród wysadzanych cyprysami nieuczęszczanych ścieżek, gdzie urządziliśmy sobie nasze kryjówki.

Mówi się, że nasza nekropolia jest najstarsza w całym Nessus. Jest to oczywiście nieprawda, ale już samo istnienie takiej opinii świadczy o jej starożytnym rodowodzie, chociaż autarchowie nie byli tutaj chowani nawet wtedy, gdy Cytadela stanowiła ich główną twierdzę, wielkie rody zaś także w przeszłości, podobnie jak obecnie, wolały powierzać szczątki swych arystokratycznych zmarłych grobowcom znajdującym się na terenie ich posiadłości. Najwyższą część cmentarza, graniczącą z murem Cytadeli, upodobała sobie szlachta i optymaci, w dolnej zaś, sięgającej aż do wyrosłych wzdłuż brzegu Gyoll domostw, grzebali swoich bliskich mniej zamożni mieszkańcy miasta, a także zwykła biedota. Jako chłopiec nie zapuszczałem się jednak w swych wędrówkach aż tak daleko.

Trzymaliśmy się zawsze we trójkę: Drotte, Roche i ja. Później dołączył do nas Eata, najstarszy spośród pozostałych uczniów. Nikt z nas nie urodził się katem, bo też nikt katem się nie rodzi. Powiada się, że dawniej w konfraterni byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety, i że córki i synowie dziedziczyli fach po swych rodzicach, jak to się dzieje wśród kowali, złotników i wielu innych, ale Ymar Niemal Nieomyślny, widząc, jak bardzo okrutne są kobiety i jak często zadają więcej cierpień, niż im polecono, rozkazał, by wśród katów już nigdy nie było kobiet.

Od tej pory uzupełniamy nasze szeregi tylko i wyłącznie dziećmi tych, którzy dostają się w nasze ręce. W jednym z korytarzy Wieży Matachina znajduje się ukryty w ścianie żelazny pręt, który wystrzeliwuje z niej z ogromną siłą na wysokości łądzwi dorosłego mężczyzny. Dzieci płci męskiej, które tamtędy przejdą, przyjmujemy do bractwa i wychowujemy jak własne. Czasem trafiają do nas brzemiennie kobiety; otwieramy im brzuchy i jeśli dziecko przeżyje, a jest chłopcem, dajemy mu mamkę i pozostawiamy wśród nas, jeśli zaś to dziewczynka, oddajemy ją na wychowanie wiedźmom. Tak dzieje się niezmiennie od czasów Ymara.

W ten oto sposób nikt z nas nie wie, skąd ani od kogo pochodzi. Każdy, gdyby go zapytać, stwierdziłby, że jest potomkiem jakiegoś szlachetnego rodu – w rzeczy samej nierzadko się zdarza, że trafiają do nas dzieci takiego właśnie pochodzenia. Jako chłopcy snuliśmy najróżniejsze domysły, próbując uzyskać jakieś informacje od naszych starszych braci, a nawet od czeladników, ale ci byli zbyt zgorzkniali i zajęci swoimi sprawami, by zwracać uwagę na nasze pytania. Eata, wierzący święcie, iż jego rodzice byli dystyngowanymi arystokratami,

wyrysował nawet na suficie nad swoją pryczą drzewo genealogiczne rodu, z którego rzekomo pochodzi.

Jeżeli chodzi o mnie, to obrałem na swój herb odlany w brązie wizerunek znad wejścia do jednego z grobowców – widniała na nim strzelająca w górę fontanna, unoszący się na falach statek, a pod tym wszystkim kwiat róży. Same drzwi otwarto dawno temu, a na posadzce grobowca stały dwie puste trumny. Trzy kolejne, zbyt ciężkie, bym mógł je podnieść lub przestawić, stały nienaruszone na znajdujących się przy ścianie półkach. Jednak to nie trumny – wszystko jedno, czy zamknięte, czy otwarte – stanowiły o atrakcyjności tego miejsca, chociaż nieraz odpoczywałem na miękkich poduszkach, które wyciągnąłem z tych ostatnich. Na wyobraźnię oddziaływały przede wszystkim niewielkie wymiary pomieszczenia, grube kamienne ściany, wąskie okno przedzielone na pół żelaznym prętem i masywne drzwi, których od niepamiętnych już lat nikt nie zamykał.

Właśnie przez te drzwi i okno mogłem, pozostając niewidocznym, śledzić życie toczące się na drzewach, w krzakach i w trawie. Czuje makolągwy i króliki, uciekające zawsze w popłochu, gdy tylko pojawiłem się w pobliżu, nie mogły mnie tam ani wypatrzeć, ani zwęszyć. Mogłem obserwować z odległości dwóch łokci, jak wrona najpierw pracowicie buduje swoje gniazdo, a potem wysiaduje jaja i karmi młode. Widziałem lisa maszerującego z dumnie podniesioną kitą, a raz też dużo większego lisa, z gatunku, który ludzie nazywają „zwilczałym”, idącego nieśpiesznie o zmroku w sobie tylko znanym kierunku i celu. Wielokrotnie podziwiałem polującą na żmije karakara i jastrzębia wzbijającego się do lotu z wierzchołka pinii.

Kilka chwil wystarczy, żeby opowiedzieć o tym, co zajęło mi wiele lat, ale na to, żeby przedstawić znaczenie, jakie miały wszystkie te zdarzenia dla małego, obdartego, przygarniętego przez katów chłopaczka, nie starczyłoby chyba życia. Moją obsesją stały się wówczas dwie myśli, a właściwie marzenia: że już niedługo, może lada dzień, czas stanie nagle w miejscu, że wszystkie te kolorowe dni, ciągnące się jeden za drugim niczym nanizane na nieskończonej długości nitkę paciorki, prysną w ostatnim rozbłysku słońca. I że istnieje gdzieś tajemnicze światło (czasem wyobrażałem je sobie jako świecę, czasem zaś jako pochodnię) ożywiający wszystkie przedmioty, jakie znajdą się w jego zasięgu, tak że na przykład opadły z drzewa liść odlatuje nagle, podkuliwszy cienkie nóżki i machając giętkimi czułkami, a gęsty brązowy krzaczek rozgląda się w pewnej chwili dokoła czarnymi

błyszczącymi oczami i ucieka pośpiesznie na drzewo.

Czasem jednak, szczególnie podczas sennych, ciągnących się niezmiernie wolno godzin około południa, niewiele było do oglądania. Wówczas mój wzrok spoczywał na wiszącym nad drzwiami herbie i zastanawiałem się, co też ja, Severian, mogę mieć wspólnego z fontanną, statkiem i różą, a potem przez długi czas wpatrywałem się w oczyszczone przeze mnie do połysku wieko jednej z trumien, ozdobione brązową płaskorzeźbą przedstawiającą postać zmarłego. Leżał na wznak z zamkniętymi metalowymi powiekami. Przyglądałem się jego twarzy w przyćmionym świetle wpadającym do wnętrza grobowca przez wąskie okienko, porównując ją z własną, której odbicie widziałem w wypolerowanym metalu: prosty nos, głęboko osadzone oczy i zapadnięte policzki były bardzo podobne; chciałem wiedzieć, czy on także miał czarne włosy.

Zimą rzadko odwiedzałem nekropolię, ale latem zarówno ten, jak i inne grobowce stanowiły dla mnie miejsce obserwacji i wytchnienia. Drotte, Roche i Eata także tu przychodzili, ale nigdy nie zaprowadziłem ich do mego ulubionego miejsca, a i oni, jak o tym doskonale wiedziałem, mieli swoje tajemne kryjówki, których nikt prócz nich nie znał. Kiedy byliśmy razem, z rzadka wchodziliśmy do wnętrza grobowców, raczej robiliśmy sobie drewniane miecze i prowadziliśmy długotrwałe boje, rzucaliśmy szyszkami w żołnierzy lub też rysowaliśmy plansze na miękkiej ziemi świeżych grobów i graliśmy w warcaby, używając jako pionków kamieni lub muszelek.

Nieraz również bawiliśmy się w labiryncie Cytadeli i pływaliśmy w wielkim zbiorniku pod Wieżą Dzwonów. Pod wysokim sklepieniem nawet latem było chłodno i wilgotno, ale i zimą nie było tam wcale gorzej, a poza tym, co najważniejsze, Wieża Dzwonów należała do tych miejsc, do których wstęp był nam najsurowiej zakazany. Odczuwając więc rozkoszny dreszcz emocji, biegliśmy tam po kryjomu zawsze, kiedy wszyscy przypuszczali, że jesteśmy dokładnie gdzie indziej, i zapalaliśmy pochodnie dopiero wtedy, gdy za ostatnim z nas zatrzasnęła się ciężka drewniana kłapa. A kiedy pochodnie już zapłonęły, jakże nasze cienie tańczyły po tych ciemnych, pokrytych zaciekami ścianach!

Jak już wspomniałem, drugi cel naszych pływackich eskapad stanowiła Gyoll, wijąca się przez Nessus niczym ogromny, utrudzony wąż. Kiedy nadchodziły ciepłe dni, wyruszaliśmy w jej kierunku, mijając najpierw stare, okazałe grobowce wniesione tuż przy murach Cytadeli,

następnie odznaczające się nieprawdopodobnym przepychem groby optymatów, proste kamienne pomniki zwykłych ludzi (tam najczęściej trafialiśmy na strażników, staraliśmy się więc wyglądać możliwie godnie i poważnie, wędrując z pochylonymi głowami alejkami śmierci), aż wreszcie niewysokie, usypane pośpiesznie z gliniastej ziemi kopczyki – miejsca spoczynku pospólstwa, niknące bez śladu po pierwszej gwałtowniejszej ulewie.

Wejścia na teren nekropolii strzegła od strony nadrzecznej niziny żelazna brama, którą opisałem na samym wstępie. Przez nią wnoszono ciała przeznaczone do pochówku w najuboższej części cmentarza. Dopiero po minięciu jej wyniosłej, przerdzewiałej konstrukcji czuliśmy, że jesteśmy rzeczywiście poza Cytadelą, łamiąc tym samym w niezaprzeczalny sposób reguły, które powinny rządzić naszym życiem w konfraterni. Wierzyliśmy (albo raczej udawaliśmy nawzajem przed sobą, że wierzymy), że zostaniemy poddani torturom, jeżeli nasi starsi bracia dowiedzą się o tej niesubordynacji; w rzeczywistości nie groziło nam nic poza solidnym przetrzepaniem skóry. Tak wielka była wyrozumiałość bractwa, które kiedyś miałem zdradzić.

Dużo większe i bynajmniej nie wyimaginowane niebezpieczeństwo groziło nam ze strony mieszkańców obskurnych wielopiętrowych domów wznoszących się po obu stronach ulic, którymi szliśmy nad rzekę. Czasami nachodzi mnie myśl, że być może nasza konfraternia przetrwała tak długo właśnie dzięki temu, że ogniskowała na sobie ludzką nienawiść, odciągając ją od osoby autarchy, arystokratów, wojska, a w pewnym stopniu także od jasnoskórych odmieńców, przybywających czasem na Urth z odległych gwiazd.

To samo wyczucie, które podpowiadało cmentarnym strażnikom, kim jesteśmy, demaskowało nas także przed ludźmi z miasta. Zdarzało się, iż wylewano na nas pomyje, a niemal zawsze towarzyszył nam niechętny, złowrogi pomruk. Ale strach, pojawiający się nieodmiennie wraz z tą nienawiścią, okazywał się wystarczającą ochroną. Nigdy nie spotkaliśmy się z bezpośrednią przemocą, a raz czy dwa, kiedy akurat naszym starszym braciom dostarczono jakiegoś powszechnie znienawidzonego możnowładcę czy znaną z sadystycznego wyuzdania arystokratkę, otrzymywaliśmy nawet rady, co z nimi zrobić – niemal wszystkie były obsceniczne, a większość niemożliwa do zrealizowania.

W miejscu, w którym zawsze pływaliśmy, Gyoll wiele wieków temu utraciła swe naturalne brzegi. Wyglądała tam jak dwułańcuchowej szerokości pole błękitnych nenufarów, ograniczone dwiema

kamiennymi ścianami, w których w niewielkich odstępach znajdowały się schody, pomyślane jako miejsce do cumowania najróżniejszych łodzi i statków. Latem schody okupowane były przez dziesięcio- lub piętnastoosobowe bandy wyrostków. Nasza czwórka nie miała szans, żeby którąkolwiek z nich usunąć, ale oni z kolei nie mogli (a może po prostu nie chcieli) odmówić nam miejsca do kąpieli, chociaż zasypywali nas pogrózkami, gdy się do nich zbliżaliśmy, a szydzili i wyśmiewali się, kiedy byliśmy już między nimi. Wkrótce zresztą sami przenosili się gdzie indziej, pozostawiając nas w spokoju aż do następnej wizyty.

Opisuję to wszystko akurat teraz, gdyż dzień, w którym ocalałem Vodalusa, był moim ostatnim dniem w tym miejscu. Drotte i Roche byli przekonani, że przestraszyłem się konsekwencji, jakie musielibyśmy ponieść, gdyby nas tam złapano. Tylko Eata domyślił się prawdy – chłopcy, zanim zbliżą się do wieku, w którym stają się mężczyznami, często są obdarzeni wręcz kobiecą intuicją. Chodziło o nenufary.

Nigdy nie myślałem o nekropolii jako o mieście śmierci. Wiedziałem, że rosnące na jej terenie krzaki fioletowych róż (niektórzy uważają je wręcz za ohydne) dają schronienie niezliczonym małym zwierzętom i ptakom. Egzekucje, którym się przyglądałem i które sam później tak często wykonywałem, nie są niczym innym jak po prostu uprawianym z zawodową rutyną rzemiosłem, usuwaniem istot w znacznej części może i bardziej niewinnych, ale z całą pewnością mniej wartościowych od bydła rzeźnego. Kiedy myślę o własnej śmierci albo o śmierci kogoś, kto okazał mi dobroć, czy nawet o śmierci słońca, przed oczyma pojawia mi się obraz nenufaru o lśniących białych liściach i lazurowym kwiecie. Pod tymi kwiatami i liśćmi znajdują się czarne korzenie, cienkie i mocne niczym włosy, sięgające daleko w głąb ciemnych wód.

Jak to chłopcy w naszym wieku – pływając, pluszcząc się i nurkując między błękitnymi kwiatami – nie poświęcaliśmy im nawet najmniejszej uwagi. Ich zapach niwelował do pewnego stopnia nieprzyjemny odór bijący z wody. Tego dnia, w którym miałem ocalić życie Vodalusa, zanurkowałem pod ich zbite gęsto liście, tak jak to czyniłem tysiące razy.

Tym razem jednak nie wypłynąłem na powierzchnię. W jakiś sposób trafiłem w miejsce, gdzie korzenie były znacznie grubsze. Zostałem schwytyany w płataninę setek mocnych sieci. Oczy miałem otwarte, ale nie mogłem dostrzec nic oprócz kłębowiska czarnych, wijących się korzeni. Usiłowałem płynąć, ale czułem, że chociaż moje ręce i nogi poruszają się, odgarniając na boki miliony delikatnych bocznych odrostków, to moje ciało pozostaje w miejscu. Zacząłem chwytać

korzenie i je rozrywać, ale gdy wydawało mi się, że już skończyłem, byłem tak samo unieruchomiony jak przedtem. Płuca niemal mi pękały, usiłując wyrwać się z piersi i napierając ze straszliwą siłą na zaciśnięte kurczowo gardło. Pragnienie zaczerpnięcia oddechu, nabrania otaczającej mnie zewsząd ciemnej, chłodnej wody było niemal nie do przewyciężenia. Nie wiedziałem już, w którą stronę należy kierować się ku powierzchni, i nie zdawałem sobie sprawy z obecności wody jako wody. Zaczęłem tracić władzę w kończynach, ale przestałem się bać, chociaż wiedziałem, że umieram albo nawet już nie żyję. W uszach odezwało się nieprzyjemne głośne dzwonięcie, doznawałem halucynacji.

Mistrz Malrubius, nieżyjący już od kilku lat, zwykł nas budzić, uderzając w ściany metalową łyżką – to właśnie było to dzwonięcie, które słyszałem. Leżałem na pryczy, nie mogąc się podnieść, chociaż Drotte, Roche i wszyscy młodzi chłopcy wstali już i ziewając rozdzierająco, niezgrabnie nakładali ubrania. Płaszcz mistrza Malrubiusa rozsunał się, ukazując zwiotczałą skórę na jego piersi i brzuchu. Naprężające ją niegdyś mięśnie i tkankę tłuszczową zniszczył upływający nieubłaganie czas. Chciałem powiedzieć, że już się obudziłem, że nie śpię, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu. Po chwili mistrz ruszył dalej, cały czas uderzając łyżką w ścianę. Kiedy dotarł do okna, wychylił się i spojrzał w dół; wiedziałem, że szuka mnie na Starym Dziedzińcu.

Nie mógł mnie jednak dojrzeć, znajdowałem się bowiem w jednej z cel bezpośrednio pod pokojem przesłuchań. Leżałem na wznak, wpatrując się w szary sufit. Rozległ się krzyk kobiety, ale nie mogłem jej dostrzec, a poza tym moją uwagę zaprzętały nie jej jęki, tylko to bezustanne, niekończące się dzwonięcie. Niespodziewanie zamknęła się wokół mnie ciemność, z niej zaś wyłoniła się ogromna twarz kobiety wielkości zielonej tarczy księżyca. To nie ona krzyczała – jęki i zawodzenia nie ustały ani na moment, a na jej twarzy nie znać było ani śladu cierpienia, wręcz przeciwnie, emanowało z niej niedające się opisać piękno. Wyciągnęła ku mnie ręce, a ja w tym momencie zamieniłem się w piskłę, które przed rokiem wyjąłem z gniazda, mając nadzieję, że uda mi się je oswoić i przyuczyć, by na zawołanie przylatywało i siadało na moim palcu, jej ręce były bowiem długości trumien, w których czasem odpoczywałem w mojej sekretnej kryjówce. Chwyciły mnie, pociągnęły najpierw do góry, a potem w dół, coraz dalej od twarzy i od zawodzących jęków, w ciemną otchłań; dotknąłem czegoś

stałego, co mogło być mulistym dnem, i wystrzeliłem nagle w obramowany nieprzeniknioną czernią świat jasności.

Ciągle jednak nie mogłem oddychać, a właściwie nie chciałem, moja pierś zaś nie unosiła się już w samodzielnym, niezależnym od mojej woli rytmie. Płynąłem, chociaż nie miałem pojęcia, jak ani dlaczego tak się dzieje. (Później okazało się, że to Drotte chwycił mnie za włosy). Niebawem leżałem na zimnych, oślizgłych kamieniach, a Drotte i Roche na zmianę pompowali mi powietrze prosto w usta. Widziałem nachylające się nade mną oczy, same oczy, różne niczym w kalejdoskopie, i dziwiłem się, dlaczego Eata ma ich więcej, niż powinien.

Wreszcie odepchnąłem Roche'a i zwymiotowałem wielką ilość czarnej wody. Od razu poczułem się lepiej – mogłem już usiąść i nawet oddychać, a także, chociaż zupełnie nie miałem siły i trzęsły mi się ręce, poruszać ramionami. Oczy, które widziałem, należały do prawdziwych ludzi, mieszkańców pobliskich domów. Jakaś kobieta przyniosła miskę czegoś gorącego do picia; nie byłem pewien, czy to zupa, czy herbata, mogę tylko powiedzieć, że było to słonawe, parzyło i pachniało dymem. Udawałem tylko, że piję, ale później i tak okazało się, że poparzyłem sobie wargi i język.

– Specjalnie to zrobiłeś? – zapytał Drotte. – Jak wypłynąłeś na powierzchnię?

Potrząsałem tylko głową.

– Wystrzelił z wody, jakby go coś wypchnęło! – powiedział ktoś z tłumu.

Roche pomógł mi opanować drżenie dłoni.

– Myśleliśmy, że wypłyniesz w innym miejscu, że chcesz nas nastraszyć.

– Widziałem Malrubiusa – wykrztusiłem z trudem.

– Kto to jest? – zapytał stary człowiek, zapewne rybak, sądząc z poplamionego smołą stroju, i wziął Roche'a za ramię.

– Był mistrzem i opiekunem uczniów. Już nie żyje.

– To nie kobieta? – Stary mężczyzna cały czas trzymał Roche'a za ramię, ale nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.

– Nie. Wśród nas nie ma kobiet.

Pomimo wypicia gorącego napoju i ciepłego dnia trząsałem się z zimna. Jeden z chłopców, którzy nam zazwyczaj dokuczali, przyniósł jakiś brudny koc, w który się zawinąłem, ale minęło tak dużo czasu, zanim odzyskałem na tyle siły, żeby móc znowu samodzielnie się

poruszać, że gdy dotarliśmy do cmentarnej bramy, statua Nocy na wzgórzu po drugiej stronie rzeki była już jedynie małą kreseczką na tle płonącego czerwieni zachodniego nieboskłonu, sama brama była zaś zamknięta na głucho.

rozdział 3

Oblicze Autarchy

Dopiero późnym rankiem następnego dnia przypomniałem sobie o monecie, którą dał mi Vodalus. Po obsłużeniu czeladników spożywających posiłek w refektarzu sami jak zwykle zjedliśmy śniadanie, zebraliśmy się w klasie i po krótkim przygotowawczym wykładzie mistrza Palaemona zesliśmy z nim na dół, żeby zapoznać się z przebiegiem i rezultatami wieczornej pracy naszych starszych braci.

Zanim jednak będę kontynuował moją relację, powinienem chyba powiedzieć kilka słów o Wieży Matachina. Wznosi się ona w głębi Cytadeli, po jej zachodniej stronie. Na parterze znajdują się gabinety naszych mistrzów, gdzie odbywają się spotkania z ważniejszymi urzędnikami wymiaru sprawiedliwości i mistrzami innych związków. Piętro wyżej usytuowano naszą świetlicę, sąsiadującą bezpośrednio z kuchnią, jeszcze zaś wyżej refektarz, służący zarówno jako miejsce zebrań, jak i jadalnia. Nad nim znajdują się prywatne apartamenty mistrzów, w dniach świetności naszej konfraterni znacznie liczniejsze niż obecnie, na kolejnych zaś piętrach odpowiednio pokoje czeladników, bursa dla uczniów sąsiadująca z klasą i wreszcie najróżniejsze puste, nieużywane komórki i pomieszczenia. Na samym szczycie jest zbrojownia – na wypadek gdyby Cytadela została zaatakowana, a my, nędzne pozostałości świetnej ongiś konfraterni, mielibyśmy wypełnić spoczywający na nas obowiązek jej obrony.

Gdyby ktoś chciał zobaczyć nas przy pracy, musiałby zejść na dół. Na pierwszej podziemnej kondygnacji znajduje się pokój przesłuchań. Pod nim, sięgając daleko poza Wieżę, rozciąga się labirynt lochów, z których wykorzystuje się obecnie trzy poziomy, połączone centralnie usytuowanymi schodami. Cele są proste, czyste i suche, wyposażone w stół, krzesło i ustawione na samym środku wąskie łóżko.

Rozjaśniające ciemności światła pochodzą z pradawnych czasów i mają podobno płonąć wiecznie, chociaż niektóre z nich już pogasły. Szliśmy pogrążonymi w półmroku korytarzami, ale mój nastrój daleki był od tego, jaki, wydawałoby się, to miejsce powinno wywoływać. Byłem szczęśliwy i radośnie podniecony: to tu właśnie będę pracował, kiedy zostanę czeladnikiem, doskonaląc się w starożytnej sztuce i zbliżając się z każdym dniem do chwili, kiedy na moich barkach spocznie godność mistrza; to tu położę fundamenty pod świetność naszego bractwa. Panująca w lochach atmosfera wydawała się spowijać mnie niczym delikatny koc, ogrzany uprzednio nad oczyszczającym wszystko ogniem.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami jednej z cel i pełniący dzisiaj służbę czeladnik otworzył je potężnym kluczem. Leżąca wewnątrz na łóżku klientka uniosła głowę i gdy nas zobaczyła, jej czarne oczy zrobiły się okrągłe niczym dwie monety. Mistrz Palaemon miał na sobie obsyty sobolami płaszcz i aksamitną maskę, oznakę jego władzy. Przypuszczam, że właśnie to, a może niezwykle urządzenie optyczne, dzięki któremu widział, stało się powodem jej przerażenia. Nic jednak nie powiedziała, a my, rzecz jasna, również się nie odzywaliśmy.

– Mamy tutaj przykład dobrze ilustrujący stosowaną przez nas nowoczesną technikę, wykraczającą daleko poza tradycyjne, znane od niepamiętnych czasów metody – rozpoczął mistrz Palaemon doskonale beznamiętnym głosem. – Klientka została wczoraj wieczorem poddana przesłuchaniu – być może niektórzy z was ją słyszeli. W celu zapobieżenia szokowi i utracie przytomności podano jej dwadzieścia minimów tinktury przed i dziesięć po zabiegu, ale dawka ta okazała się niewystarczająca, dlatego też porzeczano jedynie na obdarciu jej prawej nogi ze skóry. – Skinął na Drotte’a, a ten zaczął odwijać bandaż.

– Półbut? – zapytał Roche.

– Nie, cały. Była służącą, a te, jak twierdzi mistrz Gurloes, zawsze mają mocną skórę. W tym przypadku okazało się to prawdą. Tuż pod kolanem wykonano okólne nacięcie i chwycono krawędź skóry w osiem par szczypiec. Staranna, wysoce fachowa praca mistrza Gurloesa, Odo, Mennasa i Eigila pozwoliła następnie na usunięcie bez użycia noża wszystkiego, co znajdowało się między kolanem a stopą.

Skupiliśmy się wokół Drotte’a, popychani przez młodszych chłopców udających, że wiedzą, na co patrzeć. Tętnice i żyły pozostały nietknięte, ale wpływ krwi był ciągły, choć powolny. Pomogłem Drotte’owi założyć świeże bandaż.

Kiedy mieliśmy już wyjść, kobieta przemówiła:

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Dlaczego mi nie wierzycie? Ona odeszła z Vodalusem. Powiedziałabym wam dokąd, ale naprawdę tego nie wiem...

Na korytarzu, udając ignorancję, zapytałem mistrza Palaemona, kim jest ów Vodalus.

– Ile razy wam powtarzam, że nic z tego, co mówi przesłuchiwany klient, nie może dotrzeć do waszych uszu?

– Wiele razy, mistrzu.

– Ale bez żadnego rezultatu, jak widzę. Wkrótce nadejdzie Dzień Maski, Drotte i Roche zostaną czeladnikami, ty zaś kapitanem uczniów. Czy chcesz im dawać taki przykład?

– Nie, mistrzu.

Za plecami starego człowieka Drotte spojrział na mnie w sposób, który oznaczał, że on wie wszystko o Vodalusie i powie mi to przy najbliższej okazji.

– Niegdyś wszyscy czeladnicy byli pozbawiani słuchu. Chcesz, żeby znowu tak było? A przede wszystkim wyjmij ręce z kieszeni, kiedy ze mną rozmawiasz!

Zrobiłem to celowo, wiedząc, że wywołam jego gniew. Kiedy wykonywałem polecenie, poczułem nagle, że ściskam w palcach monetę, którą Vodalus dał mi poprzedniego wieczoru. W podnieceniu i przerażeniu zupełnie o niej zapomniałem, teraz natomiast zawładnęło mną potworne pragnienie, żeby na nią chociaż raz spojrzeć, ale nie mogłem, bo mistrz Palaemon nie spuszczał ze mnie świdrującego spojrzenia powiększonych soczewkami oczu.

– Kiedy klient mówi, Severianie, ty nic nie słyszysz. Zupełnie nic. Myśl o myszach, których piski nie mają dla nas żadnego znaczenia.

Skrzywiłem się, aby mu pokazać, że rzeczywiście pomyślałem o myszach.

Podczas długiej, nużącej wspinaczki po schodach do naszej klasy wszystko we mnie aż krzyczało, żeby spojrzeć na mały metalowy krążek, który ściskałem w palcach, ale wiedziałem, że gdybym teraz to uczynił, chłopiec idący za mną (był to akurat jeden z młodszych uczniów imieniem Eusignius) z całą pewnością zobaczyłby, co robię. W klasie mistrz Palaemon rozvodził się nad dziesięciodniowym nieboszczykiem; moneta paliła mnie żywym ogniem, ale nie śmiałem na nią spojrzeć.

Dopiero po południu znalazłem chwilę spokoju i samotności w ruinach murów obronnych wśród wysokich świecących mchów.

Wyciągnąłem zaciśniętą pięść z kieszeni, ale nie mogłem zdecydować się, żeby ją otworzyć, bojąc się, że ewentualne rozczarowanie może okazać się czymś ponad moje siły.

Nie chodziło mi bynajmniej o materialną wartość monety. Chociaż byłem już niemal dorosły, posiadałem w życiu tak niewiele pieniędzy, że każda suma, jakakolwiek by była, wydawałaby mi się fortuną. Ta moneta (jeszcze tajemnicza, ale już niedługo) stanowiła jedyną nić łączącą mnie z wydarzeniami wczorajszego wieczoru, była jedynym łącznikiem pomiędzy mną a Vodalusem, piękną, tajemniczą kobietą i potężnie zbudowanym mężczyzną, jedyną nagrodą za walkę stoczoną nad otwartą mogiłą. Do tej pory znałem jedynie życie w konfraterni, a teraz, w porównaniu z błyskiem miecza i gromiącym echem strzału, wydało mi się ono nagle szare i zlachmanione jak moja stara koszula. Wszystko to mogło zniknąć z chwilą, kiedy otworzę dłoń.

Wreszcie, wyczerpawszy do cna zapasy rozkosznej niepewności i strachu, spojrzałem. Było to złote chrisos. Zacisnąłem pośpiesznie dłoń, obawiając się, że być może w blasku słońca pomyliłem je ze zwykłym brązowym orichalkiem. Musiałem poczekać dłuższą chwilę, żeby ponownie zebrać w sobie wystarczająco dużo odwagi.

Po raz pierwszy w życiu miałem w dłoni sztukę złota. Orichalki, owszem, widywałem bardzo często, a kiedyś nawet posiadałem kilka na własność. Raz czy dwa mignęły mi srebrne osimi, natomiast z istnienia złotych chrisos zdawałem sobie sprawę w taki sam mętny i chyba jednak nie do końca uświadomiony sposób, jak z istnienia świata poza granicami Nessus albo innych kontynentów leżących na północ, wschód i zachód od naszego.

Na moim chrisos widniała twarz, którą z początku wziąłem za kobietę – z koroną, w nieokreślonym wieku, milcząca i doskonała. Kiedy spojrzałem na drugą stronę, niemal krzyknąłem ze zdumienia – na rewersie znajdował się taki sam wizerunek latającego statku jak na herbie w moim sekretnym mauzoleum. Nie potrafiłem tego zrozumieć, mało tego, nawet się nie starałem, przekonany, że wszelkie spekulacje i tak okażą się bezowocne. Pośpiesznie schowałem mój skarb do kieszeni i niemal pogrążony w transie dołączyłem do kolegów.

Było absolutnie wykluczone, żebym nosił monetę cały czas przy sobie. Przy pierwszej okazji, jaka mi się nadarzyła, pobiegłem na cmentarz i zakradłem się do mojej kryjówki. Właśnie tego dnia nastąpiła pierwsza poważniejsza zmiana pogody. Przedzierałem się przez ociekające deszczem zarośla i wysoką, kładącą się już do zimowego snu

trawę. Kiedy dotarłem do grobowca, nie była to już cienista, dająca wytchnienie w upalne dni kryjówka, ale lodowata pułapka, w której wyczuwałem niedaleką obecność jakichś tajemniczych nieprzyjaciół, wrogów Vodalusa, doskonale wiedzących, że jestem jego zaprzysięgłym poplecznikiem. W każdej chwili mogli nadejść i zatrzasnąć za mną ciężkie drzwi na specjalnie na tę okazję naoliwionych zawiasach. Zdawałem sobie sprawę, rzecz jasna, że to nonsens, ale wiedziałem również, że nie jest on tak zupełnie pozbawiony podstaw, że moje przecucia mogą już w niedalekim czasie stać się rzeczywistością. Za kilka miesięcy czy kilka lat ci bezimienni jeszcze wrogowie mogą naprawdę na mnie czekać. Uderzając wczoraj toporem, podjąłem walkę, czyli uczyniłem coś, czego każdy kat stara się za wszelką cenę uniknąć.

U stóp jednej z pustych trumien leżał obłuzowany kamień. Uniosłem go i kładąc pod niego złote chrisos, wymamrotałem pod nosem zaklęcie, którego przed kilku laty nauczył mnie Roche, a które miało pomóc w bezpiecznym przechowaniu ukrytych przedmiotów:

*Gdy cię kładę, tam ty leżysz,
Oczu obcych nie ucieszysz,
Nikt cię nigdy nie zobaczy,
Tylko ja.
Trwaj bezpiecznie w tym ukryciu,
Kto cię znalazł już raz w życiu,
Przyjdzie znowu, a to będę
Tylko ja.*

Żeby zaklęcie działało z całą mocą, należało jeszcze o północy obejść kryjówkę kilka razy dookoła z płonąca świecą w dłoni, ale wydawało mi się to po prostu śmieszne, podobnie jak opowieści Drotte'a o wstających z grobów nieboszczykach, postanowiłem więc zaufać samym słowom. Stwierdziłem przy okazji z niejakim zdziwieniem, iż jestem już na tyle dorosły, że nie wstydzę się posługiwać czymś, co niektórzy uważają za godny pożałowania zabobon.

Mijały dni, ale pamięć o mojej ostatniej wizycie w grobowcu pozostawała wciąż wystarczająco świeża, żeby powstrzymać mnie przed złożeniem tam ponownej wizyty i sprawdzeniem, co dzieje się z moim skarbem, chociaż nie raz i nie dwa miałem wielką ochotę, żeby to uczynić. A potem spadł pierwszy śnieg, zamieniając ruiny murów w niemożliwą do przebycia lodową barierę, a tak dobrze znaną

nekropolię w zupełnie obcy, groźny teren, pełen tajemniczych śnieżnych zasp. Pomniki i grobowce wydawały się w swoich białych czapach znacznie większe, niż były w istocie, drzewa i krzewy zaś, przygniecione zimnym ciężarem, zmalały w porównaniu z nimi do połowy swoich zwykłych rozmiarów.

Początkowo uczniowie mają w naszej konfraterni bardzo łatwe życie, ale z upływem lat obowiązków jest coraz więcej. Najmłodszy chłopcy w ogóle nie pracują. Kiedy mają sześć lat, otrzymują pierwsze zadania, ale sprowadzają się one co najwyżej do biegania w górę i w dół po schodach Wieży Matachina z najróżniejszego rodzaju informacjami i przesyłkami, a poza tym dzieciak, dumny z okazanego mu zaufania, nie odczuwa tego jako pracy. Wraz z upływem czasu jego zadania stają się coraz bardziej skomplikowane. Zaczyna odwiedzać inne części Cytadeli: barbakany, gdzie przy okazji dowiaduje się, że jego rówieśnicy uczący się wojennego fachu mają bębny, trąbki, wysokie buty, a czasem nawet ozdobne pancerze; Niedźwiedzią Wieżę, gdzie widzi chłopców w swoim wieku poskramiających wspaniałe, groźne zwierzęta – mastyfy o głowach jak lwy, wyższe od człowieka strusie o stalowych dziobach i wiele, wiele innych. Odwiedza setki takich miejsc, przekonując się przy okazji, że bractwo, do którego należy, jest traktowane z pogardą i nawet nienawiścią (a raczej: przede wszystkim z nienawiścią) przez tych, którzy korzystają z jego usług. Wkrótce potem zaczyna się praca w kuchni. Brat Kucharz przyrządza najróżniejsze potrawy, uczeń zaś skrobie warzywa, obsługuje czeladników i przemierza bezustannie drogę do lochów z tacami z pożywieniem dla klientów.

Wówczas jeszcze tego nie wiedziałem, ale zbliżał się już moment, kiedy to moje uczniowskie życie, coraz trudniejsze i coraz bardziej nużące, miało się odmienić, stając się znacznie mniej uciążliwym, a nawet wręcz przyjemnym. Przez rok poprzedzający przyjęcie w poczet czeladników właściwie jedynym zadaniem najstarszego ucznia jest sprawowanie nadzoru nad pracą młodszych od niego. Zaczyna lepiej jeść i otrzymuje nowe ubranie. Młodszy czeladnicy traktują go niemal jak równego sobie, ale najprzyjemniejsze jest chyba poczucie spoczywającej na nim odpowiedzialności, a także możliwość wydawania, i co ważniejsze, egzekwowania poleceń.

Kiedy nadchodzi moment wyniesienia, jest już dorosły. Wykonuje tylko tę pracę, której był uczony, a po spełnieniu wszystkich obowiązków może w celu zażycia rozrywki opuszczać mury Cytadeli, otrzymując nawet przeznaczone specjalnie na ten cel środki pieniężne.

Gdyby kiedyś został mistrzem (wymagana jest jednomyślna zgoda wszystkich żyjących mistrzów), mógłby wybierać sobie jedynie te zajęcia, które go interesują lub bawią, jego głównym zadaniem stałoby się zaś sprawowanie pieczy nad działalnością samej konfraterni.

Musicie jednak wiedzieć, że w roku, który tutaj opisuję, w tym roku, kiedy ocalałem życie Vodalusa, jeszcze nie zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawy. Zima (tak przynajmniej mi powiedziano) zakończyła kampanię na północy, a tym samym Autarcha wraz ze swymi oficerami i doradcami mogli na powrót zasiąść w sędziowskich fotelach.

– Dlatego właśnie mamy tylu nowych klientów – wyjaśnił Roche. – A będzie ich jeszcze więcej, dziesiątki, może nawet setki. Niewykluczone, że trzeba będzie uruchomić czwarty poziom. – Wykonał piegowatą ręką nieokreślony ruch mający oznaczać, że przynajmniej on, Roche, gotów jest zrobić wszystko, co tylko będzie trzeba.

– Czy Autarcha tu jest? – zapytałem. – Tutaj, w Cytadeli? W Wielkiej Baszcie?

– Oczywiście, że nie. Gdyby kiedykolwiek tutaj się zjawił, na pewno byśmy o tym wiedzieli. Byłyby ciągłe parady, inspekcje i w ogóle straszne zamieszanie. Czekają na niego specjalne komnaty, ale nikt do nich nie wchodził już od dobrych stu lat. Autarcha mieszka w swoim ukrytym pałacu, w Domu Absolutu, gdzieś na północ od miasta.

– Nie wiesz dokładnie gdzie?

– Nikt nie wie, gdzie to dokładnie jest, bo nie ma tam nic oprócz właśnie Domu Absolutu. Wiadomo tylko, że na północy, na drugim brzegu.

– Za murami?

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Daleko za nimi. Kilka tygodni marszu stąd, gdyby przyszło ci na myśl wybrać się tam na piechotę. Oczywiście Autarcha mógłby się tam dostać w mgnieniu oka swoim ślizgaczem. Tutaj lądowałby i startował z Wieży Sztandaru.

Nasi klienci nie przylatywali do nas ślizgaczami. Ci mniej ważni docierali w grupach od dziesięciu do dwudziestu, skuci razem długimi łańcuchami łączącymi założone im na szyje żelazne obroże. Strzegli ich dimarchowie, groźnie wyglądający żołnierze w zbrojach i z bronią, która sprawiała wrażenie wykonanej z myślą o częstym używaniu i rzeczywiście była często używana. Każdy klient niósł miedziany cylinder zawierający dotyczące go dokumenty. Wszyscy oczywiście

łamali pieczęcie, by przeczytać papiery i zniszczyć je lub zamienić się z innymi. Tych, którzy docierali do nas bez żadnych dokumentów, trzymaliśmy tak długo, dopóki nie przysłano nam nowych informacji w ich sprawie; najczęściej nie opuszczali nas już do końca życia. Ci, którzy wymienili z kimś dokumenty, jednocześnie dzielili ich los; byli więzieni lub wypuszczani, torturowani lub zabijani zgodnie z zaleceniami, jakie znaleźliśmy w papierach, które nam dostarczyli.

Ci ważniejsi klienci przybywali w opancerzonych powozach. Stalowe ściany i zakratowane okna tych pojazdów miały nie tyle zapobiec ucieczce, co odstraszyć tych, którzy próbowaliby więźniów uwolnić. Jeszcze zanim koła pierwszego z powozów zaturlotały na bruku Starego Dziedzińca, konfraternia aż trzęsa się od plotek o zuchwałych napadach na konwoje, które Vodalus planował lub też już przedsięwziął. Wielu spośród uczniów, a także znaczna część czeladników wierzyła, iż wśród więźniów znajdują się jego przyjaciele, wspólnicy i zwolennicy. Myśl, żeby z tego powodu pomóc im w ucieczce, nie przyszła mi nawet do głowy – taki czyn okryłby hańbą nasze bractwo, a do tego, mimo mego przywiązania do Vodalusa i kierowanego przez niego ruchu, nigdy nie zgodziłbym się dopuścić. Poza tym ucieczka i tak była niemożliwa. Miałem jednak nadzieję, że uda mi się pomóc tym, których uważałem za swoich duchowych braci, dostarczając im takich drobnych przyjemności jak dodatkowe porcje pożywienia, ukradzione z racji mniej ważnych klientów, czy od czasu do czasu kawałek mięsa, który udałoby mi się przemycić z kuchni.

Pewnego dnia nadarzyła się sposobność, by dowiedzieć się, kim są nowi więźniowie. Miałem właśnie skrobać podłogę w gabinecie mistrza Gurloesa, gdy ten wszedł i zostawił na biurku stos dokumentów nowo przybyłych klientów. Rzuciłem się do nich, jeszcze nim zdążył dobrze zamknąć drzwi, i przejrzałem niemal wszystkie, zanim na schodach rozległy się jego ciężkie, powolne kroki. Żaden, powtarzam, żaden z więźniów nie był w jakikolwiek sposób związany z Vodalusem. Znajdowali się wśród nich handlarze, którzy chcieli prędko się wzbogacić na dostawach dla wojska, włóczędzy wędrujący wszędzie za armią i szpiegujący dla Ascian, i zwykli przestępcy najróżniejszego autoramentu. Nikt poza tym.

Kiedy niosłem wiadro z brudną wodą, by opróżnić je do kanału, którego wlot znajdował się na Starym Dziedzińcu, zobaczyłem, jak podjeżdża jeden z pancernych powozów. Ze spoconej skóry i pysków zwierząt unosiły się kłęby pary, a zmarznięci strażnicy z wdzięcznością

wyciągali ręce po czary gorącego wina. Usłyszałem imię Vodalusa, ale tak cicho i niewyraźnie, iż nie byłem pewien, czy przypadkiem nie uległem złudzeniu. W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że Vodalus istniał jedynie jako abstrakcyjne pojęcie zrodzone w moim umyśle, rzeczywisty był zaś tylko ów człowiek zabity przeze mnie jego własnym toporem. Dokumenty, które jeszcze przed chwilą przeglądałem, frunęły mi w twarz niczym targane podmuchami wiatru jesienne liście.

W tej właśnie chwili zrozumiałem po raz pierwszy w życiu, że jestem w pewnym sensie szalony. Pozostaje rzeczą dyskusyjną, czy właśnie to było największym przekleństwem mego życia. Często kłamałem – mistrzom Gurloesowi, Palaemonowi, Malrubiusowi, kiedy jeszcze żył, Drotte'owi, ponieważ był naszym kapitanem, Roche'owi, ponieważ był starszy i silniejszy ode mnie, Eacie i innym chłopcom, gdyż chciałem, żeby mnie poważali i słuchali. Teraz nie mogłem być pewien, czy przypadkiem nie okłamuje mnie mój własny umysł. Moje łgarstwa powróciły nagle odbitą falą i ja, który wszystko pamiętam, nie byłem w stanie stwierdzić, czy to, co biorę za wspomnienia, nie jest jedynie snami i marzeniami. Pamiętałem oświetloną blaskiem księżyca twarz Vodalusa, ale przecież chciałem ją zobaczyć. Pamiętałem jego słowa, gdy do mnie przemówił, ale przecież chciałem je usłyszeć. Tak samo było z towarzyszącą mu kobietą.

Pewnej mroźnej nocy zakradłem się do grobowca i wydobyłem z ukrycia złote chrisos. Wybita na nim twarz nie była twarzą Vodalusa.

rozdział 4

Triskele

Oczyszczając zamrożony odpływ kanału ściekowego (była to kara za jakieś nieistotne przewinienie), znalazłem go tam, gdzie mieszkańcy Niedźwiedziej Wieży wyrzucają poszarpane ciała zwierząt zabitych podczas ćwiczeń. My grzebiemy naszych zmarłych tuż koło muru Cytadeli, klientów zaś w najniższej części nekropolii, natomiast konfraternia władająca Niedźwiedzią Wieżą pozostawia martwe pozostałości swej pracy trosce innych. Wśród piętrzących się trupów on był najmniejszy.

Są spotkania, które nic nie zmieniają. Urth zwraca swą wiekową twarz ku słońcu, którego blask rozświetla pokryty śniegiem krajobraz; zimna biel skrzy się i błyszczy tak, że każdy z lodowatych sopli zwieszających się z blanków wyniosłych wież wydaje się Pazurem Łagodziciela, najcenniejszym z bezcennych klejnotów. Wszyscy, z wyjątkiem tych najmądrzejszych, są przekonani, że śniegi lada moment stopnieją, ustępując miejsca długiemu, wspaniałemu latu.

Nic takiego jednak się nie dzieje. Raj trwa przez wachtę lub dwie, a potem na wzbijającym się w podmuchach wschodniego wiatru śniegu zaczynają się kłaść błękitne niczym rozwodnione mleko cienie, nadciąga noc i wszystko pozostaje takie, jak było.

Z Triskele było dokładnie tak samo. Czułem, że spotkanie z nim może i powinno wszystko zmienić, ale okazało się ono zaledwie kilkumiesięcznym epizodem, kiedy zaś zniknął, było już po zimie, zbliżał się kolejny dzień Świętej Katarzyny i nic, ale to nic się nie zmieniło. Nie wiem, czy potraficie sobie wyobrazić, jak żałośnie wyglądał, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy.

Leżał na boku, cały pokryty krwią, która stwardniała na mrozie niczym smoła, zachowując jednocześnie jaskrawą, świeżą barwę. Nie

wiem, dlaczego to uczyniłem, ale podszedłem i położyłem dłoń na jego głowie. Do tej pory wydawał się równie martwy jak reszta, ale wtedy otworzył jedno oko i zwrócił je z wysiłkiem w moją stronę – w jego spojrzeniu dostrzegłem przekonanie, że najgorsze już minęło. Ja już swoje zrobiłem, zdawał się mówić. Teraz twoja kolej.

Przypuszczam, że gdyby to było lato, chyba pozwoliłbym mu umrzeć. Tak się jednak złożyło, że od dłuższego czasu nie widziałem żadnego żywego zwierzęcia, jeśli nie liczyć odżywiającego się odpadkami thylacodona. Poglądziłem go po łbie, on zaś polizał moją dłoń. Nie mogłem już tak po prostu odwrócić się i odejść.

Podniosłem go (okazał się zadziwiająco ciężki) i rozejrzałem się dookoła, zastanawiając się, co z nim zrobić. Wiedziałem doskonale, że w naszej bursie odkryto by go, zanim świeca zdążyłaby się stopić o szerokość palca. Cytadela jest ogromna i bardzo skomplikowana, w jej wieżach, wzniesionych między nimi budynkach i rozległych podziemiach znajduje się masa rzadko albo nawet w ogóle nieodwiedzanych pomieszczeń, ale nie mogłem w myśli znaleźć żadnego, do którego mógłbym dotrzeć, nie będąc po drodze widzianym przynajmniej z tuzin razy, toteż wreszcie, nie wymyśliwszy nic mądrego, ruszyłem z niespodziewanym ciężarem w kierunku siedziby naszego bractwa.

Musiałem jakoś przejść koło czeladnika, który stał na straży przy prowadzących do lochów schodach. Pierwszym pomysłem, jaki przyszedł mi do głowy, było włożyć psa do kosza, w którym zwykle nosimy czystą bieliznę pościelową dla naszych klientów, tym bardziej że był to akurat dzień pralni, a wykonanie nadprogramowego kursu z pewnością nie wzbudziłoby niczyich podejrzeń. Stojący na straży czeladnik nie powinien niczego zauważyć, ale musiałbym czekać prawie całą wachtę, aż rzekomo uprana pościel wyschnie, oraz naraziłbym się na pytania brata pełniącego służbę na trzecim poziomie, który z pewnością chciałby wiedzieć, czego szukam na czwartym, zupełnie przecież pustym.

Zamiast tego położyłem więc psa w pokoju przesłuchań – był tak słaby, że nie mógł samodzielnie wykonać najmniejszego nawet ruchu – sam zaś zaproponowałem strażnikowi, że mogę przez jakiś czas go zastąpić. Zgodził się nadzwyczaj chętnie i wręczył mi swój katowski miecz (którego, przynajmniej teoretycznie, nie miałem jeszcze prawa dotykać) oraz fuliginowy płaszcz (którego również nie wolno mi było nosić, chociaż byłem już wyższy od większości czeladników). Z pewnego

oddalenia nie sposób było dostrzec różnicy. Nałożyłem płaszcz, kiedy zaś jego właściciel zniknął za pierwszym zakrętem korytarza, odstawiłem czym prędzej miecz do kąta i zająłem się moim psem. Charakterystyczne dla naszego bractwa płaszcze są niezwykle obszerne, ten zaś był taki w dwójnasób, jako że czeladnik należał do najtęższych w całej konfraterni. Co więcej, fuligin, z którego szyte są płaszcze, jest znacznie ciemniejszy od najgłębszej nawet czerni, dzięki czemu nikną wszelkie fałdy, załamania i wybrzuszenia. Kiedy z postawionym kapturem schodziłem na niższy poziom, dla ewentualnych obserwatorów – jeśli tacy się trafili – musiałem po prostu być nieco bardziej korpulentnym, niż to się zwykle zdarza, czeladnikiem. Nawet strażnik na trzecim poziomie, gdzie ulokowani są klienci, którzy utraciwszy zmysły bądź bojąc się je utracić, wyją, skamlą i grzechoczą bezustannie łańcuchami, nie dostrzegł nic nadzwyczajnego w fakcie, że jeden z jego braci schodzi na czwarty poziom, tym bardziej że rozeszły się już plotki o tym, że ma on zostać ponownie uruchomiony, ani w tym, że w chwilę po jego powrocie na górę zbiegł na dół jakiś chłopiec – zapewne czeladnik czegoś zapomniał i wysłał po to pierwszego napotkanego ucznia.

Nie było to zbyt sympatyczne miejsce. Co prawda działała jeszcze przynajmniej połowa starych świateł, ale gromadzące się latami błoto pokrywało podłogę w korytarzach grubą na dłoń warstwą. Przy schodach stał, zapewne od przynajmniej dwustu lat, drewniany stół, tak zmurszały i stoczony przez robactwo, że rozpadł się w momencie, gdy dotknąłem go delikatnie ręką.

Na szczęście woda nigdy nie sięgała tutaj zbyt wysoko, a w odległym końcu korytarza, który wybrałem, nie było nawet śladu błota. Położyłem psa na łóżku klienta i oczyściłem go gąbkami zabranymi z pokoju przesłuchań.

Sierść, która wyłoniła się spod zakrzepłej krwi, była brązowa, krótka i sztywna. Kikut jego ogona był raczej szerszy niż dłuższy. Z uszu pozostało jeszcze mniej – żalosne, nie dłuższe od połowy mego kciuka wyrostki. W ostatniej walce bezlitosny cios rozplątał mu na całej długości klatkę piersiową, tak że bez trudu mogłem dostrzec bladoróżowe pasma mięśni. Prawą przednią łapę miał zmiażdżoną niemal do połowy. Po oczyszczeniu rany na piersi uciąłem kończynę, a następnie zawiązałem tętnice i zawiązałem starannie skórę, tak jak uczył nas mistrz Palaemon, żeby po zagojeniu pozostał ładny kikut.

Podczas tych zabiegów Triskele od czasu do czasu lizał mnie po

dłoniach, a kiedy skończyłem zajmować się jego łapą, zaczął starannie lizać to, co z niej zostało, zupełnie jakby był niedźwiedziem i mógł w ten sposób ją wykurować. Kły miał długości mego wskazującego palca, ale dziąsła zupełnie białe. W jego potwornych szczękach nie było więcej siły niż w dłoniach szkieletu. Oczy miał zupełnie żółte; tliło się w nich czyste szaleństwo.

Wieczorem zamieniłem się z chłopcem, który miał zanieść klientom kolację. Zawsze zostawało trochę porcji, ponieważ niektórzy nie chcieli bądź nie mogli jeść; dwie porcje zaniósłem na dół, zastanawiając się po drodze, czy zastanę go jeszcze przy życiu.

Żył. Udało mu się jakoś zwlec z pryczy, na której go położyłem, i podpełznąć do małego zagłębienia, w którym zebrało się nieco wody. Tam go znalazłem. Jedzenie, które mu przyniosłem, składało się z zupy, ciemnego chleba i dwóch karafek wody. Wychleptał miskę zupy, ale kiedy chciałem nakarmić go chlebem, okazało się, że nie jest w stanie go pogryźć. Odrywałem więc małe kawałki i podawałem mu je umoczone w drugiej misce zupy. Potem nalałem mu wody, którą łapczywie wypił, dolałem więc jeszcze z drugiej karafki.

Kiedy niemal na szczycie wieży kładłem się spać, wydawało mi się, że słyszę jego ciężki oddech. Kilka razy budziłem się, siadałem na łóżku i nasłuchiwałem; odgłos cichł, by powrócić znowu w chwili, kiedy się położyłem. Może to było tylko bicie mojego serca. Gdybym znalazł go rok czy dwa lata wcześniej, byłby dla mnie świętością. Podzieliłbym się sekretem z Ilrotte'em i resztą i stałby się świętością dla nas wszystkich. Teraz jednak wiedziałem, że jest jedynie biednym zwierzęciem, a jednak nie mogłem pozwolić mu umrzeć, bo wtedy zdradziłbym część samego siebie. Byłem mężczyzną (o ile rzeczywiście nim byłem) od niedawna i nie mógłbym znieść świadomości, że tak bardzo się różnię od chłopca sprzed kilku miesięcy. Pamiętałem dokładnie każdą chwilę z mojej przeszłości, każdą, najbardziej nawet przelotną myśl, każdy obraz i każdy sen. Czy mogłem to wszystko zniszczyć? Wyciągnąłem przed siebie ręce, by na nie spojrzeć; wiedziałem, że na wierzchniej stronie dłoni mam teraz wyraźnie zaznaczone żyły. Po tym właśnie poznaje się mężczyznę.

We śnie jeszcze raz zszedłem na czwarty poziom i znalazłem wielkiego przyjaciela o mocarnych szczękach. Przemówił do mnie.

Rano ponownie obsługiwałem klientów. Ukradłem trochę żywności i zaniósłem na dół dla psa, choć miałem nadzieję, że zastanę go martwego. Nic z tego. Uniósł głowę na powitanie i rozchylił pysk, dzięki

czemu wyglądał tak, jakby się uśmiechał, ale nawet nie próbował wstać. Nakarmiłem go i już miałem zamiar odejść, kiedy nagle uświadomiłem sobie w pełni nędzę jego położenia. Był ode mnie całkowicie zależny. Ode mnie! Jeszcze niedawno miał przecież swoją cenę. Treserzy ćwiczyli go, tak jak trenuje się biegającego w wyścigach rumaka. Chodził dumnie, wypinając szeroką niczym u człowieka pierś wspartą na kolumnowych łapach, a teraz żył życiem zjawy, utraciwszy nawet swoje imię, które spłynęło wraz ze strumieniami krwi.

Kiedy miałem czas, często chodziłem do Niedźwiedziej Wieży i starałem się zaprzyjaźnić z poskramiaczami zwierząt. Mają swoją konfraternię i chociaż jest ona podlejsza od naszej, to ma własne zwyczaje i tradycje. Ku memu niemiłemu zdumieniu stwierdziłem, że te zwyczaje i obrzędy są bardzo podobne do naszych, chociaż, rzecz jasna, nie miałem nigdy okazji dogłębnie ich poznać i zrozumieć. Podczas pasowania na mistrza kandydat staje naprzeciw zranionego byka, od którego oddziela go jedynie cienka krata. W pewnym momencie życia każdy z braci pojmuje za żonę lwicę lub niedźwiedzicę i przestaje spotykać się z kobietami.

Wszystko to świadczy o tym, że między nimi a ich zwierzętami istnieje związek bardzo podobny do tego, jaki łączy nas z naszymi klientami. Teraz, kiedy jestem mądrzejszy o wiele miast, wsi i tysiące ludzi, których widziałem, mogę z całą pewnością stwierdzić, iż schemat ten jest nieświadomie powielany (niczym odbicia w lustrach Ojca Inire w Domu Absolutu) we wszystkich bez wyjątku społecznościach – wszyscy są katami, dokładnie tak samo jak my. Związki między zwierzyną a myśliwym, kupującym i sprzedającym, mężczyznami i kobietami opierają się na tej samej zasadzie i niczym, ale to niczym się nie różnią od związku między katem i jego ofiarą. Wszyscy kochają tych, których niszczą i wykorzystują.

Tydzień później znalazłem jedynie odciski w błocie ślady jego potężnych łap. Odszedł, ja jednak ruszyłem jego śladem, gdyby bowiem pojawił się na którymś z górnych poziomów lub nawet przy wiodących na nie schodach, pełniący straż czeladnik z pewnością by o nim wszystkim powiedział. Ślady zaprowadziły mnie do wąskich drzwi, za którymi rozciągała się plątanina pograżonych w ciemności korytarzy, o których istnieniu nie miałem do tej pory pojęcia. W mroku nie mogłem już dostrzec odcisków łap, ale mimo to szedłem naprzód, mając nadzieję, że może zwietrzy mój zapach i przyjdzie do mnie. Wkrótce zupełnie straciłem orientację i posuwałem się dalej tylko dlatego, że nie

wiedziałem, jak wrócić.

Nie sposób teraz ustalić, jak stare są te tunele, ale podejrzewam, że powstały zanim jeszcze wybudowano wznoszącą się obecnie nad nimi Cytadelę. Pochodzi ona ze schyłku okresu, kiedy w ludziach płonęła jeszcze wielka, nieodparta żądza ucieczki ku odległym, obcym słońcom, chociaż możliwości jej zrealizowania niknęły w zastraszającym tempie niczym dogasające płomienie. Chociaż są to tak odległe czasy, że nie dotrwało do dziś nawet jedno związane z nimi imię, to jednak ciągle się o nich pamięta. Przed nimi musiał istnieć inny wiek, wiek drążenia podziemnych galerii, ale odszedł on już zupełnie w mrok zapomnienia.

Niezależnie od tego wszystkiego bardzo się tam bałem. Biegłem, wpadając często na ściany, aż wreszcie dostrzegłem przed sobą plamę dziennego światła; już po chwili wypełzłem na zewnątrz przez dziurę tak małą, że tylko z trudem udało mi się zmieścić w niej głowę i barki.

Wygramoliłem się na oblodzoną podstawę jednego z tych wielkich wielotarczowych zegarów słonecznych, które pokazują jednocześnie kilka różnych godzin. Mróz zakradający się co roku do wydrążonych pod nim tuneli musiał z pewnością osłabić jego fundamenty, zegar bowiem pochylił się, kreśląc w słoneczne dni upływ czasu na śnieżnobiałej, nieskalanej żadnymi oznaczeniami pokrywie śniegu.

Latem dokoła rozciągał się ogród, zupełnie jednak inny w charakterze od naszej nekropolii, w której królowały zdziczałe drzewa i falujące łąki, niegdyś będące trawnikami. Tutaj kwitły posadzone w starannie odmierzonych odstępach krzaki róż, wzdłuż czterech ścian obszernego dziedzińca stały rzeźby najróżniejszych zwierząt, obserwujące uważnie wskazania usytuowanego centralnie zegara. Były wśród nich olbrzymie barylambdary, mocarne arctothery, glyptodonty i zębiaste smilodony, wszystkie przykryte teraz śnieżnymi czapami. Rozglądałem się w poszukiwaniu śladów Triskele, ale on najprawdopodobniej tutaj nie dotarł.

W ścianach wokół dziedzińca znajdowały się wysokie, wąskie okna. Były zupełnie martwe, nie mogłem w nich dostrzec ani żadnego światła, ani najmniejszego choćby ruchu. Nad nimi ze wszystkich stron wznosiły się wysmukłe wieże Cytadeli, wiedziałem więc, że jej nie opuściłem; mało tego, wydawało się, że znajduję się niemal w jej sercu, tam, gdzie nigdy do tej pory nie udało mi się dotrzeć. Drżąc z zimna, podszedłem do najbliższych drzwi i zastukałem. Miałem przecucie, że gdybym znowu zagłębił się w mroczne korytarze, chodziłbym nimi bez końca, nie będąc w stanie znaleźć innego wyjścia na powierzchnię, byłem więc

zdecydowany nawet wybić któreś z okien, gdyby zaszła taka potrzeba. Zastukałem ponownie, tym razem mocniej, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Uczucie, że jest się obserwowanym, wymyka się wszelkim próbom opisu. Słyszałem już, że nazywa się je mrowieniem karku albo wrażeniem, iż tuż za plecami unoszą się niewidzialne, śledzące każdy nasz ruch oczy, ale to nie jest to, w każdym razie nie dla mnie. Uczucie to przypomina nieco zagadkowe zażenowanie, połączone z przeświadczeniem, że nie wolno mi się odwrócić, bo wyjdę na głupca poddającego się nakazom niczym nieuzasadnionego przecucia. Prędzej czy później jednak każdy się odwraca. Ja również to uczyniłem, niejasno podejrzewając, że ktoś wyszedł za mną z otworu u podstawy zegara.

Zobaczyłem młodą, ubraną w futra kobietę stojącą przed drzwiami dokładnie po przeciwnej stronie dziedzińca. Pomachałem jej ręką i ruszyłem szybko w jej kierunku, zimno bowiem zaczęło już porządnie dawać mi się we znaki. Wyszła mi naprzeciw; spotkaliśmy się mniej więcej w trzech czwartych drogi, tuż za pochylonym zegarem. Zapytała, kim jestem i co tutaj robię, a ja odpowiedziałem jej najlepiej, jak tylko potrafiłem. Okolona futrzanym kapturem twarz była ślicznie zaróżowiona, sam zaś kaptur, płaszcz i futrzane buty sprawiały wrażenie miękkich, bardzo ciepłych i raczej kosztownych, poczułem się więc trochę nieswojo, stojąc przed nią w połatanej koszuli, dziurawych spodniach i z bosymi stopami umazanymi po kostki w błocie.

Nazywała się Valeria.

– Nie mamy tutaj twojego psa – powiedziała. – Możesz poszukać, jeżeli mi nie wierzysz.

– Wcale nie myślałem, że go tu znajdę. Chcę tylko wrócić do Wieży Matachina jakąś inną drogą niż przez te korytarze.

– Jesteś bardzo odważny. Pamiętam ten otwór od czasów, kiedy byłam małą dziewczynką, ale nigdy nie odważyłam się tam wejść.

– Chciałbym wejść do środka – powiedziałem. – To znaczy nie tam, tylko tutaj.

Otworzyła drzwi, przy których ją zobaczyłem, i zaprowadziła mnie do pokoju o ścianach wybitych sukrem, w których stare, dostojne krzesła stały sztywno na swoich miejscach niczym rzeźby z zasypanego śniegiem dziedzińca. W kominku płonął niewielki ogień. Kiedy podeszliśmy do niego, zdjęła swój płaszcz, a ja wyciągnąłem zgrabiące dłonie do ciepła.

– W tunelach też było zimno?

– Nie tak jak na zewnątrz. Poza tym prawie cały czas biegłem i nie było wiatru.

– Rozumiem. Jakie to dziwne, że te korytarze prowadzą właśnie do Ogrodu Czasu. – Wyglądała na młodszą ode mnie, ale starożytny krój jej sukni, a także jakiś nieuchwytny odcień czarnych włosów sprawiały, że chwilami wydawała się starsza od mistrza Palaemona.

– Tak nazywacie to miejsce? Ogród Czasu? Pewnie z powodu tych zegarów.

– Nie. Zegary postawiono tam właśnie dlatego, że tak się to miejsce nazywa. Czy lubisz martwe języki? Jest w nich wiele sentencji. *Lux dei vitae viam monstrat*, co znaczy: „Promień Nowego Słońca wskazuje drogę życia”. *Felicibnis brevis, miseris hora longa*. „Długo trzeba czekać na szczęście”. *Aspice ut aspiciar*.

Musiałem powiedzieć jej z pewnym wstydem, że jedynym językiem, jaki znam, a i to niezbyt dobrze, jest ten, którym posługuję się na co dzień.

Rozmawialiśmy całą wachtę, a może i dłużej. Jej rodzina zamieszkiwała otaczające dziedziniec wieże. Początkowo czekali na to, żeby opuścić Urth wraz z panującym w ich czasach autarchą, a potem czekali już po prostu dlatego, że nie pozostało im nic prócz czekania. Wyszło spośród nich wielu kasztelanów, ale ostatni z nich umarł pokolenia temu. Teraz byli biedni, a ich wieże chyliły się ku upadkowi. Valeria nigdy nie była na wyższych piętrach żadnej z nich.

– Niektóre wieże budowano solidniej niż inne – zauważyłem. – Wiedźminiec też zaczyna się już rozsypywać.

– Naprawdę takie miejsce istnieje? Kiedy byłem mała, niania mi o tym opowiadała, żeby mnie nastraszyć, ale ja myślałam, że to tylko bajka. Podobno istniała też Wieża Katuszy, z której nikt nigdy nie wyszedł żywy.

Uspokoilem ją, że przynajmniej to rzeczywiście było bajką.

– W ogóle dni chwały tych wież są dla mnie czymś nierzeczywistym – westchnęła. – Nikt już nie nosi miecza, by bronić nas przed wrogami Wspólnoty, ani też nie idzie jako zakładnik do Studni Orchidei.

– Może wezwą tam niebawem którąś z twoich sióstr – powiedziałem, nie chcąc z jakiegoś powodu dopuścić do siebie myśli, że to mogłaby być ona.

– Nie mam już żadnych sióstr. Ani braci.

Stary służący przyniósł nam herbatę i małe, twarde ciasteczka. Nie była to prawdziwa herbata, lecz przyrządzana na Pólnocy mieszanka,

którą i my podajemy czasem naszym klientom, jest bowiem bardzo tania.

Valeria uśmiechnęła się.

– Widzisz, zostałeś tutaj dobrze przyjęty. Martwisz się o swego psa, ponieważ nie ma łapy, ale może i on znalazł gdzieś gościnę. Kochasz go, więc ktoś inny też może go pokochać. Kochasz go, więc możesz także pokochać innego.

Skinąłem głową, ale w duszy postanowiłem, że już nigdy nie będę miał żadnego psa. Tak też się stało.

Nie widziałem go przez cały tydzień. Pewnego dnia, kiedy niosłem list do barbakanu, wypadł znienacka z jakiegoś zakamarka. Nauczył się biegać na trzech łapach niczym akrobata wyczyniający sztuki na poślączanej piłce.

Potem jeszcze widywałem go raz czy dwa razy w miesiącu, ale tylko do czasu zniknięcia ostatniego śniegu. Nigdy nie dowiedziałem się, kogo sobie wybrał, kto się o niego troszczył i dawał mu jeść. Lubię jednak myśleć, że był to ktoś, kto wraz z nadejściem wiosny zabrał go na Północ, do jednego z wojskowych obozów sposobiących się do kampanii w górach.

rozdział 5

Konserwator obrazów i inni

Dzień Świętej Katarzyny to największe święto naszej konfraterni, podczas którego wspominamy nasze dziedzictwo, uczniowie często stają się czeladnikami, a czeladnicy czasem mistrzami. O ceremoniach związanych z tym świętem opowiem dokładniej, gdy będę relacjonował moje własne wyniesienie. W roku, którego wydarzenia tu przedstawiam, zaszczyt ów spotkał Drotte'a i Roche'a – tym samym ja zostałem kapitanem uczniów.

Ciężar tej funkcji uświadomiłem sobie w pełni dopiero wówczas, kiedy rytuał miał się już ku końcowi. Siedziałem w zrujnowanej kaplicy, przyglądając się uroczystości i zdając sobie powoli sprawę z tego, że gdy dobiegnie ona końca, do mnie będzie należało przywództwo nad uczniami.

Jednocześnie jednak zacząłem stopniowo odczuwać pewien niepokój. Posmutniałem, zanim dotarło do mnie w pełni, że nie jestem szczęśliwy, i ugiąłem się pod ciężarem odpowiedzialności, zanim jeszcze pojąłem, że wziąłem go na swoje barki. Pamiętałem doskonale, ile kłopotów miał Drotte z utrzymaniem wśród nas porządku. Ja miałem teraz dokonać tego samego, nie dysponując jego siłą i nie mając u boku nikogo takiego jak Roche. Kiedy przebrzmiały tony ostatniej pieśni, a obydwaj mistrzowie, których twarze były skryte za złotymi maskami, opuścili dostojnie miejsce uroczystości, czeladnicy zaś porwali na ramiona przyjętych w ich poczet Drotte'a i Roche'a, szykując się do hucznego świętowania tego wydarzenia, które miały uświetnić między innymi przygotowane przez nich wcześniej sztuczne ognie, wiedziałem już, co muszę zrobić.

My, uczniowie, mieliśmy obsługiwać wszystkich podczas uczyty, ale przedtem musieliśmy zdjąć stosunkowo nowe i czyste stroje, które dano

nam na czas samej uroczystości. Kiedy zgasł ostatni fajerwerk i przebrzmiał huk wystrzału z największego działa, jakie znajdowało się w Wielkiej Baszcie (był to coroczny podarunek dla naszej konfraterni), zagoniłem wszystkich chłopców do naszej bursy (albo mi się zdawało, albo już zaczęli na mnie niechętnie spoglądać), po czym starannie zamknąłem drzwi i spuściłem na nie grubą, tłumiącą wszelkie głosy zasłonę.

Pod względem wieku drugim po mnie był Eata; byliśmy na tyle zaprzyjaźnieni, że niczego się nie spodziewał, a potem było już za późno, żeby mógł stawić skuteczny opór. Chwyciłem go za gardło, przyparłem do ściany, a potem powaliłem na podłogę, ani na moment nie zwalniając uścisku.

– Będiesz moim zastępcą? Odpowiadaj!

Nie mógł wykrztusić ani słowa, skinął więc tylko głową.

– Dobrze. Ja biorę Timona, ty następnego.

Starczyło sto oddechów (i to bardzo szybkich, muszę dodać), żeby wszyscy chłopcy zostali zmuszeni do posłuszeństwa. Dopiero po trzech tygodniach zetknąłem się z pierwszymi oznakami niezadowolenia, a i to nie był żaden bunt, tylko indywidualne, odosobnione narzekania.

Jako kapitan uczniów miałem nowe obowiązki, ale i więcej swobody niż kiedykolwiek do tej pory. To moim zadaniem było troszczyć się o to, żeby odbywający służbę czeladnicy otrzymywali zawsze gorące posiłki, i doglądać chłopców porcjujących żywność dla naszych klientów. W kuchni goniłem ich do pracy, w klasie zaś do nauki. Roznosiłem przesyłki nawet do najdalszych zakątków Cytadeli, a także, choć w niewielkim, rzecz jasna, stopniu, byłem dopuszczany do kierowania sprawami bractwa. Poznałem dokładnie wszystkie przejścia i wiele nieuczęszczanych zakątków: zamieszkałe przez zdziczałe koty spichrze o strychach zawalonych tajemniczymi skrzyniami i kuframi, smagane wiatrem wały obronne wznoszące się nad przypominającymi gnijące wrzody slumsami, a wreszcie olbrzymie galerie o szerokich, przykrytych częściowo szklanymi dachami korytarzach i drzwiach do ciągnących się po obu stronach obszernych sal, których ściany, podobnie jak ściany w korytarzach, zawieszane były niezliczonymi obrazami.

Znaczna ich część była tak stara i poczerniała, że za nic nie mogłem dostrzec, co przedstawiają; tego natomiast, co widziałem na innych, często nie byłem w stanie zrozumieć. Był tam tancerz o nogach przypominających pijawki i kobieta ściskająca w dłoni sztylet o dwóch ostrzach, siedząca pod pośmiertną maską. Pewnego dnia przeszedłem

chyba ponad milę, przypatrując się tym zagadkowym płótnom, kiedy niespodziewanie dostrzegłem starego mężczyznę stojącego na wysokiej, sięgającej niemal sufitu drabinie. Chciałem zapytać go o drogę, ale wydawał się tak pochłonięty swoją pracą, że nie ośmieliłem się mu przeszkodzić.

Obraz, który właśnie czyścił, przedstawiał odzianą w zbroję postać stojącą na tle dzikiego krajobrazu. Postać nie miała żadnej broni, w dłoni trzymała drzewce dziwnego, zupełnie sztywnego sztandaru. Przyłbica hełmu wykonana była ze złota, nie miała otworów wentylacyjnych ani szczeliny na oczy. Odbijał się w niej pusty, nieprzyjazny krajobraz i nic poza tym.

Ten wojownik z martwego świata od razu mnie zafascynował, chociaż nie byłbym w stanie powiedzieć, dlaczego ani nawet jakie właściwie wywołał we mnie uczucia. Zapragnąłem nagle, chyba nawet nie do końca świadomie, zdjąć go ze ściany i zanieść nie do naszej nekropolii, lecz do jednego z tych górskich lasów, których nekropolia (zrozumiałem to już wówczas) była wyidealizowanym, wyciosanym z granitów i marmurów odbiciem. Powinien stać w młodej trawie, opierając się o sięgające niebotycznych wyżyn drzewo.

– ...i wszyscy uciekli – dobiegł głos zza moich pleców. – Vodalus dopiął swego.

– Hej, ty! – To był inny głos. – Kim jesteś?

Odwróciłem się i ujrzałem dwóch mężczyzn odzianych w jaskrawe szaty, które śmiałością barw i kroju przypominały stroje związanych z dworem arystokratów.

– Mam wiadomość dla archiwisty – odparłem, pokazując im kopertę.

– Znakomicie – powiedział ten, który mnie zagadnął. – Wiesz, gdzie są archiwa?

– Właśnie miałem zamiar o to zapytać, sieur.

– Więc chyba nie jesteś właściwym posłańcem, prawda? Daj mi tę przesyłkę, a ja przekażę ją gońcowi.

– Nie mogę, sieur. Mam dostarczyć ją osobiście.

– Chyba nie musisz traktować go tak ostro, Racho – wtrącił się drugi mężczyzna.

– Zapewne nie wiesz, kim on jest, prawda?

– A ty wiesz?

Człowiek o imieniu Racho skinął głową.

– Z której części Cytadeli przychodzisz, posłańcze?

– Z Wieży Matachina. Mistrz Gurloes polecił mi odszukać archiwistę.

Twarz drugiego mężczyzny stężała w nieprzeniknionej masce.

– A więc jesteś katem.

– Zaledwie uczniem, sieur.

– Teraz rozumiem, dlaczego mój przyjaciel chce, żebyś jak najprędzej zniknął nam z oczu. Idź tym korytarzem aż do trzecich drzwi, tam skręć, idź prosto jakieś sto kroków, wejdź na drugie piętro i idź południowym korytarzem aż do podwójnych drzwi na jego końcu.

– Dziękuję – powiedziałem i zamierzałem ruszyć we wskazanym kierunku.

– Zaczekaj. Jeśli pójdziesz pierwszy, będziemy musieli na ciebie patrzeć.

– Wolałbym mieć go przed nami niż za nami – mruknął Racho.

Zaczekałem, aż znikną za zakrętem korytarza.

– Więc jesteś katem, prawda? – odezwał się niespodziewanie człowiek z drabiny niczym dobiegający z wysokości bezosobowy głos, z którym nieraz zdarza się rozmawiać we śnie. – Nigdy nie byłem w waszej wieży.

Miał wyblakłe oczy, bardzo przypominające oczy żółwi, które nieraz znajdowaliśmy na brzegach Gyll, a także nos i brodę, które niemal się ze sobą stykały.

– Mam nadzieję, że nigdy cię tam nie zobaczę – odparłem uprzejmie.

– Nie mam się czego bać. Co moglibyście mi zrobić? Serce by mi się zatrzymało, o tak! – Włożył gąbkę do wiaderka i pstryknął bezgłośnie mokrymi palcami. – Ale wiem, gdzie to jest. Zaraz za Wiedźmińcem, prawda?

Skinąłem głową nieco zdziwiony, że wiedźmy są bardziej od nas znane.

– Tak myślałem. Nikt o was nigdy nie mówi. Jesteś zły na tych ludzi i wcale ci się nie dziwię. Ale powinieneś wiedzieć, jak to z nimi jest. Powinni być właściwie arystokratami, lecz nimi nie są. Boją się postępować jak oni, boją się śmierci, boją się ran. Nie jest im łatwo, mówię ci.

– Należałoby się ich pozbyć – powiedziałem. – Vodalus na pewno by to zrobił. Są przeżytkiem dawnych wieków. Co oni mogą dać światu?

– A wiesz, co mu kiedyś dali? – zapytał starzec, przekrzywiając głowę.

Kiedy przyznałem, że nie wiem, zsunął się na dół po drabinie niczym posiwiata małpa. Jego dłonie były długości moich stóp, o powyginanych palcach pokrytych siecią niebieskich żył.

– Jestem Rudesind, kurator. Znasz chyba starego Ultana? Nie,

oczywiście, że nie znasz. Gdybyś znał, wiedziałbyś, jak trafić do biblioteki.

– Nigdy nie byłem w tej części Cytadeli.

– Nigdy? A to właśnie jej najlepsza część. Sztuka, muzyka i książki. Mamy tutaj obraz Fechina przedstawiający trzy dziewczęta przystrajające się kwiatami, tak realistyczny, że wydaje się, jakby z tych kwiatów lada moment miały wylecieć pszczoły. Jest tu też Quartillosa, teraz już nie tak popularny, ale właśnie dlatego tutaj trafił. Za życia był znacznie lepszym rysownikiem od tych wszystkich maziopiórków, którymi dzisiaj tak się zachwycają. Trafia do nas wszystko to, czego nie chcą w Domu Absolutu, a to oznacza, że dostajemy rzeczy stare, a tym samym najczęściej najlepsze. Przybywają do nas bardzo brudne, więc je czyszczę. Niektóre czyszczę później jeszcze raz, kiedy już u nas trochę powiszą. Tak, tak, naprawdę mamy autentycznego Fechina! Albo ten na przykład, podoba ci się?

Wydawało mi się, iż najrozsądniej będzie powiedzieć, że tak.

– Już trzeci raz go czyszczę. Za młodu byłem uczniem Branwalladera, on mi pokazywał, jak należy to robić. Ćwiczyliśmy właśnie na tym obrazie, bo powiedział, że nie jest nic wart. Zaczął tu, w tym rogu, a kiedy oczyścił fragment, który bez trudu można by nakryć jedną dłonią, przerwał i kazał mi robić dalej. Drugi raz czyściłem to płótno wtedy, kiedy jeszcze żyła moja żona, zdaje się, że zaraz po narodzinach drugiej córki. Nie był wcale tak bardzo brudny, ale miałem masę spraw na głowie i chciałem się czymś zająć. Dzisiaj zacząłem go czyścić po raz trzeci. Tym razem rzeczywiście tego potrzebuje. Widzisz, jak ładnie pojaśniał? To błękitna Urth wschodzi za jego plecami, świeża niczym ryba autarchy.

Przez cały czas, kiedy mówił, w uszach dźwięczało mi imię Vodalusa. Byłem pewien, że starzec zszedł z drabiny tylko dlatego, że ono padło, i chciałem go o niego zapytać. Jednak chociaż bardzo się starałem, nie potrafiłem skierować rozmowy na ten temat. Milczałem już zbyt długo i bałem się, że mężczyzna z powrotem wejdzie na drabinę, z najwyższym więc trudem wykrztusiłem:

– Więc to jest Księżyc? Słyszałem, że tam jest żyzna ziemia.

– Teraz owszem. Tak wyglądał przed nawodnieniem. Widzisz te szare i brązowe plamy? Taki właśnie wtedy był, nie zielony jak teraz. Nie wydawał się również taki duży, bo znajdował się znacznie dalej od nas – tak przynajmniej mawiał stary Branwallader. Teraz rośnie na nim dość drzew, by skrył się wśród nich nawet sam Nillamon.

– Albo Vodalus – skorzystałem z okazji.

– Słusznie, albo Vodalus – zachichotał Rudesind. – Pewnie twoi braciszki zacierają ręce na myśl, że mogliby go dostać, co? Zaplanowaliście już coś specjalnego?

Jeżeli nawet konfraternia miała specjalne tortury zarezerwowane dla szczególnych klientów, nie było mi nic o tym wiadomo, ale na wszelki wypadek zrobiłem mądrą minę i powiedziałem:

– Coś tam wymyślimy.

– Jestem tego pewien. Szczerze mówiąc, sądziłem, że już go prawie macie. Jeżeli jednak rzeczywiście kryje się w lasach Luny, to będziecie musieli trochę poczekać. – Rudesind z widocznym zachwytem przyglądał się przez jakiś czas obrazowi. – Aha, zupełnie zapomniałem. Chcesz trafić do naszego mistrza Ultana. Musisz...

– Wiem. – Skinąłem głową. – Już ten człowiek mi powiedział.

– Gdybyś go posłuchał, dotarłbyś zaledwie do Czytelni, a stamtąd miałbyś jeszcze co najmniej wachtę drogi, o ile, rzecz jasna, w ogóle dotarłbyś do celu. – Stary kurator wydał pogardliwie wargi. – Najlepiej będzie, jeśli wrócisz drogą, którą tutaj przyszedłeś, dojdiesz do końca korytarza i zejdziesz na dół schodami. Staniesz przed zamkniętymi drzwiami. Wal w nie tak długo, aż ktoś ci otworzy. To najniższy poziom magazynów, tam właśnie Ultan ma swoją pracownię.

Ponieważ patrzył za mną, poszedłem w kierunku, który mi wskazał, chociaż nie podobało mi się to, co mówił o zamkniętych drzwiach, a poza tym schodząc w dół, zbliżałbym się do starożytnych tuneli, w których błąkałem się kiedyś w poszukiwaniu Triskele.

Czułem się znacznie mniej pewnie niż w tych częściach Cytadeli, które zdążyłem już dobrze poznać. Od tego czasu wielokrotnie miałem okazję się przekonać, że obcy, którzy trafiają do niej z takich czy innych powodów, są oszołomieni jej ogromem, a i tak stanowi ona przecież zaledwie drobną cząstkę rozciągającego się dookoła miasta, my zaś, którzy dorastamy w jej wnętrzu, poznając nazwy i wzajemne usytuowanie setek miejsc, niezbędnych dla tego, kto chciałby wśród nich znaleźć właściwą drogę, okazujemy się zupełnie bezradni w każdym obcym terenie.

Tak było i ze mną, kiedy podążałem drogą, którą wskazał mi stary kurator. Wielkie pomieszczenie, w którym się znalazłem, wybudowane było z ciemnej czerwonej cegły, a jego sklepienie wspierało się na dwóch kolumnach o głowicach w kształcie ogromnych, pogrążonych we śnie twarzy. Milczące usta i zamknięte oczy wydały mi się znacznie

bardziej groźne od przerażających lic widocznych na bramie wiodącej do naszej wieży.

Na każdym z wiszących tam obrazów znajdowała się książka. Czasem było ich wiele i od razu rzucały się w oczy, czasem dopiero po dłuższej chwili dostrzegałem fragment okładki wystający z kieszeni spódnicy albo przedziwny zwój słów skręconych dookoła siebie niczym gruby drut.

Schody były wąskie, strome, kręte i nie miały poręczy. Nie przeszedłem nawet trzydziestu stopni, kiedy znalazłem się niemal w zupełnym mroku. Musiałem wyciągnąć przed siebie ręce i iść po omacku w obawie, że rozbiję sobie głowę o niespodziewaną przeszkodę w postaci drzwi, które podobno miałem napotkać.

Moje palce jednak na nie nie natrafiły. Zamiast tego niemal upadłem, usiłując zejść ze stopnia, którego już nie było, i stanąłem bezradnie w kompletnej ciemności.

– Kto tam? – zapytał potężny głos, dźwięczący w wysoko sklepionej grocie niczym uderzenie dzwonu.

rozdział 6

Mistrz kuratorów

– Kto tam? – powtórzyło w ciemności echo.

– Ktoś, kto przynosi wiadomość – odpowiedziałem najśmielej, jak tylko potrafiłem.

– Niechaj więc ją usłyszę.

Moje oczy wreszcie zaczęły się przyzwyczajać do ciemności, dzięki czemu mogłem dostrzec niewyraźne zarysy bardzo wysokiej postaci poruszającej się wśród ciemnych, nieforemnych, jeszcze od niej wyższych kształtów.

– To list, sieur. Czy ty jesteś mistrz Ultan, kurator?

– Nikt inny.

Stał teraz tuż przede mną. To, co początkowo wziąłem za część jasnej szaty, okazało się brodą, sięgającą mu niemal do pasa. Dorównywałem już wzrostem wielu, których nazywano mężczyznami, ale on był ode mnie wyższy jeszcze o półtorej głowy. Prawdziwy arystokrata.

– Oto pismo, sieur – powiedziałem, podając mu list.

Nie wziął go.

– Czyim uczniem jesteś?

Ponownie odniosłem wrażenie, że to dźwięczy potężny dzwon, i nagle poczułem się tak, jakbyśmy obydwaj nie żyli, jakby otaczająca nas ciemność była napierającą na nasze oczy ziemią, w której rozchodziły się dźwięki dzwonu wzywającego do modlitwy w jakiejś podziemnej świątyni. Zobaczyłem nagle przed sobą posiniąłą twarz martwej kobiety, którą przy mnie wyciągnięto z grobu, i to tak wyraźnie i plastycznie, że wydawało mi się, iż dostrzegam jej zarys emanujący delikatną poświatą na tle górującej nade mną postaci.

– Czyim uczniem jesteś? – powtórzył pytanie.

– Niczym. To znaczy jestem uczniem naszego bractwa. Przysłał mnie

mistrz Gurloes, sieur. Uczy nas mistrz Palaemon, najczęściej, sieur.

– Ale chyba nie uczy was gramatyki. – Bardzo powoli dłoń wysokiego mężczyzny zaczęła wędrowkę w kierunku listu.

– O tak, także gramatyki. – Czuję się jak dziecko, rozmawiając z człowiekiem, który był stary już wówczas, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. – Mistrz Palaemon zawsze powtarza, że musimy umieć czytać, pisać i rachować, bo kiedy w swoim czasie zostaniemy mistrzami, będziemy musieli wysyłać listy, czytać polecenia, które otrzymujemy z pałaców, prowadzić księgi i rachunki.

– Listy takie jak ten.

– Tak, sieur. Właśnie takie.

– A co jest w tym liście?

– Nie wiem. Jest zapieczętowany, sieur.

– Jeżeli go otworzę... – usłyszałem, jak pod naciskiem jego palców pęka woskowa pieczęć – przeczytasz mi?

– Tutaj jest ciemno, sieur – zauważyłem niepewnie.

– W takim razie będziemy potrzebować Cyby’ego. Przepraszam cię na chwilę. – W mroku dostrzegłem, jak odwraca się ode mnie i unosi do ust zwinięte w kształcie trąbki dłonie.

– Cy – by! Cy – by!

Imię rozbrzmiało w rozchodzących się na wszystkie strony korytarzach, z których istnienia podświadomie zdawałem sobie sprawę, jakby w czasie dzwonu uderzył najpierw z jednej, a potem z drugiej strony ostry żelazny język.

Gdzieś z daleka dobiegła odpowiedź. Przez jakiś czas czekaliśmy w milczeniu.

Wreszcie w wąskim korytarzu ograniczonym (jak się wydawało) stromymi ścianami z nierówno ciosanego kamienia dostrzegłem światło. Kiedy przybliżyło się, okazało się, że to pięcioramienny świecznik niesiony przez krępego, trzymającego się bardzo prosto mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, o płaskiej, bladej twarzy.

– Wreszcie jesteś, Cyby – powitał go stojący obok mnie brodac. – Czy przyniosłeś światło?

– Tak, mistrzu. Kto to jest?

– Posłaniec z listem. A to mój uczeń, Cyby – zwrócił się do mnie nieco bardziej uroczystym tonem mistrz Ultan. – My, kuratorzy, także mamy własną konfraternię, w której bibliotekarze mają swój oddział. Jestem tutaj jedynym mistrzem bibliotekarzy, a nasze bractwo ma zwyczaj przydzielania jego najstarszym członkom własnych uczniów. Cyby jest

ze mną już od kilku lat.

Powiedziałem Cyby'emu, że czuję się zaszczycony, mogąc go poznać, i zapytałem nieśmiało, kiedy przypada święty dzień bractwa kuratorów. Pytanie to nasunęła mi myśl, że chyba minęło już bardzo wiele dni, podczas których Cyby nie dostąpił zaszczytu wyniesienia go do godności czeladnika.

– Ten dzień już minął – powiedział mistrz Ultan, spoglądając w moją stronę. W migotliwym blasku świec dostrzegłem, że jego oczy mają kolor rozwodnionego mleka. – Przypada wczesną wiosną. To cudowny dzień. Najczęściej wszystkie drzewa pokrywają się wtedy nowymi liśćmi.

W obrębie Cytadeli nie rosły żadne drzewa, ale mimo to skinąłem głową; chwilę potem, przypomniawszy sobie, że nie może mnie widzieć, dodałem:

– Tak, szczególnie przyjemnie jest, kiedy wieje delikatny wiatr.

– Otóż to. Jesteś bardzo do mnie podobny, młody człowieku. – Położył mi dłoń na ramieniu; nie mogłem nie zauważyć, że jego palce są ciemnoszare od kurzu. – Cyby także. Kiedy mnie zabraknie, zostanie tutaj głównym bibliotekarzem. My, kuratorzy, mamy własną procesję na ulicy Iubara. Obydwaj jesteśmy wtedy odziani w szare szaty; Cyby idzie tuż obok mnie. Jaką barwę nosi twoje bractwo?

– Fuliginową. Kolor, który jest czarniejszy od czerni.

– Po obu stronach ulicy Iubara rosną drzewa: jawory, dęby, klony i jesiony, o których mówi się, że są najstarsze na Urth. Jeszcze więcej jest ich na prowadzących do centrum esplanadach. Kupcy stają w drzwiach swoich sklepów, by zobaczyć tajemniczych kuratorów, a księgarze i antykwariusze pozdrawiają nas serdecznie. Wydaje mi się, że w pewien sposób stajemy się jednym ze zwiastunów nadchodzącej wiosny.

– Musi to być wspaniały widok – zauważyłem.

– W istocie. Katedra, do której wreszcie docieramy, także robi wielkie wrażenie. Płonie tysiącem świec, jakby promienie słońca padały na pogrążone w mroku fale morza. Na część z nich nakłada się klosze z błękitnego szkła – te symbolizują Pazur. Skąpani w świetle, odprawiamy przed głównym ołtarzem nasze ceremonie. Powiedz mi, czy członkowie twojej konfraterni również odwiedzają katedrę?

Wyjaśniłem mu, że korzystamy ze znajdującej się na terenie Cytadeli kaplicy, oraz wyraziłem zdumienie, że bibliotekarze, a także inni kuratorzy opuszczają jej mury.

– Mamy do tego prawo. Tak przecież czyni sama biblioteka, czyż nie

tak, Cyby?

– Tak właśnie jest, mistrzu. – Cyby miał wysokie, kwadratowe czoło, znad którego zniknęła już znaczna część włosów, przez co jego twarz sprawiała wrażenie małej i trochę dziecinnej. Zrozumiałem, dlaczego mistrz Ultan, który nieraz zapewne dotykał jej palcami, podobnie jak to czynił nasz mistrz Palaemon, ciągle uważał go za chłopca.

– Macie w takim razie bliskie kontakty z waszymi odpowiednikami w mieście – zauważyłem.

Starzec pogładził brodę.

– Najbliższe z możliwych, ponieważ nimi jesteśmy. Ta biblioteka jest jednocześnie biblioteką miejską, podobnie jak biblioteka Domu Absolutu i wiele innych.

– Czy chcesz powiedzieć, że miejski motłoch ma prawo wstępu do Cytadeli, by móc korzystać z twojej biblioteki?

– Nie – odparł Ultan. – Chciałem przez to powiedzieć, że to sama biblioteka wykracza daleko poza mury Cytadeli. Sądzę zresztą, że nie jest ona wyjątkiem. To właśnie dzięki temu zawartość naszej fortecy jest tylekroć większa od niej samej.

Wziął mnie za ramię i rozpoczęliśmy wędrowkę jedną z długich, wąskich ścieżek prowadzących wzdłuż półek z książkami. Cyby szedł za nami ze świecznikiem, który służył bardziej jemu niż mnie, ale i tak dawał dosyć światła, żebym mógł uniknąć zderzenia z ciemnymi dębowymi regałami, które wyrastały na naszej drodze.

– Twoje oczy nie przestały ci jeszcze służyć – odezwał się po dłuższej chwili mistrz Ultan. – Czy perspektywa pozostania tutaj jeszcze przez jakiś czas nie budzi w tobie niechęci?

– Nie, sieur – odpowiedziałem najzupełniej zgodnie z prawdą. W zasięgu chybottliwego światła widziałem jedynie niekończące się sięgające aż do wysokiego sufitu rzędy książek. Część półek załamała się pod ciężarem, na niektórych dostrzegłem wyraźne ślady bytności szczurów, które stworzyły sobie z opasyłych tomów zaciszne jedno- i dwupiętrowe domy, a z rozsmarowanego na okładkach łąjna nieporadne znaki swojej mowy.

Przede wszystkim jednak były książki: nieprzerwane szeregi grzbietów oprawnych w cielęcą skórę, morokin, płótno, papier i setki innych substancji, których nie byłem nawet w stanie zidentyfikować. Część z nich błyszczała złoceniami, na innych tłoczenia były zabarwione na czarno, a papierowe etykiety pożółkły i zbrązowiały ze starości, tak że przypominały zeschnięte liście.

– Ślad uczyniony atramentem nie ma końca – odezwał się mistrz Ultan. – Tak w każdym razie powiedział jakiś mądry człowiek. Żył bardzo dawno temu; co by powiedział, gdyby mógł nas teraz zobaczyć? Inny rzekł: „Człowiek potrafi strawić życie na poznaniu do końca pięknego księgozbioru”, ale ja chciałbym zobaczyć tego, kto zdążyłby poznać ten albo nawet jedną jego część.

– Przyglądałem się oprawom – powiedziałem, czując się trochę głupio.

– Jakże jesteś szczęśliwy. Ale i ja nie narzekam. Co prawda nie mogę już ich widzieć, lecz doskonale pamiętam przyjemność, jaką mi to sprawiało. Było to wkrótce po tym, jak zostałem mistrzem bibliotekarzy. Miałem wtedy chyba około pięćdziesięciu lat. Musisz wiedzieć, że przez wiele, wiele lat byłem tylko uczniem.

– Czy tak, sieur?

– Tak było. Moim mistrzem był Gerbold i przez dziesięciolecia wydawało się, że nigdy nie umrze. Lata mijały powoli jedno za drugim, a ja ciągle czytałem; przypuszczam, że niewiele czytało kiedykolwiek tyle co ja. Zacząłem, jak to zwykle czynią młodzi ludzie, od tych ksiązek, które mnie interesowały. Z czasem jednak przekonałem się, że to zawęży krąg moich przyjemności, coraz dłużej bowiem musiałem takich ksiązek szukać. Ustaliłem wobec tego dla siebie pewien plan lektur, idąc tropem zapomnianych nauk i umiejętności, śledząc je jedną po drugiej, od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej. Wreszcie wyczerpałem jednak nawet i tę możliwość, rozpoczynając więc od wielkiej hebanowej skrzyni stojącej pośrodku komnaty, nad którą my, bibliotekarze, sprawowaliśmy pieczę przez trzysta lat na wypadek powrotu autarchy Sulpiciusa, dzięki czemu nikt do niej nigdy nie zaglądał, zacząłem czytać wszystko po kolei, nieraz pochłaniając dwie ksiązki w ciągu jednego dnia. Trwało to piętnaście lat.

– To wspaniałe, sieur – wymamrotał za naszymi plecami Cyby. Musiał słyszeć tę historię już wiele razy.

– I wtedy niespodziewanie zdarzyło się to, czego już nikt się nie spodziewał: umarł mistrz Gerbold. Trzydzieści lat wcześniej dzięki moim predylekcjom, wykształceniu, młodości, powiązaniom rodzinnym i ambicjom nadawałem się znakomicie na jego następcę. Kiedy to jednak nastąpiło, trudno było o mniej odpowiedniego kandydata. Czekałem tak długo, że samo czekanie stało się właściwie jedyną rzeczą, którą rozumiałem, mój umysł zaś dusił się pod nawałem nieużytecznych, do niczego nieprzydatnych faktów. Zmusiłem się jednak, żeby podjąć

wyzwanie, i spędziłem więcej godzin, niż teraz mógłbym od ciebie oczekiwać, żebyś uwierzył, na przypomnieniu sobie planów i zamierzeń, które poczyniłem wiele lat wcześniej z myślą o czekającej mnie sukcesji.

Przerwał na chwilę, a ja wiedziałem, że właśnie zagłębia się w otchłanie umysłu rozleglejszego i mroczniejszego nawet od tej biblioteki.

– Jednak mój nawyk czytania wszystkiego nie chciał mnie opuścić. Traciłem na książki całe dni i tygodnie, zamiast poświęcić je sprawom, które wraz z zaszczytem spoczęły na moich barkach. I wtedy, niespodziewanie niczym uderzenie zegara, poczułem nową pasję, która zastąpiła starą. Zapewne odgadłeś już, co to było.

Przyznałem, że jakoś nic nie przychodzi mi na myśl.

– Czytałem – a w każdym razie wydawało mi się, że czytam – siedząc przy tym zwieńczonym hakiem oknie na czterdziestym dziewiątym piętrze, które wychodzi na... Zapomniałem, Cyby. Jak się nazywa to, na co ono wychodzi?

– Ogród Tapicerów, sieur.

– Tak, teraz sobie przypominam: mały zielono-brązowy kwadracik. Zdaje się, że suszą tam rozmaryn, który potem wkładają w poduszki. Siedziałem tam, jak już powiedziałem, od wielu wacht, kiedy w pewnej chwili zdałem sobie sprawę z tego, że już wcale nie czytam. Przez jakiś czas starałem się odpowiedzieć na pytanie, co w takim razie robiłem do tej pory. Jediną rzeczą, jaka przychodziła mi na myśl, były wspomnienia jakichś zapachów, materiałów i barw, niemających żadnego związku z treścią trzymanego przeze mnie w dłoniach tomu. Wreszcie uświadomiłem sobie, że zamiast czytać, obserwowałem go po prostu jako przedmiot. Czerwień, która utrwaliła się w mojej świadomości, pochodziła ze służącej za zakładkę tasiemki. Chropowatość, którą wciąż jeszcze czułem w czubkach palców, była wspomnieniem dotyku papieru, na którym książkę wydrukowano. Zapach w moich nozdrzach był zapachem starej skóry z wyraźnymi śladami woni brzoźowego soku. Dopiero wtedy, kiedy dostrzegłem książki jako przedmioty, zrozumiałem, na czym polega opieka nad nimi.

Zacisnął mocniej dłoń na moim ramieniu.

– Mamy tutaj księgi oprawne w skóry kolczatek, krakersów i stworzeń wymarłych już tak dawno temu, że ci, którzy się nimi zajmują, twierdzą, iż nie pozostało z nich już nic oprócz skamieniałości. Mamy książki w oprawach z nieznanych metali i wysadzone drogimi kamieniami. Mamy tomy oprawne w deszczułki z aromatycznego

drewna, stanowiące łącznik między istnieniami oddzielonymi od siebie niewyobrażalnymi otchłaniami, tomy podwójnie cenne, nikt bowiem na całej Urth już nie potrafi ich odczytać.

Są księgi o kartach nasączonych rozmaitymi olejkami, tak że przewracający strony czytelnik przenosi się niepostrzeżenie w krainę fantazji i najdziwniejszych snów. Są takie, których karty w ogóle nie są wykonane z papieru, tylko z cienkich płatków nefrytu, kości słoniowej lub muszli, a także takie o stronach z zasuszonych liści nieznanych roślin. Gdzieś tutaj, chociaż nie potrafią ci już wskazać gdzie, znajduje się kryształowy sześcian, nie większy od stawu twego kciuka, który zawierają więcej książek, niż liczy cała ta biblioteka. Chociaż byle ladacznica mogłaby zawiesić go sobie na uchu jako zwykłe świecełko, to w całym świecie nie znalazłoby się dość woluminów, by zrównoważyć ciężar tej błyskotki. Poznałem wszystkie te księgi, o których ci mówiłem, i postanowiłem poświęcić me życie na strzeżenie ich i pielęgnowanie.

Po siedmiu latach, kiedy uporałem się już z najpilniejszymi zadaniami i miałem właśnie przystąpić do pierwszego od chwili założenia biblioteki spisu jej zawartości, moje oczy zaczęły mętnieć i tracić swój blask. Ten, który oddał wszystkie te księgi pod moją opiekę, uczynił mnie ślepym, tak abym nie poznał, kto opiekuje się opiekującymi.

– Jeżeli nie możesz przeczytać pisma, które ci przyniosłem, sieur, będę bardzo rad, mogąc ci je odczytać.

– Masz rację – wymamrotał mistrz Ultan. – Zapomniałem o tym. Cyby to zrobi. Potrafi bardzo dobrze czytać. Do dzieła, Cyby.

Wziąłem od niego lichtarz, a on rozwinął szeleszczący pergamin i trzymając go przed sobą niczym jakąś odezwę, zaczął czytać na głos. Staliśmy we trzech w małym kręgu światła, a dokoła nas piętrzyły się stosy książek.

– Od mistrza Gurloesa ze Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy...

– Co takiego? Czyżbyś był katem, młodzieńcze? – przerwał mu mistrz Ultan.

Kiedy powiedziałem mu, że w istocie tak jest, nastąpiła cisza tak długa, że przerwał ją dopiero Cyby, zaczynając czytać list od początku.

– Od mistrza Gurloesa ze Zgromadzenia Poszukiwaczy...

– Zaczekaj – polecił mu Ultan i Cyby umilkł. Stałem bez ruchu, trzymając w dłoni lichtarz i czując, jak krew napływa mi do policzków.

Wreszcie mistrz Ultan przemówił ponownie, głosem tak samo bezbarwnym jak wtedy, gdy poinformował mnie, że Cyby potrafi czytać.

– Prawie już nie pamiętam chwili, kiedy przyjęto mnie do naszego bractwa. Wiesz chyba, w jaki sposób pozyskujemy nowych członków?

Przyznałem, że nie mam o tym żadnego pojęcia.

– Zgodnie ze starodawnym przepisem w każdej bibliotece znajduje się pomieszczenie przeznaczone specjalnie dla dzieci. Przechowywane są w nim książki z obrazkami, za którymi przepadają wszystkie dzieci, oraz bajki i awanturnicze opowieści. Dzieci przychodzą bardzo często i jak długo tam są, nie trzeba się nimi w ogóle zajmować.

Zawahał się na moment i chociaż nie mogłem nic wyczytać z jego twarzy, to byłem pewien, iż obawia się, że to, co za chwilę powie, może sprawić Cyby'emu ból.

– Od czasu do czasu zdarza się jednak, że uwagę bibliotekarza zwróci na siebie samotne dziecko, które coraz częściej opuszcza tę specjalną komnatę, by wreszcie w ogóle już do niej nie wracać. Takie dziecko prędzej czy później odkrywa na jednej z niższych półek *Złotą Księgę*. Nigdy jej nie widziałeś i nigdy już nie zobaczysz, jesteś bowiem starszy od tych, dla których jest przeznaczona i którzy mogą ją znaleźć.

– Musi być bardzo piękna – zauważyłem.

– W istocie, taka właśnie jest. O ile pamięć mnie nie zawodzi, to oprawa wykonana jest z czarnego, nieco zmarszczonego przy grzbiecie płótna. Część tekstu już się zatarła, a niektóre strony w ogóle zniknęły, ale to naprawdę piękna książka. Chciałbym ją jeszcze kiedyś zobaczyć, chociaż wiem, że to niemożliwe.

Jak już powiedziałem, dziecko to w swoim czasie odkrywa *Złotą Księgę*. Zaraz potem zjawiają się bibliotekarze; niektórzy mówią, że jak wampiry, a inni że niczym asystujący przy ceremonii rodzice chrzestni. Rozmawiają z dzieckiem, a ono nabiera do nich zaufania i po pewnym czasie przychodzi do biblioteki zawsze, kiedy tylko może, aż wreszcie na dobre znika z domu. Przypuszczam, że podobnie jest u katów.

– Bierzymy bardzo małe dzieci, które wpadną w nasze ręce – wyjaśniłem.

– My też. – Ultan pokiwał głową. – Nie mamy więc prawa was potępiać. Czytaj dalej, Cyby.

– Od mistrza Gurloesa ze Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy do archiwisty Cytadeli: Pozdrowienia, bracie.

Z woli sądu mamy wśród nas szlachetną osobę, kasztelanę Theclę; wolą tegoż sądu jest również i to, żebyśmy zapewnili jej w więzieniu

wszystkie wygody, jakie tylko leżą w granicach rozsądku i roztropności. Aby uprzyjemnić chwile, które przyjdzie jej z nami spędzić – czy raczej, jak mi powiedziała, czas, jaki minie, zanim serce autarchy, którego miłosierdzie nie zna granic, okaże się dla niej łaskawsze – proszę cię, abyś Ty, zgodnie ze swym urzędem, zaopatrzył ją w pewne książki, a mianowicie...

– Możesz opuścić tytuły – przerwał mu Ultan. – Ile ich jest?

– Cztery, sieur.

– W takim razie nie ma problemu. Czytaj dalej.

– Będziemy Ci za to, archiwisto, bardzo zobowiązani. Podpisano: Gurloes, mistrz Szlachetnego Zgromadzenia zwanego powszechnie bractwem katów.

– Czy znasz tytuły z listy mistrza Gurloesa, Cyby?

– Trzy z nich, sieur.

– Bardzo dobrze. Znajdź je, proszę. Jak brzmi czwarty tytuł?

– *Księga cudów Urth i nieba*, sieur.

– Znakomicie. Znajduje się nie dalej niż dwa łańcuchy stąd. Kiedy odszukasz już te woluminy, spotkasz nas przy drzwiach, którymi ten młodzieniec tutaj wszedł i którego, obawiam się, zatrzymujemy już nazbyt długo.

Chciałem oddać Cyby'emu lichtarz, ale on dał mi znak, żebym go zatrzymał, i oddalił się wąskim przesmykiem między stosami książek. Ultan ruszył w przeciwną stronę, poruszając się tak pewnie, jakby ciągle jeszcze mógł korzystać ze swoich oczu.

– Doskonale ją pamiętam – powiedział. – Oprawa z brązowego kurdybanu, złożone brzegi, ręczne tłoczenia. Trzecia półka od dołu, obok tomu w zielonym płótnie; zdaje się, że to *Żywoty siedmiu megaterian* Blaithmaica.

– Co to za książka, sieur? To znaczy ta o Urth i niebie? – zapytałem, przede wszystkim po to, żeby zasygnalizować mu, że ciągle jestem obok niego, chociaż przypuszczam, że i tak musiał cały czas doskonale słyszeć moje kroki.

– Skierowałeś pytanie do nieodpowiedniej osoby, młody człowieku – odparł. – My, bibliotekarze, zajmujemy się książkami, nie ich treścią.

Zdawało mi się, że wychwyciłem w jego głosie nutę ironii.

– Przypuszczam, że znasz treść każdej z tych książek, sieur.

– To znaczna przesada. Ale *Księga cudów Urth i nieba* trzysta czy czterysta lat temu była wręcz klasyczną pozycją. Ta książka zawiera większość legend z dawnych czasów. Dla mnie najbardziej interesująca

jest ta o Historykach, umieszczona w epoce, w której można było dotrzeć do leżącego u podłoża każdej legendy na wpół zapomnianego faktu. Dostrzegasz chyba związany z tym paradoks, prawda? Czy ta legenda już wówczas istniała? A jeżeli nie, to w jaki sposób doszło do jej powstania?

– Czyż nie istnieją ogromne węże, sieur, lub latające kobiety?

– Och, z pewnością – odpowiedział mistrz Ultan, schylając się nisko. – Ale nie w legendzie o Historykach. – Wyprostował się, triumfalnie dzierżąc w dłoni małą, oprawną w łuszczącą się skórę książkę. – Spójrz na to, młodzieńcze, i powiedz, czy znalazłem właściwą pozycję.

Musiałem postawić lichtarz na podłodze i przykucnąć obok niego. Książka, którą miałem w dłoniach, była tak stara, sztywna i zakurzona, że wydawało mi się niemożliwe, by ktokolwiek ją otwierał przez ostatnich sto lat. Strona tytułowa potwierdziła, że wiekowy mistrz miał rację, podtytuł głosił zaś: „Zbiór drukowanych źródeł uniwersalnych tajemnic, tak starych, że ich prawdziwe znaczenie skryło się już za zasłoną czasu”.

– I co? – dopytywał się mistrz Ultan. – Miałem rację czy nie?

Otworzyłem książkę na chybił trafił i przeczytałem, co następuje: „... dzięki czemu obraz mógł być wyryty z taką maestrią, że nawet gdyby uległ rozbiciu, dałoby się go odtworzyć z najmniejszego nawet fragmentu, niezależnie od tego, z której jego części ów fragment by pochodził”.

Nie wiem dlaczego, ale słowo „wyryty” przywiodło mi na myśl wydarzenia, których byłem świadkiem owej nocy, kiedy otrzymałem złote chrisos.

– Mistrzu, jesteś fenomenalny – powiedziałem.

– Rzeczywiście rzadko się myślę.

– Chyba ty jeden ze wszystkich ludzi wybaczysz mi, kiedy ci powiem, że pozwoliłem sobie przeczytać kilkanaście słów z tej książki. Z całą pewnością słyszałeś, mistrzu, o pożeraczach ciał. Podobno spożywając ciała swych ofiar z domieszką jakiegoś leku, są w stanie odrodzić w sobie życie tych zmarłych osób.

– Nierozsądnie jest wiedzieć zbyt dużo o tych praktykach – wymamrotał archiwista – chociaż kiedy pomyślę o tym, że mógłbym dzielić umysł z takimi historykami jak Loman albo Hermas... – Będąc od tyłu lat ślepy, zdążył już zapomnieć, jak bezlitośnie nasze oblicza potrafią zdradzać nawet najskrytsze uczucia. W blasku świec dostrzegłem, że jego twarz ściągnęła się w tak potwornym grymasie

pożądania, iż zwykła skromność kazała mi odwrócić wzrok; jego głos pozostał jednak niewzruszony niczym spiżowy dzwon.

– Sądząc z tego, co pamiętam z moich lektur, masz rację, chociaż nie przypominam sobie, żeby książka, którą akurat trzymasz w dłoniach, mówiła właśnie o tych sprawach.

– Daję ci słowo, mistrzu, że nie podejrzewam cię o takie uczynki, ale powiedz mi jedno: przypuśćmy, że dwie osoby dopuszczają się zbezczeszczenia grobu, a następnie dzielą się zdobyczą w ten sposób, że jedna z nich spożywa jedną, druga zaś drugą rękę. Czy to oznacza, że każda z nich dysponuje teraz połową życia zmarłego? Jeśli tak, to co się stanie, gdy zjawi się trzecia i spożyje, dajmy na to, stopę nieboszczyka?

– Wielka szkoda, że jesteś katem – powiedział Ultan. – Mógłbyś być filozofem. Tak jak ja to rozumiem, każda z nich zyskuje całe życie.

– Zatem życie każdego człowieka mieści się zarówno w jego prawej dłoni, jak i w lewej, a także w każdym z palców?

– Przypuszczam, że każdy z uczestników tej uczty musiałby spożyć więcej niż jeden mały kęs, żeby osiągnąć zamierzone efekty. Sądzę jednak, że przynajmniej w teorii to, co mówisz, jest prawdą. Całe życie jest zawarte nawet w najmniejszym palcu.

Szliśmy już z powrotem w kierunku, z którego przybyliśmy. Ponieważ przejście było zbyt wąskie, żebyśmy mogli posuwać się obok siebie, szedłem z przodu, niosąc świecznik, i ktoś obcy, kto by nas zobaczył, mógłby pomyśleć, że oświetlam staremu człowiekowi drogę.

– Jak to może być, mistrzu? – pytałem dalej. – Rozumując w ten sposób, należałoby przyjąć, że życie znajduje się także w każdym stawie każdego palca, a to jest przecież zupełnie niemożliwe.

– Jak duże jest życie człowieka? – odpowiedział pytaniem Ultan.

– Nie mam pojęcia, ale chyba większe, prawda?

– Spoglądasz na nie z początku drogi i wiele po nim oczekujesz. Ja, będąc u jego schyłku, wiem, jak niewiele w gruncie rzeczy przyniosło. Przypuszczam, że właśnie dlatego te zdeprawowane istoty poszukują czegoś więcej w ciałach zmarłych. Pozwól, że cię o coś zapytam: chyba wiesz, że syn jest często nadzwyczaj podobny do swego ojca?

– Owszem, słyszałem o tym. I wierzę w to – dodałem. Nie potrafiłem inaczej myśleć o rodzicach, których nigdy nie znałem i których nigdy nie miałem poznać.

– Zgodzisz się więc chyba, że jest w takim razie możliwe, iż jakaś twarz będzie przekazywana z pokolenia na pokolenie przez wiele generacji. Skoro syn przypomina swego ojca, a jego syn przypomina

z kolei jego samego, i tak dalej, to kolejny w linii praprawnuak przypomina swego prapradziada, czyż nie tak?

– Owszem. – Skinąłem głową.

– A jednocześnie nasienie każdego z nich było zawarte w odrobinie kleistej cieczy. Skąd się wzięli, jeżeli właśnie nie stamtąd?

Nie potrafiłem znaleźć na to odpowiedzi i szedłem naprzód, odczuwając wielkie zdziwienie, aż wreszcie dotarliśmy do drzwi, przez które wkroczyłem na ten najgłębszy poziom wielkiej biblioteki. Spotkaliśmy tam Cyby’ego z książkami wymienionymi w liście mistrza Gurloesa. Odebrałem je od niego, pożegnałem się z mistrzem Ultanem i z ulgą opuściłem duszną atmosferę biblioteki. Później jeszcze wielokrotnie odwiedzałem wyższe kondygnacje tego budynku, ale nigdy nie miałem okazji ani ochoty zagłębić się ponownie w jego podziemia.

Jeden z trzech tomów, które przyniósł Cyby, miał wielkość blatu sporego stolika, łokieć szerokości i niemal łokieć grubości. Ponieważ na safianowej okładce wytłoczone były ozdobne herby, sądziłem, że jest to historia jakiejś starej szlacheckiej rodziny. Pozostałe książki były znacznie mniejszych rozmiarów. Zielona, nie większa od mojej dłoni i nie grubsza od wskazującego palca, okazała się zbiorem modlitw, pełnym błyszczących wizerunków ascetycznych świętych i boskich wyobrażeń w czarnych aureolach i bogatych szatach. Zatrzymałem się na chwilę przy wyschniętej fontannie w jakimś zapomnianym, oświetlonym blaskiem zimowego słońca ogrodzie, by na nich popatrzeć.

Zanim otworzyłem któryś z pozostałych tomów, poczułem nagle na sobie olbrzymi ciężar czasu; jest to nieomylny sygnał świadczący o tym, że pozostawiliśmy za sobą nasze dzieciństwo. Wykonując proste przeciw polecenie, przebywałem poza naszą wieżą już ponad dwie wachty i powoli zaczynało się zmierzchać. Zebrałem wszystkie książki i pośpieszyłem przed siebie, aby – chociaż wówczas jeszcze o tym nie wiedziałem – spotkać szlachetnie urodzoną Theclę i moje przeznaczenie.

rozdział 7

Zdrajczyni

Nadeszła już pora, bym zaniósł posiłek pełniącym służbę w lochach czeladnikom. Za pierwszy poziom odpowiedzialny był Drotte; poszedłem do niego na końcu, ponieważ chciałem zamienić z nim kilka słów. W głowie wciąż kłębiły mi się najróżniejsze myśli wywołane wizytą u archiwisty i o nich właśnie pragnąłem z nim porozmawiać.

Nie mogłem go nigdzie znaleźć. Położyłem tacę i cztery przyniesione książki na stole i zawołałem głośno. Odpowiedź nadeszła z pobliskiej celi. Podeszedłem i zajrzałem do środka przez umieszczone w drzwiach na poziomie oczu zakratowane okienko. Drotte nachylał się nad leżącą na pryczy klientką; sprawiała wrażenie bardzo wynędzniałej, a na podłodze było pełno krwi.

– Czy to ty, Severianie? – zapytał, nie odwracając głowy.

– Tak. Przyniosłem ci obiad i książki dla kasztelanki Thecli. Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, nic jej nie będzie. Pozdzierała bandażę i chciała wykrwawić się na śmierć, ale w porę to zauważyłem. Zostaw tacę na stole, dobrze? Gdybyś miał chwilę czasu, mógłbyś dokończyć za mnie rozdawanie posiłku.

Zawahałem się. Uczniowie nie mieli prawa zajmować się tymi, którzy dostali się pod opiekę naszego bractwa.

– No, ruszaj. Musisz tylko wepchnąć tacę przez szczeliny w drzwiach.

– Przyniosłem książki.

– Zrób z nimi to samo.

Jeszcze przez chwilę przyglądałem się, jak opatruje bladą kobietę, a potem odwróciłem się, znalazłem resztę tac z jedzeniem i zacząłem je rozdawać, robiąc dokładnie tak, jak Drotte mi powiedział. Większość klientów miała jeszcze dość sił, żeby wstać i odebrać ode mnie tacę,

a porcje tych, którzy nie byli do tego zdolni, zostawiałem na podłodze przed drzwiami, aby Drotte mógł później wnieść je do celi. Wśród klientów było kilka kobiet sprawiających wrażenie arystokratek, ale żadna z nich nie wyglądała na kasztelanę Theclę, nowo przybyłą damę, która – przynajmniej na razie – miała być traktowana ze szczególnymi względami.

Powinienem był się domyśleć, że znajdę ją w ostatniej celi. Oprócz zwykłego łóżka, krzesła i małego stolika znajdował się tam także dywan, ona sama zaś zamiast tradycyjnych łąchmanów miała na sobie białą suknię o niezwykle szerokich rękawach. Zarówno końce tych rękawów, jak i tren sukni były teraz unurzane w błocie, ale i tak strój charakteryzował się elegancją, niezwykłą dla miejsca, w którym przebywaliśmy. Kiedy ją zobaczyłem, haftowała przy świetle świecy wzmocnionym srebrnym reflektorem, ale w jakiś sposób poczuła na sobie moje spojrzenie. Chciałbym móc teraz powiedzieć, że na jej twarzy nie było nawet śladu strachu, ale to byłaby nieprawda – było tam przerażenie, chociaż opanowane do tego stopnia, że można go było nie dostrzec.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Przyniosłem posiłek.

Podziękowała skinieniem głowy, po czym wstała i zbliżyła się do drzwi. Była wyższa, niż się spodziewałem, niemal zbyt wysoka, żeby wyprostować się w celi. Jej twarz, chociaż bardziej trójkątna niż w kształcie serca, przywiodła mi na myśl kobietę, którą widziałem w nekropolii u boku Vodalusa. Być może stało się tak z powodu wielkich fioletowych oczu o pokrytych błękitnym cieniem powiekach i czarnych włosów, które zebrane nad czołem w kształcie litery V przypominały nieco kaptur. Jednak bez względu na przyczynę pokochałem ją od pierwszej chwili, tak jak może kochać głupi dorastający chłopak. Będąc właśnie takim chłopcem, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Jej dłoń, zimna, lekko wilgotna i wręcz nieprawdopodobnie wąska, dotknęła mojej, kiedy brała ode mnie tacę.

– To zwyczajne jedzenie – powiedziałem. – Chyba możesz, pani, dostać coś lepszego, jeśli tylko poprosisz.

– Nie nosisz maski – zauważyła. – Twoja twarz jest pierwszą, jaką tutaj widzę.

– Jestem tylko uczniem. Dostanę maskę dopiero za rok.

Uśmiechnęła się, a ja poczułem się tak jak wtedy, kiedy znalazłem się w Ogrodzie Czasu i wszedłem do wnętrza, gdzie zostałem ogrzany i nakarmiony. Miała szerokie usta i niezwykle białe zęby; jej oczy,

głębokie jak zbiorniki wody pod Wieżą Dzwonów, rozjarzyły się ciepłym blaskiem.

– Wybacz, pani. – Ocknąłem się. – Nie słyszałem, co mówiłaś.

Przechyliła na bok śliczną główkę i ponownie się uśmiechnęła.

– Powiedziałaś ci, że bardzo się ucieszyłam, widząc twoją twarz, i zapytałam, czy teraz już zawsze będziesz przynosił mi posiłki oraz co mi dzisiaj przyniosłeś.

– Nie, nie będę. Tylko dzisiaj, ponieważ Drotte jest zajęty. – Usiłowałem pośpiesznie przypomnieć sobie, co znajdowało się na tacy, którą postawiła na stoliku poza zasięgiem mojego wzroku, ale bezskutecznie. Wreszcie spocony z wysiłku wydukałem:

– Będzie lepiej, jeśli to zjesz. Myślę, że możesz dostać coś lepszego, jeśli tylko poprosisz Drotte’a.

– Oczywiście, że mam zamiar to zjeść. Wszyscy zawsze podziwiali moją figurę, ale wierz mi, jem jak wygłodniały wilk. – Wzięła tacę w dłonie i pokazała mi ją, jakby domyślając się, że dla rozwiązania zagadki jej zawartości będzie mi potrzebna pomoc.

– Te zielone to pory, kasztelanko. To brązowe to soczewica, a obok chleb.

– Kasztelanko? Nie musisz być tak oficjalny. Jesteś moim strażnikiem i możesz nazywać mnie tak, jak tylko zechcesz. – Tym razem w głębokich oczach pojawiło się rozbawienie.

– Nie mam zamiaru cię znieważać – odparłem. – A może wolałabyś, żebym nazywał cię jakoś inaczej?

– Mów do mnie „Theclo”, tak brzmi moje imię. Tytuły są na oficjalne okazje, imiona zaś na nieoficjalne, a to jest chyba najbardziej nieoficjalna z możliwych. Przypuszczam jednak, że stanie się najzupełniej oficjalna, kiedy nadejdzie czas kary?

– Tak zwykle się dzieje, kiedy rzecz dotyczy kogoś z arystokracji.

– Będzie pewnie przy tym egzarcha, o ile mu na to pozwolicie. Cały w szkarłatnych plamach. Inni też, może nawet starosta Eginó. Jesteś pewien, że to chleb? – Dotknęła tacy długim palcem, tak białym, że przez chwilę obawiałem się, iż może go pobrudzić przy zetknięciu z chlebem.

– Tak. Kasztelanka jadła już chyba chleb, prawda?

– Nie taki jak ten. – Wzięta cienką kromkę i odgryzła spory kęs. – Nawet nie taki zły. Powiadasz, że dadzą mi lepsze jedzenie, jeśli o to poproszę?

– Tak przypuszczam, kasztelanko.

– Theclo. Dwa dni temu, kiedy mnie tu przywieźli, poprosiłam

o książki, ale ich nie dostałam.

– Mam je – odpowiedziałem. – Zaraz przyniosę. – Pobiegłem do stołu, na którym leżały, wziąłem je i wsunąłem jedną przez najmniejszą szczelinę.

– Och, to wspaniale. Masz jeszcze inne?

– Trzy. – Brązowa także przeszła przez szczelinę, ale dwie pozostałe, zielona i ta z herbami na okładce, były zbyt duże. – Drotte da ci je później, kiedy otworzy drzwi.

– A ty nie możesz? To straszne widzieć je i nie móc ich dotknąć.

– Ja nie powinienem nawet podawać ci pożywienia. Tylko Drotte'owi wolno.

– Ale to zrobiłeś. Poza tym przecież je przyniosłeś. Czy nie miałeś mi ich oddać?

Nie mogłem przytoczyć zbyt wielu argumentów, wiedząc, że w zasadzie ma rację. Prawo, które zabraniało stykać się z przebywającymi w lochach klientami, miało na celu zapobieżenie ucieczkom. Doskonale wiedziałem, że chociaż jest tak wysoka, nigdy nie dałaby mi rady, a nawet gdyby spróbowała, to nie miałyby żadnych szans, żeby się stąd niepostrzeżenie oddalić. Poszedłem do celi, w której Drotte ciągle zajmował się na wpół wykrwawioną klientką, i wróciłem z jego kluczami.

Stałem przed nią, mając za plecami zamknięte drzwi celi, i nie byłem w stanie wykrztusić nawet słowa. Położyłem książki na stoliku, obok świecznika, tacy z posiłkiem i karafki z wodą; ledwo starczyło dla nich miejsca. Stałem, wiedząc, że powinienem już wyjść, ale nie potrafiłem tego zrobić.

– Dlaczego nie usiądziesz?

Usiadłem na łóżku, zostawiając jej krzesło.

– W mojej komnacie w Domu Absolutu mogłabym zaoferować ci większe wygodę. Niestety, nigdy mnie nie odwiedziłeś, kiedy jeszcze tam byłam.

Potrząsnąłem głową.

– Tutaj nie mogę zaproponować ci nic oprócz tego. Czy lubisz soczewicę?

– Nie będę jadł, kasztelanko. Niebawem będę miał swój obiad, a tego tutaj ledwo wystarczy dla ciebie.

– To prawda. – Wzięła w palce jednego pora i następnie, jakby nie wiedząc, co lepszego można z nim zrobić, połknęła niczym sztukmistrz żmiję. – Co będziesz jadł na obiad?

– Pory, soczewicę, chleb i baraninę.

– Ach, kaci dostają baraninę. Na tym polega różnica. Jak się nazywasz, mój kacie?

– Severian. To nic nie pomoże, kasztelanko. To nie ma żadnego znaczenia.

Uśmiechnęła się.

– Co takiego?

– To, że się ze mną zaprzyjaźnisz. I tak nie mógłbym zwrócić ci wolności. Zresztą nie zrobiłbym tego nawet wtedy, gdybyś była jedynym przyjacielem, jakiego mam na całym świecie.

– Wcale o tym nie myślałam, Severianie.

– Więc dlaczego ze mną rozmawiasz?

Westchnęła i wraz z tym westchnieniem zniknęła z jej twarzy cała beztroska, podobnie jak promienie słońca uciekają pośpiesznie z miejsca, w którym przysiadł na chwilę pragnący się ogrzać żebrak.

– A z kim mogę tu rozmawiać, Severianie? Może być tak, że przez pewien czas, może kilka dni, a może tygodni, będę rozmawiać właśnie z tobą, a potem umrę. Wiem, co myślisz: że gdybym była tam, w mojej komnacie, nie zaszczyciłabym cię nawet jednym spojrzeniem. Mylisz się. Nie można rozmawiać ze wszystkimi, bo tych „wszystkich” jest przeogromnie dużo, ale dzień przed tym, jak zostałam tutaj zabrana, rozmawiałam z człowiekiem, który trzymał mojego wierzchowca. Odezwałam się do niego, ponieważ musiałam na coś długo czekać, a on powiedział coś, co mnie od razu zainteresowało.

– Nie zobaczysz mnie już więcej. Twoje posiłki będzie przynosił Drotte.

– Nie ty? Zapytaj go, czy nie pozwoliłby ci tego robić.

Wzięła mnie za rękę; jej dłonie były zimne jak lód.

– Spróbuję – powiedziałam.

– Zrób to. Spróbuj. Powiedz mu, że chcę lepszego jedzenia niż to i żebyś ty mi je przynosił. Albo zaczekaj, sama mu to powiem. Kto jest jego zwierzchnikiem?

– Mistrz Gurloes.

– Powiem temu... jak on się nazywa, Drotte?... że chcę właśnie z nim rozmawiać. Masz rację, będą musieli się na to zgodzić. Autarcha może przecież w każdej chwili rozkazać, aby mnie wypuszczono. – Jej oczy na nowo rozbłysły.

– Powiem Drotte’owi, że chcesz się z nim widzieć, kiedy będzie miał chwilę czasu – powiedziałam i podniosłem się z miejsca.

– Zaczekaj. Nie interesuje cię, dlaczego tu jestem?

– Wiem, po co tu jesteś – odparłem, idąc do drzwi. – Jesteś po to, żeby tak jak inni zostać pewnego dnia poddana torturom. – Było to bardzo okrutne i powiedziałem to bez zastanowienia, jak zwykle czynią młodzi ludzie, tylko dlatego, że tak właśnie, a nie inaczej myślałem. Była to jednak prawda i przekręcając klucz w zamku, poczułem nawet coś w rodzaju zadowolenia, że jednak to powiedziałem.

W przeszłości wielokrotnie naszymi klientami bywali członkowie arystokratycznych rodów. Większość z nich, przybywając do nas, mniej więcej zdawała sobie sprawę ze swego położenia, podobnie jak w tej chwili kasztelanka Thecla. Kiedy jednak mijało kilka dni i nie byli poddawani torturom, nadzieja brała górę nad rozsądkiem i zaczęli mówić już tylko o uwolnieniu – o tym, co też przyjaciele i rodzina uczynią, żeby ich wyzwolić, i co oni sami będą robić, kiedy już znajdą się na wolności.

Niektórzy mieli zamiar wrócić do swoich włości i nie pokazywać się więcej na dworze autarchy. Inni chcieli zgłosić się na ochotnika i poprowadzić na północ oddział lancknechtów. Od nich sprawujący akurat służbę w lochach czeladnicy słyszeli opowieści o polowaniach z psami, o rozległych wrzosowiskach, o grach i zabawach nieznanymi gdzie indziej, odbywających się u stóp wiekowych drzew. Kobiety w przeważającej większości wykazywały znacznie więcej realizmu, ale nawet one z biegiem czasu zaczynały snuć opowieści o wpływowych kochankach (chwilowo odsuniętych na bok), którzy nigdy ich nie opuszczą, a następnie o rodzeniu dzieci lub adopcji sierot. Bardziej doświadczeni wiedzieli, że kiedy te dzieci, które nigdy się nie narodzą, otrzymają imiona, to już niebawem należy się spodziewać przejścia do nowego tematu: stroje. Nowe ubranka dla dzieci, stare do pieca, kolory, najnowsze wzory, odświeżanie starych i tak dalej, i tak dalej.

Prędzej czy później jednak zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet nadchodził czas, kiedy zamiast czeladnika z posiłkiem pojawiał się mistrz Gurloes, a za nim trzech lub czterech czeladników, czasem w towarzystwie śledczego i elektroegzekutora. Za wszelką cenę pragnąłem oszczędzić kasztelance Thecli tych złudnych nadziei. Powiesiłem klucze na zwykłym miejscu, a kiedy mijałem celę, w której Drotte zajęty był usuwaniem śladów krwi z podłogi, powiedziałem mu, że kasztelanka chce z nim rozmawiać.

W dwa dni później zostałem wezwany do mistrza Gurloesa. Spodziewałem się, że będę stał przed jego biurkiem z założonymi do tyłu

rękami, jak zwykle czynili to wszyscy uczniowie, ale on kazał mi usiąść i zdjawszy z twarzy złotą maskę, nachylił się nieco do mnie w sposób, który sugerował poufny i zarazem nieformalny charakter naszej rozmowy.

– Mniej więcej przed tygodniem wysłałem cię do archiwisty – powiedział. Skinąłem głową.

– Przyniosłeś książki, a potem, o ile mi wiadomo, osobiście dostarczyłeś je klientce. Czy to prawda?

Wyjaśniłem mu, jak do tego doszło.

– Nie ma w tym nic złego. Nie chcę, żebyś myślał, że zamierzam w związku z tym obarczyć cię dodatkowymi obowiązkami albo ukarać w jakikolwiek sposób. Jesteś już prawie czeladnikiem; kiedy byłem w twoim wieku, obsługiwałem alternator. Chodzi o to, Severianie, że nasza klientka ma szerokie koneksje. – Jego głos przeszedł w szept. – Bardzo szerokie.

Powiedziałem, że rozumiem, co ma na myśli.

– To nie jest jakaś tam zwykła szlachecka rodzina. Prawdziwa błękitna krew. – Odwrócił się i po chwili poszukiwań znalazł na jednej z półek opasłą książkę. – Czy wiesz, jak wiele jest arystokratycznych rodów? Tutaj wymienione są tylko te, które jeszcze nie wygasły. Spis tych, które należą już do przeszłości, byłby większy od niejednej encyklopedii. Kilku z nich osobiście pomogłem przejść do historii.

Roześmiał się, a ja mu zawtórowałem.

– Każdemu poświęcono około pół strony, tych stron jest zaś siedemset czterdzieści sześć. – Skinąłem głową ze zrozumieniem.

– Większość z nich nie ma nikogo na dworze – nie mogą sobie na to pozwolić albo po prostu się boją. To są małe, niewiele znaczące rody. Te większe, choćby nawet chciały, nie mogą tego uniknąć; Autarcha musi mieć gdzieś w pobliżu konkubinę, której los zależałby całkowicie od niego, na wypadek gdyby zaczęli się buntować. Rzecz jasna, nie może tańczyć kadryla z pięciuset kobietami; w jego bezpośrednim otoczeniu jest ich może dwadzieścia, reszta natomiast spędza czas na tańcach i plotkach, widując go z daleka nie częściej niż raz w miesiącu.

Zapytałem (starając się, żeby mój głos brzmiał możliwie obojętnie), czy Autarcha ma wszystkie te konkubiny w łożu.

Mistrz Gurloes przewrócił oczyma i potarł brodę swoją wielką dłonią.

– Przez wzgląd na przyzwoitość są tam tak zwane kobiety cienie, wywodzące się z pospólstwa dziewczęta bardzo podobne do kasztelanek. Nie wiem, skąd je biorą, ale w każdym razie są one

podstawiane zamiast kasztelanek. Oczywiście są znacznie niższe od nich. – Zachichotał. – Powiedziałem, że są „podstawiane”, ale ponieważ chodzi tu raczej o „podkładanie”, wzrost nie gra tak wielkiej roli. Mówi się jednak, że czasem wszystko wygląda dokładnie na odwrót i to nie sobowtóry wykonują tę pracę zamiast swoich pań, ale panie zamiast sobowtórów. Jeżeli jednak chodzi o naszego obecnego Autarchę, którego każdy czyn, muszę to podkreślić z całą mocą, jest słodszy niżli najśłodszy nawet miód, jest wysoce wątpliwe, czy znajduje on przyjemność w intymnych spotkaniach z którąkolwiek z nich.

Odetchnąłem z ulgą.

– Nigdy nie słyszałem o tych sprawach. To bardzo interesujące, mistrzu.

Mistrz Gurloes skłonił głowę na znak, że tak jest w istocie, i splótł dłonie na brzuchu.

– Być może pewnego dnia będziesz musiał przejąć obowiązki kierowania naszym bractwem i wtedy ta wiedza bardzo ci się przyda. Kiedy byłem w twoim wieku, a może nieco młodszy, często wyobrażałem sobie, że pochodzę z arystokratycznego rodu. W niektórych przypadkach jest to prawda, nie fantazja.

Nie po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że zarówno mistrz Gurloes, jak i mistrz Palaemon musieli znać pochodzenie zarówno wszystkich uczniów, jak i młodszych czeladników, oni bowiem aprobowali ich przyjęcie do bractwa.

– Jak jest w moim przypadku, nie jestem w stanie stwierdzić. Wydaje mi się, że mam rysy twarzy rycerza, wzrost zaś więcej niż średni, pomimo ciężkiego dzieciństwa. Zapewniam cię, że przed czterdziestu laty było nam dużo, dużo ciężiej.

– Bez wątpienia, mistrzu.

Westchnął, wydając z siebie świszczący odgłos podobny do tego, jaki wydobywa się czasem ze skórzanej poduszki, gdy się na niej usiądzie.

– Z biegiem czasu jednak pojąłem, iż Niestworzony działał na moją korzyść, powołując mnie do służby w naszej konfraterni. Bez wątpienia przyczyniły się do tego moje zasługi w poprzednim życiu, którym dorównują, mam nadzieję, te obecne.

Mistrz Gurloes zamilkł, wpatrując się (jak mi się wydawało) w piętrzące się na jego biurku sterty prawniczych instrukcji i akt klientów. Wreszcie, kiedy miałem już zapytać, czy chce mi coś jeszcze powiedzieć, przemówił.

– Przez te wszystkie lata nie słyszałem jeszcze o tym, żeby któryś

z członków naszego bractwa został wydany swoim braciom i poddany torturom. A znałem ich co najmniej kilkuset, jak przypuszczam.

Pośpieszyłem z powszechnie znaną sentencją, że lepiej być skrytą pod kamieniem ropuchą niż zgniecionym przez niego motylem.

– My, członkowie naszej konfraterni, jesteśmy chyba czymś więcej niż tylko takimi ropuchami. Muszę jednak powiedzieć, że chociaż widziałem w naszych lochach już pewnie pięćuset, jeżeli nie więcej, arystokratów, to nigdy jeszcze nie było wśród nich członkini tego wąskiego, najbliższego Autarsze kręgu konkubin.

– Czyżby kasztelanka Thecla do niego należała? To właśnie sugerują twoje słowa, mistrzu.

Skinął posępnie głową.

– Nie byłyby tak źle, gdyby od razu miała zostać poddana badaniom. Ale to może nastąpić po wielu latach. Albo nigdy.

– Przypuszczasz, mistrzu, że może zostać uwolniona?

– Jest tylko pionkiem w rozgrywce między Autarchą a Vodalusem, nawet ja o tym wiem. Jej siostra, kasztelanka Thea, uciekła z Domu Absolutu, żeby zostać jego kochanką. Przynajmniej przez jakiś czas będą się o Theclę targować, a w tym czasie musimy stworzyć jej dobre warunki. Byle tylko nie zbyt dobre.

– Rozumiem – odparłem. Czułem się bardzo nieswojo, nie wiedząc, co właściwie Thecla powiedziała Drotte’owi i co on z kolei przekazał mistrzowi Gurloesowi.

– Poprosiła o lepsze jedzenie i wydałem już polecenia, żeby jej to zapewniono. Poprosiła również o towarzystwo, a kiedy powiedzieliśmy jej, że nie możemy zgodzić się na żadne odwiedziny, zaczęła nastawać, żeby przynajmniej ktoś z nas dotrzymywał jej od czasu do czasu towarzystwa.

Mistrz Gurloes przerwał, by otrzeć skrajem szaty błyszczące od potu czoło.

– Rozumiem. – Skinąłem głową. Byłem pewien, że wiem, co za chwilę usłyszę.

– Ponieważ widziała twoją twarz, poprosiła właśnie o ciebie. Obiecałem jej, że będziesz z nią zawsze podczas jej posiłków. Nie pytam cię o zgodę. Nie tylko dlatego, że i tak jesteś zobowiązany wykonywać moje polecenia, ale także dlatego, że jestem przekonany o twojej lojalności. Chciałem cię tylko prosić o to, żebyś nie zawiódł jej oczekiwań, ale także żebyś nie starał się zanadto im sprostać.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – usłyszałem ze zdziwieniem

swój spokojny, obojętny głos. Mistrz Gurloes uśmiechnął się, jakbym rozwiązał wszystkie jego obawy.

– Masz głowę nie od parady, Severianie, chociaż to jeszcze bardzo młoda głowa. Czy byłeś już kiedyś z kobietą?

Kiedy my, uczniowie, rozmawialiśmy między sobą, mieliśmy zwyczaj wymyślać na ten temat najprzeróżniejsze historie, ale tym razem nie znajdowałem się wśród uczniów, więc pokręciłem głową.

– Nigdy nie byłeś u wiedźm? To może nawet lepiej. Mnie one wszystkiego nauczyły, ale nie jestem pewien, czy polecałbym ci ich usługi. Niewykluczone, że kasztelanka będzie chciała mieć cię w swoim łóżu. Nie rób tego. Jej ciąża miałaby poważne następstwa: mogłaby odwlec zastosowanie tortur i ściągnąć hańbę na nasze bractwo. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

– Chłopcy w twoim wieku zaczynają mieć z tym kłopoty. Polecę komuś, żeby zaprowadził cię tam, gdzie tego typu dolegliwości są błyskawicznie leczone.

– Jak sobie życzysz, mistrzu.

– Co? Nie dziękujesz mi?

– Dziękuję, mistrzu.

Gurloes był jednym z najciekawszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, ponieważ mając niezwykle złożoną osobowość, starał się jednocześnie sprawiać wrażenie prostego człowieka. Nie prostaka, ale kogoś prostego w taki sposób, w jaki może to sobie wyobrazić ktoś, kto taki bynajmniej nie jest. Tak jak dworzanin stara się być kimś błyskotliwym i interesującym, jakby w pół drogi między tancerzem a dyplomatą, z niewielką domieszką gotowego na wszystko zabójcy, podobnie mistrz Gurloes przybierał postać tępego oprawcy i urzędnika zarazem, a to są właśnie cechy, których nie może mieć żaden prawdziwy kat. Ciągłe napięcie musi dawać o sobie znać. Chociaż każda część Gurloesa była taka, jaka być powinna, to te części za nic nie chciały do siebie pasować. Pił dużo i cierpiał od sennych zmór, ale zmory te pojawiały się właśnie wtedy, kiedy pił, jakby wino, zamiast zatrzasnąć na głucho drzwi do jego umysłu, otwierało je na oścież, pozostawiając go chwiejącego się na nogach i próbującego dostrzec błysk słońca, które jeszcze nie wzeszło, a którego promienie odeгнаłyby precz upiory pozwalając mu ubrać się i rozdzielić czeladnikom ich codzienne zadania. Czasem wspinał się na szczyt wieży, jeszcze ponad zbrojownię, i pozostawał tam długo sam, mówiąc na głos i w oczekiwaniu na wschód

słońca wyglądając przez szyby, podobno twardsze od krzemienia. Był jedynym – nie wyłączając mistrza Palaemona – który nie bał się drzemiących tam energii i niewidzialnych ust, które odzywały się czasem do ludzi, a czasem do podobnych im ust w innych wieżach i basztach. Kochał muzykę, ale słuchając jej, uderzał rytmicznie dłonią w poręcz fotela i tupał nogą, szczególnie głośno wtedy, kiedy był to ten jej rodzaj, który lubił najbardziej, o rytmie zbyt nieuchwytnym, by można było przypisać mu jakąkolwiek regularność. Jadał zbyt dużo i zbyt rzadko, czytał wtedy, kiedy sądził, że nikt o tym się nie dowie, oraz odwiedzał klientów, w tym również tych z trzeciego poziomu, i rozmawiał z nimi o sprawach, których my, podsłuchujący w korytarzu, nie byliśmy nawet w stanie zrozumieć. Jego oczy błyszczały bardziej niż oczy jakiegokolwiek kobiety. Popełniał błędy w wymowie nawet tak powszechnie używanych słów i określeń, jak „trąbka Eustachiusza”, „fraktura” czy „bordereau”. Nie podejmuję się nawet opisać, jak źle wyglądał, kiedy ostatnio powróciłem do Cytadeli, ani jak źle teraz wygląda.

rozdział 8

Interlokutor

Nazajutrz po raz pierwszy zaniósłem Thecli obiad. Siedziałem z nią przez całą wachtę, często obserwowany przez zaglądnącego do celi przez zakratowane okienko Drotte'a. Zabawialiśmy się słownymi grami, w których była znacznie lepsza ode mnie, a potem nasza rozmowa zesłała na tematy, które, jak podobno mawiają ci, którzy wrócili z najdalszej podróży, leżą tuż za śmiercią. Opowiadała o tym, co wyczytała w najmniejszej z książek, które jej przyniosłem; były tam nie tylko akceptowane poglądy świątobliwych mężów, ale także różne ekscentryczne, a nawet heretyckie teorie.

– Kiedy odzyskam wolność, założę własną sektę – oświadczyła. – Będę wszystkim mówiła, że głoszone przeze mnie prawdy zostały mi objawione podczas pobytu wśród katów. Uwierzą mi.

Zapytałem, jakie by to były prawdy.

– Że nie ma żadnego życia po śmierci. Że śmierć jest opadającym na umysł potężnym, nieprzewyciężonym snem.

– Ale kto miałby ci to wszystko objawić?

Potrząsnęła głową i oparła brodę na rękę, dzięki czemu uwydatniła się piękną linią jej szyi i karku.

– Jeszcze się nie zdecydowałam. Może lodowy anioł albo duch. Jak myślisz, co byłoby lepsze?

– Czy to nie to samo?

– Oczywiście, że nie. – Jej pewny głos świadczył o przyjemności, jaką sprawiło jej to pytanie. – Jest to przeciwieństwo, na którym będzie się opierać siła oddziaływania nowej wiary. Nie można zbudować nowej teologii na niczym, nic zaś nie stanowi mocniejszej podstawy od przeciwieństwa. Spójrz na naszych poprzedników z przeszłości; wszyscy twierdzili, że ich bóstwa władają całym wszechświatem, a jednocześnie

potrzebują ochrony i opieki niczym dzieci przerażone gdakaniem kur. Albo że władza, która nikogo nie karze, dopóki istnieje jakakolwiek szansa na poprawę, ukarze wszystkich, kiedy nie będzie już żadnej szansy, że ktokolwiek na tym skorzysta.

– To dla mnie zbyt skomplikowane sprawy – powiedziałem.

– Wcale nie. Jesteś równie inteligentny jak większość młodych ludzi, tyle tylko, że wy, jak mi się wydaje, nie macie żadnej religii. Czy każą wam ją porzucić?

– Skądże znowu. Mamy niebiańskich patronów i specjalne obrzędy, podobnie jak wszystkie bractwa.

– A my nie. – Przez moment wydawało się, jakby nad tym bolała. – Tak jest tylko w bractwach i w armii, która także jest czymś w rodzaju bractwa. Byłoby nam chyba lepiej, gdybyśmy i my miały coś takiego. Mimo to i tak wszystkie święta i nocne czuwania są wielkimi festynami, okazjami do tego, żeby założyć nowe stroje. Podoba ci się? – Wstała i rozłożyła ramiona, prezentując zabrudzoną suknię.

– Jest bardzo ładna – zapewniłem ją. – Szczególnie hafty i sposób, w jaki naszyte są te małe perły.

– Zostałam w tym zabrana i jest to jedyny strój, jaki tutaj mam. Właściwie przeznaczony jest na porę obiadową, między późnym popołudniem i wczesnym wieczorem.

Odparłem, że jestem pewien, iż mistrz Gurloes poleci sprowadzić jej inne suknie, jeżeli tylko o to poprosi.

– Już to zrobiłam, a on powiedział, iż posłał ludzi do Domu Absolutu, lecz oni nie mogli go odnaleźć, co oznacza, że Dom usiłuje stworzyć wrażenie, jakbym nigdy nie istniała. Możliwe, że wszystkie moje rzeczy odesłano do naszego zamku na północy lub do jednej z willi. Sekretarz ma przygotować pismo, które zostanie tam wysłane.

– Czy wiesz, kogo posłał? – zapytałem. – Dom Absolutu musi być przynajmniej tak duży jak nasza Cytadela i to chyba niemożliwe, żeby nie dało się go odnaleźć.

– Wręcz przeciwnie, to bardzo łatwe. Ponieważ go nie widać, możesz nawet w nim być i wcale o tym nie wiedzieć. Poza tym biorąc pod uwagę, że wszystkie drogi są zamknięte, wystarczy wydać polecenie szpiegom, żeby wskazali niewłaściwy kierunek, a oni mają szpiegów wszędzie.

Miałem już zapytać, jak to możliwe, żeby Dom Absolutu (który zawsze wyobrażałem sobie jako ogromny pałac o strzelistych wieżach) był niewidzialny, ale Thecla myślała już o czymś innym, bawiąc się

bransoletą w kształcie ośmiornicy, której macki opasywały jej białe ramie; oczy potwora wykonane były ze szlifowanych na okrągło brylantów.

– Pozwolono mi ją zatrzymać, chociaż to bardzo cenna rzecz. Nie srebro, lecz platyna. Byłam tym bardzo zaskoczona.

– Nie ma tutaj nikogo, kto dałby się przekupić.

– Ale można ją sprzedać w Nessus, żeby kupić ubrania. Czy któryś z moich przyjaciół próbował się ze mną skontaktować? Może coś wiesz, Severianie?

Potrząsnąłem głową.

– I tak by ich tutaj nie wpuszczono.

– Rozumiem, ale ktoś jednak mógł próbować. Czy wiesz, że większość ludzi w Domu Absolutu nie zdaje sobie sprawy z istnienia tego miejsca? Widzę, że mi nie wierzysz.

– Czy to znaczy, że nie wiedzą o istnieniu Cytadeli?

– O niej wiedzą, bo przecież niektóre jej fragmenty są dostępne dla wszystkich, a poza tym nie sposób nie dostrzec jej wież, kiedy dotrze się do południowych krańców zamieszkanego miasta, wszystko jedno, po której stronie Gyoll. – Uderzyła dłonią w metalową ścianę celi. – Nie wiedzą o tym, a w każdym razie większość z nich twierdzi, że to miejsce już od dawna nie istnieje.

Ona była wielką kasztelanką, ja zaś czymś gorszym od niewolnika (oczywiście w oczach zwykłych ludzi nierozumiejących zadań, jakie nasza konfraternia miała do wykonania). Kiedy jednak minął czas i Drotte zastukał w dzwiczące drzwi, wstałem, opuściłem celę i wkrótce oddychałem już czystym wieczornym powietrzem, ona zaś została, by słuchać jęków i krzyków innych uwięzionych. (Chociaż jej cela znajdowała się w pewnej odległości od schodów, śmiech dobiegający z trzeciego poziomu był doskonale słyszalny, jeżeli akurat nie było z nią kogoś, z kim mogłaby rozmawiać).

Tego wieczoru w naszej bursie zapytałem, czy ktoś nie zna przypadkiem imion czeladników, których mistrz Gurloes wysłał w poszukiwaniu Domu Absolutu. Nikt ich nie znał, ale moje pytanie wywołało ożywioną dyskusję. Chociaż żaden z chłopców nie widział tego miejsca ani nawet nie rozmawiał z kimś, kto tam był, wszyscy wiele na ten temat słyszeli. Większość opowieści dotyczyła nieprzebranych bogactw: szczerozłoty zastaw, haftowanych srebrną nicią tkanin i tym podobnych. Znacznie bardziej interesujące były opisy samego Autarchy, zgodnie z którymi musiałby być jakimś potworem: wysokiego wzrostu

w pozycji stojącej, ale już tylko średniego w siedzącej, niezwykle starym albo bardzo młodym, przebraną za mężczyznę kobietą i tak dalej, i tak dalej. Jeszcze bardziej fantastyczne były opowieści o jego wezyrze, słynnym Ojcu Inire, który przypominał małpę i był najstarszym człowiekiem na świecie.

Zaczęliśmy już na dobre licytować się najdziwaczniejszymi plotkami, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je najmłodszy z nas i ujrzałem Roche'a ubranego nie w wymagane przepisami bractwa fuliginowe szaty, lecz w nowe i o modnym kroju spodnie, koszulę i płaszcz. Skinął na mnie, a kiedy zbliżyłem się do drzwi, dał mi znak, że mam iść za nim.

Odezwał się dopiero wtedy, kiedy zeszliśmy kilkanaście stopni w dół.

– Obawiam się, że przestraszyłem tego szkraba. Nie wiedział, kim jestem.

– Nic dziwnego – odparłem. – Poznałby cię, gdybyś był ubrany w swój zwykły strój. Sprawilo mu to przyjemność, gdyż głośno się roześmiał.

– Wiesz, czułem się bardzo dziwnie, pukając do tych drzwi. Który dzisiaj?

– Osiemnasty...

– Więc już prawie trzy tygodnie. Jak ci się wiedzie?

– Nie najgorzej.

– Zdaje się, że masz ich wszystkich w garści. Eata jest twoim zastępcą, prawda? Nie zostanie czeladnikiem wcześniej niż za cztery lata, więc jeszcze trzy lata po tobie będzie kapitanem uczniów. To dobrze dla niego, bo nabierze doświadczenia; przykro mi, że ty nie miałeś takiej możliwości. Stałem ci na drodze, ale wtedy nie potrafiłem tego dostrzec.

– Dokąd idziemy, Roche?

– Najpierw do mojej kwatery, żeby cię ubrać. Czy cieszysz się, że już niebawem zostaniesz czeladnikiem, Severianie?

Rzucił mi to pytanie przez ramię i pobiegł po schodach, nie czekając na odpowiedź.

Mój strój różnił się od jego tylko kolorami. Czekwały na nas także cięższe wierzchnie płaszcze i nakrycia głowy.

– Przydadzą nam się – powiedział Roche, kiedy się ubierałem. – Jest zimno i zaczyna padać śnieg. – Wręczył mi szalik i kazał zdjąć zniszczone sandały, a założyć nowe buty.

– To buty czeladnika – zaprotestowałem. – Nie wolno mi ich nosić.

– Zakładaj. Nikt nie zauważy, wszyscy noszą czarne buty. Pasują? – Były zbyt duże, wciągnąłem więc jeszcze na stopy jego skarpety.

– Właściwie to ja powinienem nieść sakiewkę, ale ponieważ zawsze istnieje możliwość, że się rozdzielimy, musisz mieć przy sobie parę asimi. – Położył monety na mojej dłoni. – Gotowy? Chodźmy więc. Chciałbym wrócić jak najwcześniej, żeby jeszcze się trochę przespać.

Wyszliśmy z wieży i owinięci w nasze dziwne ubrania minęliśmy Wiedźminiec, potem skręciliśmy w kryte przejście wiodące koło Martella do tak zwanego Zburzonego Dworu. Roche miał rację: zaczynało padać. Puszyste płatki wielkości połowy mego kciuka opadały tak wolno i dostojnie, iż wydawało się, że muszą już tak lecieć od lat. Nie było wiatru, słyszeliśmy więc doskonale skrzypienie naszych butów na białej cienkiej pelerynie, którą narzucił na siebie znajomy świat.

– Masz szczęście – odezwał się po pewnym czasie Roche. – Nie wiem, jak to osiągnąłeś, ale jestem ci wdzięczny.

– Co osiągnąłem?

– Pozwolenie na tę wyprawę do Echopraxii i kobietę dla każdego z nas. Wiem, że o tym wiesz – mistrz Gurloes powiedział, że cię uprzedził.

– Zapomniałem, a poza tym nie byłem pewien, czy mówi na serio. Będziemy cały czas iść? To chyba daleko stąd.

– Nie tak daleko, jak myślisz, ale powiedziałem ci, że mamy pieniądze. Przy Gorzkiej Bramie będą czekali fiakrzy. Zawsze tam są – ludzie bez przerwy przemieszczają się z miejsca na miejsce, chociaż my w tym naszym cichym zakątku nie mamy o tym pojęcia.

Aby podtrzymać rozmowę, powtórzyłem mu to, co usłyszałem od kasztelanki Thecli: że wielu ludzi z Domu Absolutu nic nie wie o naszym istnieniu.

– Z całą pewnością to prawda. Kiedy dorastasz w naszym bractwie, wydaje ci się, że stanowi ono centrum świata. Kiedy jednak jesteś już trochę starszy (sam tego doświadczyłem i jestem pewien, że mogę ci się zwierzyć), coś nagle odblokowuje ci się w głowie i w pewnej chwili stwierdzasz, że twoje zajęcie nie jest bynajmniej pępkiem wszechświata, tylko dobrze płatnym, niepopularnym zawodem, który, tak się akurat złożyło, przyszło ci wykonywać.

Tak jak przewidywał Roche, przy Gorzkiej Bramie stały trzy powozy. Jeden z nich, z herbami na drzwiach i lokajami w szykownych liberiach, z pewnością należał do jakiegoś arystokraty, ale dwa pozostałe, małe i bez żadnych ozdób, czekały na wynajęcie. Woźnice w opuszczonych na uszy futrzanych czapach grzali się wokół płonącego ogniska. Widziane z daleka poprzez zasłonę z padającego śniegu, wydawało się nie większe

od pojedynczej iskry.

Roche zawołał głośno i zaczął machać ręką; jeden z woźniców wskoczył na kozioł, trzasnął biczem i podjechał do nas. Kiedy znaleźliśmy się już w środku, zapytałem Roche'a, czy ów człowiek wie, kim jesteśmy.

– Dwoma optymatami, którzy załatwiali jakieś sprawy w Cytadeli, a teraz udają się do Echopraxii, by spędzić tam przyjemny wieczór. Tyle wie i tyle musi mu wystarczyć.

Zastanawiałem się, czy Roche ma w tych sprawach dużo więcej doświadczenia ode mnie, ale wydawało mi się to raczej mało prawdopodobne. Mając nadzieję dowiedzieć się w ten sposób, czy był już tam, dokąd zmierzaliśmy, zapytałem, gdzie dokładnie znajduje się Echopraxia.

– W Algedonie. Słyszałeś o tym miejscu?

Skinąłem głową i powiedziałem, że mistrz Palaemon wspominał kiedyś, iż jest to najstarsza część miasta.

– Niezupełnie. Obszary bardziej na południe są jeszcze starsze, ale to teraz tylko kamienna pustynia, w której żyją jedynie omofagowie. Czy wiesz, że kiedyś Cytadela znajdowała się na północ od Nessus? – Potrząsnąłem głową.

– Miasto cały czas posuwa się w górę rzeki. Optymaci i arystokraci chcą mieć czystą wodę – nie po to, żeby ją pić, lecz do basenów z rybami, do kąpieli i żeglowania. Poza tym każdy, kto mieszka zbyt blisko morza, od razu jest trochę podejrzany. Tak więc położone najniżej tereny, na których woda jest najgorsza, są stopniowo opuszczane. Przestaje tam działać prawo, aż wreszcie ci, którzy pozostali, lękają się rozpalic ogień w obawie przed tym, co może ich spotkać, gdyby zostali zauważeni.

Wyglądałem przez okno. Minęliśmy jakąś nieznaną mi bramę, pilnowaną przez strażników w hełmach na głowach. Ciągłe jednak znajdowaliśmy się na terenie Cytadeli i jechaliśmy w dół wąskim przesmykiem między rzędami zamkniętych na głucho okien.

– Kiedy jesteś czeladnikiem, możesz wychodzić do miasta, gdy tylko zechcesz, o ile oczywiście nie jesteś akurat na służbie.

Doskonale o tym wiedziałem, ale zapytałem go, czy sprawia mu to przyjemność.

– Przyjemność? Chyba nie. Prawdę mówiąc, byłem dopiero dwa razy. To nie tyle przyjemne, ile raczej interesujące. Oczywiście wszyscy wiedzą, kim jesteś.

– Powiedziałaś, że woźnica nie wie.

– No, on chyba nie wie. Woźnice poruszają się po całym Nessus. Może mieszkać daleko stąd i odwiedzać Cytadelę nie częściej niż raz w roku. Ale miejscowi wiedzą. Żołnierze mówią. Oni zawsze wiedzą i zawsze mówią. Mogą być w mundurach, kiedy idą do miasta.

– W oknach jest zupełnie ciemno. W tej części Cytadeli chyba nikt nie mieszka.

– Wszystko się zmniejsza i nikt nic nie może na to poradzić. Mniej żywności oznacza mniej ludzi i tak już będzie aż do nadejścia Nowego Słońca.

Pomimo zimna zrobiło mi się nagle duszno.

– Czy jeszcze daleko? – zapytałem.

– Masz prawo się denerwować – zachichotał Roche.

– Wcale się nie denerwuję.

– Oczywiście, że tak. Ale nie przejmuj się, to zupełnie naturalne. Nie denerwuj się tym, że się denerwujesz, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Jestem zupełnie spokojny.

– Możesz to zrobić szybko, jeśli chcesz. Jeżeli nie masz ochoty, nie musisz z nią rozmawiać. Jej jest wszystko jedno. Oczywiście ona będzie mówić, jeśli sobie tego zażyczysz. Ty przecież płacisz – to znaczy w tym przypadku ja – ale zasada pozostaje taka sama. Zrobi wszystko, czego zażadasz, oczywiście w granicach rozsądku. Jeśli uderzysz ją albo użyjesz bicia, będzie więcej kosztowało.

– Ludzie to robią?

– Tylko amatorzy. Nie sądzę, żebyś ty to robił ani ktokolwiek z bractwa, chyba że sobie zdrowo popije. – Przerwał na moment. – Te kobiety łamią prawo, nie mogą więc na nic się skarżyć.

Ślizgając się niepokojąco, powóz wyjechał wreszcie z przesmyku i skręcił w jeszcze węższy, prowadzący na wschód.

rozdział 9

Lazurowy Pałac

Celem naszej podróży okazała się jedna z tych przerośniętych budowli, które można zobaczyć w starszej części miasta (i tylko tam, o ile mi wiadomo), w których nagromadzenie najróżniejszych dobudówek i połączeń scalających odrębne niegdyś budynki doprowadziło do powstania pogmatwanej mieszaniny stylów i mód, charakteryzującej się mnogością wieżyczek i baszt wystrzeliwujących tam, gdzie pierwszy projektant zaplanował jedynie płaskie dachy. Śniegu było tutaj znacznie więcej, więc albo spadł już wcześniej, albo po prostu dopadało go podczas naszej jazdy. Bezkształtne białe czapy otaczały wysoki portyk, łagodząc i zacierając architektoniczne linie, tworząc grube poduchy na okiennych parapetach i przyoblekając podtrzymujące dach drewniane kariatydy w białe szaty, dzięki czemu miejsce to samym swoim wyglądem zdawało się obiecywać ciszę, bezpieczeństwo i dyskrecję.

Górne piętra były zupełnie ciemne, ale w oknach na parterze paliło się żółte przyćmione światło. Pomimo tłumiącego wszelkie odgłosy śniegu ktoś wewnątrz musiał jednak usłyszeć nasze kroki. Stare, wielkie, mające lata świetności już za sobą drzwi otworzyły się, zanim Roche zdążył zapukać. Znaleźliśmy się w małym, wąskim pomieszczeniu przypominającym szkatułkę na klejnoty, którego ściany i sufit obite były błękitnym ałtąsem. Człowiek, który nas wpuścił, miał buty na grubych podszwach i żółtą szatę. Jego krótkie siwe włosy były szesane w tył z szerokiego czoła; miał starannie ogoloną, gładką twarzą. Mijając go w drzwiach, odniosłem wrażenie, że patrząc w jego oczy, wyglądam przez okno – oczy błyszczące jak wypolerowane i bez śladu najmniejszych nawet żyłek naprawdę mogły być ze szkła i miały kolor nieba podczas długotrwałej letniej suszy.

– Sprzyja wam szczęście – powiedział, wręczając każdemu z nas kielich. – Nie ma tu nikogo oprócz was.

– Dziewczęta muszą czuć się samotne – zauważył Roche.

– Tak jest. Uśmiechasz się, więc mi nie wierzysz, ale zapewniam cię, że to prawda. Skarżą się, gdy zbyt wielu odwiedza ich pałac, ale kiedy nikt nie przychodzi, są bardzo smutne. Każda z nich postara się was dzisiaj oczarować. Zobaczycie. Kiedy odejdziecie, będą się chełpić, że to właśnie je wybraliście. Poza tym obydwaj jesteście bardzo urodziwymi młodzieńcami. – Przerwał i chociaż nie czynił tego w sposób natarczywy, to jednak obrzucił nas długim, uważnym spojrzeniem. – Byłeś już tutaj, prawda? Pamiętam twoje rude włosy i szatę. Daleko na południu dzicy w podobny sposób przedstawiają swojego boga ognia. A twój przyjaciel ma twarz arystokraty... To właśnie moje dziewczęta lubią najbardziej. Domyślam się, dlaczego go tutaj przyprowadziłeś. – Jego głos mógł być męskim tenorem lub kobiecym kontraltem.

Otworzyły się następne drzwi, w których znajdował się mały witraż przedstawiający kuszenie. Weszliśmy do pokoju wyglądającego (bez wątpienia przez porównanie z tym, który opuściliśmy) na znacznie większy, niżby na to wskazywały zewnętrzne wymiary budynku. Wysoki sufit przystrojony był tkaniną przypominającą biały jedwab i nadającą pomieszczeniu charakter letniego pawilonu. Wzdłuż ścian po obydwu stronach ciągnęły się kolumnady – fałszywe, gdyż rzekome kolumny były jedynie wystającymi nieznacznie z błękitnej ściany pilastrami, architrawy zaś miały głębokość cienkich listew, ale w miejscu, w którym staliśmy, złudzenie było prawie zupełne.

W drugim końcu tej komnaty, naprzeciwko okien, stało przypominające tron krzesło o wysokim oparciu. Nasz gospodarz zajął na nim miejsce i w tej samej chwili gdzieś we wnętrzu domu rozległ się dźwięk dzwonka. Czekaliśmy w milczeniu, aż jego czyste echo przebrzmi. Z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos, ale czułem wyraźnie, że śnieg ciągle pada. Puchar wina, który cały czas trzymałem w dłoni, obiecywał oddalenie wszelkich wspomnień o chłdzie, zatem kilkoma łykami opróżniłem go do dna. Było tak, jakbym oczekiwał na rozpoczęcie ceremonii w zrujnowanej kaplicy, tyle tylko, że wszystko było mniej realne i zarazem bardziej poważne.

– Kasztelanka Barbea – oznajmił gospodarz.

Do komnaty weszła wysoka kobieta. Była tak piękna i tak wspaniale ubrana, że minęło kilka chwil, zanim uświadomiłem sobie, że nie może mieć więcej niż siedemnaście lat. Jej twarz była owalna i doskonała, oczy

kryształowe, nos mały i prosty, a usta drobne i pomalowane tak, żeby wydawały się jeszcze mniejsze. Kolor jej włosów tak bardzo przypominał wypolerowane złoto, że równie dobrze mogła to być peruka ze szczerozłotychnici.

Przesunęła się o krok lub dwa i zaczęła powoli się obracać, przyjmując najróżniejsze wdzięczne pozy. Nigdy wcześniej nie spotkałem zawodowej tancerki, ale nawet jeszcze teraz jestem pewien, że ona właśnie była najpiękniejsza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek później widziałem. Nie jestem w stanie przekazać, co wówczas czułem, obserwując ją w tej tajemniczej komnacie.

– Wszystkie dworskie piękności czekają na was – odezwał się nasz gospodarz. – Właśnie tutaj, w Lazurowym Pałacu, dokąd przylatują nocą ze swoich złotych komnat, by znaleźć zapomnienie w dawanej wam rozkoszy.

Byłem niemal zahipnotyzowany i wydawało mi się, że ta fantastyczna przenośnia została użyta w sensie jak najbardziej dosłownym.

– To chyba nie może być prawda – zaprotestowałem.

– Przybyłeś tu w poszukiwaniu rozkoszy, czyż nie tak? Cóż w tym złego, jeżeli oprócz niej otrzymujesz także sen? – Przez cały czas złotowłosa dziewczyna kontynuowała swój powolny, odbywający się w ciszy taniec.

Chwile mijały jedna za drugą.

– Podoba wam się? – zapytał mężczyzna. – Bieriecie ją?

Miałem już powiedzieć (a raczej wykrzyknąć, tak jak krzyczało we mnie wszystko, co kiedykolwiek pragnęło lub mogło pragnąć kobiety), że tak, że ją biorę, ale Roche mnie uprzedził.

– Zobaczmy jeszcze inne – powiedział. Dziewczyna przerwała swój taniec, ukłoniła się i wyszła z komnaty.

– Możecie zdecydować się na więcej niż jedną. Razem lub oddzielnie. Mamy bardzo duże łóżka. – Drzwi otworzyły się. – Kasztelanka Gracia.

Chociaż ta dziewczyna była zupełnie inna, miała w sobie coś, co przypominało jej poprzedniczkę. Jej włosy były białe niczym tańczące za oknami płatki, dzięki czemu jej młoda twarz wydawała się jeszcze młodsza, a ciemna karnacja jeszcze ciemniejsza. Miała (a w każdym razie takie sprawiała wrażenie) obfitsze piersi i bujniejsze biodra. Mimo to wydawało mi się niemal możliwe, że jest to ta sama kobieta, że w ciągu tych kilku sekund, gdy zniknęła nam z oczu, zmieniła tylko strój, perukę i przyciemniła sobie twarz warstwą pudru. Było to absurdalne

przypuszczenie, ale podobnie jak w wielu absurdach był w nim element prawdy. W oczach obydwu kobiet, w ich ustach, postawie i gestach było coś wspólnego. Przypominało coś, co już gdzieś widziałem (ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie), a jednocześnie było to nowe i, jak podświadomie wyczuwałem, gorsze od tej tajemniczej rzeczy, którą mi przypominało.

– To mi wystarczy – powiedział Roche. – Teraz musimy coś znaleźć dla mego przyjaciela. – Dziewczyna, która nie tańczyła, tak jak jej poprzedniczka, tylko uśmiechając się lekko, obracała się z wolna na środku komnaty, pozwoliła teraz uśmiechowi opanować bez reszty swoją twarz, zbliżyła się do Roche’a, usiadła na poręczy jego fotela i zaczęła mu coś szeptać do ucha.

– Kasztelanka Thecla – oznajmił gospodarz i drzwi otworzyły się po raz trzeci.

Wydawało się, że to naprawdę ona, dokładnie taka, jaką ją zapamiętałem – tajemnicą pozostawał jedynie sposób, w jaki udało się jej uciec. Raczej rozsądek niż obraz, który widziałem, przekonały mnie, że jednak się mylę. Nie wiem, czy zdołałbym wychwycić jakiegokolwiek różnice, gdyby stanęły obok siebie, tyle tylko, że ta kobieta była nieco niższa.

– A więc ją wybierasz – powiedział nasz gospodarz. Nie mogłem sobie przypomnieć, żebym cokolwiek mówił.

Roche wydobył skórzaną sakiewkę i oznajmił, że zapłaci za nas obu. Przyglądałem się, jak wyciąga monety, spodziewając się błysku chrisos, ale nie dostrzegłem nic oprócz kilku asimi.

„Kasztelanka Thecla” dotknęła mojej dłoni. Zapach jej perfum był znacznie intensywniejszy od tych, których używała prawdziwa Thecla, ale była to ta sama kompozycja, która kojarzyła mi się z wonią palonych płatków róży.

– Chodź – powiedziała.

Poszedłem za nią, najpierw przez słabo oświetlony i niezbyt czysty korytarz, a potem w górę po wąskich schodach. Zapytałem, jak wiele dam dworu przebywa w tym pałacu, a ona przystanęła na chwilę, obrzucając mnie szybkim spojrzeniem. Jej twarz wyrażała coś, co mogło być zaspokojoną próżnością, miłością albo tym skrytym uczuciem, które opanowuje nas wówczas, gdy to, co było do tej pory współzawodnictwem, staje się wyłącznie naszym popisem.

– Dzisiejszego wieczoru bardzo niewiele. To przez ten śnieg. Ja przyjechałam saniami z Gracją.

Skinąłem głową. Domyślałem się, że przyszła na piechotę z jakiegoś domostwa przy jednej z pobliskich nędznych uliczek, chroniąc włosy pod narzuconym na nie szalem i czując przez podeszwy starych butów ukąszenia mrozu. Mimo to jej słowa wydały mi się znacznie ważniejsze niż rzeczywistość – ujrzałem nagle spocone rumaki pędzące przez śnieg znacznie szybciej od jakiegokolwiek maszyny i ciemne na tle czerwonych pluszowych siedzeń sylwetki pięknych, młodych kobiet, przyozdobionych klejnotami i otulonych w drogocenne futra.

– Dlaczego nie idziesz?

Doszła już do szczytu schodów, niemal niknąc mi z oczu. Ktoś do niej powiedział: „moja najdroższa siostró”, a kiedy wspiałem się o kilka stopni wyżej, zobaczyłem kobietę bardzo podobną do tej o twarzy w kształcie serca i w nasuniętym na czoło kapturze, która była tamtej nocy z Vodalusem. Ona jednak nie zwróciła na mnie uwagi i kiedy tylko zrobiłem jej miejsce, szybko zbiegła na dół.

– Widziałeś, co mógłbyś mieć, gdybyś zażądał pokazania jeszcze jednej z nas. – W kąciku zmysłowych ust „kasztelanki Thecli” pojawił się uśmiech, taki sam jak ten, który zdążyłem już dobrze poznać.

– I tak wybrałbym ciebie.

– To naprawdę zabawne. Chodź, chodź ze mną, nie będziesz przecież stał bez końca w korytarzu. Zachowałeś kamienną twarz, ale oczy o mało nie wyszły ci z orbit. Jest piękna, nieprawdaż?

Kobieta otworzyła drzwi i znaleźliśmy się w małej sypialni, w której stało olbrzymie łóżko. Z sufitu na srebrnym łańcuchu zwieszała się kadzielnica, w rogu zaś stał świecznik o różowych kloszach. Oprócz tego w pokoju znajdowały się jeszcze niewielka toaletka z lustrem i wąska szafa, toteż tylko z wielkim trudem mogły tam jeszcze zmieścić się dwie osoby.

– Czy chciałbyś sam mnie rozebrać?

Skinąłem głową i postąpiłem krok w jej stronę.

– W takim razie muszę cię ostrzec, żebyś uważał na moją suknię. – Odwróciła się do mnie plecami. – Rozpina się z tyłu. Zaczynaj od samej góry, od zapinki na karku. Jeżeli zbyt się podniecisz i coś podrzesz, każą ci za to zapłacić, więc żebyś nie mówił, że nikt cię o tym nie uprzedzał.

Moje palce odnalazły małą haftkę i ją rozpięły.

– Sądziłem, kasztelanko, że masz wiele sukien.

– Oczywiście, że mam. Ale nie myślisz chyba, że chciałabym wrócić do Domu Absolutu w podartym stroju?

– Z pewnością masz tutaj jeszcze inne.

– Tak, ale niewiele. Kiedy mnie nie ma, zawsze ktoś ich używa.

Materiał, który w komnacie z fałszywymi kolumnami wydawał mi się taki piękny i bogaty, w dotyku okazał się tandetny i cienki.

– Żadnych atłasów, jak się domyślam – powiedziałem, rozpinając kolejną haftkę. – Żadnych jedwabi ani pereł.

– Oczywiście.

Cofnąłem się o krok, niemal opierając się plecami o drzwi. Nie było w niej nic z Thecli. Złudzenie polegało na nieznacznym podobieństwie gestów i stroju. Znajdowałem się w małym, chłodnym pokoju i spoglądałem na kark i nagie ramiona jakiejś biednej dziewczyny, której rodzice pewnie z radością przyjmą część taniego srebra Roche’a, udając, że nie wiedzą, gdzie i w jaki sposób ich córka spędziła noc.

– Nie jesteś kasztelanką Theclą – rzekłem. – Co ja tutaj robię?

Ton brzmiący w moim głosie chyba mówił więcej niż słowa. Dziewczyna odwróciła się do mnie i cienki materiał zsunął się z jej piersi. Przez twarz przemknął grymas strachu; musiała już kiedyś znaleźć się w podobnej sytuacji i zapewne skończyło się to dla niej niezbyt przyjemnie.

– Jestem Theclą – odparła – jeżeli chcesz, żebyśmy nią była.

Uniosłem dłoń.

– Są tu ludzie, którzy mają za zadanie mnie chronić – dodała pośpiesznie. – Wystarczy, że krzyknę. Uderzysz mnie raz, ale nie zdążysz zrobić tego po raz drugi.

– Nieprawda.

– Właśnie, że prawda. Jest ich trzech.

– Nikogo nie ma. Całe piętro jest puste i zimne; myślisz, że nie zauważyłem, jak tu cicho? Roche został ze swoją dziewczyną na dole i pewnie dostał lepszy pokój, bo to on płacił. Kobieta, którą spotkaliśmy na schodach, właśnie wychodziła i chciała jeszcze zamienić z tobą kilka słów. – Chwyciłem ją za biodra i uniosłem w górę. – Krzycz. Nikt nie przyjdzie. – Nie odezwała się. Posadziłem ją na łóżku i sam usiadłem obok niej.

– Jesteś zły, bo nie jestem Theclą. A mogłam nią być dla ciebie. Jeszcze mogę. – Zdjęła mi z ramion płaszcz i rzuciła go na podłogę. – Jesteś bardzo silny.

– Wcale nie. – Doskonale wiedziałem, że część chłopców, którzy tak się mnie bali, byli znacznie silniejsi ode mnie.

– Bardzo silny. Czy nie dość silny, żeby chociaż na chwilę zapanować nad rzeczywistością?

– O czym mówisz?

– Słabi ludzie wierzą w to, co im zostanie narzucone, a mocni w to, w co chcą uwierzyć, sprawiając, że staje się to rzeczywistością. Kim jest Autarcha, jak nie człowiekiem, który wierzy w to, że jest autarchą, i zmusza innych, żeby w to wierzyli?

– Nie jesteś kasztelanką Theclą – powtórzyłem.

– Nie rozumiesz, że ona też nią nie jest? Ta, której zapewne nigdy nie spotkałeś... Nie, widzę, że się mylę. Czy byłeś kiedyś w Domu Absolutu?

Jej małe, ciepłe dłonie ścisnęły moją prawą rękę. Pokręciłem głową.

– Czasem klienci mówią, że tam byli. Zawsze sprawia mi przyjemność słuchanie ich opowieści.

– A byli tam? Naprawdę?

Wzruszyła ramionami.

– Chciałam tylko powiedzieć, że kasztelanka Thecla nie jest tą kasztelanką Theclą, o której myślisz i marzysz. Ja także nią nie jestem. Czy w takim razie istnieje między nami jakaś różnica?

– Chyba żadna. Mimo to wszyscy pragniemy dostrzec to, co jest naprawdę realne – powiedziałem, zdejmując ubranie. – Dlaczego? Być może dlatego, że wszystkich nas przyciąga idea boskości. Tylko to jest realne, tak twierdzą święci mężowie.

Ucałowała moje usta, wiedząc już, że zwyciężyła.

– Czy jesteś gotowy to odkryć? Pamiętaj, że musisz być otoczony łaską, bo inaczej zostaniesz oddany katom. Chyba byś tego nie chciał, prawda?

– Nie – odparłem i wziąłem ją w ramiona.

rozdział 10

Ostatni rok

Zamysł mistrza Gurloesa polegał chyba na tym, żebym możliwie często przebywał w Lazurowym Pałacu, aby nie uzależnić się zbyt od Thecli. W rzeczywistości pozwalałem Roche'owi zachować przeznaczone dla mnie pieniądze i nigdy już tam nie poszedłem. Ból, jakiego doświadczyłem, był zbyt przyjemny, a przyjemność zbyt bolesna, i bałem się, że po jakimś czasie odbije się to na stanie mojego umysłu.

Poza tym kiedy opuszczaliśmy już tamto miejsce, siwowłosa mężczyzna (zauważywszy moje spojrzenie) wyjął spomiędzy fałd swej szaty coś, co początkowo wziąłem za obrazek, a co okazało się małą złotą buteleczką w kształcie fallusa. Uśmiechnął się, a ponieważ w uśmiechu tym nie było nic oprócz przyjaźni, bardzo się przeraziłem.

Minęło kilka dni, zanim zdołałem oczyścić moje myśli o prawdziwej Thecli z wrażeń i wspomnień odnoszących się do tej fałszywej, która wprowadziła mnie w arkana anakreonckich igraszek mężczyzn i kobiet. Być może dało to efekt odwrotny do tego, jaki zamierzył mistrz Gurloes, ale nie przypuszczam. Wydaje mi się, że nigdy nie byłem dalszy od pokochania tej nieszczęśliwej kobiety niż wówczas, gdy miałem jeszcze świeżo w pamięci chwile, kiedy była moja. Dostrzegając coraz wyraźniej, że było to nieprawdą, czułem się w obowiązku jakoś temu zadośćuczynić, będąc jednocześnie (choć wówczas nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy) coraz bardziej zafascynowany światem starożytnej wiedzy i dostojeństwa, którego ona była reprezentantką.

Książki, które jej przyniosłem, stały się moim uniwersytetem, ona zaś wyrocznią. Nie jestem wykształconym człowiekiem – od mistrza Palaemona nauczyłem się zaledwie czytać, pisać i rachować oraz niewielu wiadomości dotyczących otaczającego mnie świata i sekretów związanych z naszym powołaniem. Jeżeli naprawdę wykształceni ludzie

uważali mnie czasem za im równego, a przynajmniej kogoś, kogo towarzystwo nie przynosi im ujmy, zawdzięczam to wyłącznie Thecli. Tej Thecli, którą pamiętam, która ciągle we mnie żyje, a także jej czterem książkom.

Nie będę tutaj wspominał tego, co czytaliśmy i o czym rozmawialiśmy, nie starczyłoby mi bowiem na to tej krótkiej nocy. Przez całą zimę, kiedy Stary Dziedziniec leżał pod warstwą śniegu, wracając z lochów, czułem się tak, jakbym budził się ze snu, i dopiero po chwili zaczynałem dostrzegać pozostawione przeze mnie ślady i kładący się na białym całunie cień. Thecla była bardzo smutna, ale znajdowała wielką przyjemność w opowiadaniu mi o tajemnicach przeszłości, o wzajemnych powiązaniach ludzi z wyższych sfer, o wielkich bitwach i żyjących przed tysiącami lat bohaterach.

Rozkwitła wiosna, a wraz z nią fioletowo-białe lilie rosnące w nekropolii. Przyniosłem jej cały ich bukiet, a ona powiedziała mi, że moja broda zaczęła rosnąć tak szybko jak one i że niebawem będę miał zarost bujniejszy, niż to się zwykle spotyka, nazajutrz zaś błagała mnie o wybaczenie, iż nie dostrzegła, że to już się stało. Ciepła pogoda i (jak przypuszczam) kwiaty, które jej przyniosłem, przyczyniły się do znacznej poprawy jej samopoczucia. Oglądaliśmy razem herby starych rodów, a ona opowiadała mi o swoich przyjaciółkach i o małżeństwach, jakie pozawierały, dobrych i złych, oraz o tym, jak taka to a taka zamieniła rysującą się przed nią wspaniałą przyszłość na życie w niemal zrujnowanej fortecy, ponieważ to właśnie zobaczyła kiedyś we śnie, a inna z kolei, z którą w dzieciństwie Thecla często bawiła się lalkami, była teraz czyjąś kochanką wiele tysięcy mil stąd.

– Kiedyś, Severianie, musi nastać nowa autarchia i nowy Autarcha. Rzeczy mogą być takimi, jakimi są, przez jakiś czas, ale nie wiecznie.

– Niewiele wiem o sprawach dworu, kasztelanko.

– Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. – Zamilkła, gryząc delikatnie dolną wargę białymi zębami. – Kiedy moja matka rodziła, słudzy zanieśli ją do Fontanny Wróżb, która potrafi uchylić rąbka tego, co dopiero ma się zdarzyć. Przepowiednia głosiła, że zasiądę na tronie. Thea zawsze mi tego zazdrościła, ale Autarcha...

– Tak?

– Będzie lepiej, jeśli nie powiem zbyt wiele. Autarcha nie jest taki jak inni ludzie. Bez względu na to, co czasem możesz ode mnie usłyszeć, na całej Urth nie ma nikogo takiego jak on.

– Wiem o tym.

– I na tym poprzestań. Spójrz. – Uniosła książkę w brązowej oprawie.
– Oto, co tu jest napisane: „Myślą Thalelaeusa Wielkiego było, że demokracja – a to oznacza lud – pragnie zawsze być kierowana przez jakąś wyższą od siebie siłę, Yrierix Mądry napisał zaś, iż pospólstwo nigdy nie pozwoli na to, żeby ktoś różny od niego sprawował jakikolwiek wysoki urząd. Jednakowoż każdy z nich jest nazywany doskonałym panem”.

Milczałem, nie wiedząc, co chce przez to powiedzieć.

– Nikt naprawdę nie wie, co robi Autarcha. Wszystko sprowadza się właśnie do tego. Autarcha, a także Ojciec Inire. Kiedy po raz pierwszy zjawiłam się na dworze, powiedziano mi w wielkim sekrecie, że to właśnie Ojciec Inire decyduje o polityce Wspólnoty. Kiedy przebywałam tam już dwa lata, pewien wysoko postawiony człowiek (nie mogę nawet zdradzić ci jego imienia) wyjawiał mi, że wszystkim rządzi Autarcha, chociaż mieszkającym w Domu Absolutu może się wydawać, że to Ojciec Inire. Wreszcie rok temu pewna kobieta, której rozsądkowi ufam bardziej niż mądrości jakiegokolwiek mężczyzny, wyznała, że w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia, obydwaj bowiem są równie nieprzeniknieni jak największe głębiny oceanu, i nawet jeśli jeden z nich podejmuje decyzje wtedy, gdy księżyc przechodzi z pełni do nowiu, a drugi, gdy na wschodzie nadchodzi pora silnych wiatrów, nikt nie jest w stanie dostrzec różnicy. Uważałam to za bardzo mądre spostrzeżenie aż do chwili, kiedy zdałam sobie sprawę, że powtórzyła mi dokładnie to samo, co ja powiedziałam jej kilka miesięcy wcześniej.

Thecla umilkła i oparła głowę na poduszce.

– W każdym razie – odezwałam się – potwierdziła się twoja opinia o niej jako o niezwykle rozsądnej osobie, okazało się bowiem, że czerpała informacje z zasługującego na zaufanie źródła.

– To wszystko prawda, Severianie – odparła przyciszonym głosem, jakby nie usłyszała moich słów. – Nikt nie wie, co oni mogą zrobić. Jest całkiem prawdopodobne, że nawet jutro mogę być wolna. Muszą już wiedzieć, że tutaj jestem. Nie patrz na mnie w ten sposób. Moi przyjaciele będą interweniować u Ojca Inire. Niektórzy może nawet będą rozmawiać o mnie z Autarchą. Wiesz, dlaczego się tutaj znalazłam, prawda?

– Miało to coś wspólnego z twoją siostrą.

– Moja siostra, Thea, jest z Vodalusem. Podobno została jego kochanką, co wydaje mi się całkiem prawdopodobne.

Przypomniałem sobie piękną kobietę na schodach w Lazurowym

Pałacu.

– Wydaje mi się, że widziałem ją raz w nekropolii. Był z nią pewien niezwykle przystojny arystokrata, który przedstawił mi się imieniem Vodalus. Kobieta miała twarz w kształcie serca i głos przypominający gruchanie gołębicy. Czy to była ona?

– Możliwe. Chcą, żeby mnie ocaliła, zdradzając Vodalusa, ale ja wiem, że ona tego nie zrobi. Czemu nie mają mnie wypuścić, kiedy przekonają się, że tak jest w istocie?

Zacząłem mówić o czymś innym, aż wreszcie roześmiała się i powiedziała:

– Jesteś taki inteligentny, Severianie. Kiedy zostaniesz czeladnikiem, będziesz najmądrzejszym katem w historii; doprawdy, to okropna myśl!

– Wydawało mi się, że znajdujesz przyjemność w takich dyskusjach, kasztelanko.

– Tylko teraz, ponieważ nie mogę stąd wyjść. Może to będzie dla ciebie zaskoczeniem, ale na wolności rzadko kiedy zajmowałam się metafizyką. Wolalam tańczyć i oglądać polowania tresowanych lampartów na pekari. Wiedza, którą tak podziwiasz, pochodzi jeszcze z dzieciństwa, kiedy pod groźbą różgi musiałam odsiedzieć swoje w towarzystwie nauczyciela.

– Nie musimy o tym mówić, kasztelanko, jeżeli sobie tego nie życzysz.

Wstała i zanurzyła twarz w bukiecie, który jej przyniosłem.

– Kwiaty więcej mówią o teologii niż jakiegokolwiek księgi. Czy ładnie jest teraz w nekropolii? Chyba nie zrywałś ich z grobów, prawda? A może od kogoś kupiłeś?

– Nie. Zasadzono je tam dawno temu i kwitną każdego roku.

– Już czas – dobiegł zza drzwi głos Drotte'a. Wstałem z miejsca.

– Czy myślisz, że będziesz ją mógł jeszcze zobaczyć? Kasztelanekę Theę, moją siostrę.

– Nie sądzę, kasztelanko.

– A gdyby jednak tak się stało, czy powiesz jej o mnie, Severianie? Być może nie udało im się z nią skontaktować. Nie będzie w tym nic złego, przecież Autarcha tego właśnie sobie życzy.

– Zrobię to. – Byłem już przy drzwiach.

– Wiem, że ona nie zdradzi Vodalusa, ale może uda się osiągnąć jakiś kompromis.

Drotte zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Nie uszło mojej uwagi, że Thecla nie zapytała, skąd jej siostra i Vodalus wzięli się w naszej starożytnej, a tym samym zapomnianej przez wielu, nekropolii.

Po oświetlonej blaskiem lampy celi korytarz, ze swymi metalowymi drzwiami i zimnymi kamiennymi ścianami, wydał mi się nagle bardzo ciemny. Drotte zaczął opowiadać mi, że wraz z Roche'em planują wyprawę do znajdującej się po drugiej stronie Gyoll jaskini lwa, ale zdołałem jeszcze dosłyszeć dochodzący zza zamkniętych drzwi głos Thecli:

– Przypomnij jej, jak zaszyliśmy razem rozprutą lalkę Josephy!

Lilie szybko zwiędły, jak to mają w zwyczaju, rozkwitły natomiast ciemne róże śmierci. Ściąłem je i zaniósłem Thecli fioletowo-szkarłatne naręcze, ona zaś uśmiechnęła się i wyrecytowała:

*Spoczywa tu Róża Gracji, nie Róża Czystości,
I wcale nie różane pachną tu wonności.*

– Jeżeli ich zapach ci się nie podoba, kasztelanko...

– Ależ skąd, jest bardzo słodki. Przypomniałam sobie tylko coś, co często opowiadała moja matka. Podobno tamta kobieta okryła się niesławą, będąc jeszcze małą dziewczynką, kiedy więc umarła, wszystkie dzieci powtarzały ten wierszyk. Ja jednak uważam, że jest on znacznie starszy, a chwila i okoliczności jego powstania są zagubione w dawnych czasach, podobnie jak początki wszystkich dobrych i złych rzeczy. Mężczyźni podobno pożądają kobiet, Severianie. Dlaczego w takim razie pogardzają tymi, które uda im się zdobyć?

– Nie sądzę, żeby odnosiło się to do wszystkich, kasztelanko.

– Ta piękna Róża oddała się komuś, a potem musiała cierpieć wiele drwin i szyderstw, chociaż jej sny i marzenia już dawno rozpadły się w proch wraz z jej smukłym ciałem. Podejdź tutaj i usiądź koło mnie.

Uczyliem, co mi poleciła, ona zaś chwyciła w dłonie dół mojej koszuli i ściągnęła mi ją przez głowę. Protestowałem, ale nie byłem w stanie się oprzeć.

– Czego się wstydzisz? Nie masz przecież piersi, które musiałbyś okrywać. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś o ciemnych włosach, kto jednocześnie miałby tak jasną skórę. Czy uważasz, że moja skóra jest jasna?

– Bardzo jasna, kasztelanko.

– Inni też tak myślą, ale w porównaniu z twoją jest niemal śniada. Kiedy zostaniesz katem, Severianie, będziesz musiał unikać słońca, bo możesz okrutnie się poparzyć.

Jej włosy, zwykle spływające swobodnie na ramiona, dzisiaj były

upięte dokoła głowy na kształt czarnej aureoli. Nigdy jeszcze tak bardzo nie przypominała swojej siostry Thei; czułem tak ogromne pożądanie, że wydawało mi się, iż z każdym uderzeniem serca tryska ze mnie fontanna krwi, pozostawiając mnie coraz słabszym i słabszym.

– Dlaczego pukasz do moich drzwi? – Jej uśmiech powiedział mi, że wie, co się ze mną dzieje.

– Muszę już iść.

– Nie zapomnij założyć koszuli. Nie chcesz chyba, żeby twoi przyjaciele zobaczyli cię w takim stanie?

Tej nocy, chociaż wiedziałem, że to nic nie da, poszedłem do nekropolii i spędziłem kilka wacht, spacerując wśród milczących domostw umarłych. Wróciłem tam następnej nocy i jeszcze następnej, ale potem Roche wziął mnie ze sobą do miasta i tam w jakiejś karczmie usłyszałem kogoś, kto mówił, że Vodalus przebywa daleko na północy, gdzie ukrywa się w ściśniętych mrozem lasach i napada na kalifów.

Mijały dni. Thecla była już pewna, że ponieważ tak długo nic złego się nie działo, nie zostanie już nigdy poddana torturom, i poleciała Drotte'owi, żeby dostarczono jej materiały do pisania i rysowania, dzięki którym naszkicowała plan willi, którą miała zamiar postawić nad południowym brzegiem jeziora Diuturna – według jej słów znajdowało się ono w najdalszej, a zarazem najpiękniejszej części Wspólnoty. Ja z kolei, uważając to za swój obowiązek, zabierałem uczniów na pływackie wyprawy, chociaż nurkując w głębokiej wodzie, ciągle jeszcze nie mogłem pozbyć się uczucia strachu.

A potem zupełnie niespodziewanie, jak się wydawało, zrobiło się za zimno na pływanie, pewnego zaś poranka starte kamienie Starego Dziedzińca roziskrzyły się igiełkami szronu, a na naszych talerzach pojawiła się świeża wieprzowina – nieomylny znak, że do wzgórz poniżej miasta dotarł już prawdziwy mróz. Zostałem wezwany przed oblicze mistrzów Gurloesa i Palaemona.

– Dochodzą nas pochlebne opinie na twój temat, Severianie – odezwał się jako pierwszy mistrz Gurloes. – Okres twojej uczniowskiej służby dobiega już końca.

– Wiek chłopięcy jest za tobą, a męski przed tobą – dodał niemal szeptem mistrz Palaemon. Jego głos był pełen ciepła i serdeczności.

– Otóż to – ciągnął dalej mistrz Gurloes. – Zbliży się święto naszej patronki. Przypuszczam, że myślałeś już o tym, nieprawdaż?

Skinąłem głową.

– Teraz kapitanem uczniów będzie Eata. A ty?

Nie rozumiałem pytania, zatem mistrz Palaemon powtórzył łagodnie:

– A kim ty będziesz, Severianie? Katem? Wiesz, że jeśli chcesz, możesz opuścić nasze bractwo.

Odpowiedziałem, że taka możliwość nigdy nawet nie przyszła mi na myśl. Staralem się, żeby zabrzmiało to tak, jakbym wręcz był zaszokowany jego słowami, ale było to kłamstwo. Wiedziałem, podobnie jak każdy z uczniów, że rzeczywistym członkiem konfraterni zostaje się wówczas, kiedy będąc już mężczyzną, świadomie i dobrowolnie zgłasza się do niej akces. Co więcej, chociaż kochałem nasze bractwo, również go nienawidziłem – nie za cierpienia zadawane często niewinnym klientom, które nierzadko wielokrotnie przewyższały ciężar win, jakie mogli popełnić, ale za to, że jego działania były bezskuteczne i bezowocne, służące władzy nie tylko nieefektywnej, ale i niewidocznej. Nie potrafię chyba lepiej oddać moich uczuć, niż mówiąc, że nienawidziłem bractwa za to, że mnie głodziło i upokarzało, a kochałem dlatego, że było moim domem, kochałem zaś je i nienawidziłem jednocześnie dlatego, że stanowiło przeżytek dawnych czasów, że było słabe i wydawało się niezniszczalne.

Rzecz jasna nie podzieliłem się tymi myślami z mistrzem Palaemonem, chociaż może nawet bym to uczynił, gdyby nie obecność mistrza Gurloesa. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby ta deklaracja lojalności, złożona przez odzianego w łachmany wyrostka, została wzięta na serio, ale tak właśnie się stało.

– Niezależnie od tego, czy zastanawiałeś się nad tym, czy nie, taka możliwość stoi jeszcze przed tobą otworem. Wielu powiedziałoby, że głupotą jest odsłużyć ciężkie uczniowskie lata i odmówić wejścia w poczet czeladników bractwa, ale możesz tak uczynić, jeżeli taka będzie twoja wola.

– Dokąd miałbym pójść? – Nie mogłem im tego powiedzieć, ale to właśnie była główna przyczyna, dla której zdecydowałem się pozostać. Wiedziałem, że zaraz za murami Cytadeli, a właściwie za murami naszej wieży zaczyna się szeroki świat, ale nie mogłem sobie wyobrazić, że mógłbym znaleźć w nim dla siebie jakieś miejsce. Miałem do wyboru niewolę lub pustkę wolności.

– Wychowałem się w naszym bractwie – dodałem w obawie, że znajdą odpowiedź na moje pytanie.

– Tak – mistrz Gurloes skinął poważnie głową – ale nie jesteś jeszcze katem. Nie przyodziałeś się w fuligin.

Dłoń mistrza Palaemona, sucha i pomarszczona niczym dłoń mumii, zacisnęła się na mojej.

– Neofici powiadają: „Znak pozostanie z nami już na zawsze”. Chodzi tu nie tyle o ich wiedzę i wiarę, ile o krzyżmo, które noszą. Ty wiesz, jakie jest nasze.

Skinąłem potwierdzająco głową.

– Jest jeszcze trudniejsze do zmycia. Gdybyś opuścił nas teraz, ludzie mówiliby: „Był wychowany przez katów”. Kiedy jednak przekroczysz ten próg, nikt nie powie inaczej, jak tylko: „On jest katem”. Cokolwiek byś robił, zawsze i wszędzie będziesz słyszał: „On jest katem”. Rozumiesz?

– Nie chcę słyszeć nic innego.

– To dobrze – powiedział mister Gurloes i niespodziewanie obydwaj uśmiechnęli się; mistrz Palaemon pokazał swoje starte, zużyte zęby, a Gurloes prostokątne i żółte niczym zęby martwego kucyka. – Nadszedł w takim razie czas, żebyśmy wyjawili ci ostateczną tajemnicę. – Nawet teraz, kiedy piszę te słowa, słyszę jeszcze w jego głosie dobitny, podniosły ton. – Lepiej, żebyś miał czas ją przemyśleć, zanim rozpocznie się ceremonia.

Po czym wyjawili mi sekret, którego istota stanowi serce i sens istnienia naszej konfraterni i który jest tym bardziej święty, ponieważ nie chroni go żadna liturgia, tylko leży nagi w objęciach Wszechstwórcy. Zaprzysięgli mnie, żebym nigdy nikomu go nie wyjawiał, tylko wtedy, gdy tak jak oni będę kiedyś wprowadzał mego ucznia w tajemnice naszego bractwa. Złamałem tę przysięgę, podobnie jak wiele innych.

rozdział 11

Święto

Dzień naszej patronki przypada u schyłku zimy. Zaczyna się wtedy zabawa: czeladnicy wykonują fantastyczny taniec mieczy, mistrzowie oświetlają zrujnowaną kaplicę na Wielkim Dziedzińcu blaskiem tysięcy wonnych świec, my zaś przygotowujemy ucztę.

Te coroczne uroczystości dzielą się na wielkie (kiedy czeladnik zostaje wyniesiony do godności mistrza), średnie (gdy uczeń zostaje czeladnikiem) oraz małe (podczas których nie ma żadnych wyniesień). Ceremonia nadania mi godności czeladnika miała rangę średniego święta, ponieważ żaden z czeladników nie otrzymał jednocześnie tytułu mistrza. Nie było w tym nic dziwnego – takie okazje zdarzają się nie częściej niż raz na dziesięć lat.

Niezależnie od tego przygotowania zaczęły się już na wiele tygodni przed oczekiwaną chwilą. Słyszałem kiedyś, że na terenie Cytadeli pracują członkowie co najmniej stu trzydziestu pięciu różnych konfraterni, z których kilka (jak na przykład bractwo kuratorów) ma zbyt nieliczne szeregi, żeby czcić swoich patronów w kaplicy, dlatego ich członkowie dołączają wówczas do swoich braci w mieście. Pozostałe konfraternie świętują jednak z największą pompą, na jaką je stać, aby umocnić swój prestiż. Tak czynią żołnierze w dzień Hadriana, marynarze w dzień Barbary, wiedźmy w dzień Magdy. Paradną pompą, najróżniejszymi dziwami i darmową strawą starają się przyciągnąć jak najwięcej uczestników nienależących do ich konfraterni.

Inaczej rzecz się ma u katów. W dzień Świętej Katarzyny nikt spoza bractwa nie biesiaduje z nami już od ponad trzystu lat, kiedy to pewien kapitan straży miejskiej założył się z kimś, że uda mu się wkraść w nasze szeregi. Krąży sporo opowieści o tym, co go spotkało (na przykład jak to pozwoliliśmy mu usiąść z nami do stołu na krześle z rozpalonego do

białości żelaza), ale żadna z nich nie jest prawdziwa. Został godnie przyjęty i ugoszczony, ale ponieważ podczas uczyty nie rozmawialiśmy o bólu i cierpieniach, jakie zadajemy naszym klientom, nie wymyślaliśmy nowych rodzajów męczarni ani nie przeklinaliśmy tych, których ciała rozszarpaliśmy na kawałki za to, że zbyt szybko umarli, jego ciekawość rosła i nabierał podejrzeń, że chcemy jedynie uspić jego czujność, żeby tym łatwiej go później usidlić. Pochłonięty swymi domysłami, jadł mało, natomiast pił dużo, i wracając do swojej kwatery, przewrócił się, uderzając głową tak nieszczęśliwie, że cierpiał od tej chwili bezustannie nieznośny ból. W końcu włożył sobie w usta lufę własnej broni, ale my nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

Tak więc w dzień Świętej Katarzyny w kaplicy zjawiają się tylko kaci, ale co roku, wiedząc, że jesteśmy obserwowani z bardzo wysokich okien, przygotowujemy się do naszego święta tak samo, a może nawet wspanialej od innych. Ustawione dokoła kaplicy czary z winem błyszczą niczym szmaragdy w blasku setek pochodni, pieczone wieprze wylegują się w sadzawkach sosów, wodząc wokół oczami z pieczonych cytrusów, kapibary i aguti zaś, upozowane jak żywe, wspinają się na stosy szynek i zwały świeżo upieczonego ciasta.

Nasi mistrzowie (w roku mojego wyniesienia mieliśmy ich zaledwie dwóch) przybywają w lektykach obwieszonych kwiatami, a następnie stąpają po ułożonym pracowicie ziarenko po ziarenku chodniku z różnokolorowego piasku, którego wymyślny wzór rozsypuje się w chwili, kiedy ich stopy go dotkną.

We wnętrzu kaplicy czeka wielkie, nabijane gwoździami koło, miecz i dziewczyna. Koło znałem dobrze, jako uczeń bowiem wielokrotnie miałem okazję pomagać podczas jego montażu i demontażu. Kiedy nie było potrzebne, przechowywano je w najwyższej części wieży, tuż pod zbrojownią. Miecz, chociaż z odległości kilku metrów wyglądał jak prawdziwe katowskie narzędzie, był jedynie drewnianą atrapą zaopatrzoną w starą rękojeść i pociągniętą błyszczącą farbą.

O dziewczynie nic nie potrafię powiedzieć. Kiedy byłem bardzo młody, jej obecność nawet mnie nie zastanawiała. Kiedy trochę podrosłem (wtedy kapitanem uczniów był Gildas, teraz od dawna już czeladnik), przypuszczałem, że to może jedna z wiedźm, ale wkrótce uświadomiłem sobie, że z całą pewnością konfraternia nie dopuściłaby do takiego pohańbienia swojego święta.

Możliwe, że była to jakaś sługa z oddalonej części Cytadeli lub nawet mieszkanka miasta, która dla zapłaty lub z powodu łączących ją

z naszym bractwem związków odgrywała tę rolę. Jak jest naprawdę, nie wiem do dzisiaj. Wiem tylko tyle, że za każdym razem znajdowała się na swoim miejscu, zupełnie, o ile mogłem to ocenić, niezmieniona. Była wysoka i szczupła, chociaż nie tak wysoka i nie tak szczupła jak Thecla, śniadoskóra, ciemnooka i kruczowłosa. Miała twarz, jakiej nie widziałem u nikogo innego, przypominającą kryształowe czyste jeziorko, na jakie można czasem natrafić w głębi gęstego lasu.

Stała pomiędzy kołem i mieczem, mistrz Palaemon zaś, jako starszy spośród dwóch mistrzów, opowiadał nam o potyczkach naszej konfraterni i o naszych prekursorach z czasów sprzed nadejścia lodów. Ta część jego opowieści była co roku inna, co roku bowiem dzięki intensywnym studiom zmieniała się i poszerzała jego wiedza na ten temat. Dziewczyna stała bez ruchu, a my śpiewaliśmy Pieśń Grozy, hymn konfraterni, który każdy z uczniów musi znać na pamięć, ale wykonuje się go tylko w ten jeden, jedyny dzień roku. Stała bez słowa, a my klęczeliśmy wśród potrząskanych łąw i się modliliśmy.

Potem mistrzowie Gurloes i Palaemon, wspomagani przez starszych czeladników, zaczęli opowiadać jej legendę. Czasem mówił tylko jeden, czasem obydwaj recytowali śpiewnie pewne fragmenty, podczas gdy inni grali na fletach wykonanych z kości udowych lub na trzystrunowych rebekach, których dźwięk przypomina ludzki krzyk.

Kiedy dotarli do chwili, gdy nasza patronka zostaje skazana przez Maxentiusa, rzuciło się na nią czterech zamaskowanych czeladników. Do tej pory spokojna i milcząca, teraz bronila się ze wszystkich sił, kopiąc, drapiąc i krzycząc. Chwycili ją i zaczęli ciągnąć w stronę koła, ale ono, oświetlone pełgającym blaskiem świec, zaczęło się wówczas zmieniać. Najpierw wydawało się, że wypełzają z niego węże, zielone pytony o wysadzanych drogocennymi kamieniami głowach, a potem węże zamieniły się w róże o stulonych ciasno pąkach. Kiedy była tuż przy nich, rozkwitły wszystkie naraz (wiedziałem, że były wykonane z papieru i ukryte wcześniej między fragmentami koła). Czeladnicy cofnęli się, udając strach, ale Gurloes, Palaemon i inni narratorzy, przemawiając razem jako Maxentius, kazali im natychmiast wrócić.

I wtedy ja, ciągle jeszcze bez maski i w stroju ucznia, wystąpiłem naprzód i powiedziałem:

– Opór nic ci nie da. Masz zostać połamana kołem, ale my zaoszczędzimy ci wszelkich zniewag.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko dotknęła koła dłonią, a ono rozpadło się z trzaskiem na kawałki.

– Zetnijcie jej głowę! – rozkazał Maxentius.

Wziąłem w ręce miecz; był bardzo ciężki. Uklękła przede mną.

– Jesteś doradcą Wszechwiedzy – powiedziałem. – Muszę cię zabić, ale błagam, daruj mi moje życie.

– Uderzaj i niczego się nie lękaj – przemówiła po raz pierwszy.

Pamiętam, że gdy uniosłem miecz, przestraszyłem się, że jego ciężar może mnie przeważać.

Kiedy sięgam pamięcią wstecz, zawsze wracam do tej właśnie chwili. Żeby przypomnieć sobie coś, co zdarzyło się wcześniej lub później, muszę posuwać się krok po kroku, zaczynając wędrówkę z tego właśnie miejsca. Wydaje mi się, że ciągle tam stoję w szarej koszuli i postrzępionych spodniach, trzymając nad głową uniesione ostrze. Podnosząc je, byłem jeszcze uczniem, opuszczając, miałem stać się czeladnikiem Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skrucy.

Nasze prawo wymaga, aby kat stał między ofiarą a źródłem światła; głowa dziewczyny leżała na pniu w rzucanym przeze mnie cieniu. Wiedziałem, że spadający miecz nie uczyni jej nic złego, gdyż skieruję go w bok, a uderzenie uruchomi zmyślny mechanizm, który wytoczy na podest skąpaną we krwi woskową głowę, podczas gdy dziewczyna skryje swoją pod fuliginową zasłoną. Mimo to zawahałem się. Przemówiła ponownie, jej głos zadźwięczał mi donośnie w uszach.

– Uderzaj i niczego się nie lękaj.

Włożyłem w cios całą siłę, na jaką było mnie stać. Przez chwilę wydawało mi się, że fałszywe ostrze natrafiło na opór, a potem z hukiem spadło na pniak, który rozpadł się na pół, a z jego wnętrza wytoczyła się zakrwawiona głowa dziewczyny. Mistrz Gurloes uniósł ją za włosy, mistrz Palaemon zaś podstawił dłoń, by schwytać kapiącą krew.

– Naznaczam cię tym oto krzyżem – przemówił, czyniąc krwią znak na moim czole – i ogłaszam cię, Severianie, na zawsze naszym bratem.

– Niech tak się stanie – odparli mistrz Gurloes i wszyscy czeladnicy.

Dziewczyna podniosła się. Doskonale wiedziałem, że jej głowa jest skryta pod fuliginem, ale mimo to miałem wrażenie, że jej tam nie ma. Kręciło mi się w głowie i czułem się bardzo zmęczony. Wzięła głowę z rąk mistrza Gurloesa i udając, że nasadza ją sobie na ramiona, wsunęła ją przez specjalne rozcięcie pod szatę, po czym stanęła przed nami promienna i zdrowa. Ukląknęłam, a inni cofnęli się o krok. Uniosła miecz, którym przed chwilą ściałem jej głowę; jego ostrze czerwieniło się od krwi.

– Jesteś jednym z katów – powiedziała.

Poczułem dotknięcie miecza najpierw na jednym, potem na drugim ramieniu, a następnie czyjeś ręce naciągnęły mi na twarz maskę, symbol naszej profesji, inne zaś chwyciły mnie mocno i nim zdążyłem się zorientować, znajdowałem się już na czyichś ramionach. (Dopiero później dowiedziałem się, że byli to Drotte i Roche, chociaż powinienem był sam się tego domyślić). Przy wtórze radosnych krzyków przenieśli mnie w ceremonialnej procesji przez główną nawę kaplicy.

Na zewnątrz wyszliśmy dopiero wtedy, kiedy zaczęły się fajerwerki; pod naszymi stopami strzelały niezliczone petardy, rakiety rozbijały się kaskadami światła o prastare mury kaplicy, w niebo strzelały czerwone, żółte i zielone rakiety, a w Wielkiej Wieży rozległ się huk armatniego wystrzału.

Potrawy, które już wcześniej opisałem, piętrzyły się na ustawionych na dziedzińcu stołach. Siedziałem na honorowym miejscu między mistrzem Gurloesem a mistrzem Palaemonem. Piłem na umór (dla mnie nawet niewielka ilość była już zbyt duża), odpowiadałem na toasty i pozdrowienia. Nie wiem, co się stało z dziewczyną. Zniknęła tak samo jak każdego dnia Świętej Katarzyny, który pamiętam. Nigdy więcej już jej nie widziałem.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób dotarłem do łóżka. Ci, którzy często i dużo piją, mówili mi nieraz, że czasem zapominają wszystko, co działo się pod koniec zabawy, być może więc ze mną stało się podobnie. Sądzę jednak (ja, który nigdy niczego nie zapominam, a nawet, muszę to wreszcie przyznać, choć może się wydawać, iż się tym chełpię, nie rozumiem, co mają na myśli ci, którzy mówią, że o czymś zapomnieli), że po prostu zasnąłem i zostałem tam zanieiony.

Niezależnie jednak od wszystkiego obudziłem się nie w dobrze mi znanej bursie, tylko w jednym z maleńkich pomieszczeń, które zamieszkiwali czeladnicy. Byłem najmłodszym i najmniej ważnym z nich, a przydzielona mi kwatera dokładnie odpowiadała mojej pozycji.

Wydawało mi się, że łóżko zaczęło się pode mną kołysać. Kiedy chwyciłem jego krawędzie i usiadłem, uspokoiło się, ale wystarczyło, że moja głowa ponownie dotknęła poduszki, a już wszystko zaczynało się od początku. Zdawało mi się, że cały czas czuwam, a potem, że właśnie obudziłem się z głębokiego snu. Byłem pewien, że oprócz mnie w maleńkim pomieszczeniu jest jeszcze ktoś, i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu sądziłem, że jest to ta młoda kobieta, która odgrywała rolę naszej patronki.

Usiadłem w rozkołysanym łóżku. Przez szparę pod drzwiami sączyło

się przyćmione światło – byłem sam.

Kiedy ponownie się położyłem, pokój wypełnił się zapachem perfum. Przyszła do mnie fałszywa Thecla z Lazurowego Pałacu. Wstałem z trudem z łóżka, zataczając się podszedłem do drzwi i je otworzyłem. Korytarz był pusty.

Wyciągnąłem spod łóżka nocnik i zwymiotowałem do niego wielkie kawały najróżniejszych mięs, zmieszane z winem i sokami żołądkowymi. Miałem wrażenie, że dokonuję aktu zdrady, że odrzucając to, co dała mi konfraternia, odrzucam jednocześnie ją samą. Zanosząc się kaszlem i łkaniem, klęczałem dłuższy czas przy łóżku, a potem znowu się położyłem.

Tym razem z pewnością zapadłem w sen. Widziałem kaplicę, ale nie taką, jaką dobrze znałem. Wysokie sklepienie było całe i zwieszały się z niego rubinowe lampy, ławy nie nosiły śladu uszkodzeń, a prastary kamienny ołtarz przybrany był złotym sukniem. Wznosząca się za nim ściana była pokryta piękną błękitną mozaiką, zupełnie jakby zsunął się tam fragment bezchmurnego, czystego nieba.

Zbliżałem się przejściem między ławami i w pewnym momencie uświadomiłem sobie, jak bardzo to sztuczne niebo jest lżejsze od prawdziwego, które nawet w najpogodniejszy dzień ma kolor ciemnego granatu, i o ile jest piękniejsze. Bałem się na nie patrzeć. Wydawało mi się, że unoszę się w powietrzu, porwany jego urodą, spoglądając w dół na ołtarz, puchar szkarłatnego wina, na pokładowy chleb i starożytny nóż. Uśmiechnąłem się...

...i obudziłem. Przez sen usłyszałem dobiegające z korytarza kroki i niewątpliwie je rozpoznałem, chociaż akurat w tej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, do kogo należą. Z wysiłkiem przywołałem z pamięci ich odgłos i nie były to zwyczajne kroki, lecz miękkie stąpnięcia i delikatne drapania.

Rozległy się ponownie, z początku tak słabo, iż wydawało mi się, że rozbrzmiewają jedynie w mojej wyobraźni. Były jednak prawdziwe i przesuwają się korytarzem to w jedną, to w drugą stronę. Próbowałem podnieść głowę, ale nawet ten niewielki wysiłek przyprawił mnie o mdłości, dałem więc sobie spokój, mówiąc, że ktokolwiek chodzi po korytarzu, z pewnością nie jest to moja sprawa. Zapach perfum zniknął i chociaż ciągle czułem się bardzo źle, wiedziałem, że znowu znalazłem się w realnym świecie rzeczywistych przedmiotów i prawdziwego światła. Drzwi uchyliły się lekko i do pokoju zajrzał mistrz Malrubius, jakby pragnął upewnić się, czy nic mi nie potrzeba. Uspokoilem go

gestem dłoni, a on zamknął cicho drzwi. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że umarł, kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

rozdział 12

Zdrajca

Nazajutrz bolała mnie głowa i czułem się potwornie chory. Jak nakazywała tradycja, oszczędzono mi sprzątaną kaplicy i dziedzińca, czym zajmowali się niemal wszyscy bracia, byłem za to potrzebny w lochach. Na kilka chwil ogarnął mnie kojący spokój chłodnych korytarzy, a potem zbiegła tam hałaśliwie cała czereda uczniów, niosąc klientom śniadanie. Był wśród nich mały Eata, już wcale nie taki mały, z opuchniętą wargą i triumfalnym błyskiem w oku. Śniadanie było na zimno i składało się głównie z resztek uczy. Musiałem wyjaśnić niektórym klientom, że jest to jedyna w ciągu roku okazja, kiedy dostają do jedzenia mięso, i że nie będzie żadnych badań ani egzekucji; dzień naszego święta oraz następny są dniami odpoczynku. Wszelkie przesłuchania i inne obowiązki przekładamy na później. Kasztelanka Thecla jeszcze spała. Nie budziłem jej, tylko wniosłem śniadanie do celi i zostawiłem na stole.

Bliżej południa ponownie rozległo się echo kroków. Wszedłem na schody i ujrzałem dwóch żołnierzy, mrużącemu półgłosem modlitwy anagnostę, mistrza Gurloesa i jakąś młodą kobietę. Mistrz Gurloes zapytał, czy mam wolną celę, zacząłem więc wyliczać wszystkie niezajęte pomieszczenia.

– Zajmij się więźniem. Wydałem już odpowiednie polecenia.

Skinąłem głową i chwyciłem kobietę za ramię; żołnierze odstąpili w tył o krok i odwrócili się niczym srebrne automaty.

Przepych jej atlasowej sukni (choć teraz brudnej i podartej) wskazywał na to, że jest szlachcianką. Arystokratka miałaby strój wykonany z lepszego materiału i o subtelniejszym kroju, natomiast nikt z uboższych klas nie mógłby sobie pozwolić na to, co na sobie miała. Anagnosta chciał iść za nami, ale został zatrzymany przez mistrza

Gurloesa. Na schodach rozległy się kroki odchodzących żołnierzy.

– Kiedy zostaną... – w jej głosie słychać było napięcie i przerażenie – zaprowadzona do komnaty przesłuchań?

Przytuliła się do mego ramienia, jakbym był jej kochankiem lub ojcem.

– A będę tam zaprowadzona?

– Tak, pani.

– Skąd o tym wiesz?

– Wszyscy, którzy tutaj przychodzą, prędzej czy później tam trafiają.

– Wszyscy? Nikt nie zostaje zwolniony?

– Czasami.

– Więc ze mną też tak może być, prawda? – Nadzieja w jej głosie przywiodła mi na myśl kwiat, który wyrósł w głębokim cieniu.

– Jest to możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne.

– Nie chcesz wiedzieć, co zrobiłam?

– Nie – odparłem.

Tak się złożyło, że akurat wolna była cela sąsiadująca z celą Thecli i pomyślałem, że powinienem ją tam umieścić. Kasztelanka miałaby towarzystwo – mogłyby rozmawiać przez szpary w dzielących je drzwiach – chociaż hałas, jaki bym teraz spowodował, najprawdopodobniej obudziłby Theclę. Mimo to zdecydowałem się to zrobić. Ulżenie samotności, wydawało mi się, będzie więcej niż wystarczającą rekompensatą za utratę kilku chwil snu.

– Byłam zaręczona z pewnym oficerem i odkryłam, że on utrzymuje kochankę. Nie chciał z niej zrezygnować, opłaciłam więc kilku ludzi, żeby spalili jej chatę. Straciła puchową pierzynę, kilka mebli i trochę ubrań. Czy to jest przestępstwo, za które powinnam być torturowana?

– Nie wiem, madame.

– Nazywam się Marcellina, a ty?

Włożyłem klucz do zamka jej celi i przekręciłem go, zastanawiając się, czy mam jej podać swoje imię. Thecla, która właśnie poruszyła się w sąsiednim pomieszczeniu, i tak by jej to powiedziała.

– Severian.

– Zarabiasz na chleb, łamiąc ludziom kości, prawda? Musisz mieć przyjemne sny.

Oczy Thecli już patrzyły przez szczelinę w drzwiach.

– Kto jest z tobą, Severianie?

– Nowy więzień, kasztelanko.

– Kobieta? Na pewno kobieta, słyszałam jej głos. Z Domu Absolutu?

– Nie, kasztelanko. – Nie wiedząc, kiedy obydwie kobiety będą mogły się zobaczyć, kazałem Marcellinie stanąć przed drzwiami Thecli.

– Kolejna kobieta... Czy to nie dziwne, Severianie? Ile ich teraz macie?

– Osiem na tym poziomie, kasztelanko.

– Chyba często przebywa ich tu znacznie więcej?

– Rzadko zdarza się więcej niż cztery.

– Jak długo będę musiała tu zostać? – zapytała Marcellina.

– Niedługo. Tylko nieliczni przebywają tu przez dłuższy czas, madame.

– Ja lada dzień stąd wyjdę – wtrąciła pośpiesznie Thecla. – On o tym wie.

Nowa klientka naszej konfraterni spojrzała z zainteresowaniem w jej stronę.

– Czy naprawdę będziesz uwolniona, kasztelanko?

– On wie. Wysyłał moje listy, prawda, Severianie? A od kilku dni ciągle się ze mną zegna. Na swój sposób jest bardzo miłym chłopcem.

– Musisz już wejść do celi, madame – wtrąciłem – ale możecie dalej rozmawiać, jeśli macie ochotę.

Po rozdaniu kolacji zostałem zmieniony przez innego czeladnika. Na schodach spotkałem Drotte'a, który poradził mi, żebym położył się do łóżka.

– To ta maska – odparłem. – Nie jesteś przyzwyczajony oglądać mnie w niej.

– Wystarczy, że widzę twoje oczy. Czyż nie potrafisz rozpoznać po oczach każdego z braci i stwierdzić, czy jest w dobrym, czy też złym nastroju? Powinieneś pójść do łóżka.

Odpowiedziałem, że mam jeszcze coś do zrobienia, po czym poszedłem do gabinetu mistrza Gurloesa. Nie było go, tak jak przypuszczałem, wśród papierów na biurku znalazłem zaś ten, który spodziewałem się znaleźć (nie podejmuję się wyjaśnić, dlaczego ani w jaki sposób): polecenie rozpoczęcia przesłuchań kasztelanki Thecli.

Nie mogłem zasnąć, poszedłem więc (już po raz ostatni, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem) do grobowca, w którym bawiłem się jako mały chłopiec. Odlana z brązu postać starego arystokraty pokryła się wyraźną patyną, przez na wpół uchylone drzwi wpadło do środka trochę liści, ale poza tym wszystko pozostało bez zmian. Opowiedziałem raz Thecli o tym miejscu i teraz wyobraziłem sobie, że jest tutaj ze mną. Uciekła dzięki mojej pomocy, a ja przyrzekłem, że nikt jej tu nie znajdzie, ja zaś będę przynosił jej jedzenie, a kiedy poszukiwania ustaną,

przeprowadzę ją bezpiecznie na handlową barkę, którą będzie mogła popłynąć z biegiem krętej Gyoll aż do delty i dalej do morza.

Gdybym był jednym z tych bohaterów, o których czytaliśmy w starych romansach, uwolniłbym ją jeszcze tego wieczoru, zabijając uprzednio pełniących służbę braci, ale ja nikim takim nie byłem, a poza tym nie posiadałem ani żadnej trucizny, ani broni groźniejszej od ukradzionego z kuchni noża.

Jeżeli zaś mam wyjawić prawdę, to przyczyną zaniechania tego desperackiego kroku były słowa, które usłyszałem tego ranka, pierwszego ranka po moim wyniesieniu. Kasztelanka Thecla powiedziała, że jestem „na swój sposób miłym chłopcem”, i jakaś dorosła częśćka mojej duszy wiedziała, że nawet gdyby udało mi się pokonać wszelkie przeciwności, to i tak zostanę tym „miłym chłopcem”. Wówczas wydawało mi się, że to ma jakieś znaczenie.

Nazajutrz rano mistrz Gurloes polecił mi, żebym asystował mu podczas badania. Poszedł z nami także Roche.

Otworzyłem drzwi celi. W pierwszej chwili nie zrozumiała, po co przyszliśmy, i zapytała mnie, czy może ktoś przyjechał do niej w odwiedzinę, a może ma zostać uwolniona.

Domyśliła się, kiedy dotarliśmy do celu. Wielu wówczas mdleje, ale nie ona. Mistrz Gurloes zapytał uprzejmie, czy życzy sobie, żeby wyjaśnić jej działanie zgromadzonych tu przyrządów.

– To znaczy tych, których będziecie używać? – W jej głosie słychać było tylko lekkie drżenie.

– Och nie, tego bym nie zrobił. Myślałem o tych różnych dziwacznych maszynach, które będziemy mijać. Niektóre są bardzo stare, a większość w ogóle nie jest używana.

Thecla rozejrzała się dokoła. Komnata badań – nasze zasadnicze miejsce pracy – nie jest podzielona na osobne cele, lecz stanowi całość, poprzegradzaną tylko tu i ówdzie rurami i kablami prowadzącymi do starodawnych silników i zastawioną narzędziami używanymi w naszej profesji.

– Czy ta maszyna, którą zastosujecie na mnie, też jest stara?

– Najszlachetniejsza ze wszystkich – odparł mistrz Gurloes.

Zaczekał na jej odpowiedź, ale kiedy nie padła, rozpoczął wyjaśnienia.

– To tak zwany latawiec, o którym z pewnością słyszałaś. Za nim – gdybyś zechciała przejść tutaj, mogłabyś lepiej widzieć – przyrząd, który nazywamy aparatem. Powinien on wypalać w ciele klienta układane

dowolnie słowa, ale rzadko kiedy działa bez zarzutu. Widzę, że przyglądasz się staremu pręgierzowi. To jedynie specjalny stelaż służący do unieruchamiania rąk, a do tego bicz o trzynastu rzemieniach. Kiedyś stał na Starym Dziedzińcu, ale więdźmy ustawicznie skarżyły się na krzyki, kasztelan polecił więc przenieść go tutaj. Było to około stu lat temu.

– Kto to są więdźmy?

– Obawiam się, że nie mamy czasu teraz się tym zajmować. Severian może ci o nich opowiedzieć, kiedy wrócisz do swojej celi.

Spojrzała na mnie, jakby chciała zapytać: „Czy naprawdę jeszcze tam wrócę?”, a ja skorzystałem z tego, że stała między mną a mistrzem Gurloesem, i ścisnąłem jej lodowatą dłoń.

– Tam z tyłu...

– Zaczekaj. Czy mogę wybierać? Czy istnieje jakiś sposób, żeby skłonić was... do robienia jakiejś rzeczy zamiast innej? – Jej głos był już wyraźnie słabszy.

Gurloes pokręcił głową.

– Ani ty, ani my nie mamy w tej sprawie nic do powiedzenia, kasztelanko. Wykonujemy jedynie dostarczane nam wyroki, robiąc nie więcej i nie mniej, niż nam polecono, i nie wprowadzając żadnych zmian. – Odchrząknął z zakłopotaniem. – Następne urządzenie wydaje mi się bardzo interesujące. Nazywamy je naszyjnikiem Allowina. Klient zostaje przywiązany do tego krzesła, a dźwignia jest umocowana tak, żeby dotykała jego piersi. Z każdym oddechem łańcuch zaciska się coraz bardziej, więc im szybciej i głębiej oddycha, tym mniej może nabrać powietrza. Teoretycznie przy bardzo płytkich oddechach i powolnym zaciskaniu się łańcucha może to trwać w nieskończoność.

– To straszne. A tam, z tyłu? Ten zwój drutu i wielka szklana kula nad stołem?

– Ach, wreszcie dotarliśmy. Nazywamy to rewolucjonistą. Mogę prosić, kasztelanko?

Przez długą chwilę Thecla stała nieruchomo niczym posąg. Była najwyższa z nas, ale potworny strach na jej twarzy sprawił, że ten wzrost nie był już niczym imponującym.

– Jeżeli nie posłuchasz, czeladnicy cię do tego zmuszą. Zapewniam cię, kasztelanko, że nie będzie to nic przyjemnego.

– Myślałam, że chcecie pokazać mi wszystkie... – wyszeptała.

– Wszystko aż do tego miejsca. Lepiej, żeby myśli klienta były czymś zajęte. A teraz połóż się, proszę.

Posłuchała natychmiast, robiąc to równie lekko i wdzięcznie, jak nieraz widziałem to w jej celi. Pasy, którymi przypięliśmy ją z Roche'em, były tak stare i zbutwiałe, że zastanawiałem się, czy wytrzymają. Teraz należało przeprowadzić z jednego końca sali do drugiego wiązkę kabli oraz połączyć oporniki i wzmacniacze. Na konsolocie zapłonęły wiekowe światła, czerwone niczym nabiegłe krwią oczy, całe zaś pomieszczenie wypełniło brzęczenie przypominające śpiew jakiegoś ogromnego owada. Oto na kilka chwil znowu ożyła starodawna maszyneria. Jeden z kabli nie był podłączony i z jego zaśniedziałej końcówki strzelały snopy oślepiająco błękitnych iskier.

– Błyskawice – powiedział mistrz Gurloes, mocując go na miejscu. – Nazywa się to jeszcze inaczej, ale zapomniałem jak. W każdym razie napędzają go błyskawice. To nie znaczy, kasztelanko, że uderzy w ciebie piorun, ale właśnie dzięki temu to funkcjonuje. Severianie, pchnij dźwignię, tak żeby ta igła doszła do tego miejsca.

Rękojeść, jeszcze przed chwilą zimna niczym wąż, teraz była ciepła.

– Jak to działa?

– Nie potrafię ci opisać, kasztelanko. Sama rozumiesz, nigdy tego nie doświadczyłem.

Gurloes dotknął przełącznika i w tej samej chwili na Theclę runęła lawina jaskrawego białego światła, odbierającego barwę wszystkiemu, co znalazło się w jego zasięgu. Thecla krzyknęła; słyszałem krzyki przez całe życie, ale ten był najgorszy ze wszystkich, chociaż wcale nie najgłośniejszy. Wydawał się trwać bez końca, niczym przeraźliwe skrzywienie nienaoliwionego koła.

Kiedy światło zgasło, była ciągle przytomna. Wpatrywała się przed siebie otwartymi szeroko oczyma, ale zdawała się nie dostrzegać ani nie czuć mojej dłoni, kiedy ją dotknąłem. Oddech miała szybki i płytki.

– Czy zaczekamy, aż będzie mogła iść? – zapytał Roche. Najwyraźniej myślał o tym, jak niewygodnie będzie nieść tak wysoką kobietę.

– Weźcie ją teraz – polecił mistrz Gurloes. Ułożyliśmy ją na noszach.

Kiedy uporałem się już ze wszystkimi obowiązkami, przyszedłem do jej celi, żeby zobaczyć, jak się czuje. Była już zupełnie przytomna, chociaż ciągle jeszcze nie mogła wstać.

– Powinnam cię znienawidzić – powiedziała.

Musiałem nachylić się, żeby dosłyszeć jej słowa.

– Zrób, jak uważasz.

– Ale nie mogę. Nie ze względu na ciebie. Co mi zostanie, jeśli znienawidzę swojego ostatniego przyjaciela?

Na to pytanie nie sposób było odpowiedzieć, więc milczałem.

– Wiesz, jak to było? Minęło sporo czasu, zanim znowu mogłam o tym myśleć.

Jej prawa dłoń pełzła w górę, w kierunku oczu. Chwyciłem ją i zmusiłem do powrotu.

– Zdawało mi się, że widzę swojego największego wroga, jakby demona. A to byłam ja.

Rana na jej głowie krwawiła. Opatrzyłem ją, chociaż wiedziałem, że wkrótce i tak nie będzie po niej śladu.

– Od tamtej chwili nie kontroluję tego, co robią moje ręce. Mogę, jeśli o tym myślę, jeśli wiem, co one robią. Ale to jest bardzo trudne i szybko się męczę. – Odwróciła głowę i splunęła krwią. – Gryzę policzki, język i wargi. Niedawno moje ręce próbowały mnie udusić i myślałam, że to dobrze, wreszcie umrę. Ale tylko straciłam świadomość, a one pewnie osłabły, bo się obudziłam. To tak jak ta maszyna, prawda?

– Naszyjnik Allowina.

– Tyle że to jest gorsze. Teraz moje dłonie chcą mnie oślepić, zedrzyć powieki. Czy będę ślepa?

– Tak.

– Kiedy umrę?

– Może za miesiąc. Ta istota w tobie, która cię nienawidzi, będzie słabła razem z tobą. To maszyna powołała ją do życia, lecz jej energia jest twoją energią, toteż umrzecie razem.

– Severianie...

– Tak?

– Rozumiem. – Zamilkła na chwilę. – To istota z Erebu, z najgłębszych otchłani, w sam raz towarzysz dla mnie, Vodalus...

Nachyliłem się jeszcze bliżej, ale nic nie mogłem dosłyszeć. Wreszcie powiedziałem:

– Próbowałem cię ocalić. Chciałem to zrobić. Ukradłem nóż i całą noc czatowałem na okazję, ale tylko mistrz ma prawo wyprowadzić więźnia z celi, musiałbym więc zabić...

– Swoich przyjaciół.

– Tak, moich przyjaciół.

Jej ręce znowu się poruszyły, a z ust wyciekł strumyczek krwi.

– Przyniesiesz mi ten nóż?

– Mam go tutaj – powiedziałem i wyjąłem nóż spod ubrania. Był to zwykły kuchenny nóż; ostrze miało długość nie więcej niż piędzi.

– Wydaje się ostry.

– Bo jest ostry. Wiem, jak należy dbać o nóż, i starannie go naostrzyłem. – Były to ostatnie słowa, jakie do niej powiedziałem. Włożyłem nóż do jej prawej dłoni i wyszedłem.

Wiedziałem, że przez pewien czas będzie się jeszcze wahała. Po tysiąckroć wracała ta sama myśl: żeby wejść do celi, zabrać nóż i nikt o niczym się nie dowie, a ja będę mógł spokojnie dożyć swoich dni w bractwie katów.

Jeżeli nawet z jej gardła wydobył się charkot, to go nie słyszałem. Przez długą, długą chwilę wpatrywałem się w drzwi celi, a kiedy wyciekł spod nich wąski szkarłatny strumyczek, poszedłem do mistrza Gurloesa i opowiedziałem mu o swoim czynie.

rozdział 13

Liktor z Thraxu

Przez następnych dziesięć dni żyłem jak jeden z klientów w celi znajdującej się na najwyższym poziomie lochów (nawet niedaleko od tej, w której mieszkała Thecla). Żeby uniknąć oskarżenia konfraterni o to, że potępiła mnie bez praworządnego procesu, drzwi celi pozostawiono otwarte, ale na korytarzu czuwali bez przerwy dwaj czeladnicy z obnażonymi mieczami, nie opuszczałem jej więc, jeśli nie liczyć tych kilku chwil drugiego dnia, kiedy zostałem zaprowadzony do mistrza Palaemona, by jeszcze raz opowiedzieć swoją historię. To był właśnie mój proces, jeśli was to interesuje. Przez pozostałe dni konfraternia zastanawiała się nad karą dla mnie.

Mówi się, że czas ma szczególną właściwość utrwalania wydarzeń, a czyni to poprzez uprawdopodobnianie naszych uprzednich kłamstw i przeinaczeń. Skłamałem, mówiąc, że kocham katowskie bractwo i że nie pragnę niczego innego, jak pozostać na jego łonie. Teraz przekonałem się, że te kłamstwa zamieniają się w prawdę. Życie czeladnika, a nawet ucznia zaczęło mi się nagle wydawać nadzwyczaj atrakcyjne. Nie dlatego, że byłem pewien śmierci, ale dlatego, że je bezpowrotnie utraciłem. Spoglądałem teraz na mych braci z punktu widzenia klientów – jawili mi się jako wszechmocni, nieubłagani wykonawcy woli wrogiej, niemal doskonałej maszyny.

Zdając sobie sprawę z tego, że mój przypadek jest beznadziejny, doświadczyłem na sobie tego, czego uczył mnie niegdyś mistrz Malrubius: że nadzieja jest psychologicznym mechanizmem całkowicie niezależnym od zewnętrznej rzeczywistości. Byłem młody, dawano mi dobrze jeść i pozwalano spać, miałem więc nadzieję. Wciąż od nowa, niemal bez przerwy śniłem o tym, że w chwili kiedy będę miał umrzeć, zjawi się Vodalus. Nie sam, jak wtedy w nekropolii, lecz na czele armii,

która zmiecie precz zgniliznę wieków i uczyni nas ponownie panami gwiazd. Często wydawało mi się, że z korytarza dobiega odgłos równego, donośnego kroku tej armii, a czasem podchodziłem do drzwi ze świecą w rękę, bo zdawało mi się, że w ciemności zaczynającej się za wyciętą w nich szczeliną widzę twarz Vodalusa.

Jak już powiedziałem, oczekiwałem, że zostanę zgładzony. Głównym pytaniem, które zaprzętało moją uwagę podczas tych długich dni, było: w jaki sposób? Poznałem wszystkie arkana sztuki katowskiej, teraz więc przypominałem je sobie, czasem pojedynczo, w kolejności, w jakiej nas ich uczono, a czasem wszystkie naraz, aż do bólu. Życ z dnia na dzień w celi pod powierzchnią ziemi i myśleć o torturach już samo w sobie jest torturą.

Jedenastego dnia zostałem wezwany przed oblicze mistrza Palaemona. Znowu ujrzałem czerwony blask słońca i oddychałem wilgotnym wiatrem, który zwykle obwieszczał, że nadchodzi już wiosna. Och, jak wiele mnie kosztowało tak iść koło Bramy Zwłok i widzieć czuwającego przy niej Brata Furtiana.

Gabinet mistrza Palaemona wydał mi się bardzo duży i jednocześnie nadzwyczaj cenny, jakby wszystkie zakurzone książki i papiery należały do mnie. Mistrz wskazał mi miejsce; był bez maski i wydawał się starszy niż zazwyczaj.

– Wraz z mistrzem Gurloesem omawialiśmy twoją sprawę – powiedział. – Chcielibyśmy zapoznać z nią także czeladników, a nawet uczniów. Lepiej, żeby znali prawdę. Większość jest zdania, że zasługujesz na śmierć.

Przerwał, oczekując na moją reakcję, ale ja milczałem.

– Mimo to wiele powiedziano na twoją obronę. Podczas prywatnych rozmów ze mną i mistrzem Gurloesem wielu czeladników prosiło, żeby pozwolić ci umrzeć bez bólu.

Nie wiem dlaczego, ale nagle zapragnąłem koniecznie wiedzieć, ilu mam przyjaciół.

– Więcej niż dwóch i więcej niż trzech. Dokładna liczba nie ma znaczenia. Czyżbyś uważał, że nie zasługujesz na najbardziej bolesną śmierć?

– Na maszynie z błyskawicami – powiedziałem, mając nadzieję, że to właśnie będzie mi oszczędzone.

– Tak, to by było w sam raz. Jednakże...

Zamilkł. Mijała chwila za chwilą. Pierwsza mucha rodzącego się lata krążyła z brzęczeniem wokół świetlika. Chciałem ją rozgnieść, schwytać

i wypuścić, krzyknąć na mistrza Palaemona, żeby wreszcie coś powiedział, w końcu wstać i uciec z pokoju, ale nie byłem w stanie zrobić żadnej z tych rzeczy. Siedziałem tylko na starym drewnianym krześle przy jego stole i czułem, że właściwie już jestem trupem, a mimo to jeszcze muszę umrzeć.

– Otóż my po prostu nie możemy cię zabić. Niełatwo mi było przekonać o tym Gurloesa, ale tak jest naprawdę. Jeżeli zgładzimy cię bez wyroku, okazemy się niewiele lepsi od ciebie. Ty nas oszukałeś, ale w ten sposób my oszukalibyśmy prawo. Co więcej, narazilibyśmy na niebezpieczeństwo samą konfraternię, Inkwizytor bowiem nazwałby to po prostu morderstwem.

Przerwał ponownie i tym razem to wykorzystałem.

– Ale za to, co uczyniłem...

– Taki wyrok byłby słuszny. Racja. Mimo to według prawa nie wolno nam odbierać życia z naszej własnej inicjatywy. Ci, którym to wolno, strzegą zazdrośnie tego prawa. Gdybyśmy się do nich zwrócili, wyrok byłby pewny, ale reputacja naszego bractwa zostałaby bezpowrotnie zszargana, a znaczna część pokładanego w nim zaufania na zawsze stracona. Czy byłbyś zadowolony, Severianie, widząc naszych klientów strzeżonych przez żołnierzy?

Znowu pojawiła się przede mną wizja, którą miałem wówczas, kiedy niemal utonąłem w nurtach Gyll. Podobnie jak wtedy, tak i teraz miała ona dla mnie posępny, ale wyraźny urok.

– Wolałbym odebrać sobie życie – odparłem. – Mógłbym wypłynąć na środek rzeki i tam utonąć, z dala od jakiegokolwiek pomocy.

Przez zniszczoną twarz mistrza Palaemona przemknął cień gorzkiego uśmiechu.

– Dobrze, że tylko ja słyszę tę propozycję. Mistrz Gurloes byłby aż nadto rad, mogąc zwrócić ci uwagę, że minąłby co najmniej miesiąc, zanim ktokolwiek uwierzyłby w to, że dobrowolnie wszedłeś do wody.

– Mówię poważnie. Pragnę bezbolesnej śmierci, ale jednak śmierci, a nie przedłużenia życia.

– Nawet gdyby to był środek lata, nie moglibyśmy przystać na twą propozycję. Inkwizytor mimo wszystko domyśliłby się, że to my spowodowaliśmy twoją śmierć. Na szczęście dla ciebie znaleźliśmy bezpieczniejsze rozwiązanie. Czy wiadomo ci cokolwiek o kondycji naszej profesji na prowincji? – Potrząsnąłem głową. – Jest bardzo marna. Jedynie w Nessus, a ściślej tu, w Cytadeli, znajduje się kaplica naszej konfraterni. Pomniejsze miejscowości mają tylko oprawcę, który

odbiera życie i zadaje takie tortury, jakie miejscowe władze uznają za stosowne. Człowiek ten jest powszechnie znienawidzony i budzi paniczny lęk. Czy rozumiesz?

– Ta funkcja jest dla mnie zbyt zaszczytna – odparłem zgodnie z tym, co myślałem. W tej chwili nienawidziłem siebie bardziej niż konfraternię. Potem wielokrotnie przypominałem sobie te słowa, i chociaż były moje własne, to w wielu kłopotach przynosiły mi pocieszenie.

– Jednym z takich miast jest Thrax, Miasto Bezokiennych Pokoi – mówił dalej mistrz Palaemon. – Tamtejszy archont o imieniu Abdiesus napisał list do Domu Absolutu. Jeden z marszałków przekazał ów list kasztelanowi, ten zaś mnie. Thrax pilnie potrzebuje kogoś wykonującego funkcje, które ci opisałem. W przeszłości skazaniec mógł uratować życie pod warunkiem, że obejmie ten urząd, ale ponieważ teraz cała okolica przeżarta jest bezprawiem, boją się tak uczyńć.

– Rozumiem.

– Do tej pory dwukrotnie zdarzało się, że członkowie bractwa byli zsyłani do odległych miast, chociaż kroniki milczą o tym, jakie popełnili wykroczenia. Mimo to te zapiski stwarzają precedens i otwierają nam drogę wyjścia z labiryntu. Udasz się do Thraxu, Severianie. Sporządziłem list, w którym przedstawiam cię archontowi i jego urzędnikom jako obeznanego w wysokim stopniu ze wszelkimi tajnikami naszego powołania. Biorąc pod uwagę miejsce, w którym się znajdziesz, nie jest to wcale przesadą.

Pochyliłem głowę, pogodziwszy się już z myślą o tym, co mam zrobić. Jednocześnie poczułem palący wstyd. Nie był tak dokuczliwy jak ten spowodowany myślą o hańbie, na jaką naraziłem nasze bractwo, ale za to świeższy i bardziej przykry, bo nie zdążyłem się jeszcze przyzwycząić do jego obecności. Spowodowany był pragnieniem natychmiastowego wyruszenia w drogę – moje stopy tęskniły za dotykiem trawy, oczy za nowymi widokami, a płuca za świeżym, czystym powietrzem odległych, bezludnych miejsc.

Zapytałem mistrza Palaemona, gdzie mam się udać w poszukiwaniu tego miasta.

– W dół Gyoll, blisko morza. – Przerwał nagle, jak to się często zdarza starym ludziom. – Nie, nie. O czym ja myślę? W górę Gyoll, oczywiście. – I w tym samym momencie setki mil marszu wzdłuż brzegu niestrudzenie uderzanego przez fale, piasek i krzyki ptaków rozplynęły się w nicości. Mistrz Palaemon wyjął z szafy mapę, rozwinął ją, po czym

nachylił się tak nisko, że soczewki, przez które patrzył, niemal dotykały jej powierzchni.

– Tutaj – powiedział, wskazując mi małą kropkę na brzegu cienkiej kreski rzeki, w pobliżu występujących w dolnej części jej biegu katarakt. – Jeśli ma się pieniądze, można odbyć tę podróż łodzią, ale ciebie czeka piesza wędrówka.

– Rozumiem – odparłem. Chociaż pamiętałem o spoczywającej w bezpiecznym ukryciu cienkiej sztuce złota, którą otrzymałem od Vodalusa, wiedziałem, że nie wolno mi jej wykorzystać. Wołą konfraterni było oddać mi tylko z taką ilością pieniędzy, jaką mógł posiadać młody czeladnik, i zarówno przez wzgląd na roztropność, jak i poczucie honoru powinienem przy tym pozostać.

Jednocześnie zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że nie było to w porządku. Jest wielce prawdopodobne, że gdybym nie zobaczył wówczas kobiety o twarzy w kształcie serca i nie otrzymał tej monety, nie zaniósłbym później noża Thecli, przekreślając tym samym swoją przyszłość w bractwie. W pewnym sensie zawdzięczałem tej monecie życie.

Dobrze więc – pozostawię za sobą całą moją dotychczasową przeszłość.

– Severianie! – dobiegł mnie podniesiony głos mistrza Palaemona. – Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Podczas lekcji nigdy ci się to nie zdarzało.

– Przepraszam. Myślałem o wielu różnych rzeczach.

– Nie wątpię. – Po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął i przez chwilę wyglądał jak ten mistrz Palaemon, którego zapamiętałem z dzieciństwa. – Dawałem ci dobrą wskazówkę dotyczącą czekającej cię podróży. Teraz będziesz musiał dać sobie radę bez niej, ale pewnie i tak byś o niej szybko zapomniał. Co wiesz o drogach?

– Tylko tyle, że nie należy z nich korzystać. Nic więcej.

– Zamknął je Autarcha Maruthas. Miałem wtedy twoje lata. Podróże sprzyjają rozkoszom, on zaś chciał, żeby wszystkie towary przybywały do miasta i opuszczały je drogą wodną, gdzie łatwo jest je oclić. Prawo to pozostało w mocy do dziś i jak słyszałem, na wszystkich drogach w promieniu pięćdziesięciu mil usytuowane są silne posterunki. Same drogi jednak istnieją, chociaż są w złym stanie i podobno pod osłoną nocy niektórzy z nich korzystają.

– Rozumiem. – Zamknięte czy nie, na pewno mogą znacznie ułatwić mi wędrówkę.

– Wątpię, czy rzeczywiście rozumiesz. Chcę cię ostrzec. Są strzeżone przez konne patrole mające rozkaz zabijać każdego, kogo napotkają, a ponieważ wolno im łupić tych, których pozbawią życia, nie są zbyt skłonni słuchać jakichkolwiek wyjaśnień.

– Rozumiem – powtórzyłem, tym razem z większym przekonaniem, a w duchu zastanowiłem się, skąd też mistrz ma tak dokładne wiadomości na temat podróžowania.

– To dobrze. Dzień zbliża się już do połowy. Jeżeli chcesz, możesz przespać tu jeszcze tę noc i wyruszyć rano.

– Musiałbym spać w celi?

Skinął głową. Chociaż wiedziałem, że właściwie nie jest w stanie dostrzec mojej twarzy, czułem się tak, jakby jakaś jego część dokładnie mi się przypatrywała.

– W takim razie wyruszę teraz. – Zastanawiałem się, co powinienem zrobić, zanim po raz ostatni opuszczę wieżę, ale nie byłem w stanie nic wymyślić, chociaż byłem pewien, że coś takiego musi jednak istnieć. – Czy mogę prosić o jedną wachtę na przygotowanie? Kiedy czas minie, natychmiast wyruszę.

– Z tym nie ma żadnych kłopotów. Zanim jednak odejdziesz, chcę, żebyś jeszcze tutaj zajrzał. Zrobisz to?

– Oczywiście, mistrzu, skoro tego sobie życzysz.

– Bądź ostrożny, Severianie. Masz w konfraterni wielu przyjaciół, którzy pragnęliby, żeby to się nigdy nie stało. Ale są także inni, którzy sądzą, że nas zdradziłeś i zasługujesz na męczarnie i śmierć.

– Dziękuję, mistrzu. – Schyliłem głowę. – Ci drudzy mają rację.

Mój niewielki dobytek znajdował się już w mojej celi. Związałem go w węzełek, który okazał się tak mały, że mogłem go wsadzić do przytroczonej do pasa sakwy. Powodowany miłością i żalem za tym, co minęło, poszedłem do celi Thecli.

Była ciągle pusta. Krew Thecli zmyto już z podłogi, ale na metalu pozostał wyraźny rdzawy ślad. Zniknęło jej ubranie, podobnie jak kosmetyki. Cztery książki, które przyniosłem jej przed rokiem, pozostały wraz z innymi na stoliku. Nie mogłem oprzeć się pokusie, żeby zabrać jedną z nich; w bibliotece było ich tak wiele, że z pewnością nie stanie się nic złego, jeżeli zabraknie im jednego egzemplarza. Wyciągnąłem rękę, zanim jeszcze uświadomiłem sobie, że nie wiem, na którą się zdecydować. Książka z herbami była najpiękniejsza, ale stanowczo zbyt ciężka, żeby brać ją na długą wędrówkę. Ta o teologii była najmniejsza, lecz brązowa wcale tak bardzo nie przewyższała jej rozmiarami.

W końcu zdecydowałem się właśnie na tę z opowieściami z zaginionych światów.

Następnie ruszyłem w górę po schodach wieży, mijając magazyn i zbrojownię, by wreszcie znaleźć się w pokoju o szklanym dachu, poszarzałych ekranach i dziwacznie przechylonych krzesłach. Nie zatrzymałem się tam jednak, tylko wspiąłem się po wąskiej drabinie jeszcze wyżej, aż wreszcie stanąłem na przezroczystych śliskich taflach, płosząc swoim pojawieniem się stado czarnych ptaków, które uleciały w niebo niczym płatki sadzy. Nad moją głową łopotał czarny sztandar konfraterni.

Stary Dziedziniec wydawał się stąd mały, a nawet ciasny, ale jednocześnie nieskończenie swojski i wygodny. Wyłom w murze był większy, niż kiedykolwiek przypuszczałem, ale po obydwu stronach Czerwonej i Niedźwiedziej Wieży potężna ściana stała mocna i dumna. Najbliższy naszej wieży Wiedźminiec był smukły, ciemny i wysoki – powiew wiatru przyniósł do mnie strzęp dzikiego śmiechu, który dopadł mnie szponiastym uściskiem strachu, chociaż my, kaci, zawsze żyliśmy w zgodzie z naszymi siostrami wiedźmami.

Za murem, na zboczu schodzącym aż do brzegów Gyoll, której błyszczące wody mogłem dostrzec między rozpadającymi się dachami domów, rozciągała się wielka nekropolia. Po drugiej stronie rzeki zaokrąglona kopuła kurhanu wydawała się nie większa od kamyczka, a otaczające go miasto przypominało dywan z różnokolorowego piasku, po którym kroczyli przed wiekami mistrzowie bractwa katów.

Dostrzegłem kaik o wysokim, prostym dziobie, takiej samej rufie i wydętym wiatrem żaglu, płynący z prądem na południe; mimo woli popłynąłem przez chwilę wraz z nim, aż do otoczonej bagnami delty, a potem do roziskrzonego morza, w którym drzemie wielki potwór Abaia, przyniesiony w przedlodowych czasach z najdalszych brzegów wszechświata i czekający teraz, aż przyjdzie jego czas i będzie mógł pożreć kontynenty.

Potem odwróciłem myśli od skutego lodami morza i zwróciłem je na północ, ku szczytom i górnemu biegowi rzeki. Przez długi czas (nie wiem dokładnie, jak długi, ale kiedy się ocknąłem, słońce było już w zupełnie innym miejscu) patrzyłem właśnie na północ. Góry widziałem jedynie oczami duszy, prawdziwymi bowiem mogłem dostrzec tylko miliony dachów miasta, a w dodatku potężne srebrne wieże Cytadeli zasłaniały mi niemal pół horyzontu. W niczym mi jednak nie przeszkadzały i w gruncie rzeczy niemal ich nie dostrzegałem. Na północy znajdowały

się Dom Absolutu, katarakty i Thrax, Miasto Bezokiennych Pokoi. Na północy były rozległe równiny, nieprzebyte lasy, a wreszcie opasujące świat gnijące dżungle.

Kiedy już niemal oszalałem od tych wszystkich myśli, zszedłem do gabinetu mistrza Palaemona i powiedziałem mu, że jestem gotów odejść.

rozdział 14

Terminus Est

– Mam dla ciebie podarunek – powiedział mistrz Palaemon. – Biorąc pod uwagę twoją młodość i siłę, nie sędzę, żeby miał okazać się dla ciebie za ciężki.

– Nie zasługuję na żadne podarunki.

– W rzeczy samej. Musisz jednak wiedzieć, Severianie, że gdy się na jakiś dar zasługuje, to nie jest on już darem, tylko zapłatą. Prawdziwe podarunki to tylko takie jak ten, który teraz właśnie otrzymasz. Nie mogę wybaczyć ci tego, co uczyniłeś, ale nie mogę też zapomnieć, kim byłeś. Od chwili, kiedy mistrz Gurloes został wyniesiony do swojej obecnej godności, nie miałem lepszego ucznia. – Podniósł się z miejsca i skierował do alkowy, skąd po chwili dobiegł jego głos. – Ach, więc jednak jeszcze nie jest dla mnie za ciężki.

Pojawił się, niosąc coś tak czarnego, że niemal niewidocznego w panującym w pokoju cieniu.

– Pozwól, że ci pomogę, mistrzu.

– Nie trzeba, nie trzeba. Łatwy do podniesienia, ale ciężki, gdy opada, po tym poznaje się dobry wyrób.

Położył na stole czarną jak najgłębsza noc skrzynię niemal długości trumny, ale znacznie węższą. Kiedy ją otwierał, srebrne zatrzaski zadźwięczały niczym dzwonki.

– Nie daję ci tej skrzyni, bo nie sposób byłoby się z nią poruszać. Oto ostrze, pochwa, w której będziesz je nosił, oraz pendent.

Miałem go w dłoniach, zanim jeszcze w pełni zrozumiałem, co to właściwie jest. Pochwa z wyprawionej na czarno ludzkiej skóry skrywała go niemal aż po samą gałkę. Ściągnąłem ją (okazała się delikatniejsza od najbardziej miękkich rękawiczek) i ujrzałem go w całej okazałości.

Nie będę zanudzał was opisywaniem jego piękna i zalet, żeby je bowiem w pełni docenić, musielibyście sami go zobaczyć i wziąć do ręki. Ostrze miało łokieć długości, było proste i równo zakończone, tak jak powinno być. Jeszcze w odległości piędzi od srebrnej osłony, ograniczonej z obydwu stron rzeźbionymi głowami, zarówno męska, jak i niewieścia strona ostrza mogły przeciąć włos na dwoje. Rękojeść wykonana z łączonego ze srebrem onyksu miała dwie piędzie długości i zwieńczona była opalem. Sztuka miała go upiększyć, ale nie mogła nic mu dać, jako że jej głównym zadaniem jest czynienie atrakcyjnymi i ważnymi tych rzeczy, które same przez się takimi nie są. Na ostrzu dziwnymi i pięknymi literami wypisane były słowa Terminus Est; od chwili moich odwiedzin w Ogrodzie Czasu poznałem na tyle starożytne języki, żeby wiedzieć, iż słowa te znaczą tyle co „Oto linia podziału”.

– Jest dobrze naostrzony, zapewniam cię – powiedział mistrz Palaemon, widząc, że sprawdzam ostrze kciukiem. – Przez wzgląd na tych, którzy zostaną ci powierzeni, dbaj o to, żeby zawsze taki pozostał. Zastanawiam się tylko, czy nie jest on dla ciebie zbyt potężnym partnerem. Spróbuj go unieść.

Chwyciłem rękojeść Terminus Est tak samo, jak uczyniłem to z atrapą podczas obrzędu mego wyniesienia, i podniosłem go nad głowę, uważając jednak, żeby nie zawadzić o sufit. Poczulem wyraźnie, że poruszył mi się w ręku, zupełnie jakbym trzymał żywą zmię.

– Masz jakieś trudności?

– Nie, mistrzu. Tylko tyle, że poruszył się, kiedy go unosiłem.

– Wewnątrz ostrza przez całą jego długość wydrążony jest kanał, w którym zamknięta jest pewna ilość hydragyrum – metalu cięższego od żelaza, ale płynnego niczym woda. Dzięki temu środek ciężkości przesuwa się do rękojeści, kiedy miecz jest podniesiony, ku końcu ostrza zaś, kiedy opada. Często będziesz musiał czekać na koniec modlitwy lub na znak od mistrza ceremonii; w tym czasie miecz nie ma prawa zachwiać się ani zdrześć... Ale ty o tym wszystkim wiesz. Nie muszę ci chyba mówić, jakim szacunkiem należy go darzyć. Niech Mojra ci sprzyja, Severianie.

Wyjąłem osełkę z przeznaczonej na nią kieszeni przy pochwie i wrzuciłem ją do sakwy, na jej miejsce kładąc list od mistrza Palaemona do archonta z Thraxu, który dla pewności zawiązałem jeszcze w skrawek natłuszczonego jedwabiu, po czym pożegnałem się i wyszedłem.

Z przewieszonym przez lewe ramię mieczem przeszedłem przez Bramę Zwłok i znalazłem się w wietrznym ogrodzie nekropolii. Strażnik

czuwający przy najniższej, najbliższej rzeki bramie przyglądał mi się dziwnie, ale nie zatrzymał mnie, wkrótce więc szedłem wąskimi uliczkami, które prowadzą do biegnącej wzdłuż Gyoll Wodnej Drogi.

Teraz muszę napisać o czymś, co wciąż przepełnia mnie wstydem, mimo tego wszystkiego, co później się wydarzyło. Te popołudniowe chwile były najszczęśliwymi w moim życiu. Zniknęła cała dawna nienawiść do konfraterni, pozostała jedynie miłość do niej, do mistrza Palaemona, moich braci, a nawet uczniów, do głoszonej przez nią nauki i jej zastosowań. Pozostawiłem wszystko, co kochałem, zbezczeszcivszy to uprzednio w straszliwy sposób. Powinienem był szlochać.

Ale nie uczyniłem tego. Coś się we mnie unosiło, a kiedy powiał wiatr, rozwijając połę mego płaszcza niczym skrzydła, miałem wrażenie, że jeszcze chwila i polecę wraz z nim. Nie wolno nam uśmiechać się w obecności kogokolwiek z wyjątkiem naszych mistrzów, braci, klientów i uczniów. Nie chciałem zakładać maski, naciągnąłem więc kaptur na oczy i pochyliłem głowę, żeby ukryć twarz przed spojrzeciami przechodniów. Sądziłem, że zginę gdzieś po drodze, ale się myliłem. Sądziłem, że nigdy już nie wrócę do Cytadeli i do naszej wieży, ale się myliłem. Myliłem się również, sądząc, że czeka mnie jeszcze wiele dni takich jak ten, i dlatego się uśmiechałem.

W mojej ignorancji przypuszczałem, że przed nadejściem zmroku będę już daleko za miastem i że spędzę w miarę bezpiecznie noc pod jakimś drzewem. W rzeczywistości kiedy zachodni nieboskłon wyszedł na spotkanie słońcu, nie minąłem jeszcze nawet najstarszej i najbiedniejszej jego części. Prosić o gościnę w którejś ze stojących wzdłuż Wodnej Drogi ruin lub próbować zasnąć w jakimś kącie równałoby się niemal pewnej śmierci, szedłem więc naprzód, aż wiatr oczyścił do połysku świecące na niebie gwiazdy. Dla nielicznych przechodniów nie byłem już katem, tylko skromnie odzianym wędrowcem, dźwigającym jakiś podłużny czarny pakunek.

Od czasu do czasu wiatr przynosił dźwięki muzyki z łodzi ślizgających się po pełnej wodorostów tafli Gyoll. Te biedniejsze nie miały żadnych świateł i przypominały raczej unoszące się na wodzie wraki, ale dostrzegłem również kilka wspaniałych jednostek o wywieszonych na dziobie i rufie silnych lampach, wydobywających z mroku ich bogate złocenia. Z obawy przed niespodziewanym atakiem trzymały się środka nurtu, ale i tak słyszałem niesioną nad wodą pieśń wioślarzy:

Silniej, bracia, ramionami!
Prąd jest przeciw nam.
Silniej, bracia, ramionami!
Ale Bóg jest z nami.
Mocniej, bracia, ramionami!
Wiatr nam wieje w twarz.
Mocniej, bracia, ramionami!
Ale Bóg jest z nami.

I tak dalej. Nawet kiedy lampy przypominały już tylko żarzące się milę lub dwie w górze rzeki iskry, wiatr wciąż jeszcze przynosił strzępy pieśni. Później miałem okazję zaobserwować, że za każdym powtórzeniem refrenu następuje pociągnięcie wiosłem, natomiast przy zmieniających się frazach wiosłarze wykonują nim zamach.

Kiedy wydawało się, że lada moment zacznie dzień, dostrzegłem na czarnej wstędze rzeki rząd iskierek niebędących światłami żadnego statku, tylko pochodniami oświetlającymi spinający brzegi Gyoll most. Gdy dotarłszy do niego, wspiałem się po zrujnowanych schodach, poczułem się jak aktor wkraczający na zupełnie nową scenę.

O ile Wodna Droga pogrążona była w ciemnościach, o tyle most skąpany był w świetle. Do umieszczonych co dziesięć kroków słupów przytwierdzono płonące pochodnie, a co sto kroków wznosiły się wieże strażnicze o jarzących się pełnym blaskiem oknach. Wszystkie mijające mnie powozy miały własne oświetlenie, podobnie jak przechodnie, z których każdy albo sam niósł jakąś lampę, albo czynił to za niego jego sługa. Roilo się tu od przekupniów zachwalających swoje towary, które nosili przed sobą na zawieszonych na szyi tacach, posługujących się dziwnymi językami obcych oraz żebraków odsłaniających rany, usiłujących grać na przeróżnych instrumentach i szczypiących boleśnie swoje dzieci, żeby te głośniej płakały.

Przyznaję, że wszystko to bardzo mnie interesowało, chociaż odebrane nauki powstrzymywały przed gapiowatym rozglądaniem się dookoła. Z nasuniętym na czoło kapturem i wzrokiem wbitym w jakiś punkt szedłem przez tłum, jakbym nie zwracał na niego uwagi, ale jednocześnie czułem, jak opada ze mnie przynajmniej część zmęczenia, mój krok stał się dłuższy i szybszy, chyba właśnie dlatego, że tak bardzo chciałem pozostać w tym miejscu.

Strażnikami byli peltaści w lekkich półpancerzach i z przeźroczystymi tarczami. Znajdowałem się już niemal na zachodnim

brzegu, kiedy dwaj z nich stanęli przede mną, zagradzając mi drogę błyszczącymi w świetle pochodni włóczniami.

– Noszenie stroju, który masz na sobie, jest poważnym przestępstwem. Narazasz się na kłopoty, jeśli w tym przebraniu planujesz jakiś żart lub oszustwo.

– Mam prawo nosić szaty mojej konfraterni – odparłem.

– Więc twierdzisz, że naprawdę jesteś oprawcą? Czy to, co niesiesz, to twój miecz?

– Tak, to miecz, ale ja nie jestem oprawcą, tylko czeladnikiem w Zgromadzeniu Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy.

Zapadła cisza. Podczas tych kilku chwil, które zajęło im zadanie pytania, a mnie udzielenie odpowiedzi, zebrało się wokół nas co najmniej sto osób. Peltasta, który do tej pory milczał, spojrział na swego towarzysza, jakby chciał powiedzieć: „On mówi zupełnie serio”, a następnie rozejrzał się po otaczającym nas tłumie.

– Chodź z nami. Dowódca chce z tobą mówić.

Zaczekali, aż wejść przed nimi w wąskie drzwi. Wewnątrz znajdował się niewielki pokój wyposażony w stół i kilka krzeseł. Wspiąłem się na górę po schodach noszących ślady deptania przez niezliczone ciężko obute stopy i znalazłem się w podobnym pomieszczeniu, w którym za dużym biurkiem siedział, pisząc coś, odziany w pancerz mężczyzna. Strażnicy szli za mną i kiedy staliśmy już przed biurkiem, ten, który ze mną rozmawiał, powiedział:

– To jest ten człowiek.

– Wiem – odparł dowódca, nie podnosząc wzroku.

– Twierdzi, że jest czeladnikiem w bractwie katów.

Pióro, które do tej pory wędrowało po kartce papieru, zatrzymało się.

– Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam coś takiego gdzie indziej niż na kartach jakiejś starej książki, ale wydaje mi się, że on mówi prawdę.

– Czy mamy go wypuścić? – zapytał żołnierz.

– Jeszcze nie.

Człowiek siedzący za biurkiem otarł pióro, posypał piaskiem ukończony list i dopiero wtedy spojrział na nas.

– Twoi podwładni zatrzymali mnie, ponieważ wątpili w moje prawo do noszenia stroju, który mam na sobie – powiedziałem.

– Zatrzymali cię, ponieważ ja im kazałem, a kazałem im dlatego, że według raportu z posterunków na wschodnim brzegu stałeś się przyczyną niepokojów. Jeśli istotnie jesteś członkiem bractwa katów – a myślałem, szczerze mówiąc, że zostało już dawno rozwiązane – to

znaczy, że całe swoje dotychczasowe życie spędziłeś w... Jak wy to nazywacie?

– W Wieży Matachina.

Strzelił palcami, sprawiając wrażenie kogoś, kto jest zarazem rozbawiony i zasmucony.

– Chodź mi o miejsce, gdzie stoi ta wasza wieża.

– Cytadela.

– Tak, właśnie. Stara Cytadela. Zdaje się, że to na wschód od rzeki, na północnym skraju Algedonu. Kiedy byłem kadetem, zabierano mnie tam, żeby pokazać mi Donjon. Jak często wychodziłeś do miasta?

Przypomniałem sobie nasze pływackie eskapady.

– Często.

– W takim stroju?

Potrząsnąłem głową.

– Jeżeli chcesz tak odpowiadać, to zsuń kaptur z twarzy, bo widzę tylko czubek twojego nosa. – Mężczyzna wstał z miejsca i podszedł do okna, z którego roztaczał się widok na cały most. – Jak myślisz, ilu ludzi mieszka w Nessus?

– Nie mam pojęcia.

– Ani ja, kacie. Nikt nie wie. Wszystkie próby policzenia ich spełzły na niczym, podobnie jak ściągnięcia od każdego należnych podatków. Miasto rośnie i zmienia się każdej nocy, podobnie jak mazane kredą na murach napisy. Czy wiesz, że mądrzy ludzie zdzierają w nocy bruk i budują na ulicach domy, roszcząc następnie pretensje do gruntu? Szlachetny Talarican, którego szaleństwo objawiało się przez zainteresowanie najpodlejszymi aspektami ludzkiej egzystencji, twierdził, że liczba ludzi, którzy utrzymują się przy życiu, spożywając to, co inni wyrzucają na śmietnik, przekracza dwadzieścia pięć tysięcy; że w mieście przebywa stale dziesięć tysięcy żebrzących akrobatów, z czego niemal połowa to kobiety; że gdyby z każdym naszym oddechem jakiś nędzarz miał z tego mostu skakać, to żylibyśmy wiecznie, to miasto bowiem rodzi i niszczy ludzi szybciej, niż oddychamy. W takiej ciźbie nie ma alternatywy dla spokoju. Nie można tolerować żadnych zaburzeń, gdyż później nie sposób ich zlikwidować. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Istnieje alternatywa dla porządku. Tak, rozumiem, o co ci chodzi.

Dowódca odwrócił się z westchnieniem w moją stronę.

– Dobrze, że chociaż to rozumiesz. Zgodzisz się w takim razie ze mną, że koniecznie musisz zmienić swój strój na mniej rzucający się w oczy.

– Nie mogę wrócić do Cytadeli.

– Więc skryj się gdzieś na noc i kup coś jutro rano. Masz pieniądze?

– Trochę.

– To dobrze. Kup więc, ukradnij albo zdejmij ubranie z następnego nieszczęśnika, którego skrócisz o głowę tym narzędziem. Kazałbym jednemu z żołnierzy odprowadzić cię do gospody, ale to spowodowałoby jeszcze więcej zamieszania. Coś działo się dzisiaj na rzece i plotki zataczają coraz szersze kręgi. W dodatku wiatr cichnie i nadchodzi mgła, będzie więc jeszcze gorzej. Dokąd zmierzasz?

– Polecono mi udać się do miasta zwanego Thrax.

– Wierzysz mu, kapitanie? – zapytał peltasta. – Nie przedstawił żadnego dowodu na prawdziwość swoich słów.

Dowódca znowu wyglądał przez okno; teraz i ja dostrzegłem pierwsze pasma brunatnożółtej mgły.

– Jeżeli nie potrafisz skorzystać z głowy, użyj nosa – odparł. – Co czułeś, kiedy się do niego zbliżyłeś?

Żołnierz uśmiechnął się niepewnie.

– Zardzewiałe żelastwo, zimny pot, zaschniętą krew. Od oszusta czuć by było zapach świeżego ubrania lub odór starych, wyciągniętych z jakiegoś śmietnika łąchów. Jeżeli wkrótce nie nauczysz się myśleć, Petronaksie, znajdziesz się na północy, gdzie będziesz mógł walczyć z Ascianami.

– Ale, kapitanie... – Żołnierz rzucił na mnie spojrzenie tak pełne nienawiści, iż zacząłem się obawiać, czy nie będzie chciał wyrządzić mi jakiejś krzywdy, kiedy już znajdziemy się poza strażnicą.

– Pokaż mu, że naprawdę należysz do konfraterni katów.

Żołnierz niczego się nie spodziewał, nie miałem więc żadnych problemów. Prawą ręką wytrąciłem mu tarczę, przytrzymałem stopą jego nogę, a lewą dłonią uderzyłem w nerw na karku, który powoduje natychmiastowe wystąpienie silnych konwulsji.

rozdział 15

Baldanders

Miasto po zachodniej stronie mostu różniło się bardzo od tego, które opuściłem. Początkowo na skrzyżowaniach ulic płonęły pochodnie, a ruch wszelkiego rodzaju powozów był nie mniejszy niż na samym moście. Przed opuszczeniem strażnicy zasięgnąłem rady dowódcy co do miejsca, w którym najlepiej byłoby spędzić pozostałą część nocy. Teraz, czując na nowo zmęczenie, które opuściło mnie tylko na chwilę, szedłem z wysiłkiem przed siebie, rozglądając się w poszukiwaniu oberży.

Po pewnym czasie odniosłem wrażenie, że z każdym krokiem otaczający mnie mrok coraz bardziej się pogłębia – musiałem na którymś skrzyżowaniu skręcić w niewłaściwą przecnicę. Nie chcąc jednak zawracać, starałem się utrzymać kierunek na północ, pocieszając się myślą, że nawet jeśli chwilowo się zgubiłem, to i tak każdy krok przybliżył mnie do Thraxu. Wreszcie natrafiłem na niewielką gospodę. Nie zobaczyłem szyldu – być może wcale go nie było – ale poczułem zapach różnych potraw i usłyszałem brzęk naczyń. Otworzyłem na oścież drzwi i wszedłem do środka. Opadłem na jakieś stare krzesło, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, gdzie i w którym towarzystwie się znalazłem.

Po pewnym czasie, kiedy złapałem już oddech i postanowiłem pomyśleć o jakimś miejscu, w którym mógłbym ściągnąć buty (choć daleki byłem jeszcze od tego, żeby wstać i go poszukać), trzech siedzący w kącie mężczyźni podnieśli się i wyszli. Oberżysta, widząc, że moja obecność nie wpływa korzystnie na jego interesy, podszedł do mnie i zapytał, czego chcę. Powiedziałem, że potrzebuję pokoju.

- Nie mamy pokoi.
- To dobrze, bo ja i tak nie mam pieniędzy, żeby zapłacić.
- W takim razie musisz odejść.

– Nie teraz. Jestem jeszcze zbyt zmęczony. – Słyszałem od innych czeladników, jak wielokrotnie korzystali z tej sztuczki, kiedy byli w mieście.

– Jesteś oprawcą, prawda? Ścinasz głowy?

– Przynies mi dwie z tych ryb, które czuję, a zostawię same łby.

– Mogę wezwać Straż Miejską. Wyrzucą cię stąd.

Poznałem po jego głosie, że sam nie bardzo wierzy w swoje słowa, odesłałem go więc, mówiąc, aby wzywał sobie, kogo mu się podoba, ale żeby tymczasem przyniósł mi rybę. Odszedł, mamrocząc coś pod nosem. Usiadłem prosto, trzymając między kolanami Terminus Est, który uprzednio musiałem zdjąć z pleców. W gospodzie oprócz mnie było jeszcze pięciu ludzi, ale wszyscy unikali mojego wzroku, dwaj zaś wkrótce wstali i pośpiesznie wyszli.

Karczmarz wrócił z małą rybą leżącą na kromce czerstwego chleba.

– Zjedz to i odejdz.

Kiedy jadłem, stał obok i nie spuszczał ze mnie wzroku. Skończywszy posiłek, zapytałem go, gdzie mogę położyć się spać.

– Nie ma pokoi. Już ci powiedziałem.

Gdyby nawet o pół łańcucha stąd czekał na mnie wspaniały pałac, nie sądzę, żebym potrafił zmusić się do tego, aby opuścić tę gospodę.

– W takim razie będę spał na tym krześle – oznajmiłem. – Chyba już dzisiaj nie będziesz miał więcej gości.

– Zaczekaj. – Wszedł do sąsiedniego pomieszczenia, skąd dobiegły mnie odgłosy jego rozmowy z jakąś kobietą.

Obudził mnie, potrząsając za ramię.

– Chcesz spać we trzech w łóżku?

– Z kim?

– Z dwoma szlachcicami. Bardzo mili ludzie, przysięgam. Podróżują razem. – Kobieta krzyknęła z kuchni coś, czego nie zrozumiałem.

– Słyszałeś? – mówił dalej gospodarz. – Jeden z nich nawet jeszcze nie przyszedł. O tej porze już pewnie w ogóle nie wróci na noc. Będzie was tylko dwóch.

– Skoro oni wynajęli dla siebie pokój...

– Nie będą mieli nic przeciwko temu, obiecuję. Prawdę mówiąc, zalegają z opłatą. Mieszkają już od trzech dni, a zapłacili tylko za pierwszy.

Miałem więc posłużyć jako ostrzeżenie przed eksmisją. Nie przeszkadzało mi to, a nawet dawało nadzieję, że gdy obecni lokatorzy wyniosą się, będę mógł mieć pokój tylko dla siebie. Z trudem podniosłem

się i poszedłem za oberżystą na górę.

Pokój, do którego weszliśmy, nie był zamknięty, ale panowały w nim grobowe ciemności. Ktoś bardzo ciężko oddychał.

– Dobry człowieku! – ryknął oberżysta, zapominając, że jego klient podobno miał być szlachcicem. – Ej, ty! Jak ty tam się nazywasz? Blady? Baldanders? Przyprowadziłem ci kogoś do towarzystwa. Jak się nie płaci rachunków, to trzeba brać sublokatorów.

Żadnej odpowiedzi.

– Tędy, Mistrzu Oprawco – zwrócił się do mnie gospodarz. – Zapalę ci światło. – Zaczął dmuchać w hubkę, aż rozzarzyła się na tyle, żeby knot świecy mógł się od niej zająć.

Pokój był bardzo mały, a jedyne jego umeblowanie stanowiło łóżko. Na łóżku tym leżał odwrócony do nas plecami największy człowiek, jakiego kiedykolwiek w życiu widziałem, człowiek, którego bez żadnej przesady można było nazwać olbrzymem.

– Nie obudzisz się, Baldandersie, żeby zobaczyć, z kim przyjdzie ci dzielić łóżko?

Chciałem się już położyć, dlatego kazałem karczmarzowi wyjść z pokoju. Protestował, ale wypchnąłem go za drzwi i natychmiast usiadłem na niezajętej połowie łóżka, żeby ściągnąć buty i skarpety. Słaby blask świecy potwierdził moje przypuszczenia, że dorobiłem się kilku pęcherzy. Zdjąłem płaszcz, po czym rozpostarłem go na starej kołdrze. Przez chwilę zastanawiałem się, czy zdjąć pas i spodnie, czy nie. Skromność i zmęczenie kazały mi wybrać to drugie rozwiązanie, a poza tym zwróciłem uwagę, że olbrzym wydawał się całkowicie ubrany. Odczuwając olbrzymie wyczerpanie i niewysłowioną ulgę, zdmuchnąłem świecę i położyłem się, żeby spędzić moją pierwszą noc poza Wieżą Matachina.

– Nigdy.

Głos był tak donośny i dźwięczny (niemal jak najniższe tony organów), że w pierwszej chwili nie byłem pewien, co to za słowo ani czy w ogóle to, co powiedział, było jakimś słowem.

– Co mówisz? – wymamrotałem.

– Baldanders.

– Wiem, gospodarz mi powiedział. Ja jestem Severian. – Leżałem na wznak, mając Terminus Est u boku, między mną a moim sąsiadem. W ciemności nie mogłem stwierdzić, czy odwrócił się do mnie twarzą, ale mimo to byłem pewien, że poczułbym każde poruszenie tego ogromnego ciała.

– Ty... ucinasz.

– Więc słyszałeś nas, kiedy tu weszliśmy. Myślałem, że śpisz. – Otwierałem już usta, żeby powiedzieć, iż nie jestem zwykłym oprawcą, tylko czeladnikiem w konfraterni katów, ale przypomniałem sobie swój haniebny uczynek oraz to, dokąd i jako kto idę. – Tak, ucinam głowy – powiedziałem – ale nie musisz się mnie obawiać: robię tylko to, co wynika z moich obowiązków.

– Więc jutro.

– Tak, jutro będzie dość czasu, żeby się poznać i porozmawiać.

A potem już śniłem, chociaż być może słowa Baldandersa także były jedynie snem. Mimo wszystko chyba jednak nie, a nawet jeżeli tak było, to należały one do innego snu.

Dosiadłem wielkiej istoty o pokrytych skórą skrzydłach. Unosząc się pomiędzy poszarpanymi obłokami a pogrążoną w półmroku ziemią, spływaliśmy w dół powietrznego zbocza. Ogromna istota tylko raz wykonała lekki ruch skrzydłami. Umierające słońce było dokładnie przed nami i wyglądało na to, że poruszamy się z taką samą prędkością jak Urth, bo chociaż lecieliśmy, wydawało się, że ono ciągle stoi w tym samym miejscu.

Wreszcie dostrzegłem pod nami jakąś zmianę; początkowo myślałem, że to pustynia. Hen, daleko, zamiast miast, farm, lasów lub pól pojawiła się ciemnofioletowa, bezkształtna, statyczna pustka. Skrzydlata istota również ją dostrzegła, a może zwietrzyła jej zapach. Poczulem, jak stalowe mięśnie napinają się, i skrzydła trzykrotnie podniosły się i opuściły.

W fioletowej pustce pojawiły się białe plamy. Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że jej pozorny spokój był wynikającym z jednolitości złudzeniem – wszędzie była taka sama, ale wszędzie w ruchu, unosząca w sobie Urth Rzeka – świat Uroboros.

Wtedy po raz pierwszy obejrzałem się za siebie i zobaczyłem cały ludzki świat znikający w paszczy nocy.

Kiedy już go nie było, pod nami zaś rozciągał się jedynie bezmiar skotłowanej wody, bestia odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Miała dziób ibisa, twarz czarownicy, a na głowie kościaną mitrę. Przez moment przyglądaliśmy się sobie i wydawało mi się, że słyszę jej myśli: Teraz śnisz, ale kiedy się obudzisz, będę przy tobie.

Zmieniłem kierunek lotu, podobnie jak lugier zmienia swój kurs, gdy marynarze przestawiają żagle, przechodząc na przeciwny hals. Jedno skrzydło opadło, drugie powędrowało w górę, wskazując prosto w niebo,

a ja zsunąłem się z przechylnego grzbietu i runąłem do morza.

Siła uderzenia była tak wielka, że się obudziłem. Wyprężyłem się i usłyszałem pomruk śpiącego olbrzyma. Sam też coś wymamrotałem, sprawdziłem po omacku, czy miecz leży koło mego boku, po czym ponownie zasnąłem.

Woda zamknęła się nade mną, ale mimo to nie utonąłem. Czułem, że mogę nią oddychać, lecz nie oddychałem. Wszystko było tak wyraźne i czyste, iż odnosiłem wrażenie, że spadam przez pustkę bardziej przejrzystą od powietrza.

Hen, daleko zamajaczyły olbrzymie kształty przedmiotów setki razy większych od człowieka. Niektóre z nich przypominały okręty, inne obłoki, jeden był żywą głową bez ciała, inny znów miał sto głów. Spowijała je błękitna mgiełka. Kiedy spojrzałem w dół, ujrzałem rozległy teren pokryty zrytym prądami piaskiem. Stał tam pałac większy od naszej Cytadeli, lecz był w kompletnej ruinie – jego komnaty miały ten sam dach co i ogrody. Wewnątrz poruszały się olbrzymie postacie, białe niczym trąd.

Spadałem coraz niżej, a one zwróciły ku mnie swoje twarze, takie same jak te, które widziałem kiedyś pod powierzchnią Gyoll: twarze nagich kobiet o włosach z zielonej morskiej piany i oczach z koralu. Śmiejąc się, obserwowały mój upadek, a ich śmiech wypływał ku mnie wielkimi bąblami. Każdy z ich białych ostrych zębów miał długość mojego palca.

Byłem już zupełnie nisko. Wyciągnęły ku mnie ręce i głaskały mnie, tak jak matka głaszcząc swoje dziecko. W pałacowych ogrodach rosły gąbki, morskie anemony i różne inne niezliczone piękności, o których nazwach nie miałem żadnego pojęcia. Wobec otaczających mnie olbrzymek wydawałem się nie większy od lalki.

– Kim jesteście? – zapytałem. – I co tutaj robicie?

– Jesteśmy pannami Abaii, jego kochankami, ślicznotkami, zabawkami i pieszczoszkami. Ziemia nie mogła nas utrzymać. Nasze piersi gruchotały rogi barana, nasze pośladki łamały karki bykom. Tutaj się pasiemy, pływając i ciągle rosnąc, aż wreszcie jesteśmy dość duże, żeby połączyć się z Abaią, który pewnego dnia pożre wszystkie kontynenty.

– A kim ja jestem?

Wtedy roześmiały się wszystkie razem, a ich śmiech był niczym odgłos fal rozbijających się o szklaną plażę.

– Pokażemy ci – powiedziały. – Pokażemy ci!

Dwie z nich wzięły mnie za ręce, tak jak siostry biorą dzieci swojej siostry, uniosły mnie i popłynęły przez ogród. Ich palce były tak długie jak moja ręka od ramienia do łokcia.

Zatrzymały się, opadając niczym zatopione galeony, aż wreszcie nasze stopy dotknęły piasku. Przed nami wznosił się niski mur, na nim zaś stała mała, zasłonięta kurtyną scena, jakiej dzieci zwykle używają w swoich zabawach.

Spowodowane przez nas zawirowania wody dotarły do miniaturowej kurtyny – zmarszczyła się, zafalowała, po czym zaczęła się rozsuwać, jakby ściągała ją jakaś niewidzialna ręka. Wreszcie na scenie pojawiła się patykowata figurka człowieka. Ręce i nogi miał z gałązek z widoczną jeszcze korą i zielonymi pączkami, tułów z kawałka kija o średnicy mniej więcej mojego kciuka, głowę zaś z grubej narośli, której sęki udawały oczy i usta. Miał pałkę (którą wygrażał w naszym kierunku) i poruszał się zupełnie jak żywy.

Kiedy mały człowieczek wskoczył na scenę, wymachując dla okazania swojej wrogości trzymaną w dłoni pałką, wkroczyła na nią także figurka przedstawiająca uzbrojonego w miecz chłopca. Ta marionetka była wykonana równie starannie jak tamta niedbale i mogła być nawet prawdziwym dzieckiem, tyle tylko, że zmniejszonym do rozmiarów myszy.

Obydwie laleczki ukloniły się, po czym rozpoczęły walkę. Drewniany człowiek wykonywał nieprawdopodobne skoki i zdawał się wypełniać całą scenę ciosami swojej pałki. Chłopiec unikał ich, tańcząc niczym mol w promieniu światła, i usiłował ugodzić przeciwnika nie większym od szpilki ostrzem.

W pewnym momencie drewniana figurka upadła. Chłopiec podszedł do niej, jakby chciał postawić stopę na jej piersi, ale zanim zdążył to uczynić, patykowata marionetka spłynęła ze sceny, z wolna uniosła się ku górze i wreszcie zniknęła z oczu, pozostawiając w dole chłopca oraz połamaną pałkę i złamany miecz. Zdawało mi się, że słyszę (w rzeczywistości bez wątplenia było to dochodzące z ulicy skrzywienie kół) triumfalną fanfarę zabawkowych trąbek.

Obudziłem się, ponieważ do pokoju weszła trzecia osoba. Był to mały, pełen animuszu człowieczek o płomieniście rudych włosach, ubrany dobrze, a nawet ze smakiem. Kiedy zauważył, że nie śpię, otworzył na oścież okiennice, wpuszczając do pokoju czerwone promienie słońca.

– Mój partner zawsze ma głęboki sen – powiedział. – Czy nie ogłuszyło cię jego chrapanie?

– Ja sam również bardzo mocno spałem – odparłem. – Jeśli nawet chrapał, to tego nie słyszałem.

Moja odpowiedź chyba sprawiła mu przyjemność, bo pokazał w szerokim uśmiechu kilka złotych zębów.

– Oj, chrapie, chrapie. I to tak, że aż Urth się trzęsie, zapewniam cię. Cóż, w każdym razie cieszę się, że udało ci się odpocząć. – Wyciągnął delikatną, zadbaną dłoń. – Jestem doktor Talos.

– Czeladnik Severian. – Odrzuciłem cienkie przykrycie i wstałem, żeby ją uścisnąć.

– Nosisz się na czarno, jak widzę. Jakie to bractwo?

– To fuligin katów.

– Aha. – Przekrzywił głowę jak drozd i zaczął skakać dokoła mnie, przyglądając mi się ze wszystkich stron. – Szkoda, że jesteś taki wysoki, ale ten kolor robi wrażenie.

– Przede wszystkim jestem praktyczny – odparłem. – Lochy nie należą do najczystszych miejsc, a na fuliginie nie zostają plamy krwi.

– Masz poczucie humoru! To wyśmienicie. Powiadam ci, jest tylko kilka rzeczy, które mogą przynieść więcej korzyści niż poczucie humoru. Humor przyciąga tłum, humor też go uspokaja. Humor pozwala ci wszędzie wejść i zewsząd bezpiecznie wyjść, nie mówiąc o tym, że przyciąga asimi niczym magnes.

Nie bardzo rozumiałem, o czym mówi, ale widząc, że jest w dobrym nastroju, przeszedłem do rzeczy.

– Mam nadzieję, że nikt z mojego powodu nie zaznał niewygody. Gospodarz powiedział, że mam tutaj spać, a w łóżku było jeszcze miejsce dla jednej osoby.

– Och, nie, w żadnym wypadku! Nigdy nie wracam tutaj na noc, znalazłem dużo lepsze miejsce. Poza tym mało śpię, a i to niezbyt mocno. Miałem jednak bardzo dobrą noc, bardzo dobrą. Dokąd masz zamiar się udać, szlachetny panie?

Akurat w tej chwili grzebałem pod łóżkiem w poszukiwaniu moich butów.

– Najpierw chyba na śniadanie. A potem za miasto, na północ.

– Wyśmienicie. Bez wątpienia mój partner nie będzie miał nic przeciwko śniadaniu, z pewnością bardzo mu się ono przyda. My również podróżujemy na północ po zakończonym wielkim sukcesem objeździe miasta. Graliśmy na całym wschodnim brzegu, a teraz gramy na zachodnim. Być może po drodze wstąpimy również do Domu Absolutu – wiesz, to takie zawodowe marzenie. Wystąpić w pałacu

Autarchy. A potem wrócić, kiedy już się tam wystąpiło. Z dużą ilością chrisos.

– Spotkałem już przynajmniej jedną osobę, która także marzyła o powrocie.

– Nie rób takiej smutnej miny! Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć. Ale teraz, skoro mamy iść na śniadanie... Baldandersie! Obudź się! Chodź, Baldandersie, chodź! Obudź się! – Tańczył dokoła łóżka, co chwila łapiąc olbrzyma za kolano. – Baldandersie! Nie chwytaj go za ramię, szlachetny panie! – (Nie miałem najmniejszego zamiaru nic takiego uczynić). – Czasem może uderzyć. BALDANDERSIE!

Olbrzym westchnął i się poruszył.

– Już nowy dzień, Baldandersie! Ciągłe żyjesz! Pora jeść, wydalać, kochać się i tak dalej! Wstawaj, bo nigdy nie uda się nam wrócić do domu.

Nic nie świadczyło o tym, by olbrzym słyszał choć jedno słowo. Westchnienie było jedynie wyartykułowanym przez sen protestem albo agonalnym charkotem. Doktor Talos chwycił oburącz brudną kołdrę i ściągnął ją na podłogę.

Monstrualne cielsko jego partnera leżało teraz w całej okazałości. Był jeszcze większy, niż początkowo przypuszczałem, niemal za duży, żeby zmieścić się w łóżku, chociaż podciągnął kolana prawie pod brodę. Jego plecy miały co najmniej łokieć szerokości i były zgarbione. Twarzy nie mogłem dostrzec, leżała bowiem schowana w poduszce. Dokoła karku i przy uszach widniały dziwne blizny.

– Baldandersie!

Włosy miał zmierzwiłone i bardzo gęste.

– Baldandersie! Wybacz mi, szlachetny panie, ale czy mogę pożyczyć na moment tego miecza?

– Nie – odparłem. – Nie możesz.

– Och, nie chcę go zabić ani nic w tym rodzaju. Klepnę go po prostu płazem.

Potrząsnąłem tylko głową i gdy doktor Talos zrozumiał, że nie zmienię zdania, zaczął przeszukiwać pokój.

– Zostawiłem laskę na dole. Głupi zwyczaj, na pewno ją ukradną. Powiniennem nauczyć się kuleć, i to prędko. Do licha, nic tutaj nie ma.

Wybiegł z pokoju, by wrócić po chwili z wykonaną z żelaznego drzewa laską o mosiężnej gałce.

– No, teraz! Baldandersie! – Ciosy, które spadły na szerokie bary olbrzyma, przypominały poprzedzające burzę grube krople deszczu.

Niespodziewanie olbrzym usiadł.

– Nie śpię, doktorze. – Jego twarz była wielka i prostacka, ale zarazem smutna i świadcząca o wrażliwości. – Czy nareszcie postanowiłeś mnie zabić?

– O czym ty mówisz, Baldandersie? A, chodzi ci o tego tutaj szlachcica. Nie robi ci żadnej krzywdy; spał dzisiaj z tobą w jednym łóżku, a teraz będzie nam towarzyszył przy śniadaniu.

– On tu spał, doktorze?

Skinęliśmy jednocześnie głowami.

– Teraz wiem, skąd się wzięły moje sny.

Wciąż jeszcze miałem przed oczami obraz mieszkających na dnie morza ogromnych kobiet, zapytałem go więc, chociaż nadal budził we mnie lęk, co widział w swoich snach.

– Wielkie jaskinie o kamiennych, ociekających krwią zębach... Poobcinane ręce leżące na piaszczystych ścieżkach... Trzęsące w ciemności łańcuchami istoty... – Usiadł na brzegu łóżka i zaczął czyścić wskazującym palcem szeroko rozstawione zaskakująco małe zęby.

– Chodźcie już – odezwał się doktor Talos. – Jeżeli mamy zjeść, porozmawiać i w ogóle dzisiaj jeszcze coś zrobić, to musimy się już do tego zabrać. Jest dużo do omówienia i zrobienia.

Baldanders splunął w kąt pokoju.

rozdział 16

Sklep z łachmanami

Żal, który miał mnie później tak często brać w swoje szpony, po raz pierwszy opanował mnie z całą siłą podczas wędrówki ulicami pogrążonego jeszcze we śnie Nessus. Nie odczuwałem go podczas dni, które spędziłem uwięziony w lochach, zaprzętało mnie bowiem roztrząsanie mego uczynku i rozmiarów kary, jaką niebawem poniosę z rąk mistrza Gurloesa. Nie odczuwałem go również poprzedniego dnia, podczas wędrówki wzdłuż Wodnej Drogi, gdyż radość wolności i ból wygnania odeгнаły go ode mnie. Teraz wydawało mi się, że jedynym istotnym w dziejach świata wydarzeniem była śmierć Thecli. Każda smuga cienia przypominała mi jej włosy, każdy błysk biel jej skóry. Z trudem powstrzymywałem się, żeby nie pognać z powrotem do Cytadeli, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie siedzi znowu w swojej celi, czytając przy blasku srebrnej lampy.

Natrafiliśmy na kawiarnię, w której stoliki rozstawione były wzdłuż ulicy. Wczesna pora sprawiła, że ruch był jeszcze niewielki. Na rogu leżał martwy człowiek (zdaje się, że uduszony lambrekinem). Doktor Talos przeszukał jego kieszenie, ale nic nie znalazł.

– Musimy się zastanowić – powiedział. – Potrzebny nam jest plan.

Kelnerka przyniosła czarki z mokką – Baldanders przysunął sobie jedną i zamieszał wskazującym palcem.

– Miły Severianie, powinienem chyba przedstawić ci naszą sytuację. Otóż Baldanders (jest on moim jedynym pacjentem) i ja pochodzimy z terenów nieopodal jeziora Diuturna. Nasz dom spłonął, my zaś, pragnąc zdobyć środki na jego odbudowę, postanowiliśmy wyruszyć w daleką wędrówkę. Mój przyjaciel jest człowiekiem o zadziwiającej sile. Zwołuję tłum, on łamie parę belek i podnosi kilku ludzi naraz, ja zaś sprzedaję moje lekarstwa. To niewiele, możesz powiedzieć. Ale jest i coś

więcej. Napisałem sztukę, udało nam się zgromadzić trochę rekwizytów i kiedy sytuacja temu sprzyja, przedstawiamy kilka scen, czasem zapraszając do udziału także kogoś z widowni. Powiadasz, przyjacielu, że udajesz się na północ, sądząc zaś ze sposobu, w jaki spędziłeś tę noc, można przypuszczać, że nie dysponujesz zbyt wielkimi funduszami. Czy mogę zaproponować ci udział we wspólnym przedsięwzięciu?

– Nie jest zupełnie zniszczony – odezwał się Baldanders, który zrozumiał tylko pierwszą część wypowiedzi swego towarzysza. – Ściany są z kamienia, bardzo grube. Zostało trochę sklepień.

– Masz rację. Chcemy odbudować nasz stary, dobry dom. Rozumiesz jednak, na czym polega nasz problem: jesteśmy już w połowie drogi powrotnej, a zgromadzone przez nas środki są jeszcze daleko niewystarczające. Chciałbym ci zaproponować...

Podeszła kelnerka, młoda, szczupła kobieta o rzadkich włosach, niosąc miskę owsianki dla Baldandersa, chleb i owoce dla mnie i słodycze dla doktora Talosa.

– Cóż za atrakcyjne stworzenie! – zauważył na głos.

Uśmiechnęła się do niego.

– Czy możesz z nami usiąść? Zdaje się, że jesteśmy jedynymi klientami.

Zerknęła w kierunku kuchni, po czym wzruszyła ramionami i przysunęła sobie krzesło.

– Może skosztujesz, powinno ci smakować. Ja i tak będę zbyt zajęty mówieniem, żeby jeść. I łyczek mokki, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żeby po mnie pić.

– Pewnie myślicie, że pozwala nam jeść za darmo, co? Nic z tego, liczy wszystko po pełnej cenie.

– Ach, więc nie jesteś córką właściciela? To dobrze, bo obawiałem się, że jesteś. Albo jego żoną. Jakże mógł dopuścić do tego, żeby taki kwiatusek nie został przez nikogo zerwany?

– Pracuję tu dopiero od miesiąca. Zarabiam tylko to, co klienci mi zostawiają. Weźmy was trzech: jeśli mi nic nie dacie, to okaże się, że obsługiwałam was za darmo.

– Otóż to! Otóż to. A co byś powiedziała na pewną propozycję? Czy odrzuciłabyś ją, gdyby jej przyjęcie mogło uczynić cię bogatą?

Mówiąc to, doktor Talos nachylił się w jej stronę, i wtedy uderzyło mnie, że jego twarz jest podobna nie tyle do lisa (porównanie zbyt proste, bo narzucone wręcz nastroszonymi rzyżymi brwiami i spiczastym nosem), co do wypchanego lisa. Słyszałem nieraz od tych, którzy

zarabiają na życie kopaniem w ziemi, że nie ma takiego miejsca, w którym nie natrafialiby na resztki przeszłości. Bez względu na to, gdzie wbije się szpadel w ziemię, spod odwalonej skiby wyłania się pogruchotany bruk i przerdzewiały metal, uczeni zaś twierdzą, że ów rodzaj piasku zwany przez artystów polichromem (dlatego, że w jego biel w mieszane są różnokolorowe plamki) wcale nie jest piaskiem, tylko ogromnie starym szkłem, zmielonym na pył przez eony tarcia w młyńskich kamieniach huczącego morza. Jeżeli pod postrzeganym przez nas poziomem rzeczywistości są jeszcze inne jej poziomy, podobnie jak pod powierzchnią gruntu, po którym chodzimy, znajdują się kolejne pokłady historii, to w jednej z tych leżących najgłębiej twarz doktora Talosa była wiszącą na ścianie głową lisa. Zdumiałem się, widząc, jak obraca się i nachyla do kobiety, zyskując dzięki tym ruchom, które pozwoliły grać rzucanym przez brwi i nos cieniom, zdumiewające i nadzwyczaj realistyczne pozory życia.

– Czy odrzuciłaś ją? – powtórzył, a ja otrząsnąłem się, jakbym budził się ze snu.

– Co masz na myśli? – zapytała kobieta. – Jeden z was jest katem. Czy mówisz o darze śmierci? Autarcha, którego oczy przyćmiewają blask gwiazd, chroni życie swoich poddanych.

– Dar śmierci? Och, nie! – roześmiał się doktor Talos. – Nie, moja droga, ten dar ofiarowano ci już na samym początku, podobnie jak jemu. Nie proponowalibyśmy ci czegoś, co już do ciebie należy. Darem, który ci oferujemy, jest piękno oraz wywodzące się z niego sława i bogactwo.

– Jeżeli coś sprzedajecie, to musicie wiedzieć, że nie mam pieniędzy.

– Sprzedajemy? Ależ skąd! Wręcz przeciwnie, proponujemy ci nową pracę. Ja jestem cudotwórcą, ci zaś dwaj szlachetni panowie aktorami. Czy nigdy nie pragnęłaś wystąpić na scenie?

– Tak mi się wydawało, że jesteście jacyś zabawni.

– Potrzebujemy aktorki do roli młodej, niewinnej dziewczyny. Jeżeli chcesz, możesz tę rolę otrzymać, ale musiałabyś zaraz z nami odejść, nie mamy bowiem czasu do stracenia, a nie będziemy już tędy przechodzić.

– Będąc aktorką, wcale nie stanę się piękną.

– Uczynię cię piękną, ponieważ potrzebujemy cię jako aktorki. Na tym polega moja cudowna moc. – Doktor Talos uniósł się z miejsca. – Więc teraz albo nigdy. Idziesz?

Kelnerka również wstała, wciąż wpatrując się w jego twarz.

– Muszę pójść do pokoju...

– Czy posiadasz cokolwiek wartościowego? Muszę jeszcze dzisiaj

nauczyć cię roli i rzucić na ciebie czar urody. Nie mogę czekać.

– Zapłaćcie mi za śniadanie, a ja pójdę i powiem mu, że odchodzę.

– Nonsens! Jako członek naszej trupy musisz przyczynić się do oszczędzania środków, które będziemy potrzebować na kostiumy. Nie mówiąc już o tym, że zjadłaś moją porcję. Sama zapłać.

Zawahała się.

– Możesz mu zaufać – odezwał się Baldanders. – Co prawda doktor patrzy na świat w dość szczególny sposób, ale kłamie znacznie mniej, niż się wydaje.

Głęboki, dźwięczny głos podziałał na nią uspokajająco.

– Dobrze – powiedziała. – Idę z wami.

Kilka chwil później cała czwórka znajdowała się już kilka przecznic dalej, mijając stłoczone sklepy, których większość była jeszcze zamknięta.

– A teraz, moi drodzy przyjaciele, musimy się rozdzielić – oznajmił doktor Talos, kiedy przeszliśmy już spory szmat drogi. – Ja poświęcę czas na kształcenie naszej sylfidy, a ty, Baldandersie, musisz wydostać nasze proscenium i inne rekwizyty z gospody, w której spaliście z Severianem. Ufam, że nie będziesz miał z tym żadnych problemów. Severianie, ulokujemy się koło Krzyża Ctesiphona. Wiesz, gdzie to jest?

Skinąłem głową, chociaż nie miałem najmniejszego pojęcia. Prawdę mówiąc, zupełnie nie myślałem o tym, żeby do nich wracać.

Doktor Talos odszedł szybkim krokiem w towarzystwie drepczącej u jego boku dziewczyny, a ja zostałem sam z Baldandersem na niemal zupełnie pustej ulicy. Pragnąc, żeby i on jak najprędzej mnie opuścił, zapytałem, dokąd ma zamiar się udać. Czuję się tak, jakbym rozmawiał z pomnikiem, a nie z człowiekiem.

– Nad rzeką jest park, w którym można spać za dnia, ale nie w nocy. Kiedy będzie już prawie ciemno, obudzę cię i zabiorę nasze rzeczy.

– Ja nie jestem śpiący. Chyba rozejrzę się trochę po mieście.

– W takim razie zobaczymy się przy Krzyżu Ctesiphona.

Nie wiedzieć czemu byłem pewien, że dokładnie zna moje plany.

– Tak. – Skinąłem głową. – Oczywiście.

Jego oczy były puste jak oczy wołu. Odwrócił się i podążył wielkimi krokami w kierunku Gyoll. Ponieważ jego park leżał na wschodzie, a doktor Talos zabrał kelnerkę na zachód, ja postanowiłem ruszyć na północ, aby kontynuować podróż do Thraxu, Miasta Bezokienych Pokoi.

Tymczasem jednak otaczało mnie Nessus, Wieczne Miasto (w którym

spędziłem całe życie, a którego prawie w ogóle nie znałem). Szedłem szeroką brukowaną aleją, nie troszcząc się o to, czy jest to jedna z głównych, czy też bocznych ulic tej dzielnicy. Po obydwu jej stronach oraz środkiem biegły trotuary dla pieszych; środkowy dzielił ruch pojazdów na dwie nitki, jedną zdążającą na północ, a drugą na południe.

Z lewej i z prawej budowle wystrzelały w górę niczym zbyt gęsto zasiane zboże, tłocząc się i przepychając w walce o miejsce. Cóż to zresztą były za budowle: żadna ani wielkością, ani wiekiem nie dorównywała Wielkiej Wieży, żadna też, jak sędzę, nie miała ścian takich jak nasza wieża – z grubego na pięć kroków metalu. Z kolei jednak Cytadela nie mogła się równać ani pod względem kolorów, ani oryginalności kształtów z tutejszymi budynkami, chociaż każdy z nich stał w towarzystwie setki innych. Zgodnie z obowiązującym zwyczajem większość miała na parterze sklepy, choć pierwotnie wznoszone były jako siedziby cechów, bazyliki, teatry, konserwatoria, skarbcce, domy dysput, manufaktury, hospicja, lazarety, kostnice, młyny czy domy uciech. Ich architektura odpowiadała tysięcznym funkcjom i setkom przeciwstawnych gustów. Wszędzie sterczały wieżyczki i minarety, kopuły, rotundy i wykusze, strome niczym drabiny schody pięły się po nagich ścianach, a niezliczone balkony stanowiły miniaturowe enklawy dla mnóstwa drzew cytrynowych i granatów.

Podziwiałem właśnie te wiszące ogrody, wyraźnie widoczne wśród różowych i białych marmurów, czerwonych sardoniksów, szaroniebieskich, kremowych i czarnych cegieł oraz zielonych, żółtych i fioletowych dachówek, kiedy widok lancknehta strzegącego wejścia do koszar przypomniał mi o obietnicy, jaką złożyłem dowódcy peltastów. Ponieważ miałem mało pieniędzy, a zdawałem sobie sprawę, iż niejednej jeszcze nocy przyda mi się ciepły płaszcz naszej konfraterni, najlepszym rozwiązaniem wydawało mi się zakupienie jakiegoś jeszcze obszerniejszego przyodziewku, z możliwie taniego materiału, który mógłbym narzucić na swój katowski fuligin. Sklepy jeden za drugim otwierały swoje podwoje, ale te z ubiorami oferowały nie to, czego szukałem, w dodatku po cenach znacznie wyższych od tych, na jakie mógłbym sobie pozwolić.

Wówczas nie przyszło mi jeszcze na myśl, że mógłbym wykonywać swój zawód jeszcze przed przybyciem do Thraxu. Zresztą nawet gdybym wpadł na taki pomysł, natychmiast bym go odrzucił, przypuszczając, że zapotrzebowanie na tego typu usługi jest tak niewielkie, iż nie opłaca się po prostu szukać tych, którzy by ich akurat potrzebowali. Uważałem,

krótko mówiąc, że zawartość mojej kieszeni, czyli trzy osimi, kilka orichalków i jedno aes, powinna wystarczyć mi na całą podróż do Thraxu, a poza tym nie miałem najmniejszego pojęcia o zapłacie, jakiej powinienem żądać. Tak więc mijałem piętrzące się bele przeróżnych gatunków kosztownych materiałów, nie wchodząc nawet do sklepów, które je oferowały, ani nie zatrzymując się, żeby je dokładniej obejrzeć.

Niebawem moją uwagę przyciągnęły inne towary. Choć wówczas nic jeszcze o tym nie wiedziałem, to tysiące najemnych żołnierzy właśnie szykowało się do letniej kampanii. Wszędzie aż roiło się od barwnych peleryn i koców, siodeł o specjalnych ochronach na lędźwie, czerwonych furazerek, włóczni, sygnałowych flag ze srebrnej folii, haków bardziej i mniej wygiętych, z których korzystała kawaleria, strzał pakowanych po dziesięć i dwadzieścia, kołczanów z wygotowanej skóry zdobionej złożonymi ćwiekami i macicą perłową, wreszcie specjalnych osłon na przeguby dłoni dla łuczników. Kiedy to wszystko zobaczyłem, przypomniałem sobie, co mistrz Palaemon mówił przed moim wyniesieniem o pokusach żołnierskiego życia, i chociaż zawsze myślałem z pewnym lekceważeniem o stacjonujących w Cytadeli żołnierzach, to teraz wydawało mi się, że słyszę wzywający na paradę warkot bębnow i przeciągły, zawodzący jęk bojowych tręb.

Zapomniałem już zupełnie, czego i w jakim celu szukam, kiedy z jednego ze sklepów wyszła szczupła, może dwudziestoletnia kobieta i zaczęła składać zamontowane na noc kraty. Miała na sobie bajecznie kolorową, obsypaną brokatem suknię, bogatą i jednocześnie złachmanioną, i akurat wtedy, kiedy jej się przyglądałem, promień słońca padł na rozdarcie tuż pod piersią, nadając jej skórze odcień najbledszego złota.

Nie jestem w stanie opisać, jakie wówczas i jeszcze później czułem do niej pożądanie. Spośród wielu kobiet, jakie znałem, ona była chyba najmniej urodziwa – nie tak zgrabna jak jedna, nie tak zmysłowa jak inna, wreszcie nie tak dostojna jak Thecla. Była średniego wzrostu, miała krótki nos, szerokie kości policzkowe i lekko skośne oczy, jakie często spotyka się w tego typu twarzach. Ujrzałem ją i pokochałem śmiertelnie, ale zarazem niezbyt poważną miłością.

Rzecz jasna, podszedłem do niej. Nie mogłem się jej oprzeć, podobnie jak spadając z urwiska, nie mógłbym się oprzeć ślepej chciwości Urth. Nie wiedziałem, co powinienem jej powiedzieć, i drżałem z obawy, że na widok mojego miecza i fuliginowej szaty umknie w popłochu. Ona jednak uśmiechnęła się i odniosłem wrażenie, że nawet podziwia mój

wygląd. Ponieważ nic nie mówiłem, zapytała, czego sobie życzę, a ja wówczas zadałem jej pytanie, czy nie wie, gdzie mógłbym kupić płaszcz.

– Jesteś pewien, że go potrzebujesz? – Jej głos był głębszy, niż się spodziewałem. – Twój jest przecież bardzo piękny. Czy mogę go dotknąć?

– Proszę, jeśli chcesz.

Wzięła do ręki skraj płaszcza i potarła go delikatnie w palcach.

– Nigdy jeszcze nie widziałam takiej czerni. Jest tak głęboka, że nie sposób dostrzec na niej żadnych fałd. Kiedy jej dotykam, wydaje się, że moja dłoń znika. A to twój miecz. Czy ten kamień to opal?

– Chciałabyś również go dotknąć?

– Nie, ależ skąd. Jeśli jednak naprawdę potrzebny ci płaszcz... – Wskazała mi wystawę sklepu i wtedy zobaczyłem, że jest zavalona najróżniejszymi używanymi rzeczami: dżelabami, kapotami, chałatami i bluzami. – Bardzo niedrogo, zapewniam cię. Jeśli tylko zechcesz wejść, jestem pewna, że znajdziesz to, czego szukasz.

Wszedłem do środka przez skrzypiące drzwi. Liczyłem na to, że młoda kobieta pójdzie za mną, ale ona została na zewnątrz.

We wnętrzu panował półmrok, ale rozejrzawszy się, zrozumiałem, dlaczego mój widok nie wywarł na dziewczynie żadnego wrażenia. Człowiek, który stał za ladą, wyglądał bardziej przerażająco od każdego kata. Jego twarz była twarzą kościotrupa o czarnych jamach zamiast oczu, zapadniętych policzkach i ustach niemal zupełnie pozbawionych warg. Gdyby nie poruszył się i nie przemówił, wziąłbym go nie za żywego człowieka, lecz za zmumifikowane zwłoki, postawione za ladą zgodnie z czyimś makabrycznym życzeniem.

rozdział 17

Wyzwanie

On jednak poruszył się, zwracając w moją stronę, a także przemówił.

– Bardzo piękny. Tak, tak, bardzo piękny. Twój płaszcz, szlachetny panie... Czy mógłbym go zobaczyć?

Zbliżyłem się do niego, stąpając po podłodze z nierównych, wydeptanych desek. Między nami niczym ostrze sztyletu tkwił cienki czerwony promień słońca, w którym tańczyły miliony cząstek kurzu.

– Twój strój... – Chwyciłem skraj płaszcza lewą dłonią i wyciągnąłem w jego stronę, a on dotknął go niemal w ten sam sposób jak dziewczyna.

– Tak, naprawdę bardzo piękny. Podobny do wełny, ale dużo bardziej miękkiej. Mieszanka lnu i sierści wigonia? Co za wspaniały kolor. Katowskie szaty. Wątpiłem, czy mogą choćby w połowie być tak dobre, ale czy można wątpić, widząc taki materiał? – Dał nura pod ladę i po chwili pojawił się z naręczem jakichś szmat. – Czy mogę obejrzeć miecz? Będę nadzwyczaj ostrożny, zapewniam cię.

Wyciągnąłem Terminus Est z pochwy i położyłem go na walających się wszędzie łańkach. Nachylił się nad nim, nie dotykając go ani nic nie mówiąc. Przez ten czas moje oczy przyzwyczyły się do półmroku i dostrzegłem wąską czarną tasiemkę wysuwającą się zza jego ucha.

– To jest maska – powiedziałem.

– Trzy chrisos za miecz. I jeszcze jeden za płaszcz.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby cokolwiek sprzedawać – odparłem. – Zdejmij ją.

– Jak sobie życzysz. W porządku, cztery chrisos. – Uniósł dłonie do trupiej maski. Jego prawdziwa twarz o wystających kościach policzkowych i pokryta intensywną opalenizną bardzo przypominała twarz spotkanej przed sklepem kobiety.

– Chcę kupić płaszcz.

– Pięć chrisos. To moja ostatnia propozycja. Musisz dać mi trochę czasu, żebym zebrał pieniądze.

– Powiedziałem ci, że ten miecz nie jest na sprzedaż. – Wziąłem Terminus Est w dłoń i schowałem do pochwy.

– Sześć. – Nachylił się nad ladą i chwycił mnie za ramię. – To więcej, niż jest wart. To twoja ostatnia szansa, naprawdę. Sześć.

– Przyszedłem tu, żeby kupić płaszcz. Twoja siostra, jak przypuszczam, powiedziała mi, że znajdę coś w rozsądnej cenie.

– W porządku – westchnął z rezygnacją. – Sprzedam ci płaszcz. Czy powiesz mi, jak wszedłeś w posiadanie tego miecza?

– Dał mi go mistrz naszej konfraterni. – Przez jego twarz przemknął cień, którego nie zrozumiałem. – Nie wierzysz mi?

– Wierzę i na tym właśnie polega cały problem. Kim właściwie jesteś?

– Czeladnikiem w konfraterni katów. Rzeczywiście nieczęsto pojawiajemy się w tej dzielnicy, szczególnie tak daleko na północ, ale czy naprawdę jesteś aż tak zdumiony?

Skinął głową.

– To tak, jakbym spotkał psychopompę. Czy mogę zapytać, co robisz w tej części miasta?

– Możesz, ale to ostatnie pytanie, na które udzielam ci odpowiedzi. Jestem w drodze do Thraxu, gdzie mam podjąć pracę.

– Dziękuję ci. O nic więcej nie będę pytał. Zresztą wcale nie muszę. Wracając do zakupu: zapewne chcesz sprawić niespodziankę przyjaciołom, zdejmując płaszcz w ich obecności, musimy więc tak dobrać jego kolor, żeby jak najbardziej kontrastował z tym, co masz teraz na sobie. Biały byłby dobry, ale to kolor sam w sobie niezwykle dramatyczny, a poza tym szalenie trudno utrzymać go w czystości. Co byś powiedział na zgaszony brąz?

– Tasiemki, które przytrzymały twoją maskę, zostały – powiedziałem.

Wyciągał właśnie zza lady jakieś pudła i nic nie odpowiedział. W chwilę potem odezwał się zawieszony nad drzwiami dzwonek. Nowy klient skrywał twarz za zasłoną hełmu ukształtowaną na podobieństwo zawiniętych rogów. Miał na sobie zbroję z lakierowanej skóry, a na napierśniku trzepotała skrzydlata złota chimera o twarzy ogarniętej szaleństwem kobiety.

Sklepikarz upuścił pudła i zgiął się w służalczym ukłonie.

– Witaj, hipparcho. Czym mogę ci służyć?

Skryta w rękawicy dłoń wyciągnęła się ku mnie takim gestem, jakby

chciała mi coś dać.

– Weź to – ponaglił mnie przerażonym szeptem właściciel sklepu. – Weź, cokolwiek to jest.

Nadstawiłem dłoń; upadło na nią czarne błyszczące nasiono wielkości rodzyńka. Sklepiarz wciągnął głośno powietrze, a zbrojna postać odwróciła się i wyszła.

Położyłem nasiono na ladzie.

– Nie próbuj mi go dać! – zaskrzeczał sklepiarz, cofając się w popłochu.

– Co to jest?

– Nie wiesz? To ziarno kwiatu zemsty. W jaki sposób obraziłeś oficera Oddziałów Wewnętrznych?

– Nikogo nie obraziłem. Po co on mi to dał?

– Zostałeś wyzwany.

– Na pojedynek? To niemożliwe. Nie należę do tej klasy.

Jego wzruszenie ramionami było bardziej wymowne od słów.

– Musisz walczyć, bo inaczej zostaniesz skrytobójczo zamordowany. Jedyne pytanie, to czy naprawdę obraziłeś tego hipparchę, czy też może kryje się za tym jakiś dostojnik z Domu Absolutu.

Równie wyraźnie jak sklepiarza ujrzałem przed sobą Vodalusa, stojącego dzielnie przeciwko trzem ochotnikom. Roztropność nakazywała mi wyrzucić precz nasiono kwiatu zemsty i opuścić czym prędzej miasto, ale nie mogłem tego zrobić. Ktoś – być może sam Autarcha lub tajemniczy Ojciec Inire – dowiedział się prawdy o śmierci Thecli i teraz chciał mnie zgładzić, aby nie okryć konfraterni niesławą. Dobrze więc, będę walczył. Jeśli zwyciężę, powinno im to dać do myślenia, a jeżeli zginę, to po prostu stanie się zadość sprawiedliwości.

– Miecz to jedyna broń, jaką umiem się posługiwać – powiedziałem, wciąż jeszcze myśląc o Vodalusie.

– Nie będziecie walczyć na miecze. Byłoby nawet lepiej, gdybyś go u mnie zostawił.

– W żadnym wypadku.

Westchnął ciężko.

– Widzę, że nic nie wiesz o tych sprawach, a przecież już dzisiaj o zmierzchu masz walczyć o swoje życie. Cóż, jesteś moim klientem, a ja jeszcze nigdy nie opuściłem żadnego mojego klienta. Chciałeś kupić płaszcz: proszę. – Zniknął na zapleczu, skąd wrócił po chwili, niosąc strój koloru martwych liści. – Spróbuj, czy pasuje. Kosztuje cztery orichalki.

Płaszcz tak duży i luźny musiał pasować. Cena wydawała mi się nieco

wygórowana, ale zapłaciłem bez targów. Odniosłem wrażenie, że wkładając go, czynię kolejny krok ku staniu się aktorem, do czego zdawały się mnie zmuszać wszystkie wydarzenia tego dnia. Rzeczywiście, brałem udział w większej liczbie dramatów, niż jeszcze niedawno gotów byłem podejrzewać.

– Muszę tu teraz zostać, żeby zająć się interesem – powiedział sklepikarz – ale poślę z tobą siostrę, żeby pomogła ci zdobyć twój kwiat. Często chodziła na Okrutne Pole, może więc będzie potrafiła nauczyć cię, jak masz nim walczyć.

– Czy ktoś mówił o mnie? – Młoda kobieta, którą spotkałem przed sklepem, wyłoniła się z pogrążonego w mroku zaplecza. Ze swoim zadartym nosem i tajemniczo skośnymi oczami była tak podobna do brata, że gotów byłem przysiąc, iż są bliźniętami. Szczupła figura i delikatne rysy, nieco rażące u niego, u niej były czymś oczywistym. Brat zapewne wyjaśnił jej, co mnie spotkało, ale nie jestem tego całkiem pewien, ponieważ nic nie słyszałem. Patrzyłem tylko na nią.

Zaczynam znowu. Minęło wiele czasu (dwukrotnie słyszałem, jak za drzwiami mego gabinetu zmieniają się strażę), od kiedy ukończyłem pisać te zdania, które wy czytaliście przed kilkoma zaledwie chwilami. Nie jestem pewien, czy słusznie robię, opisując tak dokładnie te sceny, które zapewne są ważne jedynie dla mnie. Wszystko to mogłem przecież bardzo łatwo skrócić: zobaczyłem sklep, wszedłem do środka, zostałem wyzwany na pojedynek przez oficera Septentrionów, właściciel sklepu wysłał siostrę, żeby pomogła mi zdobyć nasiono zatrutego kwiatu. Spędziłem wiele nużących dni, czytając dzieje moich poprzedników, i muszę stwierdzić, że są one w znacznej części utrzymane w takim właśnie stylu. Oto fragment dotyczący Ymara:

„Przebrawszy się, wyruszył poza miasto, gdzie spotkał spoczywającego pod platanem milczącego mędrca. Autarcha przyłączył się do niego i siedział oparty o pień tak długo, aż Urth wzgardziła światłem słońca. Tymczasem obok nich przemknął galopem oddział kawalerii pod wspaniałym sztandarem, przeszedł handlarz prowadzący muła uginającego się pod ciężarem złota, przetruchtali eunuchowie niosący na swych barkach cudowną kobietę, wreszcie pokuścił jakiś pies. Ymar poniósł się z miejsca i śmiejąc się głośno, ruszył za nim”.

Zakładając, że anegdota jest prawdziwa, jakże łatwo ją wyjaśnić: Autarcha pokazał w ten sposób, że wybrał aktywne życie z własnej woli, nie zaś skuszony uciechami świata.

Jednak Thecla miała wielu nauczycieli i każdy z nich próbowałby

wytłumaczyć tę historię na własny sposób. Jeden mógłby na przykład powiedzieć, że Autarcha był obojętny na wszystko, co stanowi atrakcję dla zwykłego człowieka, ale nie potrafił zapanować nad swą namiętnością do polowania.

Drugi stwierdziłby, że Autarcha pragnął okazać pogardę mędrcom, który milczał, podczas gdy mógłby dzielić się z innymi swoją mądrością, sam również na tym zyskując. Nie mógł tego uczynić, opuszczając go, kiedy droga była pusta, jako że samotność jest dla mędrców czymś nadzwyczaj pożądanym, ani wtedy, gdy mijali go żołnierze, zamożny kupiec lub kobieta, gdyż nieoświeceni ludzie pragną przyziemnych rzeczy i mędrzec mógłby pomyśleć, że Autarcha również dał im się skusić.

Trzeci z kolei dowodziłby, że Autarcha poszedł za psem, ponieważ był on sam – żołnierze mieli innych żołnierzy, kupiec swego muła, a kobieta niewolników.

Dlaczego jednak Ymar się śmiał? Kto może to wytłumaczyć? Czy kupiec podążał za żołnierzami, żeby kupić ich łupy? Czy kobieta podążała za kupcem, żeby sprzedawać swe wdzięki i pocałunki? Czy pies był psem myśliwskim, czy jednym z tych małych i krótkonogich, które kobiety trzymają przy sobie na wypadek, gdyby ktoś zbyt zainteresował się nimi podczas ich snu? Kto teraz może to wiedzieć? Ymar nie żyje, podobnie jak wspomnienia o nim, które przetrwały jeszcze przez pewien czas w krwi jego następców. Przemina także i wspomnienia o mnie. Jednego jestem pewien: żaden z tych, którzy próbowali wyjaśnić zachowanie Ymara, nie miał racji. Prawda, niezależnie od tego, jaka by była, jest z całą pewnością prostsza i subtelniejsza. W moim przypadku można by zapytać, dlaczego zgodziłem się na towarzystwo siostry sklepikarza – ja, który w całym swoim dotychczasowym życiu nie miałem prawdziwego towarzysza. I kto, wiedząc z mojej relacji, że chodziło jedynie o „siostrę sklepikarza”, zrozumie, dlaczego pozostałem z nią po tym, o czym za chwilę opowiem? Z pewnością nikt.

Powiedziałem już, że nie potrafię wyjaśnić mego do niej pożądania, i to jest prawda. Pokochałem ją desperacką, zachłanną miłością. Czuję, że we dwójkę moglibyśmy popełnić czyn tak ohydny, że świat, widząc nas, dałby mu się bez reszty porwać.

Nie trzeba wielkiego intelektu, żeby dojrzeć czekające za przepaścią śmierci postaci – każde dziecko może je dostrzec, promieniujące blaskiem chwały lub potępienia, otoczone aurą władzy mającej swój

początek jeszcze przed początkiem wszechświata. Pojawiają się w naszych pierwszych snach i przedśmiertnych wizjach. Słusznie domyślamy się, że kierują naszym życiem, i mamy rację, przeczuwając, iż nic dla nich, budowniczych tego, czego nie sposób sobie wyobrazić, i weteranów wojen toczących się już poza granicą istnienia nie znaczymy.

Najtrudniej przychodzi nam zrozumieć, że w nas drzemią równie wielkie moce. Mówimy „chcę” albo „nie chcę” i wydaje nam się (choć codziennie wykonujemy czyjeś polecenia), że jesteśmy panami samych siebie, podczas gdy prawda jest taka, że nasi panowie akurat śpią. Gdy tylko któryś z nich się obudzi, zamieniamy się w posłuszne wierzchowce, chociaż jeździec jest nieodgadnioną jeszcze i nieuświadomioną częścią nas samych.

Może to jest właśnie wytłumaczenie historii Ymara? Któż to może wiedzieć?

Nieważne, jakie kierowały mną motywacje, dość, że pozwoliłem siostrze sklepikarza, żeby pomogła mi założyć płaszcz. Mógł być ściągnięty ciasno przy szyi, przez co dokładnie zasłaniał moją fuliginową szatę. Mimo to nie krępował mi ruchów, mogłem sięgać na zewnątrz przez przód lub specjalne rozcięcia na bokach. Odpiąłem Terminus Est od pendentu i przez cały czas, kiedy miałem na sobie ten płaszcz, nosiłem go jak laskę. Ponieważ zawsze skryty był w pochwie odsłaniającej jedynie rękojeść, większość ludzi, którzy mnie z nim widzieli, z pewnością nie powzięła żadnych podejrzeń.

Był to jedyny okres w moim życiu, kiedy kryłem pod przebraniem barwy mojego bractwa. Słyszałem nieraz, że nawet w najlepszym przebraniu każdy czuje się jak głupiec. Nie wiem, czy moje można było w ten sposób określić, ale z całą pewnością właśnie tak się czułem. Właściwie nie było to wcale przebranie. Te obszerne staromodne płaszcze pierwsi zaczęli nosić pasterze (którzy używają ich do dzisiaj), od nich zaś przejęli je żołnierze – stało się to w czasach, kiedy walki z Ascjanami toczyły się tutaj, na chłodnym południu. Od armii zapożyczyli je religijni pielgrzymi, dla których strój, który w razie potrzeby można zamienić w mały jednoosobowy namiot, z pewnością musiał okazać się bardzo praktyczny. Upadek religijności przyczynił się do tego, że w Nessus już ich się prawie nie widywało: mój był jedynym, na jaki udało mi się natrafić. Gdybym wówczas wiedział o nim nieco więcej, dokupiłbym jeszcze szeroki kapelusz, ale tego nie uczyniłem, a siostra właściciela sklepu pochwaliła mnie, że wyglądam jak

prawdziwy pielgrzym. Bez wątpienia powiedziała to z odrobiną kpiny w głosie, ale byłem tak rad z mojego wyglądu, że nie zwróciłem na to uwagi. Zauważyłem tylko, iż żałuję, że tak mało wiem o religii.

Uśmiechnęli się obydwójce.

– Wystarczy, że pierwszy się odezwiesz, a nikt nie będzie chciał z tobą o tym rozmawiać – powiedział jej brat. – Poza tym możesz to nosić i nic nie mówić. Jeśli będziesz chciał kogoś się pozbyć, poproś o jałmużnę.

Tak więc stałem się, przynajmniej z wyglądu, pielgrzymem podążającym do jakiejś północnej świątyni. Czy nie powiedziałem, że czas zmienia nasze kłamstwa w prawdę?

rozdział 18

Zniszczenie ołtarza

Podczas mego pobytu w sklepie cisza wczesnego poranka bezpowrotnie zniknęła; ulicą przelewała się masa pojazdów i zwierząt, a ledwo zdążyliśmy wyjść na zewnątrz, usłyszałem przemykający między wieżami miasta ślizgacz. Spojrzałem prędko w górę i jeszcze zdołałem go dostrzec. Przypominał kształtem ściekającą po szybie podłużną kroplę deszczu.

– To pewnie ten oficer, który cię wyzwiał – zauważyła siostra sklepikarza. – Wraca do Domu Absolutu. Hipparcha Gwardii Septentrionów, czy tak powiedział Agilus?

– Więc tak się nazywa twój brat? Tak, zdaje się, że coś w tym rodzaju. A jak ty się nazywasz?

– Agia. Podobno nic nie wiesz o pojedynkach? I ja mam być twoim nauczycielem? No, to niech ci wielki Hypogeon dopomoże. Na początek musimy pójść do Ogrodów Botanicznych i ściąć dla ciebie kwiat zemsty. Na szczęście to nie jest daleko stąd. Czy masz dość pieniędzy, żeby wynająć fiakra?

– Chyba tak. Jeśli to konieczne.

– A więc rzeczywiście jesteś... tym, kim jesteś.

– Katem. Tak, istotnie. Kiedy mam spotkać się z tym hipparchą?

– Dopiero późnym popołudniem, kiedy kwiat zemsty otwiera swój kielich i na Okrutnym Polu rozpoczynają się walki. Mamy masę czasu, ale chyba będzie lepiej, jeśli wykorzystamy go na znalezienie ci kwiatu i na naukę sposobu walki. – Uniosła rękę, żeby zatrzymać mijający nas właśnie powóz zaprzężony w parę rumaków. – Wiesz chyba o tym, że zostaniesz zabity?

– Sądząc z tego, co mówisz, wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

– To najzupełniej pewne, nie masz więc co przejmować się

pieniężmi.

Wyszła na jezdnię; wyglądała przez moment (jakże delikatne były rysy jej twarzy i jak pełna wdzięku linia ciała!) niczym pomnik wzniesiony ku czci jakiejś nieznaney, podążającej przed siebie na piechotę kobiety. Sprawiała wrażenie, jakby sama również postanowiła zginąć. Narowiste zwierzęta spłoszyły się i próbowały ją ominąć, ale woźnica zmusił je do posłuchu. Zaprzęg zatrzymał się. Agia wsiadła i chociaż z pewnością była bardzo lekka, niewielki pojazd zakołysał się na boki. Wspiąłem się w ślad za nią i usiedliśmy, przyciśnięci ciasno biodrami. Woźnica obejrzał się na nas.

– Ogrody Botaniczne – rzuciła Agia i ruszyliśmy z kopyta. – Więc nie niepokoi cię perspektywa śmierci? To pocieszające.

Chwyciłem się oparcia kozła.

– Z pewnością nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ludzi takich jak ja muszą być tysiące, a może miliony: przyzwyczajonych do śmierci i przekonanych o tym, że to, co ważnego miało ich spotkać w życiu, już się wydarzyło.

Słońce wisiało tuż nad szczytami najwyższych wież i jego światło zalewające zakurzoną ulicę czerwonozłotym blaskiem wprowadziło mnie w filozoficzny nastrój. W spoczywającej w mojej sakwie brązowej książce znajdowała się między innymi opowieść o aniele (być może jednym ze skrzydlatych żołnierzy, którzy podobno służą Autarsze), który zjawiwszy się na Urth z jakąś mało istotną misją, zginął, trafiony strzałą wypuszczoną z dziecinnego łuku. Mając szatę zbrukaną tryskającą z serca krwią, której barwa przypominała poświatę rzucaną teraz na ulicę przez konające słońce, napotkał samego Gabriela. Archanioł w jednej dłoni dzierżył błyszczący miecz, w drugiej wielki obosieczny topór, przez plecy zaś, oprócz haku, przewieszony miał sam wielki bitewny róg Nieba.

– Dokąd zmierzasz, mój mały, z piersią szkarłatną niczym u rudzika? – zapytał Gabriel.

– Zostałem zabity – odpowiedział anioł – i wracam, żeby raz jeszcze połączyć me istnienie ze Wszechstwórcą.

– Nie opowiadaj bzdur. Jesteś aniołem, samym duchem, nie możesz więc umrzeć.

– Mimo to jednak umarłem. Zwróć uwagę, ile krwi straciłem. Już nie tryska silnym strumieniem, tylko sączy się leniwie. Zwróć uwagę na bladeść mego oblicza. Czyż dotknięcie anioła nie powinno być ciepłe i promieniujące energią? Weź moją dłoń, a wyda ci się, że trzymasz

jakieś okropieństwo dopiero co wyciągnięte ze stęchłego stawu. Powąchaj mój oddech: czyż nie jest cuchnący, wstrętny i obrzydliwy? – Gabriel nic na to nie odpowiedział, więc anioł rzekł: – Bracie, nawet jeżeli cię nie przekonałem, błagam, zostaw mnie w pokoju, oto bowiem odchodzę z tego wszechświata.

– Skądże znowu, przekonałeś mnie – odparł Gabriel, ustępując mu z drogi. – Pomyślałem sobie tylko, że gdybym wiedział, iż kiedyś może nas to spotkać, byłbym czasem bardziej ostrożny.

– Czuję się dokładnie tak jak archanioł z tej opowieści – zwróciłem się do Agii. – Gdybym wiedział, że tak łatwo i szybko wykorzystam swoje życie, najprawdopodobniej bym tego nie zrobił. Znałaś tę legendę? Teraz jednak jest już za późno, żeby cokolwiek zmienić lub odwołać. Dziś po południu ten Septentrion zabije mnie... czym? Rośliną? Kwiatem? W każdym razie w sposób, którego nie rozumiem. Jeszcze niedawno sądziłem, że dotrę do miasta zwanego Thrax i spędzę tam resztę dni, które dane mi będzie przeżyć. Cóż, ostatniej nocy spałem w łóżku z olbrzymem. Jedno wcale nie jest bardziej fantastyczne od drugiego.

Nie odpowiedziała, więc po pewnym czasie zapytałem:

– Co to za budynek przed nami? Ten o cynobrowym dachu i widlastych kolumnach. Pachnie tak, jakby ucierano tam w mózdzierzach jakieś przyprawy.

– To klasztorna kuchnia. Czy wiesz, że jesteś przerażającym człowiekiem? Kiedy wszedłeś do naszego sklepu, pomyślałam, że to tylko jeszcze jeden rycerz w błazeńskim przebraniu. Potem, gdy okazało się, że naprawdę jesteś katem, sądziłam, że to nie może być nic złego, że na pewno jesteś zwyczajnym młodzieńcem, takim samym jak wszyscy.

– Zapewne znałaś wielu takich młodzieńców. – Prawdę mówiąc, chciałem, żeby tak właśnie było. Pragnąłem, żeby okazała się znacznie bardziej doświadczona ode mnie, i chociaż nawet przez chwilę nie pomyślałem o sobie jako o kimś czystym, to chciałem, żeby ona była jeszcze bardziej skalana.

– Mimo to jesteś inny. Masz twarz kogoś, kto niebawem odziedziczy dwa palatynaty i wyspę leżącą nie wiadomo gdzie, ale maniery szewca. Kiedy mówisz, że nie boisz się śmierci, wydaje ci się, że naprawdę tak myślisz, lecz w głębi duszy jesteś przekonany, że to nieprawda. Ty jednak istotnie tak uważasz. Pewnie nie mrugnąłbyś nawet okiem, gdybyś miał odciąć mi głowę, prawda?

Wokół nas miasto kipiało życiem. Przemykały najróżniejsze maszyny, pojazdy na kołach i bez nich, ciągnięte przez zwierzęta lub przez

niewolników, piosi i jeźdźcy dosiadający grzbietów dromaderów, wołów, metamynodonów lub koni. Obok pojawił się zaprzęg bliźniaczo podobny do naszego. Siedziała w nim również jakaś para.

– Wyprzedzimy was! – krzyknęła w ich stronę Agia.

– Jaki dystans? – zapytał mężczyzna. Rozpoznałem w nim sieur Racho, którego spotkałem kiedyś, gdy zostałem wysłany do mistrza Ultana po książki.

Złapałem Agię za ramię.

– Czy ty oszalałaś, czy on?

– Do wejścia do Ogrodów. O chrisos!

Ich pojazd przedarł się do przodu, a nasz ruszył ostro w ślad za nim.

– Szybciej! – krzyknęła Agia do woźnicy. – Masz sztylet? – To pytanie było skierowane do mnie. – Dobrze by było przyłożyć mu ostrze do karku. Mógłby wtedy mówić, że musiał tak pędzić, bo zabilibyśmy go, gdyby się zatrzymał.

– Po co to robisz?

– Na próbę. Nikt nie da wiary, że naprawdę jesteś katem, ale każdy uwierzy, że jesteś przebrany dla zabawy żołnierzem. Właśnie to udowodniłam. – W ostatniej chwili ominęliśmy wyładowaną piachem bryczkę. – Poza tym wiem, że zwyciężymy. Nasz woźnica i jego zwierzęta są świeży i wypoczęci, a tamten już przez pół nocy woził tę ulicznicę.

Uświadomiłem sobie wówczas, że jeśli wygramy, to będę musiał dać Agii kwotę stanowiącą przedmiot zakładu, jeśli zaś zostaniemy pokonani, to tamta kobieta będzie wymagała od Racho, żeby odebrał ode mnie moje (nieistniejące zresztą) chrisos. Jakże wspaniale byłoby go upokorzyć! Szaleńcza prędkość i bliskość śmierci (byłem pewien, że istotnie zostanę zabity przez hipparchę) uczyniły mnie bardziej lekkomyślnym, niż zdarzyło mi się kiedykolwiek w życiu. Terminus Est był tak długi, że bez wysiłku mogłem dosięgnąć nim do grzbietów naszych rumaków. Ich boki ociekały już potem, więc płytkie nacięcia, które wykonałem, musiały palić żywym ogniem.

– To lepsze od sztyletu – powiedziałem do Agii.

Tłum rozstępował się przed nami niczym woda. Matki chwytaly dzieci w objęcia, a żołnierze katapultowali się za pomocą włóczni na wysokie, bezpieczne parapety. Sytuacja, jaka powstała zaraz na początku wyścigu, przemawiała na naszą korzyść: wyprzedzający nas powóz w pewnym sensie torował nam drogę, znacznie częściej od nas wchodząc w kolizje z innymi pojazdami. Mimo to odległość zmniejszała

się bardzo powoli, więc nasz woźnica, który bez wątpienia w wypadku zwycięstwa spodziewał się hojnego napiwku, skierował zaprzęg na szerokie chalcedonowe schody. Marmury, pomniki, kolumny i pilastry śmignęły tuż koło nas, a potem przedarliśmy się przez dorównującą wysokością niektórym domom ścianę żywopłotu, przewróciliśmy jakiś wózek ze słodyczami, przemknęliśmy pod łukowato sklepioną bramą i prowadzącymi dla odmiany w dół, zakręcającymi lekko schodami, i znowu znaleźliśmy się na ulicy, nie wiedząc nawet, do kogo należało patio, które zdemolowaliśmy.

Byliśmy już tuż za rywalem, ale nagle oddzieliła nas od niego ciągnięta przez owcę wyładowana pieczywem taczka. Potrąciliśmy ją tylnym kołem i na ulicę runęła kaskada chleba, a szczupłe ciało Agii nagle znalazło się bardzo blisko mnie. Było to takie przyjemne, że objąłem ją ramieniem i przytrzymałem przy sobie. Nieraz już obejmowałem kobiety, chociażby Theclę, albo miejskie dziwki. Tym razem odczuwałem nieznaną mi do tej pory gorzkawą słodycz, biorącą chyba swój początek w okrutnej fascynacji, jaka wiązała się z moją osobą.

– Ciesz się, że to zrobiłeś – szepnęła mi do ucha. – Nienawidzę tych, którzy po mnie sięgają. – Po czym obsypała moją twarz pocałunkami.

Woźnica obejrzał się na nas z triumfującym uśmiechem, nie starając się nawet kierować rozszalałym zaprzęgiem.

– Pojechali Krętą Drogą... Mamy ich... Prosto na błonia i jesteście lepsi o sto łokci...

Powóz zatoczył się i wpadł w otwierający się wśród gęstych krzaków wąski przesmyk. Prosto przed nami pojawiła się ogromna budowla. Woźnica usiłował skręcić, ale było już za późno. Uderzyliśmy całym pędem w ścianę, która ustąpiła niczym we śnie i znaleźliśmy się w obszernym, słabo oświetlonym i pachnącym sianem wnętrzu. Na wprost znajdował się dorównujący rozmiarami wiejskiej chacie schodkowy ołtarz, na którym płonęły niewielkie błękitne ogniki. Zdałem sobie nagle sprawę, że widzę go zbyt dobrze; woźnica zeskoczył albo został zwałony z kozła. Agia przeraźliwie wrzasnęła.

Wpadliśmy na ołtarz. Nagle wszystko leciało, wirowało, zataczało się, nie mogąc się zatrzymać, niczym w poprzedzającym akt stworzenia chaosie. Ziemia uderzyła mnie z potwornym impetem, od którego aż zahuczało mi w uszach.

Zdaje się, że podczas lotu cały czas ścisnąłem rękojeść Terminus Est, ale kiedy upadłem, nie miałem go w dłoni. Nie mogłem wstać, żeby go

poszukać, nie byłem bowiem w stanie zebrać dość sił ani nawet złapać tchu. Gdzieś z daleka dobiegł mnie krzyk. Przetoczyłem się na bok, a potem zdołałem jakoś stanąć na odmawiających mi posłuszeństwa nogach.

Znajdowaliśmy się chyba blisko środka budynku, który chociaż z całą pewnością dorównywał rozmiarami Wielkiej Wieży, był zupełnie pusty, pozbawiony wewnętrznych ścian, schodów czy nawet jakichkolwiek mebli. Poprzez złotawą pylistą mgłę mogłem dostrzec krzywe kolumny wykonane najprawdopodobniej z malowanego drewna. Lampy, nie rzucające prawie żadnego światła, wisiały co najmniej łańcuch nad głowami, a jeszcze wyżej różnobarwny dach falował i trzepotał w podmuchach wiatru, którego nie czułem.

Stałem na słomie, leżące wszędzie dookoła niczym nieskończony żółty dywan, pozostawiony po zniwach na należącym do jakiegoś tytana polu. Wokół walały się pozostałości ołtarza: najczęściej oklejone złotymi płatkami cienkie deseczki i listwy, wysadzone turkusami i fioletowymi ametystami. Zdając sobie niewyraźnie sprawę z tego, że powinienem odnaleźć mój miecz, ruszyłem chwiejnie przed siebie, niemal od razu potykając się o zmiążdżone ciało woźnicy. Obok leżał jeden z rumaków. Pamiętam, iż pomyślałem, że pewnie złamał sobie kark.

– Kacie! – usłyszałem czyjś głos. Obejrzałem się i dostrzegłem Agię; stała prosto, chociaż na trzęsących się nogach. Zapytałem, czy nic jej się nie stało.

– W każdym razie żyję, ale musimy natychmiast opuścić to miejsce. Czy to zwierzę jest martwe? – Skinąłem głową. – Szkoda, mogłabym na nim jechać. Będziesz musiał mnie nieść, jeżeli dasz radę. Wątpię, czy zdołam stanąć całym ciężarem na prawej nodze. – Zachwiała się i musiałem szybko do niej doskoczyć, żeby uchronić ją przed upadkiem. – Musimy iść – powiedziała. – Rozejrzyj się. Widzisz drzwi? Szybko!

Nigdzie nie mogłem ich dostrzec.

– Dlaczego musimy uciekać?

– Jeśli nie widzisz, to powąchaj. Nic nie czujesz?

Unoszący się w powietrzu zapach nie był już zapachem słomy, ale słomy płonącej. Niemal w tej samej chwili dostrzegłem płomień, wyraźne w panującym dokoła półmroku, ale tak małe, że jeszcze przed chwilą musiały być zaledwie iskrami. Spróbowałem przebiec kilka kroków, ale nie stać mnie było na nic więcej poza niepewnym kuśtykaniem.

– Gdzie jesteśmy?

– W Katedrze Peleryn. Niektórzy nazywają ją Katedrą Pazura. Peleryny to grupa kapłanek wędrujących po kontynencie i...

Agia przerwała, ponieważ zbliżyliśmy się do grupy odzianych w szkarłatne szaty ludzi. Albo to oni do nas się zbliżyli, gdyż wydawało mi się, jakby pojawili się w pewnej odległości od nas zupełnie znikąd, bez żadnego ostrzeżenia. Mężczyźni mieli ogolone głowy i trzymali błyszczące, zakrzywione niczym młody księżyc bułaty, a kobieta o wzroście zdradzającym arystokratkę niosła długi, schowany w pochwie miecz: mój własny Terminus Est. Ubrana była w skąpą narzutkę ozdobioną licznymi frędzlami, na głowie miała kaptur.

– Nasz zaprzęg poniósł, święta Kapłanko, i...

– To nie ma znaczenia – przerwała jej kobieta. Była piękna, ale jej uroda w niczym nie przypominała tych kobiet, które zaspokajają nasze pożądanie. – Ten miecz jest własnością człowieka, który trzyma cię w ramionach. Powiedz mu, żeby cię postawił i wziął go ode mnie. Możesz sama chodzić.

– Spróbuję. Zrób to, kacie.

– Nie znasz jego imienia?

– Mówił mi, ale zapomniałam.

– Jestem Severian – powiedziałem, podtrzymując ją jedną ręką, podczas gdy drugą odebrałem swoją własność.

– Kończ wszelkie spory – zwróciła się do mnie okryta szkarłatem kobieta. – Nigdy ich nie zaczynaj.

– Podłoga namiotu zajęła się ogniem, kasztelanko.

– Zostanie ugaszony. Nasze siostry i słudzy już się tym zajmują. – Przeniosła wzrok na Agię, potem na mnie, a potem jeszcze raz na dziewczynę. – W ruinach zniszczonego przez wasz powóz ołtarza znaleźliśmy tylko jedną rzecz, która należała do was i która zapewne przedstawia dla was dużą wartość: ten oto miecz. Zwróciliśmy go. Czy wy również oddacie nam to, co znaleźliście, a co jest dla nas niezwykle cenne?

Przypomniałem sobie tkwiące w zgruchotanych deszczułkach ametysty.

– Nie znaleźliśmy nic wartościowego, kasztelanko. – Agia potwierdziła moje słowa kiwnięciem głowy. – Widziałem szlachetne kamienie, które stanowiły ozdobę waszego ołtarza, ale pozostawiłem je na miejscu.

Mężczyźni mocniej ścisnęli rękojeści swych szabel i stanęli w gotowości do walki, ale wysoka kobieta nie wykonała najmniejszego

ruchu, przyglądając się na przemian to Agii, to mnie.

– Zbliź się do mnie, Severianie.

Zrobiłem trzy kroki. Pokusa, aby wyciągnąć Terminus Est z pochwy, była wielka, lecz zdołałem ją opanować. Kapłanka ujęła moje dłonie i spojrzała mi prosto w oczy. Jej własne były bardzo spokojne i w tym dziwnym świetle wydawały się twarde niczym beryle.

– Nie ma w nim winy – oznajmiła po chwili.

– Mylisz się, święta Pani – mruknął jeden z mężczyzn.

– Powtarzam, że nie ma w nim winy. Cofnij się, Severianie, i niech teraz podejdzie ta kobieta.

Uczyliem, jak mi kazała. Agia postąpiła kilka kroków w jej stronę, ale zatrzymała się w znacznie większej odległości niż ja przed chwilą. Wysoka kobieta zbliżyła się do niej i ujęła jej dłonie w taki sam sposób jak moje. Zaraz potem spojrzała w kierunku stojących za zbrojnymi sługami kobiet. Nim zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, dwie z nich chwyciły suknię Agii i ściągnęły ją przez głowę.

– Nic, Matko – obwieściła jedna z nich.

– W takim razie to chyba jest ów przepowiedziany dzień.

– Peleryny są szalone – szepnęła do mnie Agia, zasłaniając dłońmi piersi. – Wszyscy o tym wiedzą i gdybyśmy mieli więcej czasu, z pewnością bym ci o tym opowiedziała.

– Oddajcie jej te łachmany. Za pamięci żywych Pazur jeszcze nigdy nie zniknął, ale może to uczynić, jeśli taka Jego wola, i nikt z nas nie powinien ani nie zdołałby temu przeszkodzić.

– Może odnajdziemy Go w ruinach ołtarza, Matko – zaszemrała jedna z kobiet.

– Czy nie powinni zapłacić za zniszczenia? – dodała druga.

– Zabijmy ich! – rzucił jeden z mężczyzn.

Wysoka kobieta nie dała po sobie poznać, że ich słyszała. Oddalała się już od nas, sprawiając wrażenie, jakby płynęła po rozsypanej na ziemi słomie. Kobiety ruszyły za nią, spoglądając co chwila jedna na drugą, mężczyźni zaś schowali szable i cofnęli się o kilka kroków.

Agia wciskała się z powrotem w swoją suknię. Zapytałem ją, co wie o Pazurze i kim właściwie są te Peleryny.

– Wyprowadź mnie stąd, Severianie, a wszystko ci opowiem. Niedobrze jest rozmawiać o nich w miejscu, które do nich należy. Zdaje się, że w tamtej ścianie jest rozdarcie?

Ruszyliśmy w tę stronę, brodząc niepewnie i potykając się w grubej warstwie siana. Nie znaleźliśmy żadnego otworu, ale udało mi się unieść

krawędź namiotu na tyle, żebyśmy mogli wyslizgnąć się na zewnątrz.

rozdział 19

Ogrody Botaniczne

Blask był oślepiający i wydawało się, że po zmierzchu znienacka nastał pełny dzień. W powietrzu wokół nas unosiły się złote drobinki słomy.

– No, już lepiej – odetchnęła Agia. – Zaczekaj chwilę, muszę się zorientować. Schody Adamniana powinny być na prawo. Chyba nimi nie zjeźdzaliśmy – chociaż nie wiadomo, ten woźnica był zupełnie szalony – a prowadzą do samej przeprawy. Podaj mi ramię, Severianie. Moja noga jeszcze nie jest w porządku.

Szliśmy teraz po trawie, namiot katedra stał bowiem na sporej łące otoczonej z trzech stron częściowo ufortyfikowanymi domami. Gdyby miał dzwonnice, górowałyby one znacznie nad ich dachami. Z czwartej strony granicę łąki wyznaczała szeroka brukowana ulica. Kiedy do niej dotarliśmy, ponownie zapytałem, kim są Peleryny.

Agia spojrzała na mnie z ukosa.

– Musisz mi wybaczyć, ale niełatwo jest mi rozmawiać o zawodowych dziewczicach z mężczyzną, który przed chwilą widział mnie zupełnie nagą. Chociaż w innych okolicznościach mogłoby być zupełnie inaczej. – Nabrała głęboko powietrza w płuca. – Niewiele o nich wiem, ale kiedyś znalazłam ich habity w naszym sklepie i zapytałam brata, a potem zawsze nadstawiałam ucha, kiedy ktoś o nich mówił w moim towarzystwie. Ten ich szkarłat jest bardzo popularnym przebraniem na wszelkiego rodzaju maskarady.

Jak z pewnością sam zauważyłeś, jest to zakon bardzo tradycyjny. Szkarłat oznacza światło spływające z Nowego Słońca, one zaś spływają na właścicieli ziemskich, podróżując ze swoją katedrą po całym kraju i zagarniając to tu, to tam dość gruntu, żeby móc ją ustawić. Twierdzą, że w ich posiadaniu jest najcenniejsza z istniejących relikwii, Pazur

Łagodziciela, więc ta czerwień czasem jest tłumaczona jako Krew Jego Ran.

– Nie wiedziałem, że miał pazury – zauważyłem, starając się błysnąć dowcipem.

– Podobno to nie jest prawdziwy pazur, tylko jakiś klejnot. Z pewnością o nim słyszałeś. Nie rozumiem, dlaczego nazywa się go Pazurem, i wątpię, czy same kapłanki to rozumieją. Zakładając jednak, że istotnie miał jakiś związek z Łagodzicielem, można pojąć, dlaczego jest otaczany taką czcią. Nasza wiedza o Łagodzicielu jest zresztą wyłącznie historycznej natury, to znaczy, że możemy potwierdzić lub zaprzeczyć, iż miał w odległej przeszłości jakiś kontakt z naszą rasą. Jeżeli Pazur jest tym, za co uważają go Peleryny, oznaczałoby to, że On naprawdę kiedyś istniał, chociaż teraz może już nie żyć.

Przestraszone spojrzenie jakiejś niosącej cymbały kobiety ostrzegło mnie, że płaszcz, który kupiłem od brata Agii, nieco się rozchylił, odsłaniając znajdujący się pod nim fuligin, który biednej kobiecie musiał się wydać czarną ziejącą pustką.

– Jak wszystkie religijne dysputy, tak i ta staje się tym mniej istotna, im dłużej się ją prowadzi – powiedziałem, ściągając starannie połę płaszcza. – Nawet jeśli Łagodziciel przebywał przed eonami wśród nas, to jakie może to mieć teraz znaczenie dla kogokolwiek poza garstką historyków i fanatyków? Cenię tę legendę jako część naszej świętej przeszłości, ale wydaje mi się, że to ona sama jest teraz ważna, a nie rozwiane po świecie prochy Łagodziciela.

Agia zatarła dłonie, jakby chciała je rozgrzać w promieniach słońca.

– Jeżeli rzeczywiście żył – skręcamy tutaj, Severianie, tam, gdzie stoją te posągi eponimów, zobaczysz już szczyt schodów – to był Panem Mocy, co oznacza całkowitą transcendencję i negację czasu, czyż nie tak?

Skinąłem głową.

– W takim razie nic nie może go powstrzymać – nawet gdyby żył przed, powiedzmy, trzydziestoma tysiącami lat – przed przeniesieniem się nagle w czas, który my nazywamy teraźniejszością. Żywy lub martwy, jeśli tylko istniał, może na nas czekać za najbliższym zakrętem ulicy lub tygodnia.

Dotarliśmy do schodów. Stopnie wykonane z białego niczym sól kamienia były miejscami tak szerokie, że trzeba było kilku kroków, żeby zejść o jeden niżej, a miejscami wąskie i strome niczym drabina. Tu i ówdzie porozstawiali swoje stragany handlarze ubraniami, zwierzętami i temu podobni. Nie wiem dlaczego, ale dyskusja

prowadzona właśnie tutaj sprawiała mi wielką przyjemność.

– A wszystko to dlatego, że te kobiety twierdzą, jakoby posiadały jeden z jego błyszczących paznokci. Przypuszczam, że dokonują za jego pomocą cudownych uzdrowień?

– Tak mówią. Zasklepia rany, wskrzesza zmarłych, powołuje do życia nowe istoty, oczyszcza namiętności i tak dalej. Podobno On sam również dokonywał tych wszystkich rzeczy.

– Śmiejesz się ze mnie.

– Śmieję się ze słońca. Wiesz, co ono robi z twarzami kobiet?

– Opala je.

– Szpeci. Najpierw wysusza skórę i powoduje zmarszczki, a potem uwidacznia każdy, najmniejszy nawet defekt. Urvasi kochała Puravasa, dopóki nie ujrzała go w biały dzień. Poczułam słońce na swojej twarzy i pomyślałam: „Nie przejmuję się tobą. Jestem jeszcze za młoda, żeby się ciebie bać, a za rok wezmę sobie ze sklepu kapelusz o szerokim rondzie”.

Widziana w pełnym słońcu twarz Agii była daleka od ideału, ale musiałem jej przyznać rację, że istotnie jeszcze nie ma się czego obawiać. Mój głód tymczasem karmił się łąpczywie wszelkimi niedoskonałościami. Odznaczała się typową dla biedaków pełną nadziei i jednocześnie beznadziejną odwagą, stanowiącą chyba najbardziej wzruszającą ze wszystkich ludzkich cech; rozkoszowałem się więc wszelkimi skazami, które czyniły ją bardziej prawdziwą.

– Nigdy nie rozumiałam – ciągnęła dalej, ścisnąwszy mocno moją rękę – dlaczego takie na przykład Peleryny uważają, że namiętności zwykłych ludzi powinny ulegać ciągłemu oczyszczaniu. Moim zdaniem oni sami dostatecznie je kontrolują i to niemal każdego dnia. Większość z nas potrzebuje raczej kogoś, kto pomógłby je wyzwolić.

– Więc zależałoby ci na tym, żebym cię pokochał? – zapytałem na wpół żartobliwie.

– Każdej kobiecie zależy na tym, żeby być kochaną, a im więcej mężczyzn ją kocha, tym lepiej! Ale ja nie odwzajemnię się tym samym, jeśli o to ci chodzi. To byłoby bardzo łatwe po spędzeniu z tobą całego dnia, ale gdybyś został dzisiaj zabity, nie mogłabym przyjść do siebie przez co najmniej dwa tygodnie.

– Ze mną byłoby to samo.

– Wcale nie. Ty byś się nie przejął, ani tym, ani w ogóle niczym. Będąc martwym, nie czuje się żadnego bólu – chyba powinienes o tym najlepiej wiedzieć.

– Zaczynam prawie podejrzewać, że ta cała sprawa jest twoją albo twojego brata zasługą. Byłaś na zewnątrz, kiedy przyszedł Septentrion. Czy powiedziałaś mu coś, co rozpało jego nienawiść do mnie? A może to twój kochanek?

Roześmiała się, pokazując słońcu białe zęby.

– Popatrz na mnie: moja suknia jest co prawda obsypana brokatem, ale widziałeś, co mam pod nią. Moje stopy są bosc. Czy widzisz jakieś pierścienie lub kolczyki? Futro srebrnej strzygi na mojej szyi? Złote bransolety na rękach? Jeśli nie, to możesz być zupełnie pewny, że żaden oficer Oddziałów Wewnętrznych nie gościł w moim łóżku. Jest tylko pewien stary żeglarz, brzydki i biedny, który namawia mnie, żebym się z nim związała. Poza tym, cóż, prowadzimy z Agilusem nasz sklep. Odziedziczyliśmy go po matce. Nie jesteśmy zadłużeni tylko dlatego, że nie sposób znaleźć głupca, który zechciałby nam cokolwiek pożyczyć. Od czasu do czasu bierzemy coś z magazynu i sprzedajemy fabrykantom papieru, żeby mieć za co kupić miskę soczewicy.

– Dzisiaj powinniście zjeść obfitą kolację – powiedziałem. – Twój brat wziął ode mnie dobrą cenę za ten płaszcz.

– Co takiego? – Znowu wrócił jej żartobliwy nastrój. Cofnęła się o krok, udając wielkie zdumienie. – Nie zaprosisz mnie na kolację? Po tym, jak przez cały dzień doradzałam ci i oprowadzałam po mieście?

– Przy okazji wplątując mnie w zniszczenie ołtarza Peleryn.

– Naprawdę, bardzo mi przykro. Nie chciałam, żebyś nadweręzał nogi, będą ci potrzebne podczas walki. A potem pojawił się ten drugi powóz i pomyślałam, że będziesz mógł zarobić trochę pieniędzy.

Jej wzrok spoczął na jednym z kamiennych posągów.

– I to naprawdę wszystko? – zapytałem.

– Prawdę mówiąc, chciałam, żeby wzięli cię za żołnierza. Oni zawsze się przebierają, bo ciągle biorą udział w przeróżnych ucztach i turniejach, a ty masz odpowiednią twarz. Dlatego właśnie sama tak pomyślałam, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam. Gdybyś nim był, to tym samym stałabym się osobą, którą darzy zainteresowaniem nie byle kto, bo rycerz i najpewniej bękart jakiegoś arystokraty. Pomyślałam, że to będzie dobry żart. Nie mogłam przewidzieć, jak to się skończy.

– Rozumiem. – Nagle wybuchnąłem głośnym śmiechem. – Ależ musieliśmy wyglądać w tym pędzącym powozie!

– Jeżeli to rozumiesz, to mnie pocałuj.

Wytrzeszczyłem na nią oczy.

– Pocałuj! Jak myślisz, ile jeszcze okazji ci zostało? Dam ci jeszcze

więcej, jeśli chcesz... – Także się roześmiała. – Może po kolacji, jeśli uda nam się znaleźć jakiś spokojny zakątek, chociaż chyba nie będzie to dla ciebie zbyt korzystne, zważywszy na to, że czeka cię walka.

Rzuciła mi się w ramiona, stając na palcach, żeby dosięgnąć wargami do mych ust. Miała jędrne, wysoko osadzone piersi, czułem poruszenia jej bioder.

– No, wystarczy. – Odepchnęła mnie. – Spójrz tam, Severianie, między tymi pylonami. Co widzisz? – W promieniach słońca woda błyszczała niczym zwierciadło.

– Rzekę.

– Tak, Gyoll. A teraz trochę w lewo. Przez te nenufary trudno dostrzec wyspę, ale trawa ma jaśniejszą, weselszą zieleń. Widzisz te szklane tafle? O, tam, gdzie odbija się światło.

– Tak, coś widzę. Czy ta budowla jest cała ze szkła?

Skinęła głową.

– To właśnie Ogrody Botaniczne, do których idziemy. Pozwolą ci tam ściąć twój kwiat, musisz tylko zażądać tego jako należnego ci prawa.

Od tej pory szliśmy w milczeniu. Schody Adamniana wiją się po zboczu dość wysokiego wzgórza i stanowią ulubione miejsce spacerowiczów, którzy często wjeżdżają wynajętym powozem na szczyt i następnie schodzą w dół. Widziałam wiele bogato ubranych par, mężczyzn o twarzach zoranych ciężkimi przeżyciami i dokazujących dzieci. Z kilku miejsc mogłem także dostrzec wznoszące się po przeciwnej stronie rzeki ciemne wieże Cytadeli; kiedy wraz z innymi uczniami skakaliśmy do wody z wysokiego brzegu, walcząc o lepsze miejsce z miejscowymi dziećmi, kilka razy zwróciłem uwagę na wąską, wijącą się kreskę po drugiej stronie, tak daleko w górze rzeki, że aż prawie niewidoczną.

Ogrody Botaniczne znajdowały się na położonej niedaleko brzegu wyspie, w budynku wzniesionym całkowicie ze szkła (nic takiego wcześniej nie widziałem i nawet nie podejrzewałem, że w ogóle może istnieć). Była to pozbawiona wszelkich wież i blanków wielościenna rotunda o kopulastym sklepieniu, wznosząca się w niebo i niknąca na jego tle. Błyski świetlnych reflektorów można było łatwo pomylić ze słabym migotaniem gwiazd. Zapytałem Agię, czy mamy dość czasu, żeby zobaczyć całe Ogrody, i nie czekając na odpowiedź, oświadczyłem, że muszę je zwiedzić. Prawdę powiedziawszy, nie miałem nic przeciwko temu, żeby spóźnić się na własną śmierć, a poza tym coraz trudniej przychodziło mi poważnie myśleć o pojedynku toczonym na kwiaty.

– Niech tak będzie, skoro chcesz tu spędzić swoje ostatnie popołudnie – odparła. – Ja sama często tutaj przychodzę. Ogrody są własnością Autarchy, więc wstęp jest za darmo, wizyta zaś może okazać się interesująca, o ile nie jest się zbyt wybrednym.

Wspinając się po szklanych bladozielonych schodach, zapytałem Agię, czy ta ogromna budowla istnieje tylko po to, żeby dostarczać kwiatów i owoców.

Potrząsnęła z uśmiechem głową i wskazała na szerokie, zwieńczone łukiem wejście.

– Po obydwu stronach tego korytarza znajdują się oddzielne komory o zróżnicowanych warunkach. Uważaj jednak, korytarz jest krótszy od budynku, więc w miarę posuwania się naprzód komory stają się coraz szersze. Niektórym sprawia to sporo kłopotów.

Weszliśmy do środka i znaleźliśmy się w takiej ciszy, jaka musiała panować u zarania świata, zanim jeszcze ojcowie ludzkości nauczyli się wytwarzać brązowe gongi i budować skrzypiące wozy i nim zaczęli chłostać grzbiec Gyoll rozpryskującymi wodę wiosłami. Powietrze, wilgotne i pachnące, było odrobinę cieplejsze niż na zewnątrz. Ściany po obydwu stronach mozaikowej podłogi także wykonano ze szkła, ale tak grubego, że wzrok tylko z trudem przenikał na drugą stronę. Liście, kwiaty, a nawet całe drzewa migotały i falowały, jakby oglądane przez warstwę wody. Na szerokich drzwiach widniał napis:

OGRÓD SNU

– Możecie wybrać, które chcecie – odezwał się człowiek w podeszłym wieku, podnosząc się ze stojącego w kącie krzesła. – I ile chcecie.

Agia pokręciła głową.

– Mamy czas najwyżej na jeden lub dwa.

– Jesteście tu pierwszy raz? Nowo przybyłym zwykle najbardziej podoba się Ogród Pantomimy.

Miał na sobie nierzucającą się w oczy szatę, która przypominała mi coś, czego nie mogłem w tej chwili przywołać z pamięci. Zapytałem go, czy to jest strój jakiejś konfraterni.

– W istocie. Jesteśmy kuratorami. Czy spotkałeś już kiedyś któregoś z naszych braci?

– Dwa razy.

– Pozostało nas tylko kilku, ale nasze zadanie jest najważniejsze ze

wszystkich: zachować to, co minęło. Czy widziałeś Ogród Starożytności?

– Jeszcze nie – odparłem.

– A powinienes! Jeśli to twoja pierwsza wizyta, proponuję, żebyś rozpoczął właśnie od niego. Setki wymarłych roślin, w tym nawet takie, których nikt nie widział już od dziesiątków milionów lat.

– To fioletowe pnącze, z którego jesteście tacy dumni – wtrąciła Agia – rośnie na wzgórzu w Dzielnicy Szewców.

Kurator potrząsnął ze smutkiem głową.

– Tak, tak, uciekają nam nasiona. Wiemy o tym. Wystarczy, że pęknie jedna tafla i powieje wiatr... – Grymas zatroskania szybko jednak zniknął z jego pomarszczonej twarzy, jak to się zwykle dzieje z kłopotami prostych ludzi. Uśmiechnął się. – Ma duże szanse się rozplenić. Wszyscy jego wrogowie są równie martwi jak choroby, które leczył wywar z jego liścia.

Za moimi plecami rozległ się jakiś rumor. Odwróciłem się szybko i zobaczyłem dwóch robotników przepychających wózek przez drzwi. Zapytałem, co oni robią.

– To Piaskowy Ogród. Odbudowują go. Kaktusy, juka i takie rzeczy. Obawiam się, że teraz nie ma tam zbyt wiele do oglądania.

Wziąłem Agię za rękę.

– Chodź, chciałbym się przyjrzeć, jak pracują – powiedziałem. Uśmiechnęła się do kuratora i wzruszyła lekko ramionami, ale posłusznie poszła za mną.

Owszem, był tam piach, ale nie ogród. Znaleźliśmy się na nieskończonej, wydawało się, równinie, usianej gęsto sporymi karmieniami. Jeszcze większe głązy wznosiły się stromo za naszymi plecami, kryjąc drzwi, przez które weszliśmy. Tuż przed nami rosła duża roślina, trochę krzak, a trochę drzewo, o okrutnych zakrzywionych kolcach. Domyśliłem się, że jest to ostatnia pozostałość oryginalnej flory, której jeszcze nie usunięto na czas remontu. Poza tym nie mogliśmy nic dostrzec, jeżeli nie liczyć śladów kół wózka, niknących między kamieniami.

– Tu jest niewiele – stwierdziła Agia. – Czemu nie chcesz, żebym zaprowadziła cię do Ogrodu Rozkoszy?

– Drzwi są otwarte, dlaczego więc czuję, że nie mogę opuścić tego miejsca?

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

– Każdy, kto tu przychodzi, prędzej lub później odnosi takie wrażenie, ale zwykle nie dzieje się to aż tak szybko. Będzie lepiej, jeżeli stąd zaraz

wyjdziemy. – Powiedziała jeszcze coś, ale tego nie dosłyszałem. Wydawało mi się, jakby gdzieś z bardzo daleka dobiegł huk fal rozbijających się o krawędzie świata.

– Zaczekaj... – szepnąłem, ale Agia już wyciągnęła mnie na korytarz. Na naszych stopach pozostało tyle piasku, ile dziecko mogłoby zmieścić w jednej dłoni.

– Naprawdę mamy już niewiele czasu – powiedziała. – Pokażę ci Ogród Rozkoszy, a potem zetniemy kwiat i będziemy już musieli iść.

– Przecież jeszcze jest wcześniej.

– Minęło już południe. Spędziliśmy całą wachtę w Piaskowym Ogrodzie.

– Teraz wiem, że mnie okłamujesz.

Przez jej twarz przemknął cień gniewu, który jednak natychmiast ustąpił miejsca filozoficznej ironii połączonej z lekką urazą. Byłem od niej silniejszy i – chociaż niemal nędzarz – zamożniejszy. Myślała teraz (niemal słyszałem, jak jakiś głos szepcze jej to do ucha), że znosząc takie zniewagi, dowodzi swojej wyższości.

– Kłóciłeś się i kłóciłeś, aż wreszcie musiałam wyciągnąć cię siłą. Ogrody tak właśnie wpływają na ludzi, a w każdym razie na tych bardziej wrażliwych. Mówi się, że Autarcha pragnął, żeby w każdej z komór cały czas przebywali żywi ludzie, dlatego jego arcymag, Ojciec Inire, rzucił na nie specjalne zaklęcia. Skoro jednak ta tak bardzo cię zainteresowała, są spore szanse, że na inne będziesz bardziej odporny.

– Czułem się tak, jakbym tam należał – powiedziałem. – Że mam kogoś spotkać... i że była tam pewna kobieta, bardzo blisko, ale ukryta przed moim wzrokiem.

Minęliśmy kolejne drzwi, na których widniał napis:

DŻUNGLA

Agia nie odezwała się ani słowem.

– Powiedziałas, że inne już tak na mnie nie wpłyną, może więc byśmy weszli? – zaproponowałem.

– Jeżeli będziemy tak marnować czas, to nigdy nie dotrzemy do Ogrodu Rozkoszy.

– Tylko na chwilę.

Była tak zdecydowana zaprowadzić mnie tylko do tego jednego ogrodu, nie pokazując pozostałych, że zacząłem się obawiać, co też może

mnie tam czekać.

Ciężkie drzwi prowadzące do Dżungli otworzyły się, wypuszczając podmuch parnego powietrza. Wewnątrz światło było zielonkawe i przyćmione. Kilka kroków od wejścia zwieszały się splątane liany, a wielkie, przegniłe na wylot drzewo leżało zwalone w poprzek ścieżki. Do jego pnia była przybita tabliczka z napisem: *Caesalpinia sappan*.

– Prawdziwa dżungla, na północy, umiera wraz ze stygnącym słońcem – powiedziała Agia. – Pewien człowiek, którego dobrze znam, mówi, że dzieje się tak już od wielu stuleci. Tutaj dżungla wygląda tak jak wtedy, kiedy słońce było jeszcze młode. Wejdźmy do środka. Chciałeś przecież zobaczyć to miejsce.

Zrobiłem krok naprzód, a drzwi zamknęły się za nami i zniknęły.

rozdział 20

Zwierciadła Ojca Inire

Tak jak powiedziała Agia, prawdziwe dżungle dogorywały daleko na północy. Nigdy ich nie widziałem, ale znalazłszy się w tym Ogrodzie, odniosłem wrażenie, że już tam kiedyś byłem. Nawet teraz, kiedy siedzę przy biurku w Domu Absolutu, jakiś dobiegający z daleka odgłos przywodzi mi na myśl wrzaski papugi o karmazynowej piersi, przenoszącej się bezustannie z drzewa na drzewo i obserwującej nas z dezaprobatą oczami z białymi obwódkami. Przez jej wrzaski przedarł się inny głos, dochodzący z jakiegoś nieodkrytego jeszcze przez myśl, osłoniętego czerwienią światła.

– Co to? – zapytałem, dotykając ramienia Agii.

– To smilodon. Ale jest daleko od nas i chce tylko nastraszyć jelenie, żeby łatwiej wpadły w jego szczęki. Uciekłyby przed tobą i twoim mieczem dużo szybciej niż ty przed nim. – Była w nie najlepszym nastroju, jakaś gałąź rozerwała jej bowiem suknię, odsłaniając jedną pierś.

– Dokąd prowadzi ta ścieżka? I w jaki sposób ten drapieżnik może być daleko stąd, skoro znajdujemy się zaledwie w jednym z pomieszczeń budynku, który widzieliśmy ze Schodów Adamniana?

– Nigdy nie zapuszczałam się aż tak daleko. To ty chciałeś tu wejść.

– Odpowiedz na moje pytanie – zażądałem, chwytając ją za ramiona.

– Jeżeli to taka sama ścieżka jak inne, to znaczy w innych ogrodach, zatacza szeroki łuk i wraca do drzwi, przez które weszliśmy. Nie ma powodu do obaw.

– Drzwi zniknęły, kiedy je zamknąłem.

– To tylko taka sztuczka. Czy nie widziałeś tych obrazów, na których święci mężowie mają zamknięte oczy, gdy patrzysz z jednego miejsca, a otwarte, gdy przejdziesz na drugi koniec pokoju?

Na ścieżkę wypełził wąż o krwistoczerwonych oczach, uniósł swą okrutną głowę, żeby na nas spojrzeć, po czym zniknął w gęstwinie. Agia wstrzymała oddech.

– I kto się teraz boi? – zapytałem. – Czy ten wąż uciekałby przed tobą równie szybko jak ty przed nim? Teraz powiedz mi o zębacz: czy naprawdę jest daleko stąd? A jeśli tak, jak to jest możliwe?

– Nie wiem. Sądzisz, że tutaj możesz znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania? Czy tak jest tam, skąd przychodzisz?

Przypomniałem sobie Cytadelę i prastare obyczaje przeróżnych konfraterni.

– Nie – odpowiedziałem. – Istnieje wiele tajemniczych obrzędów i obyczajów, chociaż w tych dekadencjach czasach coraz mniej się o nich pamięta. Są również wieże, do których nikt nigdy nie wchodził, zapomniane komnaty i tunele, nie wiadomo skąd i dokąd prowadzące.

– Dlaczego więc nie możesz zrozumieć, że tutaj jest tak samo? Kiedy spoglądałeś ze szczytu schodów na ogrody, czy byłeś w stanie dostrzec cały budynek?

– Nie – przyznałem. – Widok zasłaniały mi kolumny i wieże, a także fragment skarpy.

– A nawet gdyby tak nie było, czy mógłbyś ocenić jego wielkość? Wzruszyłem ramionami.

– Jest ze szkła, z daleka trudno więc stwierdzić, gdzie się właściwie kończy.

– Jak więc możesz zadawać takie pytania? Jeśli zaś musisz je zadawać, to czy nie możesz pojąć, że ja wcale nie muszę znać na nie odpowiedzi? Po ryku smilodona poznałam, że jest daleko stąd. Możliwe, że wcale go tu nie ma albo że ta odległość jest odległością w czasie.

– Patrząc z zewnątrz na tę budowlę, widziałem wielościenną rotundę. Teraz, kiedy spoglądam w górę, widzę tylko niebo.

– Być może szklane tafle mają tak duże powierzchnie, że ich krawędzie są zasłonięte przez liście i gałęzie.

Szliśmy naprzód, przechodząc między innymi w bród przez strumień, w którym odpoczywał jakiś gad o groźnie wyglądających zębach i grzbiecie pokrytym sterczącymi kostnymi płytkami. Obawiając się ataku z jego strony, obnażyłem Terminus Est.

– Jestem pewien – zwróciłem się do Agii – że drzewa rosną tu tak gęsto po to, żeby ograniczać widoczność. Ale tutaj jest trochę lepiej – w górze strumienia widzę tylko dżunglę, a w dole migoce woda, jakby zaczynało się tam jakieś jezioro.

– Ostrzegalam cię, że komory rozszerzają się, co czasem nieco utrudnia orientację. Słyszałam również, że ściany niektórych z nich wyłożone są lustrami, dzięki czemu powstaje złudzenie rozległej przestrzeni.

– Znałam kiedyś kobietę, która osobiście spotkała Ojca Inire. Opowiedziała mi o nim pewną historię. Czy chciałabyś ją usłyszeć?

– Jak uważasz.

Właściwie to ja chciałem ją usłyszeć, dlatego opowiedziałem ją w myśli samemu sobie, słysząc ją nie gorzej niż wtedy, gdy opowiadała mi ją Thecla, trzymając moje dłonie w swoich rękach, białych i zimnych niczym lilie zerwane z wypełnionego wodą grobu.

Ukończyłam wtedy trzynaście lat, Severianie. Miałam przyjaciółkę imieniem Domnina, śliczną dziewczynę sprawiającą wrażenie dużo młodszej, niż była w istocie. Może właśnie dlatego tak mu się spodobała.

Ponieważ nic nie wiesz o Domu Absolutu, musisz uwierzyć mi na słowo, że w pewnym miejscu w Korytarzu Znaczeń umieszczono dwa lustra. Są szerokie na dwa lub trzy łokcie i sięgają od podłogi do sufitu, między nimi zaś nie ma nic oprócz marmurowej posadzki. Tak więc każdy, kto idzie Korytarzem Znaczeń, w pewnej chwili widzi swoje zwielokrotnione do nieskończoności odbicie, każde lustro odbija bowiem obraz, który widać w znajdującym się naprzeciw zwierciadle.

Jest to, rzecz jasna, bardzo atrakcyjne miejsce dla kogoś, kto jest dziewczynką i w dodatku uważa się za piękność. Pewnego wieczoru bawiłyśmy się tam z Domniną, oglądając bez końca nasze nowe sukienki. Przyniosłyśmy dwa duże kandelabry i ustawiliśmy jeden po lewej stronie jednego lustra, drugi zaś po prawej stronie drugiego, czyli w rezultacie we wszystkich czterech rogach, jeżeli można tak powiedzieć.

Tak byłyśmy zajęte podziwianiem naszych odbić, że dostrzegłyśmy Ojca Inire dopiero wtedy, kiedy był zaledwie kilka kroków od nas. Gdybyśmy zauważyły go wcześniej, z pewnością byśmy przed nim uciekły, chociaż był niewiele większy od nas. Odziany był w lekko opalizujące szaty i kiedy patrzyłam prosto na niego, wydawało mi się, że cały spowity jest obłokiem półprzezroczystej mgły.

„Strzeżcie się, dzieci, oglądając w lustrach swoje odbicie – powiedział. – W posrebrzonym szkle czai się zły skrzat, który wpełza w oczy tych, którzy mu się przyglądają”.

Wiedziałam, co chce przez to powiedzieć, i oblałam się rumieńcem. Domnina jednak rzekła:

„Chyba go widziałam. Czy on ma kształt dużej błyszczącej łyzy?”.

Chociaż Ojciec Inire nie zawahał się ani nawet nie mrugnął, wiedziałam, że był zdumiony.

„Nie, to musiał być ktoś inny, księżniczko – powiedział. – Czy widziałas go wyraźnie? Nie? Więc przyjdź jutro zaraz po nonach do sali audiencyjnej, a ja ci go pokażę”.

Odszedł, a my zostałyśmy, bardzo przestraszone. Domnina przysięgała po stokroć, że nie pójdzie, a ja popierałam jej decyzję i starałam się ją w niej utwierdzić. Ustaliliśmy nawet, że zostanie ze mną na noc i przez cały następny dzień.

Wszystko na nic. Tuż przed wyznaczoną godziną po biedną Domninę przyszedł lokaj w dziwnej liberii, której żadna z nas jeszcze nigdy nie widziała.

Kilka dni wcześniej dostałam w prezencie pudło z papierowymi postaciami. Były tam kolombiny, koryfeusze, arlekiny, subretki i jeszcze wiele innych. Pamiętam, że przesiedziałam całe popołudnie przy oknie, czekając na Domninę i bawiąc się tymi papierowymi ludzikami. Malowałam kredkami ich kostiumy, ustawiałam na najprzeróżniejsze sposoby, wymyślałam zabawy, którymi miałyśmy się zająć po jej przyjściu.

Wreszcie moja piastunka zawołała mnie na kolację. Byłam już pewna, że Ojciec Inire zabił Domninę albo odesłał ją do matki, nakazując, żeby już nigdy mnie nie odwiedzała. Właśnie kończyłam zupę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Słyszałam, jak jedna ze służących je otwiera, a za chwilę do pokoju wpadła Domnina. Nigdy nie zapomnę jej twarzy: była tak biała, jak białe bywają tylko twarze lalek. Zanosila się płaczem, a kiedy piastunce wreszcie udało się ją uspokoić, opowiedziała nam, co ją spotkało.

Człowiek, którego po nią przysłano, poprowadził ją korytarzami, o których istnieniu nic do tej pory nie wiedziała. Już to, jak z pewnością rozumiesz, samo w sobie było przerażające, dotychczas bowiem obie sądziłyśmy, że ta część Domu Absolutu nie kryje przed nami żadnych tajemnic. Wreszcie dotarli do komnaty, która musiała być salą audiencyjną. Było to obszerne pomieszczenie o ciężkich ciemnoczerwonych zasłonach i niemal zupełnie pozbawione mebli, jeśli nie liczyć waz wyższych od człowieka i tak szerokich, że Domnina nie mogła ich objąć ramionami.

Pośrodku sali znajdowało się coś, co początkowo wzięła za wstawiony do wnętrza komnaty mały pokój o ośmiokątnych ścianach,

które pomalowano w skomplikowane, układające się w kształt labiryntu wzory. Dokładnie nad nim zwieszała się z sufitu lampa o najmocniejszym świetle, jakie w życiu widziała. Było ono błękitno-białe i tak jaskrawe, że nawet orzeł nie mógłby patrzeć na nie bez zmrużenia oczu.

Drzwi zamknęły się za nią z charakterystycznym odgłosem zatraskiwania. Nigdzie nie mogła dostrzec drugiego wyjścia. Zaczęła zaglądać za zasłony, mając nadzieję, że znajdzie tam jeszcze inne drzwi, ale właśnie wtedy jedna z malowanych ścian otworzyła się i do sali wszedł Ojciec Inire. To, co było za nim, przypominało według jej słów bezdenną otchłań wypełnioną płynnym światłem.

„A więc jesteś – powiedział. – Przyszedłś w samą porę, dziecko, ryba już bierze. Zobaczysz, w jaki sposób zarzuca się hak i jak jej złote łuski wypełnią naszą podrywkę”. – Wziął ją za ramię i poprowadził do ośmiokątnego pomieszczenia.

W tym momencie musiałem przerwać opowieść, żeby pomóc Agii przejść odcinek ścieżki, który niemal zupełnie znikł pod bujną roślinnością.

– Cały czas słyszę, jak coś do siebie mruczysz – powiedziała.

– Opowiadam sobie tę historię, o której ci wspominałem. Wydawało mi się, że nie masz ochoty jej wysłuchać, ja zaś bardzo tego chciałem. Poza tym dotyczy ona luster Ojca Inire i może zawierać cenne dla nas informacje.

Wewnątrz, tuż pod lampą, Domnina zobaczyła wir żółtego światła. Raptownymi skokami przesuwiał się w górę, w dół i na boki, ani na moment jednak nie opuszczając wycinka przestrzeni o wymiarach czterech piędzi w każdą stronę. Rzeczywiście, znacznie bardziej przypominało jej to rybę niż niewyraźny kształt, który zobaczyła w lustrach w Korytarzu Znaczeń – rybę pływającą w powietrzu w niewidzialnym naczyniu. Ojciec Inire zamknął za nimi ścianę. Od tej strony było lustro, w którym mogła dostrzec jego twarz, dłoni i lśniącą, rozpływającą się szatę, a także siebie i rybę... Ale była tam też jeszcze jedna dziewczynka wyglądająca zza jej ramienia, a potem jeszcze jedna i jeszcze jedna, każda o coraz mniejszej twarzy, i tak *ad infinitum*, nieskończony łańcuch malejących dziewczynek.

Zdała sobie sprawę, że naprzeciwko tej ściany muszą znajdować się inne zwierciadła. Rzeczywiście, wszystkie osiem ścian było wykonanych z wielkich lustrzanych tafli. Błękitno-białe światło padało na wszystkie razem i każdą z osobna, a one przesyłały je między sobą niczym mali

chłopcy, którzy przerzucają się srebrnymi kulami w nieustannym, niekończącym się tańcu. W samym środku trzepotała się ryba, utworzona, wydawało się, właśnie z tego światła.

„Oto ona – powiedział Ojciec Inire. – Starożytni, którzy znali to zjawisko równie dobrze, a może i lepiej od nas, uważali Rybę za najmniej ważnego i najpospolitszego spośród wielu mieszkańców zwierciadeł. Nie musimy teraz zajmować się ich fałszywym mniemaniem, jakoby istoty, które przywoływali, były cały czas obecne w głębinach luster. Z czasem zajęli się poważniejszymi problemami, jak na przykład tym, w jaki sposób może się odbywać podróż i jakie czynniki mogą wywierać na nią wpływ, jeżeli punkt docelowy dzieli od początkowego astronomiczne odległości”.

„Czy mogę włożyć w to rękę?”

„Teraz jeszcze możesz, moje dziecko. Później już nie radziłbym ci tego robić”.

Uczyniła to i poczuła pełgające ciepło.

„Czy właśnie w ten sposób powstają odmieńcy?”

„Latałaś kiedyś z matką jej ślizgaczem?”

„Oczywiście”.

„Widziałaś również ślizgacze zabawki, które dzieci robią wieczorami z bibulek i papieru, a następnie podwieszają pod nie pergaminowe latarenki. Otóż to, co tutaj widzisz, tak się ma do podróży między słońcami jak tamte papierowe ślizgacze do prawdziwych. Mimo to jesteśmy w stanie przywołać Rybę, a być może i coś więcej. Tak samo jak tamte małe ślizgacze potrafią nieraz podpalić dach budynku, na którym wylądują, tak i nasze zwierciadła nie są zupełnie bezpieczne, chociaż ich moc nie jest zbyt wielka”.

„Myślałam, że aby polecieć do gwiazd, trzeba po prostu usiąść na zwierciadle”.

Ojciec Inire uśmiechnął się. Pierwszy raz widziała go uśmiechniętego i chociaż wiedziała, że chce w ten sposób pokazać jej, że go rozbawiła i sprawiła mu przyjemność (być może większą niż dorosła kobieta), widok ten nie należał do najmiłszych.

„Nie, nie. – Pokręcił głową. – Pozwól, że przedstawię ci pokrótce, na czym polega problem. Kiedy coś porusza się bardzo, ale to bardzo szybko – na przykład tak jak światło świecy, która wydobywa z ciemności wszystkie znajome sprzęty w twoim pokoju – staje się jednocześnie coraz cięższe. Rozumiesz? Nie większe, tylko cięższe, przywiązując się tym samym coraz bardziej do Urth lub jakiegokolwiek

innego świata. Gdyby przedmiot ów mógł poruszać się wystarczająco prędko, sam stałby się nowym światem, przyciągając do siebie inne objekty. Nic takiego nigdy się nie wydarzyło, ale gdyby kiedyś jednak się stało, to wyglądałoby to w taki właśnie sposób. Tyle tylko, że nawet światło świecy nie porusza się dość prędko, żeby odbyć podróż między słońcami”.

(Ryba cały czas skakała w górę, w dół i na boki).

„A nie można by zrobić większej świecy?”

Byłam pewna, że Domnina myślała o świecy paschalnej grubości męskiego uda, którą widziała każdej wiosny.

„Owszem, wykonanie takiej świecy jest możliwe, ale jej światło nie leciałoby ani odrobinę szybciej. Mimo iż jest ono doskonale nieważkie, to wywiera jednak pewien nacisk na powierzchnię, do której dociera, podobnie jak wiatr, którego przecież nie widzimy, napiera na ramiona wiatraka. Co więc się stanie, gdy ustawimy lustra po przeciwnych stronach źródła światła? Obraz odbija się w jednym i podróżuje w kierunku drugiego. Co będzie, jeśli w drodze powrotnej spotka sam siebie?”

Pomimo strachu, który jej ani na chwilę nie opuszczał, Domnina roześmiała się i powiedziała, że nie ma pojęcia.

„Po prostu sam siebie zlikwiduje. Wyobraź sobie dwie dziewczynki biegnące na oślep po trawniku. Jeśli na siebie wpadną, zabawa się skończy. Jeżeli jednak lustra są starannie wykonane, a odległość między nimi dobrze dobrana, to obrazy nigdy się nie spotkają, tylko każdy następny zawsze będzie odrobinę przesunięty w stosunku do swego poprzednika. Nie ma to żadnego znaczenia w przypadku światła biorącego swój początek w świecy lub zwyczajnej gwieździe, ponieważ jest to nieukierunkowane białe światło, podobne do rozbiegających się we wszystkie strony fal, jakie powstają na powierzchni stawu, gdy jakieś dziecko wrzuci do niego garść kamyków. Kiedy jednak mamy do czynienia ze światłem ukierunkowanym, jego odbicie zaś powstaje w doskonałym pod względem optycznym lustrze, kierunek rozchodzenia się fal jest ten sam, jako że i odbicie jest takie samo jak oryginał. Ponieważ zaś w naszym wszechświecie nic nie może poruszać się z prędkością większą od prędkości światła, przyśpieszone w ten sposób promienie opuszczają go i przedostają się do innego. Kiedy ich prędkość ulegnie zmniejszeniu, wracają do naszego wszechświata, tyle tylko, że w zupełnie innym miejscu”.

„Czy to tylko odbicie?” – zapytała Domnina, spoglądając na Rybę.

„Kiedyś będzie to żywa istota, o ile nie przygasimy światła ani nie zmienimy ustawienia luster. Istnienie odbicia nieposiadającego swego pierwowzoru narusza prawa obowiązujące w naszym wszechświecie i dlatego prędzej czy później ten pierwowzór musi się wreszcie pojawić”.

– Spójrz – przerwała mi Agia. – Zbliżamy się do czegoś.

Cień rzucany przez tropikalne drzewa był tak głęboki, że docierające do ścieżki plamy słonecznego światła wydawały się jaskrawe niczym kałuże stopionego złota. Zmarszczyłem brwi, usiłując dojrzeć coś w roztaczającym się za nimi półmroku.

– Dom ustawiony na palach z żółtego drewna. Ma dach z liści palmowych. Nie widzisz?

Coś poruszyło się i nagle szalas pojawił się przede mną, zupełnie jakby rozsunała się jakaś zielono-żółto-czarna kurtyna. Nieco ciemniejsza plama okazała się wejściem, a dwie wznoszące się ukosem linie dachem. Na małej werandzie stał przyodziany w barwny strój mężczyzna i spoglądał w naszą stronę. Poprawiłem płaszcz.

– Nie musisz tego robić – powiedziała Agia. – Tutaj to nie ma żadnego znaczenia. Jeżeli jest ci gorąco, to go po prostu zdejmij.

Zrobiłem to, po czym zwinąłem płaszcz w rulon i wziąłem pod pachę. Obserwujący nas z werandy człowiek odwrócił się z wyrazem panicznego przerażenia na twarzy i zniknął we wnętrzu szalasu.

rozdział 21

Szałas w dżungli

Weranda wykonana była z takiego samego jak ściany szałasu sękatego, powiązanego pnączami drewna. Prowadziła na nią drabina.

– Chyba nie masz zamiaru tam wchodzić? – zapytała Agia.

– Muszę to zrobić, jeżeli mam zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia – odparłem. – Pomyślałem, że ze względu na stan twojego stroju będziesz czuła się lepiej, jeśli pójde przodem.

Ku mojemu zdziwieniu jej twarz oblał rumieniec.

– To tylko drewniana chata, taka sama, jakie w dawnych czasach budowano w najgorętszych częściach świata. Wierz mi, nie ma tam nic ciekawego.

– Więc zaraz wrócimy, tracąc bardzo niewiele czasu.

Wspiąłem się na drabinę, która od razu zaczęła się chwiać i przeraźliwie trzeszczeć, ale wiedziałem, że w miejscu przeznaczonym dla szerokiej publiczności z całą pewnością nikomu nie może grozić prawdziwe niebezpieczeństwo. Kiedy znajdowałem się mniej więcej w połowie wysokości, poczułem, że Agia rusza za mną.

Wnętrze szałasu przypominało rozmiarami nasze cele, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. W lochach czuło się napierający zewsząd ciężar i ogromną masę, metalowe ściany podchwytywały z wielokrotnionym echem każdy, najcichszy nawet odgłos, podłogi zgrzytały pod stąpnięciami czeladników, nie uginając się jednak nawet o grubość włosa, sufit zaś sprawiał wrażenie, że nigdy nie runie – choć gdyby tak się stało, zmiażdżyłby wszystko, co się pod nim znajdowało.

Jeżeli prawdą jest, że każdy z nas ma brata stanowiącego nasze dokładne przeciwieństwo (ciemnowłosego, jeśli jesteśmy jasnowłosi, lub blondyna, gdy nasze włosy są czarne), to szałas był takim właśnie przeciwieństwem jednej z naszych cel. We wszystkich ścianach

znajdowały się okna, z wyjątkiem tej z szerokimi, otwartymi na oścież drzwiami, przez które weszliśmy. Nigdzie nie było jakichkolwiek sztab, skobli ani żadnych innych zamknięć. Podłogę, ściany i framugi okien wykonano z żółtego drewna, nie pociętego na deski, lecz pozostawionego w półokrągłej postaci, dzięki czemu tu i ówdzie przez ściany przedostawały się promienie słońca, moneta zaś, którą wypuściłbym z dłoni, z pewnością spadłaby na ziemię. Sufitu nie było, tylko trójkątna przestrzeń pod dachem, gdzie wisały naczynia i siatki z żywnością.

Siedząca w kącie kobieta czytała na głos, a przy jej stopach kulił się nagi mężczyzna. Człowiek, którego widzieliśmy ze ścieżki, stał przy oknie naprzeciwko drzwi i wyglądał na zewnątrz. Czułem, że wie o naszym przybyciu (nawet gdyby nas nie widział kilka chwil wcześniej, to wstrząsy spowodowane naszą wspinaczką musiały zwrócić jego uwagę), ale woli udawać, że tak nie jest. Można poznać po plecach odwróconego od nas człowieka, że nie życzy sobie niczego widzieć, a tak właśnie było w tym przypadku.

Oto, co kobieta czytała:

„I wspiął się wtedy z nizin na wznoszącą się nad miastem Górę Nebo, litościwy pokazał zaś mu cały kraj rozciągający się aż do Zachodniego Moria. Potem rzekł do niego: Oto ziemia, którą zgodnie z obietnicą daną twoim ojcom powinienem dać ich synom. Ujrzałeś ją, lecz nigdy nie postawisz na niej stopy. I tam skonał i został pochowany w zwykłym dole”.

Siedzący u jej stóp nagi mężczyzna skinął głową.

– Tak samo jest z naszymi panami, Nauczycielko. Daje się najmniejszy palec, ale wczepiony w niego jest cały kciuk. Wystarczy przyjąć dar, zagrzebać go pod podłogą domu i przykryć matą, a potem ów kciuk zaczyna wszystko powoli wyciągać, aż wreszcie cały dar wynurza się z ziemi, wstępuje do nieba i nikt go już nigdy więcej nie widzi.

Kobieta wydawała się nieco zniecierpliwiona jego słowami.

– Nie, Isangomo... – zaczęła, lecz stojący przy oknie mężczyzna przerwał jej, nie zmieniając swojej pozycji:

– Bądź cicho, Mario. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia. Możesz to później wytłumaczyć.

– Memu siostrzeńcowi, należącemu do tego samego co i ja kręgu ognia, zabrakło kiedyś ryb – kontynuował nagi mężczyzna. – Wziął więc trójzab i udał się nad staw. Nachylił się nad wodą tak cicho, jakby był rosnącym na brzegu drzewem. – Mówiąc to, zerwał się z miejsca i wygiął

swoje muskularne ciało w taki sposób, jak gdyby chciał przeszyć stopy kobiety niewidzialnym ościeniem. – Czekał długo, bardzo długo... aż wreszcie małpy przestały się go bać i znowu zaczęły wrzucać patyki do wody, a ptaki powróciły do swoich gniazd. Wtedy ze swej kryjówki w korzeniach zatopionego drzewa wypłynęła wielka ryba. Mój siostrzeniec obserwował, jak pływa, zataczając powoli kręgi, aż wreszcie podплыnęła pod samą powierzchnię, ale kiedy miał już cisnąć trójząb, okazało się, że to nie jest ryba, tylko piękna kobieta. W pierwszej chwili mój siostrzeniec pomyślał, że spotkał króla wszystkich ryb, który zmienił swoją postać, żeby uniknąć śmierci. Kiedy jednak przyjrzał się dokładniej, zobaczył, że pod twarzą kobiety ciągle porusza się ryba, i zrozumiał, że widzi po prostu odbicie w wodzie. Natychmiast uniósł głowę, lecz dostrzegł już tylko poruszające się gałęzie. Kobieta zniknęła. – Twarz nagiego mężczyzny wyrażała zdumienie, jakie rybak musiał odczuwać. – Tej nocy mój siostrzeniec poszedł do Numena Dumnego i rozplątał gardło młodego oreodonta, mówiąc...

– Na Theoanthroposa, jak długo jeszcze chcesz tutaj zostać? – szepnęła Agia. – To może trwać cały dzień.

– Rozejrzę się tylko po szalasię i idziemy – odpowiedziałem również szepem.

– Potężny jest Dumny i święte są wszystkie jego imiona. Jego jest wszystko, co leży pod liśćmi, burze kryją się w jego ramionach, a trucizna nie niesie ze sobą śmierci dopóty, dopóki nie wypowie nad nią zaklęcia!

– Niepotrzebne nam pienia na cześć twojego fetysza, Isangomo – odezwała się kobieta. – Mój mąż pragnie usłyszeć twoją opowieść, przejdź więc do niej i oszczędź nam swoich litanii.

– Dumny chroni swoich uczniów! Czyż nie byłoby dla niego wstydem, gdyby jeden z tych, którzy go czczą, miał umrzeć?

– Isangomo!

– On się boi, Mario – odezwał się wyglądający przez okno mężczyzna. – Czy nie słyszysz tego w jego głosie?

– Nie znają strachu ci, którzy noszą na sobie znak Dumnego! Jego oddech to mgła, która chroni młodego uakari przed szponami margaya!

– Robercie, jeśli zaraz czegoś nie zrobisz, ja to uczynię. Zamilcz, Isangomo, albo odejdz i nigdy nie wracaj.

– Dumny wie, że Isangomo kocha swoją Nauczycielkę, i ocaliłby ją, gdyby tylko mógł.

– Przed czym miałby mnie ocalić? Myślisz, że jest tutaj któraś

z twoich krwiożerczych bestii? Gdyby nawet była, Robert by ją zastrzelił.

– Tokoloshe, Nauczycielko. Tokoloshe nadchodzą. Ale Dumny nas ochroni, on bowiem jest potężnym władcą wszystkich tokoloshe! Gdy on zaryczy, czym prędzej chowają się pod opadłe liście.

– Robercie, on chyba oszalał.

– W przeciwieństwie do ciebie ma oczy, Mario.

– Co chcesz przez to powiedzieć? I dlaczego cały czas wyglądasz przez okno?

Mężczyzna powoli odwrócił się w naszą stronę. Przez chwilę przyglądał się Agii i mnie, a potem znowu skierował wzrok w innym kierunku. Miał taki sam wyraz twarzy jak nasi klienci, gdy mistrz Gurloes prezentował im narzędzia, które miały zostać użyte podczas zbliżających się przesłuchań.

– Na niebiosa, Robercie! Co się z tobą dzieje?

– Isangoma ma rację: tokoloshe już tutaj są. Tyle tylko, że nie jego, a nasze. Śmierć i Niewiasta. Słyszałaś o nich, Mario?

Kobieta potrząsnęła głową. Wstała z miejsca i otworzyła niewielką szkatułkę.

– Tak też myślałem. To pewien obraz, czy też raczej często powtarzający się temat artystyczny. Obawiam się, Isangomo, że twój Dumny nie ma zbyt wielkiej władzy nad tymi tokoloshami. Ci przychodzą z Paryża, gdzie kiedyś studiowałem, żeby ukarać mnie za to, iż porzuciłem sztukę.

– Najwyraźniej masz gorączkę, Robercie. Dam ci coś i wkrótce poczujesz się lepiej.

Mężczyzna ponownie spojrzał na nas, jakby wbrew własnej woli.

– Jeżeli naprawdę jestem chory, Mario, to wiadomo przecież, że dotknięci niemocą często dostrzegają rzeczy, które uchodzą uwadze zdrowych. Nie zapominaj o tym, że Isangomo także zdaje sobie sprawę z ich obecności. Nie czułaś, jak podłoga się chwieje? Właśnie wtedy tutaj weszli.

– Nalałam ci szklanek wody, żebyś mógł połknąć chininę.

– Kim oni są, Isangomo? Wiem, że to tokoloshe, ale kto to właściwie jest?

– Złe duchy, Nauczycielu. Kiedy mężczyzna lub kobieta pomyślą albo zrobią coś niedobrego, pojawia się następny tokoloshe. I zostaje. Człowiek myśli: nikt nie wie, wszyscy umarli, ale tokoloshe zostaje aż do końca świata. I wtedy wszyscy dowiedzą się, co ten człowiek zrobił.

– Cóż za okropny pomysł. – Kobieta wzdrygnęła się.

Dłoń jej męża była zaciśnięta na żółtej framudze okna.

– Nie rozumiesz, że one są jedynie następstwami naszych uczynków? To duchy przyszłości, a my kształtujemy je na nasze podobieństwo.

– Dla mnie to tylko stek pogańskich bzdur. Robercie, twój wzrok jest tak ostry, czy nie mógłbyś dla odmiany trochę posłuchać?

– Słucham. Co chciałaś powiedzieć?

– Nic. Chcę tylko, żebyś posłuchał.

W szalasię zapadła cisza. Ja również słuchałem, bo nawet gdybym chciał, nie mógłbym nic innego robić. Na zewnątrz wrzeszczały małpy i skrzeczały papugi. Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę z docierającego poprzez odgłosy dżungli głębokiego, jednostajnego brzęczenia, jakby gdzieś w oddali unosił się w powietrzu jakiś duży owad.

– Co to jest? – zapytał mężczyzna.

– Samolot pocztowy. Jeśli będziesz miał szczęście, wkrótce uda ci się go zobaczyć.

Mężczyzna wychylił się przez okno. Zaciekawilo mnie, czego tak wypatruje, podszedłem więc do okna znajdującego się z jego lewej strony i także wyjrzałem na zewnątrz. Roślinność była tak gęsta, że wydawało się niemożliwe, żeby cokolwiek dostrzec, on jednak patrzył niemal pionowo w górę, gdzie rzeczywiście można było dojrzeć skrawek błękitu.

Brzęczenie narastało i wreszcie pojawił się najdziwniejszy ślizgacz, jaki w życiu widziałem. Miał skrzydła, jakby został zbudowany przez jakąś rasę, która nie zdała sobie jeszcze sprawy z tego, że są one całkowicie zbędne, jako że nie może nimi poruszać jak ptak, i że w zupełności wystarczyłoby, gdyby unosząca go siła oddziaływała bezpośrednio na kadłub. Na końcach skrzydeł i z przodu kadłuba były jakieś zgrubienia – światło zdawało się przed nimi załamywać i dziwnie migotać.

– W ciągu trzech dni moglibyśmy dotrzeć do lądowiska, Robercie. Kiedy przyleci następnym razem, będziemy na niego czekać.

– Skoro Pan nas tu posłał...

– Tak, Nauczycielu, musimy postępować zgodnie z życzeniami Dumnego! Nie ma nikogo takiego jak on! Nauczycielko, pozwól mi dla niego zatańczyć i zaśpiewać jego pieśń! Może wtedy tokoloshe odejdą.

Nagi mężczyzna zabrał kobiecie książkę i zaczął rytmicznie uderzać w nią dłonią, jakby grał na bębenku.

Jego stopy zaszurały na nierównej podłodze, a zawodzący melodyjnie

głos zmienił się w głos dziecka.

*Nocą, kiedy wszędzie cisza,
Usłysz w drzewach jego krzyk!
Zobacz jego postać w ogniu!
On mieszka w zatrutej strzale,
Mały niczym żółta mucha,
Jasny niczym spadająca gwiazda!
Włochaci ludzie wędrują po lesie...*

– Idę, Severianie – powiedziała Agia, kierując się w stronę drzwi. – Możesz zostać, jeśli chcesz tego dalej słuchać, ale będziesz musiał sam zdobyć kwiat zemsty i odnaleźć drogę na Okrutne Pole. Czy wiesz, co się stanie, jeśli się tam nie pojawisz?

– Powiedziałaś, że wynajmą morderców.

– A ci z kolei posłużą się wężem zwanym żółtobrodym. Nie zaczną od ciebie, tylko od twojej rodziny, jeśli ją masz, i od twoich przyjaciół. Ja będę pierwsza w kolejności, bo przecież pół miasta mnie z tobą widziało.

*On przybywa wraz z zachodem słońca,
Kroczy ku nam po wodzie,
Zostawiając ogniste ślady!*

Śpiew trwał dalej, ale śpiewak wiedział, że odchodzimy, w jego głosie bowiem pojawiła się triumfalna nuta. Zaczekałem, aż Agia znajdzie się na ziemi, po czym ruszyłem w jej ślady.

– Myślałam, że już nigdy stamtąd nie odejdziesz – powiedziała. – Naprawdę tak bardzo ci się tutaj podoba? – Na tle chłodnej zieleni nienaturalnie ciemnych liści metaliczne kolory podartej szaty kobiety zdawały się podkreślać jej rozdrażnienie.

– Nie – odparłem – ale to interesujące miejsce. Widziałaś ten ślizgacz?

– Kiedy wyglądaliście przez okna? Nie, nie byłam taka głupia.

– Nigdy jeszcze takiego nie widziałem. Powinienem był zobaczyć co najwyżej okap dachu, a zobaczyłem to, co on spodziewał się ujrzyć. W każdym razie tak to wyglądało. Jak coś, co należy do zupełnie innego miejsca. Niedawno chciałem ci opowiedzieć o przyjaciółce mojej przyjaciółki, która wpadła w pułapkę zwierciadeł Ojca Inire. Znalazła się w zupełnie innym świecie i nawet kiedy już wróciła do Thecli – tak

właśnie nazywała się moja znajoma – nie była pewna, czy rzeczywiście trafiła do tego samego miejsca. Zastanawiam się, czy przypadkiem to nie my znaleźliśmy się w świecie tych ludzi, zamiast oni w naszym.

Tymczasem Agia ruszyła już przed siebie ścieżką. Kiedy obejrzała się przez ramię, igrające plamki światła zdawały się malować jej włosy na kolor ciemnego złota.

– Ostrzegałam cię, że niektórzy zwiedzający ulegają w szczególnie silny sposób wpływowi poszczególnych ogrodów.

Musiałem podbiec kilka kroków, żeby znaleźć się tuż za nią.

– Z czasem ich umysły zaczynają dostosowywać się do otoczenia, wpływając przy okazji również i na nasze. Prawdopodobnie zobaczyłeś najzwyczajniejszy ślizgacz.

– On nas widział. Ten dzikus też.

– Z tego, co słyszałam, im większym zmianom musi ulec świadomość, tym trwalej zakodowane zostają pewne wzorce percepcji. Kiedy spotykam tutaj dzikich ludzi lub jakieś potwory, przekonuję się, że w znacznie większym stopniu niż inni zdają sobie sprawę z mojej obecności.

– A ten człowiek?

– Severianie, to nie ja zbudowałam to miejsce. Wiem tylko tyle, że gdybyśmy teraz zawrócili, najprawdopodobniej już nie znaleźlibyśmy tego szałasu. Obiecuj mi, że kiedy stąd wyjdziemy, pozwolisz zaprowadzić się prosto do Ogrodu Wiecznego Snu. Nie mamy już czasu na nic więcej, nawet na Ogród Rozkoszy. A poza tym nie należysz do osób, które mogą tutaj wszystko bezpiecznie zwiedzać.

– Czy dlatego, że chciałem zostać w Piaskowym Ogrodzie?

– Także i dlatego. Obawiam się, że prędzej czy później narobisz mi niezłych kłopotów.

Minęliśmy jeden z niekończących się zakrętów ścieżki i natrafiliśmy na potężnych rozmiarów zwalony pień. Niewielki biały kwadracik z pewnością był tabliczką z nazwą gatunku i rodzaju. Z lewej strony wśród gęstwiny liści dostrzegłem półprzezroczystą zieloną ścianę. Agia skierowała się prosto do drzwi, przełożyłem więc Terminus Est do drugiej ręki i otworzyłem je dla niej.

rozdział 22

Dorcas

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o kwiecie zemsty, wyobrażałem sobie, że będzie rósł w równych rzędach na wysokich rabatach, tak jak to widziałem w cieplarniach Cytadeli. Później, gdy Agia opowiedziała mi nieco więcej o Ogrodach Botanicznych, spodziewałem się ujrzeć miejsce przypominające nekropolię, w której swawoliłem jako chłopiec: pełne drzew, chylących się ku upadkowi grobowców, o alejkach pokrytych warstwą murszejących kości.

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna: czarne jezioro otoczone ciągnącymi się bez końca moczarami. Nasze stopy grzęzły w turzycy, a zimny wiatr świstał koło uszu, gnając, wydawałoby się, aż do samego morza. Po obu stronach ścieżki rosło sitowie, w górze zaś raz czy dwa przeleciał jakiś wodny ptak, czarny na tle zasnutego chmurami nieba.

Opowiadałem Agii o Thecli. Przerwała mi, dotykając mojego ramienia.

– Możesz je już stąd zobaczyć, ale musimy obejść jezioro, żeby do nich dotrzeć. Patrz tam, gdzie wskazuję. To ta jasna smuga.

– Nie wyglądają zbyt groźnie.

– Zapewniam cię, że okazały się takie dla bardzo wielu ludzi. Niektórzy z nich zostali nawet pogrzebani w tym ogrodzie.

A więc jednak były i groby. Zapytałem, gdzie mogę je znaleźć.

– Nie ma żadnych pomników, trumien, urn czy innych głupstw. Spójrz na wodę, która chlupocze ci pod stopami.

Zrobiłem to. Była brązowa niczym herbata.

– Ma właściwości konserwujące ciała. Zwłoki obciąża się łożem i zatapia, zaznaczając miejsce na mapie, żeby móc je potem wydobyć, gdyby komuś przyszła ochota na nie popatrzeć.

Mógłbym przysiąc, że w promieniu co najmniej mili (lub też, jeśli

szklane ściany budynku ciągle jeszcze stały na swoim miejscu, oddzielając zamkniętą w nim przestrzeń od zewnętrznego świata, przynajmniej w Ogrodzie Wiecznego Snu) nie było oprócz nas żywego ducha. Jednak ledwie Agia skończyła mówić, nad kępą trzciny rosnących w odległości jakichś dwunastu kroków od nas pojawiły się głowa i ramiona starego mężczyzny.

– To nieprawda – powiedział. – Wiem, że tak mówią, ale to nieprawda.

Agia, która do tej pory nie starała się zasłonić swego ciała strzępami podartej sukni, teraz ściągnęła ją pośpiesznie na piersiach.

– Nie wiedziałam, że mówię jeszcze do kogoś poza moim towarzyszem.

Starzec zignorował przytyk. Bez wątpienia jego myśli były zbyt zaprzątnięte słowami, które podsłuchał, żeby mógł zwrócić uwagę na cokolwiek innego.

– Mam tutaj taką mapę. Może chcecie ją zobaczyć? Może ty, młody panie? Jesteś wykształcony, od razu to widać. Zechcesz rzucić okiem?

W dłoni miał coś na kształt laski, którą rytmicznie podnosił i opuszczał. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to musi być żerdź, którą odpychał się od dna, kierując łódź w naszą stronę.

– Znowu kłopoty. – Agia pociągnęła mnie za rękę. – Lepiej chodźmy.

Zapytałem, czy nie mógłby przeprowadzić nas na drugą stronę jeziora, oszczędzając nam w ten sposób długiej wędrówki.

Potrząsnął głową.

– To za dużo na moją małą łódkę. Ledwo starczy miejsca dla Cas i dla mnie. Jesteście zbyt ciężcy. – Wypłynął zza trzciny i przekonałem się, że mówił prawdę: łódka była tak mała, że chyba tylko cudem utrzymywała starego człowieka, chociaż był już zasuszony i skurczony (wydawał się starszy nawet od mistrza Palaemona) i chyba nie mógł ważyć więcej niż dziesięcioletni chłopiec. Nigdzie nie mogłem jednak dostrzec drugiej osoby, o której wspomniał.

– Wybacz mi, panie, ale nie mogę bardziej się zbliżyć – powiedział. – Czy zechcesz tu podejść, żebym pokazał ci moją mapę?

Obudził moją ciekawość, poszedłem więc w jego kierunku. Agia, choć niechętnie, uczyniła to samo.

– O, proszę. – Spomiędzy fałd tuniki wyciągnął niewielki zwój. – Tu wszystko jest opisane. Racz spojrzeć, młody panie. – Na początku zwoju znajdowało się jakieś nazwisko, a następnie długi opis miejsc, w których ta osoba bywała za życia, czyją była żoną i w jaki sposób jej mąż

zarabiał na utrzymanie. Wszystko to obrzuciłem jednym, niezbyt uważnym spojrzeniem. Poniżej były nieudolnie narysowana mapa i dwie liczby.

– Jak widzisz, panie, powinno to być bardzo proste. Pierwsza liczba określa pozycję w stosunku do tej osi, druga zaś w stosunku do tej. Czy uwierzysz jednak, że przez te wszystkie lata usiłuję ją odnaleźć i do dziś mi się to nie udało? – Utkwiwszy wzrok w Agii, zaczął się stopniowo prostować, aż wreszcie stanął niemal całkiem normalnie.

– Owszem, uwierzmy ci – odparła Agia. – Jeśli sprawi ci to przyjemność, możemy nawet złożyć ci wyrazy współczucia, ale to naprawdę nie ma z nami nic wspólnego.

Odwróciła się, żeby odejść, lecz starzec szybkim ruchem wyciągnął przed siebie żerdź, zatrzymując mnie na miejscu.

– Nie zważaj na to, co mówią. Owszem, wrzucają ich w zaznaczonych miejscach, ale oni tam nie zostają. Niektórych widziano nawet w rzece. – Wskazał głową w kierunku horyzontu. – Tam, na zewnątrz.

Powiedziałem, że wątpię, czy jest to możliwe.

– A ta woda tutaj, jak myślisz, skąd się bierze? Pod ziemią jest doprowadzający ją rurociąg. Gdyby go nie było, wszystko by tu wyschło. Kiedy zaczynają się poruszać, co może ich powstrzymać przed wypłynięciem na zewnątrz? Nie ma przecież żadnego prądu. Przyszłście tu pewnie po to, żeby ściąć kwiaty zemsty, prawda? Wiecie chyba, dlaczego posadzono je właśnie tutaj?

Potrząsnąłem głową.

– Ze względu na manaty. Żyją w rzece i wpływały tutaj przez rurociąg. Ludzie bali się, widząc je pod powierzchnią jeziora, dlatego Ojciec Inire kazał ogrodnikom posadzić kwiaty zemsty. Widziałem go na własne oczy. To mały człowieczek o krzywym karku i pałkowatych nogach. Teraz, jeżeli wpłynie tu jakiś manat, kwiaty zabijają go w ciągu jednej nocy. Pewnego ranka, kiedy jak zwykle zacząłem szukać Cas (robię to zawsze, chyba że akurat muszę zająć się jakąś inną sprawą), zobaczyłem na brzegu dwóch kuratorów z harpunami. Powiedzieli mi, że w jeziorze pływa martwy manat. Wziąłem hak i wydobyłem go, ale okazało się, że to nie manat, tylko człowiek. Albo wypluł swoją porcję ołowiu, albo zapomniano go nim nakarmić. Wyglądał równie dobrze jak któreś z was, a na pewno lepiej ode mnie.

– Od jak dawna nie żył?

– Trudno powiedzieć, bo ta woda ich konserwuje. Mówi się, że garbuje ich skórę, i to jest prawda. Nie tak jak podeszwy twoich butów,

tylko jak damskie rękawiczki.

Agia była już daleko z przodu, przyspieszyłem więc kroku, żeby do niej dołączyć. Starzec towarzyszył nam, płynąc wzdłuż porośniętej turzycą ścieżki.

– Powiedziałem im, że miałem więcej szczęścia z nimi przez jeden dzień niż sam przez czterdzieści lat. O, tego właśnie używam. – Podniósł z dna łódki umocowany do długiej liny hak. – Złapałem ich już całą masę, ale nie Cas. Zacząłem w zaznaczonym na mapie miejscu w rok po jej śmierci. Nie było jej tam, szukałem więc dalej. Po pięciu latach byłem już bardzo daleko od tego miejsca, a w każdym razie tak wtedy myślałem. Przyszło mi do głowy, że tymczasem mogła wrócić, zacząłem więc jeszcze raz, najpierw w tamtym miejscu, a potem stopniowo coraz dalej. I tak przez dziesięć lat. Potem znowu zacząłem się obawiać tego samego, dlatego dziś rano zarzuciłem hak w pierwszym miejscu, a później dookoła. Potem sprawdzę tam, gdzie ostatnio się zatrzymałem. Nie ma jej tam, gdzie powinna być. Znam już wszystkich, którzy tutaj są – niektórych wyciągałem co najmniej sto razy. Ona ciągle wędruje i nieraz tak sobie myślę, że może kiedyś wróci do domu.

– Była twoją żoną?

Starzec skinął w milczeniu głową.

– Dlaczego chcesz odzyskać jej ciało?

W dalszym ciągu milczał. Żerdź bezszelestnie zanurzała się w wodzie i wynurzała z niej, a za łodzią pozostawał ledwo dostrzegalny ślad – delikatne fale liżące trawiasty brzeg ścieżki niczym języki kociąt.

– Jesteś pewien, że po tak długim czasie będziesz potrafił ją rozpoznać?

– Tak, tak – skinął energicznie i z przekonaniem głową. – Myślisz, że mogłem ją już wyciągnąć, spojrzeć w twarz i wrzucić z powrotem do wody? To niemożliwe. Nie znałeś Cas, prawda? No tak, dziwisz się, dlaczego chcę ją z powrotem. Jeden powód to wspomnienie, jakie zachowałem, to najsilniejsze: o jej twarzy niknącej w tej brązowej wodzie. Miała zamknięte oczy, rozumiesz?

– Obawiam się, że nie bardzo.

– Kładą im cement na powieki, żeby pozostały na zawsze zamknięte, ale kiedy dotknęły wody, uniosły się. Wytłumacz to, jeśli potrafisz. To właśnie pamiętam i widzę za każdym razem, kiedy próbuję zasnąć: brązową wodę zalewającą jej twarz i otwierające się niebieskie oczy. Budzę się po pięć, sześć razy w ciągu nocy. Zanim sam się tutaj znajdę, chcę zobaczyć, jak jej twarz pojawia się na powierzchni, nawet jeżeli

tylko na końcu mego haka. Rozumiesz?

Pomyślałem o Thecli, o struźce krwi wypływającej spod drzwi jej celi i skinąłem głową.

– Jest jeszcze drugi powód. Cas i ja mieliśmy niewielki sklepik, przede wszystkim z artystycznymi wyrobami z metalu. Produkcją zajmowali się jej ojciec i brat, a nasz sklepik mieścił się przy ulicy Hejnałowej, tuż przy domu aukcyjnym. Budynek jeszcze stoi, chociaż już nikt w nim nie mieszka. Chodziłem do teścia i szwagra, przynosiłem skrzynki do sklepu, a tam rozpakowywaliśmy je i ustawialiśmy przedmioty na półkach. Cas wyceniała je, sprzedawała i o wszystko się troszczyła. Czy wiesz, jak długo to trwało?

Potrząsnąłem głową.

– Cztery lata bez pięciu tygodni. Potem umarła. Cas umarła. Nie minęło wiele czasu i wszystko zniknęło, wszystko, co stanowiło najważniejszą część mojego życia. Teraz sypiam na strychu, u człowieka, którego znam już od wielu lat. Nie ma tam żadnej ozdoby, nawet jednego gwoźdźca z naszego starego sklepu. Chciałem zatrzymać naszyjnik i grzebienie należące do Cas, ale wszystko przepadło. Powiedz mi, skąd mogę mieć pewność, że to nie było tylko snem?

Zacząłem podejrzewać, że starzec może pozostawać pod wpływem jakiegoś zaklęcia, podobnie jak ludzie z szałasów.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Może to naprawdę był sen? Chyba zbyt szybko się dręczysz.

Jego nastrój, podobnie jak to się dzieje nieraz z dziećmi, w jednej chwili się zmienił. Roześmiał się głośno.

– Łatwo poznać, młody panie, że mimo stroju, który ukrywasz pod tym płaszczem, nie jesteś katem. Naprawdę, bardzo bym chciał przewieźć was na drugą stronę, ale nie mogę. Nieco dalej traficie na człowieka z dużo większą łodzią. Często tutaj przyplęwa i rozmawia ze mną tak jak ty. Powiedzcie mu, iż mam nadzieję, że będzie mógł was zabrać.

Podziękowałem mu i pośpieszyłem w ślad za Agią, która tymczasem oddaliła się już na znaczną odległość. Zobaczyłem, że utyka, i przypomniałem sobie, jak dużo już dzisiaj przeszła od chwili, kiedy wykręciła sobie nogę. Postanowiłem ją wyprzedzić i ofiarować jej moje ramię, ale uczyniłem fałszywy krok, jeden z tych, które w pierwszej chwili wydają się niezwykle groźne i brzemiennie w skutki i z których niewiele później serdecznie się śmiejemy. W ten właśnie sposób zapoczątkowałem jedno z najdziwniejszych wydarzeń mojego i tak już

dosyć niezwykłego życia. Puściłem się biegiem, zbliżając się zbyt blisko do krawędzi ścieżki.

W jednej chwili biegłem po sprężystej trawie, a już w następnej szamotałem się w lodowatej brązowej wodzie, czując, jak obszerny płaszcz krępuje moje ruchy. Przez moment ponownie obleciał mnie paraliżujący strach przed utonięciem, ale zaraz wyprostowałem się i moja głowa znalazła się nad wodą. Doszły do głosu nawyki wyrobione podczas wszystkich pływackich wypraw nad Gyoll: wydmuchnąłem wodę z ust i z nosa, wziąłem głęboki oddech i zsunąłem z twarzy ociekający wodą kaptur.

Zanim jednak zdążyłem się zupełnie uspokoić, zdałem sobie sprawę, że wypuściłem z dłoni Terminus Est. Perspektywa utraty miecza okazała się znacznie bardziej przerażająca niż perspektywa śmierci. Zanurkowałem, nie zadając sobie nawet trudu, by zrzucić buty, i zacząłem przepychać się przez bursztynową ciecz, która z pewnością nie była tylko wodą i robiła się coraz bardziej gęsta od korzeni oraz łodyg najróżniejszych roślin. One właśnie, chociaż stanowiły dla mnie śmiertelne niebezpieczeństwo, ocaliły Terminus Est. Bez nich miecz opadłby natychmiast na dno i ugrzązł w mule. Tymczasem osiem czy dziesięć łokci pod powierzchnią wody jedna z moich szukających na oślep dłoni napotkała cudownie znajomy kształt onyksowej rękocyści.

W tej samej chwili druga dłoń natrafiła na zupełnie innego rodzaju obiekt; była to ludzka ręka, która zacisnęła się na mojej dłoni dokładnie w tym samym czasie, kiedy odzyskałem miecz – wydawało się, jakby jej właściciel w ten sposób mi go zwracał, podobnie jak wcześniej przełożona Peleryn. Odczułem nieopisaną wdzięczność, która niemal natychmiast ustąpiła miejsca zwielokrotnionemu przerażeniu: ręka nadal mnie trzymała, ciągnąc w głąb mrocznej otchłani.

rozdział 23

Hildegryn

Ostatkiem sił udało mi się wyszarpnąć Terminus Est na powierzchnię i cisnąć go na ścieżkę, a sam chwyciłem się jej nierównego brzegu.

Ktoś złapał mnie za przegub. Spojrzałem w górę, spodziewając się zobaczyć Agię, ale zamiast niej ujrzałem jakąś jeszcze od niej młodszą kobietę o długich żółtych włosach. Otworzyłem usta, żeby jej podziękować, ale zamiast słów wydobyły się z nich jedynie strugi wody. Pociągnęła jeszcze raz, ja rozpaczliwie odepchnąłem się nogami i wreszcie znalazłem się całym ciałem na trawie, tak wyczerpany, że nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu.

Musiałem tam leżeć przynajmniej tyle czasu, ile trzeba na odmówienie jednego pacierza, a może nawet dłużej. W końcu zacząłem zdawać sobie sprawę z zimna, które z każdą chwilą robiło się coraz trudniejsze do wytrzymania, oraz z tego, że gruba warstwa częściowo przegniłych roślin, na której leżałem, coraz bardziej pogrąża się pod moim ciężarem, tak że znowu byłem do połowy zanurzony w wodzie. Choć łapałem powietrze wielkimi haustami, moim płucom wciąż było go mało. Co chwila kaszlałem, wypływając wodę, która ciekła mi także z nosa. Jakiś głos (należący do mężczyzny, głęboki i donośny, sprawiający wrażenie, jakbym kiedyś, bardzo dawno, już go słyszał) powiedział:

– Trzeba go wciągnąć dalej, bo utonie.

Ktoś chwycił mnie za pas. Po chwili mogłem już stać, chociaż nogi tak mi się trzęsły, iż bałem się, że lada moment upadnę.

Obok mnie była Agia oraz jasnowłosa dziewczyna, która pomogła mi wydostać się z wody, i jakiś potężny mężczyzna o nalanej czerwonej twarzy. Agia zapytała mnie, co właściwie się stało. Chociaż byłem jeszcze na wpół przytomny, zauważyłem, że jej twarz jest śmiertelnie blada.

– Daj mu trochę czasu – poradził mężczyzna. – Wkrótce dojdzie do siebie. Kim jesteś, na Phlegetona? – zapytał, patrząc na jasnowłosą dziewczynę, która wydawała się równie jak ja oszołomiona. Przez chwilę próbowała coś wykrztusić, a potem tylko zwiesiła głowę. Od czubków włosów aż do pięt była wymazana błotem, a to, co miała na sobie, trudną było określić inaczej niż łachmanami.

– Skąd ona się tu wzięła? – Tym razem pytanie zostało skierowane do Agii.

– Nie wiem. Kiedy obejrzałam się, żeby zobaczyć, co zatrzymało Severiana, ona już wyciągnęła go na tę pływającą ścieżkę.

– I dobrze, że to zrobiła. Przynajmniej dla niego. Czy ona jest szalona? A może uwięziona tu jakimś zaklęciem?

– Kimkolwiek jest, ocaliła mi życie – odezwałem się. – Nie możecie jej czegoś dać, żeby się okryła? Jest zupełnie przemarznięta.

To samo mogłem powiedzieć o sobie; doszedłem już do siebie na tyle, żeby móc zwracać uwagę na takie szczegóły.

Potężny mężczyzna pokręcił głową i otulił się ciasniej grubym płaszczem.

– Dopóki się nie umyje, na pewno tego nie zrobię. A umyłyby się pewnie tylko wtedy, gdyby ją znowu wrzucić do wody. Ale mam tu coś wcale nie gorszego, a kto wie, czy to nie jest znacznie lepsze. – Mówiąc to, wyjął z kieszeni metalową flaszkę w kształcie psa i mi ją podał.

Tkwiąca w pysku psa kość okazała się zatyczką. Podałem naczynie jasnowłosej dziewczynie. Początkowo zdawała się nie rozumieć, co ma z nim zrobić, dopiero Agia otworzyła flaszkę, przytrzymała przy jej ustach, żeby przełknęła kilka łyków, a potem oddała mnie. Okazało się, że flaszką zawiera śliwovicę. Już pierwszy ognisty haust spłukał bez śladu gorzki smak bagiennej wody. Kiedy wreszcie kość wróciła na swe miejsce w pysku psa, jego brzuch był, jak przypuszczam, co najmniej w połowie pusty.

– A teraz – powiedział mężczyzna – powinniście mi już chyba powiedzieć, kim jesteście i co tutaj robicie, i lepiej nie mówcie, że przyszlście tylko na zwiedzanie. Znam zwyczajnych gapowiczów na tyle dobrze, że potrafię ich wyczuć, zanim ich jeszcze zobaczę. – Spojrzał na mnie. – Na przykład ty: masz całkiem niezły nożyk.

– Ten oficer jest w przebraniu – pośpieszyła z odpowiedzią Agia. – Został wyzwany na pojedynek i przyszedł tutaj, żeby ściąć kwiat zemsty.

– Więc on jest w przebraniu, a ty pewnie nie, co? Myślisz, że nie potrafię poznać scenicznego kostiumu? I bosych stóp, kiedy je już

zobaczę?

– Nie powiedziałam, że nie jestem w kostiumie ani że dorównuję mu pochodzeniem. Jeżeli chodzi o buty, to zostawiłam je na zewnątrz, żeby ich nie zniszczyć w tej wodzie.

Mężczyzna skinął głową, ale w taki sposób, że nie można było zgadnąć, czy jej uwierzył, czy też nie.

– A teraz ty, złotowłosa. Ta brokatowa laleczka już powiedziała, że cię nie zna, a sądząc z wyglądu tego topielca, którego wyciągnęłaś, on jeszcze mniej o tobie wie. No więc jak się nazywasz?

Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę.

– Dorcas.

– Skąd się tu wzięłaś, Dorcas? I w jaki sposób znalazłaś się w wodzie? Bo najwyraźniej tam właśnie byłaś. Nie mogłaś aż tak się zmoczyć, jedynie ratując naszego młodego przyjaciela.

Alkohol sprawił, że policzki dziewczyny się zaróżowiły, ale wyraz jej twarzy był równie zagubiony i nieobecny jak przedtem.

– Nie wiem – wyszeptwała.

– Nie pamiętasz, jak tutaj przyszłaś? – zapytała Agia.

Dorcas potrząsnęła głową.

– A co w takim razie pamiętasz?

Zapadła cisza. Wiatr zdawał się przybierać na sile i pomimo rozgrzewającego napitku odczuwałem przenikliwie zimno.

– Siedziałam przy oknie... – wymamrotała wreszcie Dorcas. – Było pełno ładnych rzeczy. Pudełka, naczynia i krucyfiks.

– Ładne rzeczy? – spytał mężczyzna. – No, jeśli i ty tam byłaś, to wierzę, że to prawda.

– Ona jest szalona – stwierdziła Agia. – Albo oddaliła się od kogoś, kto się nią opiekował, albo nikogo takiego nie było – co chyba jest bardziej prawdopodobne, biorąc pod uwagę jej strój – i weszła tutaj, korzystając z nieuwagi kuratorów.

– Może ktoś zdzielił ją w głowę, okradł, a potem wepchnął tutaj, uważając, że się jej pozbył. Tu jest więcej wejść, moja cikliwa panno, niż się wszystkim kuratorom razem wziętym wydaje. Albo ktoś chciał ją utopić, korzystając z tego, że śpi lub jest nieprzytomna, a zetknięcie z wodą ją ocuciło. Zresztą to nie ma większego znaczenia. Dość, że jest tutaj, i teraz przede wszystkim do niej należy ustalenie, kim właściwie jest i w jaki sposób się tu znalazła.

Zrzuciłem brązowy płaszcz i starałem się jakoś wysuszyć mój katowski fuligin. Uniosłem jednak głowę, kiedy Agia powiedziała:

– Wypytalesz nas wszystkich, kim jesteśmy i skąd się tutaj wzięliśmy. A kim ty jesteś?

– Macie wszelkie prawo wiedzieć – odparł potężny mężczyzna – a ja udzielę wam informacji o wiele dokładniejszej niż którekolwiek z was. Tyle tylko, że zaraz potem będę musiał zająć się swoimi sprawami. Pośpieszyłem tu tylko dlatego, że zobaczyłem, jak ten młody szlachcic się topi – każdy zrobiłby to samo na moim miejscu. Teraz jednak mam inne zajęcia, którym muszę poświęcić swoją uwagę.

Mówiąc to, zdjął wysoki kapelusz i wyciągnął z niego poplamiony karteluszek mniej więcej dwukrotnie większy od kart wizytowych, które czasami widywałem w Cytadeli. Wręczył go Agii, a ja zajrzałem jej przez ramię i przeczytałem napisany ozdobnym pismem tekst na bilecie:

HILDEGRIN BORSUK

Prace ziemne WSZELKIEGO rodzaju

Dowolna ilość kopaczy

Kamień nie jest za twardy ani błoto za grząskie

Informacje na ulicy Morskiej koło znaku

ŚLEPEJ ŁOPATY

lub w Alticamelus za rogiem ulicy Dobrych Chęci

– Oto, kim jestem, ckliwa panno i młody panie. Ufam, że nie macie nic przeciwko temu, żebym was tak nazywał – jesteś ode mnie dużo młodsza, ty zaś jesteś jeszcze młodszy od niej, a wszyscy zapewne urodziliście się przed bardzo niewielu laty. No, muszę już iść.

Zatrzymałem go.

– Zanim wpadłem do wody, rozmawiałem ze starym człowiekiem w małej łódce, który powiedział, że nieco dalej spotkam kogoś, kto mógłby nas przewieźć na drugą stronę. Sądzę, że myślał właśnie o tobie. Zabierzesz nas?

– Ach, mówisz o tym biedaku, który ciągle szuka swojej żony. Cóż, zawsze był moim dobrym przyjacielem, skoro więc was poleca, to sądzą, że będzie lepiej, jeżeli to zrobię. Powinniśmy się jakoś we czwórkę zmieścić.

Skinął na nas, byśmy szli za nim. Zauważyłem, że jego zabłocone buty zanurzają się w trawie jeszcze bardziej od moich.

– Ona nie jest z nami – powiedziała Agia, chociaż Dorcas szła za nią z tak zagubioną, bezradną miną, że aż zaczekałem, żeby ją pocieszyć.

– Pożyczyłbym ci swój płaszcz – wyszeptalem – ale jest tak mokry, że

zrobiłoby ci się jeszcze zimniej. Gdybyś jednak poszła tą ścieżką w drugą stronę, doszłabyś do korytarza, w którym jest ciepło i sucho, a potem, jeśli udałoby ci się znaleźć drzwi z napisem DŻUNGLA i wejść do środka, znalazłabyś się w miejscu, gdzie słońce mocno grzeje, i tam byłoby ci bardzo dobrze.

W tej samej jednak chwili, kiedy skończyłem mówić, przypomniałem sobie drapieżnika, którego spotkaliśmy w dżungli. Na szczęście Dorcas nawet najmniejszym gestem nie dała poznać, że słyszała i zrozumiała moje słowa. Coś w wyrazie jej twarzy zdradzało, że boi się Agii albo przynajmniej zdaje sobie sprawę, że stała się powodem jej niezadowolenia. Był to jednak jedyny znak świadczący o tym, że postrzega otoczenie odrobinę aktywniej od somnambulika.

– W korytarzu jest pewien człowiek, kurator – zacząłem ponownie. – Jestem pewien, że znajdzie dla ciebie jakieś ubranie i pozwoli ci ogrzać się przy ogniu.

– Zbyt dużo kręci się tutaj tych żebraczek, żeby się nimi przejmować, Severianie – wtrąciła Agia, oglądając się na nas. – Ciebie to też dotyczy.

Na dźwięk jej głosu Hildegryn spojrział w naszą stronę.

– Znam kobietę, która mogłaby się nią zaopiekować – powiedział. – Umyłaby ją i dała nowe ubranie. Chociaż to chudzina, pod tym brudem kryje się dobra rasa.

– A ty właściwie co tutaj robisz? – prychnęła w odpowiedzi Agia. – Wynajmujesz robotników, sądząc z tej kartki, ale dlaczego właśnie tutaj?

– To moja sprawa, panienko.

Ciałem Dorcas zaczęły wstrząsać dreszcze.

– Naprawdę lepiej, żebyś zawróciła – powtórzyłem. – W korytarzu jest dużo cieplej. Tylko lepiej nie chodź do dżungli. Idź do Piaskowego Ogrodu, tam jest sucho i słonecznie.

Moje słowa najwyraźniej potrąciły w niej jakąś czułą strunę.

– Tak... – szepnęła. – Tak...

– Piaskowy Ogród. Chciałabyś tam pójść?

– Słońce... – powiedziała cichutko.

– No, jesteśmy już przy łajbie – oznajmił Hildegryn. – Musimy uważać przy zajmowaniu miejsc. I żadnych spacerów, i tak już będzie siedziała głęboko w wodzie. Jedną z pań poproszę na dziób, a drugą i młodego pana na rufę.

– Chętnie bym powiosłował – powiedziałem.

– Robiłeś to już tutaj? Chyba nie. Lepiej usiądź na rufie, tak jak ci powiedziałem. Nie ma wielkiej różnicy, czy pracuje się jednym wiosłem,

czy dwoma, a ja robiłem to już nawet wtedy, kiedy w łódce było pół tuzina ludzi.

Łódź przypominała swego właściciela: była duża, niezgrabna i sprawiała wrażenie bardzo ciężkiej. Zarówno rufa, jak i dziób były prostokątne, a sam kadłub nieco tylko głębszy w środkowej części niż w pozostałych. Hildegrin wsiadł pierwszy i stanąwszy okrakiem na ławce, podepchnął łódkę wiosłem bliżej brzegu.

– Siadaj z przodu – powiedziała Agia, biorąc Dorcas za ramię. Dziewczyna była gotowa posłuchać, ale Hildegrin ją powstrzymał.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, panienko, wolę, żebyś to ty siedziała na dziobie. Wszyscy widzimy, że coś z nią jest nie w porządku, chcę więc mieć ją na oku, gdyby przy takim obciążeniu zachciało jej się jakichś szaleństw.

– Nie jestem szalona – odezwała się ku naszemu zdumieniu Dorcas. – Tylko... czuję się tak, jakbym dopiero co się obudziła.

Mimo to Hildegrin posadził ją ze mną na rufie.

– A teraz – powiedział, kiedy odbiliśmy od brzegu – czeka was coś, czego szybko nie zapomnicie, jeżeli doświadczacie tego po raz pierwszy. Przeprowa przez Ptasię Jezioro w samym środku Ogrodu Wiecznego Snu. – Rytmicznie zanurzającym się wiosłem towarzyszył cichy plusk wody.

Zapytałem, dlaczego właśnie Ptasię Jezioro.

– Może dlatego, że tak wiele ich tu ginie, a może po prostu z powodu ich dużej ilości. Tyle złego mówi się o śmierci; szczególnie ci, którzy muszą umrzeć, opisują ją jako wstrętą staruchę z workiem albo coś w tym rodzaju. Ale ona jest wielką przyjaciółką ptaków. Wszędzie tam, gdzie są martwi ludzie i panuje spokój, znajdziecie mnóstwo ptaków. Już się o tym przekonałem.

Skinąłem głową, przypomniawszy sobie drozdy śpiewające w naszej nekropolii.

– Jeżeli teraz spojrzycie nad moim ramieniem, będziecie mieli piękny widok na drugi brzeg i zobaczycie rzeczy, których nie dostrzeżlibyście ze ścieżki, tyle tam trzciny i wysokiej trawy. Zauważycie, jeżeli akurat nie ma mgły, że nieco dalej teren wyraźnie się wznosi, kończą się moczary, a zaczynają drzewa. Widzicie?

Ponownie skinąłem głową, a siedząca obok mnie Dorcas uczyniła to samo.

– To dlatego, że ta cała sceneria ma wyglądać jak krater wygasłego wulkanu. Albo jak usta nieżywego człowieka, jak mówią niektórzy, ale

to nieprawda. Gdyby tak było, wstawiliby jeszcze zęby. Pamiętajcie jednak, że wchodzi się tutaj przez podziemny tunel.

Po raz kolejny potwierdziliśmy jego słowa ruchem głowy. Agia siedziała nie dalej niż dwa kroki od nas, ale prawie nie było jej widać za szerokimi ramionami i obszernym płaszczem Hildegryna.

– Z tej strony – wskazał swoją kwadratową brodą – powinniście dostrzec czarną plamę. Jest mniej więcej w połowie drogi między bagnami a horyzontem. Niektórzy myślą, że właśnie tamtędy przyszli, ale wylot tunelu znajduje się dużo niżej, a poza tym jest znacznie mniejszy. To, co widzicie, to Grota Cumaeany – kobiety, która zna przeszłość, przyszłość i wie wszystko o wszystkim. Czasem mówią, że całe to miejsce zostało zbudowane specjalnie dla niej, ale ja w to nie wierzę.

– Jak to możliwe? – zapytała cicho Dorcas. Hildegryn albo udał, albo rzeczywiście opacznie zrozumiał jej pytanie.

– Rzekomo Autarcha chce ją mieć tutaj, żeby móc porozmawiać z nią w każdej chwili, bez potrzeby odbywania podróży na drugi koniec świata – wyjaśnił. – Ja o niczym nie wiem, ale czasem widzę, jak tam ktoś idzie, i nieraz błyska nie tylko pancierzem, ale i drogimi kamieniami. Nie mam pojęcia, kto to może być, a ponieważ nie zależy mi na tym, żeby poznać swoją przyszłość, swoją przeszłość zaś znam chyba trochę lepiej od tej kobiety, nigdy nie zbliżam się do groty. Ludzie czasem tam przychodzą, gdyż chcą dowiedzieć się, kiedy wyjdą za mąż albo czy będą mieli szczęście w interesach, ale zauważyłem, że bardzo rzadko wracają.

Dotarliśmy już prawie do środka jeziora. Ogród Wiecznego Snu wznosił się dookoła nas niczym wielka misa, w pobliżu krawędzi porośnięta sosnami, a niżej zaroślami i trawą. Było mi ciągle bardzo zimno, chyba dlatego, że siedziałem nieruchomo w łodzi, podczas gdy ktoś inny wiosłował. Zaczynałem się martwić, jaki wpływ na ostrze Terminus Est może mieć woda, jeżeli nie będę mógł go szybko wytrzeć i naoliwić, ale mimo to cały czas pozostawałem pod urokiem tego miejsca. (Z całą pewnością musiał tutaj działać jakiś czar czy nawet zaklęcie. Zdawało mi się, że słyszę je w plusku wody, wypowiedane w języku, którego nie znałem, ale który doskonale rozumiałem). Myślę, że podobnie było ze wszystkimi, nawet z Hildegrynem i Agią. Przez pewien czas płynęliśmy w milczeniu. Daleko od nas zobaczyłem nurkujące gęsi, żywe i sprawiające wrażenie bardzo zadowolonych, w pewnej chwili, niczym zjawa ze snu, spojrzała na mnie z brązowej wody twarz manata, przypominająca do złudzenia ludzką.

rozdział 24

Kwiat nieistnienia

Dorcas wyłowiła z wody hiacynt i wpięła go sobie we włosy. Jeżeli nie liczyć białawej plamy majaczącej w pewnej odległości na brzegu, był to pierwszy kwiat, jaki zobaczyłem w Ogrodzie Wiecznego Snu. Rozglądałem się w poszukiwaniu następnych, ale żadnego nie znalazłem.

Czy to możliwe, żeby hiacynt zmaterializował się tylko dlatego, że dłoń Dorcas po niego sięgnęła? W jasnym świetle dnia doskonale wiem, że takie rzeczy nie są możliwe, ale piszę te słowa nocą, wtedy zaś, kiedy siedziałem w łodzi, mając ów kwiat nie dalej niż łokieć od siebie, przypomniałem sobie uwagę Hildegrina, która sugerowała (choć wypowiadając ją, z pewnością nie zdawał sobie z tego sprawy), że grota prorokini, a tym samym cały Ogród, mogą znajdować się na drugim końcu świata. Tam, jak uczył nas dawno temu mistrz Malrubius, wszystko było odwrócone: ciepło na południu, zimno na północy, światło w nocy, ciemność za dnia, a śnieg latem. Chłód, który odczuwałem, byłby w takim razie jak najbardziej na miejscu, jako że wkrótce miało nadejść lato, a wraz z nim podróżujący na skrzydłach wiatru deszcz ze śniegiem, podobnie półmrok, który miałem przed oczami, i niebieskawy odcień hiacyntu, zapadała bowiem powoli noc.

Prastwórca z całą pewnością utrzymuje wszystkie rzeczy w należyтым porządku, a teologowie mawiają, że światło jest jego cieniem, ale czy nie może być tak, że w mroku ów porządek nieco się zaburza i kwiaty wyskakują z nicości prosto w palce dziewczyny, podobnie jak na wiosnę czynią to pod wpływem promieni słońca? Możliwe, że gdy noc zamyka nam oczy, na świecie zapanowuje większy bezład, niż gotowi byśmy byli uwierzyć. A może to właśnie ten nieład odbieramy jako ciemność, chaotyczne rozproszenie fal energii

(przypominających morze) czy też jej pól (przypominających farmę), które naszym omamionym oczom, zmuszanym przez światło do akceptowania porządku, którego one same nie są w stanie ani stworzyć, ani zrozumieć, wydają się rzeczywistym światem?

Z wody zaczynały unosić się opary mgły, przypominając mi najpierw wirujące źdźbła słomy w przewiewnej katedrze Peleryn, a potem parę buchającą z wazy z zupą, którą Brat Kucharz wnosił do refektarza w zimowe popołudnie. Te wazy pochodziły podobno z Wiedźmińca, ale ja nigdy nie widziałem żadnej wiedźmy, chociaż ich wieża wznosiła się niecały łańcuch od naszej. Przypomniałem sobie, że płynie przez krater wulkanu. Może te opary pochodzą z wazy Cumaeany? Mistrz Malrubius uczył nas, że wewnętrzne ognie Urth już dawno wygasły; nastąpiło to prawdopodobnie wcześniej, nim człowiek zaczął czymkolwiek odróżniać się od bestii i nim zeszpecił jej oblicze swoimi miastami. O wiedźmach krążyły jednak plotki, że potrafią wskrzeszać zmarłych. Czemu więc Cumaeana nie miałyby wskrzesić dawno już wygasłych płomieni i użyć ich do podgrzania swego naczynia? Zanurzyłem palce w wodzie. Była zimna jak śnieg.

Hildegryn nachylił się ku mnie, biorąc zamach, a potem odsunął, wykonując pociągnięcie wiosłem.

– Idziesz na spotkanie ze śmiercią – powiedział. – Właśnie o tym myślisz, widzę to na twojej twarzy. Pójdiesz na Okrutne Pole, a on cię zabije, ktokolwiek to jest.

– Czy to prawda? – zapytała Dorcas, chwytając mnie za rękę.

Kiedy nie odpowiedziałem, Hildegryn skinął za mnie głową.

– Pamiętaj, że wcale nie musisz. Są tacy, którzy nie przestrzegają reguł, a mimo to żyją.

– Mylisz się – odparłem. – Wcale nie myślałem ani o pojedynku, ani o umieraniu.

– Myślałeś – szepnęła mi do ucha Dorcas tak cicho, że chyba nawet Hildegryn nie mógł tego dosłyszeć. – Twoja twarz była pełna piękna i szlachetności. Kiedy świat jest okropny, wtedy myśli wznoszą się wysoko, pełne wdzięku i wielkości.

Spojrzałem na nią, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ze mnie nie kpi, ale nie dostrzegłem nic, co by mogło o tym świadczyć.

– Świat jest w połowie wypełniony złem, a w połowie dobrem. Możemy nachylić go do przodu i wtedy do naszych umysłów napływa więcej dobra, albo do tyłu i wtedy więcej jest zła. – Ogarnęła wzrokiem całe jezioro. – Ilość pozostaje cały czas taka sama, tu i ówdzie zmieniamy

jedynie proporcje.

– Chętnie przechyliłbym go do tyłu tak bardzo, jak to tylko możliwe, żeby wylać z niego całe zło.

– Nie wiadomo, czy nie wylałbyś wtedy również dobra. Jestem podobna do ciebie: także cofnęłabym czas, gdybym tylko mogła.

– Ja jednak nie uważam, żeby piękne czy nawet dobre myśli rodziły się pod wpływem zewnętrznych kłopotów – powiedziałem.

– Nie mówiłam o pięknych myślach, tylko o pełnych wdzięku i wielkości, choć to chyba też jest pewien rodzaj piękna. Pozwól, że ci pokażę. – Wzięła moją dłoń, wsunęła ją pod swoje łachmany i przycisnęła do prawej piersi. Czułem pod palcami sutek, twardy niczym świeża czereśnia, i delikatny jak aksamit wzgórek, ciepły od pulsującej w jego wnętrzu krwi.

– O czym teraz myślisz? – zapytała. – Czy w tej chwili, kiedy świat stał się na moment słodki, twoje myśli nie straciły nieco ze swej głębi?

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

Twarz Dorcas była pozbawiona mądrości zawartej w jej słowach. Mądrość ta skoncentrowała się w dwóch kryształowych kropkach, które pojawiły się w kącikach jej oczu.

Brzeg, na którym rosły kwiaty zemsty, nie był tak podmokły jak ten, który opuściliśmy. Było to dziwne uczucie: po długiej wędrówce po unoszącej się na powierzchni wody trawie i trwającej jakiś czas podróży wodą postawić znowu stopę na ziemi, o której dałoby się co najwyżej powiedzieć, że była cokolwiek miękka. Wylądowaliśmy w pewnej odległości od roślin, na tyle jednak blisko, żeby przestały być niewyraźną jasną plamą i zamieniły się w poszczególne okazy o określonej barwie, kształcie i wielkości.

– One nie są stąd, prawda? – spytałem. – Nie są z naszej Urth.

Nikt mi nie odpowiedział. Wyszepiałem to chyba zbyt cicho, żeby ktokolwiek (może oprócz Dorcas) to usłyszał.

Kwiaty miały w sobie sztywność i geometryczną precyzję, z całą pewnością zrodzone pod jakimś innym słońcem.

Kolor ich liści przypominał barwę grzbietu skarabeusza, ale z dodatkiem głębszych i zarazem bardziej przejrzystych odcieni, sugerując istnienie w jakiejś niewyobrażalnej dali światła, które mogłoby łatwo zniszczyć lub uszlachetnić każdy świat.

Kiedy podeszliśmy bliżej (na przedzie szła Agia, za nią ja, potem Dorcas, a na końcu Hildegryn), zobaczyłem, że każdy liść, sztywny i spiczasty, przypomina sztylet o ostrzu, którego jakoś zadowoliliby

nawet samego mistrza Gurloesa. Wznoszące się wyżej półotwarte białe kwiaty, które widzieliśmy z drugiej strony jeziora, były niczym uosobienie czystego piękna – dziewicze fantazje strzeżone przez setki noży. Były bujne i rozłożyste, ich płatki zaś zwijały się w sposób, który mógłby robić wrażenie nieładu, gdyby nie to, że tworzyły skomplikowany wzór, przyciągający uwagę niczym spirala namalowana na obracającym się kole.

– Zwyczaj nakazuje, żebyś sam zerwał kwiat – powiedziała Agia – ale pójdę z tobą, żeby pokazać ci, jak masz to uczynić. Cały problem w tym, żeby chwycić łodygę poniżej dolnych liści i złamać ją przy samej ziemi.

Hildegryn chwycił ją za ramię.

– O nie, panienko, nic z tego. Idź sam, młody panie, bo to przecież twoja sprawa. Ja zaopiekuję się kobietami.

Byłem już kilka kroków z przodu, ale zatrzymałem się, kiedy do mnie mówił.

– Bądź ostrożny! – zawołała niemal w tej samej chwili Dorcas, mogło więc się wydawać, że to jej ostrzeżenie kazało mi przystanąć.

Prawda wyglądała jeszcze inaczej. Od chwili, kiedy spotkaliśmy Hildegryna, byłem pewien, że już go kiedyś widziałem, chociaż szok wywołany rozpoznaniem, który w przypadku ponownego zetknięcia się z sieur Racho przyszedł niemal od razu, tutaj kazał na siebie długo czekać. Wreszcie się zjawił, paraliżując mnie swoją zwielokrotnioną siłą.

Jak już powiedziałem, nigdy niczego nie zapominam, ale zdarza się nieraz, że przywołanie jakiegoś faktu, twarzy czy uczucia przychodzi mi z wielkim trudem. Przypuszczam, że w tym przypadku spowodowane to zostało tym, iż od chwili, kiedy zobaczyłem go pochylającego się nade mną na trawiastej ścieżce, mogłem go cały czas obserwować, podczas gdy poprzednio ledwie go widziałem. Dopiero gdy powiedział: „Ja zaopiekuję się kobietami”, moja pamięć skojarzyła sobie wreszcie jego głos.

– Liście są zatrute! – zawołała Agia. – Owiń sobie płaszcz dokoła ramienia, ale najlepiej, żebyś ich nie dotykał. I uważaj: zawsze jesteś bliżej kwiatu zemsty, niż ci się wydaje.

Skinąłem głową na znak, że usłyszałem.

Nie wiem, czy tam, skąd pochodzi, kwiat zemsty również stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo. Możliwe, że nie, że tylko przypadek sprawił, iż jest tak wielkim zagrożeniem dla naszego życia. Niezależnie jednak od tego, jak jest naprawdę, ziemia pomiędzy i pod kwiatami porośnięta była krótką, nadzwyczaj miękką trawą, zupełnie odmienną

od tej, którą mogłem dostrzec dookoła. W trawie tej leżało mnóstwo martwych owadów i białe kości ptaków.

Kiedy od kwiatów dzieliło mnie nie więcej niż kilka kroków, ponownie się zatrzymałem, tknięty myślą, której nie poświęciłem wcześniej wystarczającej uwagi. Kwiat będzie moją bronią podczas pojedynku, tymczasem nie mając najmniejszego pojęcia o tym, w jaki sposób przyjdzie mi go toczyć, nie znałem kryteriów, według których powinienem kwiat wybrać. Mogłem zawrócić i zapytać o to Agię, ale czułbym się głupio, wypytując o takie sprawy kobietę, ostatecznie postanowiłem więc zaufać własnemu rozsądkowi. Sądziłem zresztą, że gdyby zerwany przeze mnie kwiat okazał się zupełnie do niczego, będę mógł przejść po następnym.

Wysokość kwiatów wahała się od niecałej piędy do co najmniej trzech łokci. Starsze rośliny miały mniej liści, ale za to były one większe, szersze i rozmieszczone w pewnych odstępach na mięsistej łodydze; u młodych liście były węższe i tak gęste, że zupełnie zakrywały łodygę. Jeżeli (co wydawało się najbardziej prawdopodobne) Septentrion i ja mieliśmy używać kwiatów jako czegoś w rodzaju maczuga, to najlepszy byłby egzemplarz możliwie największy, o najgrubszych liściach. Te jednak rosły w głębi i aby dostać się do nich, trzeba było złamać znaczną ilość mniejszych, co wydawało się raczej niemożliwe, jako że ich liście wyrastały przy samej ziemi.

Wreszcie wybrałem jeden, wysokości około dwóch łokci. Ukląknęłam i wyciągnęłam rękę w kierunku łodygi, kiedy nagle jakby ktoś usunął mi sprzed oczu gęstą zasłonę i zobaczyłem, że moja dłoń, którą jeszcze przed chwilą wydawało się dzielić dobrych kilka piędy od ostrego grotu najbliższego liścia, teraz niemal go dotyka. Cofnąłem ją pośpiesznie. Kwiat zdawał się poza moim zasięgiem – nie byłem pewien, czy nawet kładąc się jak długi na ziemi, zdołałbym dotknąć jego łodygi. Czułem wielką pokusę, żeby użyć miecza, ale wiedziałem, że okryłbym się hańbą w oczach zarówno Agii, jak i Dorcas, a poza tym i tak musiałbym sobie z nim poradzić w czasie walki.

Ponownie, tym razem znacznie ostrożniej, wysunąłem naprzód rękę, kładąc się na ziemi, i odkryłem, że mogę, unikając kontaktu z chwiejącymi się dookoła mnie liśćmi, bez większych kłopotów sięgnąć do łodygi wybranego kwiatu. Jedno ze smukłych ostrzy, znajdujące się jakieś pół łokcia od mojej twarzy, kołysało się w rytm mojego oddechu.

W chwili, kiedy łamałem łodygę (nie było to wcale łatwe), zrozumiałem, dlaczego pod kwiatami rosła tylko krótka trawa. Jeden

z liści zrywanego przeze mnie kwiatu dotknął zbyt wybujałego źdźbła i w tej samej chwili cała kępa trawy zaczęła żółknąć i usychać.

Jak powinienem był przewidzieć, zerwany kwiat okazał się nadzwyczaj kłopotliwą zdobyczą. Nie sposób było wejść z nim do łodzi, nie zabijając przy tym kogoś z nas, zanim więc ruszyliśmy w drogę powrotną, musiałem wdrapać się na pobliskie zbocze, ściąć młode drzewko i oczyścić je ze wszystkich gałązek. Następnie przywiązaliśmy kwiat do jego końca, kiedy więc później szliśmy przez miasto, mogło się wydawać, że niosę jakiś groteskowy sztandar.

Agia wyjaśniła mi, na czym polega walka przy użyciu kwiatów zemsty. Czym prędzej zerwałem drugi egzemplarz (mimo jej protestów, a przy dużo większym ryzyku, bo byłem już zbyt pewny siebie) i natychmiast zacząłem ćwiczyć.

Kwiat nie służy, jak wcześniej przypuszczałem, jedynie jako nabijana sztyletami maczuga. Jego liście, oderwane specjalnym ruchem kciuka i palca wskazującego, zamieniają się w pozbawione rękojeści przeraźliwie ostre noże. Walczący trzyma kwiat w lewej ręce, prawą zaś odrywa kolejne liście, od najniższych poczynając. Agia zwróciła mi uwagę, że kwiat musi cały czas pozostawać poza zasięgiem przeciwnika, żeby nie chwycił za odsłoniętą część łodygi i nie wyrwał mi go z ręki.

Ćwicząc ten nowy dla mnie sposób walki, przekonałem się wkrótce, że mój własny kwiat może okazać się dla mnie równie niebezpieczny jak ten należący do Septentriona. Kiedy trzymałem go za blisko, ryzykowałem zetknięcie z długimi dolnymi liśćmi, kiedy zaś na niego spojrzałem, żeby oderwać jeden ze sztyletów, przykuwał moją uwagę pogmatwanym ułożeniem płatków, usiłując przyciągnąć mnie do siebie obietnicą śmiertelnych rozkoszy. Wszystko to nie wyglądało zbyt zachęcająco, ale kiedy wreszcie nauczyłem się nie patrzeć w półotwarty kielich, zdałem sobie sprawę, że przecież mój przeciwnik będzie narażony na takie same niebezpieczeństwa.

Rzucanie liśćmi okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałem. Ich powierzchnia była śliska, podobnie jak wielu roślin, które widziałem w Dżungli, dzięki czemu gładko wylatywały z dłoni, były zaś wystarczająco ciężkie, żeby celnie i daleko lecieć. Można było rzucać je ostrzem naprzód lub nadając im ruch obrotowy, żeby cięży śmiercionośnymi krawędziami wszystko, co znajdzie się na ich drodze.

Pilno mi było, rzecz jasna, zasypać Hildegrina pytaniami dotyczącymi Vodalusa, ale okazja nadarzyła się dopiero wtedy, kiedy już przeprowili nas na drugą stronę spokojnego jeziora, a Agia zajęła się zachęcaniem

Dorcas, żeby poszła w swoją stronę. Zdołałem odciągnąć go na bok i szepnąć mu do ucha, że ja także jestem przyjacielem Vodalusa.

– Chyba pomyliłeś mnie z kimś innym, mój młody panie. Czy mówisz o tym wyrzutku?

– Nigdy nie zapominam głosu – odparłem. – Niczego nie zapominam.

– A potem w rozgorączkowaniu dodałem coś, co było najgorszą rzeczą, jaką mogłem powiedzieć: – Próbowałeś rozwalić mi głowę łopatą.

Jego twarz momentalnie zamieniła się w pozbawioną wyrazu maskę. Wrócił pośpiesznie do łodzi i wypłynął na brązową wodę.

Kiedy opuściliśmy Ogrody Botaniczne, Dorcas ciągle była z nami. Agia bardzo się starała, żeby ją od nas odstręczyć, ja zaś przez jakiś czas jej na to pozwalałem. Powodowała mną częściowo obawa, że w jej obecności nie uda mi się namówić Agii, żeby mi się oddała, ale chyba jeszcze bardziej nurtowało mnie niejasne przeczucie jej bólu i rozpacz na widok tego, jak umieram. Jeszcze niedawno opłakiwałem przed Agią śmierć Thecli, teraz zaś jej miejsce zajęły nowe troski. Mówiąc o bólu, udało mi się go na jakiś czas stłumić – tak potężny jest czar słów, redukujący do przyswajalnych rozmiarów emocje, które w przeciwnym razie wpędziłyby nas w szaleństwo i unicestwiły.

Niezależnie od motywów kierujących postępowaniem moim, Dorcas i Agii, jej wysiłki spełzły na niczym. Wreszcie zagroziłem, że ją uderzę, jeśli natychmiast nie przestanie, i zawołałem Dorcas, która podążyła jakieś pięćdziesiąt kroków za nami.

Od tej pory szliśmy razem w milczeniu, przyciągając wiele ciekawskich spojrzeń. Byłem przemoczony do suchej nitki i przestałem się już troszczyć, czy mój płaszcz zakrywa czerń katowskich szat. Agia w poszarpanej brokatowej sukni musiała wyglądać przynajmniej równie dziwnie. Błoto na ciele Dorcas wyszło w ciepłym wiosennym wietrze i wykruszyło się z jej złotych włosów, pozostawiając brązowe smugi na jasnej skórze. Kwiat zemsty trzepotał nad nami niczym chorągiew, rozsiewając mocny zapach perfum. Półotwarty kielich wciąż bielił się niczym kość, ale liście w promieniach słońca wydawały się zupełnie czarne.

rozdział 25

Gospoda Straconych Uczuć

Jak do tej pory szczęśliwie – a może nieszczęśliwie? – wszystkie miejsca, z którymi moje życie było związane, miały, z kilkoma zaledwie wyjątkami, niezwykle stały charakter. Gdybym tylko chciał, mógłbym jutro wrócić do Cytadeli, na tę samą pryczę, na której sypiałem jako uczeń. Gyoll wciąż płynie przez Nessus, Ogrody Botaniczne ciągle błyszczą w słońcu, pełne tajemniczych pomieszczeń, w których każde uczucie zostaje zachowane na wieczne czasy. Kiedy myślę o efemerydach mojego życia, najczęściej są to mężczyźni i kobiety, ale również kilka budynków, a wśród nich przede wszystkim gospoda usytuowana na skraju Okrutnego Pola.

Szliśmy całe popołudnie szerokimi ulicami i wąskimi zaułkami, wciąż wśród domów zbudowanych z kamienia i cegły. Wreszcie dotarliśmy do parceli, na których nie wznosiły się żadne domy. Pamiętam, że ostrzegłem Agię przed zbliżającą się burzą – czułem, jak powietrze robi się coraz cięższe, i widziałem czarną smugę ciągnącą się wzdłuż horyzontu.

Agia roześmiała się głośno.

– To, co czujesz i widzisz, to tylko Miejskie Mury. Hamują ruch powietrza i to wszystko.

– To czarne pasmo? Ależ ono sięga połowy nieba!

Agia ponownie się roześmiała, lecz Dorcas przywarła do mnie całym ciałem.

– Boję się, Severianie.

– Boisz się Murów? – spytała Agia. – Nie zrobią ci krzywdy, chyba żeby się na ciebie zwały, ale stoją już od kilkunastu stuleci. Przynajmniej na tyle wyglądają, a mogą być jeszcze starsze – odpowiedziała na moje pytające spojrzenie. – Kto to może wiedzieć?

– Czy otaczają całe miasto?

– Na tym polega ich rola. Miastem jest to, co znajduje się wewnątrz nich, chociaż słyszałam, że na północy są też puste pola, a na południu morze ruin, w których nikt nie mieszka. Spójrz tam, między te topole. Widzisz gospodę?

Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie widzę.

– Pod samymi drzewami. Obiecałeś mi poczęstunek i właśnie tam chcę go zjeść. Zdążymy jeszcze przed twoim spotkaniem z Septentrionem.

– Nie, nie teraz – odparłem. – Z przyjemnością zjem z tobą kolację, ale po pojedynku. Już teraz wszystko zamówię, jeśli sobie życzysz.

Ciągle nie mogłem dojrzeć żadnej budowli, ale zobaczyłem coś dziwnego: schody pnące się w górę wokół pnia jednego z drzew.

– Zrób to. Jeśli zginiesz, zaproszę Septentriona, a jeśli nie przyjmie zaproszenia, to tego żeglarza, który ciągle chce się ze mną umówić. Będziemy pić za ciebie.

W gałęziach drzewa zapłonęło światło i zobaczyłem, że do schodów prowadzi wydeptana ścieżka, nad nimi zaś wisi malowany szyld, przedstawiający szlochającą kobietę ciągnącą zakrwawiony miecz. Z cienia wyszedł potwornie otyły mężczyzna w fartuchu; czekał na nas, zacierając ogromne dłonie. Zza jego pleców dobiegał stłumiony brzęk naczyń.

– Jestem Abban, do waszych usług – powiedział tłuścioch, kiedy znaleźliśmy się przy nim. – Jakie macie życzenia? – Zauważyłem, że cały czas nerwowo zerka na mój kwiat.

– Chcieliśmy zamówić kolację dla dwóch osób, powiedzmy o... – Spojrzałem pytająco na Agię.

– Na początku następnej wachty.

– Znakomicie. Ale to za wcześnie, sieur. Przygotowanie zabierze nam więcej czasu. Chyba że zadowolicie się zimnymi mięsami, sałatką i butelką wina.

– Chcemy młodą pieczoną kurę – odparła ze zniecierpliwieniem w głosie Agia.

– Jak sobie życycie. Każę kucharzowi, żeby zaczął już wszystko przygotowywać, a po zwycięskim pojedynku, jeżeli kura nie będzie jeszcze gotowa, znajdziecie na stole różne przysmaki dla zabicia czasu.

Agia skinęła głową, wymieniając z nim spojrzenie, które utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie po raz pierwszy się widzą.

– Tymczasem, jeśli chcecie – ciągnął dalej właściciel gospody –

mógłbym dostarczyć naczynie z ciepłą wodą i gąbką dla tej młodej damy, a dla wszystkich po szklaneczce Medoca i garści ciasteczek.

Zdałem sobie nagle sprawę, że moim ostatnim posiłkiem było śniadanie zjedzone w towarzystwie Baldandersa i doktora Talosa oraz że Dorcas i Agia prawdopodobnie nic nie jadły przez cały dzień. Skinąłem głową, a właściciel poprowadził nas w górę szerokimi, wykonanymi z surowego drewna schodami. Pień, wokół którego się wspinały, miał równe dziesięć kroków obwodu.

– Czy już kiedyś u nas byłeś, sieur?

Potrząsnąłem głową.

– Miałem cię właśnie zapytać, co to za gospoda. Nigdy nic takiego nie widziałem.

– I nigdzie nie zobaczysz, sieur, tylko tutaj. Powinieneś był odwiedzić nas wcześniej. Mamy znakomitą kuchnię, a posiłek na otwartym powietrzu smakuje najlepiej.

Pomyślałem, że tak musi być w istocie, skoro udało mu się utrzymać taką tuszę mimo biegania po schodach, ale zatrzymałem to spostrzeżenie dla siebie.

– Jak wiesz, panie, prawo zabrania wznoszenia jakichkolwiek budynków w bezpośrednim sąsiedztwie Muru, my jednak możemy tu być, bo nie mamy przecież ani ścian, ani dachu. Naszymi gośćmi są wszyscy, którzy odwiedzają Okrutne Pole: słynni wojownicy i bohaterowie, publiczność, lekarze, a nawet eforowie. Oto wasza komnata.

Była to idealnie okrągła platforma. Otaczające ją ze wszystkich stron bladozielone licie tłumiły wszelkie odgłosy i zasłaniały przed spojrzzeniami. Agia usiadła w płóciennym krześle, ja zaś (muszę przyznać, że byłem bardzo zmęczony) opadłem obok Dorcas na wykonaną ze skóry i bawolich rogów otomanę. Położyłem kwiat na podłodze, a następnie wyjąłem Termirtus Est i zacząłem wycierać ostrze. Pomywacz przyniósł wodę i gąbkę oraz – kiedy zobaczył, co robię – kilka starych szmat i trochę oliwy, dzięki czemu mogłem zabrać się do poważnego czyszczenia.

– Nie umyjesz się? – zapytała Agia.

– Chciałabym, ale nie przy was – odpowiedziała Dorcas.

– Severian z pewnością odwróci głowę, jeśli go o to poprosisz. Robił to już dzisiaj rano i nawet nieźle mu to wychodziło.

– Ty też, pani – powiedziała cicho Dorcas. – Jeżeli to możliwe, wolałabym to zrobić na osobności.

Agia tylko się uśmiechnęła, ale ja wezwałem pomywacza i dałem mu orichalka, żeby przyniósł składany parawan. Kiedy go przyniósł i ustawił, zaproponowałem Dorcas, że kupię jej jakąś suknię, jeśli będzie można to tu załatwić.

– Nie – odpowiedziała.

Zapytałem szeptem Agię, o co może jej chodzić.

– Widocznie jest zadowolona z tego, co ma. Ja muszę cały czas uważać, żeby nie najeść się wstydu na całe życie. – Mówiąc to opuściła rękę, którą przytrzymywała rozdartą suknię; rozproszone promienie zachodzącego słońca padły na jej wysokie piersi. – Te jej łachy nie zakrywają ani nóg, ani piersi, a w dodatku mają jeszcze rozdarcie na brzuchu, chociaż, jak mi się wydaje, uszło to twojej uwadze.

Przerwał nam właściciel, wprowadzając kelnera niosącego tacę z ciastkami, butelką i kieliszkami. Napomknąłem, że moje ubranie jest zupełnie mokre, a on kazał przynieść żelazny kosz z żarzącym się koksem i sam stanął przy nim, jakby znajdował się w swoim prywatnym mieszkaniu.

– O, to bardzo przyjemne, szczególnie o tej porze roku – powiedział. – Słońce jest już martwe, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy, ale wystarczy, że my wiemy. Jeżeli zginiesz, ominie cię następna zima, a jeśli zostaniesz ciężko ranny, nie będziesz mógł wychodzić na dwór. Zawsze im to powtarzam. Rzecz jasna większość pojedynków odbywa się w okolicach środka lata, więc wtedy nabiera to głębszego sensu, że tak powiem. Nie wiem, czy przynosi ulgę, ale w każdym razie na pewno nie czyni nikomu krzywdy.

Ściągnąłem brązowy płaszcz i fuligin, postawiłem buty na stołku, a sam zająłem miejsce koło oberżysty, żeby wysuszyć koszulę i spodnie. Zapytałem go, czy wszyscy, którzy udają się tędy na pojedynek, przychodzą najpierw do niego, żeby się posilić. Jak każdy człowiek, który spodziewa się rychłej śmierci, czułbym się znacznie lepiej, wiedząc, że biorę udział w uświęconym tradycją rytuale.

– Wszyscy? Och, nie – odparł. – Niech umiarkowanie i święty Aniad obdarzą cię swymi łaskami, panie. Gdyby wszyscy oni odwiedzali moją gospodę, to już dawno nie byłaby to moja gospoda. Sprzedałbym ją i żył wygodnie w wielkim kamiennym domu, którego drzwi pilnowaliby groźni strażnicy, a koło mnie zawsze kręciłoby się kilku młodych ludzi z dużymi nożami, na wypadek gdyby moi nieprzyjaciele zechcieli mnie odwiedzić. Niestety, wielu przechodzi, nie rzuciwszy nawet jednego spojrzenia. Nie przyjdzie im na myśl, że następnym razem mogą już nie

być w stanie przełknąć nawet jednego łyku wina.

– À propos – wtrąciła Agia, podając mi kieliszek wypełniony aż po krawędź szkarłatnym płynem.

Nie było to zbyt dobre wino, szczypało bowiem w język, nie najgorszy zaś nawet smak psuł wyraźnie wyczuwalny ślad cierpkości, jednak dla kogoś, kto był tak zmęczony i zmarznięty jak ja, było to znakomite wino. Agia również trzymała pełen kieliszek, a po jej zarumienionych policzkach i błyszczących oczach poznałem, że już wcześniej opróżniła co najmniej jeden. Przypomniałem jej, żeby zostawiła trochę dla Dorcas.

– Dla tej uznającej tylko mleko i wodę dziewicy? Nie wypije go, a poza tym to tobie jest potrzebna odwaga, nie jej.

Niezbyt szczerze odparłem, że wcale się nie boję.

– O to właśnie chodzi! – wykrzyknął gospodarz. – Nie dać się zastraszyć i nie zaprzętać sobie głowy myślami o śmierci, ostatnich dniach i tak dalej. Zapewniam cię, że ci, którzy tak robią, już nigdy tutaj nie wracają. Przechodząc do rzeczy: zdaje się, że miałeś zamiar zamówić posiłek dla siebie i tych dwóch młodych dam?

– Już go zamówiliśmy – odparłem.

– Zamówiliście, ale nie zadatkowaliście. Do tego jeszcze wino i te gateaux secs. Za to trzeba zapłacić tutaj i teraz, bo przecież tutaj i teraz się je, czyż nie tak? Co do kolacji, to potrzebny będzie zadatek w wysokości trzech orichalków plus dwa, kiedy przyjdziecie ją zjeść.

– A jeżeli ja nie przyjdę?

– Wtedy nie będzie żadnej dopłaty, sieur. Właśnie dzięki temu mogę utrzymać takie niskie ceny.

Jego całkowity brak wrażliwości mnie rozbroił. Dałem mu pieniądze i wreszcie sobie poszedł. Agia zaglądała ukradkiem za parawan, gdzie Dorcas myśla się, korzystając z pomocy jednej ze służebnych, ja zaś ponownie zająłem miejsce na otomanie i zacząłem jeść ciastka, popijając je resztką wina.

– Gdyby udało się jakoś spiąć te dwie części parawanu i może podeprzeć je krzesłem, mielibyśmy kilka chwil tylko dla siebie, Severianie. Chociaż i tak te dwie wybrałyby pewnie najmniej odpowiedni moment, żeby zacząć się z tym szarpać i wszystko poprzewracać.

Miałem już udzielić jakiejś żartobliwej odpowiedzi, kiedy dostrzegłem złożony wielokrotnie kawałek papieru, wciśnięty pod przyniesioną przez kelnera tacę w taki sposób, że można go było zobaczyć jedynie z tego miejsca, które właśnie zajmowałem.

– Tego już za dużo – powiedziałem. – Najpierw to wyzwanie, a teraz jeszcze jakiś tajemniczy list.

– O czym mówisz? – Agia zbliżyła się do mnie. – Jesteś już pijany?

Położyłem dłoń na jej okrągłym biodrze, a kiedy nie zaprotestowała, przyciągnąłem ją bliżej, tak by i ona mogła dostrzec zwitek papieru.

– Jak myślisz, co tam może być napisane? „Wspólnota cię wzywa, pędź natychmiast...”, „Twoim przyjacielem jest człowiek, który wypowie...”, „Strzeż się mężczyzny o pomarańczowych włosach”.

Agia podchwyciła mój żartobliwy ton.

– „Wyjrzyj, gdy trzy razy kamień zastuka o szybę...”, „Róża zraniła hiacynt, którego nektar da ci...”, „Poznasz prawdziwą miłość po jej czerwonym woalu”. – Nachyliła się, żeby mnie pocałować, a potem usiadła mi na kolanach. – Nie zajrzysz?

– Właśnie zaglądam. – Jej rozdarta suknia znowu szeroko się rozchyliła.

– Nie tam. Zakryj to dłonią i zainteresuj się listem.

Wykonałem tylko pierwszą część jej polecenia.

– To naprawdę dla mnie już zbyt wiele. Najpierw wyzwanie tajemniczego Septentriona, potem Hildegryn, teraz to. Wspominałem ci o kasztelance Thecli?

– I to nie raz.

– Kochałem ją. Ona bardzo wiele czytała (cóż mogła robić, kiedy zostawiałem ją samą, tylko czytać, wyszywać i spać), a kiedy byliśmy razem, śmialiśmy się często z niektórych historii. Ich bohaterom bezustannie zdarzały się właśnie takie rzeczy, w wyniku czego wiecznie byli uwikłani w wielce melodramatyczne sytuacje, do których rozwiązywania nie mieli żadnych kwalifikacji.

Agia roześmiała się wraz ze mną i ponownie mnie pocałowała, tym razem znacznie dłużej.

– A co takiego uderzyło cię w Hildegryn? – zapytała, kiedy nasze wargi się rozłączyły. – Wydawał się zupełnie zwyczajny.

Wziąłem z tacy ciastko, niechcący dotykając po drodze listu, i włożyłem je do jej ust.

– Jakiś czas temu ocaliłem życie człowiekowi o imieniu Vodalus...

– Vodalus? – Agia odepchnęła mnie, wypluwając kilka okruszków. – Chyba żartujesz?

– Wcale nie. Tak właśnie nazywał go jego przyjaciel. Byłem wtedy jeszcze chłopcem, ale udało mi się na moment powstrzymać opadający topór, którego uderzenie z pewnością by go zabiło. Dał mi za to chrisos.

– Ale co to ma wspólnego z Hildegrynem?

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Vodalusę, byli z nim mężczyzna i kobieta. W chwili gdy nieprzyjaciele ich zaatakowali, Vodalus został, żeby walczyć, natomiast ten drugi uciekł z kobietą, żeby odprowadzić ją w bezpieczne miejsce. – Uznałem, że rozsądniej będzie nie wspominać nic o zwłokach ani o zabiciu przeze mnie człowieka z toporem.

– Ja bym została. Dzięki temu byłoby troje, a nie jeden. Mów dalej.

– Tym towarzyszącym Vodalusowi mężczyzną był Hildegryn i to wszystko. Gdybyśmy to jego najpierw spotkali, wtedy wiedziałbym, a przynajmniej wydawałoby mi się, że wiem, dlaczego hipparcha z Gwardii Septentrińskiej chce ze mną walczyć, a także czemu ktoś uznał za stosowne przesłać mi jakąś tajemną wiadomość. Sama widzisz, że wszystko to są rzeczy, z których wyśmiewaliśmy się z kasztelanką Theclą: szpiegdy, intrygi, ukradkowe schadzki, prześladowani dziedzice. Co się stało, Agio?

– Czy budzę w tobie odrazę? Czy jestem aż tak brzydka?

– Jesteś piękna, ale sprawiasz wrażenie, jakby coś ci zaszkodziło. Chyba zbyt szybko wypijaś to wino.

– Popatrz. – Szybkim ruchem ciała uwolniła się z sukni, która opadła na podłogę, układając się wokół jej brązowych zakurzonych stóp niczym stos drogocennych kamieni.

Widziałem ją już nagą w katedrze Peleryn, ale teraz (może z powodu wina, które wypilem, lub tego, które ona wypija, może dlatego, że światło było teraz jaśniejsze, a może dlatego, że bardziej przyćmione, lub może po prostu dlatego, że wtedy, przestraszona i zawstydzona, zakrywała piersi i starała się ukryć swoją kobiecość) znacznie bardziej mnie pociągała. Kompletnie oszołomiony pożądaniem, nie będąc w stanie o niczym myśleć i nic powiedzieć, przyciągnąłem do siebie jej promieniujące ciepłem ciało.

– Zaczekaj, Severianie. Nie jestem ulicznicą, cokolwiek o mnie myślisz, ale musisz za to zapłacić.

– Co takiego?

– Musisz mi obiecać, że nie przeczytasz tego listu. Wyrzuć go do ognia.

Puściłem ją i cofnąłem się o krok.

W jej oczach pojawiły się łzy, rosnące niczym wypływające spomiędzy skał strumienie.

– Szkoda, że nie widzisz, jak na mnie teraz patrzysz, Severianie. Nie, nie wiem, co tam jest napisane. To tylko... Nie słyszałeś nigdy

o kobiecych przeczuciach? O odgadywaniu rzeczy, z którymi nigdy nie miało się żadnej styczności?

Pożądanie, które przed chwilą odczuwałem, niemal bez śladu zniknęło. Bałem się, czując jednocześnie ogarniający mnie gniew, choć nie znałem przyczyn żadnego z tych uczuć.

– W Cytadeli jest konfraternia takich kobiet. Są naszymi siostrami. Ani ich twarze, ani ciała nie są podobne do twojego.

– Wiem, że ja do nich nie należę. Ale właśnie dlatego musisz mnie posłuchać. Jeszcze nigdy w życiu nie miałam przeczucia o takiej sile. Nie rozumiesz, że musi to oznaczać coś tak prawdziwego i ważnego, że nie wolno ci tego zlekceważyć? Spal ten list.

– Ktoś próbuje mnie ostrzec, a ty nie chcesz, żebym przeczytał to ostrzeżenie. Zapytałem cię, czy Septentrion był twoim kochankiem. Powiedziałaś, że nie, a ja ci uwierzyłem.

Otworzyła usta, ale nie dałem jej dojść do głosu.

– Nadal ci wierzę. W twoim głosie nie ma fałszu, a mimo to wiem, że chcesz mnie w jakiś sposób zdradzić. Powiedz mi, że tak nie jest. Powiedz mi, że chodzi ci wyłącznie o moje dobro.

– Severianie...

– Powiedz!

– Severianie, spotkaliśmy się zaledwie dziś rano. Nie znam cię i ty też mnie prawie nie znasz. Czego oczekujesz teraz, a czego byś oczekiwał, gdybyś nie opuścił swojej konfraterni? Od czasu do czasu próbuję ci pomóc. Tak jest i tym razem.

– Włóż suknię. – Wyjąłem list spod tacy. Rzuciła się na mnie, ale bez trudu udało mi się ją zatrzymać jedną ręką. List został napisany wronim piórem. W półmroku zdołałem odczytać zaledwie kilka słów.

– Mogłam cię czymś zająć i niepostrzeżenie wrzucić go do ognia. Powinnam była tak zrobić. Puść mnie...

– Bądź cicho.

– Jeszcze w ubiegłym tygodniu miałam nóż, piękną mizerykordię o hebanowej rękojeści. Byliśmy głodni, więc Agilus musiał oddać ją w zastaw. Gdyby nie to, pchnęłabym cię teraz!

– Nóż byłby w twojej sukni, a ona leży teraz tam, na podłodze. – Pchnąłem ją tak, że zatoczyła się do tyłu (działało jeszcze wino, które wypila), prosto na płócienne krzesło, a sam przeszedłem z listem w miejsce, gdzie ostatnie promienie zachodzącego słońca przedostawały się przez zasłonę z liści.

Kobieta, która jest z tobą, już tutaj była. Nie ufaj jej. Trudo mówi, że ten

człowiek to kat. Jesteś moją matką, która znowu do mnie przyszła.

rozdział 26

Sennet

Ledwo zdążyłem przeczytać te słowa, kiedy Agia zerwała się z krzesła, wyrwała mi list z dłoni i wyrzuciła go poza krawędź platformy. Przez moment stała przede mną, spoglądając to na mnie, to na Terminus Est, który leżał wyjęty z pochwy na otomanie. Przypuszczam, iż obawiała się, że zetnę jej głowę i wyrzucę w ślad za listem.

– Przeczytałeś go? – zapytała, kiedy nie wykonałem żadnego ruchu. – Severianie, powiedz, że nie!

– Przeczytałem, ale go nie rozumiem.

– Więc już o nim nie myśl.

– Uspokój się choć na chwilę. On nawet nie był do mnie skierowany. Może do ciebie, ale w takim razie dlaczego położono go tam, gdzie tylko ja mogłem go znaleźć? Agia, czy miałaś dziecko? Ile masz lat?

– Dwadzieścia trzy. To dużo, ale nie, nie urodziłam jeszcze dziecka. Obejrzyj mój brzuch, jeśli mi nie wierzysz.

Zacząłem liczyć, ale wkrótce przekonałem się, że za mało wiem o dojrzewaniu kobiet.

– Kiedy miałaś pierwszą menstruację?

– Jak miałam trzynaście lat. Gdybym od razu zaszła w ciążę, urodziłabym dziecko w wieku czternastu lat. Czy to właśnie próbujesz wyliczyć?

– Tak, a teraz miałoby dziewięć lat. Gdyby było zdolne, dałoby sobie radę z napisaniem takiego listu. Czy chcesz wiedzieć, co tam napisano?

– Nie!

– Ile lat według ciebie może mieć Dorcas? Osiemnaście? Dziewiętnaście?

– Nie powinienes o tym myśleć, Severianie. Niezależnie od tego, co to

było.

– Nie jestem w nastroju do zabawy. Jesteś kobietą, mów.

Agia zacisnęła pełne wargi.

– Wątpię, żeby twoja tajemnicza łachmaniarka miała więcej niż szesnaście albo osiemnaście. To jeszcze prawie dziecko.

Przypuszczam, iż każdemu się zdarzyło, że rozmowa o chwilowo nieobecnych osobach przywołuje je niczym duchy. Podobnie stało się i tym razem. Parawan rozsunał się i pojawiła się Dorcas – już nie zabłocone stworzenie, do którego zdążyłem się przyzwyczaić, lecz smukła, nadzwyczaj zgrabna dziewczyna o okrągłych piersiach. Jej skóra była blada, ale nie była to bladość świadcząca o chorobie. Jej włosy miały barwę jasnego złota, a oczy były takie same jak przedtem: ciemnobłękitne, tak jak wody rzeki – świata z mojego snu. Kiedy zobaczyła, że Agia jest zupełnie naga, chciała cofnąć się za zasłonę, ale drogę odwrotu odcięło jej grube ciało służebnej.

– Chyba włożę te swoje szmaty, bo twoje zwierzątko gotowe jeszcze zemdleć – powiedziała Agia.

– Nie będę patrzeć – wyszeptała Dorcas.

– To mnie nie obchodzi – odparła Agia, ale zauważyłem, że zakładając suknię, odwróciła się do nas plecami. – Musimy już iść, Severianie. Lada moment rozlegnie się sygnał trąby.

– A co on oznacza?

– Nie wiesz? – Odwróciła się twarzą do nas. – Kiedy słońce zajrzy w otwory strzelnicze Muru, na Okrutnym Polu rozlega się pierwszy sygnał. Niektórzy myślą, że on wyłącznie określa porę rozpoczęcia pojedynków, ale w rzeczywistości jest to również znak dla strażników, że pora zamykać miejskie bramy. Kiedy słońce zniknie za horyzontem i nastanie prawdziwa noc, hejnalista zatrąbi po raz drugi, co oznacza, że od tej pory bramy pozostaną zamknięte nawet dla tych, którzy mają specjalne przepustki, i że wszyscy, którzy mimo otrzymanego wezwania nie stawili się do walki, tym samym z niej rezygnują. Mogą zostać w każdej chwili zabici, ich przeciwnicy zaś, o ile są szlachcicami lub arystokratami, mogą bez uszczerbku na honorze wynająć płatnych morderców.

Służąca, która słuchała tego, stojąc przy schodach i kiwając potwierdzająco głową, odsunęła się, żeby przepuścić swego chlebobawcę.

– Jeżeli rzeczywiście czeka cię śmiertelna rozprawa, panie... – zaczął.

– Już mi to moja przyjaciółka powiedziała – przerwałem mu. –

Musimy iść.

Dorcas zapytała, czy mogłaby napić się trochę wina. Nieco mnie to zdziwiło, ale skinąłem głową, gospodarz zaś nalał jej pełen kieliszek, który wzięła w obie dłonie jak dziecko. Spytałem go, czy znajdują się u niego jakieś przybory do pisania.

– Chcesz sporządzić testament, sieur? Chodź ze mną. Mamy przeznaczone tylko do tego miejsce. Nie pobieramy za to żadnej opłaty, a jeśli chcesz, mogę wysłać chłopca, żeby zaniósł go do twojego egzekutora.

Wziąłem Terminus Est i poszedłem za nim, pozostawiając kwiat zemsty pod opieką Agii i Dorcas. Miejsce, o którym mówił gospodarz, okazało się umocowaną do gałęzi platformą, tak małą, że z trudem zmieściły się na niej biurko i krzesło, ale było tam kilka piór i kartek papieru, a także kałamarz. Usiadłem i zapisałem zapamiętane słowa listu. O ile mogłem się zorientować, zarówno papier, jak i atrament były takie same. Osuszywszy atrament, zwinąłem kartkę i schowałem ją do rzadko używanej przegródki w sakiewce, po czym powiedziałem oberżyscie, że nie będę potrzebował posłańca, a następnie zapytałem go, czy zna kogoś o imieniu Trudo.

– Trudo, sieur? – powtórzył ze zdumieniem.

– Tak, to dosyć popularne imię.

– W rzeczy samej, sieur. Wiem o tym. Staram się tylko przypomnieć sobie kogoś, kogo bym znał, a kto jednocześnie byłby, że tak powiem, zbliżony do ciebie pozycją, na przykład jakiegoś szlachcica lub...

– Kogokolwiek – przerwałem mu. – Chodzi mi o kogokolwiek. Na przykład czy nie tak właśnie nazywa się kelner, który nas obsługiwał?

– Nie, panie. On ma na imię Duen. Miałem kiedyś sąsiada o imieniu Trudo, ale to było wiele lat temu, jeszcze zanim zacząłem prowadzić ten interes. Nie sądzę, żeby to o niego ci chodziło. Potem jest mój stajenny, on też nazywa się Trudo.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

Gospodarz skinął głową, chowając na chwilę brodę w fałdach tłuszczu na szyi.

– Jak sobie życzysz, sieur. Tyle tylko, że nie sądzę, żebyś mógł się od niego zbyt wiele dowiedzieć. – Stopnie zatrzeszczały pod jego ciężarem.

– Ostrzegam cię, że pochodzi z południa. – Miał na myśli południową część miasta, nie dzikie, bezleśne tereny graniczące z krainą lodów. – W dodatku z drugiej strony rzeki. Chyba nie wyciągniesz z niego nic sensownego, chociaż to bardzo pracowity chłopak.

– Chyba wiem, o której części miasta mówisz – odparłem.

– Naprawdę? O, to bardzo interesujące, sieur. Bardzo interesujące. Spotkałem już paru takich, którzy twierdzili, że potrafią to rozpoznać po sposobie ubierania się i mówienia, ale nie myślałem, że ty też do nich należysz. – Byliśmy już prawie na ziemi. – Trudo! – ryknął. – Truuudo!

Nikt się nie pojawił. U podnóża schodów leżał płaski głaz o rozmiarach dużego stołu. Weszliśmy na niego.

Była to dokładnie ta chwila, w której wydłużające się cienie przestają być cieniami, zamieniając się w kałuże czerni, jakby z ziemi sączyła się jakaś ciecz ciemniejsza jeszcze od tej, która wypełniała Ptasie Jezioro. Setki ludzi, niektórzy pojedynczo, a niektórzy w małych grupkach, śpieszyły od strony miasta. Wszyscy wydawali się bardzo przejęci. Większość nie miała żadnej broni, ale dostrzegłem kilka rapierów, a w oddali błysnął również biały kielich kwiatu zemsty, niesionego, zdaje się, na identycznej jak moja tyce.

– Szkoda, że tutaj nie zaglądamy – powiedział oberżysta. – Oczywiście niektórzy z nich wstąpią tu w drodze powrotnej, ale to już nie to samo. Najwięcej zarabia się na obiadach przed, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Mówię z tobą szczerze, panie, bo choć jesteś tak młody, to widzę, iż doskonale rozumiesz, że każdy interes prowadzi się po to, żeby ciągnąć z niego zyski. Staram się utrzymywać rozsądne ceny, a poza tym, jak już powiedziałem, słyniemy z naszej kuchni. TRUDO! Moja w tym głowa, bo ja sam uznaję tylko smaczne potrawy; gdybym miał jeść to, co wszyscy, z pewnością umarłbym z głodu. Trudo, ty zawszony wieśniaku, gdzie jesteś?!

Zza drzewa wyszedł, ocierając rękawem nos, mały brudny chłopiec.

– Nie ma go tutaj, panie.

– Więc gdzie jest? Idź i go poszukaj.

Cały czas przyglądałem się defilującym przed nami tłumom.

– I wszyscy oni idą na Okrutne Pole? – zapytałem, dopiero teraz zdając sobie w pełni sprawę z tego, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mam być martwy jeszcze przed wschodem księżyca. Nagle cała ta historia z listem wydała mi się dziecinna i bezsensowna.

– Tak, ale nie wszyscy po to, żeby walczyć. Większość to gapie, z których część jest tu po raz pierwszy, dlatego tylko, że ma się pojedynkować ktoś, kogo znają, lub dlatego, że właśnie o tym usłyszeli lub przeczytali. Najczęściej to później odchorowują, wstępują tu bowiem w drodze powrotnej i wychylają niejedną butelkę. Są też jednak tacy,

którzy przychodzą co wieczór, a przynajmniej cztery lub pięć razy w tygodniu. To specjaliści, najczęściej w zakresie jednego lub dwóch rodzajów broni. Twierdzą, że wiedzą o niej więcej od tych, którzy się nią posługują, i czasem nawet mają rację. Po twoim zwycięskim pojedynku, sieur, dwóch lub trzech będzie chciało postawić ci kolejkę. Jeśli się zgodzisz, powiedzą ci, na czym polegały twoje błędy, a jakie z kolei popełnił twój przeciwnik, ale przekonasz się, że w każdej sprawie będą mieli przeciwne zdania.

– Nasza kolacja ma mieć ściśle prywatny charakter – odparłem i odwróciłem się, słysząc odgłos stąpania bosymi stopami po schodach. Pojawiły się Agia i Dorcas. Agia niosła mój kwiat, który w niepewnym świetle wydawał się jakby nieco większy niż do tej pory.

Wyznałem już, jak bardzo jej pożądałem. Kontaktując się z kobietami, zachowujemy się zwykle tak, jakby miłość i pożądanie stanowiły dwa całkowicie odrębne zjawiska; kobiety zaś, które czasem nas kochają, a często pożądamy, starają się podtrzymać to złudzenie. Prawda wygląda jednak tak, że uczucia te stanowią dwa aspekty tego samego zjawiska, tak samo jak pień drzewa, na którym mieściła się gospoda, miał swoją północną i południową stronę. Jeśli pożądamy kobiety, wkrótce zaczynamy ją kochać za to, że nam się oddaje (to właśnie stanowiło podstawę mej miłości do Thecli), a ponieważ każda z nich prędzej czy później nam się oddaje, jeśli nawet nie fizycznie, to przynajmniej psychicznie, element miłości jest ciągle obecny. Z drugiej strony jeśli ją kochamy, wkrótce zaczynamy jej również pożądać, jako że atrakcyjność jest jedną z tych cech, które musi mieć każda kobieta, a już na pewno ta, która została naszą wybranką. Dzięki temu właśnie mężczyźni pożądamy kobiet, których nogi dotknięte są paralizem, a kobiety tych mężczyzn, którzy są impotentami, z wyjątkiem chwil, gdy spotykają się z podobnymi do nich mężczyznami.

Nikt jednak nie jest w stanie powiedzieć, skąd biorą się zarówno miłość, jak i pożądanie. Kiedy Agia schodziła po schodach, jedna część jej twarzy była oświetlona ginącym blaskiem dnia, druga zaś skryta w cieniu, a w sięgającym niemal do pasa rozdarciu sukni można było dostrzec błysk białego ciała. Wszystko to, co do niej czułem, a co wydawało się, że bezpowrotnie zginęło, gdy kilka chwil temu odepchnąłem ją od siebie, powróciło ze zdwojoną mocą. Wiem, że wyczytała to z mojej twarzy, podobnie jak Dorcas, która szybko odwróciła wzrok. Agia jednak wciąż była na mnie zagniewana (możliwe zresztą, że miała ku temu pełne prawo), uśmiechała się więc tylko tyle,

ile nakazywały względy uprzejmości, nie starając się zbyt ukryć dokuczającego jej bólu.

Sądzę, że na tym właśnie polega różnica między tymi kobietami, którym (chcąc pozostać mężczyzną) musimy ofiarować nasze życie, a tymi, które musimy (przy tym samym założeniu) w miarę możliwości przechytrzyć, pokonać i wykorzystać tak, jak nigdy nie ośmielilibyśmy się wykorzystać bezrozumnego zwierzęcia. Te drugie nigdy nam nie pozwolą zaofiarować sobie tego, co dajemy tym pierwszym. Agia cieszyła się z okazywanego jej uwielbienia i pod wpływem moich pieszczot z całą pewnością osiągnęłaby ekstazę, ale nawet gdybym miał ją sto razy, rozstalibyśmy się jako dwoje zupełnie obcych ludzi. Zrozumiałem to wszystko w czasie, jakiego potrzebowała na przejście kilku ostatnich stopni, jedną dłonią podtrzymując rozdartą suknię, a w drugiej niosąc tykę z przymocowanym do niej kwiatem. Mimo to ciągle ją kochałem, czy raczej kochałbym, gdybym mógł.

Pojawił się zadyszany chłopiec.

– Kucharka mówi, że Trudo odszedł. Wyszła, żeby nabrać wody, i widziała go, jak uciekał. Jego rzeczy też zniknęły.

– A więc zniknął na dobre – mruknął gospodarz. – Kiedy to było? Przed chwilą?

Chłopiec skinął głową.

– Pewnie dowiedział się, że go szukasz, panie. Ktoś ze służby musiał mu o tym powiedzieć. Czy coś ci ukradł?

– Nie, nie zrobił mi nic złego – odparłem. – Przypuszczam, że nawet na swój sposób starał się okazać pomocny. Przykro mi, że z mojego powodu straciłeś służącego.

Oberżysta rozłożył ręce.

– Miałem mu dopiero zapłacić, nic więc na tym nie stracę.

– A mnie jest przykro, że przeszkodziłam ci tam, na górze – szepnęła mi do ucha Dorcas. – Nie chciałam pozbawiać cię przyjemności. Kocham cię, Severianie.

Gdzieś niedaleko od nas srebrzysty dźwięk trąby wzniósł się ku zapalającym się gwiazdom.

rozdział 27

Czy on nie żyje?

Okrutne Pole, o którym z pewnością wszyscy moi czytelnicy słyszeli, choć większość z nich, mam nadzieję, nigdy nie będzie miała okazji tam się znaleźć, leży na północny zachód od zabudowanych rejonów Nessus, między willową enklawą miejskiej szlachty a barakami i stajniami Błękitnej Jazdy, na tyle blisko Murów, że komuś takiemu jak ja, kto jeszcze nigdy tam nie był, wydaje się to bardzo blisko, choć w rzeczywistości do ich podstawy trzeba odbyć kilkumilową wędrówkę wąskimi, krętymi uliczkami. Nie wiem, ile jednocześnie pojedynków może tam się odbywać. Możliwe, że ograniczające miejsce każdego z nich barierki, na których widzowie mogą wedle życzenia opierać się, a nawet siadać, są ruchome i da się je przestawiać w zależności od potrzeb. Byłem tam tylko raz, lecz to miejsce, porośnięte zdeptaną trawą i pełne milczących, ociężałych gapiów, nastrajało mnie dziwnie melancholijnie.

W tym krótkim okresie, w jakim zasiadam na tronie, miałem do czynienia z wieloma sprawami znacznie pilniejszymi niż problem pojedynków. Dobre czy złe (ja sam skłaniam się raczej ku tej drugiej opinii), są bez wątpienia nierozdzielnie związane z naszym społeczeństwem, które po to, by przetrwać, musi najwyżej cenić właśnie wojowniczość, i w którym do zaprowadzenia i utrzymania porządku można skierować znikomą część sił zbrojnych.

Czy jednak rzeczywiście jest to jedynie zło?

W czasach, kiedy pojedynki były zakazane przez prawo (czyli, jak wynika z moich lektur, przez wiele stuleci), zastąpiły je morderstwa, i to szczególnie tego rodzaju, którym monomachia mogła w najbardziej efektywny sposób zapobiegać, czyli stanowiące następstwo kłótni między znajomymi, przyjaciółmi lub krewnymi. Zamiast jednego ginęli

wówczas dwaj ludzie, prawo bowiem ścigało zabójcę (który stawał się nim raczej z przypadku niż dzięki swoim szczególnym skłonnościom lub predyspozycjom) i likwidowało go, jakby jego śmierć mogła przywrócić ofierze życie. Inaczej mówiąc, nawet gdyby tysiąc pojedynków zakończyło się tysiącem zgonów (co jest raczej mało prawdopodobne, jako że w większości przypadków dochodzi jedynie do zranienia jednego z uczestników), a jednocześnie nie doszłoby do pięciuset morderstw, to państwo nie poniosłoby na tym żadnego uszczerbku. Mało tego, zwycięzca pojedynku jest osobnikiem znakomicie nadającym się do obrony tegoż państwa, a tym samym szczególnie predysponowanym do płodzenia zdrowych dzieci, podczas gdy w większości morderstw nikt nie unika śmierci, a nawet jeśli zabójcy ta sztuka się uda, to okazuje się on najczęściej człowiekiem zaledwie chytrym i mściwym, a nie silnym, szybkim i inteligentnym.

Mimo to pojedynek oparty na tak prostych i pozornie przejrzystych zasadach jest czasem zaledwie jednym z elementów znacznie bardziej skomplikowanej intrygi.

Gdy byliśmy jeszcze w odległości większej niż sto kroków, usłyszeliśmy wykrzykiwane donośnie nazwiska:

- Cadroe z Siedemnastu Kamieni!
- Sabas z Podzielonej Łąki!
- Laurentia z Domu Harfy! – To był głos kobiety.
- Cadroe z Siedemnastu Kamieni!

Zapytałem Agię, kim są ci wrzeszczący ludzie.

– To wyzywający na pojedynek i wyzwani. Wykrzykując swoje imiona, obwieszczają wszystkim, że stawili się na umówionym miejscu, a ich przeciwnik nie.

- Cadroe z Siedemnastu Kamieni!

Zachodzące słońce, którego tarcza skryła się już w jednej czwartej za nieprzeniknioną czernią Muru, zabarwiło niebo gumigutą, wiśnią, cynobrem i ponurym fioletem. Kolory te, spływając na kłębiącą się ciżbę w taki sam sposób, jak na obrazach promienie boskiej łaskawości spływają na świętych mężów, nadały zarówno oczekującym na walkę, jak i gapiom wrażenie ulotności i nierzeczywistości, jakby wszyscy oni dopiero przed chwilą zostali powołani do życia i lada moment mieli rozwiązać się bez śladu.

- Laurentia z Domu Harfy!

– Agia, powinnaś chyba zawołać: „Severian z Wieży Matachina!” – zwróciłem się do dziewczyny. W tej samej chwili tuż koło nas rozległ się

charkot umierającego człowieka.

– Nie jestem twoją służącą. Zrób to sam, jeśli chcesz.

– Cadroe z Siedemnastu Kamieni!

– Nie patrz tak na mnie, Severianie. Ja również wolałabym, żebyśmy nie musieli tutaj przychodzić. Severian! Severian z Bractwa Katów! Severian z Cytadeli! Z Wieży Bólu! Śmierć! Oto śmierć we własnej osobie!

Uderzyłem ją tuż poniżej ucha. Zatoczyła się i upadła na ziemię, a wraz z nią przymocowany do tyki kwiat. Dorcas chwyciła mnie za ramię.

– Nie powinieneś tego robić, Severianie.

– Nic jej nie będzie, nie zacisnąłem pięści.

– Będzie cię jeszcze bardziej nienawidzić.

– Sądzisz, że właśnie to do mnie czuje?

Dorcas nie odpowiedziała, niebawem zaś ja sam zapomniałem, że zadałem to pytanie, gdyż w pewnej odległości od nas dostrzegłem wśród tłumu identyczny jak mój kwiat zemsty.

Arena miała kształt koła o średnicy około piętnastu kroków i dwa przejścia w otaczającej ją barierze.

– Zgodzono się na sąd kwiatu zemsty! – obwieścił efor donośnym głosem. – Oto miejsce i czas. Pozostało jedynie ustalić, czy zmierzycie się nadzy, czy też tak, jak stoicie. Co proponujecie?

– Nadzy – odpowiedziała Dorcas, zanim zdołałem otworzyć usta. – On ma zbroję.

Groteskowy herm Septentriona obrócił się kilka razy w lewo i prawo. Podobnie jak większość hełmów kawalerii nie zakrywał uszu, aby wojownik mógł dosłyszeć w bitewnym zgiełku rozkazy przełożonych. Wydawało mi się, że w cieniu rzucanym przez część twarzową dostrzegam wąską czarną wstążkę, i próbowałem sobie przypomnieć, gdzie już widziałem coś takiego.

– Nie zgadzasz się, hipparcho? – zapytał efor.

– Mężczyźni z moich stron obnażają się jedynie w obecności kobiet.

– Ale on ma zbroję! – powtórzyła Dorcas. – Ten zaś nie ma nawet koszuli.

– Zdejmę ją – oznajmił Septentrion. Zrzucił płaszcz i rozpiął pancerz, który upadł u jego stóp. Spodziewałem się zobaczyć pierś równie potężną jak mistrza Gurloesa, tymczasem była węższa od mojej.

– Jeszcze hełm.

Septentrion ponownie pokręcił głową.

– Czy to ostateczna odmowa? – zapytał efor.

– Tak. – W głosie hipparchy słyhać było niepewność. – Mogę powiedzieć tylko tyle, że zakazano mi go zdejmować.

– Chyba nikt z nas nie chciałby wprawiać w zakłopotanie ani hipparchy, ani tym bardziej osoby, której on służy – zwrócił się do mnie efor. – Sądzę, że najlepszym rozwiązaniem byłoby przyznanie ci, sieur, prawa do czegoś, co niwelowałoby tę przewagę. Czym masz jakąś propozycję?

– Odmów walki, Severianie – odezwała się Agia, która milczała nieprzerwanie od chwili, kiedy ją uderzyłem. – Albo zachowaj to prawo do momentu, kiedy naprawdę będziesz go potrzebował.

– Odmów walki – powtórzyła za nią Dorcas, odwiązująca skrawki materiału, którymi kwiat był przymocowany do tyki.

– Zaszedłem zbyt daleko, żeby teraz się wycofać.

– Czy już coś postanowiłeś, sieur? – zapytał ponaglająco efor.

– Chyba tak. – W sakwie cały czas miałem swoją maskę. Jak wszystkie używane przez naszą konfraternię, wykonana była z cienkiej skóry wzmocnionej kawałkami kości. Nie wiedziałem, czy zdoła ochronić mnie przedmiotnymi przez przeciwnika liśćmi, ale pełne grozy westchnienia, jakie dały się słyszeć wśród tłumu, kiedy naciągnąłem ją na twarz, dawały niemałą satysfakcję.

– Czy jesteście gotowi? Hipparcho? Sieur? Panie, na czas walki musisz komuś oddać swój miecz. Wolno wam mieć przy sobie jedynie kwiat zemsty.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Agii, ale zniknęła w tłumie. Dorcas wręczyła mi śmiercionośny kwiat, a ja oddałem jej Terminus Est.

– Zaczynajcie!

Liść przeleciał ze świstem tuż koło mojego ucha. Septentrion zbliżał się, lewą ręką trzymając kwiat tuż pod dolnymi liśćmi, prawą wysunąwszy zaś naprzód, jakby chciał wyrwać mi mój oręż. Przypomniałem sobie, że Agia ostrzegła mnie przed takim niebezpieczeństwem, i przyciągnąłem swój kwiat tak blisko, jak tylko się odważyłem.

Przez jakieś pięć oddechów krążyliśmy wokół siebie. Potem zaatakowałem jego wysuniętą rękę, on zaś sparował uderzenie swoim kwiatem. Uniosłem mój nad głowę i w tym momencie uświadomiłem sobie, że jest to najwygodniejsza pozycja – przeciwnik nie był w stanie dosięgnąć łodygi, ja zaś mogłem zarówno uderzać całą rośliną, jak i odrywać prawą ręką pojedyncze liście.

Skorzystałem od razu z tej ostatniej możliwości, posyłając jeden z liści w kierunku jego twarzy. Mimo osłony, jaką dawał mu hełm, uchylił się, a ludzie za jego plecami odskoczyli na boki, aby uniknąć trafienia. Ponownie zaatakowałem, a w chwilę potem jeszcze raz, strącając w locie rzucony przez niego liść.

Rezultat był ze wszech miar godny uwagi. Zamiast opaść natychmiast na ziemię jak zwykły przedmiot, obydwie liście zwały się w walce, zadając ciosy i pchnięcia z taką szybkością, że w chwili, kiedy zaczęły spadać, przypominały już postrzępione czarno-zielone wstążki, które nagle, nie wiedzieć czemu, rozbłysły setką barw...

Coś – czy może ktoś – przyciskał ciało do moich pleców. Było mi zimno, więc bijące od niego ciepło sprawiało mi dużą przyjemność.

– Severianie! – Głos należał do Dorcas, ale dochodził jakby z wielkiej oddali. – Severianie! Czy nikt mu nie pomoże? Przepuście mnie!

Usłyszałem bicie dzwonów. Barwy, które dojrzałem w walczących liściach, pojawiły się na niebie, gdzie pod zorzą polarną rozwinęła się przepyszna tęcza. Świat był wielkim paschalnym jajkiem, pomalowanym na wszystkie możliwe kolory.

– Czy on nie żyje? – zapytał jakiś głos tuż przy moim uchu.

– Jasne – odpowiedział spokojnie inny. – To zawsze zabija. Chcesz czekać, aż go zabiorą?

– Jako zwyczajca mam prawo do jego szat i broni – usłyszałem dziwnie znajomy głos Septentriona. – Dajcie mi ten miecz.

Usiadłem. Kilka kroków od moich stóp leżące na ziemi liście jeszcze wciąż próbowały walczyć. Tuż za nimi stał Septentrion, ciągle trzymając w ręku swój kwiat. Nabrałem powietrza w płuca, żeby spytać, co się stało, i coś zsunęło się z mojej piersi na kolana; był to liść o zakrwawionym końcu.

Dostrzegłszy moje poruszenie, Septentrion uniósł kwiat w górę, ale w tej samej chwili wkroczył między nas efor z szeroko rozłożonymi ramionami.

– Spokojnie, żołnierzu! – krzyknął ktoś z widzów. – Pozwól mu wstać i wziąć broń do ręki.

Nogi uginały się pode mną. Oszołomiony, rozejrzałem się w poszukiwaniu mego kwiatu; leżał niedaleko stóp Dorcas szamoczącej się z Agią.

– On powinien już nie żyć! – zawołał hipparcha.

– Ale żyje – odparł efor. – Możesz wznowić walkę, kiedy weźmie broń do ręki.

Chwyciłem łodygę mego kwiatu i przez moment wydawało mi się, że dotykam ogona jakiegoś zimnokrwistego, ale żywego zwierzęcia. Zadrżał w mojej dłoni, liście głośno zaszeleściły.

– To świętokradztwo! – krzyknęła Agia. Spojrzałem na nią, a potem podniosłem kwiat i odwróciłem się do Septentriona.

Jego oczy były skryte w cieniu hełmu, ale potworne przerażenie widać było w każdym ruchu ciała. Przez chwilę spoglądał to na mnie, to na Agię, a potem odwrócił się i rzucił w kierunku wyjścia z areny. Widzowie zastąpili mu drogę, zaczął więc uderzać na oślep kwiatem. Rozległ się przeraźliwy wrzask, potem następne. Mój kwiat zaczął ciągnąć mnie do tyłu, a właściwie nie kwiat, bo ten zniknął, tylko ktoś, kto chwycił mnie za rękę. Dorcas.

– Agilus! – usłyszałem gdzieś z daleka krzyk Agii.

– Laurentia z Domu Harfy! – zawtórował jej głos innej kobiety.

rozdział 28

Oprawca

Obudziłem się następnego ranka w lazarecie. Było to długie, wysokie pomieszczenie, w którym na łóżkach leżeli ranni i chorzy. Byłem zupełnie nagi. Przesuwałem dłońmi po swoim ciele w poszukiwaniu ran, zastanawiając się jednocześnie, jakby to dotyczyło kogoś zupełnie innego, jak dam sobie teraz radę bez ubrania i pieniędzy i jak usprawiedliwię przed mistrzem Palaemonem utratę miecza i płaszcza, które od niego otrzymałem.

Byłem bowiem pewien, że je zgubiłem, czy też raczej ja w jakiś sposób im się zgubiłem. Wzdłuż rzędu łóżek przebiegła mała z głową psa, zatrzymała się na chwilę, by na mnie spojrzeć, i odeszła. Nie wydało mi się to wcale dziwniejsze od faktu, że na mój koc padały promienie słońca, chociaż nigdzie nie mogłem dostrzec okna.

Ponownie się obudziłem i usiadłem. Przez moment zdawało mi się, że znowu znajduję się w naszej bursie, że jestem kapitanem uczniów, że wszystko inne, czyli moje wyniesienie, śmierć Thecli, walka na kwiaty zemsty, było tylko snem. Jeszcze nie raz miałem odnosić podobne wrażenie. Potem zobaczyłem, że sufit jest z gipsu, a nie z metalu, i że leżący w sąsiednim łóżku człowiek jest cały spowity bandażami. Odsunąłem koc i opuściłem stopy na podłogę. Dorcas spała, siedząc oparta plecami o ścianę u wezgowia mojego łóżka. Owinęła się w mój brązowy płaszcz, spod którego wystawały rękojeść i część ostrza spoczywającego na jej kolanach Terminus Est. Udało mi się ubrać, nie budząc jej, ale kiedy próbowałem zabrać miecz, wymamrotała coś przez sen i przycisnęła go mocniej do siebie, zostawiłem go więc w jej objęciach.

Wielu chorych również już nie spało i przyglądało mi się, ale żaden się nie odezwał. Znajdujące się w końcu pomieszczenia drzwi

prowadziły na klatkę schodową, a ta z kolei na dziedziniec, po którym dreptało niespokojnie kilkanaście wierzchowców. Myślałem, że jeszcze śnię, ujrawszy wspinającego się po murze cynocephalusa, ale był on równie realny jak podenerwowane rumaki, kiedy zaś cisnąłem w niego grudką ziemi, obnażył zęby niemal równie białe jak Triskele.

Ubrany w kolczugę żołnierz podszedł do wierzchowca, żeby wyjąć coś z torby przy siodle. Zatrzymałem go i zapytałem, gdzie jestem. Sądził, że chcę wiedzieć, jaka to część fortecy, i wskazał mi jedną z wież, za którą, jak powiedział, znajdują się Sądy, a potem dodał, że jeśli z nim pójdę, to prawdopodobnie uda mi się dostać coś do jedzenia.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem głodny. Podążyłem za nim przez ciemny korytarz do pomieszczenia niższego i nie tak jasnego jak lazaret, w którym kilkudziesięciu żołnierzy pochylonych było nad posiłkiem składającym się ze świeżego chleba, mięsa i gotowanych jarzyn. Mój nowy przyjaciel poradził mi, żebym wziął talerz, i powiedział kucharzom, że kazano mi tutaj przyjść na obiad. Uczyniłem tak i chociaż spoglądali ze zdziwieniem na mój fuliginowy strój, obsłużyli mnie bez sprzeciwu.

O ile kucharze nie okazywali zbytnej ciekawości, o tyle żołnierze stanowili jej ucieleśnienie. Wypytywali mnie o moje imię, miejsce, z którego przybyłem, a także o rangę, sądzili bowiem, że nasza konfraternia jest zorganizowana na wojskowy sposób. Chcieli wiedzieć, gdzie podział się mój topór, a potem gdzie miecz, kiedy już powiedziałem im, że tego właśnie narzędzia używamy. Wyjaśniłem, że jest ze mną kobieta, która go teraz strzeże. Ostrzegli mnie, żeby z nią nie uciekła, a następnie doradzili, żebym wyniósł dla niej pod płaszczem trochę chleba, jako że nie będzie mogła tutaj przyjść, żeby coś zjeść. Dowiedziałem się, że starsi z nich często utrzymywali kobiety podążające za wojskiem, chociaż obecnie czyniło to już tylko niewielu. Poprzednie lato spędzili, walcząc na północy, skąd na zimę skierowano ich do Nessus, gdzie zajmowali się utrzymywaniem porządku, obecnie zaś spodziewali się, że najdalej za tydzień znowu wyruszą na północ. Ich kobiety wróciły do swoich wiosek, gdzie żyły z rodzicami lub krewnymi. Zapytałem, czy nie wołałyby być z nimi tutaj, na południu.

– Czy by nie wołały? – powtórzył mój znajomy. – Oczywiście, że tak. Ale niby jak miałyby to zrobić? Co innego iść za kawalerią biorącą udział w ciągłych walkach, wtedy bowiem dziennie przebywa się w najlepszym razie jedną lub dwie mile, jeśli zaś w ciągu tygodnia pokona się trzy, to można być pewnym, że w następnym trzeba będzie cofnąć się o dwie.

Jak jednak miałyby nadążyć za nami w czasie drogi powrotnej do miasta? To piętnaście mil dziennie. I co miałyby jeść? Lepiej dla nich, jeśli poczekają. Kiedy do naszego sektora przybędzie nowy oddział, będą miały nowych chłopów. Pojawi się też trochę nowych dziewczyn, niektóre starsze odpadną, wszyscy więc będą mieli szansę na odmianę. Słyszałem, że wczoraj przynieśli tu też kata, takiego jak ty, tyle że prawie martwego. Widziałeś go może?

Odpowiedziałem, że nie.

– Znalazł go jeden z naszych patroli, a kiedy dowódca się o tym dowiedział, kazał po niego wrócić, spodziewając się, że już wkrótce możemy go potrzebować. Przysięgają, że go nawet nie tknęli, ale był w takim stanie, że musieli go nieść na noszach. Nie wiem, czy to jeden z twoich towarzyszy, ale może chciałbyś rzucić na niego okiem.

Obiecałem, że to uczynię, i podziękowawszy żołnierzom za ich gościnność, wstałem z miejsca i odszedłem, zacząłem bowiem niepokoić się o Dorcas, ich pytania zaś, chociaż zadawane w dobrej wierze, stawiały mnie w kłopotliwej sytuacji. Zbyt wiele było bowiem rzeczy, których nie potrafiłbym im wyjaśnić. Na przykład w jaki sposób zostałem ranny, jeśli już przyznałbym się, że to ja byłem tym przyniesionym na noszach rannym, ani kim jest i skąd właściwie wzięła się Dorcas. Mnie samemu nie dawała spokoju świadomość, że nie potrafię tego wyjaśnić, czułem się tak, jak zawsze się czujemy, gdy jakiś obszar naszego życia musi pozostać w cieniu, i chociaż poprzednie pytanie dotyczyło spraw całkowicie odmiennych, to następne będzie skierowane w sam środek tych, o których nie potrafiłem i nie mogłem nic powiedzieć.

Dorcas stała przy moim łóżku, na którym ktoś postawił kubek z gorącym rosołem. Tak bardzo ucieszyła się na mój widok, że mnie także zrobiło się przyjemnie, jakby radość była równie zaraźliwa jak epidemia.

– Myślałam, że umarłeś – powiedziała. – Zniknąłeś wraz z ubraniami i sądziłam, że zabrano cię, żeby pochować.

– Nic mi nie jest – odparłem. – Powiedz mi, co właściwie wydarzyło się tej nocy?

Dorcas od razu spoważniała. Posadziłem ją obok siebie na łóżku i dałem chleb, który dostałem od żołnierzy, każąc jej popijać go rosołem.

– Z pewnością pamiętasz walkę z człowiekiem, który nosił dziwny hełm – powiedziała, zaspokoiwszy pierwszy głód. – Założyłeś swoją maskę i wyszedłeś z nim na arenę, chociaż błagałam cię, żebyś tego nie

czynił. Niemal natychmiast trafił cię w pierś i upadłeś. Widziałam liść przypominający płaskiego stalowego robaka, pogrążony do połowy w twoim ciele i pijący twoją krew. A potem wysunął się i spadł na ziemię. Nie wiem, czy potrafię to opisać; było tak, jakby wszystko, co widziałam, działo się inaczej. Ale pamiętam, że tak właśnie było. Podniosłeś się i wyglądałeś... nie wiem, jakbyś się zgubił albo jakby część ciebie była gdzieś bardzo daleko. Myślałam, że od razu cię zabije, ale efor cię osłonił, mówiąc, że musisz najpierw wziąć do ręki swój kwiat. Kwiat twojego przeciwnika był zupełnie spokojny, jak te rosnące nad strasznym jeziorem, twój natomiast nagle zaczął się wić i rozwijać, chociaż wydawało mi się, że już wcześniej był rozwinięty, ale teraz wiem, że za bardzo chciałam, żeby był podobny do róży, a poza tym wcale nie był rozwinięty. Było w nim coś, jakby twarz – taka, jaką mogłaby mieć trucizna.

Ty tego jednak nie zauważyłeś, tylko go podniosłeś, a on zaczął się ku tobie nachylać, bardzo powoli, jakby jeszcze spał. Twój przeciwnik widział wszystko i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wpatrywał się w ciebie, Agia krzyczała do niego, a w pewnej chwili odwrócił się i rzucił do ucieczki. Nie podobało się to ludziom, którzy chcieli zobaczyć czyjąś śmierć. Próbowali go zatrzymać, a on...

Jej oczy wypełniły się łzami. Odwróciła głowę, żebym ich nie zauważył, dokończyłem więc za nią:

– A on zaczął uderzać swoim kwiatem i zapewne wielu z nich zabił, prawda?

– Nawet nie o to chodzi, to sam kwiat rzucał się na nich niczym wąż. Ci, których dosięgły ciosy liści, nie ginęli od razu, tylko przeraźliwie krzyczeli, a niektórzy biegli na oślep przed siebie, przewracali innych, wstawali i znowu biegli. Wreszcie jakiś potężny mężczyzna uderzył go z tyłu, a kobieta, która walczyła na krótkie obosieczne miecze, rozcięła kwiat od góry do dołu. Potem mężczyźni przytrzymali hipparchę i usłyszałam, jak jej broń uderza w jego hełm.

Ty po prostu stałeś. Nie zdawałeś sobie nawet sprawy z tego, że on uciekł. Kwiat, który trzymałeś w dłoni, nachylał się coraz bardziej do twojej twarzy. Przypomniałam sobie, co zrobiła ta kobieta, i uderzyłam w niego z całej siły twoim mieczem. Z początku wydawał mi się bardzo, bardzo ciężki, a potem jakby w ogóle przestał ważyć, lecz kiedy go opuściłam, odniosłam wrażenie, że mogłabym nawet odciąć głowę bizona. Co prawda zapomniałam wyjąć go z pochwy, ale i tak udało mi się wytrącić ci kwiat z dłoni, a potem wzięłam cię za rękę

i odprowadziłam...

– Dokąd?

Zadrzała i pośpiesznie zanurzyła kawałek chleba w kubku z parującym rosołem.

– Nie wiem. Nie obchodziło mnie to. Tak dobrze było po prostu iść z tobą i wiedzieć, że oto opiekuję się tobą tak samo, jak ty opiekowałeś się mną, kiedy poszukiwałeś kwiatu. Kiedy jednak nastąpiła głęboka noc, poczułam przenikliwie zimno. Wcześniej okryłam cię twoim płaszczem, ale tobie było ciepło, więc zabrałam go i sama założyłam. Moja suknia rozpadała się na strzępy. Teraz zresztą tak samo.

– W oberży chciałem kupić ci nową – zauważyłem.

Potrząsnęła głową, żując namoczony chleb.

– Wiesz, to chyba był pierwszy posiłek od bardzo długiego czasu. Aż zaczął mnie boleć żołądek, dlatego właśnie napiłam się wina, ale teraz czuję się już o wiele lepiej. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem osłabiona.

Nie chciałam, żebyś kupował mi tam suknię, bo musiałabym potem nosić ją przez długi czas, a to przypominałoby mi o tamtym dniu. Możesz mi ją kupić teraz, jeśli chcesz, bo będzie mi przypominała ten dzień, kiedy myślałam, że umarłeś, podczas gdy tobie nic się nie stało.

W każdym razie jakoś udało nam się wrócić do miasta. Szukałam zajazdu, w którym mogłabym znaleźć dla ciebie łóżko, ale wszędzie były tylko wielkie domy z tarasami i balustradami. W pewnej chwili przygalopowali żołnierze i zapytali mnie, czy jesteś carnifexem. Nie wiedziałam, co to słowo znaczy, ale przypomniałam sobie wszystko, co mi opowiadałeś, i powiedziałam im, że jesteś katem, bo dla mnie wszyscy żołnierze byli zawsze jakby po trosze katami i wiedziałam, że nam pomogą. Próbowali wsadzić cię na konia, ale nie mogłeś utrzymać się w siodle, rozpostarli więc na dwóch lancach swoje płaszcze, położyli cię na nich i umocowali końce drzewc do siodeł. Jeden z nich chciał mnie wziąć na swojego rumaka, ale się nie zgodziłam. Szłam obok noszy i od czasu do czasu mówiłam do ciebie, ale ty chyba mnie nie słyszałeś.

Opróżniła do końca kubek.

– Teraz chcę cię o coś zapytać. Kiedy myślałam się za parawanem, słyszałam, że szepczecie z Agią o jakimś liście, a potem szukałeś kogoś w oberży. Czy opowiesz mi o tym?

– Dlaczego wcześniej nie zapytałaś?

– Bo była z nami Agia. Nie chciałam, żeby usłyszała, jeżeli udało ci się coś odkryć.

– Jestem pewien, że byłaby w stanie odkryć wszystko to, co i ja odkryłem – powiedziałem. – Nie znam jej zbyt dobrze, a nawet wydaje mi się, że znam ją jeszcze mniej niż ciebie. Mimo to zdaję sobie sprawę z tego, że jest znacznie mądrzejsza ode mnie.

Dorcas pokręciła głową.

– Ona należy do tych kobiet, które znakomicie potrafią zadawać zagadki, ale nie są zbyt dobre w rozwiązywaniu tych, które nie są ich autorstwa. Ona chyba myśli jakoś tak... bokiem, nikt więc nie jest w stanie za tym nadążyć. Jest jedną z tych kobiet, o których mówi się, że myślą jak mężczyźni, ale to nieprawda, te kobiety nie myślą jak prawdziwi mężczyźni, one w ogóle nie myślą jak oni. One nawet nie myślą jak kobiety. Trudno je zrozumieć, bo nie jest to ani mądre, ani głębokie myślenie.

Opowiedziałem jej o liście, o jego zawartości i wspomniałem, że chociaż został zniszczony, to zanotowałem jego treść i okazało się, że był napisany takim samym atramentem i na takim samym papierze, jakim dysponował oberżysta.

– A więc ktoś właśnie tam go napisał – powiedziała z namysłem. – Prawdopodobnie któryś ze służących, skoro nazywał stajennego po imieniu. Ale co to właściwie miało znaczyć?

– Nie mam pojęcia.

– Powiem ci, dlaczego podłożono go właśnie w tym miejscu. Ja pierwsza usiadłam na otomanie, a potem ty siadłeś przy mnie. Byłam szczęśliwa, bo miałam cię tuż obok siebie. Pamiętasz może, czy kelner, który z pewnością musiał list przynieść, niezależnie od tego, czy to on go napisał, postawił tam tacę, jeszcze zanim poszłam się kąpać?

– Pamiętam wszystko z wyjątkiem ostatniej nocy – odparłem. – Agia siedziała na krześle, ty na otomanie, a ja obok ciebie. Niosłem miecz i tykę z przywiązany do niej kwiatem, którą położyłem na podłodze. Weszła dziewczyna z wodą i ręcznikiem dla ciebie i zaraz wyszła, żeby przynieść mi oliwę i szmaty.

– Powinniśmy byli coś jej dać – przerwała mi Dorcas.

– Dałem jej orichalka za przyniesienie parawanu. Wątpię, czy zarabia tyle przez tydzień. W każdym razie ty schowałaś się za parawan i w chwilę potem gospodarz wprowadził kelnera.

– Więc dlatego nie zobaczyłam listu. Ale kelner musiał wiedzieć, gdzie siedzę, bo nie było przecież innego miejsca, i zostawił list pod tacą, mając nadzieję, że go zauważę, kiedy wrócę. Jak on się zaczynał?

– „Kobieta, która jest z tobą, już tutaj była. Nie ufaj jej”.

– Musiał więc być przeznaczony dla mnie. Gdyby był do ciebie, jego autor musiałby jakoś odróżnić Agię i mnie, zapewne określając kolor włosów. Jeżeli zaś adresatem miałyby być Agia, to położono by go po drugiej stronie stołu, gdzie tylko ona mogła go zobaczyć.

– Przypominasz więc komuś matkę.

– Tak. – W jej oczach znowu pojawiły się łzy.

– Jesteś zbyt młoda, żeby mieć dziecko, które mogłoby napisać ten list.

– Nic nie pamiętam – wyszeptała i skryła twarz w fałdach mojego płaszcza.

rozdział 29

Agilus

Kiedy zajmujący się chorymi lekarz zbadał mnie i stwierdził, że nie potrzebuję już żadnej opieki, poprosił, żebyśmy opuścili lazaret, gdyż widok mojego miecza i fuliginowego płaszcza źle wpływa na jego pacjentów.

Po przeciwnej stronie budynku, w którym spożywałem z żołnierzami posiłek, znaleźliśmy sklep zaopatrujący ich w potrzebne artykuły. Oprócz fałszywej biżuterii i błyskotek, jakie zwykle mężczyźni dają swoim kochankom, był tam także spory wybór kobiecych strojów, i chociaż moje fundusze zostały mocno nadwerężone przez kolację, której nie dane nam było zjeść, to kupiłem tam nową suknię dla Dorcas.

Wejście do Sądów znajdowało się w pobliżu sklepu. Kłębił się tam co najmniej stuosobowy tłum i ponieważ ludzie na widok mego fuliginu zaczęli trącać się łokciami i wskazywać w moim kierunku, wycofaliśmy się na dziedziniec, na którym stały wierzchowce. Znalazł nas tam urzędnik sądowy – mężczyzna potężnej postury o wysokim białym czole przypominającym brzuch pękatego dzbana.

– Jesteś katem – powiedział. – Słyszałem, że czujesz się już tak dobrze, że możesz wykonywać swoje obowiązki.

Odpowiedziałem, że jestem gotów jeszcze dziś uczynić wszystko, co tylko jego pan uzna za stosowne.

– Dziś? Nie, to niemożliwe. Sąd odbędzie się dopiero po południu.

Zauważyłem, że skoro przyszedł, by sprawdzić, czy czuję się wystarczająco dobrze, żeby wykonać wyrok, musi być przekonany, że zapadnie wyrok skazujący.

– Och, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Zginęło przecież dziewięć osób, a sprawcę schwytano na gorącym uczynku. Nie jest to żadna ważna osobistość, nie może więc być mowy o apelacji czy prośbie

o ułaskawienie. Trybunał zbierze się ponownie jutro rano, ale ty będziesz potrzebny najwcześniej w południe.

Jako że nie miałem jeszcze nigdy styczności z sądem i sędziami (do Cytadeli przybywali sami klienci, wszelkie zaś sprawy z najróżniejszymi oficjelami, którzy zjawiali się czasem, żeby wydać bardziej szczegółowe dyspozycje dotyczące poszczególnych przypadków, załatwiał wyłącznie mistrz Gurloes), a także dlatego, że bardzo chciałem wreszcie wykorzystać to, do czego mnie przez tak wiele lat uczono, zapytałem, czy przewodniczący sądu nie życzyłby sobie przypadkiem jeszcze dziś wieczorem uroczystej ceremonii przy świetle pochodni.

– To niemożliwe – odparł urzędnik. – Musi przecież mieć czas na rozważenie swojej decyzji. Jak by to inaczej wyglądało? I tak już dużo ludzi uważa, że władze wojskowe są pochopne, a nawet niepotrzebnie mściwe w ferowaniu wyroków. Szczerze mówiąc, cywilny sędzia czekałby co najmniej tydzień, na wypadek gdyby ktoś miał się pojawić z nowymi dowodami, co oczywiście by nie nastąpiło.

– A więc jutro wczesnym popołudniem – powiedziałem. – Będziemy potrzebowali kwatery na noc. Chcę zobaczyć szafot, pień, a także przygotować mojego klienta. Czy będę potrzebował przepustki, żeby się z nim zobaczyć?

Urzędnik zapytał, czy nie moglibyśmy zostać w lazarecie, a kiedy pokręciłem głową, poszliśmy tam we trójkę, żeby mógł porozmawiać z lekarzem, ale, tak jak się spodziewałem, medyk nie zmienił swojej decyzji. Potem doszło do długiej dyskusji z jakimś podoficerem, który wyjaśnił, że nie możemy zanocować z żołnierzami w barakach, a gdybyśmy zajęli któryś z pokoi przeznaczonych dla wyższych szarż, to nikt później nie chciałby w nim mieszkać. Wreszcie opróżniono dla nas małe, bezokienne pomieszczenie służące za magazyn i wniesiono do niego dwa łóżka i trochę innych mebli, z których wszystkie nosiły ślady wieloletniego użytkowania. Zostawiłem tam Dorcas, po czym upewniwszy się, że w ostatniej chwili nie potknę się o przegniłą deskę na szafocie ani że nie będę musiał odrzynać klientowi głowy, trzymając go przełożonego przez kolano, skierowałem się do lochów, aby złożyć wizytę, której wymaga nasza tradycja.

Jeżeli chodzi o subiektywne odczucia, to istnieje ogromna różnica między miejscami odosobnienia, do których zdążyliśmy się przyzwyczaić, a tymi, które są dla nas zupełnie nowe. Gdybym wchodził do naszych lochów, czułbym się tak, jakbym wracał do domu – być może po to, żeby umrzeć, ale mimo wszystko do domu. Choć w jakiś

niewyraźny sposób zdawałem sobie sprawę z tego, że kręte metalowe korytarze i wąskie szare drzwi mogą dla zamkniętych tam ludzi stanowić najpotworniejszy z możliwych widoków, to jednak sam w ogóle tej potworności nie odczuwałem, a gdyby ktoś z nich uważał, że powinienem, to bez namysłu zacząłbym wyliczać wygody, jakie mieli: czyste prześcieradła, ciepłe koce, regularne posiłki, wystarczające oświetlenie, rzadkie naruszanie ich prywatności i tak dalej, i tak dalej.

Teraz, schodząc wąskimi kamiennymi schodami do podziemi stokrotnie mniejszych od naszych, doznawałem uczuć całkowicie różnych od tych, jakie mną rządziły w Cytadeli. Ciemność i fetor przygniatały mnie niemal fizycznym ciężarem. Myśl, że i ja mógłbym się tu znaleźć (na przykład w wyniku niewłaściwie zrozumianego rozkazu lub złej woli urzędnika), wracała uparcie, chociaż starałem się od niej uwolnić.

Usłyszałem kobiecy szloch. Urzędnik wspominał o mężczyźnie, byłem więc pewien, że dochodził z innej celi niż ta, w której przebywał mój klient. Miała to być trzecia cela z prawej strony. Policzyłem: pierwsza, druga i trzecia. Drzwi były drewniane, tyle tylko, że z metalowymi okuciami, ale zamki (na tym właśnie polega wojskowa niezawodność!) zostały niedawno naoliwione. Kiedy klucz zazgrzytał, szloch, który rozlegał się jednak za tymi właśnie drzwiami, przycichł, a potem prawie zupełnie ustał.

Wewnątrz leżał na słomie, przykuty do ściany biegnącym od jego szyi łańcuchem, nagi mężczyzna. Nachylała się nad nim kobieta, również zupełnie naga. Jej długie brązowe włosy zasłaniały ich twarze, łącząc je jakby w jedną całość. Kiedy zwróciła głowę w moją stronę, zobaczyłem, że to Agia.

– Agilus! – syknęła.

Mężczyzna usiadł. Ich twarze były tak podobne, że odnosiło się wrażenie, jakby Agia trzymała w dłoniach lustro.

– Więc to byłeś ty – powiedziałem. – Ale to przecież niemożliwe. – Jednak mówiąc te słowa, przypomniałem sobie zachowanie Agii na Okrutnym Polu i czarną wstążkę, którą dostrzegłem za uchem hipparchy.

– Ty... – odrzekła Agia. – Ty przeżyłeś i dlatego on musi umrzeć.

– To naprawdę był Agilus? – Tylko to przychodziło mi do głowy.

– Oczywiście. – Głos mego klienta był o oktawę niższy niż jego siostry, chociaż nie tak spokojny. – Ciągle nic nie rozumiesz, prawda?

Mogłem jedynie potrząsnąć głową.

– Tam w sklepie to była Agia. W przebraniu Septentriona. Weszła przez tylne drzwi, kiedy rozmawiałem z tobą, a ja dałem jej znak, gdy nie chciałeś zgodzić się na sprzedaż miecza.

– Nie mogłam nic powiedzieć – wtrąciła Agia – bo zdradziłby mnie głos, ale zbroja ukryła moje piersi, a rękawice dłonie. Chodzenie jak mężczyzna wcale nie jest tak trudne, jak niektórzy uważają.

– Przyjrzałeś się chociaż temu mieczowi? Powinna na nim być inskrypcja.

Dłonie Agilusa uniosły się na moment, jakby nawet teraz chciały sięgnąć po rękojeść.

– Jest – potwierdziła głuchym głosem Agia. – Widziałam w gospodzie.

Wysoko w ścianie za ich plecami znajdowało się małe okienko. Nagle, jakby słońce właśnie wzniosło się ponad krawędź dachu lub wychyliło zza ciemnej chmury, wpadł przez nie promień światła, oblewając ich oboje swoim blaskiem. Spoglądałem to na jedną, to na drugą twarz.

– Próbowaliście mnie zabić. Tylko po to, żeby zabrać mi miecz.

– Nie pamiętasz, że chciałem go od ciebie kupić? – zapytał Agilus. – Przekonywałem cię, że powinieneś się go pozbyć, uciec w przebraniu. Dałbym ci strój i wszystkie pieniądze, jakie miałem.

– Nie rozumiesz, Severianie? – wtrąciła Agia. – On był wart dziesięć razy więcej niż nasz sklep, a ten sklep był wszystkim, co mieliśmy.

– Robiliście to już wcześniej. Musieliście to robić. Zbyt gładko wam szło. Łatwe morderstwo, a ciało prosto do Gyll.

– Zabijesz Agilusa, prawda? Dlatego tutaj jesteś. Ale nie wiedziałeś, że to my, dopóki nie otworzyłeś tych drzwi. Czy nie zrobiliśmy tego, co już niebawem sam zrobisz?

– To była uczciwa walka – zawtórował jej brat. – Byliśmy tak samo uzbrojeni, a ty zgodziłeś się na warunki. Czy jutro również dasz mi taką szansę?

– Wiedziałeś, że gdy nadejdzie wieczór, ciepło moich rąk pobudzi kwiat i ten uderzy mnie w twarz – odparłem. – Ty miałeś rękawiczki i nie pozostawało ci nic innego, jak tylko czekać. Właściwie nawet nie musiałeś, bo przecież już nieraz miałeś okazję rzucać liśćmi.

Agilus uśmiechnął się.

– Rzeczywiście, rękawice miały najmniejsze znaczenie. – Rozłożył ręce. – Ja zwyciężyłem, ale ostatecznie dzięki jakiejś tajemniczej sztuce, której nie rozumiemy, ty zostałeś zwycięzcą. Trzykrotnie mnie oszukałeś, a stare prawo mówi, że człowiek trzy razy oszukany przez swego przeciwnika może żądać od niego spełnienia jednego życzenia.

Wątpię, żeby to prawo jeszcze obowiązywało, ale moja ukochana twierdzi, że jesteś bardzo przywiązany do starych dziejów, kiedy twoja konfraternia była potężna, a Cytadela stanowiła centralny punkt Wspólnoty. Domagam się spełnienia tego życzenia. Puść mnie wolno.

Agia wstała, strząsając źdźbła słomy z kolan i krągłych bioder. Jakby dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że jest naga, podniosła błękitnozieloną suknię, którą tak dobrze znałem, i przycisnęła ją do piersi.

– W jaki sposób cię oszukałem Agilusie? Wydaje mi się, że to ty mnie okłamałeś, a w każdym razie próbowałeś to uczynić.

– Po pierwsze, nosząc przy sobie przedmiot równy wartością najpiękniejszej willi i nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Twoim obowiązkiem jako właściciela było o tym wiedzieć, a twoja ignorancja może mnie teraz kosztować życie. Po drugie, odmawiając jego sprzedaży. W naszym komercyjnym społeczeństwie każdy może ustalić taką cenę, jaka mu się podoba, ale odmowa sprzedaży równa jest zdradzie. Agia i ja nosimy może stroje barbarzyńców, ale ty masz jego serce. Po trzecie – sposobem, w jaki rozstrzygnąłeś pojedynek na swoją korzyść. W przeciwieństwie do ciebie musiałem walczyć z siłami potężniejszymi, niż byłem w stanie sobie wyobrazić. Straciłem zimną krew, jak każdy, kto by się znalazł na moim miejscu, i oto tutaj jestem. Wzywam cię, żebyś mnie uwolnił.

Wbrew mojej woli wybuchnąłem głośnym, pełnym gorzkości śmiechem.

– Żądasz, żebym uczynił dla człowieka, którego mam wszelkie powody nienawidzić, to, czego nie zrobiłem dla Thecli, którą kochałem niemal nad życie. Nic z tego. Co prawda jestem głupcem, w znacznej mierze dzięki twojej kochanej siostrze, ale nie aż do tego stopnia.

Agia wypuściła z dłoni suknię i rzuciła się na mnie z taką gwałtownością, iż w pierwszej chwili myślałem, że chce mnie zaatakować. Ona jednak obsypała moje usta pocałunkami, a chwyciwszy dłonie, położyła jedną na swojej piersi, a drugą na aksamitnym biodrze. Zarówno tam, jak i na jej plecach, gdzie w chwilę potem przesunąłem obie ręce, były jeszcze źdźbła starej słomy.

– Kocham cię, Severianie! Pragnęłam cię przez cały czas, kiedy byliśmy razem, i wiele razy próbowałam ci się oddać. Czy nie pamiętasz, jak bardzo chciałam cię zaprowadzić do Ogrodu Rozkoszy? Byłoby to wspaniałe przeżycie dla nas obojga, ale ty nie chciałeś tam iść. Bądź chociaż raz uczciwy. – Powiedziała to takim tonem, jakby uczciwość była

czymś równie nienormalnym jak choroba psychiczna. – Czyżbyś mnie nie kochał? Weź mnie... tutaj i teraz. Agilus odwróci głowę, obiecuję ci. – Jej palce wśliznęły się pod pas na moim brzuchu. Nie zdawałem sobie sprawy, że otworzyła sakwę, dopóki nie usłyszałem szelestu papierów.

Uderzyłem ją w rękę, może trochę mocniej, niż to było potrzebne, a ona rzuciła się do moich oczu, podobnie jak czyniła to czasem Thecla, kiedy nie mogła już znieść myśli o odosobnieniu i bólu. Odepchnąłem ją, tym razem nie na krzesło, ale na przeciwległą ścianę. Uderzyła głową w kamień i chociaż uderzenie z pewnością zostało częściowo zamortyzowane jej gęstymi włosami, odgłos przypominał dźwięk, jaki wydaje uderzający w kamienne bryły młotek murarza. Kolana ugięły się pod nią i osunęła się po murze, aż wreszcie usiadła na słomie. Nigdy bym nie przypuszczał, że potrafi płakać, ale jej ciałem wstrząsnął szloch.

– Co ona zrobiła? – zapytał Agilus. W jego głosie nie było żadnego innego uczucia prócz ciekawości.

– Przecież widziałeś. Próbowwała sięgnąć do mojej sakwy. – Wyjąłem wszystkie pieniądze, jakie mi jeszcze zostały: dwa orichalki i siedem aes.

– Zapewne chciała ukraść list, który mam dla archonta Thraxu. Powiedziałem jej kiedyś o nim, ale tutaj go nie noszę.

– Jestem pewien, że chodziło jej tylko o pieniądze. Mnie karmią, ale ona musi być potwornie głodna.

Podniosłem Agię, narzuciłem na nią suknię, a następnie otworzyłem drzwi i wyprowadziłem ją na zewnątrz. Była jeszcze oszołomiona, lecz gdy dałem jej orichalka, cisnęła go na ziemię i splunęła.

Kiedy wróciłem do celi, Agilus siedział pod ścianą ze skrzyżowanymi nogami.

– Nie pytaj mnie o Agię – powiedział. – Wszystkie twoje podejrzenia są słuszne, czy to ci wystarczy? Już jutro będę martwy, a ona poślubi tego starca, który daje jej pieniądze, albo kogoś innego. Chciałem, żeby zrobiła to wcześniej. Przecież nie mógłby zabronić jej widywania się ze mną, jej własnym bratem. Teraz ja umrę i już nie będzie musiała się o to martwić.

– Rzeczywiście, jutro umrzesz. – Skinąłem głową. – Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Czy obchodzi cię, jak będziesz wyglądał na szafocie?

Opuścił wzrok na swoje ręce, szczupłe i delikatne, oświetlone tym samym promieniem słońca, który przed kilkoma chwilami rozpałił nad głowami jego i Agii złociste aureole.

– Tak – odpowiedział wreszcie. – Ona może tam przyjść. Mam

nadzieję, że tego nie zrobi, ale tak, to mnie obchodzi.

Poradziłem mu wówczas (zgodnie z tym, czego mnie uczone), żeby nie jadł zbyt wiele na śniadanie, na wypadek gdyby miało mu się zrobić niedobrze, i żeby opróżnił wcześniej pęcherz, gdyż zaciskające jego ujście mięśnie rozluźniają się zaraz po ciosie. Przedstawiłem mu również, jak to zawsze czynimy, nieprawdziwy przebieg ceremonii, żeby nie wiedział, że właśnie nadchodzi koniec, kiedy on istotnie nadejdzie. To kłamstwo pozwalało naszym klientom umierać z nieco mniejszym strachem. Nie wiem, czy mi uwierzył, chociaż mam nadzieję, że tak. Jeżeli jakiegokolwiek kłamstwo może zostać usprawiedliwione w oczach Wszechstwórcy, to z całą pewnością właśnie to.

Kiedy wyszedłem z celi, orichalk zniknął. W miejscu, w którym leżał, widniał niezwykle wzór, wyrysowany jego krawędzią na brudnej kamiennej posadzce. Mogła to być wykrzywiona w okrutnym grymasie twarz Jurupari albo jakaś mapa pokryta nieznanym mi pismem. Starłem go stopą.

rozdział 30

Noc

Było ich pięcioro: trzech mężczyzn i dwie kobiety. Czekali nie zaraz za drzwiami, ale w odległości co najmniej tuzina kroków od nich. Rozmawiali ze sobą, mówiąc po dwoje lub troje naraz, prawie krzycząc, śmiejąc się, wymachując rękami i rozdając sobie kuksańce. Ukryty w cieniu przyglądałem im się przez pewien czas. Nie mogli mnie tam zobaczyć, jako że byłem zawinięty w swój fuliginowy płaszcz. Ja zaś udawałem, że nie wiem, kim są. Mogli być grupą lekko podpitych przyjaciół, wracających razem z jakiegoś przyjęcia.

Podeszli szybko, ale i z wahaniem. Bali się, że zostaną odprawieni, a jednocześnie byli zdecydowani spróbować. Jeden z mężczyzn przewyższał mnie wzrostem (z pewnością był to nieprawdy syn jakiegoś arystokraty), miał około pięćdziesięciu lat, a tuszą niemal dorównywał karczmarzowi z Gospody Straconych Uczuć. Tuż obok niego szła szczupła, może dwudziestoletnia kobieta o najbardziej wygłodniałych oczach, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Kiedy gruby mężczyzna stanął przede mną, tarasując mi drogę swoją tuszą, ona znalazła się tak blisko mnie, iż wydawało się niemal cudem, że nasze ciała się nie zetknęły. Jej dłonie o smukłych palcach poruszały się wzdłuż rozcięcia płaszcza, jakby chciała pogłodzić mnie po piersi, czułem się więc tak, jakbym za chwilę miał paść ofiarą jakiegoś krwiożerczego ducha. Pozostali stłoczyli się dokoła, przyciskając mnie do ściany budynku.

– To już jutro, prawda? Jak on się czuje?

– Jak się naprawdę nazywasz?

– Ten jest rzeczywiście paskudny, prawda? Czy to potwór?

Żadne z nich nie czekało na odpowiedź na swoje pytanie. Zależało im tylko na mojej bliskości i możliwości mówienia do mnie.

– Czy będziesz go najpierw torturował?

– Zabiłeś już kiedyś kobietę?

– Tak – odpowiedziałem. – Raz.

Jeden z mężczyzn, niski i szczupły, o wysokim wypukłym czole intelektualisty, wpychał mi do dłoni asimi.

– Słyszałem, że wy niewiele zarabiacie, a ten to biedak, nie będzie mógł ci dać napiwku.

Kobieta o siwych, opadających w nieładzie na twarz włosach usiłowała wepchnąć mi koronkową chusteczkę.

– Umocz ją we krwi. Całą albo tyle, ile zechcesz. Zapłacę ci później.

Budzili we mnie odrazę, ale i litość. Szczególnie trzeci mężczyzna, mniejszy nawet od tego, który dawał mi pieniądze, i bardziej siwy od siwowłosej kobiety. W jego zgaszonych oczach dostrzegałem szaleństwo, ale oprócz tego czaił się w nich cień jakiejś myśli, która wypaliła się w otchłaniach jego umysłu, aż wreszcie jakakolwiek jej celowość zniknęła, a pozostała jedynie przyniesiona przez nią energia. Wydawał się czekać, aż pozostali skończą mówić, a ponieważ wszystko wskazywało na to, że ta chwila nigdy nie nastąpi, uciszyłem ich gestem i zapytałem, czego chce.

– P-p-panie, kiedy byłem na Kwazarze, miałem swoją laleczkę, genotwór, jakże piękną, o źrenicach wielkich niczym bezdenne studnie, o tęczęwkach fioletowych jak kwitnące latem astry lub bratki. Całe ich łany, Panie, musiano z-z-zebrać, żeby stworzyć te oczy i ciało, które zawsze wydawało się skąpane w promieniach słońca. G-g-gdzie ona teraz jest, moje uspokojenie, moja kruszyna? Niech gwoździe przebiją d-d-dłonie, które mi ją zabrały! Niech spadnie na nie lawina kamieni! Gdzie zniknęła ze skrzyneczki z drzewa cytrynowego, w której nigdy nie spała, bo zawsze była ze mną całą noc, i w której czekała zawsze cały dzień, czuwając bezustannie, Panie, uśmiechając się, kiedy ją tam kładłem, żeby uśmiechać się również wtedy, kiedy ją wyjmowałem? Jakże delikatne były jej dłonie, jej małe dłonie. Jak skrzydła g-g-gołębic. Mogłaby latać, gdyby nie to, że wołała być ze mną. Wkręć ich jelita w k-k-kołowroty, każ im pożreć własne oczy! Pozbaw ich męskości, wygól dokładnie, żeby kochanki ich nie poznały, żeby nałożnice ich wyśmiały, żeby uliczne dziewczki z nich szydziły. Czyn swoją powinność. Gdzież była ich litość dla niewinnych? Czy choć raz zadrżała im ręka, czy choć raz wezbrał im w gardle szloch? Kto mógł uczynić to, co oni uczynili? Złodzieje, fałszywi przyjaciele, zdrajcy, mordercy i porywacze. Gdyby n-n-nie ty, gdzie byłyby nocne zmary, ich tak dawno obiecana zapłata?

Gdzie byłyby łańcuchy, kajdany, dyby i pęta? Gdzie rozpalone do białości żelaza, które niszczą ich wzrok? Gdzie łamiące kości koła, gdzie wbijające się w ich stawy gwoździe? Gdzie moja ukochana, którą utraciłem?

Dorcas wpięła sobie we włosy stokrotkę; kiedy jednak szliśmy wzdłuż kamiennych ścian (ja owinięty szczelnie płaszczem, a tym samym całkowicie niewidoczny nawet dla kogoś, kto by się znalazł kilka kroków od nas), stokrotka złożyła swoje płatki do snu, zamiast niej zerwała więc jeden z tych białych kwiatów, przypominających kształtem trąbkę, które są zwane kwiatami księżycowymi, gdyż w zielonkawym świetle księżycy przybierają taką samą barwę. Ani ona, ani ja nie mieliśmy nic do powiedzenia. Chyba tylko to, że gdyby nie drugie z nas, byłibyśmy całkowicie samotni, ale to mówiły za nas połączone silnym uściskiem dłonie.

Minęła nas grupa dostawców prowiantu – nieomylny znak, że żołnierze szykowali się do wymarszu. Od północy i wschodu otaczał nas Mur, przy którym ściany baraków i budynków administracji wydawały się zaledwie piaskowymi konstrukcjami wzniesionymi przez dzieci, łatwymi do zburzenia nawet przez przypadkowe trącenie nogą. Na południu i zachodzie rozciągało się Okrutne Pole. Słyszeliśmy dobiegający stamtąd dźwięk trąby oraz okrzyki tych, którzy poszukiwali swoich przeciwników. Była taka chwila, że każde z nas bało się, iż drugie zaproponuje, żebyśmy tam poszli, by przypatrywać się pojedynkom. Żadne jednak tego nie zrobiło.

Kiedy ze szczytu Muru rozległ się ostatni sygnał wzywający do gaszenia świateł, wróciliśmy z pożyczoną świeczką do naszego bezokienego, ciemnego pokoju. Drzwi nie miały żadnego zamknięcia, ale przysunęliśmy do nich stół, na którym postawiliśmy lichtarz. Powiedziałem Dorcas, że może w każdej chwili odejść, w przeciwnym razie wszyscy już zawsze będą o niej mówili, że była kobietą oprawcy, oddającą mu się na stopniach szafotu za zbrukane krwią pieniądze.

– Te pieniądze ubrały mnie i nakarmiły – odparła, zdejmując z ramion mój brązowy płaszcz (sięgał jej do kostek i kiedy nie uważała, jego skraj ciągnął się za nią po ziemi) i gładząc żółto-brązowe płótno swej nowej sukni.

Zapytałem ją, czy się boi.

– Tak. Ale nie ciebie – dodała pośpiesznie.

– Czego więc? – Zacząłem się rozbierać. Gdyby mnie poprosiła, nie tknąłbym jej w nocy. Chciałem, żeby to zrobiła, gdyż (jak mi się

wydawało) przyjemność płynąca ze wstrzemięźliwości byłaby większa, niż gdybym ją posiadał, łączyłaby się bowiem ze świadomością, że następnej nocy Dorcas powinna bardziej czuć się zobowiązana, właśnie dlatego, że wcześniej ją oszczędziłem.

– Siebie. Myśli, jakie do mnie wrócą, kiedy znowu będę z mężczyzną.

– Znowu? Pamiętasz poprzedni raz?

Potrząsnęła głową.

– Ale mam pewność, że nie jestem już dziewicą. Pożądałam cię dzisiaj, pożądałam także wczoraj. Jak sądzisz, dla kogo się kąpałam? W nocy, kiedy spałeś, trzymałam cię za rękę i marzyłam, że się kochamy, leżąc w swoich ramionach. Znam smak zaspokojenia i pożądania, musiałam więc mieć już przynajmniej jednego mężczyznę. Czy chcesz, żebym to zdjęła, zanim zgaszę świecę?

Była szczupła, o wysokich piersiach i wąskich biodrach, zadziwiająco dziecinna, chociaż jednocześnie w pełni kobieca.

– Wydajesz się taka mała – powiedziałem, biorąc ją w ramiona.

– A ty taki duży...

Wiedziałem, że choćbym nie wiadomo jak się starał, i tak zadam jej ból, zarówno tej, jak i każdej następnej nocy. Wiedziałem również, że nie byłoby mnie stać na to, żeby ją oszczędzić. Jeszcze przed chwilą cofnąłbym się, gdyby mnie o to poprosiła. Teraz już nie mogłem. Tak jak rzuciłbym się naprzód, by nabić się na czekające na mnie piki, tak później uparcie podążałbym za nią, usiłując ją do mnie przywiązać.

Jednak to nie w moje ciało miało się coś wbijać. Ciągłe stojąc, gładziłem jej skórę i całowałem piersi, które były jak połówki okrągłych owoców. Następnie podniosłem ją i razem upadliśmy na jedno z łóżek. Krzyknęła, częściowo z rozkoszy, a częściowo z bólu, i odepchnęła mnie po to tylko, żeby natychmiast do mnie przywrzeć.

– Tak mi dobrze – wyszeptwała. – Tak dobrze... – I ugryzła mnie w ramię, wyginając ciało niczym łuk.

Później zsunęliśmy obydwaj łóżka, żeby móc leżeć obok siebie. Za drugim razem wszystko odbyło się dużo wolniej, natomiast na trzeci już się nie zgodziła.

– Będiesz jutro potrzebował siły – powiedziała.

– A więc nie zależy ci na tym.

– Gdyby to od nas zależało, żaden mężczyzna nie musiałby tułać się po świecie lub żyć z zabijania. Niestety, świat nie został stworzony przez kobiety. W taki czy inny sposób wszyscy jesteście katami.

W nocy padało, i to tak mocno, że słyszeliśmy bezustanny szum

lejącej się na dach wody. Zapadłem w drzemkę i śniłem, że świat został odwrócony do góry nogami. Gyoll znalazła się nad naszymi głowami, zalewając nas potokiem ryb, śmieci i kwiatów. Znowu zobaczyłem tę wielką twarz, którą widziałem pod wodą wtedy, gdy niemal się utopiłem – biało-koralowe zjawisko na niebie, uśmiechające się ostrymi niczym igły zębami.

Thrax jest nazywane Miastem Bezokiennych Pokoi. To nasze ślepe pomieszczenie miało nas do tego przygotować. Thrax będzie właśnie takie. A może już tam dotarliśmy, może nie leży aż tak daleko na północy, jak myślałem, nie tak daleko, jak chciano, żebym myślał...

Dorcas wstała, żeby wyjść za potrzebą, a ja poszedłem za nią, wiedząc, że samotne nocne przechadzki w miejscu, w którym jest tak wielu żołnierzy, mogą okazać się dla niej niezbyt bezpieczne. Korytarz, na który wychodziło się z naszego pokoju, biegł wzdłuż zewnętrznej ściany budynku, gęsto pociętej otworami strzelniczymi, przez które dostawały się do wnętrza strużki wody, rozbryzgując się w miniaturowe fontanny. Chciałem zostawić Terminus Est w pochwie, ale wyciągnięcie w razie potrzeby tak długiego miecza zabiera zbyt dużo czasu. Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w pokoju i zastawiliśmy drzwi, wyjąłem oselkę i tak długo ostrzyłem jego męską stronę, której miałem jutro potrzebować, aż mogłem przeciąć na pół rzucony w powietrze włos. Następnie wytarłem i naoliwiłem całe ostrze, a potem oparłem miecz o ścianę w pobliżu wezłowania mego łóżka.

Jutro miałem po raz pierwszy pojawić się na szafocie, chyba że chiliarcha w ostatniej chwili postanowi skorzystać z prawa łaski. Zawsze istniała taka możliwość i takie ryzyko. Z historii jasno wynika, że każda epoka ma jakąś swoją neurozę, a mistrz Palaemon uczył nas, że w naszych czasach jest nią właśnie łaska, za pomocą której usiłuje się udowodnić, że jeden minus jeden to jednak trochę więcej niż nic, bo skoro prawo nie musi być spójne, to podobnie sprawiedliwość. W brązowej książce między dwoma opowieściami znajduje się dialog, z którego wynika, że kultura stanowi ucieleśnienie idei Prastwórcy, równie logicznej i przejrzystej jak on sam, spojonej w jedność wewnętrznym podporządkowaniem naczelnemu celowi, jakim jest realizacja jego obietnic i gróźb. Jeśli tak jest w istocie, myślałem, to z pewnością już niebawem wszyscy zginiemy, inwazja z północy zaś, która spowoduje śmierć tak wielu ludzi, jest jedynie wiatrem, który przewraca do cna zgniłe drzewo.

Sprawiedliwość jest wspaniałą rzeczą, a tej nocy, kiedy leżałem

u boku Dorcas, wsłuchując się w padający deszcz, byłem młody, pragnąłem więc jedynie wspaniałych rzeczy. Chyba dlatego właśnie tak bardzo chciałem, żeby nasza konfraternia odzyskała, a następnie utrzymała swoją dawną pozycję. (Pragnąłem tego nawet wtedy, kiedy znalazłem się poza nią). Działo się tak być może z tego samego powodu, dla którego wielka miłość do wszelkich żywych istot, którą odczuwałem, będąc dzieckiem, przygasła z czasem do tego stopnia, że pozostało z niej zaledwie wspomnienie o tym, jak kiedyś u podnóża Niedźwiedziej Wieży znalazłem wykrwawionego niemal na śmierć Triskele. Samo życie oprócz tego nie jest niczym wspaniałym, a często stanowi wręcz zaprzeczenie jakiegokolwiek czystości. Jestem teraz, jeśli nawet niewiele starszy, to na pewno mądrzejszy, i wiem, że lepiej mieć i te wspaniałe, i złe rzeczy niż tylko te wspaniałe.

Jeżeli więc chiliarcha nie zadecyduje inaczej, jutro odbiorę Agilusowi życie. Nikt nie wie, co to naprawdę znaczy. Ciało jest jedynie kolonią komórek. (Zawsze, kiedy mistrz Palaemon powtarzał te słowa, przychodziły mi na myśl nasze lochy, których poszczególne cele niczym komórki składały się w sumie na olbrzymi, skomplikowany organizm). Rozdzielone na dwie części ginie, ale nie ma najmniejszego powodu, żeby rozpaczać nad zniszczeniem kolonii komórek. Taka kolonia ulega przecież zagładzie za każdym razem, kiedy kolejny bochenek chleba wędruje do pieca. Jeżeli człowiek jest tylko taką właśnie kolonią, to jest niczym – jednak instynktownie wyczuwamy, że jest czymś więcej. Co w takim razie dzieje się z tą jego częścią, która oznacza owo „więcej”?

Być może ta część również umiera, tyle tylko, że znacznie wolniej. Istnieje przecież wiele nawiedzonych domów, ale słyszałem, że tam, gdzie mieszkający w nich duch należy do człowieka, a nie do jakiegoś naturalnego żywiołu, z biegiem czasu pojawia się coraz rzadziej, aż wreszcie zupełnie niknie. Historycy twierdzą, że w odległej przeszłości ludzie nie znali żadnego innego świata oprócz Urth, nie obawiali się zamieszkujących ją wówczas zwierząt i bez przeszkód podróżowali z tego kontynentu na północ. Nikomu jednak nigdy nie udało się spotkać ich duchów.

Może być również tak, że ta część ginie od razu albo wędruje po konstelacjach. Nie ulega żadnej wątpliwości, że nasza Urth jest zaledwie maleńką wioską zagubioną w bezmiarze wszechświata. Jeżeli człowiekowi mieszkającemu w wiosce sąsiedzi spalą jego dom, opuszcza ją, o ile oczywiście nie zginął w płomieniach. Musi jednak wtedy zapytać, skąd i w jaki sposób przyszedł.

Mistrz Gurloes, który osobiście wykonał wiele egzekucji, mawiał, że tylko głupiec może obawiać się uchybienia w jakiś sposób rytuałowi, takiego jak na przykład poślizgnięcie się w kałuży krwi czy próba podniesienia klienta, który nosił perukę, za włosy. Znacznie większe niebezpieczeństwo grozi w wypadku zdenerwowania, które powoduje drgnięcie ręki i nieczysty cios, zamieniający ceremonię będącą ukoronowaniem sprawiedliwego sądu w akt pospolitej zemsty. Przed ponownym zaśnięciem usiłowałem uodpornić się na każdą z tych możliwości.

rozdział 31

Cień kata

Do obowiązków kata należy na długo przed przyprowadzeniem klienta stanięcie na szafocie bez płaszcza, w masce i z obnażonym mieczem. Niektórzy twierdzą, że ma to symbolizować wiecznie czuwającą, wszechobecną sprawiedliwość, ale ja myślę, że naprawdę chodzi o to, żeby tłum miał na czym skoncentrować uwagę oraz żeby wiedział, że niebawem wydarzy się coś ważnego.

Tłum nie stanowi bynajmniej sumy tworzących go jednostek. Jest to raczej osobny gatunek zwierzęcia, niemający własnego języka czy świadomości, rodzący się w miejscach zgromadzeń, umierający w chwili ich zakończenia. Wzniesiony przed gmachem Sądów szafot był szczelnie otoczony pierścieniem żołnierzy. Ich dowódca mógłby ze swego pistoletu zabić co najmniej pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu ludzi, zanim wytrącono by mu broń z ręki, a jego samego powalono na bruk, gdzie w chwilę potem by zginął, mimo to zawsze jest lepiej, gdy tłum ma się czym zająć i gdy widzi jakiś niekwestionowany symbol władzy.

Ludzi, którzy przyszli na egzekucję, w żaden sposób nie można było nazwać biednymi. Okrutne Pole leży w pobliżu jednej z lepszych dzielnic, tak więc mogłem dostrzec wiele kolorowych jedwabnych szat i niemało twarzy, które tego ranka były umyte specjalnym aromatycznym mydłem (Dorcas i ja umyliśmy się przy studni na podwórzu). Tacy ludzie są znacznie mniej skorzy do przemocy od biedaków, ale i znacznie bardziej niebezpieczni, kiedy już wpadną we wściekłość, nie są bowiem przyzwyczajeni do stosowania wobec nich siły, a także, na przekór temu, co twierdzą niektórzy demagodzy, odznaczają się o wiele większą odwagą.

Stałem więc z dłońmi na rękojeści Terminus Est, ustawivszy przednio pieniek w ten sposób, żeby mój cień na niego padał. Nie

mogłem nigdzie dostrzec przewodniczącego sądu, chociaż później dowiedziałem się, że obserwował wszystko z okna. Szukałem w tłumie Agii, ale jej również nie widziałem. Dorcas stała na stopniach gmachu, gdzie na moje żądanie zarezerwowano dla niej miejsce.

Potężny mężczyzna, który wczoraj na mnie czatował, przepchał się blisko szafotu, ryzykując, że ostrze piki przeszyje jego gruby brzuch. Po prawej stronie miał kobietę o wygłodniałych oczach, a po lewej tę z siwymi włosami, której chusteczkę wsunąłem za cholewę buta. Nigdzie nie widziałem ani niskiego mężczyzny, który dał mi asimi, ani tego drugiego, który jąkał się i wygadywał dziwne rzeczy. Rozglądałem się za nimi po dachach, skąd mimo mizernego wzrostu mogliby mieć dobry widok, i chociaż ich nie znalazłem, to niewykluczone, że tam właśnie byli.

Pojawili się czterej sierżanci w paradnych hełmach, prowadząc między sobą Agilusa. Najpierw dostrzegłem poruszenie tłumu, rozstępującego się przed nimi jak woda przed łodzią Hildegryna, potem szkarłatne pióropusze, błysk broni, a wreszcie brązowe włosy i szeroką chłopięcą twarz Agilusa uniesioną ku górze, gdyż krępujące jego ramiona łańcuchy ścigały mu łopatki do tyłu. Przypomniałem sobie, jak elegancko prezentował się w zbroi Septentriona ze złotą chimerą na piersi. Wydawało mi się właściwsze, żeby zamiast tych zwyczajnych żołnierzy zakutych w mozolnie wypolerowaną stal towarzyszyli mu członkowie formacji, do której w pewnym sensie przez jakiś czas należał. Teraz pozbawiono go wszelkich dystynkcji, a ja czekałem na niego w tej samej fuliginowej masce, w której jeszcze nie tak dawno z nim walczyłem. Stare, głupie kobiety wierzą, że Prasedzia karze nas porażkami i nagradza zwycięstwami. Czułem, że otrzymałem znacznie większą nagrodę, niż sobie zasłużyłem.

W chwilę później wszedł na szafot i rozpoczęła się krótka ceremonia. Po jej zakończeniu żołnierze zmusili go, żeby uklęknął, a ja uniosłem miecz, przesłaniając na zawsze blask słońca.

Jeśli miecz jest odpowiednio ostry, a cios prawidłowo zadany, czuje się jedynie lekki opór, gdy żelazo przecina kręgosłup, by zaraz potem ugrzęznąć w twardym drewnie. Mogę przysiąc, że poczułem w świeżym porannym powietrzu zapach krwi Agilusa, jeszcze zanim jego głowa spadła z łoskotem do kosza. Tłum cofnął się, a potem napał na nadstawione piki. Usłyszałem wyraźnie, jak gruby mężczyzna wciągnął raptownie powietrze, jakby osiągnął szczyt uniesienia, pocąc się nad jakąś opłaconą dziewczką. Gdzieś daleko rozległ się przeraźliwy krzyk. Był

to głos Agii, równie łatwy do rozpoznania jak widziana w świetle błyskawicy twarz. Coś w jego tonie powiedziało mi, że nie widziała egzekucji, ale mimo to dokładnie wiedziała, kiedy jej brat umarł.

To wszystko, co trzeba zrobić po egzekucji, często nastęcza więcej trudności niż ona sama. Po pokazaniu tłumowi głowy można ją wrzucić na powrót do kosza, natomiast ciało (które nieraz obficie krwawi jeszcze długo po ustaniu akcji serca) należy zabrać w sposób godny, a jednocześnie nie sugerujący, że zmarłemu oddaje się jakiegokolwiek honory. Co więcej, rzecz nie polega na zabraniu go gdziekolwiek, tylko w takie miejsce, w którym nie byłoby narażone na zakłócanie spokoju. Zgodnie ze zwyczajem zwłoki arystokraty przewiesza się przez grzbiet jego wierzchowca i natychmiast oddaje rodzinie, ale szczątkom skazańców o gorszym pochodzeniu należy zapewnić ochronę przed zjadaczami zwłok, których trzeba odganiać tak długo, aż zupełnie znikną z oczu. Kat nie może wykonywać tego zadania, ponieważ ma już pod opieką głowę i swój miecz, nieczęsto zaś się zdarza, żeby ktokolwiek z zaangażowanych w ceremonię – czyli ktoś spośród żołnierzy lub urzędników sądowych – dobrowolnie zgłosił się do pełnienia tej funkcji. (W Cytadeli nie mieliśmy z tym żadnego problemu, ciałem zajmowało się dwóch czeladników).

Przewodniczący sądu – kawalerzysta nie tylko, można powiedzieć, z wykształcenia, ale i z urodzenia – znalazł rozwiązanie: kazał odciągnąć zwłoki za pomocą jucznego konia. Nie skonsultował jednak swojej decyzji ze zwierzęciem, które będąc bardziej robotnikiem niż wojownikiem, spłoszyło się, poczuwszy woń krwi, i usiłowało się wyrwać. Przeżyliśmy bardzo interesujące chwile, zanim wreszcie udało nam się umieścić nieszczęsnego Agilusa w ogrodzonej części placu, z której usunięto publiczność.

Byłem zajęty czyszczeniem butów, kiedy podszedł do mnie urzędnik. Sądziłem, że wręczy mi zapłatę, ale on dał znak, że przewodniczący chce uczynić to osobiście. Odparłem, że to dla mnie zupełnie niespodziewany zaszczyt.

– Widział całą ceremonię – powiedział urzędnik – i był bardzo zadowolony. Kazał mi powtórzyć, że ty i kobieta, z którą podróżujesz, możecie spędzić tutaj jeszcze jedną noc, jeśli macie takie życzenie.

– Wyruszymy o zmierzchu – odparłem. – Sądzę, że tak będzie bezpieczniej.

Zamyślił się na chwilę, potem skinął głową, wykazując więcej inteligencji, niż mogłem oczekiwać.

– Stracony zapewne miał rodzinę i przyjaciół... chociaż ty z pewnością wiesz o nim równie mało jak ja. Cóż, to niebezpieczeństwo, z którym już zapewne wiele razy miałeś do czynienia.

– Ostrzegli mnie bardziej doświadczeni członkowie mojej konfraterni.

Mieliśmy zamiar wyruszyć o zmierzchu, ale ostatecznie zaczekaliśmy, aż zapadnie zupełna ciemność, częściowo przez wzgląd na bezpieczeństwo, a częściowo dlatego, że rozsądnie było zjeść przed podróżą solidny posiłek.

Nie mogliśmy, rzecz jasna, wyruszyć prosto w kierunku Muru, a potem do Thraxu. Brama (o której usytuowaniu miałem bardzo niejasne pojęcie) byłaby i tak zamknięta, a między koszarami a Murem nie było żadnych zajazdów ani gospód. Nie pozostawało nam więc nic innego, jak zniknąć z tego miejsca i znaleźć jakieś inne, gdzie moglibyśmy spędzić noc i skąd nazajutrz z łatwością dotarlibyśmy do najbliższej bramy. Urzędnik udzielił nam dokładnych wskazówek i chociaż już na samym początku skręciliśmy nie tam, gdzie nam powiedział, to nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy i ruszyliśmy przed siebie w dobrych nastrojach. Wcześniej przewodniczący sądu chciał mi wręczyć moją zapłatę, zamiast rzucić ją na ziemię, jak nakazywał zwyczaj, i musiałem odwieść go od tego zamiaru przez wzgląd na jego własną reputację. Opowiedziałem Dorcas o tym incydencie, który rozbawił mnie niemal w równym stopniu, jak mi pochlebił.

– Przypuszczam więc, że dobrze ci zapłacił? – zapytała trzeźwo, kiedy skończyłem.

– Ponad dwa razy więcej, niż powinien zapłacić czeladnikowi. Dokładnie tyle, ile otrzymuje mistrz. Oprócz tego dostałem jeszcze kilka napiwków. Czy wiesz, że mimo wydatków, które miałem wtedy, kiedy Agia była ze mną, teraz mam więcej pieniędzy niż wówczas, kiedy opuszczałem naszą wieżę? Zaczynam myśleć, że wykonując podczas podróży swój zawód, uda mi się nas utrzymać.

Dorcas otuliła się szczelniej moim brązowym płaszczem.

– Miałam nadzieję, że już w ogóle nie będziesz musiał tego robić. A przynajmniej przez dłuższy czas. Przecież tak źle się po tym czułeś, za co zresztą wcale cię nie winię.

– To tylko nerwy. Bałem się, że coś może się nie udać.

– Było ci go żal. Widziałam to.

– Możliwe. Przecież był bratem Agii, dokładnie takim samym jak ona, poza płcią.

– Brakuje ci jej, prawda? Czy aż tak bardzo ją lubiłeś?

– Znałem ją zaledwie jeden dzień – znacznie krócej, niż teraz ciebie znam. Gdyby wszystko ułożyło się po jej myśli, już bym nie żył. Jeden z tych dwóch kwiatów zemsty z pewnością by mnie zabił.

– Ale ten liść tego nie zrobił.

Wciąż jeszcze pamiętam ton, jakim to powiedziała. Nawet teraz, kiedy zamknę oczy, ponownie słyszę jej głos i odczuwam szok, jakiego doznałem, uświadomiwszy sobie, że od chwili, kiedy usiadłem na ziemi i zobaczyłem Agilusa ciągle trzymającego w dłoni swój kwiat, unikałem tej myśli jak ognia. Liść mnie nie zabił, lecz ja natychmiast przestałem się nad tym zastanawiać, podobnie jak nieuleczalnie chory człowiek wynajduje tysiące sztuczek i wybiegów, a wszystko w tym celu, żeby nie spojrzeć śmierci prosto w oczy, albo raczej jak kobieta, która zostaje sama w dużym domu i za wszelką cenę stara się nie spojrzeć w lustro, żeby nie zobaczyć istoty, której ciche stąpanie słyszy co chwilę na schodach.

Żyłem, chociaż powinienem był umrzeć. Moje życie stanowiło dla mnie koszmarną zagadkę. Wsadziłem rękę pod płaszcz i dotknąłem skóry. Natrafiłem na bliznę i niewielki zaschnięty strup, ale nie czułem ani bólu, ani krwawienia.

– Te liście nie zabijają – powiedziałem. – To wszystko.

– Agia twierdziła inaczej.

– Ona bardzo często kłamie.

Wspinaliśmy się na łagodne, skąpane w bladozielonym świetle księżycy wzgórze. Przed nami wznosiła się, wydając się znacznie bliższa, niż była w istocie, atramentowa ściana Muru. Za nami światła Nessus łączyły się w udającą świt poświatę, która przygasała stopniowo w miarę zapadania coraz głębszej nocy. Przystanąłem na szczycie wzniesienia, żeby napawać się tym widokiem. Dorcas wzięła mnie pod ramię.

– Tak dużo domów – wyszeptała. – Ilu ludzi mieszka w mieście?

– Nikt tego nie wie.

– A my ich wszystkich zostawiamy. Jak daleko leży Thrax, Severianie?

– Daleko, już ci powiedziałem. Przy pierwszej katarakcie. Wiesz przecież, że nie musisz tam ze mną iść.

– Ale chcę. Gdybym jednak... Przypuśćmy, że chciałabym później wrócić. Czy próbowałbyś mnie zatrzymać?

– Samotna podróż wiązałaby się dla ciebie z wieloma niebezpieczeństwami, pewnie więc próbowałbym cię przekonać, żebyś

tego nie robiła – odparłem. – Jeśli jednak chodzi ci o to, czy bym cię związał lub uwięził, to nie, nie uczyniłbym tego.

– Powiedziałeś mi, że sporządziłeś kopię listu, który otrzymałeś w gospodzie, pamiętasz? Jednak nigdy mi jej nie pokazałeś. Chciałabym ją teraz zobaczyć.

– Powtórzyłem ci dokładnie treść tego listu, a to nawet trudno nazwać kopią. Agia go wyrzuciła, bo pewnie przypuszczała, że ktoś – może Hildegryn – próbuje mnie ostrzec. – Mówiąc to, otworzyłem sakwę, kiedy jednak sięgnąłem do środka, moje palce oprócz papieru napotkały jeszcze coś, co było zupełnie zimne i miało dziwny kształt.

– Co się stało? – zapytała Dorcas, widząc wyraz mojej twarzy.

Wyciągnąłem rękę. Trzymałem w dłoni coś, co przypominało wielkością orichalk, i było od niego tylko nieznacznie grubsze i większe. Zimne tworzywo (cokolwiek to było) odbijało gorącymi barwami chłodne promienie księżyca. Miałem wrażenie, że trzymam w dłoni płonącą latarnię, którą można dostrzec z każdego punktu miasta, pośpiesznie schowałem to więc na powrót do sakwy.

Dorcas ścisnęła moje ramię z taką siłą, jakby była bransoletką ze złota i kości słoniowej, która nagle kilkunastokrotnie urosła, przyjmując postać kobiety.

– Co to było? – wyszeptała.

Potrząsałem głową, starając się zebrać myśli.

– To nie należy do mnie. Nawet nie wiedziałem, że to mam. Jakiś klejnot, szlachetny kamień.

– Niemożliwe. Nie czułeś tego ciepła? Spójrz na swój miecz: tak wygląda szlachetny kamień. To musiało być coś innego. Tylko co?

Opuściłem wzrok na ciemny opal wieńczący rękonoż Terminus Est. Błyszczał w świetle księżyca, ale tak się miał do tajemniczego przedmiotu, który wyjąłem z sakwy, jak lustro do słońca.

– To Pazur Łagodziciela – powiedziałem. – Agia go tam schowała, zapewne wtedy, gdy zniszczyliśmy ołtarz, żeby nie znaleziono go przy niej. Odzyskałaby go, kiedy Agilus prawem zwycięzcy zagarnąłby moje rzeczy, a gdy ten plan zawiódł, próbowała mi go ukraść w jego celi.

Dorcas już na mnie nie patrzyła. Jej twarz była zwrócona w stronę miasta i unoszącej się nad nim poświaty miliona lamp.

– Severianie... – wyszeptała. – To niemożliwe...

Nad miastem wisiała niczym latająca góra z sennego widziadła potężna budowla o niezliczonych wieżach, przyporach i wysoko sklepionym dachu. Z jej okien wylewało się szkarłatne światło.

Próbowałem coś powiedzieć, zaprzeczyć cudowi, chociaż sam go widziałem, ale zanim zdołałem wykrztusić choćby słowo, budowla zniknęła niczym powietrzna bańka w fontannie, pozostawiając na niebie kaskadę iskier.

rozdział 32

Przedstawienie

Dopiero po zniknięciu tej wiszącej nad miastem wielkiej budowli zrozumiałem, że kocham Dorcas. Ruszyliśmy przed siebie, na szczycie drogi znaleźliśmy bowiem nową drogę – w ciemność. Ponieważ nasze myśli były w całości zajęte tym, co widzieliśmy, nasze dusze połączyły się bez żadnych przeszkód, przechodząc przez drzwi, które nigdy przedtem i nigdy potem nie miały już zostać otwarte.

Nie potrafię powiedzieć, którądy szliśmy. Przypominam sobie drogę wijącą się w dół zbocza, most u jego podnóża i następną drogę prowadzącą przez jakąś milę wzdłuż skleconego niedbale drewnianego płotu. Gdziekolwiek jednak szliśmy, wiem, że nie rozmawialiśmy o sobie, lecz o zjawisku, którego byliśmy świadkami, i o jego możliwym znaczeniu. Pamiętam także, że na początku podróży patrzyłem na Dorcas jak na przypadkową towarzyszkę, mimo że godną pożądania i współczucia, pod koniec zaś kochałem ją tak, jak nigdy jeszcze nie kochałem żadnej ludzkiej istoty. Wcale nie stało się tak dlatego, że przestałem kochać Theclę. Raczej kochając Dorcas, kochałem Theclę jeszcze bardziej niż do tej pory, Dorcas bowiem była kimś zupełnie innym, skoro więc kochałem Theclę, to Dorcas również ją kochała.

– Sądzisz, że ktoś jeszcze to widział? – zapytała.

Nie zastanawiałem się nad tym, lecz odparłem, że chociaż zjawisko trwało tylko przez krótką chwilę, to jednak działo się to nad największym z miast, i nawet jeśli miliony ludzi go nie zauważyły, to dziesiątki lub setki z całą pewnością musiały widzieć.

– A czy nie mogła to być wizja przeznaczona wyłącznie dla nas?

– Nigdy nie miałem żadnych wizji, Dorcas.

– A ja nie wiem, czy miałam, czy nie. Kiedy próbuję przypomnieć sobie, co się działo, zanim wyciągnęłam cię z wody, to pamiętam jedynie

fakt, że sama byłam w wodzie. Wszystko, co było wcześniej, przypomina roztrzaskane na błyszczące kawałki lustro. W jednym widzę naparstek leżący na skrawku materiału, w drugim słyszę dobiegające zza zamkniętych drzwi szczekanie małego psa, i to wszystko. Nic kojarzącego się z tym, co widzieliśmy.

Jej słowa przypomniały mi o kopii listu, której szukałem w sakwie, a to z kolei o brązowej książce, która również tam była. Zapytałem Dorcas, czy nie miałaby ochoty zobaczyć książki, która kiedyś należała do Thecli, kiedy znajdziemy jakieś miejsce, w którym będziemy mogli się zatrzymać.

– Owszem – powiedziała. – Gdy usiądziemy razem przy ogniu, jak przez chwilę w gospodarstwie.

– Relikwia znaleziona w sakwie, którą rzecz jasna będę musiał oddać, zanim opuścimy miasto, a także nasza rozmowa przypomniały mi coś, co kiedyś tam przeczytałem. Czy słyszałaś o kluczu do wszechświata?

Dorcas roześmiała się.

– Nie, Severianie. Ja, która zaledwie znam swoje imię, nic nie wiem o kluczu do wszechświata.

– Nie wyraziłem się tak, jak miałem zamiar. Chciałem zapytać, czy słyszałaś o tym, że istnieje sekretny klucz do wszechświata? Jedno, jedyne zdanie, fraza, a nawet pojedyncze słowo, które można usłyszeć z ust jakiegoś posągu, wyczytać na niebie lub które po drugiej stronie oceanu jakiś wiekowy nauczyciel przekazuje swoim uczniom?

– Znają je dzieci – powiedziała Dorcas. – Znają je, zanim jeszcze nauczą się mówić, lecz kiedy są dość duże, żeby je wypowiedzieć, już go nie pamiętają. Tak mi ktoś kiedyś powiedział.

– Właśnie o to mi chodzi. Ta brązowa książeczka stanowi zbiór prastarych mitów i znajduje się w niej także rozdział wyliczający wszystkie klucze do wszechświata – słowa wypowiedane przez ludzi twierdzących, że to właśnie jest Tajemnica, którzy dyskutowali z mędrkami z odległych światów, studiowali zaklęcia magów lub pościli w wydrążonych pniach świętych drzew. Czytaliśmy je z Theclą i dyskutowaliśmy o nich, a jedna z mądrości mówiła, że wszystko, co się wydarza, ma trzy znaczenia. Pierwsze jest znaczeniem praktycznym, które według książki „nawet oracz dostrzeże”. Gdy krowa żuje garść trawy, to jest to prawdziwa trawa i prawdziwa krowa – to znaczenie jest równie ważne i równie prawdziwe jak dwa pozostałe. Drugie znaczenie to odbicie otaczającego je świata. Kiedy przedmiot pozostaje w kontakcie ze wszystkimi pozostałymi, a tym samym mądry obserwator może

dowiedzieć się wszystkiego o wszystkich, widząc tylko jeden z nich. To znaczenie nazywane jest „znaczeniem wróżbitów”, korzystają z niego bowiem ci, którzy przepowiadają radosne spotkanie, obserwując ślad, jaki zostawia na piasku pełną wąż, lub potwierdzają wzajemność uczucia, pocierając o siebie częściami ubrania zainteresowanych osób.

– A trzecie znaczenie?

– To znaczenie nadrzeczywiste. Ponieważ wszystkie przedmioty i zjawiska mają swój początek w Prastwórce i wszystkie zostały wprowadzone przez niego w ruch, tym samym muszą wyrażać jego wolę, która należy już do rzeczy znajdujących się ponad naszą rzeczywistością.

– Chcesz powiedzieć, że to, co widzieliśmy, było jakimś znakiem.

Pokręciłem głową.

– Książka mówi, że wszystko jest znakiem. Znakiem jest ten płot, znakiem jest także opierające się o niego drzewo. Niektóre znaki mogą zdradzać trzecie znaczenie gorliwiej od pozostałych.

Przeszliśmy w milczeniu jakieś sto kroków.

– Wydaje mi się, że jeśli to, co mówi książka kasztelanki Thecli, jest prawdą – odezwała się Dorcas – to ludzie rozumieją wszystko na opak. Widzieliśmy wielką budowlę, która wzbijała się w niebo i rozwiała bez śladu, prawda?

– Ja zobaczyłem ją dopiero w chwili, kiedy wisiała nad miastem. Czy rzeczywiście uniosła się tam z ziemi?

Dorcas skinęła głową. Jej jasne włosy błyszcząły w świetle księżyca.

– To, co nazywasz trzecim znaczeniem, jest wręcz oczywiste. Trudniej jest znaleźć drugie, natomiast pierwsze, które powinno być najprostsze, pozostaje kompletną zagadką.

Miałem właśnie powiedzieć, że zgadzam się z nią – przynajmniej co do pierwszego znaczenia – kiedy z pewnego oddalenia dobiegł głuchy łoskot, jakby gromu.

– Co to? – zapytała przerażona Dorcas, chwytając moją dłoń w bardzo ciepłą i przyjemną w dotyku rękę.

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że to gdzieś niedaleko stąd.

Kiwnęła głową.

– Słyszę jakieś głosy.

– W takim razie masz słuch znacznie lepszy od mojego.

Łoskot rozległ się ponownie, tym razem dłuższy i głośniejszy, być może dlatego, że znaleźliśmy się odrobinę bliżej jego źródła. Wydało mi się, że między pniami rosnących przed nami młodych buków

dostrzegam blask ognia.

– Tam! – zawołała Dorcas, wskazując nieco na północ od kępy drzew.
– To nie może być gwiazda. Jest za nisko, świeci za jasno i zbyt szybko się porusza.

– W takim razie to lampa przymocowana do jakiegoś wozu albo niesiona w ręce.

Grzmot przetoczył się po raz trzeci i teraz już wiedziałem, że to łoskot bębna. Również i ja dosłyszałem bardzo jeszcze przytłumione głosy, a szczególnie jeden, głębszy od dźwięku bębna i niemal równie jak on donośny.

Okrążyliśmy zagajnik i ujrzelśmy około pięćdziesięciu osób zgromadzonych wokół niewielkiej platformy, na której między płonącymi pochodniami stał olbrzym. Trzymał pod pachą wielki kocioł tak łatwo i lekko, jakby to był przenośny bębenek. Po jego prawej stronie stał znacznie mniejszy, bogato odziany mężczyzna, a po lewej prawie naga kobieta o najbardziej zmysłowej urodzie, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Wszyscy już jesteście! – mówił głośno i bardzo szybko niski mężczyzna. – Wszyscy, co do jednego. Co chcecie zobaczyć? Miłość i piękno? – Wskazał na kobietę. – Siłę i odwagę? – Machnął trzymaną w dłoni laską w kierunku olbrzyma. – Oszustwo i tajemnicę? – Poklepał się po piersi. – Występek i rozpustę? – Ponownie wskazał na olbrzyma. – Spójrzcie, kto przyszedł! Nasz odwieczny wróg Śmierć, która zawsze się zjawia, prędzej czy później. – Mówiąc to, pokazał w moją stronę, a twarze wszystkich jego słuchaczy natychmiast się odwróciły.

Byli to doktor Talos i Baldanders. Obecność tych ludzi tutaj, kiedy już ich rozpoznałem, wydała mi się czymś oczywistym. Kobietę, o ile mogłem sobie przypomnieć, widziałem po raz pierwszy.

– Śmierć! – zawołał doktor Talos. – Śmierć przyszła. Już w ciebie wątpiłem, przyjacielu, ale powinienem był lepiej wiedzieć.

Spodziewałem się, że publiczność roześmieje się z tego ponurego żartu, lecz nikt tego nie uczynił. Kilka osób zamruczało coś pod nosem, a jakaś starowina splunęła w dłoń i skierowała dwa palce do ziemi.

– Kogóż ze sobą przyprowadziłeś? – Doktor Talos nachylił się, by przyjrzeć się Dorcas w świetle pochodni. – Niewinność. Tak, to chyba niewinność. Tak więc mamy już wszystkich! Za kilka chwil rozpocznie się przedstawienie. Tylko dla ludzi o mężnych sercach! Jeszcze nigdy nic takiego nie widzieliście. Zaraz się zacznie!

Piękna kobieta zniknęła, ale magnetyzm doktora był tak silny, że

nawet nie zauważyłem, kiedy odeszła.

Gdybym miał teraz opisać przedstawienie doktora Talosa tak, jak je widziałem, a więc jako jego uczestnik, zaowocowałoby to jedynie chaosem i nieporozumieniem. Kiedy opiszę je tak, jak je widziała publiczność (jak mam zamiar uczynić w bardziej odpowiednim miejscu), najprawdopodobniej nikt mi nie uwierzy. W dramacie o pięcioosobowej obsadzie, przy czym dwoje zupełnie nie znało swoich ról, maszerowały armie, grały orkiestry, padał śnieg i Urth trzęsła się w posadach. Doktor Talos postawił duże wymagania wyobraźni swojej publiczności, pomagając jej jednak narracją, prostymi, ale pomysłowymi urządzeniami, teatrem cieni, holograficznymi projekcjami, efektami dźwiękowymi, odblaskowymi zasłonami oraz całą masą innych sztuczek, i sądząc z dochodzących co chwila z ciemności łkań, okrzyków i westchnień, udało mu się osiągnąć całkowity sukces.

A jednak pomimo tego poniósł porażkę. Pragnął się porozumieć, pokazać wspaniałą opowieść, która żyła dotąd jedynie w jego umyśle i nie dawała się zredukować do zwykłych słów, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek z oglądających przedstawienie – a tym bardziej my, którzy braliśmy w nim udział, wygłaszając na jego znak nasze kwestie – wiedział, o czym właściwie ta opowieść była. Doktor Talos twierdził, że można ją wyrazić biciem dzwonów, hukiem eksplozji i rytualnymi obrzędami, ale jak się ostatecznie okazało, nawet to było niewystarczające. W przedstawieniu była scena, w której doktor Talos i Baldanders walczyli ze sobą tak zacięcie, że krew płynęła strumieniami z ich twarzy; w innej Baldanders szukał przerażonej Jolenty (tak bowiem nazywała się ta najpiękniejsza kobieta na świecie) w jednej z komnat podziemnego pałacu, by wreszcie usiąść na skrzyni, w której ona się schowała. W końcowej części ja zajmowałem centralne miejsce na scenie zamienionej w pokój przesłuchań, a doktor Talos, Baldanders i Jolenta byli unieruchomieni w najróżniejszych machinach. Zadawałem im kolejno najwymyślniejsze i kompletnie nieskuteczne (gdyby były prawdziwe) męczarnie. Zabierając się do wyłamywania Dorcas nóg, zwróciłem uwagę na dziwny szmer, jaki podniósł się na widowni. W przeciwieństwie do mnie widzowie zauważyli, że Baldanders zaczął wyswobadzać się z kajdan. Kilka kobiet krzyknęło, kiedy jego łańcuch upadł z łoskotem na scenę. Zerknąłem na doktora Talosa, oczekując dalszych wskazówek, ale on akurat skoczył w kierunku publiczności, wyzwoliwszy się z pęt w znacznie łatwiejszy sposób.

– *Tableau!* – zawołał. – Wszyscy *tableau!* – Zamarłem w bezruchu,

domyśliwszy się, że o to mu właśnie chodzi. – Szlachetni widzowie, oglądaliście nasze przedstawienie z godną podziwu uwagą. Teraz prosimy, abyście zechcieli użyzyć nam odrobiny zawartości waszych portfeli. Niebawem zobaczycie, co nastąpi, gdy potwór oswobodzi się z kajdan.

Wyciągnął przed siebie swój wysoki kapelusz i usłyszałem brzęk kilku wpadających do niego monet. Niezadowolony zeskoczył ze sceny i zaczął krążyć między ludźmi.

– Pamiętajcie, że znalazłszy się na wolności, nie napotka już niczego, co by stało między nim a spełnieniem jego brutalnych żądań. Nie zapominajcie, że ja, jego ciemniejszy, jestem skazany na jego łaskę i niełaskę. Pamiętajcie, że nie wiecie jeszcze (dziękuję, sieur), kim jest tajemnicza postać, którą Contessa widziała przez zasłonięte okno. Dziękuję. Stojący nad lochami szlochający posąg ciągle jeszcze kopie pod drzewem jarzębiny. Dziękuję, dziękuję. Obdarowaliście nas hojnie waszym czasem, nie bądźcie więc skąpi, jeśli chodzi o wasze pieniądze. Kilkoro z was dobrze nas potraktowało, ale przecież nie będziemy grać dla kilku osób. Gdzie są te lśniące osimi, które już dawno powinny wypchać mój ubogi kapelusz? Nieliczni nie mogą płacić za większość! Jeśli nie macie osimi, dawajcie orichalki; jeśli nie macie orichalków, z całą pewnością znajdziecie masę aes!

Kiedy wreszcie zebrała się wystarczająca suma, doktor Talos wskoczył z powrotem na scenę i zręcznie pozakładał na siebie kajdany, które przykuwały go do miejsca kaźni. Baldanders ryknął z całych sił i wyciągnął do mnie ręce, pokazując publiczności, że trzyma go jeszcze jeden, niewidoczny do tej pory łańcuch.

– Odwróć się do niego – podpowiedział mi doktor Talos *sotto voce*. – Broń się pochodnią.

Udałem, iż dopiero teraz dostrzegłem, że olbrzymowi udało się oswobodzić ramiona, i chwyciłem jedną z oświetlających scenę pochodni. W tej samej chwili ich spokojne żółte płomienie zmieniły barwę na błękitnozieloną i zaczęły strzelać w górę długimi językami, sycząc przeraźliwie i rozrzucając snopy iskier, by niebawem opaść, jakby miały zupełnie zgasnąć. Wymierzyłem swoją pochodnię w Baldandersa, krzycząc (jak znowu podpowiedział mi doktor Talos), żeby się cofnął. Olbrzym odpowiedział rykiem jeszcze donośniejszym niż do tej pory. Napiął łańcuch z taką siłą, że cała ściana, do której był przykuty, zaczęła się chwiać, z ust zaś pociekła mu najprawdziwsza gęsta piana, która kapłała niczym śnieg na jego czarne ubranie. Ktoś

z publiczności krzyknął i dokładnie w tym momencie łańcuch pękł z trzaskiem przypominającym uderzenie bicia. Twarz olbrzyma wyrażała szaleństwo. Próbując mu się przeciwstawić, miałbym dokładnie tyle samo szans, co wtedy, gdybym chciał powstrzymać lawinę. Zanim jednak zdążyłem zrobić choćby krok, żeby usunąć mu się z drogi, wyrwał mi pochodnię z dłoni i powalił mnie na ziemię jej okutą żelazem rękojeścią.

Uniosłem głowę w samą porę, żeby zobaczyć, jak chwyta za drugą i rzuca się w kierunku publiczności. Wrzask mężczyzn zagłuszył przeraźliwe piski kobiet. Brzmiało to tak, jakby nasza konfraternia zajmowała się jednocześnie co najmniej setką klientów. Wstałem na nogi i miałem zamiar chwycić Dorcas i uciekać z nią pod osłoną zagajnika, kiedy moje spojrzenie padło na doktora Talosa. Jego twarz promieniała złowieszczym humorem i chociaż właśnie wyswobadzał się z kajdan, to wcale się nie śpieszył. Jolenta robiła to samo, tyle że jeśli na jej doskonałej twarzy malowało się w ogóle jakiegokolwiek uczucie, to było to uczucie ulgi.

– Wspaniale! – wykrzyknął doktor Talos. – Znakomicie! Możesz już wrócić, Baldandersie. Nie zostawiaj nas w ciemności. Czy podobał ci się twój pierwszy występ na scenicznych deskach, Mistrzu Kacie? – zwrócił się do mnie. – Jak na nowicjusza, który nie miał nawet jednej próby, spisałeś się bardzo dzielnie.

Z trudem zdołałem skinąć głową.

– No, może z wyjątkiem tej ostatniej sceny. Baldanders powinien był pamiętać, że nie wiesz, kiedy masz upaść. Musisz mu wybaczyć. Chodź ze mną. Baldanders ma wiele talentów, ale nie ma wśród nich umiejętności dostrzegania zagubionych w trawie małych przedmiotów. Za kulisami mam światło, więc ty i Niewinność będziecie mogli pomóc nam przy zbieraniu.

Początkowo nie rozumiałem, co ma na myśli, ale po chwili pochodnie były już na swoich miejscach, a my przeszukiwaliśmy zdeptaną trawę przed sceną.

– To prawdziwy hazard – ciągnął doktor Talos. – Przyznaję, że bardzo to lubię. Pieniądze w kapeluszu są czymś pewnym – pod koniec pierwszego aktu mogę przepowiedzieć co do orichalka, ile ich będzie. Ale te zguby! Mogą to być zaledwie dwa jabłka i rzepa albo więcej, niż ktokolwiek potrafiłby sobie wyobrazić. Kiedyś znaleźliśmy prosię. Znakomite, jak twierdził Baldanders, który je zjadł. Kiedy indziej znaleźliśmy dziecko. Wysadzaną złotem laskę, którą zatrzymałem.

Starożytną biżuterię. Buty. Bardzo często znajdujemy buty najróżniejszych rozmiarów. O, teraz mamy damską parasolkę. – Podniósł ją z ziemi. – Przyda się jutro naszej Jolencie, kiedy będziemy podróżować w promieniach słońca.

Jolenta wyprostowała się, tak jak to czynią ludzie, którzy nie mogą i nie lubią się schylać. Kremowe wypukłości powyżej jej talii były takich rozmiarów, że kręgosłup musiał być cały czas wygięty do tyłu, aby zrównoważyć ciężar.

– Jeżeli mamy jeszcze tej nocy znaleźć jakąś gospodę, moglibyśmy wyruszyć już teraz. Jestem bardzo zmęczona, doktorze – powiedziała.

Ja również byłem wyczerpany.

– Do gospody? Dzisiaj? Cóż za karygodna rozrzutność. Spójrz na to w ten sposób, moja droga: najbliższa oberża znajduje się co najmniej milę stąd, a złożenie sceny i spakowanie naszego dobytku zajmie mnie i Baldandersowi co najmniej całą wachtę, nawet jeśli skorzystamy z pomocy tego oto przyjaznego Anioła Męki. Zanim dotarlibyśmy do gospody, słońce wisiałoby już nad horyzontem, piałoby koguty i tysiące głupców wstawałoby z pościeli, waląc drzwiami i opróżniając pęcherze.

Baldanders mruknął potwierdzająco i uderzył butem, jakby napotkał w trawie jakąś obrzydliwą rzecz.

Doktor Talos rozłożył ramiona, żeby objąć nimi cały wszechświat.

– Tutaj, moja droga, pod gwiazdami, które stanowią osobistą, ukochaną własność Prastwórcy, mamy wszystko, czego można potrzebować dla najzdrowszego z możliwych odpoczynku. Powietrze jest wystarczająco chłodne, żeby docenić przyjemne ciepło dawane przez okrycie i ogień, i w najmniejszym nawet stopniu nie zanoszą się na deszcz. Tutaj rozbijemy obóz, tutaj rano spożyjemy śniadanie i stąd odświeżeni wyruszymy o radosnym poranku w dalszą drogę.

– Wspomniał pan o śniadaniu – odezwałem się. – Czy mamy coś do jedzenia? Dorcas i ja jesteśmy bardzo głodni.

– Oczywiście, że mamy. Widziałem, że Baldanders właśnie znalazł cały kosz ignamów.

Znaczną część naszej publiczności musieli stanowić wieśniacy wracający z targu z tym wszystkim, czego nie udało im się sprzedać. Oprócz ignamów znaleźliśmy jeszcze parę tłustych gołębi i kilka pędów młodej trzciny cukrowej. Jeżeli chodzi o pościel, to nie było jej zbyt wiele, ale doktor Talos w ogóle z niej zrezygnował, mówiąc, że na razie posiedzi przy ognisku, a potem być może utnie sobie krótką drzemkę na krześle, które jeszcze niedawno było tronem Autarchy i fotelem

Inkwizytora.

rozdział 33

Pięć nóg

Przez co najmniej wachtę leżałem z otwartymi oczami. Wkrótce zorientowałem się, że doktor Talos nie ma zamiaru spać tej nocy, ale miałem nadzieję, iż z jakiegoś powodu gdzieś sobie pójdzie. Jakiś czas siedział, pogrążony w myślach, a potem wstał i zaczął przechadzać się wokół ogniska. Jego twarz była nieruchoma, a jednocześnie nadzwyczaj wyrazista – niewielkie uniesienie brwi lub nachylenie głowy mogło ją zupełnie zmienić i kiedy tak chodził przede mną, widziałem, jak przez tę lisią maskę przebijają się rozpacz, radość, pożądanie, nuda, zdecydowanie, a także tuzin innych, niemających nawet nazwy uczuć.

Potem zaczął ścinać laską rosące w trawie kwiaty. Po pewnym czasie zniszczył wszystkie w promieniu tuzina kroków od ognia. Zaczekałem, aż jego wyprostowana, energiczna postać znikła mi z oczu, a świst laski przycichł tak, że był już prawie niesłyszalny, po czym powoli wyciągnąłem swój klejnot.

Miałem wrażenie, że trzymam w dłoni płonąca gwiazdę. Pragnąłem obejrzeć go wspólnie z Dorcas, ale ona już spała, a nie chciałem jej budzić. Stalowo-błękitna poświata była tak silna, że zacząłem się obawiać, żeby doktor Talos jej nie dostrzegł, chociaż znajdował się dość daleko ode mnie. Powodowany dziecięcą chęcią przyjrzenia się igrającemu we wnętrzu klejnotu płomieniowi przyłożyłem go do oka, lecz natychmiast odsunąłem – znajomy świat z trawą i śpiącymi wokół ognia postaciami zamienił się w wir tańczących iskier, przecięty ostrzem zakrzywionej szabli.

Nie jestem pewien, ile miałem lat, kiedy umarł mistrz Malrubius. Było to wiele lat przed tym, jak zostałem kapitanem uczniów, musiałem więc wtedy być bardzo małym chłopcem. Pamiętam jednak doskonale, jak mistrz Palaemon przejął po nim funkcję opiekuna uczniów. Mistrz

Malrubius pełnił tę rolę od chwili, kiedy zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że coś takiego w ogóle istnieje, i teraz przez wiele tygodni, a nawet miesięcy, wydawało mi się, że mistrz Palaemon (choć lubiłem go tak samo, o ile nawet nie bardziej) nie może być naszym mistrzem w tym samym sensie, w jakim był nim mistrz Malrubius. Wrażenie nieprawidłowości pogłębiała świadomość, że mistrz Malrubius nie był martwy ani nawet nigdzie nie wyjechał... Leżał po prostu w swoim pokoju, w tym samym łóżku, do którego kładł się co nocy wówczas, kiedy jeszcze nas uczył i wychowywał. Istnieje powiedzenie, że to, czego nie widzimy, równie dobrze mogłoby dla nas nie istnieć. Tym razem jednak było inaczej: chociaż niewidzialny, mistrz Malrubius był wśród nas obecny w sposób jeszcze bardziej oczywisty niż kiedykolwiek przedtem. Mistrz Palaemon nie stwierdził wyraźnie, że jego poprzednik już nigdy nie wróci, więc każdą podejmowaną przez nas decyzję rozważaliśmy z dwóch punktów widzenia: czy mistrz Palaemon na to pozwoli? Co by na to powiedział mistrz Malrubius?

(Ostatecznie nic nie powiedział. Żaden kat, choćby śmiertelnie chory, nie pójdzie do Wieży Wyleczenia; istnieje przekonanie – nie jestem w stanie powiedzieć, na ile prawdziwe – że notowane są tam wszystkie nasze czyny).

Gdybym spisywał tę historię dla rozrywki lub nawet dla pouczenia, nie robiłbym w tym momencie dygresji na temat mistrza Malrubiusa, który w chwili, kiedy oderwałem raptownie Pazur od oka, musiał już od wielu lat być tylko pyłem. Każda jednak opowieść, jak i wiele innych rzeczy, ma swoje wymagania. Niewiele wiem o stylu literackim, ale uczyłem się cały czas i teraz przekonuję się, że ta umiejętność znacznie mniej różni się od mej starej profesji, niż można by się tego spodziewać.

Dziesiątki, a czasem nawet setki ludzi przychodzi, żeby przypatrywać się egzekucji. Widziałem nieraz, jak urywały się przepełnione balkony, unicestwiając w jednej chwili więcej istnień, niż mnie udało się podczas całej mojej kariery. Ludzi tych można porównać do czytelników pisemnych relacji.

Jednak oprócz widzów są jeszcze inni, których należy zadowolić: władze, w których imieniu kat wykonuje swoją powinność, ci, którzy dali mu pieniądze, żeby skazany miał lekką (lub ciężką) śmierć, a wreszcie sam egzekutor.

Widzowie są zadowoleni, jeżeli nie ma żadnych dłużyzn, skazany mówi krótko i z sensem, w uniesionym ostrzu na chwilę przed ciosem błysną promienie słońca, dając im czas na wstrzymanie oddechu

i trącenie się łokciami, i jeżeli po odcięciu głowy z tętnic tryśnie fontanna krwi. Podobnie wy, którzy pewnego dnia traficie do biblioteki mistrza Ultana, będziecie oczekiwali ode mnie wartkiego toku narracji, postaci, które mówią krótko, ale dobrze, dramatycznych zwrotów akcji, które będą was ostrzegać, że za chwilę wydarzy się coś ważnego, podniecenia, a także odpowiedniej dawki krwi.

Władze, w których imieniu działa kat, nie będą miały żadnych zastrzeżeń, jeśli skazańcowi uniemożliwi się ucieczkę i podburzanie tłumu oraz jeśli po zakończonej ceremonii będzie on ostatecznie i nieodwołalnie martwy. Władza ta (jeśli wolno mi kontynuować moją przenośnię) jest w procesie pisania impulsem, który zmusza mnie do podjęcia tego zadania. Wymaga on, żeby główny temat pozostawał cały czas w centrum uwagi, a nie uciekał do przedmów, przypisów czy wręcz do innych dzieł, żeby nie został przytłoczony pustą retoryką i żeby został doprowadzony do zadowalającego rozwiązania.

Tych, którzy zapłacili katu, żeby uczynić śmierć skazańca mniej lub bardziej bolesną, można porównać do literackich tradycji i zaakceptowanych wzorców, przed którymi muszę się ugiąć. Pamiętam, jak pewnego zimowego dnia, kiedy po oknach naszej klasy spływały strugi zimnego deszczu, mistrz Malrubius – być może dlatego, iż widział, że nie jesteśmy w nastroju do poważnej pracy, a może dlatego, że on sam go nie miał – opowiedział nam o niejakim mistrzu Werenfridzie z naszego bractwa, który w dawnych czasach, będąc w naglącej potrzebie, przyjął wynagrodzenie zarówno od wrogów, jak i od przyjaciół skazanego. Ustawiwszy jednych po lewej, a drugich po prawej stronie szafotu, zdołał dzięki swej wielkiej sztuce przekonać i jednych, i drugich, że rezultat był dokładnie po ich myśli. Dokładnie w ten sam sposób różne literackie wzorce i tradycje ciągną pisarza w przeciwne strony. Tak, nawet wtedy, gdy jest on Autarchą. Jedna domaga się lekkości, druga bogactwa i głębi doznań podczas egzekucji... tematu. Będąc w sytuacji mistrza Werenfrida, lecz nie dysponując jego umiejętnościami, muszę starać się obydwie zaspokoić. Podjąłem tę próbę.

Pozostaje nam sam kat i ja nim jestem. Jemu nie wystarczy, gdy zadowoli wszystkie strony. Nie wystarczy mu nawet świadomość, że spełnił swoje zadanie bez zarzutu, zgodnie z naukami mistrzów i starożytną tradycją. Jeżeli w chwili, kiedy Czas uniesie za włosy jego własną głowę, chce odczuwać całkowitą satysfakcję, musi dodać do każdej egzekucji jakiś szczegół, choćby najdrobniejszy, który należy

wyłącznie do niego i nie pojawi się nigdzie indziej. Tylko wtedy może uważać się za w pełni wolnego artystę.

Kiedy dzieliłem łóżko z Baldandersem, miałem dziwny sen. Nie zawaham się powtórzyć go w mojej opowieści, jako że relacjonowanie snów mieści się jak najbardziej w literackiej tradycji. W chwili, którą teraz opisuję, kiedy Dorcas i ja spaliśmy u boku Baldandersa i Jolenty pod świecącymi gwiazdami, a obok siedział doktor Talos, doświadczyłem czegoś, co mogło być czymś większym lub mniejszym od snu, a co już się zupełnie w ramach tej tradycji nie mieści. Ostrzegam was, którzy będziecie to czytać, że nie ma to specjalnego związku z tym, co wkrótce nastąpi. Opisuję to tylko dlatego, że bardzo mnie wtedy zdziwiło, a opowiedzenie o tym sprawi mi niemałą satysfakcję. Może być jednak i tak, że od chwili, w której to coś weszło do mego umysłu, aż do dzisiaj wpływało w jakiś sposób na moje czyny stanowiące treść dalszej części opowieści.

Po schowaniu Pazura w bezpieczne miejsce położyłem się na starym kocu rozłożonym w pobliżu ogniska. Głowa Dorcas spoczywała niedaleko mojej, Jolenta leżała zwrócona stopami w moim kierunku, a Baldanders na wznak po drugiej stronie ogniska, sięgając butami o grubych podeszwach do wygasłych węgli. Krzesło doktora Talosa stało koło ręki olbrzyma, ale było odwrócone od ognia. Nie wiem, czy siedział na nim, zwrócony twarzą w ciemność. Chwilami wydawało mi się, że tam jest, a chwilami byłem pewien, że go nie ma. Niebo chyba przybierało już odrobinę jaśniejszy kolor niż podczas najgłębszej nocy.

Do moich uszu dotarły ciężkie, lecz zarazem delikatne kroki, nie zakłócając jednak mego odpoczynku. W chwilę potem usłyszałem oddech, właściwie wężenie zwierzęcia. Miałem otwarte oczy, lecz byłem jeszcze tak blisko granicy snu, że nie odwróciłem głowy. Zwierzę podeszło do mnie i obwąchało moje ubranie i twarz. Był to Triskele, który zaraz położył się koło mnie, przyciskając się grzbietem do mego ciała. Nie wydało mi się to ani trochę dziwne, że mnie odnalazł, chociaż ucieszyłem się, mogąc go ponownie zobaczyć.

Rozległy się kolejne stąpnięcia, tym razem bez wątpienia należące do człowieka. Od razu wiedziałem, że to mistrz Malrubius – pamiętam jego kroki jeszcze z czasów, kiedy robił obchód rozciągających się pod naszą wieżą lochów. Niebawem pojawił się w polu widzenia. Jego płaszcz był pokryty kurzem, jak zawsze, z wyjątkiem najbardziej uroczystych okazji. Otulił się nim w charakterystyczny dla siebie sposób i usiadł na jakiejś pace.

– Severianie, wymień siedem sposobów sprawowania rządów.

We śnie (jeżeli to rzeczywiście był sen) miałem kłopoty z mówieniem, ale udało mi się jakoś odezwać.

– Nie przypominam sobie, mistrzu, żebyśmy kiedykolwiek zajmowali się tym problemem.

– Zawsze byłeś najmniej uważnym z moich uczniów – rzekł.

Zapadła cisza. Miałem przecucie, że jeśli nie odpowiem, wydarzy się jakaś tragedia.

– Anarchia... – zacząłem niepewnie.

– To nie sposób rządzenia, lecz jego kompletny brak. Powtarzałem ci wielokrotnie, że anarchia poprzedza jakiegokolwiek rządy. Teraz wymień siedem ich rodzajów.

– Więź z osobą monarchy. Więź z rodem lub inną zasadą dziedziczenia. Więź z państwem. Więź z prawem sankcjonującym jego istnienie i funkcjonowanie. Więź z prawem w ogóle. Więź z większym lub mniejszym elektoratem jako czynnikiem określającym prawo. Więź z abstrakcyjnym tworem pełniącym jego funkcje, z ciałami dającymi mu początek i z wieloma innymi składnikami, w znacznej mierze również abstrakcyjnymi.

– No, może być. Który z tych rodzajów jest najstarszy, a który najdoskonalszy?

– Wymieniałem je w porządku chronologicznym, mistrzu. Nie przypominam sobie jednak, żebyś kiedykolwiek pytał, który z nich jest najlepszy.

Mistrz Malrubius, z oczami płonącymi jaśniej od dogasających węgla, nachylił się w moją stronę.

– Który, Severianie?

– Ostatni?

– Myślisz o więzi z abstrakcyjnym tworem pełniącym funkcje elektoratu, z ciałami dającymi mu początek i z wieloma innymi składnikami, w znacznej mierze również abstrakcyjnymi?

– Tak, mistrzu.

– Jakiego rodzaju, Severianie, jest twoja więź z Boską Istotą?

Milczałem. Możliwe, że myślałem, ale jeśli rzeczywiście tak było, to mój umysł zbyt głęboko pogrążył się we śnie, żeby zdawać sobie sprawę z tych myśli. W zamian zacząłem nagle w niezwykle wyrazisty sposób postrzegać moje otoczenie. Wydawało mi się, że wiszące nad moją twarzą przepyszne niebo zostało stworzone wyłącznie dla mnie, po to, bym mógł mu się teraz przyglądać. Leżałem na ziemi jak na kobiecie,

a otaczające mnie powietrze sprawiało wrażenie czegoś tak pięknego jak kryształ i równie płynnego jak woda.

– Odpowiedz mi, Severianie.

– Jeżeli w ogóle istnieje, to chyba pierwszego.

– Więż z osobą monarchy?

– Tak, ponieważ nie może być żadnej sukcesji.

– Zwierzę, które spoczywa przy twym boku, oddałoby za ciebie życie.

Jakiego rodzaju jest jego przywiązanie do ciebie?

– Również pierwszego?

Nikt nie odpowiedział. Usiadłem. Mistrz Malrubius i Triskele zniknęli, ale jeszcze przez chwilę wyraźnie czułem jego ciepło.

rozdział 34

Poranek

– Obudziłeś się – stwierdził doktor Talos. – Mam nadzieję, że dobrze spałeś?

– Miałem dziwny sen. – Wstałem z posłania i rozejrzałem się dookoła.

– Nie ma tu nikogo oprócz nas – powiedział doktor Talos takim tonem, jakby uspokajał dziecko, i wskazał na Baldandersa i pogrążone we śnie kobiety.

– Śniło mi się, że mój pies, który zginął wiele lat temu, wrócił i położył się u mego boku. Kiedy obudziłem się, jeszcze czułem ciepło jego ciała.

– Leżałeś przy ogniu. Nie było tutaj żadnego psa.

– I jeszcze człowiek ubrany podobnie jak ja.

Doktor Talos potrząsnął głową.

– Z pewnością bym go zauważył.

– Mógł pan się zdrzemnąć.

– Może wcześniej, ale na pewno nie przez ostatnie dwie wachty.

– Jeżeli chce pan spać, mogę popilnować bagaży – zaofiarowałem się, chociaż prawda była taka, że po prostu bałem się położyć.

– To miłe z twojej strony – powiedział po krótkim wahaniu doktor Talos i położył się na moim pokrytym pierwszą rosą kocu.

Usiadłem na jego krześle, odwróciwszy je uprzednio w stronę ognia. Przez jakiś czas byłem sam ze swoimi myślami, które najpierw dotyczyły mego snu, a potem Pazura, potężnej relikwii, którą zbieg okoliczności wcisnął mi w ręce. Ucieszyłem się, kiedy Jolenta poruszyła się, a potem wstała, przęcając swoje urokliwe ciało na tle zaróżowionego nieba.

– Czy jest tu gdzieś woda? – zapytała. – Chciałabym się umyć.

Powiedziałem jej, iż wydawało mi się, że Baldanders chodził po wodę gdzieś w kierunku zagajnika, a ona skinęła głową i wyruszyła na poszukiwanie strumienia. Dzięki niej udało mi się skierować myśli na

inny temat, zacząłem bowiem spoglądać to na jej oddalającą się postać, to na leżącą nieruchomo Dorcas. Jolenta była doskonale piękna. Żadna kobieta nie mogła się z nią równać. Spokojne dostojeństwo Thecli czyniło ją zbyt sztuczną i podobną do mężczyzny, a jasnowłosa wdzięk Dorcas przypominał mi kruchą, dziecinną Valerię, którą bardzo dawno temu spotkałem w Ogrodzie Czasu.

Mimo to Jolenta nie pociągała mnie nawet w połowie tak silnie jak jeszcze niedawno Agia, nie kochałem jej tak, jak kochałem Theclę, i nie czułem intymnej, uczuciowo-duchowej więzi, jaka narodziła się między mną a Dorcas. Jak każdy mężczyzna, który ją kiedykolwiek ujrzał, pożądałem jej, ale w sposób, w jaki pożąda się kobiety namalowanej na płótnie, podziwiając ją zaś, nie mogłem nie zauważyć (jak uczyniłem to już wczoraj, podczas przedstawienia), jak niezgrabnie chodzi, chociaż na pozór wydawała się uosobieniem wdzięku. Okrągłe uda tarły jedno o drugie, wspaniałe ciało ciążyło coraz bardziej, aż wreszcie cała ta obfitość kształtów stawała się dla niej takim samym brzemieniem jak dla innej kobiety ukryte w jej brzuchu dziecko. Kiedy wróciła znad strumienia z kroplami wody na rzęsach i twarzą tak czystą i doskonałą jak łuk tęczy, poczułem się tak, jakbym był zupełnie sam.

– Mamy jeszcze trochę owoców, jeśli chcesz. Doktor kazał mi wczoraj zostawić kilka, żebyśmy mieli coś na śniadanie. – Jej głos był matowy i jakby odrobinę zadyszany. Słuchało się go jak muzyki.

– Przepraszam, zamyśliłem się – powiedziałem. – Tak, chętnie skorzystam. To bardzo miło z twojej strony.

– Nie podam ci, sam musisz sobie wziąć. Są tam, za tą zbroją.

Zbroja, o której mówiła, była wykonana ze zwykłego materiału naciągniętego na drewniany szkielet i pomalowanego srebrną farbą. Tuż za nią znalazłem stary koszyk zawierający kilka kiści winogron, jabłko i granat.

– Ja też bym coś zjadła – powiedziała Jolenta. – Chyba trochę winogron.

Podąłem jej, po czym pomyślawszy, że Dorcas zapewne będzie miała ochotę na jabłko, położyłem je koło niej, a sam wziąłem dla siebie granat.

Jolenta przyglądała się swoim winogronom.

– Zostały wyhodowane pod szkłem przez ogrodnika jakiegoś arystokraty – jeszcze za wcześnie na naturalne. Wygląda na to, że to wędrowne życie nie będzie takie złe. W dodatku dostają jedną trzecią pieniędzy. – Zapytałem, czy nigdy wcześniej nie występowała

z doktorem i Baldandersem.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? Skądże znowu. – Włożyła jeden owoc do ust i jak mi się zdawało, połknęła go w całości. – Nie, nigdy przedtem tego nie robiłam. Miałam jedną próbę, ale po pojawieniu się tej dziewczyny i tak musieliśmy wszystko zmienić.

– Ja chyba narobiłem znacznie więcej zamieszania. Przebywałem na scenie dłużej od niej.

– Tak, ale ty miałeś tam być. Podczas próby doktor Talos odgrywał zarówno swoją, jak i twoją rolę, i mówił to, co ty miałeś powiedzieć.

– W takim razie musiał być pewny, że się jeszcze spotkamy.

W tym momencie doktor poderwał się jak dźgnięty sztyletem. Wydawał się w pełni przytomny.

– Oczywiście, oczywiście. Powiedzieliśmy ci przy śniadaniu, gdzie mamy zamiar się udać, a gdybyś nie zjawił się wczoraj, wystawilibyśmy inną sztukę i zaczekali jeszcze jeden dzień. Jolenta, nie będziesz teraz otrzymywać jednej trzeciej, tylko jedną czwartą dochodów. Wypada przecież, żebyśmy podzielili się z tamtą kobietą.

Jolenta wzruszyła ramionami i połknęła kolejne winogrono.

– Obudź ją, Severianie. Powinniśmy już wyruszać. Ja obudzę Baldandera, a potem rozdzielimy pieniądze i dokończymy pakowanie.

– Nie idę z wami – powiedziałem.

Doktor Talos spojrział na mnie z ukosa.

– Muszę wrócić do miasta. Mam pewną sprawę do Zgromadzenia Peleryn.

– Możesz zostać z nami, dopóki nie dojdziemy do głównego traktu. W ten sposób najszybciej uda ci się tam dotrzeć.

Ponieważ powstrzymał się od jakichkolwiek pytań, czułem, iż wie więcej, niż wynikałoby to z jego słów.

Jolenta ziewnęła szeroko, nie zwracając najmniejszej uwagi na naszą rozmowę.

– Jeżeli moje oczy mają wyglądać tak, jak powinny, muszę jeszcze przed wieczorem uciąć sobie drzemkę – mruknęła.

– Dobrze – odparłem. – Ale odejdę natychmiast, kiedy tylko dotrzemy do drogi.

Doktor Talos zabrał się do budzenia olbrzyma, potrząsając nim i uderzając laską po plecach.

– Jak sobie życzysz – powiedział. Nie bardzo wiedziałem, czy skierował te słowa do Jolenty, czy do mnie. Pogładziłem Dorcas po czole i szepnąłem, że musimy już wyruszać.

– Jaka szkoda, że mnie obudziłeś. Miałam taki piękny sen... Bardzo prawdziwy.

– Ja też. To znaczy kiedy jeszcze spałam.

– Wstałeś więc już jakiś czas temu? Czy to jabłko jest dla mnie?

– Obawiam się, że to całe twoje śniadanie.

– Więcej mi nie trzeba. Spójrz na nie, jakie jest okrągłe i czerwone. Jak to się mówi? „Czerwone niczym jabłko...”. Nie mogę sobie przypomnieć. Czy chcesz kawałek?

– Zjadłem już granat.

– Powinnaś była się domyśleć z plam dokoła twoich ust. Wyglądasz tak, jakbyś całą noc pił czyjaś krew. – Musiałem zrobić dziwną minę, bo dodała: – No, przypominałeś czarnego nietoperza, kiedy się tak nade mną pochyliłeś.

Baldanders wreszcie usiadł, trąc oczy niczym nieszczęśliwe dziecko.

– To straszne wstawać tak wcześnie, nie uważasz?! – zawołała do niego Dorcas. – Czy tobie również przerwano jakiś sen?

– Nie – odpowiedział Baldanders. – Ja nigdy nie mam snów.

(Doktor Talos spojrział na mnie i potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: „To bardzo, bardzo niezdrowo”).

– Mogę ci dać trochę swoich. Severian twierdzi, że również ma ich pod dostatkiem.

Baldanders, chociaż sprawiał wrażenie zupełnie przytomnego, spojrział na nią szeroko otwartymi oczami.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Ja... – zająknęła się Dorcas, przysuwając się do mnie ze strachem.

– To Dorcas – powiedziałem.

– Tak, Dorcas. Nie pamiętasz? Spotkaliśmy się wczoraj za kurtyną. Ty... Twój przyjaciel powiedział, żebym się ciebie nie bała i że będziesz tylko udawał, że robisz ludziom krzywdę, że to tylko przedstawienie. Powiedziałam, że rozumiem, bo Severian też robi różne okropne rzeczy, chociaż jest taki dobry. – Spojrzała na mnie. – Pamiętasz, Severianie, prawda?

– Oczywiście. Nie powinnaś obawiać się Baldandersa tylko dlatego, że o tym zapomniał. Rzeczywiście, jest bardzo duży, ale z tym jest trochę tak jak z moimi fuliginowymi szatami: wygląda na znacznie groźniejszego, niż jest w istocie.

– Masz wspaniałą pamięć – powiedział Baldanders głosem, który przypominał odgłos toczących się gładów. – Chciałbym cokolwiek tak dobrze zapamiętać.

Podczas naszej rozmowy doktor Talos wyjął szkatułkę z pieniędzmi. Zagrzechotał nią teraz, by zwrócić naszą uwagę.

– Chodźcie, przyjaciele. Obiecałem wam, że podzielimy sprawiedliwie dochód, jaki przyniosło nam nasze przedstawienie, a kiedy już tego dokonamy, przyjdzie pora ruszać. Odwróć się, Baldandersie, i wyciągnij przed siebie rękę. Sieur Severianie, szanowne panie, czy zechcecie również się tutaj zbliżyć?

Zwróciłem oczywiście uwagę, że gdy doktor wspominał wcześniej o podziale pieniędzy, mówił o dzieleniu ich na cztery części; domyślałem się, że tym, który nic nie otrzyma, będzie Baldanders. Tymczasem doktor Talos sięgnął do szkatułki i wyjął srebrne asimi, które położył na dłoni olbrzyma, drugie dał mnie, trzecie Dorcas i wreszcie kilka orichalków Jolencie. Potem zaczął rozdawać po jednym orichalku.

– Z pewnością zauważyliście, że jak dotąd wszystkie pieniądze są prawdziwe – powiedział. – Muszę was jednak z przykrością zawiadomić, że trafiło się sporo monet budzących wątpliwości. Kiedy rozdzielimy autentyczne, każdy z was odbierze swoją część fałszywych.

– A czy ty wzięłeś już swój udział, doktorze? – zapytała Jolenta. – Chyba wszyscy powinniśmy być przy tym obecni.

Dłonie doktora, kursujące niemal bez przerwy między szkatułką a naszymi rękami, na chwilę przerwały wędrówkę.

– Ja nie mam swojego udziału – odpowiedział.

– To nieuczciwe – szepnęła Dorcas, zerknąwszy uprzednio na mnie, żeby sprawdzić moją reakcję.

– To nieuczciwe, doktorze – powiedziałem głośno. – Brał pan udział w przedstawieniu podobnie jak każdy z nas, zbierał pan pieniądze i zdaje się, że zorganizował pan to całe przedsięwzięcie. Powinien pan otrzymać podwójny udział.

– Nic nie chcę. – Doktor Talos pokręcił głową. Po raz pierwszy widziałem go zakłopotanego. – Kierowanie grupą, którą chyba mogę już nazwać zespołem teatralnym, sprawia mi wielką przyjemność. Napisałem tę sztukę, którą wystawialiśmy, i tak jak... – rozejrzał się dokoła, jakby w poszukiwaniu odpowiedniego porównania – ...ta zbroja mam do odegrania w niej pewną rolę. Daje mi to satysfakcję, a to jedyna nagroda, jakiej pragnę. Jak widzicie, przyjaciele, pozostały nam już same orichalki, a jest ich zbyt mało, by starczyło dla wszystkich. Dokładniej rzecz biorąc, zostały już tylko dwa. Ktokolwiek chce, może je otrzymać, zrzekając się prawa do wątpliwego aes i pozostałych, prawdopodobnie fałszywych monet. Severianie? Jolento?

– Ja je wezmę – oświadczyła ku memu zdziwieniu Dorcas.

– Znakomicie. Reszty nie będę rozdzielał. Bierzcie to, co komu odpowiada. Ostrzegam jednak: bądźcie bardzo ostrożni z wydawaniem tych pieniędzy. Grożą za to surowe kary, chociaż za Murem... A to co?

Spojrzałem w tym samym kierunku co on i ujrzałem zbliżającego się do nas człowieka, odzianego w postrzępione szare szaty.

rozdział 35

Hethor

Nie wiem, dlaczego witanie kogoś w pozycji siedzącej uważane jest za zniewagę, ale tak właśnie powszechnie się uważa. Kiedy szara postać podeszła bliżej, obie kobiety wstały z miejsc; ja i Baldanders uczyniliśmy to samo, tak że kiedy obcy znalazł się w zasięgu głosu, jedyną siedzącą osobą pozostał doktor Talos, który zajmował nasze jedyne krzesło.

Trudno sobie wyobrazić mniej imponującą posturę. Mężczyzna był niewielkiego wzrostu, a w o wiele na niego za dużym ubraniu wydawał się jeszcze mniejszy. Słabo zarysowana broda pokryta była kilkudniową szczeciną, a kiedy zdjął poplamioną czapkę, odsłonił głowę, z której boków zniknęły wszystkie włosy, a pozostała jedynie cienka falista linia przypominająca grzebień starego, brudnego koguta. Byłem pewien, że już go kiedyś widziałem, ale minęła dłuższa chwila, zanim uświadomiłem sobie, gdzie i kiedy to było.

– O bogowie – przemówił. – Bogowie i boginie stworzenia, damy o jedwabistych włosach i ty, panie, dowodzący cesarstwami i armiami wrogów naszej F-f-fotosfery! Wieża z kamienia jest mocna, mocna jak d-d-dąb, który po pożarze wypuszcza nowe liście. Ty też, mój panie, czarny panie, rycerzu śmierci, władco n-n-nocy! Długo żeglowałem na statkach o srebrnych żaglach i stu masztach, które sięgały g-g-gwiazd, unosząc się zaraz za królewską reją, ale n-n-nigdy nie widziałem kogoś takiego jak ty. Nazywam się Hethor i przybyłem, żeby ci służyć, żeby zdrapywać błoto z twego p-p-płaszczka, czyścić twój wielki miecz, n-n-nosić kosz, z którego będą na mnie patrzeć oczy twoich ofiar, mistrzu, oczy przypominające martwe księżycy Verthandi w chwilę potem, jak zgasło ich słońce. Kiedy zgasło słońce! Gdzież są ci strojni aktorzy? Jak długo jeszcze będą płonąć p-p-pochodnie? Sięgają ku nim stygnące dłonie, ale płomienie pochodni są zimniejsze niż lód, zimniejsze niż księżycy

Verthandi, zimniejsze niż martwe oczy! Gdzież jest więc siła, która każe pnieć się wodom jeziora? Gdzie jest imperium, gdzie Armie Słońca o długich lancach i złocistych p-p-proporcach? Gdzie kobiety o jedwabistych włosach, które kochaliśmy jeszcze ostatniej n-n-nocy?

– Zdaje się, że byłeś wśród naszej publiczności – powiedział doktor Talos. – Doskonale rozumiem twoje pragnienie, żeby jeszcze raz obejrzeć tę sztukę, ale nie będziemy mogli usatysfakcjonować cię wcześniej niż dopiero wieczorem, kiedy mamy nadzieję być już dość daleko stąd.

Hethor, którego spotkałem po wyjściu z celi Agilusa w towarzystwie grubego mężczyzny, kobiety o wygłodniałych oczach i innych, zdawał się go zupełnie nie słyszeć. Patrzył tylko na mnie, zerkając od czasu do czasu na Dorcas i Baldandera.

– Zranił cię, czyż nie tak? To okropne, okropne. Widziałem, że płynęła ci krew, czerwona jak płomień Ducha Świętego. Jakież to dla ciebie zaszczyt! Ty również mu służysz, a twoje zadanie jest szlachetniejsze od mojego.

Dorcas potrząsnęła głową i odwróciła twarz w inną stronę, a olbrzym przyglądał mu się w milczeniu.

– Z całą pewnością zdajesz sobie sprawę, że to, co widziałeś, było jedynie teatralną inscenizacją – powiedział doktor Talos.

(W tym samym momencie pomyślałem, że gdyby cała publiczność zdawała sobie z tego sprawę, szaleńcze wyczyny Baldandera postawiłyby nas w bardzo nieciekawej sytuacji).

– R-r-rozumiem więcej, niż wam się wydaje, ja, stary kapitan, stary porucznik, stary kucharz ze starej kuchni, gotujący rosół dla zdychających zwierząt! Mój p-p-pan jest prawdziwy, ale gdzie są jego armie? Prawdziwy, lecz gdzie jego imperia? Czyżby z prawdziwej rany miała pocieć fałszywa krew? Co stanie się z siłą, kiedy nie będzie już krwi, co stanie się z blaskiem jedwabistych włosów? Schwytam go w szklany puchar, ja, stary kapitan starego, steranego okrętu, o czarnej załodze i srebrnych żaglach, zza których wyłania się krawędź Mgławicy Węglowej!

Być może w tym miejscu powinienem powiedzieć, że nie zwracałem już uwagi na potok słów płynących z ust Hethora, chociaż moja niezniszczalna pamięć pozwala mi teraz odtworzyć je na papierze. Była to śpiewna recytacja, której towarzyszyły wytrzeszczone oczy i tryskające spomiędzy niekompletnych zębów fontanny śliny. Możliwe, że na swój powolny, opieszawy sposób Baldanders zaczął go wreszcie

rozumieć, ale Dorcas z całą pewnością była zbyt przestraszona, żeby cokolwiek z tego do niej dotarło. Odwróciła się, jak większość ludzi odwraca się od mlaskania i trzasku kości, towarzyszących pożeraniu zwłok przez padlinożercę. Jolenta zaś nigdy nie interesowała się niczym, co jej osobiście nie dotyczyło.

– Sam widzisz, że młodej damie nic się nie stało. – Doktor Talos wstał z krzesła i odstawił na bok szkatułkę. – Zawsze sprawia mi wielką przyjemność rozmowa z kimś, kto potrafił docenić walory naszego przedstawienia, ale obawiam się, że czekają na nas obowiązki. Musimy się spakować. Pozwolisz, że cię przeprosimy.

Teraz, kiedy jego jedynym rozmówcą stał się doktor Talos, Hethor założył z powrotem czapkę, nasuwając ją tak głęboko, że niemal zakrywała mu oczy.

– Ładujecie towar? Nikt nie nadaje się do tego lepiej niż ja, stary intendent, stary handlarz i steward, stary robotnik p-p-portowy. Kto inny potrafi upakować na powrót ziarna na kolby kukurydzy, zamknąć z powrotem pisklę w skorupce? Kto wie, jak dostojną ćmę o skrzydłach jak żagle zaprowadzić do rozerwanego kokonu, wiszącego nieruchomo niczym s-s-sarkofag? Ja to zrobię dla mego Mistrza i przez wzgląd na moją do niego miłość. I p-p-pójdę za nim wszędzie, gdziekolwiek on zechce.

Skinąłem głową, nie wiedząc, co mam odpowiedzieć. W tej samej chwili Baldanders, do którego z całej rozmowy dotarła chyba tylko wzmianka o pakowaniu, ściągnął ze sceny jedną z kotar i zaczął ją związać. Widząc to, Hethor rzucił się z nieoczekiwaną szybkością i zabrał się do demontażu krzesła, które służyło za fotel Inkwizytora. Doktor Talos spojrział na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Ty za niego odpowiadasz, tak jak ja za Baldandersa”.

– Jest ich bardzo wielu – rzekłem. – Znajdują przyjemność w zadawaniu bólu i starają się związać z nami, tak jak normalni ludzie szukają kontaktu z Dorcas lub Jolentą.

Doktor skinął głową.

– Właśnie się nad tym zastanawiałem. Co prawda można sobie wyobrazić idealnego sługę, który robi wszystko wyłącznie z miłości do swego pana, podobnie jak idealnego wieśniaka, który uprawia rolę z miłości do natury, lub idealną nierządnicę, rozkładającą uda tuzin razy w ciągu nocy wyłącznie z miłości do aktu kopulacji, ale nigdy się ich w rzeczywistości nie spotyka.

Po niecałej wachcie znaleźliśmy się na drodze. Nasz mały teatr

zmieścił się bardzo ładnie do zmontowanego z elementów wózka, a Baldanders, który stanowił jego siłę napędową, niósł jeszcze na grzbiecie kilka pozostawionych luzem rzeczy. Pochód otwierał doktor Talos, za nim szła Dorcas, potem Jolenta, ja i Baldanders, a na końcu w odległości jakichś stu kroków samotny Hethor.

– On przypomina mnie – powiedziała Dorcas, oglądając się do tyłu. – A doktor jest jak Agia, tylko nie taki zły. Pamiętasz, jak próbowała mnie odegnąć, aż wreszcie kazałeś jej przestać?

Pamiętałem. Zapytałem ją, dlaczego szła wówczas za nami z taką determinacją.

– Byliście jedynymi ludźmi, jakich znałam. Dużo bardziej bałam się samotności niż Agii.

– A więc bałaś się jej.

– Tak, i to bardzo. Ciągle jeszcze się boję, ale... Nie pamiętam, co się ze mną działo, lecz jestem pewna, że byłam zupełnie sama. I to bardzo długo. Nie chcę, żeby to się znowu stało. Pewnie tego nie zrozumiesz... i nie będzie ci się podobało... ale...

– Tak?

– Nawet gdybyś nienawidził mnie tak jak Agia, i tak bym za wami poszła.

– Nie sądzę, żeby Agia cię nienawidziła.

Dorcas spojrzała na mnie; jeszcze teraz widzę jej twarz tak wyraźnie, jakby odbijała się w czarnej powierzchni atramentu. Miała może nieco za ostre rysy i była zbyt blada, a także zbyt dziecinna, żeby nazwać ją naprawdę piękną, ale oczy stanowiły fragmenty nieskałanego błękitnego nieba z jakiegoś odległego świata, czekającego dopiero na nadejście człowieka, i mogłyby rywalizować nawet z oczami Jolenty.

– Nienawidziła mnie – powiedziała z uporem Dorcas. – Teraz nienawidzi mnie jeszcze bardziej. Pamiętasz, jak oszołomiony byłeś po walce? Nie obejrzałeś się, kiedy odchodziliśmy, ale ja to zrobiłam i widziałam jej twarz.

Jolenta poskarżyła się doktorowi, że bołą ją nogi.

– Poniosę cię – odezwał się Baldanders swoim głębokim dudniącym głosem.

– Co takiego? Na szczycie tej piramidy?

Nie odpowiedział.

– Kiedy mówię, że chcę na czymś jechać, to nie znaczy, że mam zamiar wyglądać jak wygnana z miasta wariatka.

Wyobraziłem sobie, jak olbrzym ze smutkiem spuszcza głowę.

Jolenta obawiała się, żeby nie wyglądać głupio, ale to, co teraz napiszę, na pewno tak zabrzmi, chociaż jest szczerą prawdą. Możesz zabawić się moim kosztem, czytelniku. Uderzyła mnie bowiem wtedy myśl, jak wiele szczęścia miałem od chwili opuszczenia Cytadeli. Wiedziałem, że Dorcas jest moim przyjacielem – więcej niż kochanką, prawdziwym towarzyszem, chociaż byliśmy razem zaledwie kilka dni. Ciężkie stąpnięcia idącego za mną olbrzyma przypominały mi, jak wielu jest ludzi, którzy wędrują po Urth zupełnie sami. Zrozumiałem wówczas (a przynajmniej tak mi się wydawało), dlaczego Baldanders zdecydował się służyć doktorowi i wykonywać każde zadanie, jakie rudowłosy człowiek uzna za stosowne mu zlecić.

Ktoś dotknął mego ramienia, przerywając mi rozważania. Był to Hethor, który zbliżył się bezgłośnie, opuszczając zajętą zaraz po wymarszu pozycję.

– Mistrzu...

Powiedziałem, żeby mnie tak nie nazywał, gdyż w mojej konfraterni jestem zaledwie czeladnikiem i nic nie wskazuje na to, żebym kiedykolwiek miał uzyskać mistrzowską godność.

Skinął pokornie głową. Miał uchylone usta, w których widać było połamane zęby.

– Dokąd idziemy, Mistrzu?

– Za bramę – odpowiedziałem, tłumacząc sobie, że uczyniłem to dlatego, żeby poszedł za doktorem, nie za mną. Prawda była jednak taka, że myślałem o oszłamiającym pięknie Pazura i o tym, jak wspaniale byłoby zanieść go do Thraxu, zamiast znowu wracać do centrum Nessus. Wskazałem w kierunku Muru, który wznosił się w pewnej odległości od nas w taki sam sposób, w jaki przed myszą wznoszą się mury zwyczajnej fortecy. Był czarny jak noc, a u jego szczytu wisiało kilka schwytych w pułapkę obłoków.

– Poniosę twój miecz, Mistrzu.

Propozycja wydawała się złożona w jak najlepszej wierze, ale przypomniałem sobie, że cały spisek, który uknuła Agia do spółki ze swoim bratem, wziął się z żądy zagarnięcia Terminus Est.

– Nie trzeba – powiedziałem najbardziej zdecydowanym tonem, na jaki mogłem się zdobyć. – Ani teraz, ani później.

– Żal mi cię, Mistrzu, kiedy widzę, jak dźwigasz go na ramieniu. Musi być bardzo ciężki.

Wyjaśniłem mu, zresztą zgodnie z prawdą, że miecz nie jest wcale tak ciężki, na jaki wygląda. W chwilę później minęliśmy wierzchołek

łagodnego wzgórza i o pół mili przed nami ujrzeliśmy szeroką drogę prowadzącą prosto do widocznego w Murze otworu. Była zatłoczona najróżniejszego rodzaju pojazdami, a także zwierzętami i ludźmi, którzy w porównaniu z Murem i strzegącą bramy wieżą wydawali się nie więksi od termitów i mrówek. Doktor Talos odwrócił się w naszą stronę i wskazał na Mur z taką dumą, jakby zbudował go własnymi rękami.

– Przypuszczam, że większość z was nigdy tego nie widziała. Severianie? Szanowne panie? Czy byliście tutaj kiedyś?

Nawet Jolenta potrząsnęła głową, ja zaś odpowiedziałem:

– Nie. Całe życie spędziłem tak blisko centrum miasta, że gdy spoglądałem ze szczytu naszej wieży, Mur wydawał się zaledwie cienką kreską na północnym horyzoncie. Przyznaję, że jestem oszołomiony.

– Starożytni znali sztukę budowania, nieprawdaż? Pomyślcie tylko: chociaż minęło już tyle tysiącleci, wciąż jeszcze wewnątrz Muru pozostaje dość miejsca, żeby miasto mogło się dalej rozwijać. Ale widzę, że Baldanders kręci głową. Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy, mój drogi pacjencie, że wszystkie te wzgórza i miłe łąki, po których od wczoraj wędrujemy, znikną pewnego dnia pod domami i ulicami?

– One nie po to tu są – powiedział Baldanders.

– Jasne, jasne. Przecież byłeś wtedy tutaj i wszystko wiesz na ten temat. – Doktor mrugnął do nas. – Baldanders jest starszy ode mnie i dlatego czasem uważa, że zjadł wszystkie rozumy.

Niebawem od szerokiej drogi dzieliło nas tylko około stu kroków.

– Jeżeli można wynająć jakiś powóz, musisz to zrobić – zwróciła się Jolenta do doktora Talosa. – Nie będę mogła wystąpić wieczorem, jeśli mam iść cały dzień.

Potrząsnął głową.

– Zapominasz, że nie mam pieniędzy. Jeżeli sama znajdziesz jakiś powóz, oczywiście możesz go wynająć. Gdybyś nie mogła dzisiaj zagrać, zastąpi cię twoja dublerka.

– Dublerka?

Doktor wskazał na Dorcas.

– Jestem pewien, że ma wielką ochotę wystąpić w głównej roli i że znakomicie dałaby sobie z nią radę. Jak sądzisz, dlaczego pozwoliłem jej przyłączyć się do nas i dopuściłem ją do udziału w zyskach? Mając w zespole dwie kobiety, nie będę zmuszony dokonywać tak wielu zmian w treści sztuki.

– Głupcze, przecież ona odejdzie z Severianem. On sam powiedział dzisiaj rano, że wraca do miasta, by szukać... tych, no... – Odwróciła się

do mnie podwójnie piękna, bo rozgniewana. – Jak je nazwałeś? Pelisy?

– Peleryny – powiedziałem. W tej samej chwili jakiś człowiek, jadący na wierzchowcu samym skrajem ludzkiej i zwierzęcej rzeki, ściągnął na moment lejce.

– Jeżeli szukasz Peleryn – rzekł – twoja droga prowadzi w tym samym kierunku, co moja: za bramę, nie do miasta. Przejeżdżały tędy wczoraj wieczorem.

Przyśpieszyłem kroku, żeby złapać go za strzemień, i zapytałem, czy to na pewno prawda.

– Obudził mnie harmider, kiedy pozostali goście gospody, w której się zatrzymałem, pośpieszyli na drogę, żeby otrzymać ich błogosławieństwo. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem całą procesję. Słudzy nieśli odwrócone baldachimy, a kapłanki miały podarte habity. – Jego pociągła twarz wykrzywiła się w kwaśnym uśmiechu. – Nie wiem, co się stało, ale wierz mi, ich ucieczka robiła wrażenie zdecydowanej i ostatecznej, jak powiedział pewien niedźwiedź o wycieczkowiczach.

– Sądzę, że nasz Anioł Śmierci i twoja dublerka pozostaną z nami jeszcze przez jakiś czas – szepnął doktor Talos do Jolenty.

Jak się okazało, tylko częściowo miał rację.

Bez wątpienia ci z was, którzy wielokrotnie widzieli Mur, a być może nawet często przekraczali którąś z bram, stracą teraz cierpliwość – ja jednak, nim zacznę dalej ciągnąć historię mego życia, muszę mu poświęcić kilka słów.

Wspomniałem już o jego wysokości. Sądzę, że tylko kilka gatunków ptaków może nad nim przelecieć: orzeł, ogromny górski teratornis i może jeszcze dzikie gęsi, i to wszystko. Spodziewałem się, że będzie tak wielki, zanim jeszcze dotarliśmy do jego podnóża, nikt bowiem, kto oglądał go od kilku dni i widział przesuwające się poniżej jego krawędzi obłoki, nie mógł nie docenić jego wysokości. Jest wykonany z czarnego metalu, podobnie jak mury naszej Cytadeli, dzięki czemu wydawał mi się mniej groźny, niż powinien. Budynki, które widziałem w mieście, zbudowane były z cegły i kamienia, zatem ponowne spotkanie ze znanym mi od dzieciństwa materiałem nie mogło być nieprzyjemne.

Mimo to nie potrafiłem powstrzymać dreszczu, jaki mnie przeszedł w momencie, kiedy zbliżyliśmy się do bramy przypominającej wejście do kopalni. Zauważyłem, że wszyscy, z wyjątkiem doktora Talosa i Baldandersa, odnieśli podobne wrażenie. Dorcas mocniej niż do tej pory ścisnęła moją rękę, a Hethor zwiesił nisko głowę. Jolenta myślała, że doktor, z którym jeszcze przed chwilą się kłóciła, będzie ją chronił,

lecz kiedy on nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, idąc przed siebie i stukając laską dokładnie tak samo, jak to czynił na zewnątrz, odsunęła się od niego i ku memu zdziwieniu chwyciła się łąku siodła jeźdźca, który udzielił mi cennej informacji na temat Peleryn.

Ściany wznosiły się wysoko po obydwu stronach, poznaczone w dużych odstępach oknami o szybach wykonanych z materiału grubszego, lecz zarazem bardziej przejrzystego od szkła. Widzieliśmy przez nie poruszające się sylwetki mężczyzn i kobiet, a także istot z pewnością niebędących ludźmi. Przypuszczam, iż byli to Cacogenowie, dla których kwiaty zemsty były tym, czym dla nas pachnące margerytki. Dostrzegłem również bestie mające chyba aż za wiele wspólnego z ludźmi, przyglądały się nam bowiem zbyt mądrymi oczami, a ich poruszające się podczas mówienia usta odsłaniały zęby przypominające gwoździe i haki. Zapytałem doktora, co to za stworzenia.

– Żołnierze – odpowiedział. – Pandurowie Autarchy.

– Którego pot jest złotem dla jego poddanych – wyszeptała Jolenta, przyciskając pełną pierś do uda jeźdźca.

– Tu, wewnątrz Muru?

– Tak jak myszy. Mur jest niesamowicie gruby, a w środku znajduje się mnóstwo korytarzy i pomieszczeń wypełnionych wielką liczbą żołnierzy, gotowych bronić go niczym termity mieszkające w swoich budowlach na stepach północy. Już czwarty raz przechodzimy z Baldandersem przez bramę. Najpierw weszliśmy tędy, żeby po roku wyjść bramą znajdującą się po drugiej stronie Nessus, zwaną Bolesną. Niedawno wróciliśmy z naszym niewielkim dorobkiem z południa, wchodząc przez inną bramę, zwaną Bramą Chwały. Wszystkie wyglądają w środku tak samo i we wszystkich słudzy Autarchy nas obserwowali. Nie wątpię, że są wśród nich tacy, którzy szukają jakiegoś przestępcy. Jeśli go dostrzegą, bez trudu tutaj pojną.

– Wybacz mi, szlachetny panie, ale niechcący usłyszałem twoje słowa – odezwał się jeździec. (Na imię miał Jonas, jak się wkrótce potem dowiedziałem). – Jeśli sobie życzysz, mogę powiedzieć nieco więcej na ten temat.

Doktor Talos spojrzał na mnie błyszczącymi oczami.

– Byłoby nam bardzo przyjemnie, ale musimy uczynić jedno zastrzeżenie: będziemy mówić wyłącznie o Murze i jego mieszkańcach, co znaczy, że nie będziemy zadawać żadnych pytań dotyczących twojej osoby, a ty, rzecz jasna, odwzajemnisz się nam taką samą uprzejmością.

Obcy zsunął z czoła sfatygowany kapelusz i wtedy zobaczyłem, że

zamiast prawej dłoni miał protezę wykonaną z połączonych kawałków metalu.

– Zrozumiałeś mnie lepiej, niż mógłbym sobie życzyć, jak powiedział pewien człowiek, patrząc w lustro. Przyznaję, iż chciałem cię zapytać, dlaczego podróżujesz w towarzystwie kata oraz dlaczego ta dama, najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem, podąża za tobą na piechotę?

Jolenta puściła siodło.

– Nie jesteś ani zamożny, panie, ani nawet młody. Nie wypada ci tak o mnie wypytywać.

Mimo panującego we wnętrzu bramy półmroku dostrzegłem, jak mężczyzna się zaczerwienił. Jolenta mówiła prawdę: jego ubranie było znoszone i zakurzone, chociaż z pewnością nie tak brudne jak Hethora, twarz zaś była poorana zmarszczkami i ogorzała. Milczał przez jakieś dziesięć kroków, a potem zaczął mówić. Głos miał zwyczajny, ani piszczący, ani głęboki, ale czaiła się w nim zjadliwość.

– W dawnych czasach władcy świata nie obawiali się nikogo poza własnym ludem i żeby się przed nim bronić, wybudowali na szczycie wzgórza wznoszącego się na północ od miasta wielką fortecę. Miasto nie nazywało się wówczas Nessus, woda w rzece była bowiem jeszcze świeża i czysta. Wielu ludziom nie podobała się budowa fortecy, gdyż uważali, że mają prawo zabijać swych władców, kiedy tylko uznają to za stosowne. Inni podróżowali statkami wśród gwiazd i wracali, syci bogactw i wiedzy. Wśród nich była również kobieta, która powróciła jedynie z garścią czarnych nasion.

– Ach, więc jesteś profesjonalnym gawędziarzem – przerwał mu doktor Talos. – Powinieneś był nas o tym uprzedzić, my bowiem, jak z pewnością sam zauważyłeś, zajmujemy się bardzo podobną działalnością.

Jonas potrząsnął głową.

– Nie. To jedyna opowieść, jaką znam. – Spojrzał w dół na Jolentę. – Czy mogę kontynuować, o najpiękniejsza z kobiet?

Moją uwagę rozproszył widok dziennego światła, które pojawiło się w pewnej odległości przed nami, a także zamieszanie wśród pojazdów, których woźnice nagle próbowali zawrócić, torując sobie drogę uderzeniami batów.

– Pokazała nasiona władcom i powiedziała, że jeśli jej nie posłuchają, rzuci je do morza, przynosząc w ten sposób zagładę całemu światu. Schwytano ją i rozdarto na strzępy, ówcześni panowie rządząli bowiem

w sposób tysiącrotnie bardziej despotyczny niż nasz Autarcha.

– Oby ujrzał na własne oczy blask Nowego Słońca – wymamrotała Jolenta.

– Czego oni się tak boją? – zapytała Dorcas, ściskając mnie mocniej za ramię. W chwilę potem krzyknęła przeraźliwie i chwyciła się za twarz, którą rozorała metalowa końcówka bicia. Rzuciłem się naprzód, chwyciłem woźnicę, który ją uderzył, i ściągnąłem go z kozła. Zapanował potworny zgiełk, słychać było dzikie wrzaski, jęki rannych i ryk przerażonych zwierząt. Jeżeli nawet obcy ciągnął dalej swą opowieść, ja już tego nie słyszałem.

Schwytany przeze mnie woźnica najprawdopodobniej zginął na miejscu. Chcąc popisać się przed Dorcas, miałem zamiar zabić go w sposób, który nazywamy „dwie morele”, on jednak wpadł prosto pod kopyta wierzchowców i koła ciężkich wozów. Wątpię, czy nawet zdążył krzyknąć.

Tutaj przerywam swoją opowieść, czytelniku, poprowadziwszy cię od bramy do bramy. Od zamkniętej, otulonej mgłą bramy naszej nekropolii do tej, oplecionej wstęgami dymów, która jest być może największa ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały. Przeszedłszy przez pierwszą bramę, stanąłem na drodze, która doprowadziła mnie do drugiej. Teraz znalazłem się na nowej drodze, wiodącej poza Niezniszczalne Miasto, wśród łąnów i łąk, w kierunku leżących na północy gór i dżungli.

Przerywam swoją opowieść, czytelniku. Nie winię cię, jeśli nie zechcesz iść ze mną dalej, niełatwa to bowiem droga.

KONIEC

pazur łagodziciela

*Lecz siła nadal płynie z twoich cierni,
z otchłani zaś muzyki dźwięki.
Twój cień dotykiem róży muska moje serce,
a noce są jak wina kielich.*

rozdział 1

Wioska Saltus

Piękna twarz Morwenny, okolona włosami równie czarnymi jak moja szata, unosiła się w powietrzu, oświetlona promieniem światła. Z przeciętej ciosem miecza szyi krew kapłała na kamienie, a usta poruszały się, nie wydając żadnego dźwięku. Dostrzegłem w nich (zupełnie jakbym był Prastwórcą spoglądającym na Świat Czasu przez szczelinę w Wieczności) ubogie domostwo, jej męża Stachysa miotającego się w agonii na łóżku oraz małego Chada, obmywającego w stawie rozpaloną gorączką twarz.

Eusebia, oskarżycielka Morwenny, zawyła jak wiedźma. Chciałem podejść do krat, aby nakazać jej, żeby się uciszyła, lecz natychmiast zgubiłem drogę w ciemności. Kiedy wreszcie dostrzegłem jakieś światło, okazało się, iż jest to zielona droga ciągnąca się hen daleko od Bramy Żalu. Z policzka Dorcas trysnęła krew, a ja mimo wrzasku gawiedzi wyraźnie słyszałem, jak rozbryzguje się na ziemi. Mur jest tak ogromną budowlą, że dzieli świat równie nieodwracalnie, jak wąziutka linia między okładkami oddziela od siebie dwie książki. Przed nami pojawił się las, który rósł chyba nieprzerwanie od zarania dziejów Urth; drzewa wysokie jak urwiste brzegi oceanu tonęły w soczystej zieleni. Prowadziła między nimi droga porośnięta świeżą trawą, na której leżały ciała kobiet i mężczyzn. Płonąca kariolka kaląła czyste powietrze gęstym dymem.

Pięciu jeźdźców siedziało na wierzchowcach, których kościste ciała były zakute w lazurowe pancerze. Mężczyźni mieli hełmy, błękitne peleryny oraz lance o ostrzach z niebieskich płomieni. Ich twarze były bardziej do siebie podobne niż twarze braci. Rzeka wędrowców rozbijała się o nich jak o skały – niektórzy skręcali w lewo, inni zaś w prawo. Tłum wyrwał mi Dorcas z objęć, obnażyłem więc Terminust Est, aby powalić tych, którzy nas rozdzielali, kiedy nagle zorientowałem

się, że chcę uderzyć mistrza Malrubiusa, stojącego spokojnie pośród największego zamieszania z moim psem Triskele u nogi. Ujrawszy go, natychmiast pojąłem, że to tylko sen, lecz jednocześnie zrozumiałem, iż wszystkie wcześniejsze wizje, w których go oglądałem, wcale nie były snami.

Odrzuciłem koc. W uszach rozbrzmiewały mi dźwięki dobiegające z Wieży Dzwonów. Już czas, aby wstać z łóżka, pobiec do kuchni, wciągając po drodze ubranie, zamieszać w garnku postawionym na ogniu przez Brata Kucharza i ukraść z rusztu kielbasę – wonną, przypieczoną, popękaną. Czas umyć się, podać śniadanie czeladnikom i przygotować się do egzaminu przed obliczem mistrza Palaemona.

Obudziłem się w uczniowskiej bursie, ale wszystko tu było nie takie, jak powinno: pusta ściana zamiast okrągłego okienka, duże prostokątne okno zamiast ściany... Zniknęły też szeregi twardych, wąskich pryczy, a sufit znajdował się zdecydowanie zbyt nisko.

Dopiero teraz naprawdę się obudziłem. Przez okno napływały do wnętrza wiejskie zapachy, które przypominałyby nieco aromat kwiatów i drzew, przynoszony podmuchami wiatru z nekropolii do Cytadeli, gdyby nie to, że wdarł się weń smród bijący ze stajni. W jakiejś niezbyt odległej kampanii ponownie zadźwięczały dzwony, wzywając tych nielicznych, którzy jeszcze zachowali wiarę w sercu, aby błagali o nadejście Nowego Słońca, mimo że było jeszcze bardzo wcześnie i stare słońce nie zdążyło się ściągnąć z twarzy Urth całunu nocy. Jeśli nie liczyć bicia dzwonów, wioska była pogrążona w całkowitej ciszy.

Już poprzedniej nocy Jonas zdążył się przekonać, że w dzbanie na wodę znajduje się wino. Wypłukałem nim usta i dzięki jego ściągającemu działaniu poczułem się lepiej, niż gdybym uczynił to wodą, niemniej jednak przydałoby mi się jej trochę, aby obmyć twarz i przygłodzić włosy. Kładąc się spać, podłożyłem sobie pod głowę zwinięty płaszcz z Pazurem w środku, teraz rozpostarłem go, po czym, przypomniawszy sobie, jak Agia próbowała wsunąć rękę do sakwy przy moim pasie, schowałem Pazur do buta.

Jonas jeszcze spał. Do tej pory wydawało mi się, że ludzie pogrążeni we śnie wyglądają na młodszych, niż w istocie są, ale Jonas sprawiał wrażenie znacznie starszego... a może raczej starożytnego? Twarze takie jak jego, o prostym nosie i wysokim czole, widywałem często na pochodzących sprzed wielu stuleci ilustracjach. Dogasiłem tłący się w kominku ogień i wyszedłem, starając się nie obudzić mego towarzysza.

Kiedy zakończyłem poranną toaletę na wewnętrznym dziedzińcu gospody, ulica, przy której stał budynek, rozbrzmiewała już donośnymi plaśnięciami, z jakim było stawiało nogi w kałużach pozostawionych przez nocny deszcz, oraz postukiwaniem zderzających się zakrzywionych jak szable rogów. Każde zwierzę było wyższe od człowieka, miało czarną lub łaciatą sierść, dziko wybałuszone oczy oraz gęstą grzywę opadającą z przodu niemal do połowy pyska. Ojciec Morwenny był poganiaczem. Możliwe, że to właśnie jego stado przechodziło obok gospody, choć wydawało mi się to mało prawdopodobne. Zaczekałem, aż minie mnie ostatnie zwierzę, po czym uważnie przyjrzałem się jadącym za nimi ludziom.

Było ich trzech. Pokryci od stop do głów pyłem, wyglądali całkiem zwyczajnie. Mieli długie ościenie zakończone żelaznymi grotami, a towarzyszyły im duże, czujne psy.

Wróciwszy do gospody, zamówiłem śniadanie. Wkrótce przyniesiono mi świeżo upieczony chleb, równie świeże masło, marynowane kacze jaja oraz gorącą czekoladę. (Wówczas nie wiedziałem, że obecność czekolady świadczy o tym, iż znalazłem się wśród ludzi pielęgnujących wiele zwyczajów z Dalekiej Północy). Podobny do bezwłosego skrzata gospodarz, który poprzedniego wieczora z pewnością widział mnie rozmawiającego z alkadem, uwijał się wokół stolika, wycierając co chwila nos w rękaw i dopytując się o jakość każdej potrawy. Choć wszystkie były naprawdę dobre, zapewniał mnie, że kolacja na pewno będzie lepsza, i przeklinał kucharza, czyli własną żonę. Zwracał się do mnie „sieur” – nie dlatego, że myślał, jak to czasem zdarzało się niektórym ludziom w Nessus, iż jestem przebrany szlachcicem, lecz dlatego, że kat, jako działająca sprawnie i nieomylnie ręka sprawiedliwości, cieszył się tutaj wielkim poważaniem. Jak większość chłopów nie był w stanie sięgnąć wyobraźnią wyżej niż tylko jeden szczebel nad swoją głowę.

– Czy łóżko jest wygodne? Nie brakuje kołder? Możemy przynieść więcej.

Miałem pełne usta, skinałem więc tylko głową.

– W takim razie przyniesiemy. Czy trzy wystarczą? Jest panom wygodnie razem?

Chciałem już powiedzieć, że wolałbym otrzymać osobny pokój (nie uważałem Jonasa za złodzieja, lecz obawiałem się, że Pazur może okazać się zbyt wielką pokusą nawet dla najuczciwszego człowieka, a poza tym nie byłem przyzwyczajony do sypiania z kimś w jednym łóżku), kiedy

przyszło mi do głowy, że mój współlokator może nie mieć dość pieniędzy, by zapłacić za jednoosobowy pokój.

– Będziesz tam, sieur, kiedy rozwałą ścianę? Każdy murarz mógłby to zrobić, ale słyszano, jak Barnoch porusza się w środku, pewnie więc nie opadł zupełnie z sił. Może udało mu się znaleźć jakąś broń, a nawet jeśli nie, to kto wie, czy nie spróbowałyby odgryźć murarzowi palców.

– To nie należy do moich obowiązków. Pójdę popatrzeć, jeśli czas mi na to pozwoli.

– Wszyscy tam będą. – Mężczyzna zatarł szybko ręce. – Alkad zarządził wielki festyn. Nasz alkad ma niezłą głowę do interesów. Weźmy na przykład zwykłego człowieka: gdyby zobaczył cię, panie, w mojej gospodzie, nic nie przysłoby mu do głowy. No, może najwyżej tyle, żeby wynająć cię do zgładzenia Morwenny. Ale nasz alkad jest zupełnie inny! Patrzy daleko w przód i potrafi wykorzystać wszystkie możliwości. Można by pomyśleć, że tylko mrugnął i cały ten festyn wyskoczył z jego głowy, razem z kolorowymi namiotami, wstążeczkami, mięsem z rusztu i watą na patyku. A dzisiaj? Dzisiaj otworzymy zamurowany dom i wyciągniemy z niego Barnocha jak borsuka z nory. To rozgrzeje ludzi i sprawi, że ściągną zewsząd do wioski. Potem popatrzymy, jak radzisz sobie z Morwenną i tamtym przyjemniaczkiem, a jutro zabierzesz się do Barnocha. Zwykle zaczynasz od przypiekania gorącym żelazem, prawda? Powiadam ci, panie, wszyscy będą chcieli to zobaczyć. Pojutrze załatwisz go, a my szybko zwiniemy namioty. Nie ma sensu trzymać ludzi w jednym miejscu zbyt długo po tym, jak wydadzą wszystkie pieniądze, bo zaczynają żebrać, bić się między sobą i tak dalej. Wszystko musi być dobrze zaplanowane i sprawnie przeprowadzone. Każdemu życzę takiego alkada jak nasz.

Po śniadaniu wyszedłem z gospody, aby się przyjrzeć, jak genialne pomysły alkada się materializują. Wieśniacy przybywali do wioski z koszami owoców, belami płótna domowego wyrobu oraz zwierzętami, które mieli nadzieję sprzedać. Dostrzegłem wśród nich kilku autochtonów niosących wyprawione skóry dzikich bestii oraz nanizane na sznurki małe czarne i zielone ptaszki. Żałowałem, że nie mam płaszcza, który kupiłem od brata Agii, gdyż mój fuligin przyciągał zdziwione spojrzenia. Zamierzałem już wrócić do gospody, kiedy do moich uszu dotarł odgłos licznych miarowych kroków. Pamiętałem ten dźwięk jeszcze z Cytadeli, gdzie często przypatrywałem się ćwiczeniom stacjonujących tam żołnierzy, ale teraz usłyszałem go po raz pierwszy od chwili, kiedy ją opuściłem.

Bydło, które obserwowałem o świcie, podążało w kierunku rzeki, gdzie miało być załadowane na barki, aby pozostała część podróży do rzeźni w Nessus odbyć drogą wodną. Żołnierze nadchodzili z przeciwnej strony, od rzeki – nie wiem, czy dlatego, że ich dowódcy uznali, iż marsz nieco ich zahartuje, czy może łodzie, które ich przywiozły, były pilnie potrzebne gdzie indziej, czy też dlatego, że miejsce ostatecznego przeznaczenia oddziału leżało z dala od Gyoll. Usłyszałem głośną komendę: „Do śpiewu!”, a chwilę potem oddział wkroczył w tłum. Rozległ się świst różg i krzyki nieszczęśników, którzy mieli pecha znaleźć się w ich zasięgu.

Każdy żołnierz był uzbrojony w procę o uchwycie długości dwóch łokci i niósł skórzaną kolorową sakwę z pociskami zapalającymi. Niewielu wyglądało na starszych ode mnie, większość zaś z pewnością była młodsza, lecz ich błyszczące złoceniami łuskowe zbroje, bogato zdobione pasy oraz ukryte w pochwach sztylety o długich ostrzach świadczyły o tym, że należeli do elitarniej formacji. Ich pieśń, w przeciwieństwie do większości wojskowych pieśni, nie opowiadała o bitwach ani o kobietach; była to prawdziwa pieśń procarzy i miała takie oto słowa:

*Gdy byłem mały, matka rzekła mi:
Otrzyj już łzy i do łóżka idź.
Ja wiem, że podróży mnóstwo w życiu czeka cię,
Bo pod spadającą gwiazdą urodziłeś się.*

*Po wielu latach ojciec szepnął mi,
Gładząc me włosy swoją ręką starczą:
Nie płacz nad blizną, co ciało twoje znaczy,
Boś się urodził pod gwiazdą spadającą.*

*Czarownik kiedyś na drodze stanął mej,
Popatrzył na mnie i słowa takie rzekł:
Przed tobą krew, zgliszcza, pożogi i przypadki złe,
O ty, co pod spadającą gwiazdą urodziłeś się.*

*Pasterz zaś słowa wypowiedział te:
My, owce, iść musimy tam, gdzie nasz pan chce,
Do Bramy Świtu, aniołów Ogrójca,*

Dokąd nas wiedzie gwiazda spadająca.

I tak dalej, zwrotka za zwrotką. Niektóre – przynajmniej dla mnie – były tajemnicze, inne zabawne, sporo też trafiało się takich, których autor miał na względzie jedynie rymy, jednostajne i powtarzające się w nieskończoność.

– Wspaniały widok, prawda? – Obok mnie pojawiła się łyśa głowa gospodarza. – To południowcy. Zauważ, panie, jak wielu ma żółte włosy i piegowatą skórę. Przywykli do chłodów i o tej porze roku powinni być w górach, ale ten śpiew sprawia, że człowiek sam chętnie by się do nich przyłączył. Jak sądzisz, ilu ich jest?

Właśnie pojawiły się zamykające pochód juczne muły, poganiane ukłuciami mieczy.

– Dwa, może dwa i pół tysiąca.

– Dziękuję, sieur. Lubię to wiedzieć. Nie uwierzysz, jak wielu już widziałem podążających tą drogą w tę samą stronę co oni i jak niewielu powracających. Cóż, taka właśnie jest wojna. Zawsze powtarzam sobie, że oni wciąż tam są – gdziekolwiek zaprowadziły ich rozkazy, jakie otrzymali od dowódców – ale obaj wiemy, panie, że wielu zostało na zawsze gdzieś po drodze. Mimo to słysząc ich śpiew, miałoby się ochotę pójść z nimi.

Zapytałem go, czy ma jakieś wieści o wojnie.

– O tak, sieur. Zbieram je już od lat, choć nie wydaje mi się, żeby toczona tam bitwa miała większe znaczenie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Przez cały czas wojna zdaje się trwać w tej samej odległości od nas. Jeszcze do niedawna przypuszczałem, że nasz Autarcha wyznaczy jakieś miejsce, gdzie odbędzie się wielka bitwa, a po jej zakończeniu wszystkie wojska wrócą do domu. Moja żona, choć taka głupia, w ogóle nie wierzy w żadną wojnę.

Tłum, niczym wzburzona fala, zamknął się za ostatnim murem i z każdą chwilą gęstniał. Zaaferowani przekupnie rozstawiali pośpiesznie kramy i stoiska, co powodowało, że na wąskiej ulicy ścisk stawał się coraz większy. Wszędzie pojawiały się wysokie jak drzewa tyki obwieszane kolorowymi maskami.

– W takim razie dokąd, zdaniem twojej żony, idą ci żołnierze? – zapytałem karczmarza.

– Szukać Vodalusa. Zupełnie jakby Autarcha, którego dłonie są obwieszane złotem i którego nieprzyjaciele całują po stopach, wysłał całą armię, żeby pojmać jednego bandytę.

Nie usłyszałem ani słowa prócz imienia Vodalus.

Oddałbym wszystko, co posiadam, aby stać się jednym z was, którzy co dnia skarżycie się na słabnącą pamięć. Moja nie słabnie. Wszystkie wspomnienia pozostają w niej na zawsze, równie świeże jak pierwsze wrażenie, kiedy więc je przywołam, poddaję się bez reszty ich urokowi.

Wydaje mi się, że odwróciłem się wtedy od karczmarza i wtopiłem w tłum, ale nie widziałem ani jego, ani tłoczących się wokół mnie wieśniaków i sprzedawców. Znowu poczułem pod stopami wydeptane ścieżki nekropolii i ujrzałem przez zasłonę z napływającej znad rzeki mgły smukłą sylwetkę Vodalusa, który podał pistolet swojej kochance, sam zaś wyciągnął miecz. Dopiero teraz (jakże przykro jest czasem stać się mężczyzną!) uderzył mnie bezsens tego gestu. On, który – jak głosiła plotka – po stokroć walczył za nasze stare obyczaje i za starożytną wspaniałą cywilizację, którą utraciliśmy, z własnej woli pozbył się doskonałej broni, stanowiącej spadek po tejże cywilizacji!

Jeżeli moje wspomnienia o przeszłości pozostają nietknięte, to dzieje się tak być może dlatego, że przeszłość istnieje wyłącznie we wspomnieniach. Vodalus, mimo że podobnie jak ja pragnął ją wskrzesić, był jednak istotą z teraźniejszości. Naszym niewybaczalnym grzechem jest to, że możemy być tylko tym, kim jesteśmy.

Bez wątpienia gdybym był jednym z was, których wspomnienia bledną, torując sobie tamtego ranka drogę przez tłum, wyparłbym się Vodalusa, a tym samym w pewien sposób umknąłbym temu szczególnemu rodzajowi śmierci, jaki trzyma mnie w objęciach nawet w chwili, kiedy piszę te słowa. A może wcale bym nie umknął? Na pewno nie. Tak czy inaczej, stare wspomnienia okazały się zbyt silne. Zostałem schwytyany w pułapkę uwielbienia dla czegoś, co kiedyś wielbiłem, tak jak mucha zatopiona w bursztynie pozostaje na zawsze w niewoli od dawna nieistniejącej sosny.

rozdział 2

Człowiek w ciemności

Dom zbrodniarza niczym nie różnił się od innych domów stojących w wiosce. Został zbudowany z grubo ciosanego kamienia, był parterowy i miał prawie płaski kamienny dach, sprawiający wrażenie dość solidnego. Drzwi oraz jedyne okno widoczne od ulicy zostały niestarannie zamurowane. Przed domem zgromadziło się już około stu podekscytowanych uczestników festynu; dyskutowali między sobą, od czasu do czasu wskazując na budynek, ale panowała w nim całkowita cisza, a z komina nie wydobywała się nawet najcieńsza smuga dymu.

– Czy tutaj zawsze tak się postępuje? – zapytał Jonasa.

– To tradycja. Słyszałeś takie powiedzenie: „Legenda, kłamstwo i podobieństwo wspólnymi siłami czynią tradycję”?

– Wydaje mi się, że łatwo byłoby się stamtąd wydostać. Nocą mógłby wybić dziurę w oknie albo w ścianie lub wykopać podziemne przejście. Poza tym jeśli spodziewał się czegoś takiego – a miał wszelkie powody się spodziewać, skoro od dawna szpiegował na rzecz Vodalusa – mógł zawczasu przygotować narzędzia oraz zapas jedzenia i picia.

Jonas potrząsnął głową.

– Przed zamurowaniem okien i drzwi dokładnie przeszukują cały dom. Zabierają nie tylko to, co przedstawia jakąkolwiek wartość, ale także narzędzia, żywność i wodę.

– Tak właśnie czynimy, chlubiąc się, że mamy dość oleju w głowie – rozległ się obok nas donośny głos. Był to alkad, który niepostrzeżenie podszedł od tyłu, przeciskając się przez tłum. Życzyliśmy mu dobrego dnia, a on odwzajemnił się tym samym. Był niewysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, którego szczerą twarz szpeciły oczy o trochę zbyt przebiegłym spojrzeniu. – Rozpoznałem cię, mistrzu Severianie, pomimo tych kolorowych szat. Nowe? Na takie przynajmniej wyglądają.

Jeśli nie spełnią twoich oczekiwań, natychmiast mi o tym powiedz. Staramy się, żeby w naszej wiosce prowadzono tylko uczciwy handel. Jeżeli ten, kto ci je sprzedał, nie wykona koniecznych poprawek, przygotujemy mu kąpiel w rzece, możesz być tego pewien. Trzeba to robić przynajmniej dwa razy do roku, żeby utrzymać ludzi w ryzach.

Umilkł i cofnął się o krok, po czym zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, kiwając z uznaniem głową, jakby mój wygląd wywarł na nim niezwykle korzystne wrażenie.

– Leżą jak ulał. Masz piękną sylwetkę i przystojną twarz, może tylko odrobinę zbyt bladą, ale o to już zatroszczy się nasza pomocna pogoda. Tak, leżą jak ulał i chyba będą się dobrze nosić. Jeśli ktoś zapyta cię, skąd je masz, możesz wspomnieć, że kupiłeś je podczas festynu w Saltus. To nigdy nie zaszkodzi.

Obiecałem mu, że tak uczynię, mimo że znacznie bardziej niż o swój wygląd czy jakość ubrania, które kupiłem od jakiegoś straganiarza, troszczyłem się o bezpieczeństwo Terminust Est, pozostawionego w pokoju w oberży.

– Przypuszczam, że przyszedłeś tu ze swoim pomocnikiem, aby zobaczyć, jak będziemy wydobywać z chaty tego niegodziwca? Zabierzemy się do niego, jak tylko Mesmin i Sebald przyniosą taran. Ładnie się nazywa, ale obawiam się, że to tylko zwykły ociosany pień drzewa, w dodatku niezbyt wielki, gdyż w przeciwnym razie wioska poniosłaby za duże koszty, opłacając ludzi, którzy by go obsługiwali. Mimo to powinien spełnić swoje zadanie. Słyszeliście może o przypadku, który wydarzył się tutaj osiemnaście lat temu?

Jonas i ja pokręciliśmy głowami.

Alkad wyprostował się i wypiął pierś, jak zawsze czynią politycy, kiedy nadarza im się okazja do wypowiedzenia więcej niż kilku zdań.

– Pamiętam to dobrze, choć byłem wówczas zaledwie podrostkiem. Chodziło o kobietę. Zapomniałem już, jak miała na imię, ale wszyscy nazywaliśmy ją matką Pyrexia. Zamurowano ją, tak jak tego tutaj, gdyż oboje uczynili właściwie to samo i niemal w taki sam sposób. Wtedy jednak lato dobiegało już końca, zaczynała się pora zbierania jabłek. Utkwiło mi to w pamięci, gdyż zgromadzeni ludzie popijali jabłecznik, a ja zjadłem wielki soczysty owoc.

Rok później, kiedy zboże złociło się na polach, ktoś zapragnął kupić dom. Jak wiecie, dobytek skazanego przechodzi na własność wsi. W ten sposób finansujemy całe przedsięwzięcie: ci, którzy biorą w nim udział, zatrzymują wszystko, co wyda im się przydatne, natomiast wieś

otrzymuje ziemię i zabudowania.

Aby nie rozwodzić się zbyt długo, powiem tylko, że szybko uporaliśmy się z rozbiciem drzwi, aby uprzątnąć kości kobiety i przekazać dom nowemu właścicielowi.

Alkad odchylił głowę do tyłu i się roześmiał. Jego śmiech sprawiał wrażenie upiornego – może dlatego, że był zbyt cichy, aby przebić się przez gwar tłumu, i przez to wydawał się całkowicie bezgłośny.

– Czyżby nie umarła? – zapytałem.

– Zależy, co przez to rozumiesz. Ja powiem tylko tyle, że kobieta zamknięta przez długi czas w zupełnej ciemności może przeistoczyć się w coś bardzo dziwnego, trochę przypominającego stworzenia, jakie gnieźdzą się w gnijących pniach drzew. Większość z nas, mieszkańców Saltus, jest górnikami, i niestraszne są nam różne okropności, jakie czasem znajdujemy pod ziemią, ale i tak wszyscy wzięliśmy nogi za pas, by powrócić nieco później z pochodniami. To, co zostało z tej kobiety, bało się zarówno światła, jak i ognia.

Jonas dotknął mego ramienia i wskazał na zamieszanie, które nagle powstało w tłumie. Grupa mężczyzn z zaferowanymi minami przepychała się ulicą wśród gawiedzi. Żaden z nich nie miał hełmu ani zbroi, ale kilku niosło halabardy, pozostali zaś byli uzbrojeni w okute kije. Przypominali mi ochotników, którzy dawno temu zatrzymali mnie, Drotte'a, Roche'a i Eatę przy bramie nekropolii. Za nimi kroczyli czterej ludzie dźwigający ociosany pień drzewa, o którym wspomniał Alkad. Miał około dwóch piędzi średnicy i sześciu łokci długości.

Powitało ich głośnie westchnienie tłumu. W chwilę potem wrzawa przybrała jeszcze na sile, dały się słyszeć także radosne pokrzykiwania. Alkad opuścił nas, aby objąć dowództwo. Korzystając z zamieszania, jakie wywołał, poleciwszy ludziom z kijami oczyścić przestrzeń przed zamurowanymi drzwiami chałupy, Jonas i ja przepchnęliśmy się nieco bliżej, w miejsce, z którego mieliśmy lepszy widok.

Przypuszczałem, że mężczyźni taszczący pień przystąpią do dzieła natychmiast, jak tylko dotrą pod drzwi, ale okazało się, że nie doceniłem Alkady, który w ostatniej chwili stanął na progu domu, zamachał kapeluszem, aby uciszyć rozgadanych ludzi, po czym rzekł:

– Mili goście i szanowni mieszkańcy Saltus! Nim zdążycie po trzykroć wziąć oddech, zobaczycie, jak rozbijamy tę oto kamienną zaporę i wyciągamy na światło dzienne złoczyńcę Barnocha, wszystko jedno, martwego czy żywego, choć przypuszczamy, że raczej będzie żywy, jako że nie przebywał zbyt długo w zamknięciu. Wiecie, co czynił potajemnie:

współpracował z siepaczami Vodalusa, donosząc im o miejscu pobytu tych, którzy później stawali się ich ofiarami! Zapewne wszyscy teraz myślicie – i słusznie! – że takie postępowanie nie zasługuje na wybaczenie. Tak jest, powiadam! Tak jest, powiadam! Z powodu tego Barnocha setki, a może nawet tysiące niewinnych ludzi leżą teraz w bezimiennych grobach. Setki, a może nawet tysiące zaznały znacznie gorszego losu. Jednak proszę was, żebyście zastanowili się nad jednym, zanim kamienna ściana runie. Vodalus utracił szpiega, z pewnością więc zacznie szukać sobie innego. Którejś nocy, być może już niedługo, u kogoś z was zjawi się nieznajomy człowiek. Zapewne wygłosi do was gładką przemowę...

– Taką jak ty teraz! – zawołał ktoś, wzbudzając powszechną wesołość.

– Znacznie lepszą, bo ja jestem tylko prostym górnikiem, jak wielu z was wie. Dużo bardziej zgrabną i przekonującą. Kto wie, czy nie zaproponuje wam też pieniędzy. Jednak zanim skiniecie mu głową, chcę, żebyście przypomnieli sobie, jak wyglądał dom Barnocha, cichy, martwy, z zamurowanymi drzwiami i oknami. Wyobraźcie sobie wtedy wasz dom, dokładnie taki sam, tyle tylko, że to wy będziecie zamknięci w jego wnętrzu. A potem przypomnijcie sobie, co zrobiliśmy z nim wtedy, kiedy go stamtąd wyciągnęliśmy. Zapewniam was – mówiąc te słowa, zwracam się szczególnie do was, szlachetni przybysze – że to, co teraz ujrzycie, stanowi jedynie zapowiedź tego, co będziecie mogli obejrzeć podczas naszego festynu. Aby go uświetnić, zaprosiliśmy jednego z najznakomitszych profesjonalistów z Nessus! Ujrzycie co najmniej dwie egzekucje dokonane tradycyjną metodą przez ścięcie głowy. Jedną ze skazanych jest kobieta, więc użyjemy krzesła! Jest to coś, czego nigdy nie mieli okazji podziwiać nawet ci, którzy chełpią się swym światowym obyciem i starannym wykształceniem. Zobaczycie na własne oczy, jak ten człowiek – tu Alkad wskazał dramatycznym gestem zamurowane drzwi chałupy – trafi w ręce śmierci, prowadzony przez najwyższej klasy przewodnika. Całkiem możliwe, że zrobił w ścianie małą dziurkę, co czasem czynią skazani, i teraz może mnie słyszeć. – Podniósł głos. – Barnoch, jeżeli mnie słyszysz, to radzę ci, poderżnij sobie gardło! Jeśli tego nie zrobisz, już wkrótce będziesz żałował, żeś nie umarł z głodu!

Zapadła całkowita cisza. Wszystko aż przewracało się we mnie na myśl o tym, że już wkrótce będę musiał wprawiać się w arkana swojej sztuki na zwolenniku Vodalusa. Alkad odczekał jeszcze chwilę, po czym uniósł wysoko prawą rękę i gwałtownie ją opuścił.

– W porządku, chłopcy! Do roboty!

Czterej mężczyźni z taranem policzyli chórem do trzech, po czym ruszyli pędem w kierunku zamurowanych drzwi. W chwili kiedy dwaj pierwsi musieli pokonać stopień, stracili nieco na szybkości, ale i tak ociosany pień uderzył w kamienie z donośnym łoskotem. Był to jednak jedyny rezultat, jaki udało im się osiągnąć.

– W porządku, chłopcy – powtórzył alkad. – Spróbujcie jeszcze raz. Pokażcie wszystkim, jakie silne chłopcy rodzą się w Saltus!

Tym razem dwójka trzymająca taran z przodu pokonała stopień znacznie sprawniej. Odniosłem wrażenie, że pod wpływem uderzenia kamienie zadrżały, a ze spoin posypał się biały pył. Jakiś krępy brodaty mężczyzna przyłączył się do zasapanej czwórki. Trzecie uderzenie tarana wcale nie było głośniejsze, ale towarzyszył mu donośny trzask przypominający odgłos łamania kości.

– Jeszcze raz – powiedział alkad.

Miał rację. Kamień, w który taran trafił, wpadł do środka, pozostawiając dziurę wielkości ludzkiej głowy. Atakująca piątka zrezygnowała z rozbiegu, wybijali kolejne kamienie, kołysząc taranem w przód i w tył, aż wreszcie otwór powiększył się na tyle, że dorosły człowiek mógł się w nim zmieścić.

Ktoś przyniósł pochodnie. Mały chłopiec pobiegł do sąsiedniego domostwa, aby zapalić je od kuchennego ognia. Płonące pochodnie trafiły do rąk ludzi uzbrojonych w halabardy i okute kije, lecz nie oni weszli jako pierwsi, tylko alkad, który – dając dowód większej odwagi, niż byłbym gotów przypuszczać, oceniając go po przebiegłym spojrzeniu – wy dobył z pasa krótką pałkę i wkroczył w ziejącą czernią wyrwę w murze. Zaraz potem we wnętrzu chaty zniknęli mężczyźni z pochodniami, za nimi zaś cisnący się tłum. Ponieważ wraz z Jonasem zajmowałem miejsce w pierwszym szeregu gapiów, niemal od razu znaleźliśmy się w środku.

Cuchnęło tam znacznie bardziej, niż się spodziewałem. Wszędzie wałały się połamane meble, jakby Barnoch przed nadejściem murarzy pozamykał szafy, skrzynie i kredensy, oni zaś rozbili je wszystkie, by dostać się do jego dobytku. Na kulawym stole dostrzegłem resztki wypalonej do cna świecy. Tłoczący się z tyłu ludzie pchali mnie naprzód, ja zaś ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że staram się im oprzeć.

W głębi domu wybuchła wrzawa, zatupotały nogi, rozległ się krzyk, a zaraz potem nieludzki wrzask.

– Mają go! – wykrzyknął ktoś za moimi plecami. Wiadomość szybko

dotarła do tych stojących przed chatą.

Z ciemności wyłonił się otyły mężczyzna wyglądający na małorolnego chłopca. W jednej ręce trzymał pochodnię, w drugiej zaś okuty kij.

– Z drogi! – zawołał – Cofnąć się! Już go prowadzą!

Nie wiem, co spodziewałem się ujrzeć... Być może jakąś zarosłą brudem istotę o zlepionych włosach. Zobaczyłem natomiast ducha. Barnoch musiał kiedyś być bardzo wysoki – zachował wzrost, tyle tylko, że zgiał się niemal wpool i szalenie wychudł, a skórę miał tak bladą, iż wydawał się lekko fosforyzować w ciemności jak gnijące drewno. Był zupełnie łysy i pozbawiony zarostu. Jeszcze tego samego popołudnia dowiedziałem się od pilnujących go strażników, że wyrwał sobie wszystkie włosy. Jednak najgorsze ze wszystkiego były wytrzeszczone oczy, chyba ślepe i równie czarne jak otchłań jego rozdziawionych ust. Odwróciłem się, by na niego nie patrzeć, ale kiedy odezwał się, wiedziałem na pewno, że to on.

– Będę wolny – powiedział. – Vodalus mnie ocali!

Jakże żałowałem wtedy, że ja także zaznałem życia w niewoli, gdyż jego głos przywiódł mi na pamięć owe straszliwe dni, które spędziłem w lochach pod Wieżą Matachina. I ja marzyłem o tym, by Vodalus mnie ocalił, oraz o rewolcie, która zmiecie precz cały zwierzęcy zaduch i degenerację, przywracając blask kulturze i cywilizacji dawnej Urth.

Jednak ocalenie zawdzięczałem nie Vodalusowi i jego armii cieni, lecz wstawiennictwu mistrza Palaemona – a także Drotte'owi, Roche'owi oraz jeszcze kilku przyjaciom, którzy przekonali pozostałych braci, że zgładzenie mnie może okazać się zbyt niebezpieczne, postawienie zaś przed trybunałem okryje konfraternię wieczną niesławą.

Barnoch nie mógł liczyć na nic takiego. Ja, który powinienem być jego towarzyszem, miałem napiętnować go rozpalonym żelazem, łamać kołem, a wreszcie odrąbać mu głowę. Usiłowałem wmówić sobie, że być może działał jedynie z chęci zysku, lecz w tej samej chwili coś metalowego – prawdopodobnie ostrze halabardy – uderzyło w kamień, a ja usłyszałem brzęk otrzymanej od Vodalusa monety, którą ukryłem pod posadzką zrujnowanego grobowca.

Czasem, kiedy nasze myśli zajęte są bez reszty wspomnieniami, oczy – bez udziału woli – potrafią wyłowić spośród szczegółów jakiś przedmiot, prezentując go z ostrością niemożliwą do osiągnięcia nawet przy największym skupieniu. Tak właśnie stało się ze mną. Wśród mrowia twarzy za drzwiami chaty dostrzegłem jedną, zwróconą ku górze i oświetloną przez słońce. Była to twarz Agii.

rozdział 3

Zielony człowiek

Niezwykła chwila zdawała się trwać całą wieczność, jakbyśmy my dwoje, a także wszyscy, którzy nas otaczali, znajdowali się na jakimś obrazie. Twarz Agii, moje szeroko otwarte oczy. Tak właśnie trwaliśmy wśród kolorowego tłumu wieśniaków. Potem poruszyłem się, a ona zniknęła. Popędziłbym za nią, gdybym mógł, ale minęło co najmniej sto uderzeń serca, zanim zdołałem przepchać się przez tłum i dotrzeć do miejsca, w którym ją ujrzałem.

Już jej tam nie było, a wokół mnie niczym wzburzona woda wokół łodzi kłębiły się ludzkie ciała. Kiedy Barnoch znalazł się w pełnym blasku dnia, zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. Klepnąłem w ramię jednego z górników i wykrzychałem mu do ucha pytanie, ale okazało się, że nie zwrócił uwagi na stojącą obok niego młodą kobietę i nie miał zielonego pojęcia, dokąd mogła pójść. Przez jakiś czas przypatrywałem się uważnie podekscytowanej gromadzie podążającej za więźniem, a kiedy nabrałem pewności że Agii tam nie ma, zacząłem przeszukiwać teren jarmarku, zaglądając do namiotów i kramów, wypytując o nią kobiety, które przyjechały na festyn, aby sprzedać wonny kardamonowy chleb, oraz ich mężów zachwalających mięso niedawno ubitych zwierząt.

Kiedy teraz opisuję te wydarzenia, powoli przędąc nić cynobrowego atramentu w Domu Absolutu, wszystko wydaje się takie spokojne i uporządkowane. Nic bardziej mylącego. Byłem zziębnięty i spocony, wykrzykiwałem pytania, po czym pędziłem dalej, nawet nie czekając na

odpowiedź. Twarz Agii unosiła się przede mną jak senne widziadło: szerokie, płaskie policzki, łagodnie zaokrąglony podbródek, lekko piegowata opalona skóra i skośne roześmiane oczy o kpiącym spojrzeniu. Nie miałem pojęcia, po co się tu zjawiała. Wiedziałem tylko tyle, że jest i że jej widok obudził we mnie bolesne wspomnienie jej krzyku.

– Widzieliście kobietę tego wzrostu, z kasztanowymi włosami? – powtarzałem w kółko niczym ów człowiek na Okrutnym Polu, który wykrzykiwał: „Cadroe z Siedemnastu Kamieni!”, aż wreszcie jego słowa stały się równie pozbawione znaczenia jak śpiew cykad.

– Tak. One wszystkie tak samo wyglądają.

– Nie wiesz, jak się nazywa?

– Kobietę? Oczywiście, że mogę sprowadzić ci kobietę.

– Gdzie ją zgubiłeś?

– Nie obawiaj się, na pewno ją znajdziesz. Festyn nie jest tak duży, żeby ktokolwiek mógł się na dobre zgubić. Nie umówiliście się na spotkanie w jakimś miejscu? Proszę, napij się trochę herbaty. Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

Zacząłem grzebać w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy.

– Nie musisz płacić, i tak mam duży ruch. No, chyba że koniecznie chcesz. Tylko jedno aes. Proszę.

Stara kobieta wrzuciła moją monetę do kieszeni fartucha – sądząc po odgłosie, musiała tam mieć mnóstwo identycznych – po czym naląła wrzącą herbatę do kubka z wypalanej gliny i podała mi go wraz z rurką z jakiegoś srebrnego metalu. Odsunąłem rurkę na bok.

– Jest czysta. Myję ją po każdym kliencie.

– Nie jestem przyzwyczajony.

– W takim razie uważaj, bo kubek jest bardzo gorący. Szukałeś przy sądzie? Jest tam mnóstwo ludzi.

– Tam, gdzie trzymają bydło? Tak.

Herbata przypominała smakiem herba mate, miała silny aromat i była odrobinę cierpka.

– Czy ona wie, że jej szukasz?

– Chyba nie. Wątpię, czy mnie rozpoznała, nawet jeżeli mnie zauważyła. Ja... jestem ubrany inaczej niż zwykle.

Stara kobieta parsknęła z rozbawieniem i schowała pod chustkę kosmyk kręconych siwych włosów.

– Na jarmarku w Saltus? To chyba oczywiste! Wszyscy zakładają tu to, co mają najlepszego, i każda rozsądna dziewczyna o tym wie. A może

jest nad rzeką, tam, gdzie więźnia przykuto łańcuchami?

Pokręciłem głową.

– Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

– Ty jednak nie straciłeś nadziei. Wiem o tym, bo zamiast patrzeć na mnie, przyglądasz się przechodzącym ludziom. I bardzo dobrze. Na pewno ją znajdziesz, choć ostatnio dzieją się tu dziwne rzeczy. Czy wiesz, że schwytano zielonego człowieka? Trzymają go tam, w namiocie. Podobno zieloni ludzie wszystko wiedzą, problem tylko w tym, żeby skłonić ich do mówienia. Poza tym ta historia z katedrą... O tym chyba słyszałeś?

– O katedrze?

– Powiadają, że to nie była prawdziwa katedra, taka, jakie są w mieście – ty przecież pochodzisz z miasta, poznałam to po sposobie, w jaki pijesz herbatę – ale tutaj, w Saltus, nigdy nie widzieliśmy innej. Była bardzo piękna, miała wiszące lampy i okna z kolorowego jedwabiu. Ja tam w nic nie wierzę, bo skoro Prastwórca w ogóle się o mnie nie troszczy, to czemu ja miałabym się o niego troszczyć? Mimo to wielka szkoda, że to zrobiły, oczywiście jeśli naprawdę zrobiły to, o co się je oskarża. Podpały ją, wiesz?

– Czy mówisz o Katedrze Peleryn?

Stara kobieta skinęła poważnie głową.

– Widzisz? Popeliłeś ten sam błąd, co wszyscy. To nie była Katedra Peleryn, tylko Katedra Pazura, a więc nie miały prawa jej spalić.

– Wznieciły na nowo ogień... – mruknąłem.

– Proszę? – Stara kobieta nadstawiła ucha. – Nie usłyszałam, co powiedziałeś.

– Powiedziałem, że wznieciły ogień. Przypuszczalnie podpały słomę na podłodze.

– Ja też tak słyszałam. A potem stały i przyglądały się, jak płonie. Rzekomo uleciała ku Bezkresnym Łąkom Nowego Słońca.

Po drugiej stronie alejki jakiś człowiek zaczął walić co sił w bęben.

– Niektórzy widzieli na własne oczy, jak wznosi się w powietrze – powiedziałem, kiedy na chwilę przerwał.

– Wzniosła się, a jakże. Kiedy mąż mojej wnuczki dowiedział się o tym, przez pół dnia nie mógł dojść do siebie. Potem zrobił z papieru coś w rodzaju kapelusza i przytrzymał go nad ogniem, a kiedy kapelusz poleciał do góry, ten głupiec doszedł do wniosku, że nie ma nic cudownego w tym, że z katedrą stało się to samo. Nie przyszło mu do głowy, że wszystko mogło zostać urządzone w ten sposób właśnie po to,

żeby Katedra Pazura poszybowała w niebo. Ten dureń nie potrafi dostrzec Jego Ręki.

– Widział ją? – zapytałem. – Chodzi mi o katedrę.

Kobieta opacznie zrozumiała moje pytanie.

– Tak, co najmniej dziesięć razy. Odwiedzał ją zawsze, kiedy tędy przejeżdżał.

Naszą rozmowę przerwał głos człowieka z bębmem, trochę podobny do głosu doktora Talosa, tyle tylko, że bardziej chrapliwy i pozbawiony złośliwej inteligencji.

– Wie wszystko! Zna wszystkich! Zielony jak agrest! Zobaczcie sami!

Bum! Bum! Bum!

– Myślisz, że zielony człowiek może wiedzieć, gdzie jest Agia?

Kobieta uśmiechnęła się.

– A więc tak ma na imię? Teraz będę mogła dać ci znać, jeśli ktoś wspomni o niej przy mnie. Kto wie? Masz pieniądze, czemu więc nie sprawdzisz?

„Właśnie, czemu nie?” – pomyślałem.

– Przywieziony prosto z dżungli Północy! W ogóle nie je! Zielony jak liście i trawa! – Bum! Bum! – Przeszłość i przyszłość to dla niego jedno!

Kiedy mężczyzna zobaczył, że zbliżam się do jego namiotu, zaprzestał nawoływać.

– Tylko jedno aes, żeby go zobaczyć, dwa, żeby zadać pytanie, a trzy, jeśli chcesz zostać z nim sam na sam.

– Jak długo? – zapytałem, podając mu trzy miedziane aes.

Spojrzał na nie z krzywym uśmiechem.

– Jak długo zechcesz.

Wszedłem do środka.

Z pewnością przypuszczałem, że nie zechcę spędzić tam zbyt wiele czasu, oczekiwałem więc jakiegoś odrażającego smrodu lub czegoś równie nieprzyjemnego, poczułem jednak tylko lekki zapach suchego siana. Na środku namiotu, w pocętkowanej drobinkami kurzu plamie światła wpadającego przez otwór w górze, siedział skuty łańcuchem człowiek o skórze barwy bladego szmaragdu. Miał na sobie spódniczkę z przywiedłych liści, a obok niego stało gliniane naczynie wypełnione po brzegi czystą wodą.

Przez chwilę przypatrywałem mu się w milczeniu, a on siedział bez ruchu ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– To nie jest farba – powiedziałem wreszcie – ani żaden roślinny barwnik. W dodatku masz równie mało włosów jak mężczyzna, którego

wywleczono z zamurowanego domu.

Spojrzał na mnie, po czym znowu opuścił wzrok. Nawet białka jego oczu miały lekko zielonkawy odcień.

– Jeżeli naprawdę jesteś rośliną, to zamiast włosów na twojej głowie powinna rosnąć trawa.

Miałem nadzieję, że w ten sposób zwabię go w pułapkę.

– Wcale nie.

Miał łagodny głos, prawie kobiecy, tyle tylko, że bardzo niski.

– A więc jesteś rośliną? Mówiącym warzywem?

– Nie pochodzisz stąd.

– Kilka dni temu przybyłem z Nessus.

– Jesteś wykształcony.

Pomyślałem o mistrzach Palaemonie i Malrubiusie oraz o mojej nieszczęsnej Thecli i wzruszyłem ramionami.

– Umiem czytać i pisać.

– A mimo to nic o mnie nie wiesz. Nie jestem mówiącym warzywem, o czym powinieneś już sam się przekonać, patrząc na mnie. Nawet gdyby z jakiegoś powodu rośliny miały pójść tą drogą ewolucji, która prowadzi do powstania inteligencji, to z pewnością nie mogłyby skopiować ludzkiej postaci.

– To samo można powiedzieć o kamieniach, a przecież istnieje coś takiego jak posągi.

Choć był ogromnie przygnębiony (miał twarz bardziej smutną nawet niż mój przyjaciel Jonas), kąciki jego ust lekko się uniosły.

– Dobrze powiedziane. Nie masz żadnego naukowego przygotowania, ale dysponujesz większą wiedzą, niż przypuszczasz.

– Wręcz przeciwnie, wszystko, czego mnie uczono, miało naukowy charakter, natomiast nie było w żaden sposób związane z takimi jak te fantastycznymi spekulacjami. Kim więc jesteś?

– Wielkim wizjonerem, a zarazem wielkim kłamcą, jak każdy człowiek, który wpadnie w pułapkę.

– Jeśli powiesz mi, kim naprawdę jesteś, spróbuję ci pomóc.

Przyjrzał mi się uważnie, a ja odniosłem wrażenie, że to jakiś wysoki krzak otworzył nagle oczy, ukazując ludzką twarz.

– Wierzę ci – powiedział. – Jak to jest, że spośród setek istot, które przewijają się przez ten namiot, właśnie ty wiesz, co to jest współczucie?

– Nic nie wiem o współczuciu, za to wpojono mi szacunek dla sprawiedliwości, a tak się składa, że dobrze znam alkada tej wioski. Nawet zielony człowiek nie przestaje być człowiekiem. Jeśli jest

niewolnikiem, jego pan musi wyjaśnić, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie.

– Zapewne głupio czynię, pokładając w tobie zaufanie, ale jestem wolnym człowiekiem, który przybył z przyszłości, aby badać wasze czasy.

– To niemożliwe.

– Zielony kolor, który wywołuje tak wielkie zdziwienie twoich ziomeków, pochodzi od tego, co wy nazywacie rzęsą wodną. Zmieniliśmy ją tak, że teraz może żyć w naszej krwi, i dzięki temu wreszcie osiągnęliśmy pokój w trwającej od zawsze wojnie ludzkości ze słońcem. Małe roślinki rosną w nas i umierają, a nasze ciała odżywiają się nimi, w związku z czym nie potrzebują innego pokarmu. Skończyły się kłęski głodu, skończyła się też ciężka praca polegająca na zdobywaniu żywności.

– Ale musicie mieć słońce.

– Owszem – odparł zielony człowiek. – Tutaj jest go za mało. W moich czasach dni są o wiele jaśniejsze.

Ta prosta uwaga wprowadziła mnie w stan wielkiego podniecenia. Nie czułem się tak od chwili, kiedy na terenie Zburzonego Dworu w Cytadeli po raz pierwszy ujrzałem pozbawioną dachu kaplicę naszego bractwa.

– A więc Nowe Słońce nadejdzie zgodnie z przepowiedniami – powiedziałem – a wraz z nim nowe życie dla naszej Urth... Oczywiście jeśli to, co mówisz, jest prawdą.

Zielony człowiek odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał. Znacznie później miałem usłyszeć odgłos, jaki wydaje alzabo przemierzające pokryte śniegiem góryste tereny; jego śmiech jest okropny, ale śmiech zielonego człowieka był jeszcze straszliwszy. Odsunąłem się od niego.

– Ty nie jesteś człowiekiem – stwierdziłem. – Może kiedyś nim byłeś, ale teraz już nie.

Ponownie się roześmiał.

– I pomyśleć, że pokładałem w tobie jakieś nadzieje. Cóż za nieszczęśnik ze mnie. Już mi się wydawało, iż pogodziłem się z myślą o tym, że przyjdzie mi umrzeć tutaj, wśród ludzi, którzy są dla mnie tylko chodzącym pyłem, tymczasem wystarczył jeden promyk światła, aby na nowo obudzić we mnie chęć życia. Jestem prawdziwym człowiekiem, przyjacielu. To ty nim nie jesteś, ale cóż z tego, skoro to ja umrę za kilka miesięcy.

Wiedziałem, co ma na myśli, gdyż często widziałem w nekropolii gnane wiatrem zamarzniete resztki kwiatów uderzające w ściany

grobowców.

– Rozumiem cię. Zbliżają się ciepłe dni, ale kiedy miną, ty będziesz musiał wraz z nimi odejść. Masz jednak jeszcze dość czasu, aby rozsiać swoje ziarna.

– Nie wierzysz mi – stwierdził ze smutkiem. – Nie możesz zrozumieć, że jestem takim samym człowiekiem jak ty, a mimo to mi współczujesz. Kto wie, może masz rację? Może rzeczywiście zaświeciło nam Nowe Słońce, a ponieważ tak się stało, przestaliśmy zwracać na nie uwagę? Jeśli kiedykolwiek uda mi się powrócić w moje czasy, opowiem tam wszystkim o tobie.

– Jeżeli naprawdę przybywasz z przyszłości, to dlaczego po prostu tam nie wrócisz?

– Ponieważ jestem skuty łańcuchami, jak sam widzisz.

Wyprostował nogę, abym mógł przyjrzeć się opinającej ją w kostce obręczy. Zielonkawe ciało wyraźnie spuchło, tak jak to się dzieje z pniami drzew, jeśli nałoży się na nie żelazne pierścienie.

Kotara zasłaniająca wejście uchyliła się i do namiotu wsadził głowę mężczyzna z bębniem.

– Jeszcze tu jesteś? Na zewnątrz inni czekają.

Spojrzał znacząco na zielonego człowieka, po czym zniknął.

– To znaczy, że mam skłonić cię do odejścia, bo w przeciwnym razie zasłoni otwór, przez który wpadają promienie słońca. Wyganiam stąd ludzi, przepowiadając im przyszłość, tak jak teraz uczynię to tobie. Jesteś jeszcze młody i silny, ale zanim ta planeta okrąży słońce dziesięć razy, staniesz się słabszy i już nigdy nie odzyskasz swojej obecnej siły. Jeśli spłodzisz synów, kiedyś staną się twoimi nieprzyjaciółmi. Jeśli ...

– Wystarczy – przerwałem mu. – To, o czym mówisz, staje się udziałem wszystkich ludzi. Odejdę, jeżeli odpowiesz mi na jedno pytanie. Szukam kobiety o imieniu Agia. Gdzie mogę ją znaleźć?

Przez chwilę między jego powiekami widziałem tylko zazielenione białka. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, a potem zielony człowiek wstał i wyciągnął przed siebie ręce z palcami rozczapierzonymi jak gałązki.

– Nad ziemią... – powiedział cicho.

Drżenie ustąpiło, a on usiadł ciężko, wyraźnie zmęczony i blejszy niż przedtem.

– A więc jednak jesteś oszustem – stwierdziłem, odwracając się w stronę wyjścia. – Byłem głupcem, że choć przez chwilę ci uwierzyłem.

– Nieprawda – szepnął. – Posłuchaj mnie: podczas podróży w te czasy przebyłem całą waszą przyszłość, zabierając ze sobą jej części, które

teraz z największym trudem staram się odczytać. Powiedziałem ci prawdę, a jeśli ty rzeczywiście jesteś przyjacielem tutejszego alkada, to powiem ci jeszcze coś, co będziesz mógł mu powtórzyć, a czego domyśliłem się, słuchając pytań tych, którzy tu przychodzą. Uzbrojeni ludzie będą chcieli uwolnić człowieka zwanego Barnochem.

Wyjąłem z sakwy oselkę, przełamałem ją na ogniwie łańcucha i wręczyłem mu połowę. Przez chwilę zdawał się nie wiedzieć, co to jest, ale potem na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. Zielony człowiek rozkwitł z radości, jakby już mógł rozkoszować się ciepłym blaskiem słońca w swoich czasach.

rozdział 4

Bukiet

Wyszędłszy z namiotu, spojrzałem na słońce. Zachodni horyzont pożarł już co najmniej połowę nieba, za niecałą wachtę powinienem stawić się w wyznaczonym miejscu, aby odprawić ceremonię. Agia zniknęła, ja zaś zaprzepaściłem wszelkie szanse na jej odnalezienie, miotając się jak w gorączce po całym jarmarku. Mimo to przepowiednia zielonego człowieka przyniosła mi pociechę. Rozumiałem ją w ten sposób, że spotkam Agię, zanim jedno z nas umrze, a ponieważ przyszła, aby oglądać wyprowadzenie Barnocha, można się spodziewać, że zjawi się także na egzekucji Morwenny i złodzieja bydła.

Wracając do gospody, miałem głowę zaprzątniętą właśnie takimi rozważaniami, ale kiedy dotarłem do pokoju, który dzieliłem z Jonaszem, ustąpiły one miejsca wspomnieniom o Thecli i moim wyniesieniu do godności czeladnika. Prawdopodobnie pojawiły się dlatego, iż za chwilę miałem zrzucić nowy kolorowy strój, aby przywdziać katowski fuligin. Choć mój płaszcz wisiał jeszcze na kołku w pokoju i choć Terminus Est leżał ukryty bezpiecznie pod materacem, te dwa przedmioty oddziaływały na mnie nawet na odległość, wywołując określone myśli i skojarzenia.

Kiedy jeszcze dotrzymywałem towarzystwa Thecli, często bawiło mnie, jak łatwo mogę przewidzieć kierunek, jaki przybierze nasza rozmowa, a szczególnie jej początek, w zależności od tego, co przyniosę do celi. Jeśli była to na przykład jakaś smakowita potrawa, którą wykradłem z kuchni, Thecla natychmiast zaczynała opowiadać o posiłkach w Domu Absolutu. Widok mięsa niemal zawsze wywoływał wspomnienia o obiedzie pod gołym niebem, podawanym przy akompaniamencie ryków i trąbienia zwierzyny schwytej podczas łowów, a także dyskusji o zaletach wyźłów, sokołów i leopardów

specjalnie tresowanych do polowań. Jeśli przyniosłem słodycze, Thecla zazwyczaj snuła opowieść o rozkosznie intymnej, ubarwionej tysiącem ploteczek kolacji wydanej przez jedną z kasztelanek na cześć przyjaciółek. Z kolei owoce przywodziły jej na myśl uczyty w ogrodach Domu Absolutu jarzących się blaskiem tysiąca pochodni, kiedy biesiadnikom umilali czas żonglerzy, akrobaci, tancerze oraz pokazy sztucznych ogni.

Jadła, czasem siedząc, a czasem stojąc. Przechadzała się też od ściany do ściany ciasnej celi, trzymając talerz w lewej ręce, prawą zaś gestykulując.

– ...i powiadam ci, Severianie, był to wspaniały widok, kiedy nagle na ciemnym niebie wystrzeliwały zielone i czerwone płomienie, a nad naszymi głowami rozlegał się huk gromu!

Biedactwo nie mogło mi pokazać, jak wysoko strzelały fajerwerki, gdyż wystarczyło, że tylko trochę uniosła rękę, a natrafiła na sufit, do którego prawie sięgała głową.

– Widzę jednak, że cię nudzę. Jeszcze chwilę temu, kiedy przyniosłeś mi te brzoskwinie, byłeś taki szczęśliwy, a teraz nawet się nie uśmiechasz. Musisz jednak zrozumieć, że mnie te wspomnienia sprawiają wielką radość, gdyż pozwalają myśleć o tym, jak bardzo będę rada móc to wszystko znowu zobaczyć.

Rzecz jasna wcale mnie nie nudziła. Po prostu ogarniał mnie smutek, kiedy widziałem tę młodą i piękną kobietę zamkniętą w ciasnej celi.

Kiedy wszedłem do pokoju, Jonas właśnie wyciągał spod materaca Terminus Est. Nałamię sobie kubek wina.

– Jak się czujesz? – zapytał mój towarzysz.

– A ty? Dla ciebie to pierwszy raz.

Jonas wzruszył ramionami.

– Jestem tylko pomocnikiem. Naprawdę już to kiedyś robiłeś? Wyglądasz tak młodo.

– Tak, już to robiłem, ale nigdy kobiecie.

– Myślisz, że jest niewinna?

Właśnie byłem zajęty ściąganiem koszuli. Kiedy już ją zdjąłem i wytarłem sobie nią twarz, potrząsałem głową.

– Z pewnością nie. Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem. Przykuli ją łańcuchami nad samym brzegiem rzeki, gdzie komary są najbardziej

dokuczliwe. Zresztą już ci o tym mówiłem.

Jonas wyciągnął rękę po kubek. Kiedy zacisnął na nim palce, rozległ się wyraźny metaliczny dźwięk.

– Mówiłeś, że jest piękna i że ma czarne włosy jak...

– Thecla. Ale jej włosy są proste, podczas gdy włosy Thecli były kręcone.

– Jak Thecla, którą kochałeś chyba tak mocno, jak ja Kocham twoją przyjaciółkę Jolentę. Przyznaję, że miałeś znacznie więcej czasu ode mnie, by się zakochać. Powiedziałeś też, iż jej mąż i dziecko umarli na jakąś chorobę, prawdopodobnie od zatrutej wody. Zdaje się, że mąż był cokolwiek od niej starszy.

– Mniej więcej w twoim wieku, jak sądzę.

– I że inna kobieta, która także go pragnęła, teraz zadaje jej tortury.

– Jedynie słowami. – W naszej konfraterni wyłącznie uczniowie noszą koszule. Wciągnąłem spodnie i narzuciłem na nagie ramiona fuligin, który jest czarniejszy od najgłębszej czerni. – Już nieraz się zdarzało, że klienci, których władze pozostawiły na noc bez opieki, ginęli ukamienowani. Niektórym wybijano zęby i łamano kości, a kobiety gwałcono.

– Powiadasz, że jest piękna, może więc ludzie myślą, że jest też niewinna. Może nawet litują się nad nią.

Podniosłem Terminus Est i obnażyłem go, pozwalając pochwie z miękko wyprawionej skóry upaść na podłogę.

– Niewinność ma najwięcej wrogów, ponieważ budzi lęk.

Wyszliśmy razem.

Kiedy zjawiłem się w tej gospodzie, musiałem torować sobie drogę wśród ciżby. Teraz ludzie skwapliwie usuwali mi się z drogi. Miałem maskę na twarzy, na ramieniu zaś niosłem obnażony Terminus Est. Na ulicy gwar natychmiast przycichł, a kiedy dotarliśmy do placu, na którym odbywał się festyn, towarzyszyły nam już tylko szepty przywodzące na myśl szelest uschniętych liści.

Obie egzekucje miały się odbyć w centralnym punkcie placu, gdzie zebrał się już gęsty tłum. Przy szafocie stał odziany na czerwono mnich, ściskając w dłoniach mały brewiarz, obok zaś czekało dwoje więźniów, otoczonych przez tych samych ludzi, którzy wydobyli Barnocha z jego chaty. Alkad miał na sobie żółtą togę, symbol swojego urzędu, oraz złoty łańcuch.

Zgodnie ze starożytną tradycją nie wolno nam korzystać ze schodów (choć kiedyś widziałem mistrza Gurloesa, jak wspinał się po nich na

szafot wzniesiony przed Wieżą Dzwonów, w dodatku podpierając się mieczem). Przypuszczam, iż spośród obecnych tylko ja jeden wiedziałem o tym zwyczaju, mimo to postanowiłem go przestrzegać, a nagrodą był dla mnie ryk tłumu, kiedy jednym susem wskoczyłem na pomost z rozwianym płaszczem na ramionach.

– Prastwórco, wszyscy wiemy, że ci, którzy tu za chwilę umrą, w twoich oczach wcale nie są gorsi od nas – odczytał mnich ze swojej książeczki. – Ich ręce, jako i nasze, zbroczone są krwią.

Obejrzałem uważnie pień. Te, które przygotowuje się bez naszego dozoru, zazwyczaj do niczego się nie nadają. „Szeroki jak stół, twardy jak muł i wklęsły jak dół”. Pień spełniał dwie pierwsze cechy wymienione w krążącym wśród nas przysłowiu, ale święta Katarzyna okazała mi przynajmniej tyle łaski, że pień był lekko wypukły, – choć musiałem liczyć się z tym, że twarde drewno z pewnością stępi męską stroną Terminust Est – i że drugim skazanym była kobieta, więc nie tyle nawet mogłem, co musiałem potraktować ją drugą stroną ostrza.

– ...za twym przyzwoleniem mogą w ostatniej godzinie żywota oczyścić swe dusze, aby zyskać twoją łaskę. My, którzy kiedyś staniemy z nim twarzą w twarz, choć dziś przelejemy ich krew...

Stanąłem w szerokim rozkroku i oparłem się na mieczu, jakbym całkowicie panował nad sytuacją, choć prawda wyglądała tak, że nawet nie wiedziałem, które z nich wyciągnęło krótszą wstążkę.

– O ty, bohaterze, który zniszczysz czarnego robaka pożerającego słońce! O ty, którego oddech pokona otchłanny Erebus, a także Abaię i Scyllę, kryjących się pod wzburzonymi falami! O ty, który żyjesz w najmniejszym nasionku w najbardziej odległym lesie...

Morwenna zaczęła wchodzić za alka dem po schodkach. Tuż za nią szedł strażnik, popychając ją od czasu do czasu metalowym prętem. Ktoś z tłumu wykrzyknął głośno obsceniczną propozycję.

– ...miej litość nad nami, którzy nie znamy litości. Okaż litość nam, którzy jej nie okazemy.

Na tym mnich zakończył, rozpoczął natomiast alka dem.

– W najbardziej ohydny i odrażający sposób...

Mówił wysokim, piskliwym głosem, zupełnie innym od tego, jakim posługiwał się na co dzień i jakim zwrócił się do tłumu przed domem Barnocha. Słuchając go jednym uchem (przez cały czas poszukiwałem w tłumie twarzy Agii), doszedłem do wniosku, że po prostu się boi. Będzie musiał przyglądać się z bliska temu, co stanie się z obojgiem skazanych. Uśmiechnąłem się, korzystając z tego, że moja twarz była

ukryta pod maską.

– ...szacunku dla twojej płci. Jednak zostaniesz napiętnowana na obu policzkach, twoje nogi będą połamane, a głowa odcięta od ciała.

(Miałem nadzieję, że nie zapomnieli przygotować rusztu z płonącymi węglami).

– Tak więc korzystając z władzy, jaka spoczywa w mych niegodnych rękach dzięki łaskawości Autarchy, którego myśli są muzyką dla uszu jego poddanych, ogłaszam... ogłaszam...

Zapomniał zwyczajowego tekstu.

– Ogłaszam, że oto nadeszła twoja ostatnia chwila – podpowiedziałem mu szeptem.

– Ogłaszam, że oto nadeszła twoja ostatnia chwila, Morwenno.

– Jeśli masz jakieś prośby do Łagodziciela, przedstaw mu je teraz w swoim sercu.

– Jeśli masz prośby do Łagodziciela, przedstaw mu je teraz...

– A jeśli pragniesz nam coś powiedzieć, to uczynić to teraz, bo potem już nikt nie usłyszy twego głosu.

Alkad chyba odzyskał już pewność siebie, gdyż powtórzył bez najmniejszego zająknięcia:

– A jeśli pragniesz nam coś powiedzieć, to uczynić to teraz, bo potem już nikt nie usłyszy twego głosu.

– Wiem, że większość z was uważa mnie za winną – powiedziała Morwenna cicho, lecz wyraźnie. – To nieprawda. Nigdy nie popełniłabym tych okropnych uczynków, o jakie mnie oskarżacie.

Tłum zafalował i zbliżył się, aby ją lepiej słyszeć.

– Wielu z was może zaświadczyć, że kochałam Stachysa i dziecko, które mi dał.

W jasnym blasku dnia moją uwagę zwróciła kolorowa, fioletowo-czarna plama. Był to bukiet żalobnych róż, jakimi zazwyczaj przyozdabia się karawan. Kobieta, która go trzymała, nazywała się Eusebia; poznałem ją poprzedniego wieczoru, kiedy nad brzegiem rzeki dręczyła skutą łańcuchami Morwenne. Teraz odetchnęła głęboko kilka razy, wciągając w płuca aromat róż, po czym zaczęła torować sobie kolczastymi łodygami drogę wśród tłumu, aż wreszcie stanęła u podstawy szafotu.

– Te kwiaty są dla ciebie, Morwenno. Umrzyj, zanim zwiędną.

Uderzyłem w deski tępym końcem miecza, nakazując ciszę.

– Ten dobry człowiek, który odczytał modlitwę i rozmawiał ze mną, zanim mnie tu przyprowadzono, prosił, abym przebaczyła wam, jeśli

dostąpię przed wami łaski. Nigdy nie miałam okazji spełnić prośby zawartej w modlitwie, ale teraz ją spełniam. Przebaczam wam.

Eusebia znowu chciała coś powiedzieć, lecz uciszyłem ją spojrzeniem. Stojący obok niej mężczyzna uśmiechnął się do mnie szeroko, prezentując nieliczne zęby, i pomachał ręką; ze zdumieniem rozpoznałem w nim Hethora.

– Czy jesteś gotów? – zapytała mnie Morwenna. – Bo ja jestem.

Jonas właśnie przyniósł metalowy kosz pełen rozżarzonych węgli. Spomiędzy nich sterczał uchwyt narzędzia, którego zapewne miałem użyć do napiętnowania skazanej, ale nigdzie nie było krzesła. Posłałem alkadowi znaczące spojrzenie.

Równie dobrze mógłbym gapić się na pień.

– Czy mamy jakieś krzesło, Wasza Czcigodność? – zapytałem wreszcie.

– Posłałem po nie dwóch ludzi. I po powrozy.

– Kiedy?

W tłumie dały się już słyszeć gniewne pomruki.

– Kilka chwil temu.

Nie dalej jak poprzedniego wieczoru zapewniał mnie, że wszystko będzie przygotowane, ale przypominanie mu teraz o tym nie miało najmniejszego sensu. Przekonałem się już wielokrotnie, że tym, kto najłatwiej może przy takiej okazji wpaść w panikę, jest przeciętny wiejski urzędnik. Doświadczają on bowiem bolesnego rozdarcia między pragnieniem przebywania w centrum uwagi a świadomością, że brakuje mu zarówno zdolności, jak i wprawy, niezbędnych do prawidłowego przeprowadzenia ceremonii. Nawet najbardziej tchórzliwy klient, kiedy wejdzie na szafot z pełną świadomością, że oto za chwilę wyłupią mu oczy lub połamią kości, w dziewiętnastu przypadkach na dwadzieścia zachowa się lepiej od niego. Nawet nieśmiały mnich, nieprzywykły do spojrzeń setek ludzi, jest w takiej sytuacji bardziej godny zaufania.

– Dalej, kończcie z tym! – zawołał ktoś z tłumu.

Spojrzałem na Morwennę. Jej wychudzona twarz, jasna cera, melancholijny uśmiech i wielkie ciemne oczy łatwo mogły wywołać współczucie gawiedzi.

– Możemy posadzić ją na pniu – powiedziałem do alkada, a następnie dodałem, nie mogąc odmówić sobie tej drobnej satysfakcji: – Wydaje się do tego wręcz stworzony.

– Ale nie ma jej czym związać.

Pozwoliłem już sobie na jedną uwagę za dużo, ugryzłem się więc

w język, aby nie poinformować go, co myślę o tych, którzy przed egzekucją muszą wiązać klienta jak prosię.

Położyłem Terminus Est na pniu, posadziłem Morwennę, podniosłem ramiona w tradycyjnym pozdrowieniu, wziąłem żelazo w prawą rękę, po czym chwyciwszy przeguby kobiety lewą, wypaliłem znak na obu policzkach. Jej krzyk sprawił, że na placu zapadła całkowita cisza, jednak kiedy podniosłem wysoko jeszcze białe od gorąca żelazo, z setek gardeł wydobył się radosny ryk.

Alkad wyprostował się, jakby nagle wstąpiły w niego nowe siły.

– Pokaż ją wszystkim – powiedział.

Miałem nadzieję, że uda się tego uniknąć, ale teraz pomogłem Morwennie wstać z pnia, wziąłem ją za rękę i powoli obszedłem z nią szafot, jakbyśmy brali udział w jakimś tańcu. Hethor nie posiadał się z radości; starałem się nie zwracać na niego uwagi, lecz i tak doskonale słyszałem, jak chełpi się przed wszystkimi znajomością ze mną.

– Masz! – zawołała Eusebia, wyciągając bukiet w stronę Morwenny. – Wkrótce ci się przydadzą!

Okrążywszy szafot, zatrzymałem się i spojrzałem wyczekująco na alkada. Potrzebował dłuższej chwili, aby domyślić się, czego od niego chcę, ale zachował na tyle przytomności umysłu, żeby dać mi znak, abym przystąpił do dalszych czynności.

– Czy jeszcze długo? – zapytała szeptem Morwenna.

– Już prawie po wszystkim – odparłem. Znowu posadziłem ją na pniu i wziąłem miecz do ręki. – Zamknij oczy. Pomyśl o tym, że prawie wszyscy, którzy kiedyś przyszli na świat, już nie żyją, nawet Łagodzieciel, który kiedyś wróci jako Nowe Słońce.

Posłusznie opuściła powieki, dzięki czemu nie zobaczyła, jak podnoszę Terminus Est. Blask stali sprawił, że tłum znowu ucichł. Wziąłem zamach i uderzyłem płazem w uda kobiety; donośne klaśnięcie spowodowane zetknięciem metalu z miękkim ciałem rozległo się niemal jednocześnie z suchym trzaskiem łamanych kości. Morwenna straciła przytomność, ale zanim zdążyła osunąć się na deski, cofnąłem się o krok i zdjąłem jej głowę z karku gładkim poziomym cięciem, o wiele trudniejszym od pionowego.

Szczerze mówiąc, dopiero kiedy zobaczyłem strzelającą w górę fontannę krwi i usłyszałem głuchy łoskot, z jakim głowa spadła na szafot, uświadomiłem sobie, że już jest po wszystkim. Byłem równie zdenerwowany jak alkad, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Starożytna tradycja pozwala nam w chwilach takich jak ta częściowo

zrezygnować ze zwyczajowej powagi. Miałem ochotę śmiać się i podskakiwać, alkad klepał mnie po ramieniu i gadał coś bez ładu i składu, ale ja w ogóle go nie słyszałem. Podniosłem miecz, chwyciłem głowę za włosy, uniosłem ją wysoko i obszedłem szafot dookoła. Jednak tym razem nie poprzestałem na jednym okrążeniu, lecz wykonałem ich dwa, trzy, a potem cztery. Powiał lekki wiatr i szkarłatna krew zbryzgała moją maskę, ramię i nagą pierś. Wiwatujący ludzie wykrzykiwali żarty, jakie zawsze słyszy się przy takich okazjach:

– Czy obetniesz też włosy mojej żony, jeśli cię ładnie poproszę?

– Dostaniesz za to pół pęta kiełbasy, ale będziesz musiał sam ją sobie pokroić!

– Dasz mi jej kapelusz?

Śmiałem się do tłumu i udawałem, że chcę im rzucić odciętą głowę, kiedy nagle ktoś złapał mnie za kostkę. Spojrzawszy w dół, ujrzałem Eusebię. Znajdowała się w stanie, jaki wielokrotnie mogłem zaobserwować u naszych klientów w Wieży Matachina: jej oczy błyszczały podnieceniem, a twarz wykrzywiało pragnienie zwrócenia na siebie uwagi, przez co wyglądała młodziej i jednocześnie starzej niż do tej pory. Nie bardzo mogłem zrozumieć, co do mnie wykrzykuje, nachyliłem się więc, aby ją lepiej słyszeć.

– Niewinna! Ona była niewinna!

Nie był to odpowiedni moment na to, aby jej wyjaśniać, że to nie ja sądziłem Morwenę, skinąłem więc tylko głową.

– Zabrała mi Stachysa, a teraz nie żyje! Rozumiesz? Była niewinna, a teraz ja jestem szczęśliwa!

Ponownie skinąłem głową i jeszcze raz obszedłem szafot.

– To ja ją zabiłam, nie ty! – wrzasnęła Eusebia.

– Jak sobie życzysz! – odkrzyknąłem.

– Niewinna! Znałam ją, zawsze była taka ostrożna! Na pewno przygotowała sobie jakąś truciznę. Umarłaby, zanim byś się do niej zabrał!

Hethor chwycił ją za ramię i wskazał na mnie.

– To mój pan! Mój własny, najwłaśniejszy!

– A więc zbrodnię popełnił ktoś inny albo może obaj rzeczywiście umarli z powodu choroby...

– Tylko sam Demiurg może wymierzać ostateczną sprawiedliwość! – zawołałem.

Tłum nadal hałasował, choć już nie tak bardzo, jak zaraz po egzekucji.

– Zabrała mi Stachysa, a teraz nie żyje! Wspaniale! – I jeszcze głośniej: – Och, jakże cudownie!

Wykrzyknąwszy te słowa, Eusebia zanurzyła twarz w bukicie, jakby pragnąc napełnić płuca słodkim aromatem róż, ja zaś wrzuciłem głowę Morwenny do przeznaczonego na to kosza, po czym wytarłem ostrze miecza strzępem szkarłatnej tkaniny, który podał mi Jonas. Kiedy ponownie spojrzałem na Eusebię, leżała bez życia na ziemi, otoczona kręgiem gapiów.

Wówczas nie poświęciłem temu wydarzeniu większej uwagi, przypuszczając, że zapewne serce kobiety nie wytrzymało nadmiaru uniesień. Jednak później tego samego dnia alkad polecił miejscowemu felczerowi dokładnie zbadać bukiet i okazało się, że kwiaty były nasączone niewiadomego pochodzenia silną trucizną. Przypuszczam, iż Morwenna, wchodząc na szafot, ścisnęła w dłoni fiolkę z trucizną i zdołała spryskać nią bukiet, kiedy po napiętowaniu rozpalonym żelazem oprowadzałem ją dookoła pomostu.

Pozwólcie, że teraz przerwę na chwilę mą opowieść i zwrócę się bezpośrednio do was, mimo że kto wie, czy nie dzieli nas przepaść niewyobrażalnych eonów. Choć wydarzenia, które do tej pory opisałem – od zamkniętej bramy nekropolii do festynu w Saltus – obejmują większą część mego dorosłego życia, te zaś, które niebawem przedstawię, rozegrały się w ciągu zaledwie kilku miesięcy, to odnoszę wrażenie, jakbym nie dotarł jeszcze nawet do połowy historii. Ponieważ nie chcę, aby wypełniła ona bibliotekę jeszcze większą od tej, w której poznałem starego Ultana, będę pomijał wiele wydarzeń. Wspomniałem o egzekucji Agilusa, brata Agii, ponieważ ma ona wielkie znaczenie dla dalszego rozwoju wydarzeń, oraz o zgładzeniu Morwenny, gdyż śmierci tej kobiety towarzyszyły ze wszech miar niezwykle okoliczności, nie będę natomiast opowiadał o innych egzekucjach, chyba że z takich lub innych powodów któraś z nich miałaby okazać się dla was interesująca. Tak więc jeśli lubujecie się w opisach cierpień i śmierci, nie znajdziecie w mojej opowieści tego, co sprawia wam rozkosz. Powiem tylko, że złodzieja bydła spotkało z mojej ręki to, co miało go spotkać. Czytając relację z mojej dalszej wędrówki, musicie pamiętać, że wykonywałem zawód, którego mnie nauczono, wszędzie tam, gdzie mogłem odnieść z tego jakąś korzyść, choć w samej relacji pomijam te sprawy

milczeniem.

rozdział 5

Granica

Tego wieczoru Jonas i ja jedliśmy kolację w pokoju. Przekonałem się na własnej skórze, że przyjemnie jest być popularnym i powszechnie znanym, ale na dłuższą metę jest to bardzo męczące i człowiekowi szybko nudzi się odpowiadanie w kółko na te same prymitywne pytania i grzeczne odrzucanie pijackich zaproszeń.

Między mną i alkadem doszło do drobnego nieporozumienia w kwestii zapłaty za moją pracę. Ja zrozumiałem naszą umowę w ten sposób, że oprócz zaliczki, którą dostałem dwa dni temu, otrzymam także pełną stawkę za każdego klienta zaraz po jego śmierci, podczas gdy zdaniem alkada miałem dostać wynagrodzenie za wszystkich trzech razem, kiedy skończę z ostatnim. Na coś takiego nigdy bym się nie zgodził, a szczególnie po tym, co usłyszałem od zielonego człowieka (przez wzgląd na lojalność wobec Vodalusa nikomu nie zdradziłem otrzymanej od niego informacji). Kiedy jednak zagroziłem, że nie zjawię się na placu nazajutrz po południu, alkad natychmiast przystał na moje warunki i rozstaliśmy się w zgodzie.

Teraz siedziałem z Jonaszem nad półmiskiem dymiącego mięsiwa i butelką wina, zamknąwszy uprzednio drzwi na skobel i pouczywszy karczmarza, że ma nikomu nie mówić, iż przebywam pod jego dachem. Byłbym zupełnie spokojny, gdyby nie to, że wino w moim kubku przywiodło mi na myśl bolesne wspomnienia o znacznie szlachetniejszym trunku, jaki Jonas znalazł w dzbanie minionego wieczoru, zaraz po tym, jak potajemnie wydobylem Pazur z ukrycia, aby mu się przyjrzeć.

Jonas chyba obserwował mnie, kiedy tak wpatrywałem się w powierzchnię bladoczerwonego płynu, gdyż także nalał sobie wina i powiedział:

– Pamiętaj, że nie jesteś odpowiedzialny za wyroki. Gdybyś tu nie przybył, oni i tak musieliby ponieść karę, a kto wie, czy nie zaznaliby większych cierpień, gdyby trafili w mniej sprawne ręce.

Zapytałem go, o czym właściwie mówi.

– Widzę, że rozmyślasz nad tym, co się dzisiaj zdarzyło.

– Moim zdaniem wszystko poszło jak należy.

– Wiesz, co powiedziała ośmiornica po wyjściu z łóżka syreny? „Nie neguję twoich umiejętności, wręcz przeciwnie, ale sprawiasz wrażenie, jakby trochę brakowało ci poczucia humoru”.

– Po egzekucji zawsze jesteśmy nieco przygnębieni – w każdym razie tak powiadał mistrz Palaemon, a ja przekonałem się na własnej skórze, że miał rację. Nazywał to psychologiczną reakcją wywołaną przez bodźce mechaniczne, co wówczas uważałem za oksymoron, ale teraz już nie jestem tego taki pewny. Widziałeś wszystko, czy może byłeś zbyt zajęty?

– Prawie przez cały czas stałem na stopniach szafotu.

– A więc miałeś dobry widok i z pewnością zauważyłeś, jak wszystko gładko poszło, kiedy postanowiliśmy nie czekać na krzesło. Moje umiejętności zyskały aplauz i podziw, co jednak nie zmienia faktu, że jestem teraz bardzo zmęczony. Mistrz Palaemon często opowiadał o czymś, co nazywał melancholią tłumu i melancholią sądu. Podobno niektórzy z nas są podatni na jedną z nich, inni wcale, a jeszcze inni na obie. Cóż, wygląda na to, że ja cierpię na melancholię tłumu. Nie przypuszczam, żebym w Thraksie miał kiedykolwiek okazję przekonać się, czy jestem podatny także na melancholię sądu.

– A na czym ona właściwie polega? – zapytał Jonas, podnosząc kubek do ust.

– Załóżmy, że jakiś kat – na przykład mistrz naszej konfraterni, przebywający na stałe w Cytadeli – często spotyka się z ludźmi należącymi do najwspanialszych arystokratycznych rodów. Jeżeli wśród więźniów zjawi się niespodziewanie człowiek takiego właśnie pochodzenia, którego w dodatku podejrzewa się o skrywanie niezwyklej wagi informacji, to należy się spodziewać, że do pracy nad nim zostanie skierowany właśnie ów mistrz, o którym już wspomniałem. Rozmawiając z więźniem, zadając mu setki pytań, widując się z nim kilka razy dziennie, zaczyna wreszcie podświadomie troszczyć się o jego zdrowie i wygodę, tym bardziej że czuje, iż dzięki niemu on sam znajduje się w centrum uwagi.

– Więc kiedy to się kończy, czuje rozczarowanie. Tak, chyba potrafię

to sobie wyobrazić.

– Czy nigdy nie byłeś świadkiem publicznej egzekucji, podczas której kata zawiodły umiejętności?

– Nie. Może zjesz jeszcze trochę mięsa?

– Ani ja, ale wielokrotnie o tym słyszałem i dlatego tak bardzo się niepokoiłem. Czasem klientowi udawało się zerwać pęta i umknąć w tłum, czasem trzeba było kilku ciosów mieczem, aby oddzielić głowę od ciała, kiedy indziej znowu kat tracił wiarę w swoje siły i nie był w stanie doprowadzić ceremonii do końca... Wskakując na szafot, nie mogłem wiedzieć, czy za chwilę nie przydarzy mi się jedna z tych rzeczy. Gdyby tak się stało, to byłby dla mnie koniec.

– „Mów sobie, co chcesz, ale to okropny sposób zarabiania na życie”, powiedział ciernisty krzak do dzierzby.

– Doprawdy, nie wiem, co... – Umilkłem, gdyż zauważyłem jakieś poruszenie w drugiej części pokoju. W pierwszej chwili pomyślałem, że to szczur, i wstrząsnąłem się z obrzydzenia, ponieważ odczuwam do tych stworzeń ogromną niechęć – prawdopodobnie dlatego, że często atakowały i dotkliwie kąsały klientów w lochach pod naszą wieżą.

– O co chodzi?

– Coś białego. – Wstałem z krzesła i obszedłem stół dookoła. – Kartka. Ktoś wsunął pod drzwi list do jednego z nas.

– Zapewne kolejna kobieta, która chciałaby się z tobą przespać – mruknął Jonas, ale ja już podniosłem kartkę z podłogi. Była zapisana delikatnym kobiecym pismem. Zbliżyłem ją do świecy, aby zapoznać się z treścią listu.

Najdroższy Severianie!

Od jednego z życzliwych mi ludzi dowiedziałam się, że przebywasz obecnie w wiosce Saltus, niedaleko stąd. W pierwszej chwili pomyślałam, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, ale potem doszłam do wniosku, że muszę skorzystać z okazji i przekonać się, czy mi wybaczysz.

Przysięgam, że nie z własnej woli sprowadziłam na Ciebie cierpienia, przez które bez wątpienia przeszedłeś. Od początku chciałam, żebyś o wszystkim wiedział, ale pozostali nie zgodzili się na to, uważając, że w sprawę mogą być wprowadzeni jedynie ci, których wiedza i udział są absolutnie niezbędne (czyli wyłącznie oni). Upierałam się, ale dali mi wyraźnie do zrozumienia, że jeśli nie będę im całkowicie posłuszna, to odstąpią od swoich zamiarów i pozwolą

mi umrzeć. Wiedziałam, że jesteś gotów oddać za mnie życie, odważyłam się więc mieć nadzieję, iż nie zawahasz się także dla mnie cierpieć. Wybacz mi, Severianie.

Teraz jestem już daleko i cieszę się prawie całkowitą wolnością – mogę być panią samej siebie, pod warunkiem, że będę przestrzegająca prostych i bardzo ludzkich wskazówek, jakich udzielił mi dobry Ojciec Inire. Opowiem Ci wszystko w nadziei, że kiedy to przeczytasz i poznasz całą prawdę, przebaczysz mi.

Wiesz już o moim aresztowaniu, pamiętasz też z pewnością, jak bardzo mistrz Gurloes dbał o moje wygody i jak często odwiedzał mnie w mojej celi lub kazał prowadzić na górę, gdzie przesłuchiwał mnie wraz z innymi mistrzami. Czynił to dlatego, ponieważ mój patron, dobry Ojciec Inire, polecił mu mieć mnie pod szczególną opieką.

Kiedy wreszcie stało się jasne, że Autarcha nie zamierza mnie uwolnić, Ojciec Inire postanowił uczynić to na własną rękę. Nie wiem, jakie groźby skierowano pod adresem mistrza Gurloesa ani jakie poczyniono obietnice, ale okazały się one wystarczające, gdyż na kilka dni przed moją śmiercią – a raczej przed tym, co Ty miałeś uważać za moją śmierć, Najdroższy Severianie – wyjaśnił mi, jak całe przedsięwzięcie zostało zaaranżowane. Rzecz jasna nie wystarczyło mnie po prostu uwolnić; musiało to nastąpić w taki sposób, aby nikomu nie przyszło do głowy wszczynać jakiegokolwiek poszukiwania. Powinnam więc umrzeć, choć instrukcje, jakie otrzymał mistrz Gurloes, kategorycznie nakazywały mu zachować mnie przy życiu.

Teraz z pewnością sam będziesz mógł odtworzyć ścieżkę, którą posuwaliśmy się w gąszczu przeszkód. Postanowiono, że zostaną poddana działaniu urzędnika niepozostawiającego żadnych śladów na ciele, a mistrz Gurloes wcześniej dokona w nim pewnych przeróbek, dzięki którym nie będę czuła bólu. Później, udając wielkie cierpienie, miałam poprosić Cię, byś pomógł mi je skrócić. Wszystko odbyło się zgodnie z planem: dałeś mi nóż, ja zrobiłam nim płytkie nacięcie na ramieniu i wycisnęłam nieco krwi na podłogę tuż przy drzwiach, a następnie rozsmarowałam ją sobie na szyi i położyłam się na łóżku, gdzie mnie znalazłeś, pozornie bez życia.

Czy dobrze udawałam? Leżałam bez ruchu, z zamkniętymi oczami, ale doskonale wyczuwałam Twój ogromny ból. Bałam się, że zauważysz łzy, które cisnęły mi się do oczu. Kiedy wreszcie usłyszałam Twoje oddalające się kroki, wstałam, opatrzyłam sobie

ramię i umyłam twarz oraz szyję. Wkrótce potem zjawił się mistrz Gurloes, by wyprowadzić mnie z lochów. Wybacz mi.

Teraz znowu będę mogła Cię ujrzeć, a jeżeli Ojciec Inire uzyska dla mnie przebaczenie – co mi solennie przyrzekł – wówczas będziemy mogli już na zawsze pozostać razem. Musisz jednak przybyć do mnie jak najprędzej, gdyż oczekuję na przyjazd jego wysłannika. Kiedy się zjawi, polecę z nim do Domu Absolutu, by rzucić się do stóp Autarchy, którego imię jest kojącym balsamem na rany jego poddanych.

Zachowaj całą rzecz w tajemnicy i skieruj się na północny wschód od Saltus. Kiedy napotkasz strumień płynący w kierunku Gyoll, idź pod jego prąd tak długo, aż dotrzesz do wylotu kopalnianego szybu, z którego wypływa.

Teraz zdradzę Ci wielką tajemnicę, pod warunkiem jednak, że zachowasz ją dla siebie: ta kopalnia stanowi tajny skarbiec Autarchy. Zgromadził w niej wielkie ilości złotych monet, sztab oraz szlachetnych kamieni, na wypadek gdyby kiedyś został zrzucony z Tronu Feniksa. Strzegą jej słudzy Ojca Inire, ale Ty nie musisz się ich lękać, gdyż są mi posłuszni, a ja im poleciłam, by Cię przepuścili, nie czyniąc żadnych przeszkód. Znalazłszy się w kopalni, idź dalej wzdłuż strumienia tak długo, aż wreszcie ujrzysz wielki głaz, pod którym znajduje się jego źródło. Tutaj piszę teraz ten list i tutaj będę na Ciebie czekać w nadziei, że zdołasz wybaczyć mi to, co uczyniłam.

Twoja Thecla

Nie jestem w stanie opisać ogromnej radości, jaka mnie ogarnęła. Natychmiast zacząłem czytać list po raz drugi, a Jonas, który najpierw zerwał się z krzesła – widocznie obserwując moją twarz, doszedł do wniosku, że za chwilę zemdleję – teraz cofnął się o krok, jakby nagle zobaczył przed sobą szaleńca. Kiedy wreszcie złożyłem list i schowałem go do sakwy, nie zasypał mnie pytaniami (po raz kolejny udowadniając, że naprawdę jest moim przyjacielem), lecz spojrział na mnie z wyrazem twarzy mającym oznaczać, że w każdej chwili mogę liczyć na jego pomoc.

– Potrzebuję twojego wierzchowca – powiedziałem. – Mogę go wziąć?

– Bardzo proszę, ale...

Ja jednak już otwierałem drzwi.

– Nie możesz ze mną jechać. Jeśli wszystko potoczy się pomyślnie, dopilnuję, aby do ciebie wrócił.

Popędziłem w dół po schodach i wypadłem na podwórze, a w uszach

dźwięczał mi głos Thecli przemawiającej do mnie słowami listu. Kiedy dotarłem do stajni, byłem już naprawdę szalony. Rozejrzałem się w poszukiwaniu klaczy Jonasa, jednak zamiast niej ujrzałem ogromnego rumaka, któremu ledwo sięgałem głową do grzbietu. Nie miałem pojęcia, kto mógłby przybyć na takim wierzchowcu do tej spokojnej wioski, i szczerze mówiąc, wcale się nad tym nie zastanawiałem. Bez namysłu wskoczyłem na niego, obnażyłem Terminus Est i jednym ruchem przeciąłem wodze, którymi był przywiązany do palika.

Nigdy nie widziałem równie wspaniałego rumaka. Wystarczył jeden sus, byśmy znaleźli się na podwórku, a po drugim byliśmy już na ulicy. Przez mgnienie oka lękałem się, że zwierzę może zaczepić nogą o którąś z linek napinających płócienne ścianki straganów i namiotów, ale moje obawy okazały się bezpodstawne, gdyż poruszało się zgrabnie jak tancerz. Ulica wiodła na wschód, ku rzece. Jak tylko minęliśmy ostatnie zabudowania, skierowałem rumaka w lewo. Przesadził jakiś mur z taką samą łatwością, z jaką chłopiec przeskakuje leżący na ziemi patyk, i pogalopował przez rozległe pastwisko, na którym stało bydło skąpane w zielonym świetle księżyca.

Nawet teraz jestem marnym jeźdźcem, wtedy zaś byłem jeszcze gorszym. Myślę, że pomimo głębokiego siodła runąłbym na ziemię, zanim jeszcze pokonaliśmy pierwsze pół mili, gdyby nie to, że mój rumak, choć pędził z ogromną szybkością, sunął gładko jak łódź po spokojnej wodzie. Przypuszczam, iż wyglądaliśmy jak wielki rozmazany cień: on czarny jak smoła i ja w moim fuliginowym płaszczu. Zwolnił nieco dopiero wtedy, kiedy z donośnym chlupotem wpadliśmy w koryto strumienia, o którym Thecla wspominała w liście. Wzdłuż strumienia nie biegła żadna ścieżka, musiał więc brnąć przez wodę, co chyba niezbyt mu odpowiadało, gdyż co chwila potrząsał głową i gniewnie parskał. Niebawem zagłębiliśmy się w gęsty las, bardzo podobny do tego, przez jaki wędrowaliśmy z Jonaszem, kiedy przy Bramie Żalu spanikowany tłum oddzielił nas od doktora Talosa i reszty trupy, i wkrótce zaczęliśmy piąć się w górę, pokonując spienione kaskady i głębokie skalne baseny pełne krystalicznie czystej zimnej wody.

Kiedy minęła mniej więcej jedna wachta, brzegi stały się wyższe i bardziej poszarpane, drzewa zaś mniejsze i pokręcone. W strumieniu trafiało się coraz więcej głazów o równych, obrobionych ręką człowieka krawędziach, co świadczyło o tym, że znaleźliśmy się na terenach górniczych i że pod nami prawdopodobnie ciągną się wyżłobione w skale tunele, tworzące sieć ulic wielkiego podziemnego miasta.

Musieliśmy pokonywać coraz większą stromiznę. Mimo ogromnej siły i sprawności mój rumak kilkakrotnie poślizgnął się na kamieniach, więc w pewnej chwili zsiadłem z niego i dalej poprowadziłem go za wodze. Posuwając się w ten sposób, minęliśmy kilka czarnych wylotów tuneli, z których wnętrza dobiegał jedynie szum płynącej wody. Poza tym wypełniała je niezmacona niczym cisza.

Wreszcie weszliśmy w coś w rodzaju bardzo wąskiego i głębokiego wąwozu. W odległości około łańcucha przed nami dostrzegłem zamykającą go pionową ścianę, w niej zaś ciemny otwór, przypominający rozdziawione usta przerażonego olbrzyma, z którego niczym strużka śliny wypływał nasz strumień. Udało mi się znaleźć na tyle duży kawałek suchego gruntu, żeby zmieścił się na nim mój wierzchowiec; zaprowadziłem go tam i przywiązałem resztki wodzy do pnia skarłowaciałego drzewka.

Kiedyś bez wątpienia do kopalni prowadził drewniany mostek, lecz teraz nie pozostało po nim nawet wspomnienie. Choć w zielonym blasku księżyca wydawało się, że pionowa ściana jest nie do pokonania, to po dokładniejszych oględzinach dostrzegłem w niej wykute zagłębienia, które mogły dać oparcie rękom i stopom. Postanowiłem z nich skorzystać i rozpocząłem wspinaczkę po skalnym urwisku, tuż obok spienionej kaskady.

Kiedy dotarłem do wylotu tunelu, odniosłem wrażenie, że za moimi plecami rozległ się jakiś odgłos. Znieruchomiałem i ostrożnie odwróciłem głowę. Szum spadającej wody powinien był zagłuszyć każdy dźwięk mniej donośny od sygnału myśliwskiego rogu lub huku eksplozji, ale mimo to nadal wydawało mi się, iż coś niezwykłego dotarło do moich uszu.

W wąwozie panował całkowity spokój. Oczekałem jeszcze kilka oddechów, po czym doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie usłyszałem przytłumiony stukot podków mojego wierzchowca, dającego w ten sposób wyraz zniecierpliwieniu. Nie zwlekając dłużej, podciągnąłem się na rękach i skryłem w nieprzeniknionym mroku wypełniającym wejście do kopalni. Później okazało się, że ocaliło mi to życie.

Każdy rozsądny człowiek na moim miejscu zabrałby ze sobą lampę i duży zapas świec, mnie jednak na wiadomość o tym, że Thecla żyje, ogarnęło tak wielkie podniecenie, iż wyruszyłem bez żadnego przygotowania. Musiałem więc iść w ciemności. Po dziesięciu krokach resztki rozproszonego blasku księżyca wpadającego przez wykute

w skale wejście zniknęły za moimi plecami. Brnąłem po kolana w wodzie, niosąc Terminus Est przewieszony przez lewe ramię. Nie obawiałem się, że jego ostrze zanurzy się w strumieniu, gdyż tunel był tak niski, że musiałem posuwać się niemal zgięty wpool. Szedłem w ten sposób bardzo długo, przez cały czas lękając się, że zmyliłem drogę, że Thecla czeka na mnie gdzie indziej i że czeka na próżno.

rozdział 6

Błękitne światło

Tak bardzo przyzwyczailem się do szumu lodowatej wody, że gdybyście mnie zapytali, to powiedziałbym, że szedłem w zupełnej ciszy. Jednak w rzeczywistości wcale tak nie było, a kiedy nagle ciasny tunel rozszerzył się do rozmiarów obszernej komory, to pomimo ciemności dowiedziałem się o tym niemal natychmiast, ponieważ barwa muzyki strumienia uległa zmianie. Postąpiłem jeszcze kilka kroków naprzód, po czym ostrożnie się wyprostowałem, ale moja głowa nie napotkała skalnego sklepienia. Wyciągnąłem rękę w górę – bez rezultatu. Chwyciłem Terminus Est za onyksową rękojęć i podniosłem go najwyżej, jak mogłem – to samo.

A potem zrobiłem coś, co wy, czytający teraz moją relację, z pewnością uznacie za głupotę. Musicie jednak pamiętać, iż zapewniono mnie, że pilnujące kopalni strażę zostały zawiadomione o moim przybyciu i miały nie czynić mi żadnych przeszkód.

Wykrzyknąłem głośno imię Thecli.

– Thecla... Thecla... Thecla... – odpowiedziało mi echo, po czym znowu zapadła cisza.

Przypomniałem sobie, że powinienem dotrzeć aż do miejsca, w którym strumień wypływa spod skały. Przypuszczalnie tutaj, pod ziemią, miał co najmniej równie urozmaicony przebieg jak na powierzchni. Ruszyłem ostrożnie naprzód, najpierw badając teren wysuniętą stopą.

Nie zdążyłem zrobić nawet pięciu kroków, kiedy poprzez szept wartko płynącej wody usłyszałem jakiś daleki, ale wyraźny odgłos, a zaraz potem ujrzałem światło.

Nie przypominało szmaragdowego odbicia baśniowych lasów Księżycy, szkarłatnego płomienia pochodni, złotego blasku świecy ani

nawet oślepiającego snopu jaskrawego białego światła, jaki widywałem czasem nocą, kiedy ślizgacze Autarchy przemykały nad Cytadelą, tylko raczej rozjarzoną mgłą, chwilami pozbawioną barwy, a chwilami jakby żółtozieloną. Nie byłem w stanie określić, jaka odległość dzieli mnie od tego zjawiska ani czy ma ono jakiś kształt. Przez pewien czas migotało przede mną, a kiedy ruszyłem w jego stronę, brnąc w strumieniu, obok pojawiło się drugie, niemal identyczne.

Bardzo trudno jest mi skoncentrować się na wydarzeniach, jakie zaraz potem nastąpiły. Z pewnością w podświadomości każdego z nas tkwią najbardziej przerażające chwile jego życia, podobnie jak na najniższych poziomach lochów w naszej wieży mieszkali ci klienci, których umysły już dawno zostały zniszczone bądź też przeistoczyły się w coś zupełnie nieludzkiego. Podobnie jak ci nieszczęśnicy, nasze ponure wspomnienia wyją przeraźliwie i łomoczą łańcuchami o ściany, lecz niezwykle rzadko są wyprowadzane na światło dzienne.

Przeżycia, jakie stały się moim udziałem we wnętrzu góry, pozostały ze mną tak jak one i podobnie jak tamte wspomnienia staram się je trzymać w najgłębszych lochach pamięci, lecz mimo to od czasu do czasu przypominają mi o swoim istnieniu. (Nie tak dawno temu, kiedy „Samru” unosiła się na wodzie blisko ujścia Gyoll, spojrzałem nocą za burzę; wiosła za każdym zanurzeniem pozostawiały na powierzchni rzeki fosforyzujące bezkształtne ślady, a mnie przez chwilę wydawało się, że to są te podziemne ognie, którym wreszcie udało się mnie dopaść. Co prawda teraz wykonują moje rozkazy, lecz niewielka to dla mnie pociecha).

Jak już powiedziałem, obok pierwszego światła pojawiło się drugie, a wkrótce potem także trzecie i czwarte. Po pewnym czasie było ich już tak wiele, że nie mogłem ich zliczyć, jednak ponieważ nie wiedziałem, czym naprawdę są, znajdowałem w ich obecności otuchę, wyobrażając sobie, że każdy ze świetlnych punktów to pochodnia lub lampa nieznanego rodzaju, trzymana przez jednego ze strażników, o których Thecla wspominała w liście. Po kilku kolejnych krokach zorientowałem się, że światełka układają się we wzór przedstawiający strzałę bądź też grot włóczni skierowany w moim kierunku. Usłyszałem też coś w rodzaju stłumionego ryku, bardzo podobnego do tego, jaki dobiegał z Niedźwiedziej Wieży w porze karmienia zwierząt. Przypuszczam, że nawet wtedy udałoby mi się uciec, gdybym natychmiast zawrócił.

Ja jednak tego nie uczyniłem. Ryk przybrał na sile, dzięki czemu mogłem się zorientować, że wbrew pozorom nie przypomina ani

odgłosów wydawanych przez dzikie zwierzęta, ani pomruku wzburzonego tłumu. Przekonałem się także, iż plamy światła wcale nie są takie bezkształtne, jak wydawało mi się z oddali, lecz mają postać nieregularnych pięcioramiennych gwiazd.

Dopiero wtedy zatrzymałem się, ale było już za późno.

Niepewny migoczący blask rzucający przez tajemnicze kształty stał się wystarczająco jasny, bym mógł zacząć dostrzegać otaczające mnie przedmioty w postaci niepokojących cieni. Po prawej i po lewej stronie miałem ogromne skalne bloki, których regularne krawędzie świadczyły o tym, że zostały ociosane przez człowieka. Odniosłem wrażenie, że znalazłem się w podziemnym mieście, zmiażdżonym ciężarem wznoszącej się nad nim góry, z którego mieszkańcy Saltus wydobywali pogrzebane bogactwa. Między blokami w równych odstępach stały przysadziste kolumny, przywodzące na myśl stosy opałowego drewna, w których każdy pniak, choć posiadający własną postać, zdaje się służyć jedynie temu, aby wraz z innymi utworzyć większą całość. Lśniły one lekko odbitym blaskiem poruszających się gwiazd, czyniąc go nie tylko mniej groźnym, ale zarazem piękniejszym.

Przez chwilę zastanawiałem się, czym one mogą być, a potem przeniosłem spojrzenie na pięcioramienne gwiazdy i po raz pierwszy naprawdę je zobaczyłem. Czy kiedykolwiek zdarzyło się wam podążać nocą w kierunku tego, co uważaliście za oświetlone okno samotnej chaty, a po dotarciu na miejsce przekonaliście się, że stoicie u podnóża ogromnej fortecy? Albo czy poślizgnęliście się kiedyś podczas wspinaczki, a odzyskawszy równowagę i spojrzawszy w dół, zobaczyliście przepaść stukrotnie głębszą, niż się spodziewaliście? Jeśli tak, to możecie mieć niejaki wyobrażenie o tym, co czułem. Gwiazdy nie były plamami światła, lecz ludźmi, których małymi uczynił ogrom miejsca, w jakim się znajdowali, gdyż skalna pieczara była większa, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać. Ludzie ci – w gruncie rzeczy mało podobni do ludzi, bo zdecydowanie zbyt szerocy w ramionach i dziwnie przygarbieni – pędzili w moją stronę. Ryk, który wcześniej usłyszałem, wydobywał się z ich gardeł.

Zawróciłem, a kiedy przekonałem się, że nie jestem w stanie biec w sięgającej do kolan wodzie, wspiałem się na brzeg, na którym wznosiły się wielkie skalne bloki. Zajęło mi to jednak tyle czasu, że kiedy wreszcie się tam znalazłem, świecące stwory okrążyły mnie ze wszystkich stron, odcinając drogę ucieczki.

Były okropne, choć nie jestem pewien, czy uda mi się dostatecznie

plastycznie oddać ich wygląd. Ich włochate, zgarbione ciała, długie ramiona, krótkie nogi i krótkie karki przypominały małpy. Zakrzywione, ostre zęby, wystające na długość palca pomiędzy grubych warg, przypominały kły smilodona. Jednak ani ich wygląd, ani nawet fluorescencyjne światło, jakim jarzyły się ich futra, nie stały się główną przyczyną mojego przerażenia. Najgorsze były ich twarze, a właściwie ogromne oczy o bladych tęczówkach. Spoglądając w nie, zrozumiałem, że te istoty są ludźmi w takim samym stopniu jak ja. Niczym starcy uwięzieni w umierających ciałach lub kobiety skazane na przebywanie w cielesnych powłokach, których powaby sprawiają, że są obiektem zakusów tysięcy mężczyzn, tak ci ludzie byli zamknięci w ciałach odrażających małp, i doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Widziałem to po ich oczach, a było to tym gorsze, że tylko one nie świeciły tym niesamowitym blaskiem.

Nabrałem powietrza w płuca, by po raz kolejny wezwać Theclę, lecz w tej samej chwili pojąłem, co się stało, zamknąłem usta i obnażyłem Terminus Est.

Jeden z napastników, większy – a przynajmniej odważniejszy – od pozostałych, ruszył na mnie. W muskularnej ręce trzymał krótką maczugę wykonaną z ludzkiej kości udowej. Kiedy znalazł się prawie w zasięgu miecza, zaczął mi nią grozić, uderzając okutą w metal głowicą w lewą dłoń.

Za moimi plecami rozległ się głośny chlupot; odwróciłem się w samą porę, aby ujrzeć innego małpizona brnącego przez wodę w moją stronę. Uskoczył przed ciosem, lecz mimo to udało mi się sięgnąć końcem miecza jego piersi i rozplatać ją na pół.

Upadł, a jego ciało spłynęło z prądem. Wszystko to trwało nie dłużej niż jeden oddech, ale i tak zdążyłem zauważyć, że wszedł do wody z wyraźnym obrzydzeniem i że ograniczała swobodę jego ruchów dokładnie tak samo jak moich. Starając się mieć na oku jednocześnie wszystkich napastników, cofnąłem się do strumienia, po czym powoli ruszyłem w kierunku, z którego przyszedłem. Wiedziałem, że gdyby udało mi się dotrzeć do ciasnego tunelu, to byłbym bezpieczny, ale zdawałem sobie także doskonale sprawę, że atakujący mi na to nie pozwolą.

Ich szeregi coraz bardziej gęstniały, aż wreszcie otaczało mnie co najmniej kilkuset małpoludów. W masie dawali tak dużo światła, iż bez trudu dostrzegłem, że wielkie struktury, które wziąłem za budynki, istotnie nimi były. Wzniesiono je z doskonale dopasowanych

kamiennych bloków, teraz pokrytych grubą warstwą odchodów nietoperzy.

Każda ze stojących między nimi nieregularnych kolumn składała się z wielu wylewanych jedna na drugą warstw metalu – sądząc po kolorze, było to srebro. Kolumny znajdowały się w skupiskach po kilkadziesiąt sztuk, a takich skupisk musiało być w tym podziemnym mieście kilkaset.

Wszystko to dostrzegłem w czasie, jakiego trzeba na wykonanie pół tuzina powolnych, starannie odmierzonych kroków. Kiedy chciałem wykonać siódmy krok, nastąpił atak ze wszystkich stron. Nie miałem czasu na zadawanie czystych ciosów w kark, zataczałem więc tylko mieczem szerokie kręgi, a świst rozcinanego powietrza był tak donośny, że dolatywał aż do wysokiego sklepienia pieczary, odbijał się od niego i wracał zwielokrotnionym echem, dzięki czemu słyszałem go nawet poprzez ryki i wrzaski napastników.

W chwilach takich jak ta przedziwne rzeczy dzieją się z poczuciem czasu. Pamiętam gromadny atak i moje rozpaczliwe ciosy, lecz teraz wydaje mi się, że wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Dwóch, pięciu, dziesięciu małpoludów padło bez życia, aż wreszcie w upiornym blasku ich ciał woda pod moimi nogami wydała się smolście czarna, lecz mimo to impet ataku nie osłabł. Nagle poczułem się tak, jakby pięść olbrzyma trafiła mnie w ramię; Terminus Est wyslizgnął mi się z ręki, a napierające zewsząd ciała zwały mnie z nóg i wepchnęły pod wodę. Jeden z napastników wpił się kłami w moje ramię, ale uczynił to bez specjalnego przekonania, jakby się bał, że pociągnę go za sobą pod wodę i utopię. Korzystając z jego niezdecydowania, wbiłem wyprostowane palce w szerokie nozdrza małpoluda i gwałtownym szarpnięciem złamałem mu kark, mimo że był znacznie twardszy niż u człowieka.

Gdyby wówczas udało mi się wstrzymać oddech na tak długo, bym zdążył dotrzeć pod wodą do tunelu, z pewnością mógłbym uciec. Małpoludy straciły mnie z oczu, ja zaś spokojnie dałem się unieść prądowi. Niestety, poczułem, że jeszcze chwila, a pękną mi płuca, wystawiłem więc twarz nad powierzchnię wody, a one natychmiast rzuciły się na mnie całą gromadą.

Dla każdego człowieka nadchodzi kiedyś chwila, w której powinien umrzeć. Dla mnie taka chwila nadeszła właśnie wtedy. Dni, jakie udało mi się przeżyć od tamtej pory, traktuję jako czysty zysk lub dar, na który niczym sobie nie zasłużyłem. Zostałem pozbawiony broni i straciłem władzę w prawym ramieniu. Małpoludy poczuły się bardzo pewne siebie – i chyba właśnie to ocaliło mi życie – gdyż wszystkie naraz

rzuciły się, aby mnie zabić, wchodząc sobie nawzajem w drogę. Kopnąłem jednego w twarz, drugi natychmiast złapał mnie za nogę; kątem oka dostrzegłem jakiś błysk, odruchowo wyciągnąłem rękę i zacisnąłem palce. Trzymałem w dłoni Pazur Łagodziciela.

Klejnot rozjarzył się niesamowitym błękitnym światłem, jakby wessał w siebie trupioblady poblask włochatych ciał i nasycił go kolorem życia. Na jedno uderzenie serca małpoludy zamarły w całkowitym bezruchu, jakby wsłuchując się w uderzenie ogromnego gongu, a ja uniosłem klejnot wysoko nad głowę. Nie potrafię teraz powiedzieć, dlaczego przypuszczałem, że jego widok wywoła dziką panikę.

Stało się coś zupełnie innego. Małpoludy ani nie uciekły, ani nie wznowiły ataku, lecz cofnęły się o jakieś trzy kroki, a następnie padły na kolana i dotknęły czołami podłogi jaskini. Zapadła cisza równie głucha jak w chwili, kiedy wkroczyłem do pieczary, której towarzyszył jednostajny szum płynącej wody. Tym razem jednak wszystko widziałem: omszałe srebrne kolumny, przy których stałem, i kraniec wielkiej groty, skąd napastnicy nadeszli.

Zacząłem powoli się cofać. Odrażające stworzenia podniosły głowy, a wtedy przekonałem się, że mają zupełnie ludzkie twarze. Jednocześnie zrozumiałem, iż wystające kły, wielkie oczy i płaskie uszy są wynikiem niezliczonych eonów spędzonych w niemal całkowitej ciemności. Mędracy twierdzą, że my także kiedyś byliśmy szczęśliwymi małpami żyjącymi w lasach tak dawno temu pochłoniętych przez pustynie, że nawet żadne ich nazwy nie ocalały. Kiedy umysły wiekowych ludzi otula mgła starości, zaczynają zachowywać się jak dzieci. Czy nie może tak być, że w chwili, kiedy stare słońce ostatecznie zgaśnie, pozostawiając nas w ponurej ciemności, cała ludzkość (niczym stary człowiek) stanie się znowu tym, czym niegdyś była? Przez mgnienie oka ujrzałem naszą przyszłość – a przynajmniej jedną z możliwych wersji przyszłości – i poczułem więcej współczucia dla tych, którzy triumfowali w wielkich bitwach, niż dla tych, którzy bezowocnie wlewali swoją krew w szeroko rozwartą paszczę zbliżającej się nocy.

Jak już powiedziałem, zacząłem powoli się cofać. Wciąż nikt nie próbował mnie zatrzymać. Nagle przypomniałem sobie o Terminus Est; nawet gdybym ratował życie, uciekając z samego środka najbardziej zaciętej walki, nigdy bym sobie nie darował jego utraty. Teraz, kiedy nikt mnie nie atakował, coś takiego wręcz nie mieściło mi się w głowie. Zatrzymałem się, po czym ruszyłem ostrożnie naprzód, rozglądając się w nadziei, że lada chwila ujrzę w błękitnym świetle Pazura znajomy

błysek szlachetnej stali.

Twarze tych dziwnych, podobnych do zwierząt ludzi natychmiast pojaśniały. Domyśliłem się, iż mają nadzieję, że zostanę z nimi, a wraz ze mną błękitny blask Pazura. Teraz, kiedy piszę te słowa, taka perspektywa może wydać się okropna, ale wtedy wcale mi się taka nie wydawała. Na otaczających mnie okropnych twarzach widziałem jedynie podziw i uwielbienie; dlatego właśnie myślę (tak jak pomyślałem wówczas), iż choć pod pewnymi względami ci mieszkańcy podziemnych miast są gorsi od nas, to pod wieloma innymi mogą być znacznie lepsi, gdyż oprócz przekleństwa okropnej powierzchowności ich udziałem stała się także całkowita niewinność.

Przeszukiwałem uważnie koryto strumienia, ale niczego nie znalazłem, mimo że Pazur świecił coraz jaśniej i jaśniej, aż wreszcie cień skalnego zrębu sterczącego ze sklepienia pieczary stał się smoliście czarny i nabrał wyraźnych, ostrych konturów. Zdesperowany, zwróciłem się do przycupniętych na brzegach strumienia małpoludów:

– Mój miecz... Gdzie jest mój miecz? Czy któryś z was go zabrał?

Właściwie nie spodziewałem się, że zostanę zrozumiany, ale jednak tak właśnie się stało. Mieszkańcy podziemi zaczęli coś mamrotać między sobą i dawać mi gestami do zrozumienia, że nie będą już walczyć. Niektórzy wyciągali w moją stronę maczugi i włócznie wykonane z naostrzonych kości, jakby chcieli, żebym im je zabrał.

Wkrótce potem oprócz szmeru wody i mamrotania małpoludów w jaskini dał się słyszeć jeszcze jeden dźwięk. Moi niedawni wrogowie natychmiast umilkli. Gdyby jakiś olbrzym ludożerca spożywał posiłek w najgłębszych otchłaniach Urth, to jego potężne zęby wydawałyby właśnie taki odgłos. Koryto strumienia, w którym nadal stałem, zakołysało mi się pod nogami, a woda, do tej pory krystalicznie czysta, nagle zmętniała. Gdzieś głęboko rozległo się ciężkie stąpanie; równie ciężko mogłyby stąpać tylko wieże Cytadeli w Dzień Sądu, kiedy podobno wszystkie miasta i Urth ożyją, by wyjść na spotkanie Nowego Słońca.

Odgłos powtórzył się.

Ludzie mały poderwali się z miejsc i zgięci wpół przebiegli w odległy koniec pieczary. Poruszali się cicho i zwinnie jak nietoperze, a kiedy oddalili się, Pazur natychmiast przygasł. Tak jak się obawiałem, świecił bardziej dla nich niż dla mnie.

Kiedy rozległ się trzeci krok, światło zupełnie zgasło, ale w ostatniej chwili dostrzegłem Terminus Est leżący na dnie strumienia

w najgłębszej wodzie. W całkowitej ciemności schyliłem się, schowałem Pazur Łagodziciela do buta i wziąłem miecz do ręki. Przy okazji przekonałem się, że odzyskałem władzę w ramieniu, które wydawało się równie sprawne i silne jak przed walką.

Na odgłos czwartego stąpienia odwróciłem się i uciekłem z wyciągniętym przed siebie mieczem, aby nie wpaść na jakąś ukrytą w mroku przeszkodę. Teraz chyba już wiem, co to za stworzenie poruszyło się wtedy w trzewiach kontynentu, ale wówczas tego nie wiedziałem, podobnie jak nie miałem pojęcia, co właściwie je obudziło – wrzaski małpoludów, blask Pazura czy może jakaś inna przyczyna. Zdawałem sobie tylko sprawę, że zbliża się ku nam coś, przed czym ludzie małpy – choć tak liczni i tak przerażający – rozpierzchli się niczym iskry przy pierwszym podmuchu wiatru.

rozdział 7

Zabójcy

Kiedy teraz wspominam drugie przejście przez tunel, wydaje mi się, że zajęło mi ono więcej czasu niż całą wachtę. Moje nerwy chyba nigdy nie były całkowicie w porządku, poddawane bezustannym torturom nielitościwej pamięci, ale wtedy były szczególnie napięte, tak że zrobienie trzech kroków kosztowało mnie tyle, co niejednego całe życie. Rzecz jasna, bałem się. Co prawda odkąd byłem chłopcem, nikt nigdy nie nazwał mnie tchórzem, a wiele osób nawet podziwiała mnie za odwagę – bądź co bądź wykonywałem swoje katowskie obowiązki bez mrugnięcia okiem, walczyłem zarówno w pojedynkach, jak i na wojnie, wspinałem się na urwiste skały, a kilka razy o mało nie utonąłem – ale wydaje mi się, iż różnica między tymi, których określa się mianem odważnych, a tymi, których uważa się za tchórzy, sprowadza się do tego, że pierwsi okazują strach dopiero po pokonaniu niebezpieczeństwa, drudzy zaś przed.

Nikt nie odczuwa lęku podczas nagłego poważnego zagrożenia, gdyż umysł jest wówczas zajęty znajdowaniem dróg wyjścia i obmyśleniem sposobu jego zwalczenia lub uniknięcia. Tchórz jest tchórzem tylko dlatego, że zabrał ze sobą strach przed czymś zupełnie innym. Ci, którzy nie zdążyli tak postąpić, mogą zadziwić nas swoją nadzwyczajną odwagą.

Mistrz Gurloes, którego jako chłopiec uważałem za najbardziej nieustraszonego człowieka na świecie, ponad wszelką wątpliwość był tchórzem. W okresie, kiedy funkcję kapitana uczniów pełnił Drotte, Roche i ja na zmianę obsługiwaliśmy obu naszych mistrzów. Pewnego wieczoru mistrz Gurloes wrócił do swojego pokoju, kazał nalać sobie kubek wina i zaczął mi się zwierzać.

– Severianie, znasz klientkę Ię? To bardzo ładna dziewczyna, córka

zamożnego człowieka.

Jako uczeń nie miałem zbyt wielu kontaktów z klientami, pokręciłem więc przecząco głową.

– Ma zostać pozbawiona czci.

– Tak, mistrzu – odparłem, nie mając najmniejszego pojęcia, do czego zmierza.

– To największa hańba, jaka może kobietę spotkać. Mężczyznę zresztą też. Być pozbawionym czci przez kata.

Położył dłoń na piersi i spojrzał mi w oczy. Jak na tak potężnie zbudowanego człowieka miał zdumiewająco małą głowę; gdyby nosił koszulę albo surdut – czego, rzecz jasna, nigdy nie czynił – łatwo można by nabrać podejrzenia, iż powypychał czymś ramiona.

– Tak, mistrzu.

– Nie proponujesz mi, że zrobisz to za mnie? Taki młody chłopak, pełen wigoru. Tylko nie mów mi, że jeszcze nie możesz.

Dopiero wtedy zrozumiałem, co ma na myśli, i powiedziałem, że jako uczeń nie zdawałem sobie sprawy, iż takie zastępstwo jest możliwe, ale jeśli wyda mi rozkaz, to z pewnością go wypełnię.

– No myślę. Naprawdę jest niezła. Ale wysoka, a ja nie lubię wysokich. Możesz być pewien, że wśród przodków ma nieprawego potomka jakiegoś arystokraty. Krew mówi sama za siebie, jak powiadają, choć tylko my wiemy, co to naprawdę oznacza. Więc jak, masz ochotę?

Wyciągnął ku mnie kubek, a ja nalałem do pełna.

– Jeżeli taka jest twoja wola, mistrzu...

W rzeczywistości zapaliłem się do tego pomysłu. Jeszcze nigdy nie miałem kobiety.

– Tobie nie wolno, a ja mam obowiązek. Poza tym przecież muszę podpisać odpowiednie dokumenty. Jestem mistrzem tego bractwa od dwudziestu lat i jeszcze nigdy nie sfalszowałem żadnych i dokumentów. Pewnie sądzisz, że nie dam rady?

Taka myśl nawet nie przeszła mi przez głowę, podobnie jak ani przez chwilę nie podejrzewałem, że mistrz Palaemon, którego siwe włosy, zgarbione plecy i słaby wzrok czyniły go w oczach uczniów znacznie starszym, niż w istocie był, mógłby coś takiego zrobić.

– No to popatrz – powiedział mistrz Gurloes i dźwignął się z krzesła.

Należał do tych, którzy potrafią jasno się wysławiać i prosto chodzić nawet wtedy, kiedy są zupełnie pijani. Podszedł pewnym krokiem do kredensu i wyjął z niego niebieski porcelanowy słój. Przez chwilę wydawało mi się, że naczynie wypadnie mu z rąk, ale nic takiego się nie

stało.

– Jest to rzadko spotykany i bardzo potężny środek – powiedział, zdejmując pokrywę. W środku ujrzałem ciemnobrązowy proszek. – Nigdy nie zawodzi. Kiedyś i ty będziesz musiał z niego skorzystać, lepiej więc, żebyś już teraz dowiedział się o jego istnieniu. Zażyj tylko tyle, ile zmieści ci się pod paznokciem dużego palca, rozumiesz? Jeśli weźmiesz za dużo, przez kilka dni nie będziesz mógł pokazać się ludziom na oczy.

– Zapamiętam, mistrzu.

– Ma się rozumieć to trucizna. Wszystkie te specyfiki to trucizny, a ta jest wśród nich najsilniejsza. Troszkę więcej niż tyle... i już po tobie. Drugi raz wolno ci to zażyć dopiero w następnej fazie księżyca, rozumiesz?

– Może pozwól bratu Corbinianowi, żeby odważył ci odpowiednią porcję, mistrzu.

Brat Corbinian był naszym aptekarzem. Obawiałem się, że lada chwila mistrz Gurloes połknie całą łyżkę groźnego proszku.

– Mnie? Ja tego nie potrzebuję.

Skrzywił się z odrazą, zamknął słoik i odstawił go na półkę w kredensie.

– To wspaniale, mistrzu.

Niespodziewanie mrugnął do mnie.

– Poza tym mam jeszcze to...

Z przytroczonej do pasa sakwy wyjął żelaznego fallusa. Miał około półtorej piędzi długości i był zaopatrzony w szeroki skórzany rzemień.

Zapewne nie będziecie chcieli mi uwierzyć, ale w pierwszej chwili nie bardzo mogłem się zorientować, do czego ten przedmiot miałby służyć, pomimo cokolwiek przesadnego realizmu, z jakim oddano wszystkie szczegóły. Przemknęła mi przez głowę niepokojąca myśl, że nadmiar wina sprawił, iż mistrz Gurloes zaczął zachowywać się jak mały chłopiec, który przypuszcza, że nie ma żadnej różnicy między jego drewnianą zabawką a prawdziwym rumakiem. Zachciało mi się śmiać.

– „Pozbawienie czci”, tak to nazywają. Jak widzisz, nie jesteśmy jednak zupełnie bezradni i możemy się w potrzebie ratować.

Powiedziawszy to, uderzył żelaznym fallusem w otwartą lewą dłoń (dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ludzie mały robili to samo ze swoimi maczugami), a ja wreszcie zrozumiałem, co ma na myśli, i poczułem trudną do opisanego odrazę.

Nie współczułem klientce, ba, nawet w ogóle o niej nie myślałem; w grę wchodziła raczej niechęć do mistrza Gurloesa, który – pomimo

swojej siły i postury – musiał uciekać się do pomocy brązowego proszku albo, co jeszcze gorsze, żelaznego fallusa, który wyglądał tak, jakby odcięto go jakiejś rzeźbie. (Prawdopodobnie tak właśnie się stało). Potem jednak kilkakrotnie byłem świadkiem sytuacji, kiedy musiał natychmiast przystąpić do działania w obawie, że wyrok nie zostanie wykonany, ponieważ klientka nie dożyje tej chwili. Robił to bez proszku, bez żelaznego fallusa i bez najmniejszej trudności.

A więc mistrz Gurloes był tchórzem. Nie jest jednak wykluczone, że to tchórzostwo było czymś lepszym niż odwaga, jaką ja prezentowałbym na jego miejscu, gdyż odwaga wcale nie zawsze musi być cnotą. Walcząc z małpoludami, byłem odważny (przynajmniej według standardów, jakimi się posługujemy, oceniając postawy ludzi w takich jak ta sytuacjach), ale moja odwaga stanowiła jedynie wypadkową połączonego działania ryzykanctwa, zaskoczenia i desperacji. Kiedy wracałem tunelem na powierzchnię, nie mając już żadnych powodów do obaw, bałem się jak nigdy dotąd i kilka razy z pośpiechu o mało nie roztrzaskałem sobie czaszki o niskie sklepienie. Nie zwolniłem jednak kroku dopóty, dopóki nie ujrzałem przed sobą wylotu tunelu, rozjaśnionego błogosławionym światłem księżyca. Dopiero wtedy zatrzymałem się, a uznawszy, że już nic mi nie grozi, wytarłem miecz w połę płaszcza i schowałem go do pochwy.

Następnie przewiesiłem go przez ramię i zacząłem schodzić w dół tą samą drogą, którą dotarłem do wejścia do tunelu, opuszczając się na rękach i wyszukując po omacku nogami wykute w skale wgłębienia. Przebyłem najwyżej jedną trzecią wysokości ściany, kiedy w skałę tuż obok mojej głowy uderzyły dwie strzały. Jedna z nich trafiła w jakąś szczelinę, gdyż pozostała na miejscu, jarząc się słabym blaskiem. Pamiętam, jak bardzo byłem zdumiony, a jednocześnie jak gorąco modliłem się w duchu, aby napastnicy nie mieli kusz, w których po zwolnieniu cięciwy następuje natychmiastowe załadowanie kolejnego pocisku.

Kiedy zaraz potem trzecia strzała uderzyła jeszcze bliżej niż dwie poprzednie, zrozumiałem, że moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Odepchnąłem się od ściany i runąłem w dół, gdyż podejrzewałem, że kolejny strzał mógłby trafić w cel.

Powinienem był się domyślić, że w miejscu, w którym spadający wysoką kaskadą strumień rozbryzgiwał się na skalnej półce, będzie znajdował się głęboki, wyłobiony przez wodę basen. Ponownie zażyłem przymusowej kąpieli, ale ponieważ już i tak byłem mokry, nie sprawiło

mi to żadnej różnicy, a nawet spełniło pozytywną rolę, gdyż woda ugasiła rozżarzone odpryski skał, które utkwily w mojej twarzy i rękach i boleśnie piekły.

Nie miałem najmniejszych szans, by pozostać pod wodą, gdyż silny prąd natychmiast porwał mnie i wypchnął na powierzchnię. Tak się szczęśliwie złożyło, że uczynił to z dala od skalnej ściany, dzięki czemu kiedy wygramoliłem się na brzeg, znalazłem się za plecami napastników, którzy wpatrywali się w miejsce u podnóża skały. Było ich troje: dwóch mężczyzn i kobieta.

– Jestem tutaj, Agio! – zawołałem, po raz ostatni tej nocy obnażając Terminus Est.

Już wcześniej domyśliłem się, że to wszystko jej sprawka, ale kiedy odwróciła się na dźwięk mojego głosu (uczyniła to znacznie szybciej niż towarzyszący jej mężczyźni) i dostrzegłem jej twarz oświetloną blaskiem księżyca, doznałem potwornego wstrząsu, gdyż widok tej straszliwej, a jednocześnie pięknej twarzy oznaczał, że ponad wszelką wątpliwość Thecla nie żyje.

Mężczyzna stojący najbliżej mnie okazał się kompletnym głupcem, ponieważ nie nacisnął od razu na spust, lecz najpierw przyłożył kuszę do ramienia. Uchyliłem się i jednym ciosem miecza zwałem go z nóg, jednocześnie słysząc, jak pocisk wystrzelony przez jego towarzysza przemyka mi nad głową niczym meteor.

Kiedy się wyprostowałem, drugi mężczyzna odrzucił już kuszę i właśnie wyciągał kordelas. Agia i tym razem okazała się szybsza od niego, gdyż zadała cios sztyletem o wąskim ostrzu, zanim on zdążył wyjąć broń z pochwy. Celowała w szyję, ale zdołałem wykonać unik przy pierwszym pchnięciu i sparować drugie, choć Terminus Est nie najlepiej nadawał się do szermierki. Potem zaatakowałem, zmuszając ją, by się cofnęła.

– Zajdź go od tyłu! – krzyknęła do mężczyzny. Nie odpowiedział, tylko szeroko otworzył usta i rozpaczliwie machnął kordelasem. Zanim się zorientowałem, że nie celuje we mnie, między nami przemknęła jakaś lśniaca blaskiem postać, a zaraz potem usłyszałem paskudny odgłos rozłupywania czaszki. Agia odwróciła się zwinnie niczym kot i z pewnością wbiłaby zatrute ostrze w ciało człowieka małpy, ale ja jednym uderzeniem miecza wytrąciłem jej sztylet z dłoni, chwyciłem ją mocno za włosy i gwałtownym szarpnięciem zwałem z nóg, uniemożliwiając ucieczkę.

Małpolud gmerał przy ciele zabitego. Nie wiem, czy szukał łupu, czy

po prostu był zdziwiony jego wyglądem. Oparłem stopę na karku Agii, a wtedy człowiek mała wyprostował się, odwrócił do mnie, padł na kolana i wyciągnął ku mnie jedno ramię, gdyż z drugiego pozostał mu jedynie kikut. Bez trudu rozpoznałem równe cięcie mojego miecza. Małpolud wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem.

– Tak, ja to zrobiłem – powiedziałem. – Bardzo mi przykro. Teraz jesteśmy przyjaciółmi.

Ponownie przemówił, wpatrując się we mnie z tym samym błagalnym wyrazem twarzy. Z kikuta sączyła się jeszcze krew, choć zamieszkujący podziemia ludzie potrafią chyba sami odcinać jej dopływ, gdyż normalny człowiek bez interwencji chirurga już dawno wykrwawiłby się na śmierć.

– Ja uciąłem ci rękę – rzekłem jeszcze raz – ale zrobiłem to podczas walki, zanim zobaczyliście Pazur Łagodziciela.

Dopiero wtedy domyśliłem się, że zapewne ów nieszczęśnik podążał za mną w nadziei na powtórne ujrzenie klejnotu, pokonując lęk przed tym, co poruszyło się w głębi góry obudzone zgiełkiem. Sięgnąłem do buta i wydobyłem Pazur. Kiedy Agia zobaczyła, jak blisko upragnionego klejnotu była, jej oczy zapłonęły chciwością, małpolud zaś zbliżył się jeszcze o krok i wyciągnął przed siebie żalony kikut.

Przez chwilę staliśmy bez ruchu, z pewnością przedstawiając niezwykle widok dla kogoś, kto ujrzałby nas w zielonkawej poświacie księżycy.

– Severianie! – zawołał ktoś z góry. Rozpoznałem głos Jonasa. Czar prysł. Pośpiesznie zacisnąłem dłoń, w której trzymałem Pazur, człowiek mała zniknął w głębokim cieniu między skałami, Agia zaś zaczęła głośno przeklinać i wić się pod moją nogą.

Uciszyłem ją klepinięciem miecza, ale zdjąłem stopę z jej karku dopiero wtedy, kiedy Jonas stanął obok mnie.

– Pomyślałem sobie, że możesz potrzebować pomocy – rzekł. – Widzę jednak, że się myliłem – dodał, spoglądając na ciała mężczyzn, którzy towarzyszyli Agii.

– To nie była prawdziwa walka – odparłem.

Agia usiadła na kamieniu, rozcierając kark i ramiona.

– Było ich czterech i na pewno byśmy cię dostali, gdyby nie to, że woda zaczęła wynosić spod ziemi ciała tych świecących potworów. Dwaj stchórzyli i uciekli.

Jonas podrapał się po głowie metalową ręką.

– A więc wzrok mnie nie mylił, choć byłem już prawie pewien, że

mam omamy.

Zapytałem go, co widział.

– Jakąś istotę w świecącym futrze składającą ci hołd. Zdaje się, że trzymałeś przed nim kubek z płonąłą brandy albo może kadzidło... Co to jest?

Nachylił się i podniósł coś ze skał na brzegu strumienia, gdzie przed chwilą klęczał człowiek małpa.

– Maczuga.

– Tak, widzę. – Przy rękojeści była pętla ze ścięgien jakiegoś zwierzęcia. Jonas założył ją na przegub. – Kim są ci ludzie, którzy próbowali cię zabić?

– Zrobilibyśmy to, gdyby nie jego płaszcz – odezwała się Agia. – Zobaczyliśmy go, jak wychodził z dziury, ale potem okrył go płaszcz i mój człowiek widział tylko jego ramiona.

Wyjaśniłem najkrócej, jak można było, w jaki sposób poznałem Agię i jej brata, oraz opowiedziałem o śmierci Agilusa.

– A więc przyszła tutaj, żeby do niego dołączyć. – Jonas przeniósł spojrzenie z kobiety na zbroczone krwią ostrze Terminus Est, po czym wzruszył ramionami. – Zostawiłem kłacz na górze. Chyba wrócę i sprawdzę, czy nie dzieje się nic złego. Dzięki temu będę mógł później powiedzieć, że nic nie widziałem. Czy to właśnie ta kobieta przysłała ci list?

– Powinienem być od razu się tego domyślić. Kiedyś opowiedziałem jej o Thecli i dlatego mogła napisać ten list. Wyjawiałem jej wszystko w Ogrodach Botanicznych. W liście było sporo błędów oraz słów, których Thecla nigdy by nie użyła, ale czytając go, nie zwróciłem na to uwagi. – Cofnąłem się o krok i wepchnąłem Pazur głęboko do buta. – Chyba rzeczywiście powinieneś zająć się swoim zwierzęciem. Mój rumak uciekł, będziemy więc jechać na zmianę.

Jonas skinął w milczeniu głową i zaczął wspinać się po skale.

– Czekałaś na mnie, prawda? – zapytałem Agię. – I ja, i mój wierzchowiec usłyszeliśmy jakiś dźwięk. Dlaczego mnie wtedy nie zabiłaś?

– Byliśmy tam, na górze. – Wskazała szczyty skał. – Chciałam, żeby zastrzelili cię już wtedy, kiedy brnąłeś przez strumień, ale oni byli głupi i uparci jak wszyscy mężczyźni i powiedzieli, że nie chcą marnować strzał, bo i tak zginiesz z rąk istot zamieszkujących podziemia. Stoczyłam kamień, największy, jaki mogłam poruszyć, ale było już za późno.

– To oni powiedzieli ci o kopalni?

Agia wzruszyła ramionami, a światło księżyca zamieniło jej odkryty kark w coś dużo bardziej cennego i urokliwego od zwykłego ciała.

– Zaraz mnie zabijesz, jakie to więc ma znaczenie? Miejscowi opowiadają różne historie o tym miejscu. Podobno te włochate potwory podczas burzy wychodzą na powierzchnię, kradną zwierzęta, a czasem nawet włamują się do domów i porywają dzieci. Istnieje też legenda, według której strzegą skarbu ukrytego głęboko pod ziemią, dlatego wspomniałam o niej w liście. Pomyślałam sobie, że nawet jeśli nie przyszedłbyś do Thecli, to ta wiadomość skłoni cię do przybycia. Czy mogę odwrócić się tyłem, Severianie? Jeśli nie sprawi ci to różnicy, wolałabym nie widzieć, jak uderzasz.

Kiedy to powiedziała, poczułem, jakby ktoś zdjął mi z barków ogromny ciężar. Nie byłem pewien, czy zdołam zadać cios, patrząc jej w twarz.

Uniosłem miecz, który teraz miał spełnić tę samą rolę, co żelazny fallus mistrza Gurloesa. Wydawało mi się, że chciałem zadać Agii jeszcze jedno pytanie, ale nie mogłem sobie przypomnieć jakie.

– Uderzaj – powiedziała. – Jestem gotowa.

Stałem w rozkroku i wyczułem palcami wyrzeźbioną w osłonie głowę kobiety. Z tej właśnie strony znajdowało się żeńskie ostrze.

– Uderzaj! – powtórzyła Agia.

Ale mnie już nie było w wąwozie.

rozdział 8

Armia Vodalusa

Wracaliśmy do gospody w milczeniu i tak powoli, że zanim dotarliśmy do miasta, nad wschodnim horyzontem niebo zaczęło już szarzeć.

– Nie zabiłem jej – powiedziałem, kiedy Jonas zabrał się do rozsiadania klaczy.

Skinął głową, unikając mojego spojrzenia.

– Patrzyłeś? Powiedziałaś, że nie będziesz.

– Usłyszałem jej głos, kiedy stałaś tuż obok mnie. Myślisz, że spróbuje jeszcze raz?

Zaczekałem, aż odniesie siodło do składziku.

– Tak – odpowiedziałem, kiedy wrócił. – Jestem tego pewien. Nie kazałem jej obiecać, że mnie poniecha, jeśli o to ci chodzi. Zresztą i tak by nie dotrzymała obietnicy.

– Na twoim miejscu zabiłbym ją.

– Tak. Powinienem był to zrobić.

Wyszliśmy razem ze stajni. Zrobiło się już tak jasno, że widzieliśmy studnię na środku podwórza i szerokie drzwi oberży.

– Wcale nie twierdzą, że byłoby to słuszne, tylko że tak właśnie bym uczynił. Wyobraziłbym sobie, że leżę w jakimś brudnym łóżku, zadżgany we śnie, i machnąłbym tym żelastwem. Nie, to nawet na pewno nie byłoby słuszne.

Jonas zamachnął się maczugą pozostawioną na brzegu strumienia przez człowieka małą, niezdarnie naśladowując ruch, jaki wykonuje kat, kiedy pozbawia ofiarę życia. Na głowicę maczugi padło światło, a my zatrzymaliśmy się jak wryci.

Była wykonana z czystego złota.

Żaden z nas nie miał ochoty skorzystać z atrakcji, jakie czekały na tych, którzy wesoło bawili się na festynie przez całą noc. Wróciliśmy do naszego pokoju i zaczęliśmy sposobić się do snu. Jonas chciał podzielić się ze mną złotem, ale odmówiłem, ponieważ do tej pory to ja miałem pieniądze, które otrzymywałem za swoją pracę, i płaciłem za nas obu. Cieszyłem się, że nie będzie już musiał uważać się za mojego dłużnika. Zrobiło mi się wstyd, kiedy zobaczyłem, jak wielkim darzy mnie zaufaniem, ja natomiast ukrywam przed nim Pazur Łagodziciela. Przez chwilę chciałem mu powiedzieć o jego istnieniu, ale ostatecznie zrezygnowałem z tego zamiaru i zdjąłem przesiąknięty wodą but w taki sposób, żeby klejnot pozostał w środku.

Obudziłem się około południa, a upewniwszy się, że Pazur jest na miejscu, przebudziłem Jonasa.

– Na jarmark na pewno przyjechali jacyś jubilerzy, którzy mogą kupić to ode mnie – powiedział. – W każdym razie spróbuję się z nimi potargować. Pójdiesz ze mną?

– Najpierw powinniśmy coś zjeść, a potem muszę zameldować się przy szafocie.

– Z powrotem do roboty?

– Tak.

Mój płaszcz był rozdarty, a buty wciąż wilgotne.

– Daj go do zszycia którejś ze służących. Może nie będzie jak nowy, ale na pewno będzie wyglądał lepiej niż teraz. – Jonas otworzył drzwi. – Chodź, skoro jesteś głodny. Dlaczego masz taką zatroskaną minę?

Kiedy już zasiedliśmy do smacznego posiłku, a żona właściciela naprawiała mój płaszcz w sąsiednim pomieszczeniu, zdałem Jonasowi relację z tego, co zdarzyło się pod ziemią.

– Jesteś dziwnym człowiekiem – odparł.

– Ty jesteś dziwniejszy ode mnie. Przypuszczam, że jesteś tu obcy, choć starasz się to ukryć przed ludźmi.

Uśmiechnął się.

– Miałbym być kakogenem?

– Po prostu cudzoziemcem.

Jonas najpierw pokręcił przecząco głową, a potem niespodziewanie nią skinął.

– Chyba masz rację. Ale ty z kolei dysponujesz talizmanem, dzięki któremu masz władzę nad potworami, i odkryłeś wielkie zapasy srebra,

a mówisz o tym tak, jakbyś opowiadał o pogodzie.

Ugryzłem kęs chleba.

– Zgadzasz się z tobą, że to dziwne, ale ta dziwność bierze się z samego Pazura, nie ze mnie. Jeżeli zaś chodzi o to, w jaki sposób o tym mówię... Cóż, gdybym ukradł twoje złoto, mógłbym je sprzedać i wydać pieniądze, na co zechcę, ale nie wydaje mi się, żeby tak samo było z kimś, kto ukradłby Pazur. Nie wiem, dlaczego tak uważam, ale tak właśnie jest. Zwróć uwagę, że to Agia go ukradła. Co się tyczy srebra...

– I włożyła ci go do kieszeni?

– Do sakwy, którą miałem przytroczoną do pasa. Sądziła, że jej brat i tak mnie zabije, a oni wtedy zażądają wydania mojego ciała, żeby zdobyć Terminus Est i płaszcz. Wszystko z góry zaplanowali. Odzyskałaby także klejnot, a gdyby ktoś wcześniej go znalazł, na nią nie padłby nawet cień podejrzenia. Pamiętam dokładnie...

– Co takiego?

– Peleryny. Zatrzymały nas, kiedy próbowaliśmy uciec z katedry. Jonasie, czy uważasz, że istnieją ludzie, którzy potrafią czytać w myślach?

– Oczywiście.

– Nie wszyscy są tego tacy pewni. Mistrz Gurloes także w to wierzył, natomiast mistrz Palaemon nawet nie chciał o tym słyszeć. Przypuszczam jednak, że główna kapłanka Peleryn opanowała tę sztukę, przynajmniej do pewnego stopnia. Wiedziała, że to Agia coś im zabrała, nie ja, i dlatego kazała ją przeszukać. Potem Peleryny zniszczyły swoją katedrę. Myślę, że właśnie z powodu utraty Pazura. Bądź co bądź była to Katedra Pazura.

Jonas z powagą przytaknął.

– Ale nie o to chciałem cię zapytać. Chodzi mi o te kroki. Wszyscy słyszeli o Erebie, Abaii oraz innych istotach mieszkających w morzu, które pewnego dnia pojawią się na lądzie. Wydaje mi się jednak, że ty wiesz na ten temat więcej od nas.

Twarz Jonasa, do tej pory szczerą i otwartą, zamieniła się w nieprzeniknioną maskę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Ponieważ byłeś żeglarzem, a także ze względu na historię, jaką opowiedziałeś, kiedy przechodziliśmy przez bramę. Z pewnością widziałeś brązową książkę, którą czytałem w pokoju. Opowiada o wszystkich sekretach świata lub przynajmniej o tym, co przeróżni magowie o nich sądzą. Nie przebrnąłem jeszcze przez całą książkę ani

nawet przez połowę – mimo że razem z Theclą czytaliśmy co kilka dni jeden ustęp, a potem o nim dyskutowaliśmy – ale i tak zauważyłem, iż wszystkie zawarte w niej wyjaśnienia są bardzo proste, a niektóre wręcz dziecinne.

– Jak moja opowieść.

Skinąłem głową.

– Twoja opowieść mogłaby pochodzić właśnie z tej książki. Niosąc ją Thecli, przypuszczałem, że jest przeznaczona dla dzieci albo dla dorosłych lubujących się w dziecinnych historiach, ale kiedy Thecla zaczęła mówić o zawartych w książce myślach, zrozumiałem, że musiały zostać wyrażone właśnie w taki sposób, gdyż w przeciwnym razie nikt nigdy by ich nie sformułował. Gdyby autor chciał opisać nowy sposób produkowania wina albo najlepsze pozycje miłosne, mógłby posługiwać się skomplikowanym, a jednocześnie precyzyjnym językiem. W tej książce jednak powiedział o rzeczach, o których naprawdę musiał powiedzieć: „Na początku był tylko heksameron” albo: „Nie jest sztuką ujrzeć martwy obraz, lecz martwość tego, co przedstawia”. To coś, co usłyszałem w głębi góry... Czy było jedną z nich?

– Ja tego nie widziałem – odparł Jonas, wstając z miejsca. – Teraz pójde na plac sprzedać maczugę, ale powiem ci to, co prędzej lub później każda żona powie mężowi: „Zanim zadasz więcej pytań, zastanów się, czy na pewno chcesz poznać odpowiedzi”.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Obiecuję, że już nie będę cię więcej dręczył. Kiedy szliśmy przez bramę, powiedziałaś, że stworzenia, które tam widzieliśmy, to żołnierze Autarchy, i dałeś do zrozumienia, iż mają za zadanie stawić opór Abaii oraz innym potworom. Czy ludzie mały także są takimi żołnierzami? A jeżeli tak, to co mogą zrobić, będąc zaledwie takich samych rozmiarów jak ludzie, przeciwko nieprzyjacielowi wielkości góry? I dlaczego dawni autarchowie nie wybrali ludzi do swojej armii?

Jonas tymczasem zawinął maczugę w jakąś szmatę i teraz stał przy stole, przekładając ją z ręki do ręki.

– To trzy pytania, nie jedno, a tylko na drugie z nich znam pewną odpowiedź. Co do dwóch pozostałych, muszę zdać się na domysły, ale ostrzegam cię, że pamiętam o twojej obietnicy: już nigdy więcej nie będziemy rozmawiać na te tematy. Zacznę od ostatniego pytania. Dawni autarchowie, którzy ani nie byli autarchami w naszym rozumieniu tego słowa, ani nie używali tego tytułu, początkowo tworzyli swoje armie z ludzi. Potem jednak okazało się, że oddziały składające się

z uczłowieczonych zwierząt są wierniejsze od tych, w których służyli ludzie. Nic dziwnego, skoro ludność, która nienawidziła swoich władców, ziała jeszcze większą nienawiścią do tych istot. Dlatego ci żołnierze gotowi byli znosić niewygody i cierpienia, o jakich żaden człowiek nawet nie chciałby słyszeć. Prawdopodobnie właśnie dlatego zlecono im obronę Muru, ale nie można wykluczyć, że istnieje inne wytłumaczenie tego faktu.

Jonas umilkł na chwilę i podszedł do okna, lecz nie spojrzął na ulicę, tylko w górę, na niebo.

– Nie mam pojęcia, czy ludzie mały należą właśnie do tego gatunku stworzeń. Ten, którego widziałem, wydał mi się bardzo podobny do człowieka, jeśli nie liczyć jego futra, jestem więc gotów zgodzić się z tobą, iż mogą to być ludzie, którzy zmienili się z powodu wielowiekowego zamieszkiwania w podziemnych korytarzach oraz częstych kontaktów z pozostałościami pogrzebanego tam miasta. Nasza Urth jest już bardzo stara, a pod jej powierzchnią bez wątplenia kryją się rozliczne skarby. Złoto i srebro nie ulegają zmianom, lecz ich strażnicy mogą przechodzić metamorfozy znacznie bardziej tajemnicze od tych, które przemieniają winogrona w wino i piasek w perły.

– Ale przecież my, żyjący na powierzchni, co noc stajemy twarzą w twarz z ciemnością i często mamy do czynienia ze skarbami wydobywanymi z podziemi, dlaczego więc nie dotknęły nas żadne zmiany?

Jonas nie odpowiedział, a ja przypomniałem sobie o obietnicy, jaką mu złożyłem. Mimo to kiedy odwrócił się od okna i spojrzął na mnie, w jego oczach dostrzegłem coś, co powiedziało mi, że jestem głupcem i że jednak się zmieniliśmy. Po chwili znowu wyjrzał przez okno.

– W porządku, nie musisz nic mówić – powiedziałem. – Ale co z pozostałymi pytaniami, na które zobowiązałeś się udzielić odpowiedzi? W jaki sposób żołnierze mogą stawić opór morskim potworom?

– Miałaś rację, mówiąc, że Ereby i Abaia dorównują wielkością górą. Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie twoja wiedza. Większość ludzi nie potrafi sobie wyobrazić niczego tak ogromnego i uważa, że te potwory są nie większe od dużych domów albo, powiedzmy, okrętów. Jednak są one tak potężne, że żyjąc na tej planecie, nigdy nie będą mogły opuścić oceanu, gdyż poza wodą padłyby, zmiażdżone własnym ciężarem. Nie należy więc wyobrażać sobie, że zjawią się przed Murem i zaczną walić w niego pięściami albo ciskać głazy. Ich siła polega na tym, że posługując

się jedynie myślami, potrafią zdobyć posłuszeństwo licznych niewolników i rzucić ich do walki przeciwko wszystkiemu, co przeciwstawia się tworzonemu przez nich prawu.

Powiedziawszy te słowa, Jonas otworzył drzwi i wyszedł na kipiącą życiem ulicę, ja zaś zostałem z łokciami opartymi na stole, gdyż przypomniałem sobie sen, jaki mi się przyśnił, kiedy dzieliłem łożę z Baldandersem. „Ziemia nie mogła nas utrzymać” – powiedziały ogromne kobiety.

Dotarłem do takiego punktu mej opowieści, w którym muszę wreszcie napisać o czymś, czego do tej pory starałem się unikać. Wy, którzy teraz czytacie moją relację, z pewnością zauważyliście, iż nie czyniłem specjalnych wysiłków w celu szczegółowego przedstawienia zdarzeń sprzed wielu lat ani dokładnego przytaczania słów, którymi zwracali się do mnie różni ludzie, ani też słów, jakimi im odpowiadałem. Zapewne uznaliście, że zdecydowałem się na taką konwencję w celu nadania mojej opowieści żywszego tempa. Prawda jednak przedstawia się w ten sposób, iż należę do osób dotkniętych przekleństwem pamięci absolutnej. Wprawdzie nie jestem w stanie przypomnieć sobie kolejności, w jakiej stały książki na półkach w bibliotece mistrza Ultana, ale i tak pamiętam więcej, niż ktokolwiek mógłby sobie życzyć – na przykład usytuowanie przedmiotów na stole, obok którego przeszedłem, kiedy byłem dzieckiem, oraz to, czy już przywoływałem z pokładów pamięci jakieś wydarzenie, a jeżeli tak, to czy tamto wspomnienie różniło się w jakiś sposób od tego, które pojawiło się w tej chwili.

Właśnie moja zdolność zapamiętywania uczyniła mnie pupilem mistrza Palaemona; pośrednio jest także odpowiedzialna za powstanie tej opowieści, ponieważ gdybym nie był jego ulubieńcem, z pewnością nie wysłałby mnie do Thraxu ze swoim mieczem.

Niektórzy twierdzą, że dobra pamięć osłabia zdolność prawidłowego oceniania tego, co się wokół nas dzieje. Nie potrafię powiedzieć, czy ten pogląd jest słuszny, ale wiem na pewno, iż wiąże się z nią niebezpieczeństwo innego rodzaju, z którym wielokrotnie miałem okazję się zetknąć. Otóż kiedy sięgam w przeszłość, tak jak robię to teraz i jak uczyniłem wtedy, pragnąc odtworzyć swój sen, widzę ją tak dokładnie, jakby była terażniejszością, równie realną jak wszystko, co mnie w tej chwili otacza. Wystarczy, żebym zamknął oczy, a już mogę

wejść do celi zajmowanej przez Theclę, jak uczyniłem pewnego zimowego wieczoru. Moje palce zaraz dotkną skraju jej sukni, nozdrza wypełnią się zapachem jej perfum, przypominającym aromat lilii ogrzanych przy kominku, rozchylę delikatny materiał jej sukni i obejmę doskonale białe ciało, czując jej piersi przy twarzy...

Widzicie? Bardzo łatwo jest tracić całe godziny, a nawet dni na takie wspomnienia. Czasem zapadam w nie tak głęboko, że potem czuję się jak odurzony jakimś silnym narkotykiem albo pijany. Tak było i wtedy. Wciąż jeszcze rozbrzmiewał mi w uszach odgłos kroków, jaki usłyszałem w jaskini małpoludów, a ponieważ nade wszystko pragnąłem wyjaśnić jego tajemnicę, wróciłem do swojego snu, pewien, że wiem, kto go na mnie zesłał, i pełen nadziei, że dowiem się z niego więcej, niż jego autor zamierzał ujawnić.

Znów siedziałem na grzbiecie potwora o skórzastych skrzydłach. Pod nami przelatywały dostojne pelikany i rozwrzeszczane, zwinne mewy.

Ponownie runąłem z wysokości ku nieskończonemu morzu, bezradnie koziółkując w wypełnionej powietrzem pustce. Jednak tuż przed nieuchronnym upadkiem jakaś tajemnicza siła zatrzymała mnie na chwilę nad falami, dzięki czemu zdołałem wygiąć ciało, zawisnąć głową w dół i ustawić nogi w pionie. Dopiero wtedy wbiłem się w wodę jak nóż, by zaraz potem ujrzeć w dole głowę z węzami zamiast włosów, wielogłową bestię, a wreszcie piaskowy ogród.

Olbrzymki uniosły na moje powitanie ramiona wielkości drzew, zakończone palcami o amarantowych szponach, a ja, który jeszcze niedawno byłem zupełnie ślepy, nagle pojąłem, dlaczego Abaia zesłał na mnie ten sen i postanowił wezwać mnie do udziału w największej, ostatniej już wojnie, jaka miała rozegrać się na Urth.

Wspomnienia okazały się silniejsze od mojej woli. Choć doskonale widziałem, że zarówno gigantyczne odaliski, jak i ich ogród stanowią zaledwie wspomnienie dawnego snu, to jednak nie byłem w stanie oprzeć się fascynacji. Czyjeś ręce chwyciły mnie jak lalkę i podniosły z krzesła w gospodzie w Saltus, ale ja jeszcze przez co najmniej sto uderzeń serca znajdowałem się w głębinach morza, wśród zielonowłosych nałożnic Abaii.

– Śpi.

– Ale ma otwarte oczy.

– Przynieść miecz? – zapytał trzeci głos.

– Przynieś. Może nam się przydać.

Olbrzymki zniknęły. Dwaj mężczyźni odziani w skóry dzikich zwierząt i ubrania z szorstkiej wełny trzymali mnie w żelaznym uścisku, podczas gdy trzeci, o pokrytej bliznami twarzy, przyłożył mi do gardła ostry koniec sztyletu. Człowiek po mojej lewej stronie sięgnął wolną ręką po Terminus Est; był to ten sam czarnobrody ochotnik, który pomagał rozbić zamurowane drzwi domu Barnocha.

– Ktoś nadchodzi.

Mężczyźni z bliznami na twarzy odsunął się. Usłyszałem odgłos otwierania drzwi, a potem krzyk zaskoczonego Jonasa, kiedy napastnicy wciągnęli go do środka.

– To twój pan, zgadza się? W takim razie nie ruszaj się, przyjacielu, ani nie próbuj wzywać pomocy, bo obu was zabijemy.

rozdział 9

Suzeren Liści

Postawili nas twarzami do ściany i związali ręce. Następnie narzucili nam płaszcze na ramiona, przez co postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, że idziemy z założonymi do tyłu rękami, i wyprowadzili nas na podwórze, gdzie przestępował z nogi na nogę ogromny baluchither. Na grzbiecie miał wykonaną z rogów i metalu lektykę. Mężczyzna trzymający mnie za lewe ramię uderzył bestię ościeniem w zgięcie kolana, zmuszając w ten sposób do przyklęknienia, po czym on i jego towarzysze pomogli nam zająć miejsca w palankinie.

Kiedy zbliżyliśmy się z Jonasem do Saltus, droga wiodła wśród wzgórz usypanych ze skał i kamieni wydobytych spod ziemi przez górników. Kiedy pędziłem na złamanie karku, zwabiony listem Agii, także musiałem pokonać pasmo wzgórz, choć zaraz potem zagłębiłem się w las, który z tej strony zaczynał się dość blisko wsi. Teraz jednak jechaliśmy na przełaj przez rozległe hałdy. Oprócz usuniętego z wyrobisk materiału skalnego górnicy wyrzucali tu wszelkie wygrzebane spod ziemi relikty dawno minionej przeszłości, które mogłyby okryć niesławą zarówno ich profesję, jak i rodzinną wioskę. Wszystko to piętrzyło się na wysokość dziesięciokrotnie przekraczającą tę, na jaką wznosił się szeroki grzbiet baluchithera. Wśród znalezisk były: nieskromne posągi, teraz okaleczone i zdewastowane, ludzkie kości, na których gdzieniegdzie pozostały jeszcze resztki wyschniętej skóry i kosmyki włosów, a także setki, jeśli nie tysiące szczątków tych, którzy w oczekiwaniu na indywidualne zmartwychwstanie powierzyli swoje ciała kryształowym sarkofagom. Sarkofagi zostały rozbite, ciała zmarłych zaś walały się w groteskowym bezładzie, co sprawiało, że przypominali gromadę opojów, którzy wracając do domu po całonocnym pijaństwie, zasnęli przy drodze. Ich odzież albo gniła, albo

już dawno zdążyła się rozpaść, a niewidzące oczy wpatrywały się w niebo.

Początkowo Jonas i ja próbowaliśmy zagadywać naszych strażników, lecz oni uciszyli nas razami. Teraz, kiedy baluchither oddalił się już dość znacznie od wioski, wyraźnie się uspokoili, ponownie więc zapytałem ich, dokąd nas wiozą.

– W dzicz, która jest domem wolnych mężczyzn i pięknych kobiet – odparł ten o twarzy porwanej bliznami.

Zapytałem wówczas, czy wykonują rozkazy Agii, ale on roześmiał się i potrząsnął głową.

– Moim panem jest Vodalus, Władca Lasu.

– Vodalus!

– Tak jest – potwierdził. – A więc go znasz? – Trącił łokciem czarnobrodego mężczyznę, siedzącego wraz z nami na grzbiecie baluchithera. – Na pewno potraktuje cię bardzo łagodnie za to, żeś tak chętnie zgodził się pozbawić głowy jednego z jego sług.

– Owszem, znam go.

Miałem zamiar opowiedzieć mu o spotkaniu z jego panem, którego ocaliłem przed pewną śmiercią w roku, kiedy zostałem kapitanem uczniów. Pomyślałem jednak, że być może Vodalus zapomniał już o tym wydarzeniu, powiedziałem więc tylko, że gdybym wcześniej wiedział, że Barnocha jest sługą Vodalusa, to z pewnością nie podjąłbym się jego zgładzenia. Rzecz jasna skłamałem, gdyż doskonale o tym wiedziałem, a na swoje usprawiedliwienie miałem tylko tyle, że działając szybko i pewnie, oszczędziłem skazańcowi niepotrzebnych cierpień. Jednak kłamstwo nie przyniosło mi wiele pożytku, gdyż wszyscy trzej ponuro zarechotali.

– Minionej nocy wyjechałem z Saltus, kierując się na północny wschód – powiedziałem, kiedy ucichli. – Czy teraz też jedziemy w tamtą stronę?

– A więc dlatego nasz mistrz wrócił z pustymi rękami, kiedy wczoraj chciał cię odnaleźć?

Mężczyzna z bliznami na twarzy uśmiechnął się z satysfakcją. Na pewno był bardzo zadowolony, że wykonał zadanie, któremu nie sprostał sam Vodalus.

– Jedziemy na północ, co widać po słońcu – szepnęła Jonas.

– Owszem – potwierdził dowódca, najwidoczniej obdarzony bardzo dobrym słuchem. – Ale już niedaleko.

Potem chyba dla zabicia czasu opisał mi tortury, jakie jego pan

przygotował dla jeńców; większość była zdumiewająco prymitywna i nadawała się raczej do tworzenia teatralnych efektów niż zadawania prawdziwych cierpień.

Na palankin padł cień drzew, zupełnie jakby jakaś niewidzialna ręka zaciągnęła nad nami szczelną zasłonę. Migoczące fragmenty kryształowych sarkofagów pozostały za nami wraz z martwymi spojrzzeniami pustych oczodołów, my zaś zagłębiliśmy się w zielony chłód wysokiego lasu. Wśród potężnych pni nawet baluchither, mimo że trzykrotnie większy od człowieka, wydawał się mały i niepozorny, my zaś, którzy siedzieliśmy na jego grzbiecie, mogliśmy być karłami z jakiejś bajki, zmierzającymi do fortecy miniaturowego króla, która nie przewyższa rozmiarów mrowiska.

Uświadomiłem sobie, że otaczające mnie drzewa tak bardzo urosły na długo przed moim przyjściem na świat i że wyglądały tak jak teraz, kiedy jako dziecko bawiłem się wśród cyprysów i pogrążonych w wiecznej ciszy grobowców, oraz że pozostaną takie do ostatnich dni Urth, pijąc łączywie światło umierającego słońca, podczas gdy ja już dawno będę równie martwy jak ci, którzy spoczywali w sąsiadującej z Cytadelą nekropolii. Pojąłem, jak niewielkie w gruncie rzeczy znaczenie ma to, czy zgine, czy też uda mi się przeżyć, choć ja sam przywiązywałem do swego życia tak wielką wagę. Rozmyślając o tych sprawach, wprowadziłem się w dziwny nastrój: byłem gotów walczyć ze wszystkich sił o przetrwanie, choć zarazem nie zależało mi na tym, by moja walka zakończyła się sukcesem. Wydaje mi się, że właśnie dlatego udało mi się przeżyć; nastrój ów okazał się tak dobrym przyjacielem, że od tej pory starałem się nie rozstawać z nim ani na chwilę, co mi się nawet w znacznym stopniu udało.

– Severianie, nic ci nie jest?

Spojrzałem na Jonasa ze zdziwieniem.

– Nic. Czyżbym wyglądał na niezdrowego?

– Przez chwilę.

– Zastanawiałem się tylko, dlaczego to miejsce wydaje mi się znajome, i próbowałem je zrozumieć. Zdaje się, że przypomina mi letnie dni, jakie spędzałem w Cytadeli. Te drzewa prawie dorównują wielkością tamtejszym wieżom, z których wiele było obrosniętych pnączami, przez co w spokojne letnie dni promienie słońca

prześlizgujące się po ich powierzchni nabierały takiego właśnie szmaragdowego blasku. Poza tym tutaj jest równie cicho, a w dodatku...

– Tak?

– Zapewne często pływałeś łodziami?

– Od czasu do czasu.

– Ja zawsze o tym marzyłem, ale to mi się udało dopiero wtedy, kiedy wraz z Agią płynąłem na wyspę, na której znajdują się Ogrody Botaniczne, a później gdy pokonywaliśmy Ptasie Jezioro. Łódź porusza się tak spokojnie jak to zwierzę i równie bezszelestnie, jeśli nie liczyć pluśnięcia, które rozlega się od czasu do czasu, kiedy wiosło zanurza się w wodzie. Wydaje mi się teraz, że płynę przez zalaną powodzią Cytadelę.

Jonas zrobił tak poważną minę, że wybuchnąłem śmiechem i wstałem, aby wychylić się za krawędź palankinu i powiedzieć coś o poszyciu lasu, który przemierzaliśmy, i udowodnić mojemu przyjacielowi, że jestem przy zdrowych zmysłach i że po prostu popuściłem na chwilę wodze fantazji. Jednak gdy tylko podniosłem się z twardego siedzenia, mężczyzna o poranej bliznami twarzy zerwał się na nogi, wycelował koniec sztyletu w moje gardło i kazał mi natychmiast usiąść. Potrząsnąłem głową, aby go rozzłościć.

Wykonał groźny ruch bronią.

– Siadaj albo poderżnę ci gardło!

– Rezygnując z pochwał, jakie bez wątpienia otrzymasz, kiedy sprowadzisz mnie żywego do obozu? Wątpię. Ciekawe, co powiedziałby Vodalus, gdyby doniesiono mu, że schwytałeś mnie, a potem w przyływie złego humoru zabiłeś.

Tę właśnie chwilę wybrał los, aby się do nas uśmiechnąć. Człowiek trzymający Terminus Est próbował wyciągnąć go z pochwy, a nie będąc przyzwyczajony do władania tak długim mieczem, szarpał się z nim jak z jakimś kijem, który utkwiał w gałęziach. Wystarczył jeden niezbyt płynny krok baluchithera, aby stracił równowagę i zatoczył się na mężczyznę o twarzy pokrytej bliznami. Ostrze zraniło ich obu, ten z bliznami odruchowo się cofnął. Jonas kopnął go pod kolano i wypchnął poza krawędź palankinu.

Tymczasem czarnobrody wypuścił z ręki Terminus Est i wpatrywał się z przerażeniem w ranę, która, choć bardzo długa, z pewnością nie była ani głęboka, ani poważna. Znałem swoją broń równie dobrze jak własną rękę, wystarczyła mi więc tylko krótka chwila, aby przykucnąć, złapać za rękojeść, przytrzymać ją stopami, ustawić pionowo ostrze

i przeciąć więzy krępujące mi ręce. Mężczyzna z czarną brodą otrząsnął się z zaskoczenia, wyciągnął sztylet i z pewnością zabiłby mnie, gdyby Jonas nie kopnął go w krocze. Zgiął się wpół, a ja natychmiast stanąłem nad nim z podniesionym mieczem.

Po zadanych ciosie raptownie się wyprostował – dzieje się tak zawsze, kiedy skazaniec nie klęczy, lecz stoi. Wszystko odbyło się tak szybko, że chyba dopiero fontanna krwi tryskająca z pozbawionego głowy karku zaalarmowała poganiacza usadowionego tuż za głową zwierzęcia. Odwrócił się w naszą stronę, a ja dosięgnąłem go czystym poziomym uderzeniem, trzymając miecz w jednej ręce.

Zaraz potem, jak głowa poganiacza spadła na ziemię, baluchither wszedł między dwa ogromne drzewa, rosnące tak blisko siebie, że musiał precyzyjnie się między nimi jak mysz, która uparła się, by przejść przez wąską szczelinę w murze. Tuż za nimi zaczynała się rozległa polana porośnięta trawą i paprociami, tu i ówdzie soczyście ubarwiona złotymi słonecznymi plamami. Tutaj właśnie, pod baldachimem z kwitnącej winorośli, Vodalus kazał wznieść swój tron. W chwili, kiedy weszliśmy na polanę, siedział na nim z kasztelanką Theą u boku, karząc i nagradzając swoich poddanych.

Jonas nie miał o niczym pojęcia, gdyż leżał na podłodze palankinu, zajęty rozcinaniem więzów, ja natomiast stałem wyprostowany na grzbiecie baluchithera, z obnażonym mieczem zboczonym krwią aż po rękojeść. Co najmniej sto twarzy zwróciło się w naszą stronę, w tym także twarz arystokraty zasiadającego na tronie oraz przypominająca kształtem serce twarz jego towarzyszki. Wyraz ich oczu powiedział mi, co ujrzeli: ogromne zwierzę o zachlapanych krwią bokach kierowane przez pozbawionego głowy trupa i mnie, z zakrwawionym mieczem w dłoni, w rozwianym fuliginowym płaszczu na ramionach.

Gdybym wtedy zeskoczył z grzbietu zwierzęcia i próbował uciec lub starał się zmusić baluchithera do przyśpieszenia kroku, z pewnością bym zginął. Ja jednak, posłuszny nastrojowi, jaki ogarnął mnie na widok tysięcy od dawna martwych ciał walających się wśród odwiecznych drzew i odpadów przeszłości, nie wykonałem najmniejszego ruchu, baluchither zaś, nie słysząc żadnych poleceń, kroczył powoli wśród rozstępującego się przed nim tłumem, aż wreszcie zatrzymał się tuż przed podium, na którym ustawiono tron i baldachim. Martwy poganiacz runął na deski u stóp Vodalusa, ja zaś wychyliłem się daleko poza palankin i uderzyłem płazem w zgięcie kolana najpierw prawej, a potem lewej nogi baluchithera, zmuszając zwierzę do uklęknienia.

Przez twarz Vodalusa przemknął blady uśmiech, który mógł świadczyć o wielu rzeczach, ale chyba przede wszystkim o rozbawieniu.

– Posłałem ludzi, żeby schwytali kata – powiedział. – Wygląda na to, że im się udało.

Zasalutowałem mu mieczem, tak jak mieliśmy obowiązek czynić, kiedy jakiś arystokrata obserwował egzekucję na Wielkim Dziedzińcu.

– Sieur, twoi ludzie schwytali antykata. Gdyby nie on, twoja głowa potoczyłaby się kiedyś po świeżo skopanej ziemi.

Przyjrzał mi się uważniej, koncentrując uwagę nie na mieczu i płaszczu, lecz na mojej twarzy.

– Tak, to ty byłeś tym młodzieńcem – powiedział wreszcie. – Czyżby minęło już tak wiele czasu?

– Wystarczająco wiele, sieur.

– Porozmawiamy o tym na osobności, gdyż teraz muszę zająć się sprawami publicznymi. Stań tutaj – dodał, wskazując miejsce po lewej stronie podium.

Wraz z Jonasem zszedłem z baluchithera, a dwaj giermkowie odprowadzili zwierzę na bok. Potem mniej więcej przez jedną wachtę przysłuchiwałem się, jak Vodalus wydaje rozkazy, objaśnia swoje plany, nagradza i karze. Wszystkie wzniesione przez ludzi budowle, pyszniące się mnogością kolumn, łuków i podcieni, stanowią jedynie wykonaną w bezdusznym kamieniu imitację pni i gałęzi drzew rosnących w lesie, ale ja, stojąc przy tronie Vodalusa, odniosłem wrażenie, że nie ma między nimi żadnej różnicy – może z wyjątkiem tej, że kamienne gmachy są szare lub białe, drzewa zaś brązowe i zielone. Wtedy też chyba zrozumiałem, dlaczego nieprzeliczone zastępy żołnierzy Autarchy oraz oddziały tworzone przez arystokratów nie były w stanie pojmać Vodalusa: zajmował najpotężniejszą twierdzę Urth, wielokrotnie rozleglejszą od naszej Cytadeli, do której ją porównałem.

Wreszcie polecił, aby wszyscy wrócili na swoje miejsca, po czym zszedł z podium i nachylił się nade mną, tak jak ja mógłbym nachylić się nad dzieckiem.

– Kiedyś oddałeś mi przysługę – powiedział. – Przez wzgląd na to daruję ci życie, choć możliwe, iż będziesz musiał przez jakiś czas zostać naszym gościem. Czy teraz, kiedy już wiesz, że nic ci nie grozi, zdecydujesz się mi służyć?

Nawet przysięga, jaką złożyłem Autarsze w dniu mego wyniesienia, nie miała dość mocy, aby zatrzeć wspomnienie tego mglistego wieczoru, od którego zacząłem swoją opowieść. W porównaniu z przysługami,

jakie wyświadczamy innym – tworzą one między nami duchowe więzi – przysięgi są jak wątłe nici godności. Jeżeli raz ocalimy komuś życie, już na zawsze znajdziemy się w jego władzy. Często słyszałem pogląd, że nie istnieje coś takiego jak wdzięczność. Nieprawda; ci, którzy go głoszą, po prostu szukali jej w niewłaściwym miejscu. Ten, kto wyświadczy komuś wielką przysługę, przez mgnienie oka zrównuje się z Prastwórcą, a z wdzięczności za ten zaszczyt będzie już do końca swych dni służył temu, dzięki komu stało się to możliwe.

Powiedziałem o tym Vodalusowi.

– Znakomicie! – wykrzyknął i poklepał mnie po ramieniu. – Chodźmy. Niedaleko stąd przygotowano posiłek. Jeśli ty i twój przyjaciel zasiądziecie do niego wspólnie ze mną, wyjaśnię wam, co należy zrobić.

– Sieur, już raz okryłem hańbą swoje bractwo. Proszę cię tylko o to, abyś nie kazał mi tego powtórnie uczynić.

– Wszystko, co zrobisz, pozostanie w tajemnicy – odparł Vodalus.

To zapewnienie w zupełności mi wystarczyło.

rozdział 10

Thea

Wraz z kilkunastoma osobami zagłębiliśmy się w las, by po mniej więcej półmilowym spacerze dotrzeć do ustawionego między drzewami stołu. Posadzono mnie po lewej stronie Vodalusa i podczas gdy inni jedli, ja tylko udawałem, że się posilam, pożerając wzrokiem jego oraz jego panią, o której tak często myślałem, leżąc na pryczy w Wieży Matachina.

Kiedy ocalałem mu życie, psychicznie byłem jeszcze chłopcem, a chłopcom wszyscy dorośli wydają się wysocy, z wyjątkiem tych, których los pokarał naprawdę nikczemnym wzrostem. Teraz przekonałem się, że Vodalus jest równie wysoki jak Thecla, a może nawet wyższy, i że przyrodnia siostra Thecli, Thea co najmniej dorównuje jej wzrostem. Miałem więc dowód świadczący o tym, że naprawdę należą do arystokracji, a nie tylko próbują stworzyć takie wrażenie, jak to było w przypadku sieur Racha.

Najpierw zakochałem się właśnie w Thei, czcząc ją za to, że należała do człowieka, któremu ocalałem życie. Theclę kochałem początkowo tylko dlatego, że była podobna do Thei. Teraz (tak jak z odejściem jesieni pojawia się zima, a potem wiosna i lato, i koniec roku staje się jednocześnie jego początkiem) znowu kochałem Theę – ale tym razem dlatego, że przypominała Theclę.

– Widzę, że jesteś wielbicielem kobiet – powiedział Vodalus. Pośpiesznie odwróciłem spojrzenie.

– Wybacz mi, sieur. Nieczęsto miałem okazję przebywać w dobrym towarzystwie.

– Podzielim twój podziw, nie muszę więc niczego ci wybaczać. Jednak mam nadzieję, że nie przyglądałeś się tej smukłej szyi z myślą o tym, aby ją przeciąć?

– Skądże znowu, sieur.

– Cieszę się, że to słyszę. – Vodalus wziął do ręki półmisek z jajami drożdów, wybrał jedno i położył mi na talerzu. Był to znak wielkiej łaski.
– Mimo to przyznam, że jestem nieco zaskoczony. Wyobrażałem sobie, że człowiek wykonujący twój zawód spogląda na nas, nieszczęsnych ludzi, jak rzeźnik na bydło.

– Trudno mi o tym mówić, sieur, gdyż nigdy nie byłem rzeźnikiem.

Vodalus wybuchnął śmiechem.

– Trafienie! Już prawie żałuję, że zdecydowałeś się mi służyć. Gdybyś pozostał moim więźniem, aby zapłacić, tak jak planowałem, za śmierć nieszczęsnego Barnocha, moglibyśmy prowadzić długie i zajmujące rozmowy. A tak, cóż... Rano już cię tu nie będzie. Jednak wydaje mi się, że mam dla ciebie zadanie, które dobrze będzie współgrać z twoimi naturalnymi skłonnościami.

– Jeżeli ty zlecisz mi to zadanie, sieur, nie będę miał wyboru.

– Doprawdy, marnujesz się na szafocie. – Uśmiechnął się. – Niebawem znajdziemy dla ciebie lepsze zajęcie, ale jeżeli pragniesz mi dobrze służyć, to musisz najpierw zorientować się, jakie pozycje zajmują figury na planszy oraz poznać cel samej gry. Powiedzmy, że grają biali i czarni, przy czym czarni to my – zarówno ze względu na barwę twego stroju, jak i na to, by łatwiej przyszło ci zidentyfikować się ze stroną, po której stoisz. Zapewne wielokrotnie słyszałeś o nas jako o zbrodniarzach i zdrajcach, ale czy obito ci się kiedyś o uszy, co naprawdę pragniemy osiągnąć?

– Zaszachować Autarchę, sieur?

– Byłoby bardzo dobrze, gdyby nam się udało, ale to zaledwie jeden krok, nie zaś ostateczny cel. Przybywasz z Cytadeli, wielkiej fortecy stanowiącej pozostałość dawno minionych dni – jak widzisz, co nieco wiem o twoich wędrówkach – a więc z pewnością zdajesz sobie sprawę, czym jest przeszłość. Czy nigdy nie wydało ci się dziwne, że przed wiekami ludzkość była nie tylko znacznie bogatsza, ale i szczęśliwsza niż teraz?

– Wszyscy wiedzą, że dawniej życie było weselsze i dostatniejsze – odparłem.

– I takie znowu będzie. Synowie Urth ponownie będą żeglować wśród gwiazd, przeskakując z galaktyki do galaktyki, sprawując władzę nad wszystkimi córami słońca.

Kasztelanka Thea, choć nie dała tego po sobie poznać, z pewnością przysłuchiwała się naszej rozmowie, gdyż teraz spojrzała mi w oczy i powiedziała słodkim głosem, przypominającym gruchanie gołębic:

– Czy wiesz, kacie, w jaki sposób doszło do zmiany nazwy naszej planety? Dawno temu ludzie dotarli na czerwoną Verthandi, która nazywała się wtedy Wojna, a ponieważ uważali, że ta nazwa może zniechęcić innych, którzy powinni pójść w ich ślady, zmienili ją na Present. Był to żart, gdyż w ich języku słowo to oznaczało zarówno „teraźniejszość”, jak i „upominek”. W każdym razie tak powiedział mnie i mojej siostrze jeden z naszych nauczycieli, choć ja nie potrafię sobie wyobrazić języka, w którym panowałyby takie pomieszanie.

Vodulus słuchał jej z taką miną, jakby nie mógł się doczekać, kiedy skończy, ale dobre maniery nie pozwalały mu przerwać.

– Potem inni, którzy z siebie tylko znanych powodów pragnęli przyciągnąć ludzi na najbliższą słońcu, zdatną do zamieszkania planetę, nadali jej nazwę Skuld, czyli Świat Przyszłości, naszą Urth zaś ochrzczono Światem Przeszłości.

– Obawiam się, że się mylisz – przerwał jej Vodulus. – Wiem z wiarygodnych źródeł, że nasza planeta nosi swoją obecną nazwę od zamierzchłych czasów, ale twoja opowieść jest tak urocza, że naprawdę wolałbym, abyś to ty miała rację. – Thea uśmiechnęła się, a Vodulus mówił dalej, kierując swe słowa bezpośrednio do mnie. – Choć historia przytoczona przez moją uroczą kasztelanekę nie wyjaśnia, dlaczego Urth nazywa się właśnie tak, a nie inaczej, to jednak wynika z niej jasno, iż w tamtej epoce ludzie przenosili się na swoich statkach z planety na planetę, podporządkowywali je sobie i wznosili na nich miasta. To były wielkie dni naszej rasy, kiedy ojcowie ojców naszych ojców dążyli do zdobycia władzy nad wszechświatem.

Umilkł, a ponieważ wydawało mi się, że oczekuje ode mnie jakiejś reakcji, powiedziałem:

– Sieur, od tamtej pory nasza wiedza znacznie się skurczyła.

– Trafiłeś w sedno sprawy, oprawco, ale pomimo twojej niezwyklej przenikliwości dokonałeś błędnej interpretacji. To nie nasza wiedza się skurczyła, tylko możliwości. Badania trwają bez przerwy, lecz mimo że ludzie już wiedzą, czego im trzeba do osiągnięcia doskonałości, to jednak zasoby świata, który zamieszkują, uległy niemal całkowitemu wyczerpaniu. Żyjemy niepewni jutra na ruinach tego, co było przed nami. Kiedy niektórzy śmigają w swoich ślizgaczach po niebie, pokonując w ciągu jednego dnia nawet dziesięć tysięcy mil, inni pełzają po powierzchni Urth, nie mogąc pokonać odległości od jednego horyzontu do drugiego, zanim ten zachodni nie wzniesie się tak wysoko, by pożreć gasnące słońce. Przed chwilą wspomniałeś o zaszachowaniu

tego kwilącego głupca, jakim jest Autarcha... Wyobraź sobie nie jednego, lecz dwóch autarchów, reprezentujących dwie strony dążące do ostatecznego zwycięstwa. Biały pragnie zachować rzeczy takimi, jakimi są, czarny zaś stara się ponownie wprowadzić ludzkość na drogę wiodącą ku panowaniu nad światem. Czysty przypadek sprawił, że nazwałem go czarnym, ale nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż właśnie nocą najlepiej możemy obserwować gwiazdy. W czerwonym blasku dnia są prawie niewidoczne. Powiedz mi teraz, kacie, któremu z tych dwóch władców pragniesz służyć?

Wiatr zakołysał gałęziami drzew, a ja odniosłem wrażenie, że wszyscy biesiadnicy umilkli, wsłuchując się w słowa Vodalusa i czekając na moją odpowiedź.

– Czarnemu, ma się rozumieć.

– Dobrze! Jednak jako człowiek rozsądny z pewnością zdajesz sobie sprawę, iż droga do odzyskania dawnej świetności nie będzie łatwa. Ci, którzy boją się zmian, będą stawiać zacięty opór, musimy więc zrobić wszystko, co w naszej mocy, by ich pokonać.

Rozmowy przy stole znowu ożyły.

– Sieur, jest coś, czego ci jeszcze nie wyznałem – powiedziałem tak cicho, że nikt poza Vodalusem nie mógł mnie usłyszeć. – Nie chcę skrywać tego dłużej, gdyż mógłbyś pomyśleć, że pragnę cię zdradzić.

Miał znacznie więcej doświadczenia w prowadzeniu takich rozmów, bo zdążył zająć się jedzeniem, udając, że nie przywiązuje do moich słów większej wagi.

– Doprawdy? Dalej, mów śmiało.

– Mam coś, co ludzie nazywają Pazurem Łagodziciela.

Znieruchomiał jak posąg, z zębami wbitymi w pieczoną gęsią nogę, po czym spojrzał na mnie, nie odwracając głowy.

– Pragniesz go zobaczyć, sieur? Jest bardzo piękny, a ja mam go przy sobie, w bucie.

– Nie – szepnął. – To znaczy chyba tak, ale nie tutaj. Chociaż może lepiej nie...

– W takim razie komu powinienem go przekazać?

Dopiero teraz Vodalus oderwał kęs mięsa, przeżuł go i połknął.

– Słyszałem od przyjaciół w Nessus, że Pazur zniknął. A więc ty go masz... Dobrze go pilnuj, dopóki nie uda ci się go pozbyć. Nie próbuj go sprzedać, bo natychmiast zostanie rozpoznany. Najlepiej ukryj go gdzieś, a jeśli zajdzie taka potrzeba, wrzuc do najgłębszej jaskini.

– Wydaje mi się, sieur, że jest bardzo cenny...

– Ma nieoszacowaną wartość, co oznacza, że jest bezwartościowy. Oprawco, obaj jesteście rozsądnymi ludźmi. – Pomimo tego, co mówił, w jego głosie bez trudu dosłyszałem drżenie. – Plotka głosi, że to święty klejnot, zdolny czynić przeróżne cuda. Gdyby znalazł się w moim posiadaniu, wielu mogłoby mnie oskarżyć o profanację i uznać za wroga teologii, a nasi panowie okrzyknęliby mnie zdrajcą. Musisz mi powiedzieć...

W tej chwili do stołu podbiegł z zaaferowaną miną jakiś człowiek, którego do tej pory nie widziałem. Vodalus wstał i odszedł z nim na stronę. Pomyślałem, że wyglądają jak przystojny nauczyciel i uczeń, gdyż mężczyzna sięgał Vodalusowi zaledwie do ramienia.

Zająłem się jedzeniem, przypuszczając, że mój rozmówca zaraz wróci do stołu, ale on po wysłuchaniu relacji posłańca odszedł z nim, niknąc za grubymi pniami drzew. Wkrótce inni także zaczęli wstawać od stołu, aż wreszcie pozostali przy nim tylko piękna Thea, Jonas, ja i jeszcze jeden człowiek.

– Masz się do nas przyłączyć, a przecież jeszcze nie znasz naszych zwyczajów – odezwała się kasztelanka. – Czy potrzebujesz pieniędzy?

Zawahałem się, ale Jonas odpowiedział za mnie:

– To coś, co zawsze jest mile widziane, jak nieszczęście, które spotkało starszego brata.

– W takim razie od dzisiaj będziecie uwzględniani przy podziale łupów. Po powrocie otrzymacie należną wam część. Tymczasem każdy z was dostanie pełną sakiewkę na wydatki w czasie podróży.

– A więc wyjeżdżamy? – zapytałem.

– Czyżby wam tego nie powiedziano? Podczas kolacji Vodalus udzieli wam szczegółowych wskazówek.

Przypuszczałem, że posiłek, który właśnie spożywaliśmy, będzie już ostatnim tego dnia. Thea chyba wyczytała to z mojej twarzy, gdyż dodała:

– Kolacja rozpocznie się, kiedy księżyc stanie wysoko na niebie. Ktoś po was wtedy przyjdzie. – A potem zacytowała fragment wiersza:

*Biesiaduj o świcie, by oczy otworzyć,
Jedź też w południe, żeby nabrać sił,
Siądź do stołu wieczorem, by miło pogwarzyć,
I ucztuj w środku nocy, żeby mądrym być...*

– Teraz Chuniald, mój służący, zaprowadzi was w miejsce, gdzie

będziecie mogli odpocząć przed podróżą.

Mężczyzna, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, podniósł się z miejsca.

– Chodźcie ze mną – powiedział.

– W spokojniejszej chwili chętnie zamieniłbym z tobą kilka słów, kasztelanko – zwróciłem się do Thei. – Mam pewne wiadomości dotyczące twojej szkolnej przyjaciółki.

Nie było wątpliwości, iż zrozumiała, że chodzi o poważną sprawę. Zaraz potem ruszyliśmy za Chunialdem, by po przebyciu co najmniej mili dotrzeć nad porośniętą miękką trawą brzeg strumienia.

– Zostańcie tutaj – powiedział służący Thei. – Spróbujcie się przespać. Przyjdą po was dopiero po zmroku.

– A co by było, gdybyśmy zechcieli odejść? – zapytałem.

– W tym lesie jest wielu takich, którzy znają wolę naszego pana – odparł, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął między drzewami.

Opowiedziałem Jonasowi o wydarzeniach, jakie rozegrały się przy rozkopanej mogile.

– Teraz rozumiem, dlaczego chcesz przyłączyć się do tego Vodalusa – oznajmił, kiedy skończyłem. – Musisz jednak zdawać sobie sprawę, że nie jestem jego przyjacielem, tylko twoim, i zależy mi na tym, aby odnaleźć kobietę, którą nazywasz Jolentą. Z tego, co widzę, twoim pragnieniem jest służyć Vodalusowi, dotrzeć do Thraxu i tam rozpocząć na wygnaniu nowe życie, próbując zmasać plamę, jaką uczyniłeś na honorze swojej konfraterni – choć szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, jak coś takiego można w ogóle splamić – odszukać kobietę o imieniu Dorcas, zawrzeć pokój z inną kobietą o imieniu Agia oraz zwrócić coś, o czym obaj wiemy, zakonowi Peleryn.

Pod koniec swojej przemowy uśmiechał się szeroko, a ja odpowiedziałem mu głośnym śmiechem.

– Chociaż przypominasz pustułkę, która najpierw przez dwadzieścia lat siedziała nieruchomo na drążku, potem zaś postanowiła polecieć we wszystkie strony świata naraz, to mam nadzieję, że uda ci się zrealizować twoje plany. Ufam jednak, iż zdajesz sobie sprawę z tego, iż jeden lub dwa z nich wejdą w drogę pięciu lub sześciu pozostałym?

– To prawda – przyznałem. – Pragnę osiągnąć wszystko jednocześnie, a chociaż ty odnosisz się do tego z powątpiewaniem, to spróbuję wykrzesać z siebie tyle sił i energii, żeby moje usiłowania zakończyły się powodzeniem. Przyznaję jednak, że sprawy nie układają się tak dobrze, jak by mogły. Goniąc za kilkoma rzeczami naraz, znalazłem się zaledwie

tu, w cieniu tych drzew, w dodatku jako bezdomny wędrowiec. Ty zaś, mając jeden, dokładnie wytyczony cel... sam oceń, gdzie jesteś.

Na takich rozmowach minęło nam późne popołudnie. Nad naszymi głowami szczebiotały ptaki, ja zaś cieszyłem się, że mam takiego przyjaciela jak Jonas: lojalnego, rozsądnego, pełnego taktu, mądrości, humoru i roztropności. Wówczas jeszcze nie znałem jego historii, ale wyczułem, iż nie bardzo kwapi się, aby wyjawić swoją przeszłość, próbowałem więc uzyskać jakieś informacje w inny sposób, nie zadając bezpośrednich pytań. Dowiedziałem się (a przynajmniej tak mi się wydawało), że jego ojciec był rzemieślnikiem, że oboje rodzice wychowywali go w sposób, który nazwał „zwyczajnym”, oraz że urodził się w portowym miasteczku daleko na południu, ale kiedy ostatnio je odwiedził, zastał tak wiele zmian, że nie miał najmniejszej ochoty tam pozostać.

Kiedy po raz pierwszy spotkałem go u podnóża Muru, na podstawie wyglądu oceniłem, że jest o jakieś dziesięć lat starszy ode mnie. Teraz jednak, opierając się na tym, co od niego usłyszałem, doszedłem do wniosku, że moje szacunki były zbyt ostrożne. Jonas wydawał się znać mnóstwo faktów z przeszłości, a ja wciąż byłem naiwny i niewykształcony – pomimo wysiłków Thecli i mistrza Palaemona – i święcie wierzyłem, iż taką wiedzę może osiąść jedynie człowiek w dość zaawansowanym wieku. W dodatku mojego przyjaciela charakteryzował subtelny cynizm, sugerujący, że Jonas zdążył już zwiedzić spory kawał świata.

Wciąż jeszcze byliśmy pogrążeni w rozmowie, kiedy między drzewami dostrzegłem pełną wdzięku postać kasztelanki Thei. Trąciłem Jonasa łokciem i obaj umilkliśmy, uważnie się jej przypatrując. Zbliżyła się do nas, ale jeszcze nas nie dostrzegła, w związku z czym poruszała się powoli i niepewnie, jak wszyscy, którzy usiłują znaleźć jakieś miejsce wyłącznie na podstawie udzielonych im wskazówek. Od czasu do czasu samotny promień słońca oświetlał jej zwróconą do mnie profilem twarz; była tak bardzo podobna do Thecli, że nie mogłem oddychać, czując potworny ból w piersi. Jej chód także był identyczny jak chód Thecli; w ten sposób poruszają się dumne dzikie zwierzęta, których nigdy nie powinno zamykać się w klatkach.

– Spójrz na nią – szepnąłem do Jonasa. – Bez wątplenia pochodzi z bardzo starożytnego rodu. Zupełnie jak driada albo wierzba, która ożyła i ruszyła na przechadzkę.

– Te starożytne rody są najmłodsze ze wszystkich – odparł. –

W dawnych czasach w ogóle ich nie było.

Nie wydaje mi się, aby mogła rozróżnić poszczególne słowa, gdyż była jeszcze zbyt daleko, ale usłyszała jego głos i spojrzała w naszą stronę. Pomachaliśmy do niej, a ona szybko ruszyła w naszym kierunku. Co prawda nie biegła, lecz dzięki długim nogom zbliżała się w zdumiewającym tempie. Wstaliśmy, a kiedy rozłożyła na trawie szal i usiadła na nim, zwrócona twarzą do strumienia, ponownie zajęliśmy swoje miejsca.

– Wspomniałeś, że masz jakieś wiadomości o mojej siostrze – zaczęła. Kiedy mówiła, wydawała się mniej niedostępna, a siedząc, była prawie równa nam wzrostem.

– Byłem jej ostatnim przyjacielem – odparłem. – Mówiła, że będą wywierać na Vodalusa naciski, aby się poddał, żeby ją ocalić. Czy wiedziałaś, że została uwięziona?

– Służyłeś jej? – Thea nie spuszczała ze mnie przenikliwego spojrzenia. – Owszem, powiedziano mi, że zabrano ją do tego okropnego miejsca w najgorszej części Nessus, gdzie wkrótce potem umarła.

Przypomniałem sobie, jak długo czekałem przed drzwiami celi, zanim ujrzałem wyciekającą spod nich strużkę krwi Thecli, ale mimo to skinąłem głową.

– Wiesz może, w jaki sposób doszło do jej aresztowania?

Thecla opowiedziała mi o tym ze szczegółami, powtórzyłem więc jej relację, niczego nie pomijając.

– Rozumiem... – Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w milczeniu w płynącą wodę. – Nadal tęsknię za dworskim życiem, ale kiedy słucham o tych wszystkich ludziach i o tym, jak zawinęli ją w gobelin, żeby stłumić krzyki – och, jakie to do nich podobne! – utwierdzam się w przekonaniu, że słusznie postąpiłam, rezygnując z niego.

– Myślę, że ona także tęskniła – odparłem. – W każdym razie często o nim opowiadała. Powiedziała mi jednak, że nie chciałaby tam wrócić. Mówiła o wiejskiej posiadłości, którą pragnęła odnowić i wyposażyć w nowe meble, aby wydawać tam przyjęcia dla miejscowych notabli i urządzać wielkie polowania.

Przez twarz Thei przemknął gorzki uśmiech.

– Ja mam już dosyć polowań... Ale kiedy Vodalus zostanie autarchą, zasiądę na tronie obok niego. Znowu będę mogła przechadzać się koło Studni Orchidei, tym razem w towarzystwie pięćdziesięciu córek arystokratów, które będą umilać mi czas swoim śpiewem... Dosyć tego. Muszę jeszcze poczekać co najmniej kilka miesięcy, a na razie mam to,

co mam. – Obrzuciła Jonasa i mnie poważnym spojrzeniem, po czym podniosła się z wdziękiem, dając znak, żebyśmy nie wstawali. – Cieszę się, że mogłam czegoś się dowiedzieć o mojej przyrodniej siostrze. Posiadłość, o której wspomniałeś, należy teraz do mnie, choć na razie nie wolno mi tam się zjawić. Jestem ci wdzięczna za wieści, przyjmij więc ode mnie życzliwą radę: strzeż się kolacji, którą wkrótce będziemy razem spożywać. Odniosłam wrażenie, że nie zrozumiałeś aluzji, jakich Vodalus ci nie szczędził. Czy mam rację?

Skinąłem głową.

– Jeżeli my, a także nasi sojusznicy i panowie w sąsiednich krajach, mamy odnieść zwycięstwo, to musimy wchłonąć wszystko, czego uda nam się dowiedzieć o przeszłości. Czy widziałeś kiedyś analeptyczne alzabo?

– Nie, kasztelanko, ale słyszałem opowieści o tym zwierzęciu. Podobno potrafi mówić, a nocą przychodzi pod drzwi domostwa, w którym umarło dziecko, i prosi, żeby wpuszczono je do środka.

– Dawno temu sprowadzono je z gwiazd, podobnie jak wiele innych rzeczy dla pożytku Urth. Stworzenie to nie dorównuje inteligencją psu, ale jest smakoszem padliny i rabusiem grobów. Po pożarciu ludzkich zwłok przez pewien czas mówi i zachowuje się zupełnie jak człowiek. Do przygotowania specjalnej potrawy wykorzystuje się gruczoł, który mieści się u podstawy jego czaszki. Rozumiesz mnie, opravco?

Kiedy odeszła, Jonas i ja starannie unikaliśmy swojego wzroku, gdyż obaj już wiedzieliśmy, na jaką ucztę zostaniemy tej nocy zaproszeni.

rozdział 11

Thecla

Kiedy miałem już dosyć siedzenia w milczeniu i bezmyślnego wpatrywania się w trawę, podszedłem do strumienia, ukląknę na miękkiej ziemi i zwróciłem cały obiad, który spożyłem w towarzystwie Vodalusa. Kiedy torsje ustały, pozostałem jeszcze przez jakiś czas pochylony nad wodą, ciężko oddychając i drżąc na całym ciele, potem zaś starannie opłukałem zimną wodą twarz i usta.

Czując, że odzyskałem przynajmniej część sił, wróciłem do Jonasa.

– Musimy iść – powiedziałem.

Spojrzał na mnie w taki sposób, jakby mi współczuł, co chyba było zgodne z prawdą.

– Wszędzie dokoła czają się ludzie Vodalusa.

– Widzę, że najnowsze wiadomości nie zaszkodziły ci tak jak mnie, ale chyba zrozumiałeś, co one oznaczają? Poza tym Chuniald mógł kłamać.

– Usłyszałem strażników przechadzających się między drzewami. Nie potrafią poruszać się zupełnie bezszelestnie. Ty masz swój miecz, Severianie, a ja sztylet, ale ludzie Vodalusa mają łuki. Zauważyłem, że większość tych, którzy siedzieli z nami przy stole, była w nie uzbrojona. Moglibyśmy spróbować ukryć się wśród liści jak skowronki...

Zrozumiałem, co chce przez to powiedzieć.

– Skowronki są często zabijane, gdyż przyrządza się z nich smakowite dania.

– Ale nikt nie poluje na nie w nocy. Za niecałą wachtę zrobi się zupełnie ciemno.

– Pójdiesz ze mną, jeśli mimo wszystko zjawią się po nas? – zapytałem, wyciągając do niego rękę. Jonas chwycił ją i mocno uściskał.

– Nieszczęsny Severianie, mój przyjacielu... Opowiedziałeś mi o tym,

jak spotkałeś przy rozkopanym grobie Vodalusa, kasztelanę Theę i jeszcze jednego człowieka. Czy naprawdę nie wiedziałeś, do czego jest im potrzebne to, co w nim znaleźli?

Oczywiście, że wiedziałem, ale wówczas nie przywiązywałem do tego większej wagi. Teraz przekonałem się, że nie wiem, co powiedzieć, i że właściwie nawet nie jestem w stanie o niczym myśleć, gdyż ogarnęło mnie tylko jedno, przemożne pragnienie: aby noc jak najszybciej nadeszła.

Jednak ludzie Vodalusa zjawili się po nas znacznie wcześniej. Czterech barczystych osiłków, prawdopodobnie wieśniaków, było uzbrojonych w berdysze, piąty zaś, który nieco przypominał szlachcica, miał lekki oficerski miecz. Możliwe, że wszyscy oni znajdowali się w tłumie, który obserwował nasze przybycie, gdyż najwyraźniej woleli nie ryzykować. Choć zwracali się do nas bardzo przyjaźnie, to stanęli w bezpiecznej odległości z bronią gotową w każdej chwili do użycia. Jonas zachowywał się niezwykle dzielnie, gdyż gawędził z nimi przez całą drogę, ja natomiast nie byłem w stanie wykrztusić słowa i szedłem tak, jakby prowadzono mnie na koniec świata.

Podczas naszej wędrówki Urth ostatecznie odwróciła twarz od słońca. Przez gęste liście nie mógł przedrzeć się blask nawet najjaśniejszych gwiazd, ale nasi przewodnicy doskonale znali drogę. Wielokrotnie otwierałem już usta, aby zapytać, czy będziemy zmuszeni do uczestnictwa w uczcie, choć w głębi duszy doskonale wiedziałem, że odmowa – a nawet podejrzenie o chęć odmowy – będzie oznaczała koniec zaufania, jakim chyba Vodalus mnie obdarzył, oraz narazi mnie na utratę wolności, a kto wie, czy nie życia.

W miarę jak pogrążałem się w rozpacz, nasi strażnicy robili się coraz weselsi, odpowiadając na uwagi Jonasa i ciesząc się tak, jakby szli do oberży albo burdelu. Żarty, jakimi się przerzucali, były dla mnie równie niezrozumiałe jak dla małego dziecka przekomarzenie się ulicznic.

– Znowu chcesz się utopić jak poprzednim razem? (Pytanie zadał jeden z mężczyzn zamykających nasz mały pochód).

– Na otchłanie Erebu, zanurzę się tak głęboko, że nie zobaczycie mnie wcześniej niż następnej zimy.

– Czy któryś z was już ją widział?

To był chyba dowodzący oficer. Żołnierze byli tylko podochoceni, natomiast jego głos był przesycony tak wielkim pragnieniem, że aż trudno sobie wyobrazić, iż mogło się skryć za kilkoma prostymi

słowa. Przywodził na myśl zagubionego wędrowca pytającego o drogę do domu.

– Nie, waldgrafie.

Inny głos rzekł:

– Aicmund mówi, że jest w sam raz: ani za stara, ani za młoda.

– Mam nadzieję, że to nie żadna trybada.

– Nie wiem, ale...

Przestałem przysłuchiwać się rozmowie, gdyż między drzewami dostrzegłem migotanie ognia, a po przejściu jeszcze kilku kroków ujrzałem płonące pochodnie i usłyszałem gwar wielu głosów. Ktoś kazał nam się zatrzymać, a wtedy oficer wysunął się naprzód i szeptem podał hasło.

Niedługo potem siedziałem na leśnej ściółce, mając Jonasa po prawej, a niski fotel z rzeźbionego drewna po lewej stronie. Oficer zajął miejsce po prawej ręce Jonasa, pozostali ludzie zaś (wydawało się, że czekali tylko na nasze przyście) usiedli kręgiem wokół dymiącej pomarańczowej lampy zawieszanej na gałęzi drzewa.

Doliczyłem się nie więcej niż jednej trzeciej tych, którzy otaczali tron Vodalusa, ale z ich strojów i broni łatwo było się domyślić, iż są to sami dobrze urodzeni oraz kilku oficerów, zapewne dowodzących ulubionymi oddziałami Vodalusa. Na każdą kobietę przypadało czterech lub pięciu mężczyzn, lecz wszystkie wyglądały równie groźnie jak oni i wydawały się z jeszcze większą niecierpliwością oczekiwać początku uczty.

Wreszcie Vodalus wyłonił się z ciemności i szybkim krokiem przeszedł przez najszerze miejsce kręgu. Zebrani poderwali się na nogi, po czym, kiedy ich pan i władca zasiadł na rzeźbionym fotelu po mojej lewej stronie, ponownie zajęli miejsca.

Zaraz potem pod pomarańczową lampą pośrodku kręgu stanął człowiek w liberii. W rękach trzymał tacę z dwiema butelkami, dużą i małą, oraz kryształowym pucharem. Powitał go szmer zadowolenia, na który składały się ciche pomruki, głośne oddechy i nieświadome mlaskanie. Człowiek w liberii zaczekał, aż te odgłosy ucichną, po czym podszedł do Vodalusa, stawiając pewne, starannie odmierzone kroki.

– Wyciąg z alzabo, o którym ci wspomniałam, znajduje się w mniejszej butelce – rozległ się za moimi plecami gołębi głos Thei. – Większa butelka zawiera wywar z ziół działający kojąco na żołądek. Wypij pełen łyk tej mieszanki.

Vodalus odwrócił się i spojrział na nią z zaskoczeniem. Thea weszła

do wnętrza kręgu, przechodząc najpierw między Jonasem a mną, potem między Vodalusem a człowiekiem w liberii, by wreszcie zająć miejsce po lewej stronie Vodalusa. Ten nachylił się ku niej, jakby chciał coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili człowiek w liberii zaczął mieszać w kryształowym pucharze zawartość obu butelek, Vodalus zrezygnował więc ze swojego zamiaru.

Służący wykonywał pucharem okrężne ruchy, aby zawartość naczynia jak najmocniej się rozkołysała, sięgając jego krawędzi.

– Bardzo dobrze – pochwalił go Vodalus, po czym ujął puchar w obie ręce, przytknął do ust, a następnie przekazał mnie. – Jak już kasztelanka ci powiedziała, musisz wypić pełen łyk. Jeżeli wypijesz mniej, nie doznasz żadnych wrażeń, a jeżeli więcej, to dla ciebie będzie to bez znaczenia, ale niepotrzebnie zużyjesz zbyt dużo cennego specyfiku.

Napiłem się, tak jak mi kazał. Mikstura okazała się potwornie gorzka, zimna i cuchnąca. Przywiodła mi na myśl pewien zimowy dzień sprzed wielu lat, kiedy polecono mi oczyścić rurę kanalizacyjną odprowadzającą odchody z kwater czeladników poza mur. Przez chwilę wydawało mi się, że znowu chwycą mnie mdłości, tak jak niedawno nad strumieniem, choć w moim żołądku nie pozostało już nic, co mógłbym zwrócić. Zakrztusiłem się, z trudem przełknąłem to, co miałem w ustach, po czym przekazałem puchar Jonasowi. Jednocześnie ze zdziwieniem stwierdziłem, że niemal nie nadażam z przełykaniem napływającej mi do ust śliny.

Jonas miał jeszcze większe trudności niż ja, ale jakoś zdołał je pokonać i podał puchar waldgrafowi, który dowodził eskortującym nas oddziałem. Obserwowałem, jak naczynie wędruje z rąk do rąk. Jego zawartość wystarczała dla około dziesięciu osób. Kiedy było już puste, człowiek w liberii wycierał starannie krawędź, ponownie je napełniał i podawał następnemu w kolejności. Stopniowo tracił zwykłe ludzkie kształty, aż wreszcie wydawał się jedynie kolorową figurką, marionetką wystruganą z kawałka drewna. Natychmiast przypomniałem sobie marionetki, które widziałem we śnie tej nocy, kiedy dzieliłem łóżko z Baldandersem.

Także krąg, w którym siedzieliśmy – choć wiedziałem, że składa się z trzydziestu lub czterdziestu osób – wyglądał tak, jakby został wycięty z papieru; Vodalus i Jonas niczym nie różnili się od normalnych ludzi, ale już waldgraf i Thea sprawiali wrażenie niemal zupełnie płaskich, jakby dwuwymiarowych.

Kiedy mężczyzna w liberii dotarł do kasztelanki, Vodalus podniósł się

z miejsca i raczej popłynął, niż poszedł w kierunku pomarańczowej latarni, zupełnie jakby zaniósł go tam mocniejszy powiew wiatru. Skąpany w jej blasku wydawał się bardzo daleki, a mimo to czułem na sobie jego spojrzenie, tak jak czuje się żar buchający z żelaznego kosza wypełnionego rozpalonymi węglami, w którym rozgrzewa się narzędzia tortur.

– Przed przystąpieniem do wspólnoty musicie złożyć przysięgę – powiedział, a okoliczne drzewa poważnie skinęły koronami. – Czy przysięgacie na drugie życie, które wkrótce otrzymacie, że nigdy nie zdradzicie tych, którzy się tutaj zebrali? Czy przysięgacie służyć Vodalusowi bez wahania, nawet za cenę śmierci, gdyby zaszła taka potrzeba?

Spróbowałem kiwnąć głową, idąc w ślady drzew, ale odniosłem wrażenie, że to za mało, więc głośno powiedziałem:

– Przysięgam.

– Tak – zawtórował mi Jonas.

– I że będziecie posłuszni każdej osobie wyznaczonej przez Vodalusa, tak jak jemu samemu?

– Tak.

– Tak.

– I że ta przysięga będzie ważniejsza od innych, złożonych wcześniej albo później?

– Tak – powiedział Jonas.

– Tak – powtórzyłem za nim.

Wiatr ucichł, zupełnie jakby jakiś niespokojny duch nawiedził zgromadzenie, po czym zniknął. Vodalus ponownie zasiadł w rzeźbionym fotelu i nachylił się ku mnie. Nawet jeżeli mówił mniej wyraźnie niż do tej pory, to ja tego nie zauważyłem, ale wyraz jego oczu powiedział mi, że już jest pod silnym wpływem alzabo, może nawet równie silnym jak ja.

– Nie jestem uczonym – zaczął – ale wiem, że wzniosłe cele osiąga się często za pomocą bardzo prostych środków. Narody łączą się dzięki wymianie handlowej, kość słoniową i rzadkie gatunki drewna tworzące ołtarze łączy klej z wygotowanych kości wcale nie szlachetnych zwierząt, do połączenia mężczyzny i kobiety służą najbardziej wstydlive części ich ciał... Tak właśnie połączyliśmy się ja i ty i w taki właśnie sposób już za kilka chwil połączymy się ze zmarłym, który na pewien czas ożyje w każdym z nas dzięki specyfikowi uzyskanemu z mózgu ohydnej bestii. W taki sam sposób na gnoju wyrastają piękne

kwiaty.

Skinąłem głową.

– Sztuki tej nauczyliśmy się od naszych sojuszników – tych, którzy czekają, aż człowiek odzyska dawną niewinność, aby wraz z nimi wziąć udział w podboju wszechświata. Znają ją także ci, którzy pragnęliby ją wykorzystać do niecznych celów. Mówię ci o tym, ponieważ kiedy już dotrzesz do Domu Absolutu, prawdopodobnie ich spotkasz. Prości ludzie zwą ich kakogenami, bardziej wykształceni zaś ekstrasolarianami lub hierodulami. Musisz być bardzo ostrożny i starać się nie zwrócić ich uwagi, gdyż obserwując cię z bliska, mogliby poznać, że zażywałeś wyciągu z alzabo.

– Dom Absolutu? – Dźwięk tych słów rozproszył na chwilę opary, które spowiły mój umysł.

– Tak jest. Mam tam człowieka, któremu muszę przesłać polecenia, a właśnie dowiedziałem się, że za kilka dni wystąpi tam aktorska trupa, do której niedawno należałeś. Dołączysz do nich, po czym przekażesz to, co ci teraz dam – zaczął grzebać w fałdach tuniki – człowiekowi, który podejdzie do ciebie i powie: „Morska flota zbliża się do lądu”. A gdyby on z kolei przekazał ci jakąś wiadomość, powtórzysz ją temu, od którego usłyszysz następujące hasło: „Przybywam z najgłębszych otchłani niewiedzy”.

– Panie, kręci mi się w głowie... – szepnąłem, a następnie dodałem coś, co było całkowitą nieprawdą: – Nie jestem w stanie zapamiętać tych słów. Szczerze mówiąc, już wyleciały mi z głowy. Czy mam rozumieć, że Dorcas i pozostali będą w Domu Absolutu?

Vodulus wcisnął mi w dłoń mały przedmiot, który bardzo przypominał kształtem nóż, choć nim nie był. Wykonano go z tego samego gatunku stali, jakim uderza się o krzemień, aby skrzesać iskrę.

– Na pewno nie zapomnisz – powiedział. – Podobnie jak nie zapomnisz złożonej mi przysięgi. Wielu z tych, których tu widzisz, sądziło, że nigdy do mnie nie powróci.

– Ale, sieur, przecież Dom Absolutu...

Spomiędzy drzew rosnących po drugiej stronie kręgu dobiegły dźwięki fletu.

– Wkrótce będę musiał odejść, aby przyprowadzić oblubienicę, lecz ty niczego się nie lękaj. Jakiś czas temu spotkałeś pewnego borsuka, który należy do mojej kompanii...

– Hildegrin! Sieur, już nic z tego nie rozumiem.

– Rzeczywiście, używa także tego imienia. Uznał, że pojawienie się

kata tak daleko od Cytadeli – w dodatku takiego, który często o mnie wspomina – stanowi dość niezwykle wydarzenie, kazał więc cię śledzić, choć nic nie wiedział o tym, że kiedyś ocaliłeś mi życie. Niestety, jego wysłannicy stracili cię z oczu przy Murze i od tej pory obserwowali jedynie twoich przyjaciół w nadziei, że ponownie się do nich przyłączysz. Przypuszczałem, że jako wygnaniec przystąpisz do nas i zachowasz nieszczęsnego Barnocha przy życiu wystarczająco długo, abyśmy zdążyli go ocalić. Zeszłej nocy osobiście pojechałem do Saltus, aby z tobą porozmawiać, ale nie zastałem cię, a w dodatku ktoś ukradł mi wierzchowca. W związku z tym dzisiaj musieliśmy sprowadzić cię tutaj siłą, lecz ja nadal miałem nadzieję, że uznasz słuszość naszej sprawy, i dlatego poleciłem swoim ludziom, aby wzięli cię żywcem. W ten sposób straciłem trzech, a zyskałem dwóch. Mam nadzieję, że mimo wszystko zrobiłem dobry interes.

Vodalus umilkł i niezbyt pewnie dźwignął się z miejsca. Dziękowałem świętej Katarzynie, że nie muszę go naśladować, gdyż byłem pewien, że nogi odmówiłyby mi posłuszeństwa. Przy dźwiękach fletu między drzewami przesunęło się coś mglistego, co najmniej dwukrotnie wyższego od człowieka. Vodalus ruszył w tamtą stronę, odprowadzany spojrzzeniami wszystkich zebranych.

– Urocza, prawda? – szepnęła Thea, pochyliwszy się ku mnie nad jego fotelem. – Potrafią już czynić prawdziwe cuda.

Mglisty kształt okazał się kobietą siedzącą w srebrnej lektyce, którą niosło sześciu mężczyzn. Przez chwilę myślałem, że to Thecla, gdyż w pomarańczowym świetle wyglądała zupełnie jak ona, ale potem zrozumiałem, że to tylko jej podobizna, prawdopodobnie wykonana z wosku.

– Podobno temu, kto przedtem znał osobę, z którą teraz ma się zespolić, grozi duże niebezpieczeństwo, gdyż połączone wspomnienia mogą na stałe wprowadzić zamęt w jego umyśle – ciągnęła Thea głosem gołębiczy. – Ja jednak, która ją kochałam, zdecydowałam się podjąć ryzyko, a poznavszy po twoim spojrzeniu, kiedy rozmawiałeś z Vodalusem, że ty także tego pragniesz, nie wspomniałam mu o swoich obawach dotyczących twojej osoby.

Kiedy lektyka znalazła się wewnątrz kręgu, Vodalus wyciągnął rękę i dotknął ramienia siedzącej postaci. Poczulem charakterystyczny słodki zapach, który natychmiast przywołał wspomnienia o pieczonych w całości aguti, jakie podawano podczas wielkich uroczystości w naszej konfraterni, i w tej samej chwili zrozumiałem, że kukła nie została

zrobiona z wosku, lecz ze świeżo upieczonego mięsa.

Myszę, że gdyby nie alzabo, chyba postradałbym zmysły, ale ono na szczęście stało między mną a otaczającą mnie rzeczywistością niczym mgła, przez którą wszystko można zobaczyć, ale nic nie da się zrozumieć. Miałem także jeszcze jednego sojusznika: narastające we mnie przekonanie, a właściwie pewność, że gdybym teraz ugiął się i przełknął choć kawałeczek tego, co udawało Theclę, to jednocześnie wchłonąłbym jakiś fragment jej osobowości, który dzięki temu pozostałby ze mną do końca moich dni.

Ustąpiłem. Przestałem uważać to, co miałem zrobić, za ohydne i przerażające. Otworzyłem się cały na przyjęcie Thecli, oczekując jej nie tylko z nadzieją, ale i pożądaniem. Kiedy rozejrzałem się dookoła, dostrzegłem to pożądanie na wszystkich twarzach.

Człowiek w liberii – myślę, że był to jeden ze starych służących Vodalusa, który zdecydował się udać wraz z nim na wygnanie – pomógł sześciu mężczyznom niosącym lektykę postawić ją na ziemi. Przez kilka oddechów widziałem jedynie ich plecy, a kiedy się rozstąpili, zamiast Thecli ujrzałem tylko wielkie porcje pieczonego ułożone na czymś, co mogło być białym obrusem...

Jadłem, czekając na to, co miało nastąpić, i jednocześnie błagałem o wybaczenie. Thecla zasługiwała na najwspanialszy grobowiec z bezcennego marmuru, lecz zamiast tego jakaś jej część miała trafić do katowskiej izby o świeżo wyczyszczonej podłodze i narzędziach tortur zakrytych girlandami kwiatów. Noc była chłodna, ja jednak obficie się pocilem. Czekałem na nadejście mojej ukochanej, czując, jak krople potu spływają po mej odkrytej piersi, i wpatrując się w ziemię, gdyż bałem się, że zanim poczuję w sobie jej obecność, ujrzę ją na twarzach innych.

Pojawiła się, kiedy już byłem bliski rozpacz, wypełniając mnie tak, jak dźwięki wesołej melodii wypełniają wiejską chatę. Biegłem z nią wzdłuż brzegu Acis, kiedy oboje byliśmy dziećmi. Znałem dokładnie starą willę nad ciemnym jeziorem, znałem widok roztaczający się z zarosłych brudem okien belwederu oraz tajemne miejsce w załomie korytarza między dwoma pokojami, gdzie przesiadywaliśmy całymi popołudniami, czytając przy blasku świecy. Wiedziałem wszystko o życiu na dworze Autarchy, gdzie można było spodziewać się trucizny w każdym wysadzonym brylantami kielichu. Dowiedziałem się, co oznacza uwięzienie, cierpienie, a wreszcie śmierć dla kogoś, kto wcześniej nigdy nie widział celi ani nie poczuł uderzenia bata.

Dowiedziałem się też, że znałem dla niej więcej, niż kiedykolwiek mógłbym przypuszczać, a potem zapadłem w sen i śniłem tylko o niej. Nie były to zwykłe wspomnienia, gdyż tych miałem pod dostatkiem już wcześniej. Trzymałem w rękach jej biedne, zmarznięte dłonie, ale nie miałem już na sobie poszarpanych łachów ucznia ani fuliginowego płaszcza czeladnika. Oboje byliśmy nadzy i szczęśliwi, oboje wiedzieliśmy, że jej już nie ma, a ja nadal żyję, lecz nie próbowaliśmy się temu przeciwstawić, tylko siedzieliśmy pochyleni wspólnie nad książką, rozmawiając, śpiewając i dyskutując o przeróżnych sprawach.

rozdział 12

Notule

Obudziłem się dopiero rano. Przeskok był niezmiernie bolesny: przechadzaliśmy się zgodnie po czymś, co z pewnością było rajem, który Nowe Słońce podobno ma otworzyć dla wszystkich, którzy wezwą je w ostatnich chwilach życia – i choć mądrzy ludzie twierdzą, że nie będą mieli tam wstępu ci, co przyczyniają się do śmierci współwyznawców, to wydaje mi się, że ten, który tak wiele wybacza, czasem musi wybaczać również takie grzechy – a już w chwilę potem otoczyło mnie zimne, nieprzytulne światło i usłyszałem świergot ptaków.

Usiadłem. Mój płaszcz był mokry od rosy, która osiadła mi także na twarzy niczym pot. Leżący obok mnie Jonas niespokojnie się poruszył. Dziesięć kroków dalej stały dwa wierzchowce – jeden koloru białego wina, drugi czarny jak bezgwiezdna noc – gryząc niespokojnie wędzidła i uderzając kopytami w ziemię. Po uczcie i biesiadnikach nie pozostał żaden ślad, podobnie jak po Thecli, której już nigdy nie zobaczyłem i nie mam nadziei ujrzeć po tej stronie istnienia.

Terminus Est spoczywał na trawie u mego boku, bezpieczny w dobrze nasączonej oliwą pochwie. Podniosłem go i ruszyłem w dół, ku strumieniowi, gdzie uczyniłem wszystko, co można, aby się odświeżyć. Kiedy wróciłem, Jonas już nie spał, powiedziałem mu więc, gdzie może znaleźć wodę, a kiedy tam odszedł, pożegnałem się z Theclą.

Jednak jakaś jej część pozostała ze mną na zawsze, gdyż zdarza się, że ja, który wszystko pamiętam, myślę, iż nie jestem Severianem, lecz Theclą, jakby mój umysł był oprawionym w szkło obrazkiem, a ona stała przede mną i spoglądała nie tylko na mnie, ale i na swoje odbicie. Od tamtej pory kiedy myślę o niej, nie przywołując z pamięci żadnego określonego czasu ani miejsca, widzę ją stojącą przed zwierciadłem w szacie ze śnieżnej bieli, która ledwo zakrywa jej piersi, spływając

obfitymi kaskadami aż do ziemi. Widzę, jak stoi przede mną, który też jestem w tym zwierciadle, i unosi obie ręce, aby dotknąć naszych twarzy.

Potem coś się zmienia. Jakaś przemożna siła przenosi ją do komnaty, gdzie ściany, sufit i podłoga są wyłożone zwierciadłami. Bez wątplenia to, co widzę, stanowi wspomnienie odbicia, jakie w nich widziałam, ale potem moja Thecla niespodziewanie czyni dwa kroki w przód i znika w ciemności, by już się nie pojawić.

Kiedy Jonas wrócił z nad strumienia, zdołałem jakoś opanować rozpacz i udałem, że oglądam nasze rumaki.

– Czarny jest dla ciebie, a jasny dla mnie, to oczywiste – powiedział. – Co prawda oba prezentują się znacznie lepiej od nas, jak powiedział pewien żeglarz chirurgowi, który amputował mu nogi. Dokąd jedziemy?

– Do Domu Absolutu. – Dostrzegłem na jego twarzy niedowierzanie. – Czyżbyś nie słyszał mojej rozmowy z Vodalusem?

– Usłyszałem nazwę, ale nie to, że mamy tam jechać.

Jak już powiedziałem, jestem bardzo marnym jeźdźcą, ale jakoś udało mi się wsadzić stopę w strzemień i wdrapać się na grzbiet wierzchowca. Ten, którego dwie noce wcześniej ukradłem Vodalusowi, miał wysokie wojskowe siodło, straszliwie niewygodne, ale za to bezpieczne, gdyż bardzo trudno z niego wypaść. Mój nowy wierzchowiec niósł na grzbiecie jedynie coś w rodzaju płaskiej atlasowej poduszki, równie komfortowej co zdradzieckiej. Ledwo zdążyłem objąć jego boki nogami, kiedy zaczął nerwowo tańczyć.

– Jak dużo pamiętasz?

Była to chyba najmniej odpowiednia pora na zadawanie takich pytań, ale nie miałem żadnej pewności, że doczekam się lepszej.

– Chodzi ci o tę kobietę? Nic. – Jonas ominął mojego drepnącego niespokojnie rumaka, złapał za wodze swojego i wskoczył na siodło. – Nie przełknąłem ani kęsa. Vodalus nie spuszczał cię z oka, ale na mnie nikt nie zwracał uwagi, a poza tym potrafię udawać, że jem, w rzeczywistości nic nie jedząc.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

– Doskonaliłem tę umiejętność także w twojej obecności, na przykład podczas wczorajszego śniadania. Często z niej korzystam gdyż nie mam zbyt dużego apetytu. – Skierował wierzchowca na ścieżkę prowadzącą

przez las, po czym dodał: – Tak się składa, że dość dobrze znam drogę, ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, po co właściwie tam jedziemy?

– Żeby spotkać się z Dorcas i Jolentą – odparłem. – A ja muszę wykonać pewne zadanie, które Vodalus mi zlecił.

Ponieważ prawie na pewno byliśmy obserwowani, wołałem nie mówić głośno, że nie mam najmniejszego zamiaru tego zrobić.

W tym miejscu muszę pominąć milczeniem wydarzenia kilku następnych dni, gdyż w przeciwnym razie moja relacja ciągnęłaby się w nieskończoność. W drodze opowiedziałem Jonasowi o wszystkim, o czym Vodalus mi mówił, a także o wielu innych rzeczach. Zatrzymywaliśmy się we wsiach i miasteczkach, przez które przejeżdżaliśmy, a ja czyniłem użytek z moich umiejętności wszędzie tam, gdzie akurat istniała taka potrzeba – nie dlatego, że brakowało nam pieniędzy, gdyż mieliśmy przecież sakiewkę kasztelanki Thei, znaczną część wynagrodzenia, jakie otrzymałem w Saltus, oraz sporą sumę, jaką Jonas dostał za złotą maczugę człowieka małpy – lecz po to, by nie budzić niepotrzebnie podejrzeń.

Czwarty ranek zastał nas jadących wciąż na północ. Gyoll sunęła po prawej stronie jak leniwy smok strzegący drogi, która na tym odcinku wiodła porośniętym trawą brzegiem rzeki. Poprzedniego dnia widzieliśmy patrol jezdnych; żołnierze byli uzbrojeni w takie same lance jak ci, którzy zabili wielu podróżnych w Bramie Skruchy.

– Musimy się pośpieszyć, jeżeli chcemy przed zmierzchem znaleźć się w pobliżu Domu Absolutu – mruknął Jonas, który od chwili, kiedy wyruszyliśmy, zachowywał się dosyć niespokojnie. – Szkoda, że Vodalus ci nie powiedział, kiedy dokładnie zaczynają się uroczystości i jak długo potrwać.

– Czy to jeszcze daleko? – zapytałem.

Wskazał mi wyspę na rzece.

– Wydaje mi się, że pamiętam to miejsce. Dwa dni drogi stąd jacyś pielgrzymi powiedzieli mi, że Dom Absolutu jest już bardzo blisko, i ostrzegli przed pilnującymi go pretorianami. Wyglądali na ludzi, którzy wiedzą, o czym mówią.

Pogonił wierzchowca, a ja uczyniłem to samo.

– Szedłeś pieszo?

– Jechałem na swojej klaczy. Coś mi się zdaje, że już nigdy nie zobaczę tego nieszczęsnego bydlęcia... Co prawda w swojej najlepszej formie poruszała się wolniej niż te zwierzęta w najgorszej, ale i tak podejrzewam, że nie są wystarczająco szybkie.

Miałem już powiedzieć, że nie przypuszczam, aby Vodalus wysłał nas w drogę, nie mając pewności, że dotrzemy na czas do Domu Absolutu, kiedy tuż nad moją głową przeleciało coś, co w pierwszej chwili wziąłem za ogromnego nietoperza.

W przeciwieństwie do mnie Jonas natychmiast zorientował się w niebezpieczeństwie: wykrzyknął coś, czego nie zrozumiałem, po czym smagnął mego wierzchowca swoimi wodzami. Czarny rumak skoczył tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a wysadziłby mnie z siodła, w następnej chwili zaś galopowaliśmy już z ogromną prędkością. Pamiętam, jak przemknęliśmy między dwoma drzewami rosnącymi tak blisko siebie, że prawie otarłem się kolanami o ich korę. Nad głową dostrzegłem coś, co przypominało przyklejoną do nieba plamę sadzy, a mgnienie oka później tajemnicze zjawisko z donośnym łopotem wpadło w płataninę gałęzi za naszymi plecami.

Nasze rumaki wybiegły z lasu i popędziły wyschniętym korytem jakiegoś potoku. Kiedy zaczęły się wspinać na przeciwległy brzeg, owa dziwna rzecz wyłoniła się spomiędzy drzew, jeszcze bardziej poszarpana niż do tej pory.

Odniosłem wrażenie, że straciła nasz ślad, gdyż przez kilka oddechów unosiła się niepewnie w powietrzu, potem jednak zdecydowanie ruszyła w naszą stronę. Niewiele myśląc, wydobyłem z pochwy Terminus Est i spiąłem wierzchowca, kierując go wprost na nadlatującą czarną plamę.

Gdybym miał miecz o ostrym końcu, z pewnością usiłowałbym ją na niego nadziać, co bez wątplenia zakończyłoby się moją śmiercią. Ja jednak wziąłem szeroki zamach i uderzyłem tak, jakbym chciał przeciąć zawieszoną nad moją głową poprzeczną belkę.

Odniosłem wrażenie, że miecz przeszył jedynie powietrze, ale w chwilę później plama rozdzieliła się na dwie części jak rozdarta szmata, a ja poczułem na twarzy podmuch gorącego powietrza, jakbym stał przed piecem, a ktoś na krótko otworzył jego drzwiczki.

Gdybym był sam, natychmiast zsiadłbym z wierzchowca, aby się jej przyjrzeć, ale Jonas krzyknął coś i mnie ponaglił. Gęsty las, który towarzyszył nam od samego Saltus, został już za nami; wokół był

niegościnnie krajobraz, na który składały się poszarpane kamieniste wzgórza, porośnięte gdzieniegdzie karłowatymi cedrami. Kępa takich właśnie drzew rosła na zboczu pobliskiego wzniesienia. Poganiając wierzchowce, wpadliśmy z szaloną prędkością między poskręcane pnie i gałęzie, przyciskając twarze do karków zwierząt, aby nie spaść na ziemię.

Wkrótce jednak zagajnik zrobił się tak gęsty, że musieliśmy zwolnić do stępa, a zaraz potem dotarliśmy do pionowej skalnej ściany i zatrzymaliśmy się. Natychmiast usłyszałem dobiegający z tyłu szeleszczący dźwięk, jakby ranny ptak przelatujący z gałęzi na gałąź, trzepocząc głośno skrzydłami. Cedry roztaczały tak silną woń, że miałem kłopoty z oddychaniem.

– Musimy stąd uciekać! – wysapał Jonas. Ostry koniec gałęzi rozorał mu policzek, z którego sączyła się krew. Rozejrzał się dookoła, po czym skręcił w prawo, w kierunku rzeki, zmuszając wierzchowca do wejścia w nieprzebytą, mogłoby się wydawać, gęstwinę.

Pozwoliłem mu torować drogę, gdyż doszedłem do wniosku, że gdyby tajemniczy napastnicy ruszyli za nami, mógłbym stawić im opór. Wkrótce ich zauważyłem: najpierw pojawiła się jedna czarna plama, a w chwilę później w pewnej odległości za nią druga.

Wydostaliśmy się z zagajnika i ponownie zmusiliśmy rumaki do galopu. Poszarpane skrawki nocy ruszyły za nami w pogoń, ale choć wydawało się, że lecą z dużą szybkością, poruszały się znacznie wolniej niż wtedy, kiedy stanowiły całość.

– Musimy rozpalić ogień albo zabić jakieś duże zwierzę! – wykrzyknął Jonas. – Mógłbyś rozplatać brzuch któremuś z wierzchowców, ale gdyby to nie wystarczyło, byłibyśmy zgubieni!

Skinąłem głową, dając mu do zrozumienia, że ja także nie popieram tego pomysłu, choć wydawało mi się, że mój rumak i tak już wkrótce padnie z wyczerpania. Jonas ściągnął nieco wodze swojego, aby nie zostawić mnie z tyłu.

– Czy one chcą krwi? – zapytałem, przekrzykując łoskot kopyt uderzających w kamienistą ziemię.

– Nie. Ciepła.

Jonas skręcił nieco w prawo i klepnął stalową ręką w zad rumaka. Uderzenie musiało być silne, gdyż zwierzę skoczyło naprzód jak dźgnięte szpikulcem. Przesadziliśmy suche koryto jednego z okresowych dopływów rzeki, bardziej zsunęliśmy się niż zjechaliśmy ze stromego piaszczystego zbocza, by wreszcie dotrzeć do równego, otwartego

terenu, na którym nasze wierzchowce mogły pokazać, ile naprawdę są warte.

Czarne płachty trzepocząc leciały za nami dwa razy wyżej, niż sięga szczyt najwyższego drzewa, i choć musiały walczyć z przeciwnym wiatrem, to wydawało się, że są niesione jego podmuchami.

Wygląd okolicy zmienił się tak nagle, jakbyśmy byli pchłami goniącymi po czymś ubraniu, które przekroczyły jeden ze szwów i znalazły się na skrawku zupełnie innego materiału. Zielona, wijąca się łagodnie droga prowadziła po zupełnie płaskim terenie. Skierowałem na nią mego wierzchowca, poganiając go krzykiem i uderzeniami miecza. Boki zwierzęcia spływały potem i krwią sączącą się z niezliczonych zadrapań spowodowanych przez połamane gałęzie cedrów. Jonas krzyknął coś za nami, ale ja puściłem jego słowa mimo uszu.

Minąwszy jeden z zakrętów, ujrzałem w oddali połyskliwie migoczącą rzekę, a w chwilę potem widok, na który czekałem. Może nie powinienem o tym mówić, ale uniosłem wtedy miecz ku niebu, a właściwie ku umierającemu, pożeranemu przez robaka słońcu, i krzyknąłem ile sił w płucach:

– Jego życie za moje, o Nowe Słońce! Poprzez twój gniew, a moją nadzieję!

Obcy jeździec (a był tylko jeden) z pewnością pomyślał, że wzywam go, by stawił mi czoło, gdyż ruszył w moją stronę, a błękitny blask na szczycie jego lancy wyraźnie przybrał na sile.

Choć krańcowo wyczerpany, mój rumak natychmiast zareagował na ruch wodzami: raptownie zahamował, wznosząc w górę obłok pyłu, po czym zawrócił i błyskawicznie nabierając szybkości, pognął w kierunku ścigających nas czarnych plam. Nie wiem, czy Jonas domyślił się, co zamierzam uczynić, ale bez wahania poszedł w moje ślady, nawet celowo zwolniwszy nieco tempo.

Jedna z roztrzepotanych plam, przypominających postrzępiony kawałek fuliginu, runęła ku nam. Wydaje mi się, że mierzyła w Jonasa, ale znalazła się w zasięgu mego miecza, rozciąłem ją więc na pół i znowu poczułem podmuch ciepłego powietrza. Teraz, kiedy już wiedziałem, skąd pochodzi to ciepło, wydało mi się bardziej ohydne od najokropniejszego zapachu. Walcząc ze wzbierającymi mdłościami, szarpnąłem gwałtownie wodze, aby uniknąć trafienia przez lancę żołnierza. W chwilę potem ugodziła w ziemię tam, gdzie przed chwilą był mój rumak, odbiła się i utkwiała w uschniętym drzewie, które natychmiast stanęło w płomieniach.

Ściągnąłem wodze, zmuszając wierzchowca do podniesienia głowy i wydania ogłuszającego ryku. Rozejrzałem się w poszukiwaniu trzech czarnych płacht, lecz nigdzie nie mogłem ich dostrzec, szybko więc spojrzałem na Jonasa, obawiając się, że może go dopadły.

Tam również ich nie było, ale spojrzenie przyjaciela powiedziało mi, gdzie mam ich szukać. Wszystkie trzy wirowały wokół obcego jeźdźca, który usiłował bronić się przed nimi lancą. Pociski jeden za drugim przesywały powietrze, eksplodując z potwornym hukiem. Każda erupcja oślepiającego ognia sprawiała, że słońce zdawało się przygasać, ale ta sama energia, która miała je zniszczyć, dodawała plamom sił. Już nie latały, trzepocząc, lecz śmigały niczym promienie nocy, przenosząc się błyskawicznie z miejsca na miejsce, coraz bliżej jeźdźca, aż wreszcie wszystkie trzy wylądowały na jego twarzy. Żołnierz zwalił się z siodła, a lanca wypadła mu z ręki i zgasła.

rozdział 13

Pazur Łagodziciela

– Czy on nie żyje? – zapytałem.

Jonas skinął głową. Chciałem niezwłocznie ruszyć w dalszą drogę, ale on zsiadł z wierzchowca i dał mi znak, bym uczynił to samo.

– Możemy zniszczyć te istoty, by już nigdy nie zostały użyte przeciwko nam ani nikomu innemu – powiedział, kiedy podeszliśmy do zwłok jeźdźca. – Teraz są syte, nie powinny więc wyrządzić nam krzywdy. Będziemy potrzebować jakiegoś szczelnego naczynia, najlepiej z metalu lub szkła.

Poinformowałem go, że nie mam przy sobie niczego takiego.

– Ani ja.

Przyklęknął obok martwego żołnierza i zaczął przetrząsać jego kieszenie. Zapach dymu płonącego drzewa przypominał woń kadzidła, tak że przez chwilę wydawało mi się, że ponownie trafiłem do katedry Peleryn. Warstwa połamanych gałązek i zeszlórocznych liści, na której spoczywały zwłoki, zastąpiła usłaną słomą podłogę, a pnie rosnących tu i tam drzew – słupy podtrzymujące powłokę namiotu.

– Jest – powiedział Jonas i pokazał mi cynową flaszeczkę o szerokiej szyjce. Wytrząsnął z niej na ziemię suszone zioła, a następnie przewrócił trupa na plecy.

– Gdzie one są? – zapytałem. – Zostały wchłonięte przez ciało?

Jonas pokręcił w milczeniu głową, po czym zaczął bardzo delikatnie wyciągać jedną z czarnych plam z lewego nozdrza żołnierza. Choć nieprzezroczysta, przypominała najcieńszy pergamin.

Zastanowiła mnie jego ostrożność.

– Gdybyś ją rozdarł, miałbyś dwie zamiast jednej, czy tak?

– Owszem, ale teraz jest najedzona, a w wyniku podziału straciłaby sporo energii i chciałaby ją natychmiast uzupełnić. Mnóstwo ludzi

zginęło tylko dlatego, że pocięło je na drobne kawałki. Wybrali walkę zamiast ucieczki, a kiedy opamiętali się, było już za późno, gdyż mieli przeciwko sobie nie jednego czy dwóch, ale całe mnóstwo bezlitosnych przeciwników.

Jedno oko jeźdźca było częściowo otwarte. Miałem już do czynienia z wieloma trupami, lecz nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że martwy mężczyzna nie spuszcza ze mnie wzroku – ze mnie, który go zabiłem, aby ocalić własne życie.

– Wydawało mi się, że kiedy rozciąłem pierwszą z nich, straciła sporo na szybkości – powiedziałem, aby zająć czymś innym myśli.

Jonas już umieścił w cynowej flaszcze pierwszą koszmarną plamę i zajęty był wyciąganiem drugiej.

– Prędkość każdej latającej istoty zależy od powierzchni nośnej skrzydeł. Gdyby tak nie było, to ci, którzy posługują się tymi stworami, rozdzieliliby je na niezliczone strzępy.

– Wygląda na to, że już kiedyś miałeś z nimi do czynienia.

– Pewnego razu staliśmy w porcie, gdzie używa się ich do rytualnych morderstw. Przypuszczałem, że prędzej czy później trafią i tutaj, ale dzisiaj spotkałem je po raz pierwszy. – Odkręcił zakrętkę i włożył drugą plamę do flaszki. – Wkrótce się połączą. Wątpię, czy zwróciłeś na to uwagę, że przedzierając się przez las, trochę się podarły, jednak potem naprawiły się w locie.

– Została jeszcze jedna.

Jonas skinął głową, po czym otworzył stalową ręką usta martwego człowieka. Zamiast zębów, języka i dziąseł ujrzałem nieprzeniknioną czerń. Żołądek podszedł mi do gardła, ale zdołałem jakoś nad nim zapanować, a w chwilę potem Jonas już trzymał w dwóch palcach ociekającą śliną zmarłego trzecią istotę.

– Gdybym ponownie nie rozciął jednej z nich, pewnie weszłyby mu tylko do nosa?

– Owszem, ale potem, kiedy dotarłyby do płuc, rozprzestrzeniłyby się po całym ciele. Mamy szczęście, że byliśmy przy nim w chwili jego śmierci, gdyż w przeciwnym razie musiałbyś pociąć go na kawałki.

Gęsty kłęb dymu przypomniał mi o płonącym cedrze.

– Skoro chodziło im tylko o ciepło, to czy nie powinny...

– Wolą ciepło żywego ciała, choć czasem dają się skusić żarowi płomieni. Ja jednak uważam, że w grę wchodzi coś więcej niż zwykłe ciepło: prawdopodobnie jakaś energia charakterystyczna dla rozmnażających się komórek. – Jonas wepchnął trzecią istotę do flaszki

i starannie ją zamknął. – Nazywamy je notulami, ponieważ zazwyczaj pojawiają się po zmroku, kiedy nie można ich dostrzec. Pierwszym ostrzeżeniem jest wtedy niespodziewany podmuch ciepła. Nie mam pojęcia, jak tubylcy je ochrztili.

– Gdzie leży ta wyspa, z której przybyły? – Spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. – Czy jest daleko od brzegu? Zawsze pragnąłem zobaczyć Uroborosa na własne oczy, choć przypuszczam, że to może być niebezpieczne.

– Bardzo daleko – odparł głucho Jonas. – Doprawdy bardzo daleko... Zaczekaj chwilę.

Stanął na brzegu rzeki i z całej siły cisnął cynową flaszkę. Wpadła z pluskiem do wody niemal pośrodku koryta. Kiedy wrócił, zapytałem:

– Nie wydaje ci się, że sami moglibyśmy je wykorzystać? Ten, kto je za nami wysłał, z pewnością nie zrezygnuje ze swoich zamiarów, mogłyby więc nam się przydać.

– „Nie słuchałyby nas, a poza tym bez nich świat od razu stanie się lepszy”, jak powiedziała żona rzeźnika, obcinając mu przyrodzenie. Ruszajmy w drogę. Zdaje się, że ktoś się zbliża.

Spojrzałem tam, gdzie wskazał, i dostrzegłem wędrujące na piechotę dwie postacie. Jonas chwycił rumaka za wodze i szykował się, by wskoczyć na siodło.

– Zaczekaj – powiedziałem. – Albo odjedź jakieś dwa łańcuchy stąd i tam poczekaj na mnie.

Nie mogłem pozbyć się wspomnienia o krwawiącym kikucie człowieka mały i zdawało mi się, że wśród rozrzuconych rzadko drzew widzę przyćmione wotywne światełka, takie same jak te, które płonęły w katedrze Peleryn. Sięgnąłem do buta i wyjąłem Pazur Łagodziciela.

Po raz pierwszy miałem okazję ujrzeć go w pełnym blasku dnia. Zalśnił tak, jakby był Nowym Słońcem; był już nie tylko błękitny, ale płonął wszystkimi barwami, od fioletu do cyjanu. Położyłem go na czole martwego mężczyzny i skupiłem się na chwilę, starając się ożywić go myślą.

– Chodź już! – zawołał Jonas. – Co tam robisz? – Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

– On chyba jeszcze żyje! Zejdź z drogi, zanim odszuka swoją lancę! Z daleka dobiegł mnie znajomy głos:

– Mistrzu!

Odwróciłem głowę i spojrzałem na porośniętą trawą drogę.

– Mistrzu!

Jedna ze zbliżających się postaci zamachała ręką, a zaraz potem obie zaczęły biec w moim kierunku.

– To Hethor – powiedziałem, ale Jonas już odjechał. Opuściłem wzrok na żołnierza; otworzył oczy, a jego pierś uniosła się wraz z wdechem. Usiadł, jak tylko zdjąłem Pazur z jego czoła. Krzyknąłem w stronę Hethora i jego towarzysza, żeby zeszli z drogi, ale chyba mnie nie zrozumieli.

– Kim jesteś?

– Przyjacielem.

Choć żołnierz był jeszcze bardzo słaby, spróbował się podnieść. Podąłem mu rękę i pomogłem wstać z ziemi. Przez długą chwilę przyglądał się w milczeniu mnie, dwóm ludziom biegnącym w naszą stronę, rzecze i drzewom. Wyraźnie zaniepokoił go widok wierzchowców, nawet jego własnego, który stał spokojnie obok, czekając na swego pana.

– Co to za miejsce?

– Stara droga w pobliżu brzegu Gyoll.

Potrząsnął głową, a potem objął ją dłońmi i mocno ścisnął. Zdyszany Hethor dopadł mnie niczym zapchlony kundel, który przybiegł na wezwanie i teraz oczekuje pochwały. Jego towarzysz, który pozostał prawie sto kroków z tyłu, miał pstrokaty strój i przymilną minę drobnego przekupnia.

– M-m-mistrzu, nawet nie masz p-p-pojęcia, jak ogromne mieliśmy trudności, jak wiele musieliśmy włożyć w-w-wysiłku, by iść t-t-twoim śladem poprzez skaliste góry, rozległe morza i wyschnięte p-p-pustynie tego wspaniałego świata! Czymże jestem bez ciebie ja, t-t-twój sługa, jak nie p-p-pustą muszelką, igraszką bezrozumnych p-p-przypływów i odpływów, k-k-która nie może zaznać spokoju bez ciebie... Skąd ty, mistrzu o czerwonych szponach, mógłbyś wiedzieć o wysiłkach, jakich n-n-nie szczydziliśmy, aby do ciebie dotrzeć?

– Przypuszczam, że istotnie były znaczne, jako że kiedy ostatnio widziałem cię w Saltus, nie miałaś wierzchowca, a ja przez cały czas ostro poganiałem swoje zwierzę.

– Otóż to, panie – odparł, po czym spojrzał znacząco na swego towarzysza, jakby moje słowa potwierdziły jego wcześniejsze przypuszczenia, i usiadł ciężko na ziemi.

– Nazywam się Cornet Mineas – powiedział powoli żołnierz. – Kim wy jesteście?

Hethor kilkakrotnie pochylił głowę jakby w ukłonie.

– T-t-ten oto m-m-mistrz to szlachetny Severian, sługa Autar-chy – którego uryna jest jak wino dla jego p-p-poddanych – w Zgromadzeniu P-p-poszukiwaczy Prawdy i Skruchy. Hethor jest z k-k-kolei jego niegodnym sługą, podobnie jak Beuzec. Przypuszczam, że to samo d-d-dotyczy człowieka, który odjechał na wierzchowcu.

Nakazałem mu milczeć.

– Wszyscy jesteśmy tylko ubogimi wędrowcami. Zobaczyliśmy cię leżącego bez przytomności i spróbowaliśmy ci pomóc. Myśleliśmy nawet, że nie żyjesz, i chyba niewiele się pomyliliśmy.

– Co to za miejsce? – ponownie zapytał Cornet.

– Droga na p-p-północ od Quiesco – poinformował go ochotczo Hethor.
– Beuzec i ja płynęliśmy łodzią, m-m-mistrzu, w czarną noc ujeżdżając mętne wody Gyoll. Wysiedliśmy w-w-właśnie w Quiesco. Przez cały czas mijali nas szczęściarze p-p-pędzący do Domu Absolutu, ale my, choć tak powoli, podążaliśmy pod prąd za dnia i w nocy, dzięki czemu udało nam się ciebie d-d-dogonić.

– Do Domu Absolutu? – wymamrotał żołnierz.

– To chyba niedaleko stąd – powiedziałem.

– W takim razie powinienem zachować szczególną czujność.

– Jestem pewien, że już niedługo zjawi się tutaj któryś z twoich towarzyszy.

Złapałem swojego rumaka za wodze i wspiałem się na jego wysoki grzbiet.

– M-m-mistrzu, chyba nie chcesz znowu nas opuścić? Beuzec dwa razy oglądał cię czyniącego sprawiedliwość.

Już otwierałem usta, by mu odpowiedzieć, kiedy po drugiej stronie drogi, za rosnącymi rzadko drzewami, mignęło coś białego. Moja pierwszą myślą było, że ten, kto wysłał za nami notule, postanowił sięgnąć po inną, skuteczniejszą broń, wbiłem więc obcasy w boki rumaka.

Przez mniej więcej pół mili pędziliśmy wzdłuż wąskiego pasa ziemi oddzielającego drogę od rzeki. Kiedy wreszcie zobaczyłem Jonasa, podjechałem do niego i opowiedziałem mu, co widziałem.

– Nigdy nie słyszałem o istocie, którą mi opisałeś, ale być może sprowadzono jakieś nowe, nieznanne mi gatunki – odparł po dłuższym namyśle.

– Naprawdę sądzisz, że coś takiego mogłoby chodzić luzem jak zwyczajna krowa?

Nie odpowiedział, tylko wskazał na ziemię kilka kroków przed nami.

Zaczynała się tam zwirowa ścieżka szerokości najwyżej łokcia. Po obu jej stronach rosło więcej leśnych kwiatów, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć w jednym miejscu, sam żwir zaś był tak olśniewająco biały, a poszczególne kamyki miały tak regularne kształty, że z pewnością przywieziono go tutaj z jakiejś odległej tajemnej plaży.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, zapytałem Jonasa, co taka ścieżka może oznaczać.

– Tylko jedno: że znaleźliśmy się na terenach należących do Domu Absolutu.

Niespodziewanie przypomniałem sobie to miejsce.

– Rzeczywiście! Kiedyś wybrałam się na ryby z Josephą i jeszcze kilkoma przyjaciółkami. Szłyśmy właśnie tędy, a potem koło poskręcane go dębu...

Jonas popatrzył na mnie jak na szaleńca, a ja przez chwilę poczułam się tak, jakbym naprawdę nim była. Wielokrotnie brałam udział w polowaniach, ale teraz siedziałam na wierzchołku przeznaczonym do walki. Moje zakrzywione jak szpony ręce podniosły się do oczu, gotowe je wydrapać, i zapewne by to zrobiły, gdyby jadący obok mnie człowiek w łachmanach nie uderzył w nie swoją stalową ręką.

– Nie jesteś kasztelanką Theclą, tylko Severianem, czeladnikiem w Bractwie Katów, który miał nieszczęście zakochać się w niej! – krzyknął mi do ucha. – Sam zobacz!

Podsunał mi pod nos stalową dłoń, a ja ujrzałem w niej jakąś obcą, chudą, odrażającą i zdumioną twarz.

W chwilę potem przypomniałem sobie naszą wieżę, zakrzywione ściany z gładkiego ciemnego metalu, a także wiele innych rzeczy.

– Jestem Severian – powiedziałem.

– Zgadza się. Kasztelanka Thecla nie żyje.

– Jonasie...

– Tak?

– Żołnierz ożył. Sam to widziałeś. Pazur przywrócił mu życie. Położyłem mu go na czole, ale może wystarczyło, że zobaczył go martwymi oczami? Usiadł, odetchnął i odezwał się do mnie.

– A więc nie umarł.

– Przecież sam widziałeś.

– Jestem starszy od ciebie... Dużo starszy, niż myślisz. Jeżeli podczas moich podróży udało mi się czegokolwiek dowiedzieć, to na pewno tego, że martwi nie ożywają, a czas nie biegnie wstecz. To, co minęło, już nigdy nie wraca.

Twarz Thecli, którą przez cały czas miałem przed oczami, nagle zniknęła, porwana podmuchem czarnego wiatru.

– Gdybym użył go wtedy, kiedy braliśmy udział w kolacji zmarłych...
– szepnąłem.

– Żołnierz zapewne stracił przytomność z powodu braku powietrza, ale nie umarł. Kiedy usunąłem mu notule z nosa i gardła, znowu zaczął oddychać i po pewnym czasie się ocknął. Co się tyczy twojej Thecli, to żadna siła we wszechświecie nie przywróciłaby jej do życia. Prawdopodobnie wydobyli ją z grobu, kiedy jeszcze byłeś uwięziony w Cytadeli, i trzymali ją przez cały czas w jakiejś lodowej jaskini, żeby potem wypatroszyć jak kuropatwę i upiec. – Potrząsnął mnie za ramię. – Severianie, nie bądź głupcem!

Marzyłem tylko o tym, żeby umrzeć. Gdyby w tej chwili pojawiły się notule, powitałbym je z otwartymi ramionami. Jednak zamiast nich daleko na ścieżce ujrzałem ten sam biały kształt, który niedawno widziałem nad rzeką. Wyrwałem się Jonasowi i popędziłem w tamtą stronę.

rozdział 14

Przedpokój

Są takie stworzenia – a także sztuczne twory – z których istnieniem za nic nie chcemy się pogodzić, a kiedy nie mamy już sposobu, żeby dojść do ładu z rzeczywistością, powiadamy: „Och, to była tylko zjawą, piękna i przerażająca, ale jednak zjawą”.

Na którejś spośród wirujących planet, które niebawem przyjdzie mi poznać, żyje rasa podobna i jednocześnie niepodobna do ludzi. Nie są wcale wyżsi od nas, a ich ciała różnią się od naszych jedynie tym, że są doskonale – tyle tylko, że wzorzec, jaki przyjęli za ideał, jest nam całkowicie obcy. Tak jak my mają oczy, nos i usta, ale posługują się nimi do wyrażania emocji, których nam nigdy nie było dane poznać, w związku z czym, obserwując ich twarze, odnosimy niepokojące wrażenie, iż oto widzimy jakiś starożytny, budzący grozę alfabet uczuć, niezmiernie ważny, choć zarazem całkowicie niezrozumiały.

Taka rasa naprawdę istnieje, ale to nie jej przedstawiciela spotkałem na obrzeżach ogrodu otaczającego Dom Absolutu. Istota, którą dostrzegłem między drzewami i w której kierunku się rzuciłem, stanowiła raczej gigantyczną ożywioną rzeźbę. Jej ciało było wykonane z białego kamienia, oczy zaś, wypukłe i gładkie jak połówki jaj, przypominały oczy posągów. Poruszała się powoli, jak ktoś pogrążony we śnie lub odurzony silnym narkotykiem, lecz bynajmniej nie chwiejnie. Wydawała się ślepa, choć zarazem sprawiała wrażenie, jakby doskonale wiedziała o wszystkim, co ją otacza.

Przeczytałem to, co przed chwilą napisałem, i widzę, że zupełnie nie udało mi się oddać istoty tej postaci. Najbardziej przypominała posąg.

Gdyby jakiś upadły anioł podsłuchał moją rozmowę z zielonym człowiekiem, mógłby ją stworzyć choćby po to, żeby ze mnie zakpić. W tej akurat chwili otaczała ją aura spokoju i wieczności, jaką zawsze roztacza wokół siebie sztuka zaklęta w kamieniu. Wydawało mi się, że każdy gest, każde poruszenie głową może być ostatnim lub też że mogą powtarzać się w nieskończoność, tak jak figury z wielotarczowego zegara Valerii przewijają się bezustannie krętymi korytarzami czasu.

Zaraz po tym, jak trudna do wyrażenia obcość postaci wyleczyła mnie z gorącego pragnienia śmierci, ogarnął mnie paraliżujący strach, że będzie chciała wyrządzić mi krzywdę. Nie minęło jednak więcej czasu, niż trzeba dla zaczerpnięcia oddechu, kiedy zacząłem lękać się czegoś innego: tego mianowicie, że nie zrobi mi nic złego. Bać się czegoś tak, jak ja bałem się wtedy, a potem przekonać się, że nic mi nie grozi, oznaczałoby trudne do zniesienia upokorzenie. Nie bacząc na to, jakie szkody mogłoby ponieść ostrze Terminus Est, gdybym uderzył nim w kamień, obnażyłem miecz i ściągnąłem wodze rumaka. Wydawało mi się, że powietrze zamarło w bezruchu, kiedy tak staliśmy – mój wierzchowiec z rozdętymi chrapami, ja z uniesionym mieczem. Posąg zbliżał się ku nam – doskonale piękny, przerażający, o twarzy, na której malowały się niepojęte dla mnie uczucia.

Usłyszałem krzyk Jonasa, a w chwilę potem odgłos uderzenia. Odwróciłem się i zdążyłem go jeszcze zobaczyć, jak walczy z ludźmi w wysokich pojawiających się, to znów znikających hełmach, ale zaraz potem coś świsnęło mi koło ucha. Drugi pocisk trafił mnie w rękę, a chwilę później poczułem, jak wokół mego ciała zaciska się niemożliwa do rozerwania sieć. Ktoś chwycił mnie za nogi i mocno szarpnął, ściągając z wierzchowca.

Kiedy doszedłem do siebie na tyle, aby ponownie zdać sobie sprawę z tego, co się wokół mnie dzieje, poczułem na szyi pętlę z drutu i ujrzałem jednego z napastników zajętego przetrząsaniem mojej sakwy. Jego ręce uwijały się niczym brązowe wróble, a doskonale nieruchoma twarz zdawała się zawieszona nade mną na niewidzialnej nitce. Światło kilka razy załamało się na jego niezwykłej zbroi, aż wreszcie udało mi się ją dostrzec, tak jak po dłuższym wpatrywaniu się można zobaczyć kryształowy dzban zanurzony w czystej wodzie. Została tak mocno wypolerowana, że stała się prawie niewidzialna, i tylko dziwnie zniekształcony obraz otaczających nas drzew oraz krzewów świadczył o jej istnieniu.

Nie zważając na moje protesty, pretorianin zabrał mi wszystkie

pieniądze, pozostawił natomiast brązową książkę Thecli, oselkę, oliwę, flanelę oraz wszystko inne. Następnie wprawnym ruchem uwolnił mnie z więzów (o ile wzrok mnie nie mylił, ukrył je w schowku pod pachą). Przypominały trochę bicz, który nazywaliśmy „kotem”: rzemienie były połączone na jednym końcu, na drugim zaś obciążone niewielkimi ciężarkami. Teraz już wiem, że nazywa się to achico.

Mój pogromca złapał za drucianą pętlę i mocno szarpnął, zmuszając mnie do wstania. Zdawałem sobie sprawę, że obaj stosujemy się do zasad pewnej gry, jak to się zwykle w takich przypadkach dzieje. Udawaliśmy, że ma nade mną całkowitą władzę, podczas gdy w rzeczywistości mogłem odmówić współpracy, a on wtedy miałby do wyboru jedno z dwóch rozwiązań: albo mnie udusić, albo wezwać towarzyszy na pomoc. Mogłem także złapać za drut i spróbować go wyszarpnąć z jego rąk albo uderzyć go w twarz, mogłem rzucić się do ucieczki i zostać zabitym albo ogłuszonym, ale nie istniał żaden sposób, żeby mnie zmusił do posłuszeństwa.

W każdym razie tak wtedy myślałem i nawet się uśmiechnąłem, kiedy pretorianin schował Terminus Est do pochwy i zaprowadził mnie tam, gdzie już stał Jonas.

– Nie zrobiliśmy nic złego – powiedział Jonas. – Zwróćcie mojemu przyjacielowi jego miecz i oddajcie nam nasze wierzchowce, a odjedziemy w pokoju.

Nie otrzymał odpowiedzi. Dwaj pretorianie (a więc cztery roztrzepotane wróble) w milczeniu chwycili nasze rumaki za wędzidła i odprowadzili je na bok. Jakże podobny los spotkał te potężne zwierzęta, prowadzone na cienkim skórzanym pasku nie wiadomo dokąd i po co. Czasem odnoszę wrażenie, że większa część naszego życia składa się właśnie z takich kapitulacji.

Wyprowadzono nas z lasu na rozległą łąkę, która wkrótce zamieniła się w trawnik. Posąg szedł za nami, a stopniowo dołączały do niego coraz to nowe, tak że wreszcie nagromadziło się ich co najmniej tuzin. Każdy był inny, a wszystkie wielkie i piękne. Zapytałem Jonasa, kim są żołnierze i dokąd nas prowadzą, ale mi nie odpowiedział, a ja o mało nie udusiłem się z wysiłku.

O ile mogłem stwierdzić, byli zakuci w zbroje od stóp do głów, lecz ich pancerze zostały tak doskonale wypolerowane, że wydawały się wręcz miękkie, a nawet płynne. Z bliska nie było na czym oka zawiesić, z odległości kilku kroków zaś po prostu nikły, stapiając się z tłem. Po pół mili dotarliśmy do kępy obsypanych kwiatami śliw i od razu wysokie

hełmy i szerokie naramienniki rozbłysły różem i bielą.

Zagłębiliśmy się w pozornie niewielki zagajnik, ale ścieżka, którą szliśmy, okazała się niezmiernie kręta. Kiedy wreszcie wydawało się, że lada chwila wyjdziemy spośród kwitnących drzew, zatrzymaliśmy się, a Jonas i ja zostaliśmy brutalnie odepchnięci do tyłu. Usłyszałem chrzęst żwiru, kiedy podążające za nami posągi także stanęły, ostrzeżone przez jednego z żołnierzy bezgłośnym krzykiem. Wyteżyłem wzrok, starając się dostrzec przez zasłonę z biało-różowych kwiatów powód, dla którego nastąpiła ta nagła przerwa w marszu.

Przed nami znajdowała się ścieżka znacznie szersza od tej, na której staliśmy. Właściwie nie była to już ścieżka, lecz wyłożona białymi kamieniami droga, wzdłuż której po obu stronach biegły marmurowe balustrady. Wędrowała nią przedziwna zbieranina, w większości pieszo, ale niektórzy dosiadali rozmaitych zwierząt. Jeden człowiek prowadził za sobą obszarpanego arctothera, inny podróżował na grzbiecie leniwca o sierści bardziej zielonej niż trawa. Ledwie minęła nas jedna grupa, natychmiast pojawiła się następna. Choć byli jeszcze zbyt daleko, abym mógł odróżnić twarze, to bez trudu dostrzegłem, że jeden z wędrowców jest o dobre trzy łokcie wyższy od pozostałych. W chwilę potem rozpoznałem idącego na przedzie z wypiętą piersią i podniesioną wysoko głową doktora Talosa. Moja droga Dorcas podążała zaraz za nim; wyglądała jeszcze bardziej niż przedtem jak zabłąkane dziecko, które przybyło z jakiejś innej, lepszej rzeczywistości. Obok niej jechała pod parasolem na karłowatym dzianecie furkocząca woalkami i obwieszona błyskotkami Jolenta, na samym końcu zaś, cierpliwie ciągnąc wózek załadowany wszystkim, czego nie zdołał wziąć na barki, kroczył Baldanders, którego dostrzegłem z daleka jako pierwszego.

Było mi żal, że nie mogę dać im żadnego znaku, choć dzieliło nas zaledwie kilka kroków, ale dla Jonasa musiało to być prawdziwą torturą. Kiedy Jolenta nas mijała, zwróciła w naszą stronę głowę. Dla mnie nie ulegało wówczas wątpliwości, iż wyczuła jego pożądanie, tak jak podobno mieszkające w górach nieczyste duchy wyczuwają z daleka woń palonego mięsa, które specjalnie dla nich wrzuca się w ogień. Teraz jednak przypuszczam, że zainteresowały ją jedynie obsypane kwiatami drzewa, między którymi staliśmy. Usłyszałem, jak Jonas gwałtownie nabiera powietrza w płuca, ale w chwili, kiedy otworzył usta, otrzymał potężny cios w głowę i runął na ziemię. Kiedy teraz przywołuję z pamięci tę scenę, wyraźnie słyszę dźwięk, jaki wydała jego metalowa ręka w zetknięciu z drobnym żwirem ścieżki, i czuję upajający zapach

kwitnących drzew.

Kiedy droga opustoszała, dwaj pretorianie chwycili nieszczęsnego Jonasa i podnieśli go z ziemi. Uczynili to bez żadnego wysiłku, lecz wówczas przypisywałem to jedynie ich nadzwyczajnej krzepie. Przekroczyliśmy brukowaną drogę, by zagłębić się w gęstwinę różanych krzewów wyższych od człowieka, obsypanych białymi kwiatami i pełnych ptasich gniazd.

Za nimi zaczynały się właściwe ogrody. Gdybym miał pokusić się o ich opisanie, musiałbym posłużyć się szaloną jękliwą elokwencją Hethora. Każdy pagórek, każde drzewo i każdy kwiat wydawały się zaplanowane przez jakąś niewyobrażalną inteligencję (teraz już wiem, że chodziło o inteligencję Ojca Inire), która postawiła sobie za cel stworzenie zapierającej dech w piersi wizji. Oniemiały z zachwytu obserwator ma pewność, że znajduje się w samym centrum oszałamiającego spektaklu, ale po przebyciu stu kroków czy nawet mili nadal odnosi to samo wrażenie, każda zaś kolejna wizja zdaje się zawierać w sobie jakąś niemożliwą do przekazania prawdę z rodzaju tych, jakie są objawiane jedynie najbardziej wytrwałym spośród pustelników.

Tak piękne były te ogrody, że dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, iż nie widzę nad nimi żadnych wież, tylko ptaki i obłoki, a powyżej stare słońce i blade gwiazdy. Równie dobrze moglibyśmy kroczyć przez jakąś urokliwą głuszę. W pewnej chwili dotarliśmy na szczyt łagodnego wzniesienia, bardziej zachwycającego od najpiękniejszej błękitnej fali Uroborosa, i nagle u naszych stóp otworzyła się otchłań. Jednak zamiast czarną pustką, wypełniona była fontannami, nocnymi kwiatami oraz ludźmi poubieranymi w przepyszne stroje, przechadzającymi się między basenami z szmerzącą wodą i rozmawiającymi przyciszonymi głosami.

Jak po zwałeniu kamiennej ściany do mrocznego grobowca wpadają promienie słońca, tak wystarczyło jedno uderzenie serca, aby wchłonięte przeze mnie wspomnienia Thecli przybrały konkretną barwę i kształt, wreszcie nabierając znaczenia. Pojąłem to, co sugerowało przedstawienie doktora Talosa i co wielokrotnie Thecla dawała mi do zrozumienia, choć nigdy nie powiedziała tego wprost: cały pałac znajdował się pod ziemią, obsadzone zaś przeróżną roślinnością dachy i ściany tworzyły krajobraz, który od pewnego czasu podziwiałem. Stąpałem po siedzibie Autarchy, sądząc, że dzieli mnie od niej spora odległość.

Nie zeszedliśmy do tej niecki, z którą na pewno nie sąsiadowały pomieszczenia przeznaczone do przesłuchiwania więźniów, ani do żadnej z kilku następnych. Wreszcie dotarliśmy do miejsca zdecydowanie bardziej ponurego, choć wcale nie mniej pięknego od tamtych. Schody, po których szliśmy, zostały wykute w ciemnej skale w taki sposób, aby jak najbardziej przypominały twór natury, przez co były nieregularne, a miejscami nawet niebezpieczne. Z góry spływała woda, w wyższych partiach sztucznej groty rosły zaś gęste paprocie i bluszcze, w związku z czym tylko niewielka część słonecznego blasku docierała w niższe rejony. Tam właśnie, tysiąc stopni w dół, ściany były porośnięte mrokolubnymi grzybami; niektóre z nich słabo fosforyzowały, inne nasycyły powietrze tajemniczymi ciężkimi zapachami, jeszcze inne tworzyły fantastyczne fetysze o fallicznych kształtach.

Pośrodku tego mrocznego ogrodu wisiało na wysokim rusztowaniu kilka omszałych gongów. W pierwszej chwili pomyślałem, że powieszono je po to, by odzywały się poruszane podmuchami wiatru, lecz zaraz potem uzmysłowiłem sobie, że tutaj przecież nie może być mowy o żadnym wietrze.

Tak mi się w każdym razie wydawało, dopóki jeden z pretorian nie otworzył potężnych, ciężkich drzwi z ciemnego drewna, prawie niewidocznych na tle skalnej ściany. Podmuch chłodnego powietrza był tak silny, że gongi natychmiast zaczęły się kołysać, a ich dźwięki były tak przemyślnie dobrane, iż zdawało się, że wygrywają melodię skomponowaną przez jakiegoś muzyka, którego dusza przebywa tutaj na wygnaniu.

Kiedy uniosłem głowę, aby popatrzeć na gongi (pretorianie nie starali mi się w tym przeszkodzić), dostrzegłem co najmniej czterdzieści posągów zgromadzonych na krawędzi zagłębienia. Wszystkie były nieruchome i wpatrywały się w nas niczym postacie z fryzu, które wieńczą sięgający nieba mur.

Spodziewałem się, że zostanę umieszczony w osobnej małej celi. Podświadomie oczekiwałem, że w tym zupełnie nieznanym miejscu panują obyczaje znane mi z naszej konfraterni, i zostałem za to odpowiednio ukarany, gdyż spotkało mnie coś całkowicie odmiennego. Wkroczyliśmy nie do mrocznego korytarza, w którym po obu stronach

ciągną się wąskie drzwi prowadzące do cel, lecz do obszernego holu wyłożonego miękkim dywanem, zakończonego szerokimi wrotami, identycznymi jak te, przez które weszliśmy. Strzegli ich halabardnicy z płonącymi pochodniami. Na polecenie jednego z pretorian otworzyli je i moim oczom ukazało się wnętrze dużego, niezbyt dobrze oświetlonego i bardzo niskiego pomieszczenia; było niemal zupełnie pozbawione mebli. Znajdowało się tu kilkanaście osób, wśród których dostrzegłem także dzieci. Rodziny zajmowały małe alkowy oddzielone przepierzeniami ze starych łąchów.

Tu właśnie zostaliśmy wepchnięci – to znaczy ja zostałem wepchnięty, nieszczęsnego Jonasa rzucono zaś jak worek cebuli. Usiłowałem złagodzić jego upadek i udało mi się to o tyle, że uchroniłem jego głowę od gwałtownego zetknięcia z podłogą.

Drzwi zatrzasnęły się za nami z łoskotem.

rozdział 15

Błędny ogień

Zewsząd otoczyły mnie twarze. Dwie kobiety zabrały Jonasa, obiecując, że zatroszczą się o niego, pozostali zaś zasypali mnie pytaniami. Jak się nazywam? Co to za strój, który mam na sobie? Skąd przybywam? Czy znam takiego to a takiego? Czy byłem kiedyś w tym albo w tamtym mieście? Czy pochodzę z Domu Absolutu? A może z Nessus? Ze wschodniego brzegu Gyoll czy zachodniego? Z której dzielnicy? Czy Autarcha jeszcze żyje? A Ojciec Inire? Kto jest obecnie archontem miasta? Jak toczy się wojna? Czy mam jakieś wieści o takim to a takim dowódcy? Albo o takim to a takim żołnierzu? O takim to a takim chiliarsze? Czy potrafię śpiewać, recytować albo grać na jakimś instrumencie?

Jak łatwo sobie wyobrazić, w ogólnym rozgardiaszu nie byłem w stanie odpowiedzieć na prawie żadne z tych pytań, potem jednak stary, siwobrody mężczyzna i równie wiekowa kobieta zaczęli uciszać rozkrzyczanych ludzi. Poklepywali każdego po ramieniu, wskazywali odległy kąt pomieszczenia i mówili wyraźnie: „Mnóstwo czasu”. Stopniowo kobiety i mężczyźni milkli, po czym odchodzili we wskazanym kierunku, aż wreszcie sytuacja zaczęła przypominać tę, jaką ujrzałem zaraz po otwarciu przez strażników drzwi.

– Jestem Lomer – powiedział stary mężczyzna i głośno odchrząknął. – A to jest Nicarete.

Przedstawiłem im siebie i Jonasa. Stara kobieta chyba dosłyszała troskę w moim głosie.

– Nie musisz się niepokoić, twój przyjaciel jest bezpieczny. Dziewczęta zajmą się nim najlepiej, jak potrafią, w nadziei, że wkrótce będzie mógł z nimi porozmawiać.

Roześmiała się, a po sposobie, w jaki odchyliła do tyłu kształną

głowę, poznałem, że kiedyś była bardzo piękna.

Teraz dla odmiany ja zasypałem ich pytaniami, ale starzec natychmiast mi przerwał.

– Chodź z nami do naszego kąta – zaproponował. – Będziemy mogli tam usiąść, a ja poczęstuję cię kubkiem wody.

Jak tylko wypowiedział to słowo, poczułem, że ogromnie chce mi się pić. Poszliśmy za szmacianą zasłonę wiszącą najbliżej drzwi, gdzie starzec nalał wody z glinianego naczynia do filiżanki z cienkiej porcelany. Znajdowały się tam także poduszki oraz niewielki stolik.

– Pytanie za pytanie – przemówił ponownie. – Taka jest stara zasada. Powiedzieliśmy ci, jak się nazywamy, i ty także podałeś nam swoje imię, możemy więc zacząć od początku. Dlaczego cię zatrzymano?

Odparłem, że nie mam pojęcia, choć podejrzewam, iż jedynym pretekstem mogło być wkroczenie bez zezwolenia na tereny należące do Autarchy.

Lomer skinął głową. Miał bladą cerę, charakterystyczną dla tych, którzy nigdy nie widują słońca. Ze swoją zmierzwioną brodą i nierównymi zębami w każdym innym otoczeniu sprawiałby odpychające wrażenie, lecz tutaj wydawał się równie na miejscu jak mocno starte płyty tworzące posadzkę.

– Ja znalazłem się tutaj z powodu kasztelanki Leocadii. Byłem zarządcą dworu jej rywalki, kasztelanki Nymphy, która zabrała mnie ze sobą do Domu Absolutu, abym mógł uporządkować raporty dotyczące jej majątku. Wówczas kasztelanka Leocadia zwabiła mnie w pułapkę za pomocą Sanchy, która...

– Spójrz! – wykrzyknęła Nicarete. – On ją zna!

Rzeczywiście, znałem. Przed moimi oczami pojawiła się różowokremowa komnata o dwóch ścianach wyłożonych od góry do dołu lustrami. W marmurowych kominkach płonął ogień, który co prawda nie dawał blasku, nie mogąc konkurować z wpadającymi przez okna promieniami słońca, ale wypełniał pokój suchym ciepłem oraz zapachem drewna sandałowego. Stara kobieta otulona w kilka szali siedziała w fotelu podobnym do tronu, a na inkrustowanym stoliku po jej lewej stronie stały karafka z rźniętego kryształu i kilka brązowych flakoników.

– Stara kobieta z zakrzywionym nosem – powiedziałem. – Wdowa po mężczyźnie imieniem Fors.

– A więc ją znasz. – Lomer skinął powoli głową. – Pierwszy od wielu lat.

– Powiedzmy, że ją pamiętam.

– Słusznie. – Ponownie skinął głową. – Podobno już nie żyje, ale za moich czasów była zdrową młodą kobietą. Namówiła ją kasztelanka Leocadia, a potem sprawiła, że zostaliśmy odkryci. Sancha miała wówczas czternaście lat, nikt więc nie robił jej żadnych przykrości. Poza tym do niczego między nami nie doszło, gdyż dopiero zaczęła mnie rozbierać.

– Ty także musiałeś być wtedy bardzo młody – zauważyłem. Nie odpowiedział, uczyniła to za niego Nicarete.

– Miał dwadzieścia osiem lat.

– A ty? – zapytałem. – Dlaczego tutaj trafiłaś?

– Jestem ochotniczką.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

– Ktoś musi odpokutować za zło, jakie dzieje się na Urth, bo w przeciwnym razie Nowe Słońce nigdy nie nadejdzie. Ktoś musi też przypominać o istnieniu tego miejsca oraz innych, podobnych do niego. Pochodzę ze szlacheckiej rodziny, która być może jeszcze o mnie pamięta, dlatego też strażnicy muszą mieć na mnie szczególne baczenie.

– Czy mam rozumieć, że mogłabyś stąd wyjść, ale nie chcesz?

– Nie – odparła i potrząsnęła głową. Miała zupełnie siwe włosy, lecz nosiła je rozpuszczone, tak jak to czynią młode kobiety. – Wyjdę tylko wtedy, jeśli zostanie spełniony mój warunek: wszyscy ci, którzy przebywają tutaj tak długo, że zdążyli już zapomnieć, za jakie przestępstwa zostali tu wtrąceni, także zostaną wypuszczeni na wolność.

Pomyślałem o kuchennym nożu, który ukradłem dla Thecli, i o szkarłatnej struzce, która pojawiła się pod drzwiami jej celi, po czym zapytałem:

– Czy więzień naprawdę może zapomnieć, za co został zatrzymany?

Lomar uniósł głowę.

– Protestuję! Pytanie za pytanie, taka tu obowiązuje zasada. Bardzo stara zasada. A my przestrzegamy starych zasad. Z naszego pokolenia zostaliśmy już tylko my dwoje, Nicarete i ja, ale dopóki żyjemy, będziemy postępować zgodnie z tradycją. Pytanie za pytanie. Masz może jakichś przyjaciół, którzy będą czynić starania, aby cię uwolnić?

Z pewnością Dorcas by próbowała, naturalnie gdyby wiedziała, że tu jestem. Co do doktora Talosa, to jego zachowanie było równie trudne do przewidzenia jak kształt obłoków na niebie i dlatego nie mogłem wykluczyć, że zechciałby zainteresować się moim losem, choć właściwie nie miał ku temu żadnego powodu. W tej chwili jednak najważniejsze

było to, że przybyłem do Domu Absolutu jako posłaniec Vodalusa, który miał tutaj co najmniej jednego człowieka – tego, któremu miałem przekazać wiadomość. Jadąc z Jonaszem na północ, dwukrotnie próbowałem pozbyć się otrzymanego od Vodalusa noża, ale nie mogłem. Wyglądało na to, że alzabo rzuciło na mnie jeszcze jedno zaklęcie. Teraz nawet byłem z tego zadowolony.

– Masz jakichś przyjaciół? Znajomych? Jeśli tak, to być może uda ci się zrobić coś także dla nas.

– Przyjaciół, owszem – odparłem. – Chyba spróbują mi pomóc, oczywiście pod warunkiem, że dowiedzą się o moim losie. Czy sądzisz, że mają szansę coś wskórać?

Rozmowa ciągnęła się jeszcze bardzo długo. Gdybym miał ją tutaj przytoczyć w całości, moja opowieść nigdy nie dobiegłaby końca. W tym wielkim pokoju więźniowie mogą jedynie rozmawiać lub grać w jakieś proste gry. Robią to dopóty, dopóki nie opuszczą ich resztki zapału, a potem zaczynają przypominać chrząstki, które wygłodniały człowiek ssał przez cały dzień. Pod wieloma względami wiedzie im się lepiej niż tym, których trzymamy w lochach pod Wieżą Matachina – nie muszą obawiać się bólu i nie są osamotnieni. Różnica polega na tym, że nasi więźniowie nigdy nie przebywają tak długo w zamknięciu, dzięki czemu prawie zawsze żyją nadzieją, podczas gdy ci z Domu Absolutu niemal bez wyjątku są pogrążeni w rozpacz.

Po około dziesięciu wachtach sufitowe lampy zaczęły przygasać, a ja powiedziałem Lomerowi i Nicarete, że jeszcze chwila, a oczy same mi się zamkną. Zaprowadzili mnie w miejsce bardzo oddalone od drzwi, gdzie było niemal zupełnie ciemno, i wyjaśnili, że będzie należało do mnie aż do chwili, kiedy któryś ze starszych więźniów umrze i otrzymam w spadku po nim lepszy kąt.

Kiedy odchodzili, usłyszałem, jak Nicarete zapytała:

– Czy przyjdą dziś w nocy?

Lomer coś jej odpowiedział, ale nie dosłyszałem co, a zanedo byłem zmęczony, żeby się dopytywać. Poczulem, że stoję na cienkim sienniku. Usiadłem, po czym wyciągnąłem się na nim, tylko po to jednak, by niemal natychmiast się poderwać, gdyż moja ręka natrafiła na ciało.

– Nie obawiaj się – usłyszałem głos Jonasa. – To tylko ja.

– Dlaczego nie odezwałeś się wcześniej? Widziałem cię, jak przechodziłeś, ale nie mogłem wyrwać się tym dwojgu starszkom. Trzeba było do nas podejść.

– Nie odezwałem się, bo byłem pogrążony w myślach, a nie

podszedłem do was, ponieważ najpierw nie mogłem uwolnić się od kobiet, które się mną zaopiekowały, potem zaś one nie mogły uwolnić się ode mnie. Severianie, ja muszę stąd uciec.

– Każdy tego pragnie – odparłem. – Ja też.

– Ale ja muszę. – Jego szczupła, silna ręka zacisnęła się na mojej. – Jeśli tego nie zrobię, zabiję się albo stracę zmysły. Jestem twoim przyjacielem, prawda? – Zniżył głos do szeptu. – Czy twój talizman... ten błękitny klejnot... mógłby nas uwolnić? Wiem, że pretorianie go nie znaleźli, bo obserwowałem ich, kiedy cię przeszukiwali.

– Nie chcę go tutaj wyjmować, gdyż świeci w ciemności – odparłem.

– Zasłonię nas swoim siennikiem.

Kiedy to uczynił, wyjąłem Pazur z ukrycia. Żarzył się tak słabo, że bez trudu mógłbym ukryć go w dłoni.

– Czy on umiera? – zapytał Jonas.

– Nie, zazwyczaj tak właśnie wygląda. Lśni tylko wtedy, kiedy jest aktywny – tak jak wówczas, kiedy zamienił wodę w wino i ocalił mnie przed małpoludami. Nawet jeśli mógłby przyczynić się do naszego uwolnienia, to nie sądzę, żeby akurat teraz był do tego zdolny.

– Musimy spróbować przy drzwiach – powiedział Jonas drżącym głosem. – Może otworzy zamek.

– Później, kiedy wszyscy zasną. Jeśli uda mi się nas uwolnić, chciałbym pomóc także pozostałym, ale wolałbym, żeby nikt go nie zobaczył. A teraz powiedz mi, dlaczego musisz natychmiast stąd uciec.

– Kiedy rozmawiałeś z dwojgiem starych ludzi, ja zostałem wzięty na spytki przez pewną rodzinę: kilka staruszek, mężczyzna około pięćdziesiątki, drugi, mniej więcej trzydziestoletni, trzy młodsze kobiety i gromada dzieci. Zanieśli mnie do swojej niszy, gdzie inni więźniowie mogliby wejść tylko za zaproszeniem, którego, ma się rozumieć, nie otrzymali. Przypuszczałem, że będą mnie wypytywać o przyjaciół na wolności, o politykę lub przebieg wojny, oni jednak najwyraźniej pożąдали jedynie rozrywki. Chcieli wiedzieć, gdzie bywałem, jak teraz wygląda rzeka i czy wielu ludzi ubiera się tak jak ja. Aha, i jedzenie... Wiele pytań dotyczyło jedzenia, w tym sporo było wręcz niedorzecznych. Czy byłem kiedyś w rzeźni? Czy zwierzęta błagają, aby darować im życie? Czy to prawda, że ludzie, którzy produkują cukier, noszą zatrute miecze i są gotowi walczyć w jego obronie? Nigdy też nie widzieli pszczoł, gdyż myśleli, że są wielkości królików.

Po pewnym czasie ja zacząłem zadawać im pytania i prędko przekonałem się, że żadne z nich, nawet najstarsza kobieta, nigdy nie

było wolne. Wygląda na to, że kobiety i mężczyźni, którzy są tu zamknięci, rozmnażają się, i choć strażnicy zabierają większość dzieci, to niektóre zostają na zawsze. Nie mają nic własnego, nawet nadziei na uwolnienie. W gruncie rzeczy nawet nie bardzo wiedzą, co to jest wolność, i choć starszy mężczyzna i jedna z dziewcząt twierdzili, że bardzo pragną opuścić to miejsce, to wydaje mi się, że prędko by do niego zatęsknili. Stare kobiety twierdzą, że są więźniarkami w siódmym pokoleniu, choć jedna z nich mimochodem wspomniała, iż jej matka mówiła o sobie to samo.

Pod wieloma względami są naprawdę zdumiewający. Miejsce, w którym przyszło im spędzić całe życie, ukształtowało ich wygląd, ale w głębi duszy mają ukrytą... – Jonas umilkł na chwilę, jakby poszukiwał właściwych słów, a ja poczułem fizyczny dotyk otaczającej nas zewsząd ciszy – ...pamięć pokoleniową, tak to się chyba nazywa. Opowieści z zewnątrz, przekazywane z pokolenia na pokolenie, poczynając od tych, którzy trafili tu jako pierwsi i zapoczątkowali tę społeczność więźniów. Czasem nie wiedzą nawet, co oznaczają poszczególne słowa, niemniej jednak hołubią te opowieści, gdyż są wszystkim, co im pozostało.

Ponownie umilkł, tym razem na dłużej. Schowałem pełgający niepewnie płomyk Pazura do buta, tak że znaleźliśmy się w zupełnej ciemności. Jonas oddychał głośno i z wysiłkiem.

– Zapytałem, jak nazywał się pierwszy więzień, od którego wszyscy wywodzą swój rodowód. Kimleesoong... Słyszałeś kiedyś to imię?

Zgodnie z prawdą odparłem, że nie.

– Albo podobne? Na przykład składające się z trzech wyrazów?

– Na pewno nie. Większość ludzi, których znam, ma jednowyrazowe imiona, takie jak twoje, chyba że dodano im jakiś tytuł lub przydomek, żeby odróżnić od innych Bolcanów, Altosów i temu podobnych.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że uważasz, iż mam niezwykle imię. W czasach, kiedy byłem... chłopcem... nikogo nie zdziwiłoby takie imię jak Kim Lee Song. Słyszałeś kiedyś o moim statku, Severianie? Nazywał się „Szczęśliwy Obłok”.

– Uprawiano na nim hazard? Nie słyszałem, ale...

Kątem oka dostrzegłem zielonkawą poświatę, tak słabą, że ledwo widoczną w ciemności. Okazało się jednak, że nie ja jeden ją zauważyłem, gdyż przez pomieszczenie przebiegł pomruk. Usłyszałem, jak Jonas zrywa się na równe nogi. Uczyniłem to samo, ale zanim zdążyłem do końca się wyprostować, zostałem oślepiony eksplozją

jaskrawego błękitnego światła. Jeszcze nigdy nie zaznałem równie potwornego bólu. Poczułem się tak, jakby ktoś zdarł mi skórę z twarzy, i z pewnością runąłbym na podłogę, gdyby nie to, że bezwiednie oparłem się o ścianę.

Błękitne światło ponownie wybuchło kilka kroków dalej. Jakaś kobieta rozdzierająco krzyknęła.

Jonas głośno klął – to znaczy z tonu jego głosu domyśliłem się, że przeklina, choć posługiwał się jakimś zupełnie mi nieznanym językiem. Światło znowu rozbłysło, a ja rozpoznałem w nim ten sam upiorny blask, jaki ukazał się moim oczom tego dnia, kiedy wraz z mistrzem Gurloesem i Roche'em wprowadziliśmy Theclę do komnaty tortur. Bez wątpienia Jonas wrzasnął równie głośno jak ja, ale nasze głosy utonęły w ogólnym tumultcie. Zielonkawa poświata z wolna przybierała na sile. Obserwowałem spod na wpół przymkniętych powiek, częściowo sparaliżowany bólem, a częściowo strachem, jakiego nie dane mi było zaznać nigdy dotąd w życiu, jak wyłania się z niej monstrualna świecąca twarz. Przez chwilę przyglądała mi się pustymi, wielkimi jak spodki oczami, po czym znikła.

Wszystko to było znacznie bardziej przerażające, niż zdołałbym opisać, nawet gdybym ślęczał do końca życia nad tym fragmentem mojej relacji. Bałem się ślepoty i bólu, choć na dobrą sprawę już byłem ślepy. W pomieszczeniu zapanowała nieprzenikniona ciemność, a żaden z nas nie mógł zapalić świecy lub chociaż skrzesać ognia. Ludzie krzyczeli, szlochali i się modlili. Ponad ten zgiełk wybił się na chwilę czysty śmiech młodej kobiety, po czym ucichł.

rozdział 16

Jonas

Pożądałem wtedy światła tak jak wygłodniały człowiek mięsa. Wreszcie postanowiłem zaryzykować i wydobyłem Pazur – choć raczej powinienem powiedzieć, że to on zaryzykował, gdyż wydawało mi się, że nie sprawuję żadnej kontroli nad moją ręką, która sięgnęła do buta i wyjęła klejnot.

Ból natychmiast zelżał, pomieszczenie zaś zalały kaskady lazurowego światła. Wrzawa wzmogła się na chwilę, gdyż więźniowie byli przekonani, że czekają ich kolejne cierpienia. Pośpiesznie schowałem Pazur do buta, a kiedy jego blask zniknął, zacząłem po omacku szukać Jonasa.

Wbrew moim przypuszczeniom nie stracił przytomności, ale wił się na podłodze w odległości ponad dwudziestu kroków od miejsca, w którym ostatnio go słyszałem. Zniosłem go z powrotem na siennik (przy okazji przekonałem się, że jest zdumiewająco lekki), a następnie nakryłem nas obu płaszczem i przyłożyłem mu Pazur do czoła.

Wkrótce potem usiadł, a nawet chciał wstać, lecz mu na to nie pozwoliłem, powtarzając, że cokolwiek pojawiło się w pomieszczeniu, już zniknęło.

– Trzeba uruchomić kompresory, zanim powietrze przestanie być zdatne do oddychania.

– Wszystko w porządku, Jonasi – powiedziałem uspokajającym tonem. – Już wszystko w porządku.

Gardziłem sobą za to, ale przemawiałem do niego w taki sposób, jakby był najmłodszym z uczniów. Wiele lat temu dokładnie tak samo mówił do mnie mistrz Malrubius.

Coś twardego i zimnego dotknęło mojego przegubu, po czym poruszyło się jak żywa istota. Okazało się, że to stalowa ręka Jonasa. Po

chwili zorientowałem się, że usiłuje zacisnąć ją na mojej.

– Czuję ciężenie! – mówił coraz głośniejszym głosem. – Nie, to chyba tylko przez te światła...

Odwrócił się do ściany i zaczął ją drapać metalową kończyną, jednocześnie mamrocząc coś w nosowym, monosylabicznym języku, którego nie rozumiałem.

Zdobyłem się na odwagę, ponownie wydobyłem Pazur z ukrycia i dotknąłem nim jego czoła. Klejnot świecił równie słabo jak wówczas, kiedy oglądaliśmy go po raz pierwszy tego wieczoru, i nie pomógł Jonasowi, ale po pewnym czasie udało mi się przyjaciela przynajmniej uspokoić. Zasnęliśmy długo po tym, jak ostatnie rozmowy ucichły.

Kiedy się obudziłem, lampy płonęły już mdłym światłem, choć instynktownie wyczuwałem, że na zewnątrz jest jeszcze noc, a w najlepszym razie dopiero zaczyna świtać.

Jonas leżał obok mnie, pogrążony we śnie. W miejscu, w którym dosięgnął go błękitny płomień, miał rozdarty kaftan, pod spodem zaś paskudną oparzelinę. Upewniwszy się, że nikt nas nie obserwuje, wyjąłem Pazur Łagodziciela i zacząłem przesuwając nim po ranie.

Klejnot lśnił znacznie intensywniej niż poprzedniego wieczoru, i choć oparzelina nie zniknęła, to odniosłem wrażenie, że nieco się zmniejszyła, ciało zaś po obu stronach rany wyraźnie zbladło.

Podciągnąłem nieco materiał, aby dostać się do dolnej krawędzi rany, ale kiedy dotknąłem jej Pazurem, rozległ się wyraźny metaliczny dźwięk. Okazało się, że w pewnym miejscu ciało mego przyjaciela kończy się jak ucięte nożem, ustępując miejsca błyszczącej srebrnej powierzchni.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to zbroja, lecz wkrótce przekonałem się, że byłem w błędzie. Metal zastąpił mu ciało w taki sam sposób, w jaki stalowa proteza zastąpiła jego prawą rękę. Nie wiedziałem, jak daleko sięga ta przemiana, a bałem się dotknąć jego nóg, aby go nie obudzić.

Ukryłem starannie Pazur i wstałem z cienkiego siennika. Ponieważ chciałem przez chwilę być sam, aby spokojnie przemyśleć kilka spraw, skierowałem się ku środkowej części pomieszczenia. Już wczoraj niska sala sprawiała dziwne wrażenie, ale teraz, poprzedzielana licznymi skleconymi byle jak przepierzeniami i usłana ciałami śpiących ludzi,

wyglądała jeszcze bardziej niezwykle. W nadziei, że odrobina ruchu umożliwi mi sprawniejsze myślenie (jak to się często zdarza), postanowiłem przejść całe pomieszczenie wzdłuż i wszerz.

Kiedy jednak przebyłem nie więcej niż czterdzieści kroków – stąpając najostrożniej, jak mogłem, aby nikogo nie obudzić – dostrzegłem przedmiot zupełnie niepasujący do odzianych w łachmany ludzi i parawanów z brudnych starych szmat. Był to kobiecy szal z jakiegoś kosztownego materiału koloru brzoskwini. Nawet nie będę próbował opisać jego zapachu, który, choć nie przypominał woni żadnego owocu ani kwiatu rosnącego na Urth, był jednak bardzo piękny. Właśnie miałem zamiar schować szal do sakwy, kiedy usłyszałem dziecięcy głos:

– To przynosi pecha. Okropnego pecha. Nie wiesz o tym?

Rozejrzałem się dokoła, potem spojrzałem w dół i zobaczyłem małą dziewczynkę o bladej twarzy i ogromnych czarnych oczach, które zdawały się z trudem w niej mieścić.

– Co przynosi pecha, panienko?

– Zbieranie znalezisk. Oni potem po nie przychodzą. Dlaczego jesteś ubrany na czarno?

– To fuligin, który jest ciemniejszy od czerni. Wyciągnij rękę, to ci coś pokażę. Widzisz, jak wydaje się znikać, kiedy zasłonię go skrajem płaszcza?

Dziewczynka skinęła małą główką – choć i tak wydawała się za duża w porównaniu z drobnymi ramionami – i rzekła:

– Ci, którzy grzebią zmarłych, ubierają się na czarno. Czy ty grzebiesz zmarłych? Kiedy grzebano nawigatora, jechały czarne powozy, wszyscy mieli na sobie czarne stroje. Widziałeś kiedyś taki pogrzeb?

Przykucnąłem, aby lepiej przyjrzeć się poważnej twarzyczce.

– Nikt nie przychodzi na pogrzeb w fuliginie, panienko, a to z obawy, aby nie zostać wziętym za członka mojego bractwa, co w większości przypadków mogłoby dla zmarłego oznaczać niezasłużoną niesławę. A teraz popatrz na ten szal; widzisz, jaki jest piękny? Czy to właśnie jest znalezisko?

Ponownie skinęła głową.

– Zostawiają je bicze, a my wypychamy je na zewnątrz przez szparę pod drzwiami, bo bicze po nie wracają.

Już nie spoglądała mi w oczy, tylko na bliźniętą biegnącą przez mój prawy policzek. Dotknąłem szramy palcami.

– To są bicze? Ci, którzy to robią? Skąd się biorą? Widziałem tylko zieloną twarz.

– Ja też. – Roześmiała się, a ja odniosłem wrażenie, jakby zadzwieczyły maleńkie dzwoneczki. – Bałam się, że mnie pożre.

– Teraz nie wydajesz się bardzo przestraszona.

– Mama mówi, że te rzeczy, które widać w ciemnościach, nic nie znaczą. Zresztą za każdym razem są zupełnie inne. Bolały tylko bicze, więc przez cały czas trzymała mnie za sobą. Twój przyjaciel już się budzi. Dlaczego masz taką zabawną minę?

(Przypomniałam sobie, jak śmiałam się wraz z trzema młodymi mężczyznami i dwiema kobietami mniej więcej w moim wieku. Guibert wręczył mi bicz o ciężkiej rękojeści, który zamiast rzemieni miał linki splecione z nitek błyszczącej miedzi, Lollian zaś zajął się przygotowaniem ognistego ptaka uwiązanego do długiego sznurka).

– Severianie! – Pośpiesznie wróciłem do Jonasa. – Cieszę się, że tu jesteś – powiedział, kiedy usiadłem obok niego. – Bałam się, że... że odszedłeś.

– Miałbym z tym spore kłopoty. Nie pamiętasz?

– Teraz już pamiętam. Czy wiesz, jak się nazywa to miejsce, Severianie? Powiedzieli mi wczoraj. To przedpokój... Ach, widzę, że już wiesz.

– Wcale nie.

– Skinąłeś głową.

– Po prostu przypomniałem sobie tę nazwę. Ja... to znaczy Thecla kiedyś tu była. Nie uważała, że to trochę niezwykle miejsce na więzienie, bo nigdy nie widziała innego, dopóki nie trafiła do naszej wieży, ale ja tak właśnie myślę. Wydaje mi się, że pojedyncze cele, albo chociaż nieco mniejsze pomieszczenia, są znacznie bardziej praktyczne. Nie można jednak wykluczyć, że przemawia przede mną jedynie uprzedzenie.

Jonas podciągnął się na posłaniu i usiadł, opierając się plecami o ścianę. Jego błyszcząca od potu twarz wyraźnie zbladła pod opalenizną.

– Naprawdę nie domyślasz się, jak powstała ta sala? Rozejrzyj się uważnie.

Zrobiłem to, ale nie dostrzegłem nic ponad to, co widziałem do tej pory, to znaczy rozległy, niski pokój oświetlony słabym blaskiem lamp.

– Dawniej znajdowało się tutaj wiele sąsiadujących ze sobą apartamentów, ale wszystkie ściany zburzono i położono jednolitą podłogę. To, co widzisz nad głową, za moich czasów nazywało się podwieszanym sufitem. Gdybyś podniósł jeden z tych paneli, ujrzalbyś prawdziwe sklepienie.

Wstałem i spróbowałem to zrobić, ale choć dotknąłem czubkami palców jednej z kwadratowych płyt, to nie mogłem jej pchnąć z odpowiednią siłą.

– Ja spróbuję, tylko mnie podnieś – powiedziała dziewczynka, która obserwowała nas z pewnej odległości, zapewne nie tracąc ani słowa z naszej rozmowy.

Podbiegła, a ja chwyciłem ją w pasie i z łatwością podniosłem nad głowę. Przez chwilę jej cienkie ramiona mocowały się z płytą nad naszymi głowami, aż wreszcie fragment stropu podniósł się, obsypując nas kurzem i pyłem. Nad nim dostrzegłem misterną konstrukcję z cienkich prętów, jeszcze wyżej zaś wysokie sklepienie ozdobione licznymi płaskorzeźbami oraz malowidłami przedstawiającymi obłoki i ptaki. Zaraz potem dziewczynka osłabła i kwadratowa płyta opadła na miejsce, na nas zaś posypało się jeszcze więcej pyłu.

Postawiłem dziecko na podłodze i ponownie zwróciłem się do Jonasa.

– Miałeś rację. W górze jest drugi sufit, który kiedyś na pewno był nad dużo mniejszym niż ten pokojem. Skąd o tym wiedziałeś?

– Wczoraj rozmawiałem z tymi ludźmi. – Podniósł obie ręce i potarł nimi twarz. – Odeślij to dziecko, dobrze?

Kazałem dziewczynce wracać do matki, choć podejrzewałem, że poszła na przeciwległy koniec pomieszczenia, a następnie wróci do nas z drugiej strony.

– Mam wrażenie, jakbym z wolna się budził – powiedział Jonas. – Wczoraj mówiłem, że boję się, iż oszaleję. Teraz chyba staję się na powrót normalny, co jest równie złe, jeśli nie gorsze. – Do tej pory siedział na posłaniu z wyprostowanymi nogami, teraz jednak podkulił je i oparł się o ścianę, przez co wyglądał dokładnie tak samo jak zwłoki, które jakiś czas potem ujrzałem oparte plecami o pień drzewa. – Na pokładzie statku wiele czytałem. Kiedyś natrafiłem na pewną historię. Wątpię, czy kiedykolwiek obiała ci się o uszy, bo od tamtej pory minęło już tyle tysięcy lat...

– Zapewne nie.

– Jest zupełnie różna od tej, choć jednocześnie bardzo do niej podobna. Dziwaczne, mało ważne zwyczaje i zasady... choć może nie wszystkie tak mało ważne. Tajemnicze instytucje. Poprosiłem statek, a on dał mi jeszcze jedną książkę.

Wciąż bardzo się pocił, ja zaś przypuszczałem, że bredzi w gorączce. Otarłem mu czoło kawałkiem flaneli, którego używałem do polerowania miecza.

– Dziedziczni władcy, dziedziczni podwładni, różni dziwni urzędnicy, lansjerzy o długich siwych wąsach... – Przez chwilę na jego ustach gościł cień dobrze mi znanego uśmiechu. – Biały Rycerz ześlizguje się po pogrzebaczu, z trudem utrzymując równowagę, tak jak to było zapisane w notesie Króla.

W głębi pomieszczenia powstało jakieś zamieszanie. Więźniowie, którzy do tej pory jeszcze spali albo rozmawiali przyciszonymi głosami, podnieśli się i ruszyli w tamtą stronę. Jonas chyba przypuszczał, że ja także pójdę, gdyż złapał mnie za ramię lewą ręką. Była słaba jak ręka kobiety.

– W rzeczywistości wcale tak się nie zaczęło, Severianie. – Jego drżący głos nagle nabrał zdumiewającej mocy. – Król został wybrany na polu paradnym, władcy mianowali hrabiów... Nazywano to mrocznymi stuleciami. Każdy obywatel Lombardii mógł zostać baronem.

Mała dziewczynka, którą niedawno podnosiłem do sufitu, zjawiała się obok nas nie wiadomo skąd.

– Przynieśli jedzenie! – zawołała. – Nie idziecie?

Podniosłem się z miejsca.

– Wezmę coś dla nas – powiedziałem. – Może poczujesz się lepiej.

– To weszło ludziom w krew – usłyszałem jeszcze słowa Jonasa. – Nikt nie podejrzewał, czym może się to skończyć.

Więźniowie wracali na swoje miejsca, niosąc po jednym małym bochenku. Kiedy dotarłem w pobliże wejścia, tłum przerzedził się już na tyle, że zauważyłem, iż drzwi są otwarte. W korytarzu stał posrebrzany wózek pilnowany przez człowieka w nakryciu głowy z białej usztywnionej gazy. Więźniowie wychodzili na korytarz i okrążali wózek. Uczyniłem to samo, czując się przez chwilę jak wolny człowiek.

Niestety, złudzenie szybko prysło, gdyż natychmiast ujrzałem dwóch halabardników strzegących dostępu do dalszej części korytarza, a za nimi dwóch następnych pilnujących ciężkich dębowych drzwi, przez które można było dostać się do Studni Omszałych Gongów.

Ktoś dotknął mego ramienia. Odwróciwszy się, ujrzałem siwowłosą Nicarete.

– Lepiej, żebyś coś wziął – powiedziała. – Jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla swojego przyjaciela. Nigdy nie przynoszą tyle, żeby dla wszystkich wystarczyło.

Skinąłem głową, po czym wziąłem z wózka dwa lepkie bochenki.

– Jak często was karmią?

– Dwa razy dziennie. Wczoraj przyprowadzono was zaraz po drugim

posiłku. Staramy się nie brać za wiele, ale i tak zawsze dla kogoś zabraknie.

– Przecież to jest ciasto! – stwierdziłem ze zdziwieniem. Palce miałem umazane lepką polewą pachnącą cytryną, gałką muszkatołową i kurkumą.

Stara kobieta skinęła głową.

– Tak jest codziennie, choć za każdym razem dostajemy inny rodzaj ciasta. W tym srebrnym dzbanku jest kawa, a filiżanki znajdziesz na dolnej półce wózka. Mało kto ją pije, gdyż większość twierdzi, że nie lubi kawy.

Ciasta zniknęły już z wózka i wszyscy więźniowie, z wyjątkiem Nicarete i mnie, wrócili do niskiego pomieszczenia. Okazało się, że kawa jest bardzo mocna, gorąca i obficie posłodzona tymiankowym miodem.

– Nie wypijesz?

– Zaniose ją Jonasowi. Czy będą mieli coś przeciwko temu, że zabiorę filiżankę?

– Wątpię – odparła Nicarete, ale jednocześnie ruchem głowy wskazała żołnierzy. Obaj postąpili z groźnymi minami w naszą stronę, nie zwlekając więc, cofnęliśmy się do przedpokoju, a drzwi natychmiast się za nami zatrzasnęły.

Przypomniałem Nicarete, że poprzedniego dnia powiedziała mi, jakoby przebywała tu z własnej woli, i zapytałem, czy wie, dlaczego więźniowie są karmieni wonnymi ciastami oraz kawą.

– Ty sam dobrze wiesz dlaczego – odparła. – Poznaję to po twoim głosie.

– Wcale nie. Myślę tylko, że Jonas wie.

– Całkiem możliwe. Wszystko dlatego, że to miejsce wcale nie miało być więzieniem. Dawno temu – zdaje się, że jeszcze przed panowaniem Ymara – autarchowie mieli zwyczaj osobiście sądzić wszystkich, którzy popełnili przestępstwo na terenie Domu Absolutu. Może myśleli, iż w ten sposób szybciej dowiedzą się o wymierzonych przeciwko nim spiskach, a może po prostu mieli nadzieję, że postępując sprawiedliwie z ludźmi ze swego najbliższego otoczenia, uchronią się przed ich nienawiścią i zazdrością. Najważniejsze przypadki były rozpatrywane bardzo szybko, natomiast ci, którzy mieli na sumieniu pomniejszych przewin, czekali na swoją kolej właśnie tutaj...

Drzwi, zamknięte nie tak dawno temu, ponownie się otworzyły i do pomieszczenia został wepchnięty nieduży, częściowo bezzębny człowiek w poszarpanym ubraniu. Poleciał jak długi na podłogę, ale szybko

zerwał się i przypadł mi do nóg. Był to Hethor.

Więźniowie otoczyli go zewsząd tak samo jak poprzedniego dnia mnie i Jonasa, zarzucając go gradem pytań. Nicarete, której Lomer wkrótce przyszedł w sukurs, kazała im się rozstąpić i poprosiła Hethora, aby się przedstawił, na co on przycisnął czapkę do piersi (co przypominało mi poranek, kiedy znalazł mnie przy Krzyżu Ctesiphona) i powiedział:

– Jam jest n-n-niewolnik mego p-p-pana, Hethor moje imię. Znużony wielce znojami podróży i po dwakroć opuszczony.

Wpatrywał się przy tym we mnie dzikimi, szeroko otwartymi oczami, przypominającymi oczy szcurów kasztelanki Lelii, które na kłaśnięcie w dłonie zaczynały kręcić się w kółko i kęsać własne ogony.

Jego widok wzbudził we mnie tak wielkie obrzydzenie, a jednocześnie tak bardzo niepokoiłem się o Jonasa, że odwróciłem się na pięcie i wróciłem tam, gdzie spędziliśmy minioną noc. Jeszcze przez długą chwilę miałem przed oczami obraz ogarniętych szaleństwem szarych szcurów. Na szczęście w pewnym momencie zniknął niczym ryba Dominy, jakby przypomniawszy sobie, że stanowi jedynie pozostałość martwych wspomnień Thecli.

– Coś nie w porządku? – zapytał Jonas. Wydawał się odrobinę silniejszy.

– Dręcą mnie myśli.

– Dla kata to rzeczywiście niedogodność, ale ja zawsze jestem zadowolony z takiego towarzystwa.

Podąłem mu ciasto i postawiłem obok filiżankę.

– To prawdziwa miejska kawa, bez pieprzu. Lubisz taką?

Skinął głową, podniósł filiżankę do ust i pociągnął mały łyk.

– A ty?

– Wypiłem swoją porcję przy wózk. Zjedz ciasto, jest bardzo dobre.

Posłusznie oderwał kawałek.

– Muszę z kimś porozmawiać, nawet gdybyś to był ty, choć z pewnością uznasz mnie za potwora, kiedy wszystkiego wysłuchasz. Ty też jesteś potworem. Wiedziałeś o tym, przyjacielu Severianie? Jesteś potworem, ponieważ obrałeś sobie za zawód to, co większość ludzi traktuje jako hobby.

– Jesteś cały połatany metalem – powiedziałem. – Nie tylko twoja ręka. Wiem o tym już od dłuższego czasu, przyjacielu potworze. A teraz zjedz ciasto i wypij kawę. Zdaje się, że następny posiłek dostaniemy nie wcześniej niż za jakieś osiem wacht.

– Rozbiliśmy się. Tutaj, na Urth, minęło tak wiele czasu, że nie było już żadnego portu, w którym moglibyśmy wylądować. Straciłem rękę i twarz. Moi towarzysze zreperowali mnie najlepiej jak potrafili, ale nie mieli części zapasowych, musieli więc skorzystać z materiału biologicznego.

Stalową ręką, którą do tej pory uważałem za coś w rodzaju haka, podniosłem tę z ciała i kości w taki sposób, jak człowiek mógłby podnieść budzący obrzydzenie odpadek.

– Masz gorączkę. Otrzymałeś uderzenie biczem, ale wkrótce wydobrzejesz. Wówczas stąd wyjdziemy i razem poszukamy Jolenty.

Skinął głową.

– Czy pamiętasz, jak wtedy, kiedy zbliżaliśmy się do wylotu Bramy Skruchy i doszło do całego tego zamieszania, zwróciła głowę ku słońcu, a ono zaślniło na jej policzku?

Powiedziałem, że pamiętam.

– Nigdy nikogo nie kochałem, przynajmniej od czasu, kiedy nasza załoga rozeszła się po świecie.

– Spróbuj trochę odpocząć, jeżeli nie możesz już jeść.

– Severianie! – Znowu położył mi rękę na ramieniu, ale tym razem tę ze stali. Była silna jak imadło. – Musisz do mnie mówić. Moje myśli doprowadzają mnie do szaleństwa.

Przez jakiś czas plotłem, co mi ślina na język przyniosła, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Potem przypomniałem sobie, jak często czytałem Thecli na głos, kiedy cierpiała na podobne dolegliwości. Wyjąłem z sakwy książkę w brązowych okładkach i otworzyłem ją na chybił trafił.

rozdział 17

Opowieść o uczniu i jego synu

Część pierwsza – Reduta magów

Dawno temu na brzegu leżącego odłogiem morza wznosiło się miasto o białych wieżach. Żyli w nim mądrzy ludzie. Miastem tym rządziło jedno prawo i ciążyło nad nim jedno przekleństwo. Prawo brzmiało w ten sposób: ci, którzy tu mieszkają, mają do wyboru tylko dwie drogi – albo dołączyć do grona mędrców i skryć głowę pod wielobarwnym kapturem, albo opuścić gród i szukać szczęścia w niegościnnym świecie.

Był tam jeden człowiek, który przez długie lata zdołał zgłębić niemal całą magię znaną obywatelom miasta, co równało się prawie całej magii uznanej na świecie. Coraz szybciej zbliżała się chwila, kiedy będzie musiał wybrać drogę, którą podąży przez życie. W środku lata, kiedy kwiaty o żółtych beztroskich kielichach wychylały się nawet ze szczelin w stromych skalnych ścianach wystrzelających z morza, człowiek ów udał się do jednego z tych, którzy nosili wielobarwny kaptur dłużej, niż sięgała pamięć, i od dawna był nauczycielem tego, którego czas się zbliżał, po czym odezwał się do niego w te słowa:

– W jaki sposób ja, który jeszcze nic nie wiem, mógłbym zdobyć miejsce wśród mędrców naszego miasta? Pragnę bowiem aż do końca moich dni studiować tajemne zaklęcia, nie chcę zaś wyruszać w nieprzyjazny świat, aby tam walczyć o przeżycie.

Na to starzec roześmiał się i rzekł:

– Czy pamiętasz, jak wtedy, kiedy jeszcze byłeś chłopcem, nauczyłem cię, w jaki sposób stworzyć ze snów własnego syna? Wówczas nie miałeś sobie równych w tej sztuce. Idź teraz, stwórz takiego właśnie syna, przyprowadź go do mnie, a ja pokażę go innym zakapturzonym

i staniesz się jednym z nas.

– Daj mi trochę czasu – poprosił uczeń. – Pozwól mi zaczekać do jesieni, a uczynię tak, jak mi powiedziałeś.

Nadeszła jesień. Jawory rosnące na ulicach miasta, chronione wysokim murem przed nadlatującymi znad morza wiatrami, poczęły gubić liście o barwie złota wytwarzanego przez żyjących tam ludzi, po niebie zaś przesuwały się klucze dzikich gęsi, za którymi podążały rybołowy i orłosepy. Wówczas starzec posłał po tego, który był jego uczniem, i rzekł:

– Teraz już musisz stworzyć syna ze swoich snów, tak jak ci powiedziałem, gdyż inni mędracy poczynają się niecierpliwić. Oprócz nas ty jesteś najstarszy w mieście, może więc i tak się zdarzyć, że jeśli natychmiast nie weźmiesz się do pracy, to zostaniesz wygnany jeszcze przed nadejściem zimy.

Uczeń jednak odparł:

– Muszę jeszcze wiele się nauczyć, aby osiągnąć to, co zamierzam. Czy nie możesz przekonać ich, aby poczekać do zimy?

Złota jesień odeszła, ustępując miejsca zimie, która zakradła się cichaczem ze swojej lodowej stolicy, gdzie słońce toczy się po krawędzi świata niczym poślaczana piłka, a niebo rozświetlają ognie płonące w przestrzeni między Urth a gwiazdami. Jej dotknięcie zamieniło fale w stalowe pomniki, miasto zaś powitało ją, wywieszając lodowe proporce i przystrajając dachy śnieżnymi czapami. Starzec ponownie wezwał do siebie ucznia, ale otrzymał od niego tę samą odpowiedź, co poprzednio.

Przyszła wiosna, a wraz z nią radość ogarnęła naturę, lecz miasto spowiło się w żalobną czerń, magowie zaś z odrazą myśleli o własnej mocy, która okazała się niemocą. Miastem bowiem rządziło jedno prawo i ciążyło nad nim jedno przekleństwo, i choć prawo obowiązywało latem, jesienią i zimą, to wiosną władzę przejmowało przekleństwo. Wtedy właśnie najpiękniejsze dziewczęta w mieście, córki magów, przywdziewały zielone szaty i z włosami rozwiewanymi podmuchami ciepłego wiatru szły wąską ścieżką prowadzącą do przystani, gdzie już czekał na nie okręt o czarnych żaglach. Ich złote włosy i zielone szaty sprawiały, że wyglądały jak koszone zboże, dlatego nazywano je Zbożowymi Dziewicami.

Kiedy do uszu ucznia dotarły zawrota i jęki i kiedy wychyliwszy się przez okno, ujrzał dziewczęta podążające ku przystani, odłożył księgi na bok, po czym zaczął kreślić na papierze figury, jakich nikt jeszcze nie

widział, i pisać w wielu językach, których nauczył go jego mistrz.

Część druga – Narodziny bohatera

Pracował niemal bez przerwy dzień za dniem. Kiedy pierwsze promienie słońca zaglądały do pokoju, jego pióro było już mocno zużyte od pisania, a kiedy rogi księżyc wspinał się na niebo, by zawisnąć między białymi wieżami, lampa na stole świeciła jeszcze jasnym blaskiem. Początkowo wydawało mu się, że opuściły go umiejętności, których mistrz nauczył go przed wielu laty, gdyż mimo wytężonej pracy wciąż był zupełnie sam, jeśli nie liczyć ciem, które czasem wpadały przez okno, aby pokazać mu insygnia śmierci wyrysowane na ich grzbietach.

Potem jednak w jego snach zaczął pojawiać się ktoś nowy, on zaś, wiedząc, kto to jest, za każdym razem witał go z radością, choć sny były ulotne i szybko znikały z pamięci.

Pracował ze zdwojoną energią, aż wreszcie to, co chciał osiągnąć, zaczęło gromadzić się wokół niego jak dym, który otacza szczapę drewna rzuconą w prawie wygasły ogień. Czasem (szczególnie wczesnym rankiem lub bardzo późno w nocy, lub wówczas, kiedy pozwalał sobie na krótki odpoczynek na wąskim i twardym łóżku, takim samym, jakie mieli wszyscy ci, którzy jeszcze nie zasłużyli sobie na wielobarwny kaptur) słyszał dobiegające z sąsiedniego pokoju odgłosy kroków tego, kogo chciał powołać do życia.

Wkrótce zjawiska te, początkowo bardzo rzadkie i występujące niemal wyłącznie wtedy, kiedy nad białymi wieżami miasta przetaczał się huk gromu, stały się znacznie częstsze, a towarzyszyć im zaczęły znaki świadczące nieomylnie o czyjejś obecności: nieczytana od lat książka pojawiała się nagle na podłodze obok krzesła, drzwi i okna otwierały się niespodziewanie bez żadnego widocznego powodu, zapomniany stary obraz pokryty patyną czasu ukazywał światu oczyszczone, błyszczące oblicze...

Pewnego złocistego popołudnia, kiedy wiatr baraszkował niewinnie z okrytymi świeżymi liśćmi jaworami, rozległo się pukanie do drzwi pracowni.

– Wejść – powiedział uczeń, nie śmiąc się odwrócić ani nawet pozwolić, aby w jego głosie znalazła odbicie choćby cząstka nadziei, jaką żył.

Drzwi zaczęły się uchylać, początkowo powoli i nieśmiało, lecz potem jakby pchnął je powiew wiosennego wiatru, który dotarł tu z zalanej promieniami słońca ulicy. W chwilę później zupełnie się otworzyły, uderzając głośno o ścianę, za plecami ucznia zaś rozległy się żwawe kroki, a zaraz potem młodzieńczy, pełen szacunku głos:

– Ojcie, wolałbym ci nie przeszkadzać, kiedy jesteś pogrążony w pracy, ale w moim sercu od wielu już dni gości bolesny niepokój, dlatego też proszę cię, abys zechciał wybaczyć mi moją natarczywość i poradzić w strapieniu.

Dopiero wtedy uczeń odważył się odwrócić. Ujrzał przed sobą młodzieńca pełnego wigoru, słusznej postawy, o bystrym spojrzeniu, zdecydowanych ustach i odważnej twarzy. Jego czoło zdobiła niewidoczna gołym okiem korona, którą jednak potrafi dojrzeć nawet ślepiec; śmiałków wynosi ona na trony, a tchórzy czyni zuchami.

– Mój synu, nigdy nie wahaj się przyjść do mnie, gdyż nic na świecie nie jest w stanie sprawić mi większej radości niż widok twojej twarzy. Co to za sprawa, która cię gnębi?

– Ojcie, od wielu już nocy budzą mnie rozpaczliwe krzyki kobiet, a kilkakroć widziałem we śnie coś, co przypominało zielono-złotego węża, który jak zaczarowany dźwiękami piszczałki podążał bezwolnie w kierunku przystani. Kiedy się do niego zbliżyłem, okazało się, iż ciało węża tworzą piękne kobiety, łkające rozpaczliwie i tak targające swoje złote włosy, że przypominają pole zboża chłostane bezlitosnym wiatrem. Cóż może oznaczać ten sen?

– Synu – odparł na to uczeń – nadszedł czas, abym wyjawiał ci to, co do tej pory przed tobą skrywałem, lękając się, że uniesiony młodzieńczą zapalczywością uczynisz coś, czego wszyscy moglibyśmy później żałować. Wiedz, że nasze miasto gnębi okrutny olbrzym, który co roku zabiera nam najpiękniejsze córki, dokładnie tak, jak to widziałeś we śnie.

Oczy młodzieńca rozbłysły gniewem.

– Kim jest ten olbrzym, jak wygląda i gdzie mieszka?

– Jego imienia nikt nie zna, gdyż nikomu nie udało się go o to zapytać. Jeżeli chodzi o wygląd, to jest podobny do okrętu, na którego pokładzie wznosi się zamek. W rzeczywistości jest to jego głowa, w której osadzone jest pojedyncze oko. Jego ciało pozostaje zawsze pod powierzchnią wody, razem z kałamarnicami i rekinami – ramiona ma dłuższe od najpotężniejszych masztów, nogi zaś przypominają mocarne kolumny sięgające do samego dna morza. Zamieszkuje wyspę leżącą na zachód

stąd, w którą głęboko się wrzyna kręty kanał o niezliczonych odnogach. Na tej właśnie wyspie olbrzym przetrzymuje Zbożowe Dziewice, nie spuszczać z nich swego jedyne go oka, aby bez przerwy sycić się ich rozpaczą.

Część trzecia – Spotkanie z księżniczką

Wówczas młodzian skrzyknął innych śmiałków z miasta magów, od zakapturzonych mędrców otrzymał dzielny statek i przez całe lato wraz z towarzyszami kompletował wyposażenie, mocował działa na obu burtach, ćwiczył siebie i innych w posługiwaniu się żaglami, aż wreszcie okręt stał się posłuszny niczym dobrze ułożony rumak. Aby dać wyraz żalowi, z jakim młodzieńcy myśleli o losie porwanych niewiast, nadali mu imię „Kraina dziewic”.

Kiedy wreszcie złote liście poczęły spadać z jaworów (podobnie jak złoto wytworzone przez magów prędzej lub później zaczyna sypać się ludziom z rąk), a klucze szarych gęsi pojawiły się na niebie między wieżami miasta, młodzieńcy wciągnęli żagle na maszt. Po drodze ku wyspie olbrzyma spotkało ich wiele przygód, o których nie czas i miejsce teraz mówić, w końcu jednak ujrzeni przed sobą brązowe wzgórza pokryte tu i ówdzie zielenią. Kiedy na nie patrzyli, stwierdzili ze zdumieniem, że zieleni zaczyna szybko przybywać. Wówczas młody człowiek, którego uczeń stworzył ze swoich snów, nabrał pewności, że trafili we właściwe miejsce, gdyż była to zieleń sukni Zbożowych Dziewic, które biegły gromadnie na brzeg, zwabione widokiem żagli.

Przygotowano wszystkie działa do strzału, na reje zaś wciągnięto żółto-czarne proporce miasta magów. Okręt zbliżał się coraz bardziej, aż wreszcie załoga skierowała go równoległe do brzegu, w obawie, że lada chwila osiadzie na mieliźnie. Zbożowe Dziewice podążały za nimi, a było ich już tak dużo, iż wyglądały jak prawdziwe falujące zboże. Młodzieniec ze snów nie zapomniał jednak, że właśnie tutaj powinien lada chwila spodziewać się widoku olbrzyma.

Kiedy po trwającej pół dnia żegludze minęli cypel, ich oczom ukazało się ujście głębokiego, krętego, wrzynającego się daleko w głąb wyspy kanału. Przy jego wylocie wznosiła się rotunda z białego marmuru, otoczona ogrodami. Tam właśnie młodzieniec polecił rzucić kotwicę i zszedł na brzeg.

Ledwo postawił stopę na lądzie, kiedy zobaczył zmierzającą mu na

spotkanie kobietę niezwyklej urody. Miała smagłą cerę, czarne włosy i błyszczące oczy. Dowódca wyprawy skłonił się przed nią głęboko, po czym rzekł:

– Księżniczko lub królowo, widzę, że nie należysz do Zbożowych Dziewic, gdyż ich szaty są zielone, twoją zaś uszyto z sobolich futer. Jednak nawet gdybyś była ubrana tak jak one, natychmiast bym cię rozpoznał, gdyż w twoich oczach nie ma rozpaczy, a blask, który w nich dostrzegam, nie pochodzi z Urth.

– Słusznie mówisz – odparła księżniczka. – Jestem Noctua, córka Nocy, spłodzona przez tego, którego postanowiłeś zgładzić.

– Skoro tak, to nie możemy być przyjaciółmi, Noctuo, ale przynajmniej nie bądźmy wrogami – powiedział młody człowiek.

Nie wiedział dlaczego, ale będąc stworzonym ze snów, czuł, jak coś go ku niej popycha, ona zaś nie mogła oderwać od niego oczu, w których lśniło światło gwiazd.

Wreszcie księżniczka rozłożyła ręce i oznajmiła:

– Wiedz, że ojciec posiadał matkę siłą i wbrew mojej woli trzyma mnie tutaj, gdzie szybko postradałabym zmysły, gdyby nie to, że ona odwiedza mnie u schyłku każdego dnia. Jeśli nie dostrzegasz rozpaczy w moich oczach, to tylko dlatego, iż skrywam ją w sercu. Chętnie doradzę ci, w jaki sposób możesz odnaleźć mego ojca i pokonać go w walce.

Młodzi ludzie z miasta magów zgromadzili się wokół niej, aby nie uronić ani słowa.

– Przed wszystkim musicie wiedzieć, że kanały na tej wyspie ustawicznie zmieniają swój bieg, co niezmiernie utrudnia orientację. Płynąc nimi, nie możecie używać żagli, lecz musicie zdać się na maszyny, jeśli chcecie bezpiecznie dotrzeć do celu.

– Jesteśmy na to przygotowani – odparł młodzieniec ze snów. – Pół ogromnego lasu legło pokotem, aby napełnić nasze ładownie, a te wielkie koła, które widzisz, potrafią młócić wodę z siłą olbrzyma.

Księżniczka zadrżała na to i rzekła:

– Och, nie wspominaj o olbrzymach, gdyż nie wiesz, o czym mówisz. Widziałam tu już wiele takich okrętów jak wasz, lecz wszystkie spotkał ten sam okrutny los i teraz dna tych niezmiernych kanałów są usłane bielejącymi czaszkami. Mój ojciec pozwalał im tak długo pływać między niezliczonymi wysepkami, aż wreszcie kończyło im się paliwo, a wtedy dopadał ich pod osłoną nocy, kiedy nie mogli go zobaczyć, i wybijał wszystkich do nogi.

Wówczas w sercu młodzieńca ze snów pojawił się niepokój.

– Będziemy go szukać, tak jak przysięgliśmy, ale czy nie ma sposobu, aby uniknąć losu naszych poprzedników?

Młodzieniec wywoływał wielkie współczucie księżniczki, gdyż wszyscy, którzy mieli cokolwiek wspólnego ze snami, byli bliscy sercom córek Nocy.

– Po to, żeby odnaleźć mego ojca, zanim spalicie ostatni kawałek drewna, musicie przeszukiwać jedynie ciemne, zmacone wody, gdyż poruszając się, podnosi z dna mnóstwo mułu – powiedziała. – Pamiętajcie jednak, aby codziennie zaczynać poszukiwania o świcie, a kończyć je w południe, gdyż w przeciwnym razie moglibyście natrafić na niego o zmroku, co źle by się dla was skończyło.

– Za tę radę chętnie oddałbym ci życie – odparł młodzieniec, a jego towarzysze jak jeden mąż wzniesli radosny okrzyk. – Teraz jestem pewien, że go pokonamy.

Poważna twarz księżniczki jeszcze bardziej spochmurniała.

– Nie możesz być tego pewien, gdyż jest on śmiertelnie groźnym przeciwnikiem w każdej morskiej bitwie. Znam jednak pewien fortel, który może wam pomóc. Powiedziałaś, że jesteście dobrze wyposażeni; czy macie także smołę na wypadek, gdyby wasz okręt zaczął przeciekać?

– Wiele baryłek.

– W takim razie manewrujcie w taki sposób, aby znaleźć się po jego nawietrznej stronie, a kiedy bitwa rozgorzeje na dobre – z pewnością nie będziecie musieli na to długo czekać – wrzucie smołę do palenisk. Nie obiecuję, że na pewno to da wam zwycięstwo, ale z pewnością bardzo pomoże.

Młodzieńcy podziękowali jej szarmancko, a Zbożowe Dziewice, które przysłuchiwały się całej rozmowie, zakrzyknęły wesoło, tak jak czasem czynią dziewczęta.

Wkrótce potem młodzi śmiałkowie poczęli szykować się do drogi, rozpaliwszy ogień pod kotłami, aż buchnęła biała para, która pcha naprzód wszystkie dobre statki bez względu na to, skąd wieje wiatr. Księżniczka patrzyła na nich z brzegu, śląc im swoje błogosławieństwo.

Kiedy wielkie koła zaczęły się poruszać, początkowo tak powoli i dostojnie, że trudno było to zauważyć, wezwała młodego dowódcę, aby zbliżył się do relingu, i przemówiła w te słowa:

– Może zdarzyć się tak, że odnajdziecie mojego ojca. Może też zdarzyć się tak, że go pokonacie, choć dysponuje naprawdę ogromną siłą, jednak nawet wówczas będziecie musieli wrócić na otwarte morze, co nie będzie łatwą sprawą, gdyż sieć kanałów przecinających tę wyspę jest

niezwykle gęsta i skomplikowana. Istnieje jednak sposób, aby tego dokonać: po walce odetnij czubek małego palca z prawej ręki mojego ojca. Ujrzysz tam tysiące splątanych linii, ale nie obawiaj się niczego, gdyż będzie to mapa kanałów, którą w ten prosty sposób zawsze przy sobie nosi.

Część czwarta – Bitwa z olbrzymem

Skierowali dziób okrętu w głąb wyspy. Zgodnie z przepowiednią księżniczki kanał, którym płynęli, wkrótce rozdzielił się, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie znaleźli się wśród tysiąca odnóg i dziesięciu tysięcy wysepek. Kiedy cień głównego masztu stał się nie większy od kapelusza, młodzieniec ze snów rozkazał rzucić kotwicę i przygasić ogień. Przez całe popołudnie czekali, oliwiąc działa oraz przygotowując wszystko, co może być potrzebne do najkrwawszej z bitew.

Wreszcie ujrzeli zbliżającą się Noc. Przeskakiwała z wysepki na wysepkę; u ramion miała czarne nietoperze, a jej śladem podążały okrutne wilki. Wydawało się, że łatwo mogliby dosięgnąć ją pociskiem wystrzelonym z najmniejszego z dział, ale wystarczyło dokładniej się przyjrzeć, aby stwierdzić, że to nie ona posuwa się przed gwiazdami, lecz gwiazdy przed nią. W pewnej chwili zwróciła ku nim twarz, ale nikt nie potrafił odczytać wyrazu jej oczu. Wszyscy jednak zastanawiali się, czy istotnie olbrzym posiadał ją niegdyś wbrew jej woli, tak jak twierdziła córka, i czy jeżeli tak było, nadal chowała o to do niego urazę.

O pierwszym brzasku rozległ się dźwięk trąbki, a do palenisk wrzucono solidną porcję drewna. Ponieważ wiał sprzyjający wiatr, młody dowódca polecił wciągnąć wszystkie żagle na maszty, tak że kiedy wielkie koła zaczęły się wreszcie obracać, okręt pomknął ze zdwojoną prędkością.

Pokonali w ten sposób wiele mil, nie refując żagli ani nie zmniejszając szybkości. Mijali ujścia setek mniejszych kanałów, wpatrując się uważnie w każde z nich, lecz wszędzie woda była czysta jak kryształ. Trzeba by co najmniej tuzina opowieści równie długich jak ta, aby opisać wszystkie dziwy, jakie napotkali po drodze: wielkie kobiety wyrastające z ziemi niczym kwiaty, które próbowały złożyć pocałunki na twarzach młodzieńców, obsypując ich pyłkiem ze swoich kielichów; mężczyźni zmarłych z opilstwa, którzy leżeli przy tryskających z ziemi źródłkach wina, zbyt oszołomieni trunkiem, aby

zdać sobie sprawę, że ich życie dobiegło już końca; zdumiewające stworzenia o zniekształconych kończynach i pokryte sierścią w niezwykłych kolorach, które stanowiły ostrzeżenie przed zbliżającymi się czasami, zwiastując krwawe wojny, trzęsienia ziemi i zabójstwa władców.

Wreszcie młody człowiek pełniący obowiązki pierwszego oficera zbliżył się do dowódcy i powiedział:

– Pokonaliśmy już znaczną odległość, płynąc tym kanałem, a słońce, które nawet nie zdążyło nas powitać, kiedy ruszaliśmy w drogę, zbliża się teraz do zenitu. Minęliśmy tysiąc innych kanałów, lecz w żadnym z nich nie dostrzegliśmy śladu olbrzyma. Czy nie sądzisz, że wybraliśmy niewłaściwą drogę? Może lepiej byłoby zawrócić i skierować się gdzie indziej?

– Właśnie mijamy ujście kolejnego kanału – odparł młodzieniec ze snów. – Wychyl się za burtę i powiedz mi, czy jego wody są bardziej zmaczone od tych, po których płyniemy.

Pierwszy oficer postąpił zgodnie z poleceniem.

– Są nawet czystsze – powiedział po jakimś czasie.

– A teraz zwróć uwagę na ten po drugiej stronie. Jak głęboko sięga twój wzrok?

Młodzian zaczekał, aż okręt znajdzie się dokładnie naprzeciwko odnogi, o której mówił jego dowódca, po czym rzekł:

– Do samego dna. Widzę wrak jakiegoś statku, spoczywający na głębokości wielu sążni.

– A czy możesz dostrzec dno tego kanału, którym właśnie płyniemy?

Młody śmiałek spojrział na wodę przy burcie okrętu i zobaczył, że jest czarna jak atrament, zaś rozbryzgi wody spod obracających się kół przypominają wrony i kruki. Zrozumiał w jednej chwili, co to oznacza, krzyknął więc do innych, by stanęli przy działach, bo nie mógł im powiedzieć, żeby je szykowali, skoro już od dawna były gotowe.

Z przodu pojawiła się wysepka wyższa od wszystkich, porośnięta wysokimi drzewami. W tym miejscu kanał lekko skręcał, tak że wiatr do tej pory wiejący prosto w rufę teraz zmienił się na trzy czwarte z tyłu. Sternik zakręcił kołem, załoga zaś poluzowała część żagli, refując inne, a kiedy okręt minął cypel, śmiałkowie ujrzeli wąski kadłub ze wznoszącym się na śródokręciu zamkiem ze stali. Z pojedynczego otworu strzelniczego sterczała lufa największego działa, jakie w życiu widzieli.

Młodzieniec ze snów otworzył usta, aby wydać rozkaz otwarcia

ognia, ale zanim zdążył powiedzieć choć jedno słowo, ogromne działo nieprzyjaciela przemówiło. Huk był tak potworny, jakby pod ich stopami zawaliła się kamienna wieża niebotycznej wysokości.

Pocisk trafił w zamek jednego z dział na sterburcie i roztrzaskał go na kawałki, które pospołu z odłamkami samego pocisku przemknęły nad pokładem niczym czarne liście umykające przed gnającym bez opamiętania wiatrem, zabijając wielu spośród tych, którzy stanęli im na drodze.

Sternik, nie czekając na rozkaz, odwrócił okręt, tak że działa na sterburcie przemówiły. Każde z nich wystrzeliło z osobna, a ich pociski albo spadły do wody po obu stronach nieprzyjaciela, albo trafiły w stalowy zamek, który zadźwięczał niczym żałobny dzwon dla tych, co przed chwilą pożegnali się z życiem, albo spadły na pokład, który także był ze stali, i odbiły się od niego z przeraźliwym chichotem.

A potem samotne działo przeciwnika powtórnie przemówiło.

I tak to trwało długie chwile, które uczestnikom tych wydarzeń wydawały się latami. Wreszcie młodzieniec ze snów przypomniał sobie o radzie księżniczki, jednak wiatr, choć silny, wiał niemal dokładnie od strony dziobu, a jeśli okręt miałby zmienić położenie w taki sposób, żeby dym z palonej smoły leciał w stronę wroga, musiałby przez pewien czas prowadzić ostrzał jedynie z dział na rufie, potem zaś zwrócić się do olbrzyma sterburtą, na której brakowało już jednego działa i wielu ludzi z załogi zginęło.

Uświadomił sobie jednak, że na razie zapewne walczą tak samo, jak przed nimi walczyły setki innych okrętów, których wraki zalegają teraz dna kanałów żłobiących oblicze wyspy. Wydał więc natychmiast rozkazy sternikowi, ale ten nie odpowiedział, gdyż był martwy, a stał tylko dlatego, że podtrzymywało go koło, które wciąż dzierżył w rękach. Widząc to, młodzieniec ze snów sam stanął za kołem sterowym i odwrócił okręt rufą do nieprzyjaciela. Okazało się, iż uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem jeden pocisk wystrzelony z ogromnego działa przeleciał na długość wiosła od lewej, drugi zaś obok prawej burty.

Teraz jednak nieprzyjaciel, który dotąd trwał w bezruchu, także zaczął zakręcać. Na ten widok załoga okrętu z miasta mędrców krzyknęła radośnie, gdyż wydawało się, że wróg szykuje się do ucieczki, lecz zaraz potem radość zniknęła z twarzy dzielnych młodzieńców, gdyż stalowy zamek obrócił się jakimś cudownym sposobem i ich okręt wciąż znajdował się w zasięgu potężnego działa.

W chwilę później zostali trafieni w śródkręcie. Jedno z dział na

sterburcie wyskoczyło z zamocowań i potoczyło się po pokładzie, miażdżąc wszystko, co znalazło się na jego drodze. Pozostałe armaty zagrały ze zdwojoną siłą, jakby pragnąc pomścić towarzysza, a ponieważ odległość między dwoma adwersarzami zmniejszyła się o połowę w stosunku do tego, co było na początku starcia (a może tylko dlatego, że okazując lęk, nieprzyjaciel osłabił istotę swojej konstrukcji), miotane przez nie pociski nie odbijały się już od stalowego zamku z donośnym dzwonieniem, lecz z głuchym, przytłumionym odgłosem przypominającym dźwięk pękniętego dzwonu, a na czarnych murach zamku zaczęły pojawiać się rysy i odpryski.

Młodzieniec krzyknął wtedy do rury łączącej mostek z maszynownią, aby ci, którzy pozostali jeszcze na stanowiskach, zaczęli wrzucać w płomień baryłki ze smołą. Bał się, że wydał rozkaz już tylko trupom albo że w ferworze walki nie został zrozumiany, lecz wkrótce potem na lśniącą w blasku słońca wodę między nimi a nieprzyjacielem padł gęsty cień.

Jak głosi starożytna legenda, odziana w łachmany córka rybaka znalazła kiedyś na plaży zakorkowaną butelkę, a po jej otwarciu została królową niemal całego świata. Wydawało się, że w taki sam sposób jakaś elementarna istota, mocna siłą dającego życie ognia, wydostała się na wolność przez wysokie kominy okrętu, buchając kłębami smolistej radości i rosnąc z każdą chwilą w dmącym bez przerwy wietrze.

A wiatr wiał naprawdę mocno. Chwycił ciężki dym w niezliczone dłonie i cisnął go na nieprzyjaciela. Mimo że wkrótce młodzi śmiałkowie przestali cokolwiek widzieć, nie tracąc ani chwili rzucili się do dział i poczęli z jeszcze większym zapalem strzelać do wroga. Od czasu do czasu słyszeli także groźny ryk jego działa, ale nie widzieli rozbłysków ognia ani też nie mogli się zorientować, gdzie padają miotane przez niego pociski.

Jest bardzo możliwe, że w nic nie trafiły i do tej pory krążą dokoła świata w poszukiwaniu celu.

Strzelali tak długo, aż lufy zaczęły świecić jak dopiero co wyjęte z formy sztaby złota. Dym, który do tej pory wydobywał się z kominów gęstymi kłębami, zaczął rzednąć, a ci z dołu krzyknęli przez rurę, że zużyli już cały zapas smoły. Wówczas młodzieniec ze snów rozkazał przerwać ogień, a ludzie, którzy obsługiwali działa, padli na pokład jak nieżywi, nie mając nawet dość sił, żeby prosić o łyk wody.

Czarna chmura powoli znikwała, ale nie tak, jak znika mgła osuszana promieniami słońca, lecz jak dobrze wyszkolona armia, która ustępuje

przed silniejszym przeciwnikiem, ale nie cała i nie wszędzie, wykorzystując każdą okazję do zastawienia zasadzki i zadania jeszcze jednego ciosu.

Na próżno wpatrywali się w lśniące fale w poszukiwaniu olbrzyma. Nigdzie nie było ani kadłuba jego statku, ani zamku, ani działa, ani najmniejszego śladu, który świadczyłby o jego istnieniu.

Powoli i tak ostrożnie, jakby obawiali się jakiegoś niewidzialnego wroga, podpłynęli do miejsca, w którym jeszcze niedawno znajdował się nieprzyjaciel. Młodzieniec ze snów rozkazał, aby zatrzymano maszyny, a następnie podszedł do burty i spojrzął w dół. Kiedy pozostali ujrzeli wyraz jego twarzy, nawet najodważniejsi z nich nie ośmielili się pójść w jego ślady.

Kiedy wreszcie podniósł głowę, bez słowa udał się do swojej kabiny i zamknął drzwi. Wówczas ten, który był jego zastępcą, polecił skierować okręt z powrotem do marmurowej rotundy. Rozkazał także, aby opatrzone rannych, uruchomiono pompy oraz wzięto się za niezbędne naprawy. Ciała poległych zostały na pokładzie, gdyż załoga chciała wyprawić im pogrzeb na otwartym morzu.

Część piąta – Śmierć ucznia

Możliwe, że kanał wcale nie biegł tak prosto, jak im się wydawało, albo że podczas walki stracili orientację, albo że wszystkie kanały wiły się i skręcały, kiedy nikt nie patrzył... Bez względu na to, jak przedstawiała się prawda, przez cały dzień płynęli pełną parą (gdyż wiatr zupełnie ustał), tylko po to jednak, by o zmierzchu stwierdzić, że dotarli do zupełnie nieznannej okolicy.

Na noc rzucili kotwicę, z samego rana zaś młodzieniec pełniący w zastępstwie funkcję dowódcy okrętu wezwał do siebie tych, od których mógł oczekiwać najbardziej wartościowych rad, ale oni potrafili zaproponować tylko dwie rzeczy: żeby zawiadomić tego, którego powołano do życia ze snów, albo żeby nadal płynąć naprzód w nadziei, że uda się dotrzeć do otwartego morza i marmurowej rotundy.

Zdecydowali się na to drugie rozwiązanie i płynęli przez cały kolejny dzień, starając się utrzymać prosty kurs, co wcale nie było łatwe, gdyż musieli omijać niezliczone wysepki pojawiające się na ich drodze. Kiedy znowu zapadła noc, ich sytuacja ani trochę się nie poprawiła.

Jednak rankiem trzeciego dnia młodzieniec stworzony ze snów

wyłonił się z kabiny i począł przechadzać się po pokładzie, tak jak czynił to wcześniej, doglądać napraw i pytać o zdrowie tych rannych, którzy czuli się na tyle dobrze, aby zamienić z nim kilka słów. Potem przyszli do niego jego towarzysze sprawujący do tej pory pieczę nad okrętem oraz ci, którzy mu doradzali, i powiedzieli o wszystkim, czego dokonali, po czym zaczęli go wypytywać, jak mogą najszybciej dotrzeć do otwartego morza, żeby godnie pochować zmarłych i wrócić do miasta magów.

On w odpowiedzi wznosił oczy ku niebu, tak że niektórzy myśleli, iż się modli, inni byli pewni, że stara się pohamować gniew, jaki w nim wzbudzili, jeszcze inni natomiast uważali, że po prostu szuka tam natchnienia. On jednak tak długo stał wpatrzony w górę, iż wielu spośród jego towarzyszy zmroził strach, tak jak wówczas, kiedy wpatrywał się w zmaconą wodę, i poczęli chyłkiem się wycofywać. Wówczas przemówił do nich w te słowa:

– Spójrzcie! Czyż nie widzicie morskich ptaków? Nadlatują zewsząd, kierując się w jedną stronę. Płyncie w ślad za nimi.

Uczynili to na tyle, na ile pozwalały im kręte koryta kanałów, i jeszcze przed południem ujrzeli, jak wszystkie ptaki opadają gwałtownie ku wodzie, a było ich tak wiele, że białe skrzydła i czarne głowy zdawały się tworzyć gęsty huczący obłok. Wówczas młodzieniec ze snów polecił towarzyszom, aby naładowali działo samym prochem i wystrzelili. Spłoszone hukami ptaki odleciały z wielkim krzykiem, w miejscu zaś, w którym się kłębiły, młodzi śmiałkowie dostrzegli unoszącą się na wodzie padlinę. Uznali, że to jakieś lądowe zwierzę, gdyż miało głowę i cztery nogi, ale było większe nawet od największego słonia.

Kiedy się do niego zbliżyli, młodzieniec ze snów kazał spuścić szalupę na wodę. Gdy do niej wsiadał, zgromadzeni na pokładzie dostrzegli za jego pasem sztylet o długim ostrzu, w którym zaśniły promienie słońca. Przez jakiś czas pracował przy padlinie, a kiedy wrócił, niósł ze sobą największą mapę, jaką kiedykolwiek widzieli, narysowaną na niewyprawionej skórze.

O zmroku dotarli do rotundy, w której zamieszkiwała księżniczka. Nikt nie zmrużył oka, czekając na odejście jej okropnej matki, a kiedy to nastąpiło, wszyscy, którzy mogli się poruszać, zeszli na brzeg. Tam otoczyły ich Zbożowe Dziewice, młodzieniec ze snów porwał zaś w ramiona córkę Nocy i pierwszy ruszył w tany. Żadne z nich do końca życia nie zapomniało tej nocy.

Pierwsza rosa zastała ich pod drzewami w ogrodzie księżniczki.

Przez jakiś czas spali słodko, przykryci wonnymi kwiatami, by obudzić się, kiedy cienie masztów stały się najkrótsze. Wówczas księżniczka pożegnała się z wyspą i poprzysięgła, że nawet gdyby przyszło jej odwiedzić każdy kraj, w którym kiedykolwiek jej matka gościła, to jej stopa nigdy nie dotknie tej ziemi. Taką samą przysięgę złożyły Zbożowe Dziewice. Było ich zbyt wiele, żeby mogły pomieścić się na okręcie, a jednak jakoś im się to udało, tak że pokład zazielenił się od ich sukien i zazłocił od włosów.

W drodze powrotnej do miasta magów spotkało ich mnóstwo przygód. Można by opowiedzieć o tym, jak po stosownej modlitwie wrzucili do morza ciała zmarłych, by najbliższej nocy ujrzyć ich ponownie wśród olinowania, albo o tym, jak kilka Zbożowych Dziewic poślubiło ksiąząt, którzy polubiwszy życie w zmienionej postaci (i nauczywszy się ludzkiej mowy), budują pałace na liściach lilii wodnych i rzadko kiedy pokazują się zwykłym śmiertelnikom.

Jednak nie czas tu i nie miejsce na relacje o tych zdarzeniach. Wystarczy powiedzieć, że kiedy zbliżyli się do stromego brzegu, na którym wznosiło się miasto magów, dostrzegł ich uczeń wyglądający swego syna z najwyższej wieży. Kiedy ujrzał żagle poczerniałe od smoły, którą spalono pod kotłami w czasie walki z olbrzymem, pomyślał, iż okręt przywdział żalobę po swym młodym dowódcy, i odebrał sobie życie, skacząc w dół z wielkiej wysokości. Nikt bowiem nie może żyć długo po tym, jak umrą jego marzenia.

rozdział 18

Zwierciadła

Czytając tę opowieść, spoglądałem od czasu do czasu na Jonasa, lecz mimo że nie spał, ani razu nie dostrzegłem na jego twarzy choćby śladu zrozumienia.

– Nie bardzo pojmuję, dlaczego na widok czarnych żagli uczeń uznał, że jego syn nie żyje – powiedziałem, zamykając książkę. – Przecież okręt, który olbrzym przysyłał po Zbożowe Dziewice, także miał czarne żagle.

– Wiem – odparł Jonas. Nigdy u niego nie słyszałem równie obojętnego tonu.

– Czyżbyś znał rozwiązanie tej zagadki?

Nie odpowiedział. Przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu – ja z brązową książką w dłoni, tak bardzo przypominającą mi Theclę i wszystkie wieczory, jakie razem spędziliśmy, on oparty plecami o zimną ścianę, z rękami leżącymi bezwładnie na podłodze jak zapomniane przedmioty. Milczenie przerwał cichy cieniutki głosik:

– To chyba bardzo stara historia.

Tak mocno martwiłem się o przyjaciela, iż poczułem gniew na dziewczynkę, że ośmieliła się odezwać, ale nie zdążyłem nic powiedzieć, bo Jonas wymamrotał:

– Tak, to rzeczywiście bardzo stara historia. Jej bohater zapowiedział swojemu ojcu królowi, że jeśli wyprawa zakończy się niepowodzeniem, to wróci do Aten pod czarnymi żaglami.

Nie jestem pewien, co ta uwaga miała oznaczać; całkiem możliwe, że mój przyjaciel majaczył, ale ponieważ były to jedne z ostatnich słów, jakie od niego usłyszałem, uznałem za stosowne przytoczyć je tutaj, podobnie jak powtórzyłem całą opowieść, która je poprzedziła i sprowokowała.

Próbowaliśmy we dwójkę nakłonić go, aby powiedział coś jeszcze, on

jednak uparcie milczał, daliśmy mu więc spokój. Pozostałą część dnia spędziłem, siedząc przy nim, a kiedy po mniej więcej jednej wachcie dołączył do nas Hethor (zapewne nie starczyło mu konceptu, aby dłużej zabawiać więźniów swymi opowieściami), poprosiłem Lomera i Nicarete, aby wyznaczyli mu miejsce po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Cokolwiek byśmy twierdzili, każdemu z nas zdarza się mieć kłopoty ze snem. Niektórzy prawie wcale nie śpią, innych dręczą nocne koszmary, jeszcze innych – niestety najmniej licznych – nawiedzają rozkoszne senne marzenia. Są też tacy, którzy kiedyś doświadczali dużych trudności z zaśnięciem, lecz już się z tego wyleczyli – jakby życie na jawie było jakąś chorobą, czego zresztą nie można do końca wykluczyć.

W moim przypadku sprawa przedstawia się w taki sposób, że zazwyczaj nie zapamiętuję snów (choć miewam je od czasu do czasu, o czym czytelnik, który dotarł do tego miejsca mojej opowieści, zdążył się już wielokrotnie przekonać) i rzadko kiedy budzę się przed świtem. Jednak tej nocy mój sen tak bardzo różnił się od tego wszystkiego, do czego zdążyłem się już przyzwyczaić, że zastanawiam się, czy w ogóle powinienem nazwać go snem. Możliwe, iż był to jakiś zupełnie inny stan, tylko udający sen – coś takiego jak alzabo, które po pożarciu człowieka próbuje się do niego upodobnić.

Jeżeli zjawisko to zostało spowodowane naturalnymi przyczynami, to przypisuję je połączonemu działaniu wyjątkowo niefortunnych okoliczności. Ja, który od małego przywykłem do ciężkiej pracy i aktywnego trybu życia, przez cały dzień byłem pozbawiony jakiegokolwiek ruchu. Opowieść z brązowej książki pobudziła moją wyobraźnię, na co nałożyły się jeszcze wspomnienia o Thecli wywołane widokiem samej książki oraz świadomość, że przebywam w murach Domu Absolutu, o którym tak wiele od niej słyszałem. Chyba jednak najważniejszy był niepokój o Jonasa, a także przecucie (narastające we mnie przez cały dzień), że już osiągnąłem cel swojej wędrówki, że nigdy nie dotrę do Thraxu, nie odnajdę Dorcas, nie zwrócę Pazura ani nawet nie zdołam się go pozbyć, że Prastwórca, któremu służył pierwszy właściciel klejnotu, postanowił, iż powinienem rozstać się z życiem w taki sam sposób jak więźniowie umierający na moich oczach w celach

Wieży Matachina.

Spałem – o ile w ogóle można nazwać to snem – tylko krótką chwilę. Nagle poczułem, że spadam, i moimi kończynami szarpnął gwałtowny skurcz – odruchowa reakcja ofiary zepchniętej w przepaść. Usiadłem i otworzyłem oczy, ale ujrzałem tylko nieprzeniknioną ciemność. Słyszałem oddech Jonasa, a wyciągnąwszy rękę, przekonałem się, że nadal siedzi oparty o ścianę, tak jak go zostawiłem. Położyłem się więc i ponownie zasnąłem, a raczej próbowałem zasnąć, lecz ogarnął mnie tylko ów niezwykły stan, który nie jest ani snem, ani jawą. Do tej pory przebywanie w nim sprawiało mi nawet przyjemność, ale nie tym razem. Zdawałem sobie sprawę, że potrzebuję snu, a jednocześnie wiedziałem, że nie śpię, choć z pewnością nie byłem do końca świadom tego, co się wokół mnie dzieje. Słyszałem przytłumione głosy dobiegające z dziedzińca, przeczuwałem, że lada chwila odezwą się dzwony w naszej kaplicy i wstanie nowy dzień. Ponownie gwałtownie usiadłem.

Przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegam blask zielonego ognia, ale było to tylko złudzenie. Leżałem otulony płaszczem. Odrzuciłem go teraz, a jednocześnie przypomniałem sobie, że znajduję się w przedpokoju Domu Absolutu i że gospoda w Saltus jest daleko stąd, mimo iż Jonas leży obok mnie ze zdrową ręką podłożoną pod głowę. W ciemności dostrzegłem błysk jego oka, choć oddychał jak człowiek pogrążony we śnie. Mnie samemu chciało się tak bardzo spać, że nawet nie próbowałem się do niego odezwać, a poza tym czułem, że i tak mi nie odpowie.

Zająłem z powrotem miejsce na posłaniu i dałem się ogarnąć irytacji spowodowanej niemożnością zaśnięcia. Policzyłem w myślach stado bydła gnane główną ulicą Saltus: sto trzydzieści siedem sztuk. Potem zająłem się żołnierzami, którzy maszerowali od strony Gyoll. Karczmarz zapytał mnie, ilu ich może być, a ja podałem mu pierwszą liczbę, jaka przyszła mi do głowy, lecz do tej pory nie miałem okazji, aby ich dokładnie policzyć. Poza tym karczmarz mógł być szpiegiem, choć równie dobrze mógł nim nie być.

Mistrz Palaemon, który przekazał nam tyle różnorodnych wiadomości, nigdy nie nauczył nas sztuki zasypiania. Prawdę mówiąc, po całym dniu ciężkiej pracy żaden z uczniów nie miał z tym

najmniejszych kłopotów. Przez jakieś pół wachty szaleliśmy jeszcze w sypialni, po czym zasypialiśmy równie głęboko jak mieszkańcy nekropolii i spaliśmy aż do chwili, kiedy mistrz Palaemon zjawiał się w sali i zaganiał nas do czyszczenia posadzek i wynoszenia odpadków.

Nad stołem, na którym brat Aybert opracia mięso, wiszą noże. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem noży, wszystkie ostrzejsze od miecza mistrza Gurloesa. W rękojeści jednego z nich brakuje nitu, rękojeść drugiego jest lekko osmalona, ponieważ brat Aybert położył go kiedyś zbyt blisko ognia i...

Ponownie się obudziłem, nie wiedząc dlaczego. Obok mnie lekko pochrapywał pogrążony w głębokim śnie Drotte. Zamknąłem oczy i spróbowałem pójść w jego ślady.

Trzysta dziewięćdziesiąt stopni z parteru do naszej bursy. Ile jeszcze do pomieszczenia na szczycie wieży, w którym stały działa? Jedno, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć dział. Jeden, dwa, trzy wykorzystywane poziomy cel w lochach. Jedno, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem skrzydeł na każdym poziomie. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście cel w każdym skrzydle. Jeden, dwa, trzy pręty w okienku w drzwiach mojej celi.

Wyrwana gwałtownie ze snu, poczułam dotkliwe zimno. Obudził mnie odgłos zatraskiwania drzwi, który dobiegł z korytarza. Mój kochanek Severian leżał obok mnie pogrążony w głębokim chłopięcym śnie. Usiadłam na pryczy, aby zapalić świecę i popatrzeć choć przez chwilę na żywe barwy tej szlachetnie rzeźbionej twarzy. Za każdym razem, kiedy mnie odwiedzał, przynosił ze sobą iskierkę wolności, ja zaś dmuchałam na nią i tuliłam troskliwie do piersi, ale ona zazwyczaj gasła. Czasem, kiedy tego nie uczyniła, przestawałam na chwilę czuć przygniatający mnie ciężar ziemi i metalu i wznosiłam się w górę, ku wiatrowi i niebu.

Albo przynajmniej tak sobie wyobrażałam. Nawet jeśli tak nie było, pozostawała mi chociaż radość, jaką czerpałam z widoku tej iskierki.

Kiedy wyciągnęłam rękę, świeca znikła, moje oczy zaś oraz skóra na

twarzy i ramionach powiedziały mi, że wraz z nią znikła cała cela. Dostrzegłam przyćmione światło, ale nie był to blask świecy trzymanej przez kata stojącego w korytarzu, sączący się do wnętrza celi przez zakratowane okienko w drzwiach. Słabe, lecz wyraźne echo świadczyło o tym, że znalazłam się w pomieszczeniu większym niż sto takich cel. Wrażenie to potwierdzały moje czoło i policzki, które do tej pory bez przerwy sygnalizowały bliskość ścian i sufitu.

Wstałam, wygładziłam suknię, po czym ruszyłam przed siebie jak lunatyczka... Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem kroków, a potem odór stłoczonych ciał i stęchłe powietrze podpowiedziały mi, gdzie jestem. W przedpokoju! Przez chwilę nie mogłam zebrać myśli. Czyżby Autarcha polecił przenieść mnie tu, kiedy spałam? Czy inni powstrzymają bicze, kiedy mnie zobaczą? Drzwi! Prędko do drzwi!

Byłam tak bardzo zdezorientowana, że niewiele brakowało, a runęłabym jak długa, nie mogąc sobie poradzić z natłokiem myśli.

Załamalam rękę, ale nawet one były jakieś dziwne: lewa wydała mi się znacznie większa i silniejsza, a po chwili takie samo podejrzenie powzięłam wobec prawej.

Myśli Thecli spłynęły ze mnie jak sen czy też raczej poczęły błyskawicznie się kurczyć, aż wreszcie niemal zupełnie zniknęły, pozostawiając mnie samego.

Mimo to zdążyłem zapamiętać najważniejsze: usytuowanie tajnego przejścia, którym młodzi arystokraci przedostawali się nocą do przedpokoju z biczami skręconymi z miedzianych włókien. Mogłem uciec stąd już jutro lub nawet dzisiaj.

– Dokąd poszła ta pani? – odezwał się tuż przy mnie cienki głosik.

Była to ta sama dziewczynka o ciemnych włosach i wielkich oczach. Zapytałem ją, czy rzeczywiście widziała jakąś kobietę.

Wzięła mnie za rękę.

– Tak. Była bardzo wysoka. Strasznie się boję. Tutaj blisko jest okropna rzecz.

– Przecież ty nie boisz się okropnych rzeczy. Nie pamiętasz, jak śmiałaś się z zielonej twarzy?

– To jest coś innego. Zupełnie czarne i sapie w ciemności.

Mała ręka drżała spazmatycznie, a w głosie dziewczynki usłyszałem autentyczne przerażenie.

– Jak wyglądała ta kobieta?

– Nie wiem. Zauważyłam ją tylko dlatego, że była ciemniejsza od cieni, a poznałam, że jest kobietą, po tym, jak się poruszała. Kiedy tu podeszłam, byłeś zupełnie sam.

– Rozumiem, choć wątpię, czy ty kiedykolwiek będziesz mogła powiedzieć to samo – odparłem. – Teraz wracaj do matki i kładź się spać.

– To pełźnie wzdłuż ściany... – szepnęła, po czym cofnęła rękę i zniknęła, ale jestem pewien, że nie zastosowała się do mojego polecenia. Musiała śledzić Jonasa i mnie, gdyż po powrocie do Domu Absolutu widziałem ją już co najmniej dwa razy. Prawdopodobnie ukrywa się w ciemnych kątach, jedząc resztki ze stołów. (Możliwe, że wracała na posiłki do przedpokoju, ale teraz poleciłem, aby wszystkich, którzy byli tam przetrzymywani, uwolniono, mimo iż niektórych zapewne trzeba będzie siłą zmusić do opuszczenia tego miejsca. Kazałem także przyprowadzić do mnie Nicarete. Kiedy niedawno opisywałem, jak doszło do naszego uwięzienia, wszedł szambelan i poinformował mnie, że stara kobieta już jest i czeka na moje rozkazy).

Jonas leżał tam, gdzie go zostawiłem. Ponownie dostrzegłem w ciemności blask jego otwartych oczu.

– Twierdziłeś, że musisz stąd uciec, jeżeli chcesz pozostać przy zdrowych zmysłach – zwróciłem się do niego. – Chodźmy więc. Ten, kto wysłał za nami notule – kimkolwiek jest – postanowił skorzystać z innej broni. Wiem, jak można stąd wyjść.

On jednak się nie poruszył, musiałem więc chwycić go za ramię i podnieść z podłogi. Wiele spośród metalowych części tworzących jego ciało zapewne wykonano z białego, zdumiewająco lekkiego stopu, gdyż odniosłem wrażenie, że mój przyjaciel waży nie więcej niż mały chłopiec. Zarówno metal, jak i ciało były pokryte cienką warstwą jakiegoś lepkiego śluzu, a tuż przy ścianie moja stopa natrafiła na sporą kałużę tej samej substancji. Istota, przed którą dziewczynka mnie ostrzegała, minęła nas podczas naszej rozmowy, ale wyglądało na to, że nie zainteresowała się Jonasem.

Tajne drzwi, przez które wchodzili nasi nocni ciemnicy, znajdowały się całkiem niedaleko, prawie dokładnie naprzeciwko wejścia do przedpokoju. Jak niemal wszystkie tego rodzaju starodawne urządzenia, otwierało się je tajnym hasłem. Szepnąłem to hasło, one zaś stanęły otworem. Ruszyłem naprzód, ciągnąc za sobą nieszczęsnego Jonasa.

Zaraz za drzwiami zaczynały się wąskie, pokryte kurzem i zarośnięte

pajęczynami schody, prowadzące spiralnie w dół. Powietrze, choć stęchłe i nieruchome, miało zapach wolności. Mimo dręczącego mnie niepokoju odetchnąłem pełną piersią i niewiele brakowało, żebym roześmiał się na głos.

Na kolejnych podestach znajdowały się liczne drzwi, ale obawiałem się, że za nimi natrafimy na któregoś z mieszkańców Domu Absolutu, schody zaś wydawały się bezpieczne, gdyż były zupełnie puste. Zależało mi na tym, aby przed spotkaniem z kimkolwiek znaleźć się jak najdalej od wejścia do przedpokoju.

Pokonawszy około stu stopni, stanęliśmy przed drzwiami opatrzonymi szkarłatnym teratoidalnym znakiem, który wziąłem za glif jakiegoś języka sięgającego korzeniami daleko poza granice Urth. W tej samej chwili usłyszałem kroki. Drzwi były pozbawione klamki, ale naparłem na nie całym ciężarem ciała, a one, choć początkowo stawiały opór, bezszelestnie się otworzyły. Wślizgnąłem się do środka, pociągając za sobą Jonasa, drzwi zaś zamknęły się za nami, nadal nie czyniąc najmniejszego hałasu.

Komnata, w której się znaleźliśmy, była pogrążona w półmroku, ale w chwilę po naszym wejściu rozbłysło dość silne światło. Kiedy już upewniłem się, że jesteśmy sami, przyjrzałem się uważnie Jonasowi. Jego twarz nadal była zupełnie nieruchoma, tak jak wówczas, kiedy siedział oparty plecami o ścianę przedpokoju, ale nie była martwa. Przypominała raczej twarz człowieka, który lada chwila powinien przebudzić się z głębokiego snu. Po policzkach płynęły łzy, pozostawiając po sobie wilgotne ślady.

– Wiesz, kim jestem? – zapytałem, a on skinął w milczeniu głową. – Jonasie, muszę za wszelką cenę odzyskać Terminus Est. Uciekłem jak ostatni tchórz, ale teraz, kiedy miałem okazję się zastanowić, zrozumiałem, że muszę po niego wrócić. W pochwie jest ukryty list do archonta z Thraxu, a poza tym i tak nie mógłbym rozstać się z moim mieczem. Zrozumiem cię, jeśli będziesz chciał natychmiast stąd uciec. Nie jesteś ze mną w żaden sposób związany. – Odniosłem wrażenie, że nie usłyszał ani słowa z tego, co mówiłem.

– Wiem, gdzie jesteśmy... – szepnął, a następnie sztywno podniósł rękę i wskazał na coś, co wyglądało jak złożony parawan.

Uradowałem się, słysząc jego głos.

– W takim razie gdzie jesteśmy? – zapytałem głównie po to, aby ponownie się odezwał.

– Na Urth – odparł, po czym skierował się ku parawanowi. Jego

zewnątrzna lustrzana strona była inkrustowana diamentami i pokryta takimi samymi znakami jak ten, który zauważyłem na drzwiach. Jednak znaki te nie były nawet w połowie tak dziwne jak zachowanie mojego przyjaciela: niepokojąca sztywność kończyn, jaką nie tak dawno zaobserwowałem, zniknęła bez śladu, lecz mimo to nie mogłem powiedzieć, że znowu stał się tym samym Jonasem, którego znałem.

Dopiero wtedy zrozumiałem. Każdemu z nas zdarzyło się obserwować kogoś, kto stracił rękę, otrzymał zamiast niej protezę i musiał wykonać jakąś czynność wymagającą udziału obu rąk, sztucznej i prawdziwej. W przypadku Jonasa protezą była ręka z krwi i kości. Kiedy to pojąłem, zrozumiałem także to, co usłyszałem od niego wcześniej: że w wyniku katastrofy statku również jego twarz uległa zniszczeniu.

– Oczywiście... – wykrztusiłem. – Nie mogli naprawić ci oczu, prawda? Dlatego dali ci tę twarz. Czy on także zginął w wypadku?

Odwrócił się i spojrzał na mnie w taki sposób, iż stało się jasne, że zapomniał o mojej obecności.

– Był na Ziemi – odparł. – Zabiliśmy go przypadkiem, podchodząc do lądowania. Wykorzystałem jego oczy i krtań oraz kilka innych części.

– A więc dlatego mogłeś znieść towarzystwo kata. Jesteś maszyną.

– Wcale nie wydajesz się gorszy od innych ludzi. Pamiętaj, że w ciągu tych lat, jakie minęły, zanim cię spotkałem, stałem się jednym z was. To ja okazałem się gorszy od ciebie. Ty byś mnie nie opuścił, ale ja opuszczam ciebie. Wreszcie nadarzyła mi się okazja, której poszukiwałem, przemierzając wszystkie siedem kontynentów tej planety, ścigając hierodule i naprawiając prymitywne mechanizmy.

Pomyślałem o wszystkim, co spotkało mnie po zanieśieniu Thecli noża, i choć wiele z tego, co powiedział, było dla mnie niejasne, rzekłem:

– Idź więc, jeśli to twoja jedyna szansa. Życzę ci powodzenia. Jeżeli kiedykolwiek spotkam Jolentę, powiem jej tylko, jak bardzo ją kiedyś kochałeś.

Jonas potrząsnął głową.

– Naprawdę nic nie rozumiesz? Wrócę po nią, kiedy będę gotowy. Kiedy znowu stanę się sobą.

Następnie wszedł do środka kręgu wyznaczonego przez parawan, a nad jego głową zapłonęło jaskrawe światło.

Cóż za głupota nazywać je zwierciadłami! Mają z nimi tyle wspólnego, co dziecięcy balonik z sięgającym od horyzontu po horyzont firmamentem. Istotnie, odbijają światło, lecz nie wydaje mi się, aby

właśnie na tym polegało ich działanie. Tak naprawdę odbijają rzeczywistość, a raczej metafizyczne sedno ukryte pod powierzchnią materialnego świata.

Jonas zasunął za sobą parawan i przez czas, jaki jest potrzebny do zmówienia najkrótszej modlitwy, w powietrzu zatańczyła jakby płatanina drutów spowita obłokiem metalicznego świecącego pyłu, a potem wszystko zniknęło i zostałem sam.

rozdział 19

Szafy

Zostałem naprawdę sam po raz pierwszy od chwili, kiedy w wielkim, chylącym się ku upadkowi mieście wszedłem do pokoju w oberży i zobaczyłem wystające spod koca szerokie plecy Baldandersa. Potem był doktor Talos, następnie Agia, Dorcas i Jonas. Przypomniałem sobie, jak ich widziałem, kiedy prowadzono nas z Jonasem przez zagajnik kwitnących śliw. Towarzyszyli im ludzie z tresowanymi zwierzętami oraz inni artyści, zmierzający zapewne do tej części ogrodów, w której (jak często opowiadała mi Thecla), odbywają się pokazy i występy pod gołym niebem.

Zacząłem przeszukiwać pokój w nadziei, że znajdę swój miecz. Jednak nie było go tutaj, mnie zaś przyszła do głowy myśl, że w pobliżu przedpokoju – może nawet na tym samym poziomie – musi znajdować się magazyn rzeczy odebranych więźniom. Schody, którymi tu dotarłem, zaprowadziłyby mnie tylko z powrotem do przedpokoju, ale w komnacie ze zwierciadlanym parawanem odkryłem jeszcze jedne drzwi, za którymi zaczynał się pogrążony w półmroku korytarz o podłodze wyłożonej grubym dywanem i ścianach zawieszonych obrazami. Założyłem maskę i otuliłem się szczelnie płaszczem, przypuszczając, że choć pretorianie, którzy pojмали nas na skraju ogrodów Domu Absolutu, zdawali się nic nie wiedzieć o istnieniu katowskiej konfraterni, to osoby, na które mogę natrafić w samym Domu, nie będą aż takimi ignorantami.

Nikt mnie jednak nie zaczepił. Jakiś mężczyzna w pysznych kolorowych szatach usunął mi się pośpiesznie z drogi, a kilka pięknych kobiet obrzuciło mnie zaciekawionymi spojrzeniami. Poczulem, jak na widok tych ludzi ożywają na chwilę uśpione wspomnienia Thecli, lecz zanim zdążyły zupełnie się obudzić, dotarłem do kolejnych schodów. Nie były wąskie i kręte jak te, którymi wraz z Jonasem przedostałem się

z przedpokoju do komnaty z lustrzanym parawanem, lecz szerokie i rzęsiście oświetlone.

Wspinając się po nich, dotarłem do innego korytarza, lecz uznałem, że wciąż znajduję się poniżej przedpokoju, i ponownie ruszyłem w górę, kiedy nagle dostrzegłem zbiegającą po schodach młodą kobietę.

Nasze oczy się spotkały.

Jestem pewien, że w tej króciutkiej chwili przypomniała sobie, tak samo jak ja, że już kiedyś wymieniliśmy spojrzenia. Wciąż jeszcze brzmiały mi w uszach słowa, jakie wypowiedziała głosem podobnym do gruchania gołębic: „Moja najdroższa siostra”. Nie była to Thea, towarzyska Vodalusa, lecz kobieta niezwykle do niej podobna (i bez wątpienia posługująca się tym samym imieniem), którą kiedyś minąłem na schodach Lazurwego Pałacu. Tak jak teraz schodziła ze schodów, ja zaś szedłem na górę. Wyglądało na to, że na uroczystości ściągnięto do Domu Absolutu nie tylko artystów, ale także ładacznicę.

Poziom, na którym znajdował się przedpokój, odkryłem wyłącznie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, gdyż w pewnej chwili po prostu zorientowałem się, że jestem w tym samym miejscu, w którym stali halabardnicy, kiedy rozmawiałem z Nicarete przy srebrnym wózku. Tutaj groziło mi największe niebezpieczeństwo, ruszyłem więc naprzód, zachowując wszelkie środki ostrożności. W ścianie po prawej stronie ciągnął się szereg drzwi o rzeźbionych drewnianych futrynach. Kiedy przystanąłem, aby im się dokładniej przyjrzeć, przekonałem się, że musiały być zamknięte od wielu lat, gdyż szczeliny między skrzydłem a futryną tak bardzo zarosły kurzem, iż stały się zupełnie niewidoczne. Jedynymi drzwiami w przeciwległej ścianie były ogromne wrota z czarnego dębu, przez które zostaliśmy z Jonasem wciągnięci do środka. Dalej ujrzałem wejście do przedpokoju, za nim zaś szereg takich samych zamkniętych na głucho drzwi, za którymi zaczynały się kolejne schody. Wszystko wskazywało na to, że w ciągu stuleci przedpokój rozrósł się tak bardzo, iż teraz zajmował już cały poziom w tej części skrzydła Domu Absolutu.

Gdyby wówczas ktoś się pojawił, z pewnością nie odważyłbym się zatrzymać, ale ponieważ korytarz był pusty, oparłem się na chwilę o słupek podtrzymujący poręcz drugich schodów. Pamiętałem, że pilnowali mnie dwaj żołnierze, trzeci zaś niósł Terminus Est. Należało przypuszczać, że kiedy Jonas i ja byliśmy wpychani do przedpokoju, ów człowiek skierował się w stronę pomieszczenia, gdzie przechowywano broń odebraną więźniom. Niestety, straciłem go z oczu już wtedy, kiedy

schodziliśmy po stopniach wykutych w skale, i nawet nie miałem pewności, czy dotarł za nami na dno zagłębienia.

Zdesperowany, zawróciłem do wielkich czarnych drzwi i je otworzyłem. Do korytarza natychmiast wdarło się wilgotne powietrze, a omszałe gongi rozpoczęły swój koncert. Świat był pogrążony w ciemności. W trupim blasku fosforyzujących grzybów nie mogłem nawet dostrzec poszarpanych ścian studni, a o tym, gdzie się znajduje, świadczył jedynie widoczny w górze krąg usianego gwiazdami nieba.

Zamknąłem drzwi. Ledwo zdążyłem to uczynić, kiedy na schodach, którymi tutaj dotarłem, rozległy się czyjeś kroki. Nie miałem gdzie się schować, nie miałem też żadnych szans na to, żeby dobiec do drugich schodów. Po trwającym ułamek chwili namyśle zrezygnowałem z pomysłu, żeby wymknąć się dębowymi drzwiami, i postanowiłem pozostać tam, gdzie stałem.

Nowo przybyły okazał się pulchnym, mniej więcej pięćdziesięcioletnim mężczyzną odzianym w liberię. Nawet z tak dużej odległości bez trudu dostrzegłem, że pobladł na mój widok, a następnie podbiegł truchtem w moją stronę.

– Czy mogę w czymś waszej wielmożności pomóc? – zapytał, kłaniając się w pas już od połowy korytarza. – Jestem Odilo, kamerdyner. Widzę, że wielmożny pan wyrusza w poufnej sprawie... od Ojca Inire?

– Tak – odparłem. – Ale najpierw muszę odzyskać swój miecz.

Miałem nadzieję, że wie, gdzie ukryto Terminus Est i natychmiast mi go odda, ale on tylko wybałuszył na mnie oczy.

– Przyprawiono mnie tu pod eskortą i powiedziano, że muszę oddać miecz, który jednak zostanie mi zwrócony, abym mógł go wykorzystać podczas misji zleconej mi przez ojca Inire.

Pulchny człowieczek potrząsnął głową.

– Zapewniam cię, wielmożny panie, że zostałbym natychmiast poinformowany, gdyby któryś ze służących...

– Miecz zabrał pretorianin.

– Ach, powinienem był się domyślić. Ostatnio wszędzie ich pełno, ale nie sposób się z nimi dogadać. Uciekł nam więzień, jak zapewne wielmożny pan wie.

– O niczym nie wiem.

– Niejaki Beuzec. Podobno nie jest niebezpieczny, ale przyłapano go wraz z jeszcze jednym osobnikiem, kiedy ukrywał się w ogrodach. Tamtego pojmano, Beuzec zaś zdołał umknąć. Podobno wkrótce go

złapią, ale ja nie jestem tego taki pewien. Powiadam ci, wielmożny panie: mieszkam od urodzenia w Domu Absolutu, a i tak jeszcze nie zdążyłem poznać wszystkich jego zakamarków.

– Być może mój miecz jest w jednym z nich. Poszukasz go?

Mężczyzna cofnął się o krok, jakby spodziewał się, że go uderzę.

– Naturalnie, wasza wielmożność, naturalnie! Próbowałem tylko zabawić wielmożnego pana rozmową. Przypuszczam, że może tam być. Jeśli zechcesz pójść ze mną...

Ruszyliśmy ku odległym schodom, a kiedy tam dotarliśmy, zauważyłem, że w pośpiechu ominąłem jedne drzwi: znajdowały się pod schodami, były niskie, wąskie i pomalowane na biało, dzięki czemu prawie nie odróżniały się od białego kamienia.

Kamerdyner wyjął z kieszeni pęk kluczy i je otworzył. Trójkątne pomieszczenie okazało się znacznie większe, niż mogłbym przypuszczać. W jego tylnej części znajdowało się coś w rodzaju obszernej antresoli, na którą prowadziła rozklekotana drabina. Oświetlenie stanowiła taka sama lampa jak te, które wisiały w przedpokoju, tyle tylko, że ta dawała jeszcze mniej światła.

– Widzisz go, panie? – zapytał tłuścioch. – Zaczekaj, gdzieś tutaj powinna być świeca. Z tej lampy nie ma wielkiego pożytku, a w dodatku półki rzucają głęboki cień.

Właśnie się nimi zająłem. Były zavalone ubraniami, wśród których tu i ówdzie trafiała się para butów, kieszonkowy widelec, piórnik lub zapachowa kulka.

– Kiedy byłem mały, chłopcy pomagający w kuchni często otwierali zamek drutem i buszowali tu do woli. Teraz już tego nie robią, odkąd wstawiłem lepszy zamek, ale obawiam się, że wszystko, co wartościowe, dawno zniknęło.

– Co to za miejsce?

– Dawniej była tu szatnia dla petentów. Wiesz, panie: płaszcze, kapelusze, buty i tak dalej. Jak to zwykle bywa, nagromadziło się mnóstwo rzeczy szczęśliwców, którzy załatwili wszystko, co chcieli, i z radości zapomnieli czegoś zabrać. To skrzydło zawsze należało do Ojca Inire, przypuszczam więc, że było też sporo takich, którzy w ogóle od niego nie wyszli, oraz takich, którzy wyszli, choć nigdy nie wchodzili.

– Umilkł na chwilę i rozejrzał się dokoła. – Musiałem dać żołnierzom klucze, kiedy szukali tego Beuzeca, gdyż w przeciwnym razie wyważyliby drzwi. Przypuszczam, że mogli zostawić tutaj twój miecz, ale jeśli tego nie uczynili, to prawdopodobnie zabrali go do wartowni...

To chyba nie ten, jak przypuszczam? – zapytał, wyciągając z kąta zardzewiałą szablę.

– Raczej nie.

– Obawiam się, że nie ma tu innej broni. Wytłumaczę ci, wielmożny panie, jak trafić do wartowni, albo jeżeli wolisz, obudzę jednego z giermków i każę cię tam zaprowadzić.

Drabina prowadząca na antresolę niebezpiecznie trzeszczała, lecz nie zważając na to, wziąłem świecę od kamerdynera i wspiałem się po jej szczęblach. Wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby żołnierz tam właśnie położył Terminus Est, ale potrzebowałem kilku chwil spokoju, by zastanowić się nad tym, co powinienem teraz uczynić.

Wchodząc po drabinie, usłyszałem jakiś szelest. Pomyślałem, że to szczur lub inny szkodnik, ale gdy wystawiłem głowę ponad poziom podłogi, ujrzałem małego człowieka, którego wcześniej widziałem w towarzystwie Hethora; klęczał na zakurzonych deskach i wpatrywał się we mnie błagalnie. Rzecz jasna był to właśnie Beuzec. Skojarzyłem jego imię z twarzą dopiero wtedy, kiedy ją zobaczyłem.

– Coś tam jest, wasza wielmożność?

– Tylko stare szmaty. I szczury.

– Tak myślałem – stwierdził kamerdyner, kiedy zszedłem z drabiny. – Powinienem od czasu do czasu tam zaglądać, ale w moim wieku nie zaleca się wspinaczek po takich niepewnych drabinach. Czy sam udasz się do wartowni, wielmożny panie, czy mam posłać któregoś z chłopców?

– Pójdę sam.

Skinął z aprobatą głową.

– Tak chyba będzie najlepiej. Mogliby nie dać twojego miecza zwykłemu giermkowi albo nawet nie przyznać się, że w ogóle go mają. Jak zapewne wiesz, znajdujesz się teraz w Piwnicy Dobrych Uroków. Jeżeli nie chcesz być niepokojony przez patrole, wejdź na trzecie piętro tymi schodami, pod którymi teraz się znajdujemy, po czym skręć w lewo. Następnie idź przed siebie galerią, a po tysiącu kroków dotrzesz do odkrytego dziedzińca. W ciemności łatwo możesz go przeoczyć, rozglądaj się więc w poszukiwaniu roślin. Skręć w prawo, a po dwustu krokach dotrzesz do wartowni. Przed drzwiami zawsze stoi strażnik.

Podziękowałem mu i nie czekając, aż upora się z zamknięciem drzwi, pośpieszyłem schodami w górę, po czym skryłem się w korytarzu na pierwszym podeście i zaczekałem, aż mnie minie. Kiedy odgłos jego kroków ucichł, zszedłem z powrotem na poziom przedpokoju.

Wydawało mi się, że jeżeli mój miecz naprawdę znalazł się w jakiejś wartowni, to odzyskać go mógłbym jedynie podstępem lub siłą, a najpierw chciałem się upewnić, że nie ma go w miejscu, z którego można by go zabrać w prostszy sposób. Poza tym nie mogłem wykluczyć, że Beuzec widział Terminus Est podczas ucieczki, i chciałem go o to zapytać.

Jednocześnie myślałem, że więźniowie już odkryli tajne przejście, którym uciekliśmy wraz z Jonasem, i zaczęli wędrować po całym skrzydle Domu Absolutu, nie dawała mi spokoju. Lada chwila któryś z nich może zostać pojmany, a wówczas bez wątpienia rozpoczną się intensywne poszukiwania pozostałych uciekinierów.

Kiedy ponownie znalazłem się przy drzwiach pod schodami, przycisnąłem do nich ucho, mając nadzieję, że usłyszę poruszającego się Beuzeca, jednak ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Zawołałem go po cichu, a kiedy nie uzyskałem odpowiedzi, naparłem ramieniem na drzwi. Nawet nie drgnęły, ja zaś nie chciałem ich wyważać siłą z obawy, że spowoduję zbyt wiele hałasu. Udało mi się jednak wcisnąć miniaturowy sztylet, który otrzymałem od Vodalusa, w szczelinę przy zamku i odsunąć zatrzask.

Beuzec zniknął. Po krótkich poszukiwaniach odkryłem dziurę w tylnej ścianie pomieszczenia, prowadzącą do pustego wnętrza muru. Stąd właśnie wpełzł na antresolę, gdzie nareszcie mógł rozprostować kończyny, i tam ponownie się ukrył. Plotka głosi, że w takich jak ten zakamarkach Domu Absolutu mieszkają białe wilki, które trafiły tam przed wieloma laty z lasu. Być może Beuzec padł ofiarą któregoś z tych stworzeń, gdyż nigdy go już nie zobaczyłem.

Nie zdecydowałem się pójść za nim. Zamknąłem drzwi najlepiej jak potrafiłem, starając się ukryć uszkodzenie zamka. Dopiero wtedy moją uwagę zwróciła symetria korytarza: pośrodku wejście do przedpokoju, po obu stronach szeregi zamkniętych na głucho drzwi, na obu końcach schody. Jeśli właśnie to podziemie zostało przeznaczone specjalnie dla Ojca Inire (jak twierdził kamerdyner i co sugerowałaby nazwa tego miejsca), to chyba właśnie ze względu na swoją zwierciadlaną symetrię. Wynikało z tego, że pod drugimi schodami powinno znajdować się identyczne pomieszczenie.

rozdział 20

Obrazy

Należałoby się zastanowić, dlaczego Odilo mnie tam nie zaprowadził, ale nie traćcie czasu na rozmyślanie, tylko popędziłem korytarzem co sił w nogach. Kiedy dotarłem na miejsce, sprawa stała się jasna: te drzwi zostały już dawno temu wyłamane, i to z taką siłą, że pozostały z nich tylko dwa fragmenty desek wiszące przy zawiasach. Lampa naturalnie zgasła, oddając wewnątrz we władanie ciemności i pająkom.

Odwróciłem się i zdążyłem zrobić dwa kroki, po czym nagle zatrzymałem się, wiedziony tym niezwykłym przecuciem, które czasem podpowiada nam, że popełniliśmy błąd, na długo przed tym, zanim zdołamy sobie choć w ogólnych zarysach uświadomić, na czym ów błąd ma polegać. Jonas i ja trafiliśmy do przedpokoju późnym popołudniem. W nocy pojawili się młodzi arystokraci z biczami. Rano schwytano Hethora, a w tym samym czasie Beuzec wyrwał się pretorianom, którzy następnie dostali klucze od kamerdynera, by móc przeszukać całe skrzydło. Kiedy go spotkałem i powiedziałem, że jeden z pretorian zabrał mój miecz, Odilo uznał, że przybyłem do Domu Absolutu za dnia, już po ucieczce Beuzeca.

Tak jednak nie było, a tym samym żołnierz, który niósł Terminus Est, nie mógł go schować do zamkniętego pomieszczenia pod schodami.

Wróciłem do tego z wyłamanymi drzwiami. Przyćmione światło sączące się z korytarza pozwoliło mi dostrzec, że kiedyś znajdowały się tu rzędy półek, które następnie zniknęły, aby służyć jakiemuś innemu celowi, i pozostały tylko wsporniki sterczące bezużytecznie ze ścian. Nigdzie nie widziałem żadnego leżącego luzem przedmiotu, a poza tym było dla mnie jasne, że nikt nie miałby ochoty brnąć w grubej warstwie kurzu, wśród zwieszających się z sufitu pajęczyn. Może więc... Nawet nie wsuwając głowy do środka, sięgnąłem za futrynę i z trudną do opisan

radością poczułem, jak moja dłoń zaciska się na znajomej rękojeści.

Znowu stałem się całym człowiekiem, a raczej czymś więcej: czeladnikiem naszej konfraterni. Natychmiast sprawdziłem, czy w kieszonce przy pochwie tkwi list do archonta Thraxu, po czym wyciągnąłem lśniące ostrze, wytarłem je, naoliwiłem i znowu wytarłem, badając kciukiem jego krawędź. Teraz mogłem stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu.

Moim następnym celem było odszukanie Dorcas. Niestety, nic nie wiedziałem o miejscu pobytu trupy doktora Talosa, z wyjątkiem tego, że miała wystąpić podczas festynu w jednym z ogrodów. Gdybym teraz wyszedł w noc, otulony fuliginem, stałbym się prawie niewidzialny dla strażników, ale z pewnością nie znalazłbym żadnej pomocy, a po wschodzie słońca zostałem pojmany równie szybko jak wtedy, kiedy wraz z Jonasem przekroczyłem granicę terenów należących do Autarchy. Gdybym natomiast pozostał w Domu Absolutu, to – sądząc po przebiegu mojego spotkania z kamerdynerem – łatwo mógłbym uniknąć wszelkich podejrzeń, a może nawet spotkać kogoś, od kogo uzyskałbym jakieś informacje. Postanowiłem mówić każdemu, kto by o to zapytał, że zostałem zaproszony do udziału w uroczystościach (wydawało się całkiem prawdopodobne, iż podczas nich miała także odbyć się jakaś egzekucja), ale oddaliłem się od przydzielonej mi kwatery i zgubiłem drogę. W ten sposób może uda mi się poznać miejsce pobytu Dorcas i pozostałych.

Obmyślając szczegóły planu, wspinałem się po schodach. Na drugim podejście skręciłem w korytarz, którego uprzednio nie zauważyłem. Był znacznie dłuższy i piękniejszy niż ten wiodący do przedpokoju: na ścianach wisiały ciemne obrazy w złotych ramach, między nimi zaś na postumentach ustawiono urny, popiersia oraz różne inne nieznane mi przedmioty. Odległość między drzwiami wynosiła sto, a nawet więcej kroków, co świadczyło o wielkich rozmiarach ukrytych za nimi pomieszczeń. Wszystkie jednak były zamknięte, a kiedy naciskałem kolejno klamki, aby to sprawdzić, przekonałem się, że zostały wykonane z jakiegoś tajemniczego materiału i z całą pewnością nie z myślą o ludzkich dłoniach.

Kiedy przebyłem jakieś pół mili, ujrzałem z daleka człowieka siedzącego na wysokim stołku (a przynajmniej takie odniosłem wrażenie). Zbliżywszy się nieco, przekonałem się, że to, co wziąłem za stołek, jest drabiną o szerokich stopniach, a usadowiony na niej stary mężczyzna zajęty jest czyszczeniem jednego z obrazów.

– Przepraszam... – powiedziałem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Czy ja przypadkiem nie znam tego głosu?

Wówczas go rozpoznałem. Był to Rudesind, ów kurator, którego spotkałem dawno temu, gdy mistrz Gurloes wysłał mnie do biblioteki po książki dla kasztelanki Thecli.

– Kiedy niedawno się widzieliśmy, szukałeś Ultana. Znalazłeś go?

– Tak – odparłem – ale to wcale nie było niedawno. – Chyba go tym rozzłościłem.

– Przecież wiem, że nie dzisiaj! Pamiętam jednak pejzaż, nad którym pracowałem, nie mogło więc minąć zbyt wiele czasu.

– Ja też go pamiętam. Brązowa pustynia odbijająca się w złotej przyłbicy człowieka zakutego w zbroję.

Skinął głową, a jego gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił. Począł schodzić z drabiny, wciąż trzymając gąbkę w dłoni.

– Właśnie ten. Chcesz go zobaczyć? Wyszedł całkiem nieźle.

– Teraz jesteśmy w innym miejscu, mistrzu. Tamto było w Cytadeli, a tu jest Dom Absolutu.

Zignorował moją uwagę.

– Naprawdę nieźle... Musi gdzieś tu być. Ach, ci starzy artyści... Nikt nie może im dorównać, jeśli chodzi o precyzję rysunku, choć barwy już nieco wyblakły. Możesz mi wierzyć, gdyż znam się na sztuce. Widziałem wielu szlachciców, a nawet arystokratów, którzy przychodzili, stawali przed jakimś obrazem i wygadywali różne głupoty, mimo że nie mają o tym zielonego pojęcia. Kto oglądał z bliska każdy centymetr kwadratowy tych malowideł? – Uderzył się w pierś ręką, w której trzymał gąbkę, po czym nachylił się ku mnie i zniżył głos do szeptu, mimo iż w długim korytarzu byliśmy zupełnie sami. – Zdradzę ci tajemnicę, której nie zna nikt prócz mnie: jeden z nich przedstawia moją osobę!

Aby go nie zrazić, odparłem, że chętnie zobaczyłbym to dzieło.

– Szukam go, a kiedy znajdę, powiem ci, gdzie wisi. Oni nie mają o niczym pojęcia, ale ja właśnie dlatego bez przerwy je czyszczę. Mógłbym już dawno przejść na emeryturę, lecz nadal pracuję, najdłużej ze wszystkich – może z wyjątkiem Ultana, ale on o tym nie wie, bo nie może zobaczyć kalendarza!

Zaniósł się głośnym śmiechem.

– Pomyślałem sobie, że być może będziesz mógł mi pomóc. Niedawno przybyli tutaj artyści, którzy mają wystąpić podczas święta. Czy wiesz,

gdzie zostali ulokowani?

– Coś o tym słyszałem – odparł niezbyt pewnie. – Nazywają to Zielonym Pokojem.

– Możesz mnie tam zaprowadzić?

Potrząsnął głową.

– Nie ma tam żadnych obrazów, nigdy więc w nim nie byłem, choć istnieje obraz przedstawiający jego wnętrze. Chodź ze mną, to ci go pokażę.

Pociągnął mnie za płaszcz, a ja poszedłem za nim.

– Wolałbym raczej, abyś zaprowadził mnie do kogoś, kto zna drogę.

– Ja także mogę ci pomóc. Stary Ultan ma gdzieś w swojej bibliotece mapę. Jego chłopak ci ją znajdzie.

– To nie jest Cytadela – ponownie mu przypomniałem. – A w ogóle to skąd się tu wzięłeś? Sprowadzili cię, żebyś oczyścił te obrazy?

– Właśnie, właśnie... – Oparł się na moim ramieniu. – Nie zapominaj, że wszystko ma swoje logiczne wytłumaczenie. Widocznie o to właśnie chodziło. Ojciec Inire zażyczył sobie, bym doprowadził jego obrazy do porządku, więc oto jestem. – Umilkł na chwilę, zastanawiając się nad czymś. – Zaczekaj, coś tu jest nie tak. Powinienem chyba powiedzieć, że już jako chłopiec odznaczałem się wielkim talentem. Rodzice zachęcali mnie, a ja potrafiłem całymi godzinami nie robić nic innego, tylko rysować. Pamiętam, że kiedyś cały dzień wykonywałem szkice kredą na tylnej ścianie naszego domu.

Pociągnął mnie w lewo, wąskim korytarzem łączącym się pod kątem prostym z tym, którym do tej pory szliśmy. Mimo że gorzej oświetlony (właściwie był pograżony w półmroku) i tak ciasny, że nie było mowy o tym, aby stanąć w odpowiedniej odległości od obrazów, zawieszony był wielkimi płótnami. Niektóre z nich sięgały od podłogi do sufitu, a ich szerokość przekraczała rozpiętość moich ramion. Jednak sądząc po tym, co zdołałem dostrzec, z pewnością nie przedstawiały sobą większej wartości.

Zapytałem Rudesinda, kto mu kazał opowiedzieć mi o jego dzieciństwie.

– Ojciec Inire, ma się rozumieć – odparł, przechyliwszy nieco głowę na bok, by móc spojrzeć mi w twarz. – A ty myślałeś, że kto? – Ponownie ściszył głos. – Powiadają, że to już zdziecinniały staruszek. Był wezyrem na dworach wszystkich autarchów, którzy panowali po Ymarze. A teraz bądź cicho i pozwól mi mówić. Znajdę ci starego Ultana.

Pewnego dnia koło naszego domu przechodził prawdziwy artysta.

Matka, dumna z moich osiągnięć, pokazała mu kilka rysunków. Artystą tym był sam Fechin, a portret, który wówczas mi namalował, wisi tu po dziś dzień. Siedzę przy stole, na którym leżą pędzle i jedna mandarynka. Obiecał, że mi je da w zamian za pozowanie.

– Obawiam się, że teraz nie będę miał czasu, żeby mu się przyjrzeć.

– Ja także zostałem artystą, ale bardzo szybko zająłem się czyszczeniem i odnawianiem dzieł naprawdę wielkich mistrzów. Dwukrotnie czyściłem własny portret. Powiadam ci, to bardzo dziwne uczucie, kiedy obmywasz własną twarz sprzed wielu, wielu lat. Nieraz myślę sobie, jak by to było wspaniale, gdyby ktoś umył moją, zbierając gąbką osad czasu... Ale zdaje się, że chciałeś zobaczyć Zielony Pokój?

– Owszem – przytaknąłem gorliwie.

– Oto obraz przedstawiający jego wnętrze. Przyjrzyj mu się dobrze, żebyś go rozpoznał, kiedy już się w nim znajdziesz.

Wskazał mi jedno z wielkich malowideł. Wcale nie przedstawiało ono pokoju, tylko fragment ogrodu okolony wysokim żywopłotem, ze stawem pokrytym liliami, nad którym pochylały się potargane wiatrem wierzby. Jakiś człowiek w fantastycznym kostiumie Ilanero grał na gitarze, najwidoczniej jedynie dla własnej przyjemności. Niskie niebo zasnuwane było burzowymi chmurami.

– Potem możesz pójść do biblioteki, żeby zobaczyć mapę Ultana – powiedział starzec.

Malowidło należało do tych, które oglądane z bliska, rozpadają się na niezliczone kolorowe punkciki. Cofnąłem się o krok, aby spojrzeć na nie z odpowiedniej odległości, potem o jeszcze jeden, i jeszcze...

Po trzecim kroku zorientowałem się, że powinienem był oprzeć się plecami o ścianę korytarza, ale nic takiego nie nastąpiło. Znalazłem się wewnątrz obrazu, który tam wisiał: w ciemnym pokoju wyposażonym w staromodne krzesła o skórzanych obiciach i stoliki o blatach z mahoniem. Rozejrzałem się dokoła, a kiedy z powrotem odwróciłem się w stronę Rudesinda, stary kurator zniknął wraz z korytarzem, w którym przed chwilą z nim stałem. Miałem przed sobą ścianę pokrytą wiekową spłowiałą tapetą.

Odruchowo wyciągnąłem Terminus Est, lecz w pokoju nie było nikogo, kogo mógłbym uderzyć. Właśnie miałem zamiar podejść do jedynych drzwi, jakie dostrzegłem w pomieszczeniu, kiedy otworzyły się i do pokoju wkroczyła postać odziana w żółtą szatę. Krótkie siwe włosy były zaczesane do tyłu, a zaokrąglona twarz miała niemal kobiece rysy. Na szyi mężczyzny – gdyż był to mężczyzna – na delikatnym łańcuszku

wisiała znana mi już fiolka w kształcie fallusa.

– Ach – powiedział. – Zastanawiałem się, kto tu wszedł. Witaj, o Śmierci.

– Jestem czeladnik Severian z konfraterni katów – odparłem z największym spokojem, na jaki mogłem się zdobyć. – Znalazłem się tutaj bez udziału mojej woli i szczerze mówiąc, byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś zechciał mi wyjaśnić, jak właściwie do tego doszło. Kiedy stałem w korytarzu na zewnątrz, pokój ten wydawał się jedynie obrazem, lecz kiedy cofnąłem się o kilka kroków, aby móc lepiej zobaczyć ten, który wisiał na przeciwległej ścianie, wszedłem do tego pomieszczenia. Jaka sztuka mogła tego dokonać?

– Żadna – odpowiedział mężczyzna w żółtej szacie. – Nie wydaje mi się, żeby ukryte drzwi były czymś niezwykłym, a budowniczy tego pokoju znalazł jedynie znakomity sposób, żeby je zamaskować. Pokój jest bardzo płytki, co z pewnością zdążyłeś już zauważyć, a jeśli przyjrzyś się dokładniej, bez wątpienia dostrzeżesz, iż jest jeszcze płytszy, niż ci się wydaje, gdyż te ściany stykają się ze sobą i z sufitem pod kątem większym od prostego, a tamta jest dużo niższa od tej, przez którą wszedłeś.

– Rozumiem.

Rzeczywiście, teraz wszystko zrozumiałem. Kalekie pomieszczenie, które moje oczy, tak jak oczy każdego człowieka przywykłe do postrzegania wszystkiego w najprostszej możliwej postaci, wzięły początkowo za zupełnie zwyczajne, teraz objawiło mi się takim, jakim było naprawdę: z nachylonym trapezoidalnym sufitem i taką samą, tyle że biegnącą lekko w górę, podłogą. Krzesła okazały się tak wąskie, że z pewnością nikt nie zdołałby na nich usiąść, a stoły były szerokości pojedynczych desek.

– Oko łatwo poddaje się złudzeniom, dostrzegając głębie w dwuwymiarowych obrazach – ciągnął odziany na żółto mężczyzna. – Kiedy nagle napotyka prawdziwą trójwymiarową przestrzeń, umieszczoną w sąsiedztwie wielu obrazów, a w dodatku oświetloną w specjalny sposób, postrzega ją także jako obraz. Twoje pojawienie się tutaj z tym ogromnym mieczem sprawiło, że fałszywa ściana zamknęła się za tobą, aby zatrzymać cię tutaj do chwili, kiedy zostanie podjęta decyzja, co z tobą dalej począć. Chyba nie muszę ci mówić, że po jej drugiej stronie znajduje się obraz, który wydawało ci się, że widzisz.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był bardziej zdumiony.

– Ale skąd ten pokój wiedział, że wyciągnąłem miecz?

– Ta sprawa jest zbyt skomplikowana, żebym potrafił ci ją wyjaśnić. Mogę tylko powiedzieć, że wejście zostało oplecione metalowymi włóknami, które reagują natychmiast, jak tylko inne metale pojawiają się w tym pomieszczeniu.

– Czy to twoje dzieło?

– Och, skądże znowu. – Zatoczył ręką koło. – To, co tu widzisz, a także setki innych rzeczy, tworzą tak zwany Drugi Dom. Stanowią dzieło Ojca Inire, któremu pierwszy autarcha polecił stworzyć w murach Domu Absolutu jeszcze jeden, tajny pałac. Ty lub ja, mój synu, bez wątpienia zbudowalibyśmy zwykły apartament, którego pokoje połączone byłyby ze sobą ukrytymi przejściami, on natomiast doszedł do wniosku, że tajny pałac powinien być całkowicie tożsamy z ogólnie dostępnym.

– Ale ty nie jesteś Ojcem Inire – powiedziałem. – Teraz wiem, kim jesteś! Poznajesz mnie?

Uniosłem maskę, by mógł zobaczyć moją twarz. Uśmiechnął się.

– Przyszedłeś tylko raz. Domyślałem się, że nie znalazłeś tego, czego szukałeś.

– Tamta dziewczyna dała mi mniej niż kobieta, którą udawała, albo ja po prostu kochałem tamtą bardziej, niż przypuszczałem. Dzisiejszej nocy straciłem przyjaciela, natomiast bez przerwy spotykam starych znajomych. Czy mogę zapytać, w jaki sposób dotarłeś tutaj z Lazurowego Pałacu? Czyżbyś został wezwany z powodu święta? Zdaje mi się, że niedawno zauważyłem jedną z twoich kobiet.

Skinął głową. Pochylone lustro wiszące na ścianie dziwnego pokoju odbiło jego delikatny profil, a ja domyśliłem się, że ubrany na żółto mężczyzna jest androgynem. Ogarnęło mnie współczucie, a także poczułem bezsilność, kiedy wyobraziłem go sobie otwierającego co noc drzwi przed gośćmi w jego przybytku w Algedonie.

– Tak – powiedział. – Zostanę tutaj na czas trwania uroczystości, po czym odejdę.

Przypomniałem sobie obraz, który stary Rudesind pokazał mi w korytarzu.

– A więc możesz mi wskazać drogę do ogrodu.

Wyczułem, że nie bardzo wie, co odpowiedzieć. Niewykluczone, że po raz pierwszy od wielu lat. W jego spojrzeniu pojawił się ból, a lewa ręka nieznacznie drgnęła, jakby chciała dotknąć wiszącej na szyi fiolki.

– Słyszałeś o tym... – wymamrotał wreszcie. – Nawet gdybym znał drogę, dlaczego miałbym ci ją wskazać? Wielu pragnęłoby nią uciec, kiedy morska flota zbliży się do lądu.

rozdział 21

Hydromancja

Minęło kilka długich chwil, zanim znaczenie jego słów do mnie dotarło. Kiedy to się stało, poczułem wyraźną woń upieczonego ciała Thecli, i odniosłem wrażenie, że słyszę niespokojny szelest liści. Zapomniawszy na chwilę, jak niewiele warte są w tym dziwnym pomieszczeniu zwykle środki ostrożności, rozejrzałem się szybko dokoła, aby upewnić się, że nikt nas nie podsłuchuje, po czym stwierdziłem, że bezwiednie (gdyż przed przyznaniem się do związków z Vodalusem chciałem najpierw wybadać androgyna) wyjąłem z sakwy mały metalowy przedmiot w kształcie sztyletu.

Mój rozmówca się uśmiechnął.

– Podejrzewałem, że to możesz być ty. Oczekuję cię już od wielu dni, wydałem więc polecenie temu starcowi, a także wielu innym, by przyprawiali do mnie wszystkich obiecujących nieznanym.

– Zostałem uwięziony w przedpokoju – wyjaśniłem. – Dlatego przybywam tak późno.

– Ale zdołałeś uciec, jak widzę. Wątpię, czy zostałbyś uwolniony, gdyby mój człowiek się tam nie zjawił. Dobrze, że ci się udało, bo nie mamy wiele czasu. Święto potrwa trzy dni, a potem będę musiał odejść... Chodź, pokażę ci drogę do ogrodu, chociaż wcale nie jestem pewien, czy cię tam wpuszczą.

Otworzył drzwi, przez które wszedł do fałszywego pokoju, a ja dopiero teraz zauważyłem, że wcale nie są prostokątne. Sąsiednie pomieszczenie okazało się niewiele większe od tego, które opuściliśmy, ale przynajmniej było zupełnie normalne i bogato umeblowane.

– Dopiero teraz znalazłeś się we właściwym tajnym pałacu – poinformował mnie androgyn. – Ci, którym udaje się tu dotrzeć, zazwyczaj muszą pokonać bardzo długą i męczącą drogę. A teraz

wybacz mi na chwilę, gdyż muszę zapoznać się z wiadomością, którą przyniosłeś.

Podszedł do czegoś, co w pierwszej chwili wziąłem za zwykły stolik o szklanym blacie. Położył na nim metalowy przedmiot, który otrzymałem od Vodalusa, i niemal natychmiast nad stolikiem zapłonęło światło. Mimo że wyteżalem wzrok, nie byłem w stanie dostrzec jego źródła. Androgyn nasunął nad miniaturowy sztylet coś w rodzaju drugiego szklanego blatu i sztylet dosłownie zaczął rosnać w oczach. Kiedy był już rozmiarów krótkiego miecza, okazało się, że delikatne nacięcia na jego ostrzu tworzą połączone ze sobą litery.

– Cofnij się – powiedział człowiek w żółtej szacie. – Jeżeli nie przeczytałeś tego wcześniej, tym bardziej nie powinieneś uczynić tego teraz.

Postąpiłem zgodnie z poleceniem i przez dłuższą chwilę obserwowałem w milczeniu, jak pochyla się nad przedmiotem dostarczonym przeze mnie z kryjówki Vodalusa. Wreszcie wyprostował się i głęboko westchnął.

– A więc nie ma rady... Musimy prowadzić walkę na obu skrzydłach. Ale to nie twoja sprawa. Czy widzisz tę szafkę, na której drzwiczkach wyryto scenę przedstawiającą zaćmienie Słońca? Otwórz ją i wyjmij książkę, którą znajdziesz w środku. Możesz położyć ją na tym pulpicie.

Mimo że obawiałem się jakiegoś podstępu, zrobiłem to, o co mnie poprosił. W szafce znajdowała się tylko jedna ogromna księga – wysoka jak ja i szeroka na co najmniej dwa łokcie – oprawiona w marszczoną błękitnozieloną skórę. Wyglądała niemal jak zwłoki zaraz po otwarciu trumny. Schowałem miecz do pochwy, chwyciłem wielki tom obiema rękami i umieściłem go na pulpicie. Androgyn zapytał, czy już kiedyś widziałem tę księgę, a ja zgodnie z prawdą odparłem, że nie.

– Odniosłem wrażenie, że się jej przestraszyłeś, a niosąc ją, odwracasz od niej twarz. – Otworzył księgę, odsłaniając pierwszą stronę pokrytą czerwonym pismem, którego nie potrafiłem odczytać. – To ostrzeżenie dla tych, którzy pragną odnaleźć drogę – poinformował mnie. – Chcesz, abym ci je odczytał?

– Wydawało mi się, że widzę martwego człowieka o moich rysach twarzy – wyjąkałem.

Zamknął księgę i przesunął ręką po okładce.

– Tę skórę wyprawiali rzemieślnicy, których już dawno nie ma na świecie. Linie, które możesz dostrzec, jeśli wyteżysz wzrok, to blizny, które pozostawiły na grzbietach zwierząt uderzenia bicia. Nie musisz

tam iść, jeżeli się boisz.

– Otwórz ją – zażądałem. – Pokaż mi mapę.

– Nie ma żadnej mapy, tylko to – odparł i gwałtownym ruchem ponownie otworzył księgę, lecz tym razem nie na pierwszej stronie.

Na chwilę przestałem cokolwiek widzieć, tak jak to się dzieje ciemną nocą, kiedy oślepi nas blask błyskawicy. Karty księgi wydawały się zrobione z czystego, wypolerowanego do granic możliwości srebra, które wychwytywało każdy, nawet najmniejszy promień światła i tysiąckrotnie go wzmacniało.

– Zwierciadła – powiedziałem, ale już w następnej chwili pojąłem, że nie mam racji i że są to te same przedmioty, dla których nie znamy lepszego określenia niż „zwierciadła” i które niecałą wachtę temu umożliwiły Jonasowi powrót między gwiazdy. – Skąd biorą moc, skoro nie są ustawione dokładnie naprzeciwko siebie?

– Weź pod uwagę fakt, że długo znajdowały się w takiej właśnie pozycji, kiedy księga była zamknięta. Pole jest na tyle silne, że będzie mogło utrzymać się przez jakiś czas. Idź, jeśli masz odwagę.

Nie miałem. Wpatrując się w rozświetlone powietrze nad kartami księgi, dostrzegłem tam przedziwną istotę stanowiącą połączenie kobiety z motylem. Tak jak obserwując górę uwidocznioną w tle jakiegoś obrazu, doskonale wiemy, iż w rzeczywistości jest ona ogromna jak wyspa, tak i ja natychmiast zrozumiałem, że oglądam tę istotę z wielkiej odległości. Jej skrzydła chłostały protonowy wiatr kosmosu, cała Urth zaś mogła być zaledwie jednym z niezliczonych pyłków wprowadzonych w ruch ich uderzeniami. Nagle ona także mnie zobaczyła, tak jak niedawno androgyn zobaczył powiększone pismo na przesłanym przez Vodalusa przedmiocie, odwróciła się w moją stronę i rozpostarła szeroko skrzydła, abym mógł im się dobrze przyjrzeć. Były na nich namalowane oczy.

Androgyn zatrzasnął z hukiem księgę, jakby to były drzwi.

– Co zobaczyłeś? – zapytał.

Poczułem ogromną ulgę, że nie muszę już patrzeć na karty przerażającej księgi.

– Dziękuję ci, sieur. Kimkolwiek jesteś, od tej pory masz we mnie oddanego sługę.

Skinął głową.

– Kto wie, może kiedyś ci o tym przypomnę? Ale na pewno nie zapytam powtórnie, co tam widziałeś. Masz, otrzyj sobie czoło.

Wręczył mi czystą chustkę, a ja przesunąłem nią po czole, gdyż

wyraźnie czułem, jak ściekają po nim krople potu. Kiedy spojrzałem na chustkę, przekonałem się, że jest zbroczona krwią.

– Nie jesteś ranny – powiedział, jakby czytając w moich myślach. – Lekarze nazywają to chyba „krwawym potem”. Zdarza się, że pod wpływem silnego stresu małe naczynia krwionośne pękają i krew wypływa przez pory skóry. Obawiam się, że zostanie ci paskudny siniec.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałem. – Myślałem, że pokażesz mi mapę. Chcę tylko znaleźć Zielony Pokój, gdzie według starego Rudesinda zakwaterowano artystów. Czy w wiadomości od Vodalusa było polecenie, że masz zabić tego, kto ci ją dostarczy?

Sięgnąłem do miecza, ale kiedy zacisnąłem dłoń na jego rękojeści, przekonałem się, że jestem zbyt słaby, aby go wyciągnąć.

Androgyn roześmiał się. Początkowo jego śmiech był nawet dość przyjemny dla ucha, jakby kobiecy, a może raczej chłopięcy, lecz wkrótce potem zmienił się w skrzeczący chichot. Na ten dźwięk wspomnienia Thecli poruszyły się we mnie tak gwałtownie, iż przestraszyłem się, że zaraz się obudzą.

– A więc tylko tego pragniesz? – zapytał, kiedy udało mu się zapanować nad wybuchem wesołości. – Poprosiłeś mnie, żebym użył ci ognia, abyś mógł zapalić świecę, ja zaś dałem ci całe słońce, w którego blasku boleśnie się poparzyłeś. To moja wina. Być może chciałem zyskać na czasie, choć i tak nie pozwoliłbym ci zapuścić się aż tak daleko, gdybym nie dowiedział się od Vodalusa, że masz w posiadaniu Pazur Łagodziciela. Teraz jest mi naprawdę przykro, lecz nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Dokąd pójdziesz, Severianie, kiedy już odnajdziesz Zielony Pokój?

– Tam, dokąd mnie pošlesz. Jak dobrze wiesz, przysiągłem wierność Vodalusowi.

(W rzeczywistości bałem się go i nie chciałem, aby androgyn doniósł mu o moim nieposłuszeństwie).

– A jeżeli nie mam dla ciebie żadnych poleceń? Czy pozbyłeś się już Pazura?

– Nie miałem okazji.

Nic na to nie odrzekł.

– Udam się do Thraxu – podjąłem. – Mam list do tamtejszego archonta. Podobno może znaleźć dla mnie jakieś zatrudnienie. Chciałbym tam dotrzeć, choćby ze względu na honor mojej konfraterni.

– Znakomicie. Powiedz mi, ale szczerze: jak bardzo kochasz Vodalusa?

Znowu wyczułem w dłoniach stylisko topora. Słyszałem, że wspomnienia z czasem nikną, moje zaś nawet nie blakną. Poczułem na twarzy liźnięcia mgły, która tamtej nocy spowijała nekropolię, powróciły też doznania, jakie stały się moim udziałem, gdy otrzymałem od Vodalusa złotą monetę, a potem patrzyłem, jak odchodzi tam, gdzie nie mogłem za nim podążyć.

– Ocaliłem mu kiedyś życie.

– W takim razie oto, co uczynisz: udasz się do Thraxu, tak jak planowałeś, wmawiając wszystkim – w tym także sobie – że pragniesz objąć urząd, który tam na ciebie czeka. Czy zdajesz sobie sprawę, że z posiadaniem Pazura wiąże się poważne ryzyko?

– Owszem. Vodalus ostrzegł mnie, iż gdyby wyszło na jaw, że klejnot znajduje się w naszych rękach, moglibyśmy utracić poparcie ludności.

Androgyn milczał przez chwilę, a następnie powiedział:

– Peleryny przebywają obecnie na północy. Powinieneś zwrócić im Pazur, jeśli tylko nadarzy się okazja.

– To właśnie mam nadzieję uczynić.

– Znakomicie. Musisz zrobić jeszcze jedną rzecz: Autarcha jest teraz tu, w Domu Absolutu, ale na długo przed twoim przybyciem do Thraxu on także znajdzie się na północy razem ze swoim wojskiem. Jeśli zjawi się w pobliżu miasta, będziesz musiał obmyślić jakiś sposób, aby dostać się do niego i odebrać mu życie.

Zdradził go ton jego głosu. Chciałem paść na kolana, ale on klasnął w dłonie i do pokoju wślizgnął się mały, zgarbiony człowieczek w habicie, z kapturem naciągniętym na głowę. Autarcha przemówił do niego, lecz byłem tak oszołomiony, że nic nie rozumiałem.

Na całym świecie niewiele jest chyba widoków piękniejszych niż ten, jaki można ujrzeć o świcie, kiedy promienie wschodzącego słońca padają na tysiące wodnych sztyletów wystrzelających z Fontanny Wróżb. Z pewnością nie można nazwać mnie estetą, ale kiedy go ujrzałem, podziałał na mnie jak uzdrawiający balsam. Do tej pory lubię wspominać chwilę, kiedy po wielomilowym marszu tajnymi korytarzami Drugiego Domu zakapturzony służący otworzył przede mną drzwi, a ja ujrzałem srebrzyste strumienie wypisujące tajemnicze słowa na słonecznym dysku.

– Prosto przed siebie – wymamrotała zgarbiona postać. – Idź ścieżką

aż do Bramy Drzew. Wśród aktorów będziesz zupełnie bezpieczny.

Drzwi zatrzasnęły się za mną, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem tylko gładkie zbocze porośniętego trawą pagórka.

Niezbyt pewnym krokiem ruszyłem w kierunku fontanny i wkrótce znalazłem się wśród odświeżających strumieni wody. Długo stałem bez ruchu, usiłując odczytać swoją przyszłość wśród roztańczonych kształtów, a następnie począłem grzebać w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym złożyć w ofierze. Pretorianie zabrali mi wszystkie pieniądze, ale przetrząsając zawartość sakwy (składały się na nią: kawałek flaneli, osełka, buteleczka oliwy do smarowania miecza, grzebień oraz książka w brązowej okładce), dostrzegłem monetę, która utknęła na sztorc między kamiennymi płytami tworzącymi ścieżkę. Kiedy ją stamtąd wydobyłem, okazało się, że to asimi, tak bardzo już wytarte, że jedynie z najwyższym trudem dało się rozpoznać wytłoczony na nim wizerunek. Wypowiedziawszy szeptem życzenie, cisnąłem je w sam środek fontanny. Strumień wody porwał pieniążek i uniósł go wysoko, gdzie na chwilę nieruchomo zawisł, lśniąc w promieniach słońca. Potem spadł, a ja zająłem się odczytywaniem kształtów rysowanych przez wodę na tle nieba.

Miecz. To akurat było bardzo proste: dalej będę wykonywał katowskie rzemiosło.

Róża, a pod nią rzeka. Będę kontynuował wędrówkę w górę Gyoll, gdyż tamtędy właśnie wiedzie droga do Thraxu.

Wzburzone fale, ustępujące powoli miejsca łagodnie falującej powierzchni. Morze? Ale przecież nie sposób dotrzeć do morza, posuwając się w górę rzeki.

Następnie pojawiły się berło, tron i mnóstwo wież. Zwątpiłem w prorocze zdolności fontanny, ale kiedy odwracałem się od niej, w ostatniej chwili zobaczyłem jeszcze szybko rosnącą wieloramienną gwiazdę.

Od chwili powrotu do Domu Absolutu dwukrotnie odwiedziłem Fontannę Wróżb. Raz zjawiłem się o świcie, idąc tą samą drogą, którą przyszedłem tu podczas mojej pierwszej wizyty, ale nie odważyłem się zadać jej żadnych pytań.

Służący, którzy jak jeden mąż przyznają się, że często rzucają do niej orichalki, kiedy ostatni goście opuszczą już ogrody, równie jednomyślnie

twierdzą, jakoby wróżby, które otrzymali, nigdy się nie spełniły. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, gdyż mam jeszcze świeżo w pamięci zielonego człowieka, odstraszonego gapiów przepowiedniami dotyczącymi ich przyszłości. Czy nie może być tak, że moi słudzy, widząc nieciekawą los, jaki ich czeka, po prostu nie chcą przyjąć tego do wiadomości? Pytałem także ministrów, którzy bez wątpienia rzucają chrisos całymi garściami, lecz uzyskałem mętne i wykrętne odpowiedzi.

Bardzo trudno mi było odwrócić się plecami do fontanny oraz jej kuszących, choć tajemniczych przepowiedni i ruszyć w stronę starego słońca. Pojawiło się już w całej okazałości nad horyzontem, ogromne i czerwone niczym twarz olbrzyma. Czarne sylwetki topoli przywiodły mi na pamięć posąg Nocy wznoszący się na szczycie kurhanu na zachodnim brzegu Gyoll, który tak często oglądałem rysujący się wyraźnie na tle zniżającego się ku horyzontowi słońca, kiedy wracaliśmy do Cytadeli z naszych pływackich eskapad.

Nie zdając sobie sprawy, że znajduję się niemal w samym sercu Domu Absolutu, a tym samym daleko od patroli strzegących jego obrzeży, lękałem się, iż lada chwila zostanę zatrzymany i ponownie odprowadzony do przedpokoju, skąd nie byłoby ucieczki, gdyż tajne przejście już z całą pewnością zostało odkryte i zabezpieczone. Nic takiego jednak nie nastąpiło. O ile mogłem stwierdzić, byłem jedyną osobą, która poruszała się na ogromnym obszarze porośniętym aksamitną trawą i starannie przystrzyżonymi żywopłotami, wśród których pyszniły się różnobarwne trawy i płynęły szemrzące strumyki. Nad ścieżką zwieszały się kielichy znacznie wyższych ode mnie lili, a ich rozgwieżdżone twarze były pokryte świeżą, nienaruszoną rosą. Dokoła śpiewały słowiki – jedne na wolności, inne zamknięte w złotych klatkach zawieszonych na gałęziach drzew.

W pewnej chwili dostrzegłem jeden z poruszających się posągów i na mgnienie oka ogarnęło mnie dobrze już znane przerażenie. Przemieszczał się przez wypielęgnowany trawnik jak olbrzymi człowiek (choć wątpię, czy istoty te mają cokolwiek wspólnego z ludźmi), stąpając w rytmie niesłyszalnej muzyki. Przyznaję, iż ukryłem się w głębokim cieniu i zaczekałem, aż mnie minie, zastanawiając się z niepokojem, czy wie o mojej obecności i czy przykłada do niej jakąkolwiek wagę.

Bramę Drzew ujrzałem wtedy, kiedy już niemal straciłem nadzieję, że kiedykolwiek ją odnajdę. Nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi. Zwykli ogrodnicy przycinają gałęzie krzewów, nadając im pożądany kształt, natomiast ogrodnicy z Domu Absolutu, mając do dyspozycji

tylekroć więcej czasu, cierpliwie kierowali wzrostem gałęzi dębów, aż wreszcie każda z nich zaczęła spełniać rolę starannie zaplanowanego architektonicznego detalu. Stąpając po pokrytych ziemią dachach największego pałacu na Urth, zobaczyłem nagle po prawej stronie ogromną zieloną bramę, zbudowaną z żywych drzew równie starannie i dokładnie jak z cegły i kamienia.

Pobiegłem w jej stronę.

rozdział 22

Personifikacje

Zaraz za wysoko sklepionym łukiem Bramy Drzew znalazłem się na rozległej trawiastej równinie upstrzonej różnokolorowymi namiotami. Niezmaconą ciszę przerwał donośny ryk megathera oraz grzechotanie łańcucha, którym zwierzę było skute. Przez długą chwilę stałem bez ruchu, czekając, aż bestia uspokoi się i ponownie zapadnie w głęboki, podobny do śmierci sen. Kiedy to nastąpiło, słyszałem już tylko szmer rosy spływającej z liści i wesoły świergot ptaków.

Nastawiwszy ucha, wyłowiłem jeszcze jeden dźwięk, coś jakby powtarzający się w nieregularnych odstępach świst zakończony słabym uderzeniem. Ponieważ, jak mi się wydawało, dobiegał z bardzo daleka, ruszyłem w tamtą stronę ścieżką wiodącą między namiotami, lecz okazało się, iż błędnie oszacowałem odległość, gdyż doktor Talos dostrzegł mnie, nim ja jego zobaczyłem.

– Mój przyjacielu! Mój współniku! Wszyscy jeszcze śpią, Dorcas i cała reszta... Tutaj, tutaj!

Świst wydawała jego laska, którą ścinał łebki kwiatów.

– Zjawiasz się w samą porę. W samą porę! Dziś wieczorem wystawiamy nasze przedstawienie i gdybyś nie przybył, musiałbym wynająć kogoś, żeby cię zastąpił. Ogromnie się cieszę, że cię widzę! Jestem ci jeszcze winien trochę pieniędzy, pamiętasz? Nie ma tego wiele, a mówiąc między nami, podejrzewam, że znaczna część jest fałszywa, niemniej jednak dług pozostaje długiem, a ja zawsze zwracam swoje długi.

– Nie przypominam sobie tego, więc istotnie nie może to być duża suma – odparłem. – Chętnie z niej zrezygnuję, jeśli przekonam się, że Dorcas jest cała i zdrowa, a ty dasz mi coś do zjedzenia i wskażesz miejsce, gdzie mógłbym się trochę przespać.

Ostro zakończony nos doktora opadł na chwilę, aby wyrazić żal.

– Spać możesz dopóty, dopóki nie obudzi cię harmider, natomiast obawiam się, że nie mamy nic do jedzenia. Jak wiesz, Baldanders ma wilczy apetyt. Co prawda marszałek uroczystości obiecał nam coś dostarczyć, lecz wątpię, żeby nastąpiło to wcześniej niż przed samym południem.

– Nie szkodzi. I tak jestem zbyt zmęczony, żeby ucztować, ale gdybyś zechciał wskazać mi jakieś posłanie...

– Co ci się stało w głowę? Zresztą nieważne, pokryjemy to pudrem. Tędy!

Ruszyłem za nim przez labirynt namiotowych linek w kierunku płóciennej kopuły w kształcie kielicha heliotropu. Przed wejściem dostrzegłem wózek Baldandersa i wreszcie uwierzyłem, że udało mi się odnaleźć moją Dorcas.

Kiedy się obudziłem, poczułem się tak, jakbyśmy nigdy się nie rozstawali. Delikatna uroda Dorcas była taka sama jak przedtem. Co prawda Jolenta jak zwykle przyćmiewała ją swoim blaskiem, lecz miało to tylko taki skutek, że pragnąłem, aby jak najprędzej zostawiła nas samych, abym mógł bez przeszkód rozkoszować się pięknem swojej ukochanej. Mniej więcej wachnę po tym, jak wszyscy się obudziliśmy, wziąłem olbrzyma na stronę i zapytałem, dlaczego zostawił mnie samego w lesie za Bramą Skruchy.

– Nie byłem z tobą, tylko z doktorem – odparł po namyśle.

– Ja także. Mogliśmy szukać go wspólnie, służąc sobie nawzajem pomocą.

Tym razem wahanie trwało jeszcze dłużej. Czując na twarzy jego tępe spojrzenie, pomyślałem, że dobrze się stało, iż olbrzym nie ma w sobie dość energii i ochoty, żeby się rozgniewać.

– A więc byłeś z nami, kiedy wyszliśmy z miasta? – zapytał wreszcie.

– Oczywiście. Tak samo jak Dorcas i Jolenta.

Znowu się zawahał.

– Czyli jednak cię odnaleźliśmy.

– Nie pamiętasz?

Pokręcił powoli głową, a ja zauważyłem ze zdumieniem, że w jego gęstych czarnych włosach pojawiły się już nitki siwizny.

– Któregoś ranka obudziłem się, a ty byłeś obok mnie. Szybko odszedłeś.

– To co innego. Wtedy umówiliśmy się na spotkanie.

(Poczułem wyrzuty sumienia, gdyż dokładnie pamiętałem, że nie

miałem najmniejszego zamiaru dochować umowy).

– I spotkaliśmy się – stwierdził Baldanders, po czym dodał, zauważwszy zapewne, że mnie ta odpowiedź nie satysfakcjonuje: – Dla mnie istnieje tylko doktor Talos.

– Twoja lojalność jest godna podziwu, ale może zauważyłeś, że zależało mu na mojej obecności co najmniej tak samo jak na twojej.

Stwierdziłem, że nie potrafię gniewać się na tego potulnego, łagodnego olbrzyma.

– Zbierzemy pieniądze tutaj, na południu, a potem zaczniemy budować tak jak przedtem, kiedy wszyscy zapomnieli, jak to się robi.

– Teraz jesteśmy na północy. Prawda, przecież wasz dom został zniszczony.

– Spalony – poprawił mnie Baldanders. Wydawało mi się, że w jego oczach widzę szalejące płomienie. – Przykro mi, jeśli ciebie także spotkało nieszczęście. Od dawna myślałem tylko o zamku i mojej pracy.

Zostawiłem go siedzącego na trawie, sam zaś poszedłem zrobić przegląd wyposażenia naszego małego teatru – bynajmniej nie dlatego, żeby to było potrzebne ani żebym potrafił dostrzec jakieś braki oprócz tych, które każdemu od razu rzuciłyby się w oczy. Wokół Jolenty zgromadziło się sporo artystów. Doktor Talos odegnał ich, po czym kazał dziewczynie wejść z nim do namiotu. Usłyszałem odgłos uderzenia, a po chwili doktor wyłonił się z namiotu uśmiechnięty, choć wciąż jeszcze rozgniewany.

– To nie jej wina, że tak wygląda – powiedziałem.

– Zanadto się tym pyszni. Wiesz, Severianie, co mi się w tobie podoba? To, że wolisz Dorcas. Właśnie, gdzie ona się podziała? Widziałeś ją po swoim powrocie?

– Ostrzegam pana, doktorze: proszę jej nie bić.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Po prostu nie chcę, żeby się zgubiła.

Po wyrazie jego twarzy poznałem, że mówi prawdę.

– Rozmawialiśmy tylko przez chwilę, a teraz poszła po wodę.

– Dzielna dziewczyna – stwierdził, a widząc moje zdziwione spojrzenie, wyjaśnił: – Ona boi się wody. Z pewnością to zauważyłeś. Jest bardzo czysta, ale myjąc się, nie napełnia miski nawet w jednej piątej, a kiedy przechodzimy przez most, ściska Jolentę za rękę i drży na całym ciele.

Właśnie wtedy wróciła Dorcas z dwoma wiadrami wody i nawet jeśli doktor coś jeszcze mówił, to nie usłyszałem z tego ani słowa. Kiedy

zobaczyliśmy się rano, zdążyliśmy tylko wymienić uśmiechy i dotknąć się przelotnie z niedowierzaniem. Teraz postawiła wiadra na ziemi i podeszła do mnie, pozerając mnie wzrokiem.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała. – Bez ciebie byłam bardzo samotna.

Roześmiałem się na myśl, że ktokolwiek mógłby za mną tęsknić, i uniosłem skraj fuliginowego płaszcza.

– Tego ci brakowało?

– Myślisz o śmierci? Czy brakowało mi śmierci? Nie, brakowało mi ciebie. – Złapała mnie za poję płaszcza i pociągnęła w kierunku szpaleru topól tworzących jedną ze ścian Zielonego Pokoju. – Znalazłam ławkę tam, gdzie rosną zioła. Chodź i posiedź ze mną chwilę. Po tylu dniach pozwolą nam chyba pobyc trochę razem, a Jolenta sama znajdzie wodę, którą jej przyniosłam.

Jak tylko oddaliliśmy się trochę od skupiska namiotów, żonglerów podrzucających noże i akrobatów czyniących to samo z dziećmi, spowiła nas nieprzenikniona cisza ogrodów. Nigdzie chyba nie ma równie wielkiego obszaru zaplanowanego i utrzymywanego wyłącznie z myślą o pięknie, może z wyjątkiem dzikich i niedostępnych ogrodów Prastwórcy, który wysłała tam niewidzialnych dla nas ogrodników. Przcisnęliśmy się wąskim przejściem między dwoma żywopłotami i znaleźliśmy się w niewielkim zagajniku, którego drzewa obsypane były białymi aromatycznymi kwiatami. Były to takie same drzewa jak te, przez które ciągnięto mnie i Jonasa, choć tamte posadzono chyba z myślą o przyozdobieniu, te zaś raczej dla ich owoców. Dorcas urwała gałązkę z kilkoma kwiatami i wpięła ją sobie we włosy.

Z zagajnikiem sąsiedował ogród tak stary, że byłem niemal pewien, iż zapomnieli o nim wszyscy z wyjątkiem pielęgnujących go służących. W oparciu kamiennej ławki wyrzeźbiono niegdyś jakieś głowy, lecz niszczące działanie czasu uczyniło je niemal bezkształtnymi. Tuż obok na kilku rabatach rosły kwiaty, między nimi zaś w czarnej żyznej ziemi wonne zioła – rozmaryn, dzięgiel, mięta, bazylija i ruta.

Płynął tu też niewielki strumyk, z którego zapewne Dorcas czerpała wodę. Wy pływał z czegoś, co dawno temu było fontanną, teraz zaś wyglądało jak wielka przechylona na bok misa, z której woda wylewała się cienką strużką, dostarczając okolicznym roślinom życiodajnej wilgoci. Usiedliśmy na kamiennej ławce. Oparłem o nią miecz, Dorcas zaś zacisnęła dłonie na moich rękach.

– Boję się, Severianie. Dręcą mnie okropne sny.

– Odkąd mnie nie ma?

– Od zawsze.

– Po tym, jak spaliśmy obok siebie na polu, powiedziałaś mi, że miałaś dobry sen, pełen tak wielu szczegółów, że prawie nie do odróżnienia od rzeczywistości.

– Nawet jeśli tak było, to już o nim zapomniałam.

Zauważyłem, że Dorcas stara się nie patrzeć na wodę wypływającą ze zniszczonej fontanny.

– Co noc mi się śni, że idę ulicą pełną sklepów. Jestem szczęśliwa, a przynajmniej zadowolona. Mam pieniądze, które mogę wydać, i wiem, co chciałabym kupić. Bez przerwy powtarzam w pamięci listę zakupów, zastanawiając się, gdzie dostanę najlepszy towar po najniższej cenie.

Stopniowo jednak zaczynam zdawać sobie sprawę, że wszyscy dookoła nienawidzą mnie i gardzą mną, ponieważ w ich oczach jestem złym duchem w przebraniu kobiety. Wreszcie decyduję się wejść do małego sklepiku prowadzonego przez parę staruszków. Ona siedzi na krześle zajęta haftowaniem, on zaś rozkłada przede mną na ladzie towary. Słyszę za plecami szelest nici przeciąganej przez materiał.

– Co chcesz u nich kupić? – zapytałem.

– Ubranka. – Dorcas rozsunęła dłonie na jakieś pół piędzi. – Chyba dla lalek. Najlepiej pamiętam małe koszulki z delikatnej wełny. Kiedy wybieram jedną i chcę starcowi zapłacić, okazuje się, że zamiast pieniędzy mam tylko grudki cuchnącego błota.

Mam ochotę krzyknąć, że nie jestem złym duchem, za jakiego mnie uważają, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że cokolwiek zrobię, zostanie uznane za ostateczny dowód mojej winy, słowa więzną mi więc w gardle. Najgorsze jest to, że właśnie wtedy przestaję słyszeć szelest nici. – Ponownie chwyciła mnie za rękę i ścisnęła z całej siły, jakby w ten sposób pragnęła dodać wagi swoim słowom. – Wiem, że nikt, kto nie miał takiego snu, nie będzie w stanie mnie zrozumieć, ale to jest okropne. Okropne.

– Może teraz, kiedy jestem z tobą, te sny się skończą...

– A potem znowu zasypiam albo przynajmniej osuwam się w ciemność. Jeśli wówczas się nie obudzę, zjawia się drugi sen. Siedzę w łodzi płynącej przez upiorne jezioro...

– Przynajmniej w tym nie ma żadnej tajemnicy – przerwałem jej. – Płynęłaś taką łodzią z Agią i ze mną. Należała do człowieka imieniem Hildegrin. Z pewnością pamiętasz tę podróż.

Dorcas potrząsnęła głową.

– To inna łódź, znacznie mniejsza od tamtej. Kieruje nią stary człowiek z długim kijem, a ja leżę u jego stóp. Moje ramiona sięgają aż do czarnej wody. Niemal przy samym brzegu wypadam z łodzi, ale starzec tego nie widzi. Tonę, będąc przekonana, że w ogóle nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Wkrótce ogarnia mnie ciemność i robi się bardzo zimno. Gdzieś wysoko nade mną słyszę głos kogoś, kogo kocham. Ten głos powtarza moje imię, ale nie mogę sobie przypomnieć, do kogo należy.

– To mój głos. Próbuję cię obudzić.

– Być może.

Szrama po uderzeniu biczem w Bramie Skruchy czerwieniła się na jej policzku jak świeżo wypalone znamię.

Przez jakiś czas siedzieliśmy bez słowa. Słowiki także umilkły, ale za to rozśpiewały się makolągwy. Wśród gałęzi mignęła szkarłatno-zielona papuga, przypominająca mi posłańca w liberii. Wreszcie Dorcas przerwała milczenie.

– Woda to okropna rzecz. Nie powinnam była cię tu przyprowadzać, ale nie znam innego zacisznego miejsca. Szkoda, że nie usiedliśmy na trawie pod drzewami.

– Dlaczego nienawidzisz wody? Moim zdaniem jest piękna.

– Ponieważ ma taką naturę, że zawsze dąży w dół, ku ciemnym miejscom, jak najdalej od słońca.

– Ale potem znowu wznosi się w górę – odparłem. – Wiosenny deszcz składa się z tej samej wody, którą minionej jesieni widzieliśmy płynącą rynsztokami. W każdym razie właśnie tak uczył nas mistrz Malrubius.

Przez twarz Dorcas przemknął uśmiech jak spadająca gwiazda.

– Dobrze jest w to wierzyć, bez względu na to, czy naprawdę tak jest. Severianie, postąpiłabym głupio, mówiąc, że jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam, gdyż oprócz ciebie nie znam nikogo dobrego. Jednak nawet gdybym spotkała tysiąc dobrych ludzi, ty nadal byłbyś najlepszy. To właśnie chciałam ci powiedzieć.

– Przecież wiesz, że będę się tobą opiekował bez względu na wszystko.

– Nie to miałam na myśli. To ja chciałam zaproponować ci swoją opiekę. Cóż za głupota, prawda? Nie mam rodziny, nie mam nikogo prócz ciebie, a mimo to wydaje mi się, że mogłabym się tobą opiekować.

– Znasz przecież Jolentę, doktora Talosa i Baldandera.

– Oni są nikiem. Nie wyczuwasz tego, Severianie? Ja też jestem nikiem, ale oni znaczą jeszcze mniej ode mnie. Minionej nocy spaliliśmy w piątkę

w namiocie, a mimo to byłeś w nim zupełnie sam. Powiedziałaś mi kiedyś, że nie masz zbyt bujnej wyobraźni, ale chyba nawet ty to wyczuwasz.

– I właśnie przed tym chcesz mnie chronić? Przed samotnością? Z radością powitam taką opiekę.

– W takim razie będę cię nią otaczała tak długo, jak tylko zdołam. Jednak przede wszystkim pragnę chronić cię przed opinią świata. Czy pamiętasz, co powiedziałam ci o moim śnie? Wszyscy ludzie na ulicy uważali mnie za jakiegoś odrażającego ducha. Kto wie, czy nie mieli racji.

Drżała jak w febrze, przycisnąłem ją więc mocno do piersi.

– Między innymi właśnie dlatego ten sen sprawia mi tyle bólu. Wiem, że się mylą, choć jednocześnie mają trochę racji. Zły duch jest we mnie, ale razem z mnóstwem innych rzeczy, które są mną w takim samym stopniu, jak ja jestem nimi.

– Nie mogłabyś być złym duchem ani w ogóle czymkolwiek złym.

– Nieprawda – powiedziała poważnie i spojrzała mi w oczy. Jej drobna twarz nigdy nie była równie piękna i równie czysta jak wtedy. – Mogłabym, Severianie. Tak samo jak ty mógłbyś być tym, za kogo cię uważają i kim czasem się stajesz. Pamiętasz, jak zobaczyliśmy płonącą katedrę unoszącą się w niebo? Zaraz potem zauważyliśmy światło wśród drzew i spotkaliśmy doktora Talosa, Baldandersa i Jolentę przygotowujących się do przedstawienia.

– Trzymałaś mnie wtedy za rękę i rozmawialiśmy o filozofii. Jakże mógłbym o tym zapomnieć?

– A pamiętasz, co powiedział doktor Talos, kiedy wyszliśmy z lasu?

Cofnąłem się myślami do tego wieczoru po dniu, kiedy zgładziłem Agilusa. Ponownie usłyszałem ryk tłumu, przeraźliwy krzyk Agii i łoskot bębna Baldandersa.

– Powiedział, że teraz wszyscy już się zeszli i że ty jesteś Niewinnością, a ja Śmiercią.

Dorcas skinęła głową.

– Otóż to. Ale ty nie jesteś Śmiercią, bez względu na to, jak często będzie cię tak nazywał. Nie jesteś Śmiercią, tak samo jak nie jest nią rzeźnik, który przez cały dzień podrzyna zwierzętom gardła. Dla mnie jesteś Życiem, młodym mężczyzną imieniem Severian, i gdybyś zechciał założyć inny strój i zostać cieślą albo rybakiem, to nikt nie mógłby cię powstrzymać.

– Nie mam zamiaru opuszczać swojej konfraterni.

– Ale mógłbyś to uczynić. Nawet dzisiaj. Powinieneś o tym pamiętać. Ludzie nie chcą, żeby inni ludzie byli po prostu ludźmi. Nadają im różne nazwy, które są jak skorupy zamykające człowieka na całe życie. Nie chcę, żeby ciebie też tak zamknięto. Doktor Talos jest najgorszy. Przede wszystkim na swój sposób ciągle kłamie...

Umilkła, a ja skorzystałem z okazji, żeby wtrącić:

– Baldanders twierdzi, że nawet jeśli kłamie, to rzadko.

– Powiedziałam: na swój sposób. Baldanders ma rację. Doktor Talos nie kłamie tak jak inni ludzie. Nazywając cię Śmiercią, posłużył się...

– Metaforą – podsunąłem jej brakujący wyraz.

– Ale to była niebezpieczna, zła metafora, która miała ugodzić cię tak samo jak kłamstwo.

– Sądzisz więc, że doktor Talos mnie nienawidzi? Odniosłem wrażenie, że jest jedną z nielicznych osób, które okazały mi serce po tym, jak opuściłem Cytadelę. Ty, Jonas – który już odszedł – stara kobieta, którą spotkałem w więzieniu, androgyn w żółtej szacie – nawiasem mówiąc, on także nazwał mnie Śmiercią – i doktor Talos. To bardzo krótka lista.

– Nie wydaje mi się, żeby nienawidził zgodnie z naszym rozumieniem tego słowa – odparła cicho Dorcas. – Albo żeby kochał. On po prostu pragnie manipulować wszystkim, co napotka na swojej drodze, i naginać do swojej woli, a ponieważ burzenie jest znacznie łatwiejsze od budowania, to właśnie najczęściej robi.

– Mimo to Baldanders chyba go kocha – zauważyłem. – Miałem kiedyś okaleczonego psa. Wydaje mi się, że Baldanders patrzy na doktora w taki sam sposób, w jaki Triskele patrzył na mnie.

– Rozumiem cię, ale wcale tego tak nie odbieram. Czy kiedykolwiek zastanowiłeś się, jak ty wyglądałeś, patrząc na swego psa? Wiesz coś o ich przeszłości?

– Tylko tyle, że mieszkali razem w pobliżu jeziora Diuturna. Tamtejsza ludność podpaliła ich dom, żeby się stamtąd wynieśli.

– Nie przypuszczasz chyba, że doktor Talos może być synem Baldandersa?

Pomysł był tak absurdalny, że wybuchnąłem śmiechem, szczęśliwy, iż w ten sposób udało mi się rozładować napięcie.

– Zwróć uwagę, że w taki właśnie sposób się zachowują – ciągnęła niezrażona Dorcas. – Jak wolno myślący, zaharowany ojciec i bystry, niestały syn. W każdym razie tak mi się wydaje.

Dopiero kiedy wstaliśmy z kamiennej ławki i ruszyliśmy w drogę

powrotną do Zielonego Pokoju (który w najmniejszym nawet stopniu nie przypominał obrazu pokazanego mi przez Rudesinda), zaświtała mi niejasna myśl, czy nazywając Dorcas „Niewinnością”, doktor Talos nie posłużył się przypadkiem jedną ze swoich metafor.

rozdział 23

Jolenta

O ile stary sad i ogródek z ziołami były tak ciche i opuszczone, że przywiodły mi na myśl Ogród Czasu oraz Valerię o ślicznej twarzy okolonej futrami, to Zielony Pokój kipiał życiem. Nikt już nie spał i odnosiło się wrażenie, że wszyscy krzyczą. Dzieci wspinały się na drzewa, aby uwolnić zamknięte w klatkach ptaki, rodzice zaś ciskali w nie wszystkim, co nawinęło im się pod rękę. Stawiano namioty, nie zważając na trwające przez cały czas próby, w związku z czym byłem świadkiem, jak jedna z płóciennych piramid nagle się zawaliła, odsłaniając stojącego na tylnych kończynach megathera i tancerkę wykonującą piruety na jego czole.

Baldanders zniknął, podobnie jak nasz namiot, ale niemal natychmiast nadbiegł zdyszany doktor Talos i poprowadził nas wśród sztucznych wodospadów, delikatnych balustrad oraz grot wypełnionych szlachetnymi kamieniami do nieckowatego zagłębienia porośniętego starannie przystrzyżoną trawą, gdzie olbrzym budował dla nas scenę, co bacznie obserwowało stadko białych danieli.

Miała to być znacznie obszerniejsza scena niż ta, na której występowałem w pobliżu Muru. Służba pałacowa dostarczyła więcej desek, gwoździ, narzędzi, farby i płótna, niż mogliśmy wykorzystać. Szczodrość ta obudziła zamiłowanie doktora do przepychu (które nigdy nie spało zbyt głębokim snem), w związku z czym z wypiekami na twarzy to polecał Baldandersowi i mnie wykonanie jakiejś dodatkowej przybudówki, to znów rzucał się na manuskrypt swojej sztuki, dokonując w niej poprawek i uzupełnień.

Olbrzym pełnił funkcję cieśli i choć poruszał się niezmiernie ociężale, to jednak pracował z taką wytrwałością i siłą – potrafił jednym uderzeniem młota wbić kołek grubości mego palca lub kilkoma ciosami

siekiery przeciąć belkę, nad którą ja mozoliłbym się co najmniej jedną wachtę – że był bardziej użyteczny niż dziesięciu niewolników harujących pod razami batoga.

Dorcas odkryła w sobie talent do malowania, co przynajmniej dla mnie stanowiło spore zaskoczenie. Wspólnie ustawialiśmy czarne płyty pochłaniające energię słońca, nie tylko po to, aby wieczorem oświetlić scenę, lecz żeby umożliwić działanie projektorów. Urządzenia te potrafią odtworzyć urwisko tysiącmilowej wysokości równie łatwo jak wewnątrz wiejskiej chaty, jednak złudzenie jest kompletne tylko wówczas, jeżeli dokoła panuje całkowita ciemność. Dlatego właśnie dobrze jest wspomóc iluzję zwyczajnymi malowanymi dekoracjami, które Dorcas tworzyła z wielką wprawą, stojąc po pas wśród gór lub lasów i machając z zapalem pędzlem.

Jolenta i ja byliśmy mniej przydatni. Ja nie potrafiłem malować, a zbyt słabo znałem się na zawiłościach teatralnej profesji, żeby pomóc doktorowi przy ustawianiu dekoracji. Jolenta z kolei miała, jak mi się wydaje, awersję do wszelkiej pracy, a już szczególnie tego rodzaju. Długie, cienkie nogi nie były stworzone do tego, by dźwigać coś więcej niż ciężar ciała, a okazałe piersi mogły łatwo zostać zmiażdżone przez belki lub pochłapane farbą. Nie wykazywała także ani trochę zapалу, który pozwalał ludziom zdobywać się nawet na duży wysiłek w celu osiągnięcia jakiegoś ważnego wspólnego celu. Dorcas powiedziała, że minionej nocy byłem sam w namiocie – i może miała więcej racji, niż mi się wydawało – ale moim zdaniem Jolenta była jeszcze bardziej samotna ode mnie. Dorcas i ja mieliśmy siebie nawzajem, Baldanders i doktor swoją dziwną przyjaźń, wszyscy zaś spotykaliśmy się na scenie podczas przedstawienia. Jolenta miała tylko siebie. Ona sama była trwającym bez końca przedstawieniem, którego jedynym celem było wzbudzenie podziwu.

Dotknęła mego ramienia i wskazała wielkimi szmaragdowymi oczami górną krawędź naturalnego amfiteatru, w którym się znajdowaliśmy. Rosło tam kilka kasztanowców o ciemnych koronach rozjaśnionych białymi świecami kwiatów.

Ponieważ nikt na nas nie patrzył, skinąłem głową. W porównaniu z Dorcas Jolenta wydawała się niemal równie wysoka jak Thecla, choć w przeciwieństwie do niej stawiała bardzo drobne kroki. Była wyższa co najmniej o głowę od Dorcas, a w dodatku miała utrefione włosy i pantofle na wysokich obcasach.

– Chcę się rozejrzeć – powiedziała. – Nigdy nie będę miała drugiej

takiej okazji.

Było to oczywiste kłamstwo, niemniej jednak udałem, że w nie uwierzyłem.

– Okazja jest obopólna. Tylko dzisiaj Dom Absolutu ma niepowtarzalną szansę obejrzenia ciebie.

Skinęła głową, jakbym powiedział coś oczywistego.

– Potrzebuję kogoś, kogo będą się bali ci, z którymi nie mam ochoty rozmawiać. Myślę o tych wszystkich jarmarcznych artystach i aktorzynach. Kiedy ciebie nie było, tylko Dorcas godziła się chodzić ze mną na spacer, ale jej nikt się nie boi. Czy mógłbyś wyjąć miecz i nieść go na ramieniu?

Postąpiłem zgodnie z jej życzeniem.

– Jeżeli się do kogoś nie uśmiechnę, przepędź go. Rozumiesz?

Pod kasztanowcami rosła trawa znacznie wyższa niż w naturalnym amfiteatrze, ale nie tak sztywna jak paprocie. Ścieżka była wysypana kawałkami kwarcu, w których tu i ówdzie pobłyskiwały okruchy złota.

– Autarcha z pewnością poczułby pożądanie, gdyby tylko miał okazję mnie ujrzeć. Myślisz, że przyjdzie na nasze przedstawienie?

Skinąłem głową, aby zrobić jej przyjemność, lecz jednocześnie dodałem:

– Słyszałem, że nawet najpiękniejsze kobiety są mu potrzebne tylko jako doradcy, szpiegzy i dziewczki służebne.

Jolenta zatrzymała się i spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Właśnie o to chodzi. Nie rozumiesz? Potrafię wzbudzić pożądanie każdego mężczyzny, a więc i Jedynego Autarchy, którego sny są naszą rzeczywistością, a wspomnienia naszą historią, bez względu na to, co się stało z jego męskością. Pragnąłeś już kobiet innych niż ja, prawda? Czy bardzo?

Skinąłem głową.

– A więc teraz myślisz, że pożądasz mnie tak samo jak ich. – Odwróciła się i ruszyła przed siebie, lekko utykając, jak to miała w zwyczaju, choć energiczniej niż zwykle, najwidoczniej podekscytowana naszą rozmową. – Ja jednak potrafię podniecić każdego mężczyznę i każdą kobietę. Czy wiesz, że nawet te, które nigdy nie zaznały miłości, pragną się ze mną kochać? Przychodzą po kilka razy na nasze spektakle i posyłają mi smakołyki, kwiaty, szale, woalki oraz haftowane chusteczki wraz z siostrzanymi lub matczynymi liścikami. Chcą mnie bronić przed doktorem, przed jego olbrzymem, przed swoimi mężami, synami i sąsiadami... A mężczyźni! Baldanders musi wrzucać

ich do rzeki.

Zapytałem, czy ma kłopoty z chodzeniem, a kiedy wyszliśmy spomiędzy kasztanowców, zacząłem rozglądać się za jakimś powozem, ale nigdzie nie mogłem go dostrzec.

– Moje uda ocierają się o siebie, co sprawia mi ból. Dostałam jednak bardzo dobrą maść, a jakiś mężczyzna ofiarował mi dzianeta, ale nie wiem, co się z nim stało. Tak naprawdę czuję się dobrze tylko wtedy, kiedy mogę rozłożyć nogi.

– Mógłbym cię nieść.

Uśmiechnęła się ponownie, pokazując piękne zęby.

– Oboje bylibyśmy zadowoleni, czyż nie tak? Ale obawiam się, że nie wyglądałabym wystarczająco dostojnie. Nie, chyba już lepiej pójdę. Mam tylko nadzieję, że nie trzeba będzie iść zbyt daleko. Nawet gdyby trzeba było, chyba nikt by mnie do tego nie zmusił. Zresztą widzę tu tylko aktorów i cyrkowców. Widocznie ważni ludzie jeszcze śpią albo przygotowują się do wieczornych uroczystości. Ja też będę musiała trochę się przespać.

Usłyszałem szum wody płynącej po kamieniach i skierowałem się w tamtą stronę. Minęliśmy żywopłot z głógów obsypanych niezliczonymi białymi kwiatami – z daleka wydawał się barierą nie do przebycia – i naszym oczom ukazała się niewiele szersza od ulicy rzeka, po której pływały łabędzie. Sprawiały wrażenie, jakby zostały wyrzeźbione z lodowych brył. Tuż przy brzegu stał niewielki pawilon, przy którym zacumowano trzy łodzie w kształcie nenufaru. Wewnątrz były wybite grubym jedwabnym brokatem, a kiedy wszedłem do jednej z nich, poczułem wyraźną woń perfum.

– Wspaniale – powiedziała Jolenta. – Chyba nikt nie będzie miał nam za złe, jeśli weźmiemy jedną? A nawet jeśli tak, to zaprowadzą mnie przed oblicze jakiejś ważnej osobistości, tak jak w naszej sztuce, a kiedy ów dostojnik mnie zobaczy, już nie pozwoli mi odejść. Zatrzymam przy sobie doktora Talosa. Jeśli chcesz, ty też możesz zostać. Myślę, że znajdą dla ciebie jakieś zajęcie.

Odparłem, że muszę kontynuować podróż na północ, po czym objąłem ją w talię – była równie smukła jak Dorcas – i wniosłem do łodzi.

Jolenta natychmiast ułożyła się na poduszkach, w miejscu, w którym wygięte ku górze płatki rzucały nieco cienia. Widząc to, przypomniałem sobie roześmianą Agię, opowiadającą mi w pełnym słońcu na Schodach Adamniana o kapeluszu z szerokim rondem, który kupi sobie za rok, by chronić twarz przed zdradzieckim działaniem gorących promieni. Agia

pod każdym względem była mniej doskonała od Jolenty: niewiele wyższa od Dorcas, o zbyt rozłożystych biodrach i znacznie mniejszych piersiach. Jej lekko skośne brązowe oczy i wystające kości policzkowe świadczyły raczej o sprycie i uporze niż o namiętności i uległości. Mimo to właśnie Agia, a nie Jolenta, budziła we mnie pożądanie. W jej śmiechu często pobrzmiwały złośliwe nuty, niemniej jednak był to prawdziwy śmiech. Żądza wychodziła z niej wszystkimi porami, natomiast Jolenta tylko pożądała być pożądaną, w związku z czym ani nie pragnąłem pocieszyć jej w samotności (tak jak Valerię), ani nie starałem się wyrazić miłości, jaką mógłbym do niej czuć (tak jak czułem do Thecli), ani nie chronilem jej (tak jak Dorcas). Jedyne, czego naprawdę pragnąłem, to znieważać ją i zawstydzić, ukarać za nieludzki spokój, napełnić jej oczy łzami i wydzierać jej garściami włosy, aby później je spalić, tak jak pali się włosy trupów, by odstraszyć duchy, które niegdyś mieszkały w martwych teraz ciałach. Chwaliła się, że czyniła kobiety lesbijkami; niewiele brakowało, a ze mnie uczyniłaby sadystę.

– Czuję, że to mój ostatni występ. Publiczność na pewno zażąda kogoś...

Ziewnęła i przeciągnęła się zmysłowo. Wydawało się niemal pewne, że opięty do granic wytrzymałości trykot zaraz pęknie. Na wszelki wypadek odwróciłem oczy, a kiedy ponownie na nią spojrzałem, już spała.

Na rufie łodzi znajdowało się pojedyncze długie wiosło. Ująłem je w dłonie, po czym przekonałem się, że pod okrągłym kadłubem jednak jest tradycyjny kil. Na środku rzeki prąd wodny był tak silny, że wcale nie musiałem wiosłować, a tylko delikatnymi ruchami wiosła pomagałem łodzi pokonywać łagodne zakręty. Tak jak idąc w towarzystwie zakapturzonego sługi przez korytarze, komnaty i podcienia Domu Absolutu, mijałem je przez nikogo niezatrzymywany i nie niepokojony, tak teraz płynąłem z Jolentą bez najmniejszego wysiłku i bez hałasu, sunąc miła za miłą wśród, wydawało się, niekończących się ogrodów. Pary, które tu i ówdzie leżały na miękkiej trawie pod drzewami albo we wnętrzu altanek i letnich domków, uważały nas zapewne za coś w rodzaju dekoracji, puszczonej z biegiem rzeki dla ich rozrywki, a nawet jeśli ktoś dostrzegł moją głowę wystającą ponad kielich sztucznego nenufaru, to z pewnością doszedł do wniosku, że podążam gdzieś w jakichś własnych ważnych sprawach. Tu i ówdzie na drewnianych ławeczkach siedzieli pogrążeni w medytacjach filozofowie, a czasem mijaliśmy odosobnione zakątki, w których właśnie

odbywały się zabawy i przyjęcia, niektóre wybitnie orgiastycznej natury.

Wreszcie zirytował mnie sen Jolenty. Zostawiłem wiosło w spokoju i ukląknąłem obok niej na poduszkach. Niewinność malująca się na jej twarzy, choć cokolwiek sztuczna, stanowiła dla mnie wielkie zaskoczenie, gdyż po raz pierwszy ją dostrzegłem. Pocałowałem ją w usta, a wówczas zdało mi się, że na wpół uchylone wielkie oczy są oczami Agii, rudozłote włosy zaś nabrały w moich oczach niemal brązowego połysku. Zacząłem ją rozbierać. Wydawało się, że jest pod wpływem jakiegoś narkotyku (być może były nim nasączone poduszki) albo też po prostu zmęczył ją długi marsz i ciężar bujnego ciała. Odśloniłem jej piersi, z których każda niemal dorównywała wielkością głowie, a potem obfite uda, kryjące między sobą coś, co przypominało świeżo wyklute pisklę.

Po naszym powrocie wszyscy zdawali się wiedzieć, gdzie byliśmy, choć na Baldandersie nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Dorcas szlochała w ukryciu, pojawiając się od czasu do czasu z zaczerwienionymi oczami i heroicznym uśmiechem na twarzy, doktor Talos zaś, jak mi się wydaje, był jednocześnie wściekły i zachwycony. Odniosłem wrażenie (które nie opuściło mnie po dziś dzień), że Jolenta nigdy mu się tak naprawdę nie podobała, a mimo to był jedynym mężczyzną na Urth, któremu oddałaby się całkowicie, dobrowolnie i w każdej chwili.

Czas, jaki pozostał do zmierzchu, spędziliśmy, przysłuchując się negocjacom, które doktor Talos prowadził z różnymi osobistościami z Domu Absolutu, oraz na próbach. Ponieważ opowiedziałem już wcześniej, jak wygląda inscenizacja sztuki doktora Talosa, przytoczę teraz jej tekst, jednak nie w takiej postaci, w jakiej istniał na mnóstwie kartek i karteluszek, które przez całe popołudnie przekazywaliśmy sobie z rąk do rąk, a które częstokroć zawierały jedynie najbardziej ogólne wskazówki mające pomóc nam w improwizacji, ale w takiej, w jakiej mógłby zostać zarejestrowany przez jakiegoś pilnego urzędnika (i został, tyle tylko, że przez obdarzonego doskonałą pamięcią demona ukrytego za moimi oczami).

Najpierw jednak muszę opowiedzieć, jak wyglądał teatr. Krawędź Urth przesłoniła już cały czerwony krąg słońca; nad naszymi głowami

bezszelestnie przemykały nietoperze o szerokich skrzydłach, a zielony księżyc w pierwszej kwadrze zawisł nad wschodnim horyzontem. Wyobraźcie sobie małą (najwyżej tysiąc kroków) dolinę otoczoną łagodnymi wzniesieniami. Między nimi znajdują się drzwi – niektóre nie szersze od zwykłych drzwi do pokoju, inne potężniejsze od wrót bazyliki. Wszystkie są otwarte, przez wszystkie też wsuwają się macki wilgotnej mgły. Od drzwi aż do niewielkiego proscenium prowadzą ścieżki wyłożone wielkimi, płaskimi kamieniami. Podążają nimi kobiety i mężczyźni w fantastycznych kostiumach i maskach, najczęściej nawiązujących do dawnych czasów, tak że ja, który zaledwie liznąłem nieco wiedzy historycznej dzięki wysiłkom Thecli i mistrza Palaemona, byłem w stanie rozpoznać tylko nieliczne. Służący roznoszą tace zastawione kubkami i dzbanami lub uginające się od pieczonych mięs i wonnych słodkości. Przed sceną stoją półkolem lekkie fotele z mahoniu i atłasu, ale wielu widzów woli stać, a podczas całego przedstawienia nieprzerwanie trwa ruch: niektórzy przychodzą, inni zaś odchodzą, czasem wysłuchawszy zaledwie kilku wersów. W gałęziach drzew śpiewają żaby i słowiki, na szczytach wzgórz to pojawiają się, to znów znikają ruchome posągi. We wszystkie postacie wcielił się doktor Talos, Baldanders, Dorcas, Jolenta i ja.

rozdział 24

Sztuka doktora Talosa: Eschatologia i Genesis

Według jego słów sceniczna adaptacja niektórych fragmentów zaginionej *Księgi Nowego Słońca*.

Osoby dramatu:

Gabriel
Wielki Sen
Meschia, Pierwszy Mężczyzna
Meschiane, Pierwsza Kobieta
Jahi
Autarcha
Hrabina
Jej Służąca
Dwaj Żołnierze
Posąg
Prorok
Generalissimus
Dwa Demony (w przebraniu)
Inkwizytor
Jego Pomocnik
Anielskie Istoty
Nowe Słońce
Stare Słońce
Księżyc

Tylina część sceny jest pogrążona w ciemności. Pojawia się GABRIEL, skąpany w złotym blasku, z kryształową trąbką w dłoni.

GABRIEL: Pozdrawiam wszystkich. Przybyłem tu po to, żeby

wprowadzić was w akcję – w końcu na tym właśnie polega moja rola. Jest noc po ostatnim dniu, która jednocześnie jest nocą przed dniem pierwszym. Stare Słońce zaszło i już nigdy nie pojawi się na niebie. Jutro wszędzie Nowe Słońce, które powitam wraz z moimi braćmi. Tej nocy... Tej nocy nikt nie wie, co się stanie. Wszyscy śpią.

Rozlegają się ciężkie, powolne kroki. Wchodzi SEN.

GABRIEL: O, wszechwiedzący! Obroń swego sługę!

SEN: Jemu służysz? W takim razie nie skrzywdzę cię, chyba że on sam poleci mi inaczej.

GABRIEL: Należysz do jego domu? W jaki sposób porozumiewa się z tobą?

SEN: Prawdę mówiąc, w ogóle tego nie robi. Muszę domyślać się, co chce, bym to uczynił.

GABRIEL: Tego właśnie się obawiałem.

SEN: Widziałeś może syna Meschii?

GABRIEL: Czy go widziałem? Ty wielki głupcze, przecież on jeszcze się nie urodził! A czego od niego chcesz?

SEN: Ma tu przybyć i zamieszkać ze mną na mojej ziemi, która leży na wschód od tego ogrodu. Dam mu jedną z moich córek za żonę.

GABRIEL: Coś ci się pomyliło, mój przyjacielu. Spóźniłeś się o pięćdziesiąt milionów lat.

SEN (*kiwa gamoniowato głową*): Gdybyś go spotkał...

Wchodzą MESCHIA i MESCHIANE, za nimi JAHI. Wszyscy są nadzy, ale JAHI ma na sobie bogatą biżuterię.

MESCHIA: Cóż za piękne miejsce! Urocze! Kwiaty, fontanny i posągi... Czyż to nie wspaniałe?

MESCHIANE (*nieśmiało*): Widziałam obłaskawionego tygrysa o kłach dłuższych od mojej dłoni. Jak go nazwiemy?

MESCHIA: Jak będzie chciał. (*Do GABRIELA*): Do kogo należy ten piękny zakątek?

GABRIEL: Do Autarchy.

MESCHIA: Postąpił bardzo łaskawie, pozwalając nam tu zamieszkać.

GABRIEL: Niezupełnie. Ktoś za tobą idzie, przyjacielu. Wiedziałeś o tym?

MESCHIA (*nie odwracając się*): Za tobą też ktoś stoi.

GABRIEL (*pokazuje trąbkę, symbol swego urzędu*): Oczywiście. ON jest za mną!

MESCHIA: I to bardzo blisko. Jeśli chciałbyś zadać w tę trąbę, żeby wezwać pomoc, lepiej zrób to teraz.

GABRIEL: Miło mi, że tak się o mnie troszczysz, ale jeszcze nie nadszedł czas.

(Złote światło znika, a wraz z nim GABRIEL. SEN stoi bez ruchu, podpierając się kijem).

MESCHIANE: Rozpalę ogień, a ty lepiej zacznij budować dom. Tutaj chyba często pada. Widzisz, jaka zielona jest trawa?

MESCHIA *(przygląda się SNOWI)*: Ha, to tylko posąg. Nic dziwnego, że się go nie przestraszył.

MESCHIANE: Ale może ożyć. Słyszałam kiedyś o kimś, kto wyrzeźbił sobie w kamieniu syna.

MESCHIA: Kiedyś? Przecież dopiero co się urodziłaś. Wczoraj, jeśli się nie mylę.

MESCHIANE: Wczoraj? Nic nie pamiętam... Jestem jak dziecko, Meschia. Pamiętam tylko, że wyszłam z cienia i zobaczyłam cię rozmawiającego z promieniem słońca.

MESCHIA: To nie był promień słońca, tylko... Szczerze mówiąc, jeszcze nie wymyśliłem dla niego imienia.

MESCHIANE: Od razu się w tobie zakochałam.

Wchodzi AUTARCHA.

AUTARCHA: Kim jesteście?

MESCHIA: A kim ty jesteś, jeśli łaska?

AUTARCHA: Właścicielem tego ogrodu.

MESCHIA kłania się, a MESCHIANE wykonuje głęboki dworski ukłon, mimo że nie ma sukni, którą mogłaby przytrzymać.

MESCHIA: Przed chwilą rozmawialiśmy z jednym z twoich sług. Jestem zdumiony, jak bardzo przypominał twoją boską osobę. Może tylko był trochę... trochę...

AUTARCHA: Młodszy?

MESCHIA: Przynajmniej z wyglądu.

AUTARCHA: Cóż, to chyba było nie do uniknięcia. Jestem jak najdalszy od tego, żeby się usprawiedliwiać, ale byłem wówczas bardzo młody, i choć lepiej jest zadawać się wyłącznie z kobietami należącymi do bliższych nam sfer, to czasem – co z pewnością zrozumiesz, jeśli kiedykolwiek znalazłeś się w podobnej sytuacji – jakaś służąca lub wiejska dziewczyna, której wystarczy garść srebra lub bela jedwabiu i która nie zażąda w najmniej odpowiedniej chwili zgładzenia jakiejś rywalki ani posady ambasadora dla męża... W każdym razie są chwile, kiedy taka właśnie osóbką okazuje się kąskiem nie do pogardzenia.

(Kiedy AUTARCHA mówił, JAHİ podkrađła się od tyłu do MESCHII.

Teraz kładzie mu rękę na ramieniu).

JAHİ: Teraz widzisz, że ten, w którym widziałeś boską istotę, z niewzruszoną miną powtarza wszystko, co ci mówiłam. Zacznijmy od początku, jeszcze zanim wzejdzie Nowe Słońce.

AUTARCHA: Cóż za uroczne stworzenie! Jak to się dzieje, moje dziecko, że w twoich oczach widzę gorące ognie, podczas gdy u twojej siostry trudno by się doszukać nawet wygasłej hubki?

JAHİ: Ona nie jest moją siostrą.

AUTARCHA: W takim razie rywalką. Pójdź ze mną. Pozwolę tym dwojgu rozbić tu obóz, ty zaś jeszcze tej nocy założysz piękną suknię, twoje usta wypełnią się winem, a ta piękna sylwetka zaokrągli się nieco po uczcie składającej się ze skowronków faszzerowanych migdałami i figami.

JAHİ: Odejdź, starcze.

AUTARCHA: Co takiego?! Nie wiesz, kim jestem?

JAHİ: Tylko ja jedna to wiem. Jesteś mniej niż duchem, popiołem poderwanym z ziemi przez podmuch wiatru.

AUTARCHA: Rozumiem, ona jest szalona. Czego od ciebie chce, przyjacielu?

MESCHIA (z *ulgą*): A więc nie żywisz do niej urazy? To bardzo szlachetne z twojej strony.

AUTARCHA: Skądże znowu! Wręcz przeciwnie – szalona kochanka może zapewnić nadzwyczaj interesujące przeżycia. Czekam na nie z niecierpliwością, możesz mi wierzyć, a niewiele jest rzeczy, o których można to powiedzieć, jeśli widziało się i robiło to wszystko, co ja widziałem i robiłem. Mam nadzieję, że nie gryzie? To znaczy nie za mocno?

MESCHIANE: Owszem, gryzie, a jej zęby ociekają jadem.

JAHİ rzuca się na nią z paznokciami. MESCHIANE ucieka i obie znikają za sceną.

AUTARCHA: Każę moim halabardnikom przeszukać ogród.

MESCHIA: Nie obawiaj się, wkrótce wrócą. Przekonasz się. Tymczasem jestem rad, że na chwilę zostałem z tobą sam na sam, gdyż chciałbym zadać ci kilka pytań.

AUTARCHA: Po szóstej nie udzielam żadnych łask. Musiałem ustanowić to prawo, gdyż inaczej szybko bym oszalał.

MESCHIA (*nieco zaskoczony*): Dobrze wiedzieć... Ale ja nie chciałem o nic prosić. Chodzi mi tylko o pewną informację, o szczyptę boskiej mądrości.

AUTARCHA: W takim razie mów śmiało. Ostrzegam cię jednak, że będziesz musiał za to zapłacić. Ten szalony anioł ma być mój na całą noc.

MESCHIA pada na kolana.

MESCHIA: Jest coś, czego nigdy nie potrafiłem zrozumieć. Dlaczego muszę do ciebie mówić, mimo że ty znasz każdą moją myśl? A oto moje pierwsze pytanie: czy nie powinienem jednak zgodzić się na propozycję dziewczyny, mimo że pochodzi z rodu, który został przez ciebie wyklęty? Ona bowiem wie, że ja wiem, ja zaś w głębi serca podejrzewam, iż podsuwa mi właściwe rozwiązanie, przypuszczając, że uznam je za błędne i postąpię dokładnie odwrotnie.

AUTARCHA (*na stronie*): On także jest szalony. Z powodu moich złotych szat uważa mnie za boga. (*Do MESCHII*): Odrobina cudzołóstwa jeszcze nigdy nie zaszkodziła żadnemu mężczyźnie – naturalnie z wyjątkiem przypadków, kiedy popełniał je nie on, lecz jego żona.

Wchodzą HRABINA i jej SŁUŻĄCA.

HRABINA: O, mój jedyny panie! Co tutaj robisz?

MESCHIA: Jestem pogrążony w modlitwie, córko. Zdejmij przynajmniej buty, gdyż stąpasz po świętej ziemi.

HRABINA: Panie, kim jest ten głupiec?

AUTARCHA: Szaleńcem, który podróżuje w towarzystwie dwóch kobiet równie szalonych jak on.

HRABINA: A więc przewyższają nas liczebnie, chyba że moja dziewczka też jest przy zdrowych zmysłach.

SŁUŻĄCA: Wielmożna pani...

HRABINA: W co mocno wątpię. Dziś po południu chciała ubrać mnie w zieloną pelerynę i purpurową etolę. Wyglądałabym jak udekorowany powojem słup.

Rozwścieczony MESCHIA uderza HRABINĘ i powala ją na ziemię. AUTARCHA korzysta z okazji i ucieka.

MESCHIA: Smarkula! Nie waż się naigrawać ze świętości, kiedy jestem w pobliżu!

SŁUŻĄCA: Kim jesteś, panie?

MESCHIA: Ojcem ludzkości, dziecko. Naprawdę jesteś moim dzieckiem, podobnie jak ona.

SŁUŻĄCA: Mam nadzieję, że jej wybaczysz... i mnie także. Słyszałyśmy, że nie żyjesz.

MESCHIA: Za to nie musisz mnie przeproszać. Bądź co bądź większość ludzi nie żyje. Jak widzisz, ja jednak pojawiłem się raz jeszcze,

aby powitać nowy brzask.

SEN (*porusza się*): Przyszliśmy za wcześnie.

MESCHIA (*wskazuje go palcem*): Olbrzym! Olbrzym!

HRABINA: Och! Solange! Kyneburga!

SŁUŻĄCA: Jestem tutaj, wielmożna pani. Mam na imię Lybe.

SEN: Jeszcze za wcześnie na Nowe Słońce.

HRABINA (*zaczyna szlochać*): Zbliża się Nowe Słońce! Wszyscy znikniemy jak sen!

MESCHIA (*widząc, że SEN nie przejawia złych zamiarów*): Jak zły sen, ale to i tak będzie najlepsze, co mogłoby cię spotkać. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

HRABINA (*powoli wracając do siebie*): Nie rozumiem natomiast, w jaki sposób ty, który uważasz się za tak mądrego, mogłeś wziąć Autarchę za Uniwersalny Umysł?

MESCHIA: Wiem, że w poprzednim akcie stworzenia byliście moimi córkami. To nie ulega żadnej wątpliwości, ponieważ w tym akcie nie miałem ani jednej.

SEN: Jego syn weźmie za żonę moją córkę. Moja rodzina nie zasłużyła sobie na ten zaszczyt – jesteśmy skromnymi ludźmi, dziećmi Gei – niemniej jednak będziemy zachwyceni. Zostanę... Kim zostanę, Meschio? Teściem twojego syna. Jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko temu, być może pewnego dnia wraz z żoną odwiedzimy naszą córkę, a ty w tym samym czasie przyjedziesz w odwiedziny do syna. Chyba nie odmówisz nam miejsca przy stole? Ma się rozumieć, będziemy siedzieć na podłodze.

MESCHIA: Skądże znowu. Mój pies już to robi – a raczej robi, kiedy nas zobaczy. (*Do HRABINY*): Czy nie przyszło ci do głowy, że o tym, co ty nazwałaś Uniwersalnym Umysłem, mogę wiedzieć więcej, niż Autarcha wie o sobie? Nie tylko twój Uniwersalny Umysł, ale także wiele potęg mniejszego kalibru występuje w ludzkim przebraniu. My, którzy służyliśmy za to przebranie, rzadko kiedy zdajemy sobie z tego sprawę. Sami sobie wydajemy się zupełnie zwyczajni, choć w rzeczywistości jesteśmy Demiurgiem, Parakletą lub Nieprzyjacielem.

HRABINA: Zbyt późno posiadałam tę mądrość, skoro i tak muszę odejść wraz ze wschodem Nowego Słońca. Czy północ już minęła?

SŁUŻĄCA: Prawie, wielmożna pani.

HRABINA (*wskazując na publiczność*): A ci dobrzy ludzie... Co się z nimi stanie?

MESCHIA: A co dzieje się z liśćmi, kiedy rok zbliża się ku końcowi

i zaczynają wiać silne wiatry?

HRABINA: Gdyby...

MESCHIA odwraca się i spogląda na wschód, jakby wypatrując pierwszych oznak zbliżającego się świtu.

HRABINA: Gdyby...

MESCHIA: Gdyby co?

HRABINA: Gdyby w moim ciele znalazł się fragmencik twojego...
Odrobina płynu złożonego w moich łędźwiach...

MESCHIA: Gdyby tak się stało, tułałabyś się po Urth znacznie dłużej, skazana na to, że nigdy nie odnajdziesz drogi do domu. Ja jednak nie pójdę z tobą do łoża. Czyżbyś sądziła, że jesteś czymś więcej niż trupem? Zapewniam cię, że nie.

SŁUŻĄCA mdleje.

HRABINA: Twierdzisz, że jesteś ojcem wszystkich ludzi. Chyba naprawdę musisz nim być, gdyż zadajesz śmierć wszystkim kobietom.

Scena pogrąża się w ciemności. Kiedy światła ponownie się zapalają, MESCHIANE i JAHİ leżą obok siebie pod jarzębiną. Za nimi, między wzgórzami, znajdują się drzwi. JAHİ ma rozciętą i opuchniętą wargę, przez co wygląda, jakby się dąsała. Krew kapie jej na brodę.

MESCHIANE: Znalazłabym w sobie jeszcze dość sił, aby go szukać, gdybym wiedziała, że za mną nie pójdziesz.

JAHİ: Ja czerpię siłę z Dolnego Świata i będę szła za tobą aż na skraj Urth, jeśli zajdzie taka potrzeba. Pożałujesz jednak, jeśli mnie jeszcze raz uderzysz.

MESCHIANE podnosi rękę, a JAHİ zasłania twarz.

MESCHIANE: Kiedy postanowiłyśmy tu odpocząć, twoje nogi trzęsły się bardziej niż moje.

JAHİ: Cierpię bardziej niż ty, ale moc Dolnego Świata pozwoli mi znieść wszystko, nawet to, co jest nie do zniesienia. Poza tym muszę być delikatniejsza od ciebie, bo przecież jestem znacznie ładniejsza.

MESCHIANE: Szczególnie teraz.

JAHİ: Ostrzegam cię po raz drugi i ostatni. Uderz mnie, a spotka cię nieszcześnie.

MESCHIANE: W jaki sposób mnie ukarzesz? Wezwiesz Erynie, żeby mnie zniszczyły? Nie obawiam się tego. Gdybyś miała taką moc, zrobiłabyś to już dawno temu.

JAHİ: Zrobię coś o wiele gorszego. Jeśli mnie raz jeszcze uderzysz, zaczniesz znajdować w tym zadowolenie.

Wchodzą PIERWSZY ŻOŁNIERZ i DRUGI ŻOŁNIERZ, obaj uzbrojeni

w piki.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Popatrz!

DRUGI ŻOŁNIERZ: Nie wstawać, bo posiekam was na kawałki!
Idzicie z nami.

MESCHIANE: Na czworakach?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Zaraz odechce ci się mądrzyć!

Szturcha ją piką. Rozlega się jęk, tak niski, że prawie niesłyszalny, ale zarazem tak potężny, że scena trzęsie się w posadach.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Co to było?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Nie mam pojęcia.

JAHİ: Koniec Urth, głupcy. Dalej, możecie ją zabić! To już i tak wasz koniec.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Jak ty mało wiesz! Dla nas to dopiero początek. Kiedy otrzymaliśmy rozkaz przeszukania ogrodu, polecono nam dawać baczenie szczególnie na was dwie. Będziecie warte co najmniej dziesięć chrisos albo kiep.

Chwyta JAHİ. W tej samej chwili MESCHIANE podrywa się z ziemi i ucieka w ciemność. PIERWSZY ŻOŁNIERZ pędzi za nią.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Co, próbujesz gryźć?!

Szamocząc się z JAHİ, uderza ją na odlew piką.

JAHİ: Głupcze, ona uciekła!

DRUGI ŻOŁNIERZ: Niech Ivo się tym martwi. Ja mam swojego więźnia, a on pozwolił swojemu uciec. Ruszaj, idziemy do chiliarchy.

JAHİ: Czy nie pokochasz się ze mną, zanim opuścimy to urocze miejsce?

DRUGI ŻOŁNIERZ: Żeby odcięli mi męskość i wepchnęli do gardła? Nigdy w życiu!

JAHİ: Najpierw musieliby ją znaleźć.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Ejże, co ty sobie myślisz? (*Potrząsa nią*).

JAHİ: Służysz Urth, która posłała cię po mnie, gdyż sama nie chciała się fatygować. Gdybyś jednak uwolnił mnie choć na chwilę, pokazałabym ci wspaniałe rzeczy.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Widzę je już teraz, za co dziękuję niebiosom.

JAHİ: Mogę uczynić cię bogatym. Dziesięć chrisos nic by wtedy dla ciebie nie znaczyło. Nie zdołam jednak tego zrobić, dopóki mnie trzymasz.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Twoje nogi są dłuższe niż nogi innych kobiet, ale zauważyłem, że nie używasz ich zbyt chętnie. Zdaje się, że masz nawet trudności ze staniem.

JAHİ: Nie mylisz się.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Będę trzymał cię za twój naszyjnik. Łańcuszek wygląda na dość mocny. Jeżeli ci to wystarczy, pokaż, co potrafisz, a jeśli nie, to od razu ruszaj za mną. Dopóki jesteś ze mną, nie masz co liczyć na więcej swobody.

JAHİ podnosi obie ręce z wyprostowanymi trzema palcami: serdecznym, środkowym i kciukiem. Przez chwilę panuje całkowita cisza, a potem rozlega się tajemnicza, delikatna muzyka, w powietrzu zaś zaczynają wirować płatki śniegu.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Przestań!

Łapie ją za rękę i ciągnie w dół. Muzyka milknie, a na głowie DRUGIEGO ŻOŁNIERZA osiada kilka płatków śniegu.

DRUGI ŻOŁNIERZ: To nie było złoto.

JAHİ: Ale widziałeś, co zrobiłam.

DRUGI ŻOŁNIERZ: W mojej wiosce mieszka stara kobieta, która też potrafi zaklinać pogodę. Przyznaję, że idzie jej to dużo wolniej niż tobie, ale jest znacznie starsza i słabsza.

JAHİ: Z pewnością nie jest nawet w tysięcznej części tak stara jak ja.

Wchodzi POSĄG. Porusza się tak, jakby był ślepy.

JAHİ: A cóż to jest?

DRUGI ŻOŁNIERZ: Jeden z ulubieńców Ojca Inire. Nie słyszy cię ani nie potrafi mówić. Nawet nie jestem pewien, czy w ogóle żyje.

JAHİ: To samo mógłbyś powiedzieć o mnie.

Kiedy POSĄG przechodzi obok niej, głaszcze go przelotnie po policzku.

JAHİ: Mój kochanku, dlaczego mnie nie pozdrowisz?

POSĄG: Eeeej...

DRUGI ŻOŁNIERZ: Co to ma być? Przecież powiedziałaś, że nie możesz nic zrobić, dopóki cię trzymam!

JAHİ: A oto mój niewolnik. Możesz go pokonać? Dalej, połam pikę na jego szerokiej piersi!

POSĄG klęka i całuje stopę JAHİ.

DRUGI ŻOŁNIERZ: Nie, ale mogę przed nim uciec.

Przerzuca sobie JAHİ przez ramię i ucieka. Otwierają się przed nim drzwi między wzgórzami. Znika za nimi, a one zatrząskują się z hukiem. POSĄG łomocze w nie pięściami, ale bez skutku. Po jego twarzy spływają łzy. Wreszcie odwraca się i zaczyna rozkopywać ziemię rękami.

GABRIEL (spoza sceny): W taki oto sposób kamienne postacie dochowują wierności minionym dniom. Pozostają samotne na pustyni długo po ucieczce ostatniego człowieka.

POSAŁG nadal kopie, a scena pogrąża się w ciemności. Kiedy ponownie zapalają się światła, AUTARCHA siedzi na tronie, zupełnie sam na scenie, lecz sylwetki na ekranach po obu jego stronach świadczą o tym, że jest otoczony przez dworzan.

AUTARCHA: Siedzę tutaj, jakbym był panem stu światów, a tymczasem nie mogę zapanować nawet nad tym jednym.

Zza sceny dobiega odgłos kroków obutych stóp, uderzających o ziemię w równym rytmie. Ktoś wydaje rozkaz podniesionym głosem.

AUTARCHA: Generalissimus!

Wchodzi PROROK. Ma na sobie kozłą skórę i trzyma laskę, której uchwyt zdobi niezdarnie wyrzeźbiony tajemniczy symbol.

PROROK: Znaków przeróżnych pojawia się co niemiara. W Incusus urodziło się cięle bez głowy, za to z dwoma pyskami na kolanach. Pewnej kobiecie przyśniło się, że jest w ciąży z psem, ubiegłej nocy ulewa gwiazd spadała z sykiem na południowy lód, a prorocy chodzą i opowiadają o tych dziwach.

AUTARCHA: Ty też jesteś prorokiem.

PROROK: Sam Autarcha widział ich na własne oczy!

AUTARCHA: Mój archiwista, człowiek doskonale znający historię tego miejsca, powiedział mi, że kiedyś zabito tutaj ponad stu proroków; niektórych ukamienowano, innych spalono, jeszcze innych rzucono na pożarcie dzikim bestiom albo utopiono. Paru nawet poprzybijano do drzwi jak uprzykrzone szkodniki. Teraz chciałbym dowiedzieć się od ciebie czegoś o przepowiadanych od dawna przybyciu Nowego Słońca. W jaki sposób to nastąpi i co będzie oznaczać? Mów, bo jeśli nie, to mój archiwista będzie mógł wzbogacić swoją opowieść o jeszcze jeden szczegół!

PROROK: Nie wiem, czy uda mi się cię zadowolić, ale spróbuję.

AUTARCHA: A więc nie wiesz?

PROROK: Wiem. Znam cię jednak jako człowieka mocno stąpającego po ziemi, zainteresowanego jedynie sprawami tego świata, który rzadko spogląda wyżej niż na gwiazdy.

AUTARCHA: Od trzydziestu lat uważam to za moją największą zaletę.

PROROK: A mimo to nawet ty musisz wiedzieć, że serce starego słońca pożera robak. W samym jego środku materia zapada się w sobie, jakby tam była dziura bez dna.

AUTARCHA: Moi astronomowie od dawna mi o tym mówią.

PROROK: Wyobraź sobie jabłko gnijące od środka. Z zewnątrz wydaje się soczyste i zdrowe, aż do chwili, kiedy zgnilizna dotrze do skórki.

AUTARCHA: To porównanie przychodzi do głowy każdemu człowiekowi, który przeżył już ponad połowę życia, a mimo to nadal czuje się rześki i zdrowy.

PROROK: Tyle więc o starym słońcu. Ale co z pożerającym je robakiem? Co o nim wiemy, z wyjątkiem tego, że zabiera Urth ciepło i światło, a w ostatecznym rozrachunku także życie?

Zza sceny dobiegają odgłosy walki. Rozlega się okrzyk bólu, a zaraz potem donośny huk, jakby ktoś strącił na ziemię dużą wagę.

AUTARCHA: Wkrótce dowiemy się, o co w tym zamieszaniu chodzi. Mów dalej, Proroku.

PROROK: Otóż wiemy już, że jest czymś więcej, a mianowicie rozdarcie w naszym wszechświecie, dziurą w jego strukturze, w której obowiązują nieznane nam prawa. Nic z niej nie wychodzi, natomiast wszystko, co tam wpadnie, ginie bez śladu. Mimo to w każdej chwili może się coś pojawić, ponieważ ze wszystkich rzeczy, jakie istnieją na świecie, tylko ona jedna nie jest jego niewolnikiem.

Wchodzi zakrwawiony SEN, popychany pikami przez żołnierzy, którzy pozostają za sceną.

AUTARCHA: A cóż to za nieszczęśnik?

PROROK: Dowód na to, o czym ci mówiłem. Od dawna panuje przekonanie, że w przyszłości stare słońce umrze, niszcząc przy okazji Urth. Z jej grobu wyłonią się potwory, nowi ludzie, a także Nowe Słońce. Stara Urth rozkwitnie wtedy niczym motyl, który wydostał się z suchego kokonu, i stanie się Nową Urth, zwaną Ushas.

AUTARCHA: Wszystko, co znamy, przestanie istnieć? Ten starożytny pałac, w którym teraz jesteśmy? Ty? Ja?

SEN: Nic o tych sprawach nie wiem, ale słyszałem mądrego człowieka – który już wkrótce będzie ze mną spokrewniony – twierdzącego, że wyjdzie nam to na dobre. Jesteśmy tylko snami, a sny nie mają własnego życia. (Wyciąga rękę). Widzicie? Jestem ranny. Kiedy rana się zablizni, natychmiast zniknie. Czy powinna teraz powiedzieć zakrwawionymi wargami, że jest jej przykro z tego powodu? Próbuję jedynie wyjaśnić to, co powiedział ktoś inny, lecz wydaje mi się, że właśnie to miał na myśli.

(Zza sceny dobiega bicie dzwonów).

AUTARCHA: A cóż to znowu? Proroku, idź zobaczyć, kto i dlaczego urządził to zamieszanie.

(PROROK wychodzi).

SEN: Jestem pewien, że dzwony zaczęły witać Nowe Słońce. Ja sam często to robię. Zgodnie z naszą tradycją witając gościa, głośno ryczymy,

walimy się w piersi, a po to, by go uczcić, chwytamy największe głązy i rzucaamy je w przepaść. Jeżeli mnie uwolnicie, zrobię to jeszcze dziś rano i jestem pewien, że cała Urth się do mnie przyłączy. Nawet góry skoczą do morza, kiedy ujrzą wschodzące Nowe Słońce.

AUTARCHA: Skąd do nas przybyłeś? Powiedz mi, to cię uwolnię.

SEN: No, z mojej ojczyzny, na wschód od raj.

AUTARCHA: A gdzie to jest?

(SEN wskazuje na wschód).

AUTARCHA: A gdzie leży raj? W tym samym kierunku?

SEN: No... tutaj jest raj. Jesteśmy w raj.

(Wchodzi GENERALISSIMUS. Zbliża się marszowym krokiem do tronu i saltuje).

GENERALISSIMUS: Autarcho, zgodnie z twoim rozkazem przeszukaliśmy tereny rozciągające się nad Domem Absolutu. Znaleźliśmy hrabinę Carinę, a ponieważ obrażenia, jakich doznała, okazały się niegroźne, została odprowadzona pod eskortą do swoich apartamentów. Pojmaliśmy także olbrzyma, którego widzisz przed sobą, kobietę obwieszoną biżuterią oraz dwóch kupców.

AUTARCHA: A co z nagim mężczyzną i jego żoną?

GENERALISSIMUS: Przepadli bez śladu.

AUTARCHA: Szukajcie dalej, ale tym razem przyłóżcie się do pracy.

GENERALISSIMUS (saltuje): Jak sobie życzysz, panie.

AUTARCHA: I przyslijcie tutaj kobietę w biżuterii.

SEN próbuje zejść ze sceny, ale powstrzymują go piki. GENERALISSIMUS wyciąga pistolet.

SEN: Nie jestem wolny?

GENERALISSIMUS: Skądże znowu!

SEN (do Autarchy): Powiedziałem ci, gdzie leży mój kraj. Na wschód stąd.

GENERALISSIMUS: Tam jest znacznie więcej niż tylko twój kraj. Dobrze znam te tereny.

AUTARCHA (ze znużeniem): Powiedział całą prawdę, jaką znał. Być może jest to jedyna prawda.

SEN: A więc mogę odejść.

AUTARCHA: Myślę, że ten, kogo pragniesz powitać, przybędzie bez względu na to, czy będziesz wolny, czy nie. Istnieje jednak niewielka szansa, że tak się nie stanie, a poza tym istoty takie jak ty w żadnym wypadku nie powinny być wypuszczane na swobodę. Nie możesz odejść ani teraz, ani później.

SEN ucieka ze sceny, ścigany przez GENERALISSIMUSA. Słychać strzały, krzyki i łomoty. Sylwetki otaczające AUTARCHĘ nikną. Zgiełk narasta, gdyż ponownie rozlega się bicie dzwonów. SEN wraca z oparzeliną po laserowym promieniu na policzku. AUTARCHA bije go berłem. Po każdym uderzeniu rozlega się eksplozja i tryskają pióropusze iskier. SEN chwyta AUTARCHĘ i zamierza cisnąć nim o ziemię, kiedy zjawiają się dwa DEMONY przebrane za kupców, powalają go i osadzają AUTARCHĘ z powrotem na tronie.

AUTARCHA: Dziękuję wam. Zostaniecie hojnie wynagrodzeni. Porzuciłem już nadzieję, że moje straże mnie uratują, i widzę, że miałem całkowitą rację. Czy mogę wiedzieć, kim jesteście?

PIERWSZY DEMON: Twoje straże nie żyją. Olbrzym roztrzaskał ich czaszki o ściany i połamał kręgosłupy na kolanie.

DRUGI DEMON: Jesteśmy tylko zwykłymi kupcami. Pojmali nas twoi żołnierze.

AUTARCHA: To oni powinni wziąć się do handlu, wy zaś winniście zająć ich miejsce! Dysponujecie zdumiewającą siłą, zważywszy, że obaj jesteście dość skromnej postury.

PIERWSZY DEMON (*kłania się*): Naszą siłę zawdzięczamy władcy, któremu służymy.

DRUGI DEMON: Z pewnością zastanawiasz się, skąd my, dwaj zwykli handlarze niewolników, znaleźliśmy się nocą na twojej ziemi. Otóż przybyliśmy tu, żeby cię ostrzec. Podczas naszych podróży zapuściliśmy się w rozciągające się na północy dżungle i tam, w starożytnej świątyni tak bardzo zrujnowanej i pokrytej roślinnością, że przypomina raczej niewielki zielony pagórek, rozmawialiśmy ze starym szamanem, który przepowiedział, iż już niedługo staniesz twarzą w twarz z wielkim niebezpieczeństwem.

PIERWSZY DEMON: Uzyskawszy tę wiadomość, co tchu ruszyliśmy w drogę, aby powiadomić cię, zanim będzie za późno. Jak się okazało, dotarliśmy w ostatniej chwili.

AUTARCHA: Co muszę uczynić?

DRUGI DEMON: Świat, który jest bliski zarówno nam, jak i tobie, krąży wokół słońca od tak dawna, że powrozy trzymające go na uwięzi zmurszały, a gdzieniegdzie stały się już cienkie jak nici.

PIERWSZY DEMON: Kontynenty przypominają stare kobiety, bezpłodne i pozbawione resztek dawnej urody. Zbliża się Nowe Słońce...

AUTARCHA: Wiem!

PIERWSZY DEMON: ...a kiedy przybędzie, ciśnie je do morza jak

stoczone przez korniki okręty.

DRUGI DEMON: Spod fal wydobędzie zaś nowe, lśniące złotem, srebrem, żelazem i miedzią, wysadzone diamentami, rubinami i turkusami, pokryte grubą warstwą żyznej gleby, splukiwanej przez tysiąclecia do morza przez płynące bez ustanku rzeki.

PIERWSZY DEMON: Przygotowywana jest nowa rasa, która zaludni te łądy. Ludzkość, którą znasz, zniknie, tak jak trawa porastająca step zniknie pod ostrzem pługa, ustępując miejsca zbożu.

DRUGI DEMON: Ale co by się stało, gdyby przed siewem ziarno zostało spalone? Co wtedy? Wysoki mężczyzna i szczupła kobieta, których spotkałeś nie tak dawno temu, są właśnie takim ziarnem. Kiedyś można było mieć nadzieję, że uda się je zatruć na polu, lecz ta, którą wysłano, aby tego dokonała, straciła ziarno z oczu wśród martwej trawy i brył ziemi, a za kilka niewinnych sztuczek trafiła w ręce twojego Inkwizytora. Mimo to istnieje jeszcze szansa na spalenie ziarna.

AUTARCHA: Pomysł, który mi podsuwacie, przyszedł mi do głowy już dawno temu.

PIERWSZY DEMON I DRUGI DEMON (*razem*): Oczywiście!

AUTARCHA: Ale czy śmierć tych dwojga istotnie powstrzyma przyście Nowego Słońca?

PIERWSZY DEMON: Nie. Naprawdę pragnąłbyś tego? Przecież te nowe ziemie będą twoje.

Na ekranach pojawiają się porośnięte lasami wzgórza i miasta pnące się ku niebu niezliczonymi wieżami. AUTARCHA odwraca się, przygląda się przez chwilę, po czym wydobywa z kieszeni komunikator.

AUTARCHA: Oby Nowe Słońce nigdy nie dowiedziało się o tym, co tu robimy... Okręty! Skierujcie na nas ogień i prowadźcie go tak długo, aż zostanie tylko spalona ziemia!

DEMONY odchodzą, pojawia się SEN. Z ekranów znikają wzgórza i miasta, ustępując miejsca zwielenionemu obliczu AUTARCHY. Na scenie zapada ciemność.

Kiedy światła ponownie się zapalają, na środku sceny za wielkim biurkiem siedzi INKWIZYTOR. Obok stoi jego POMOCNIK w stroju kata i masce na twarzy. Dookoła widać różne narzędzia tortur.

INKWIZYTOR: Bracie, wprowadź kobietę, na której ciąży podejrzenie, że jest wiedźmą.

POMOCNIK: Za drzwiami czeka Hrabina, a ponieważ pochodzi ze szlacheckiego rodu i jest faworytą naszego władcy, proszę cię, abyś zechciał najpierw zająć się jej sprawą.

Wchodzi HRABINA.

HRABINA: Słyszałam, co powiedziałaś, a ponieważ przypuszczałam, Inkwizytorze, że nie pozostaniesz głuchy na tę prośbę, ośmieliłam się wejść, nie czekając na wezwanie. Czy uważasz to za zuchwałość z mojej strony?

INKWIZYTOR: Bawisz się słowami, Hrabino. Owszem, tak właśnie uważam.

HRABINA: W takim razie mylisz się. Już osiem lat przebywam w Domu Absolutu. Kiedy po raz pierwszy krew popłynęła z moich łądźwi i matka przyprowadziła mnie tutaj, ostrzegła mnie, abym nigdy nie zbliżała się do twoich apartamentów, gdzie krew płynie bezustannie, nie zważając na fazy księżyca. Postąpiłam zgodnie z jej radą i oto jestem tu po raz pierwszy, drżąc z lęku.

INKWIZYTOR: Dobrzy ludzie nie mają się czego lękać. Jednak to, co mówisz, potwierdza tylko, że jesteś zuchwałą.

HRABINA: A czy jestem dobra? Czy ty jesteś dobry? A on? Mój spowiednik z pewnością poinformowałby cię, że nie jestem. Czy twój mówi ci to samo? A może za bardzo się boi? Co byś zrobił, gdyby okazało się, że twój pomocnik jest lepszy od ciebie?

POMOCNIK: Nie chciałbym, aby tak było.

HRABINA: Nie jestem zuchwałą, podobnie jak nie jestem tutaj bezpieczna. Tylko strach zmusił mnie, bym zeszła do tych ponurych komnat. Z pewnością już wiesz o nagim mężczyźnie, który mnie uderzył. Czy został schwytany?

INKWIZYTOR: Nie przyprowadzono go tutaj.

HRABINA: Niecałą wachtę temu żołnierze znaleźli mnie w ogrodzie jęczącą z bólu. Moja służąca próbowała mi jakoś pomóc, ale na próżno. Ponieważ bałam się zostać na zewnątrz w ciemności, zanieśli mnie do mojego apartamentu tak zwaną Powietrzną Drogą. Znasz ją?

INKWIZYTOR: Nawet dość dobrze.

HRABINA: W takim razie wiesz, że jest to galeria z mnóstwem okien, przez które światło dociera do sąsiadujących z nią pomieszczeń. W jednym z nich dostrzegłam jakiegoś wysokiego mężczyznę o szerokich ramionach i wąskiej talii.

INKWIZYTOR: Jest wielu takich mężczyzn.

HRABINA: Też tak pomyślałam. Jednak zaraz po tym ta sama postać pojawiła się w następnym oknie... i jeszcze następnym... Błagałam niosących mnie żołnierzy, żeby zaczęli do niego strzelać, ale oni pomyśleli, że oszalałam, i nie uczynili tego. Dwóch poszło, żeby go

pojąć, lecz wrócili z pustymi rękami, a on wciąż przyglądał mi się z kolejnych okien i wydawał się lekko falować.

INKWIZYTOR: Więc uważasz, że to był ten sam człowiek, który cię uderzył?

HRABINA: Gorzej. Boję się, że to nie był on, choć bardzo go przypominał. Poza tym teraz na pewno nie wyrządziłby mi żadnej krzywdy, gdyż odnosiłabym się z szacunkiem do jego szaleństwa. Nie... Tej niezwykłej nocy, kiedy my, zniszczone zimą pozostałości zeszłorocznych zasiewów, dostrzegamy nagle wokół siebie nowe kielkujące zboże, obawiam się, że był to ktoś inny, o kim nic nie wiemy.

INKWIZYTOR: Jest to całkiem możliwe, ale tutaj go nie znajdziesz, podobnie jak człowieka, który cię uderzył. *(Do POMOCNIKA):* Wprowadź wiedźmę, bracie.

POMOCNIK: Wszystkie nimi są, choć niektóre bywają gorsze od innych.

Wychodzi, by po chwili powrócić, prowadząc na łańcuchu MESCHIANE.

INKWIZYTOR: Jesteś oskarżona o rzucenie czaru na siedmiu żołnierzy naszego Autarchy, w wyniku czego odrzucili wiążącą ich przysięgę i zwrócili broń przeciwko swoim towarzyszom oraz oficerom. *(Wstaje i zapala grubą świecę stojącą na biurku.)* Radzę ci, abyś bezzwłocznie przyznała się do winy, a także wyznała, z czyjego rozkazu to zrobiłaś, oraz podała nazwiska tych, którzy nauczyli cię tej sztuki.

MESCHIANE: Żołnierze wiedzieli, że nie zrobiłam nic złego, lecz mimo to obawiali się mnie, więc...

POMOCNIK: Cisza!

INKWIZYTOR: Pod uwagę mogą być brane jedynie te zeznania oskarżonego, które złożył przymuszony perswazją. Mój pomocnik zajmie się tobą.

Pomocnik chwyta MESCHIANE i przywiązuje ją do jednego z narzędzi tortur.

HRABINA: Tak niewiele czasu pozostało do końca świata, że nie będę traciła go na przypatrywanie się temu, co z nią robicie. Czy jesteś przyjaciółką nagiego mężczyzny z ogrodu? Kiedy go odnajdę, powiem mu o twoim losie.

MESCHIANE: O, zrób to! Mam nadzieję, że zjawi się, zanim będzie za późno.

HRABINA: A ja mam nadzieję, że zgodzi się, bym zajęła twoje miejsce. Bez wątpienia nie spełni się żadne z naszych pragnień i już wkrótce obie

będziemy jednakowo pogrążone w rozpacz. (*Wychodzi*).

INKWIZYTOR: Ja także pójde porozmawiać z tymi, którzy ją uratowali. Przygotuj więźnia, gdyż wkrótce wrócę.

POMOCNIK: Jest jeszcze jedna, Inkwizytorze. Oskarżono ją o podobne występki, choć może nieco mniejszej wagi.

INKWIZYTOR: Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś? Mógłbym zająć się obiema naraz. Wprowadź ją.

POMOCNIK wychodzi, a po chwili wraca z JAHI. INKWIZYTOR grzebie w papierach na biurku.

INKWIZYTOR: Jesteś oskarżona o rzucenie czaru na siedmiu żołnierzy naszego Autarchy, w wyniku czego odrzucili wiążącą ich przysięgę i zwrócili broń przeciwko swoim towarzyszom oraz oficerom. Radzę ci, abyś bezzwłocznie przyznała się do winy, a także wyznała, z czyjego rozkazu to zrobiłaś, oraz podała nazwiska tych, którzy nauczyli cię tej sztuki.

JAHI (wyniośle): Uczyniłam wszystko, o co mnie oskarżasz, a także dużo więcej. Potęga, której nazwy nie śmiem wymienić, postanowiła zniszczyć to szczyrze gniazdo. Kto mnie nauczył? A kto uczy dziecko polegać na ojcu?

POMOCNIK: Matka?

INKWIZYTOR: Nie mam pojęcia. Ją także przygotuj. Wkrótce będę z powrotem. (*Wychodzi*).

MESCHIANE: A więc za ciebie także walczyli? To straszne, że tak wielu musiało umrzeć.

POMOCNIK (*przywiązuje JAHI do narzędzia po drugiej stronie biurka*): Przeczytał jeszcze raz twoje oskarżenie. Kiedy wróci, zwrócę mu na to uwagę – bardzo delikatnie, ma się rozumieć.

JAHI: Naprawdę rzuciłaś urok na żołnierzy? W takim razie zrób to samo z tym głupcem i każ mu nas uwolnić.

MESCHIANE: Nie znam aż tak silnych zaklęć.

Wchodzi SEN, popychany ostrzem piki przez PIERWSZEGO ŻOŁNIERZA.

POMOCNIK: Co to jest?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Więzień, jakiego jeszcze nigdy nie miałeś. Zabił stu ludzi tak łatwo, jakby to były szczenięta. Czy masz wystarczająco duże kajdany, żeby go zakuć?

POMOCNIK: Będę musiał połączyć kilka par, ale dam radę.

SEN: Nie jestem człowiekiem, lecz czymś mniej i więcej zarazem, zrodzonym z gliny, z matki Gei, której ulubieńcami są najstraszliwsze

bestie. Jeśli wasza władza rozciąga się tylko na ludzi, to musicie mnie uwolnić.

JAHİ: My także nie jesteśmy ludźmi. Puśćcie nas!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ (*śmieje się*): Wiem, wiem. Ani przez chwilę nie miałem co do tego wątpliwości.

MESCHIANE: Ona nie jest kobietą, jeśli o to ci chodzi. Nie dajcie się zwieść.

POMOCNIK (*zakłada SNOWI kajdany*): Nie damy, możesz być spokojna. Wierz mi, pora magicznych sztuczek już minęła.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Na pewno będziesz się dobrze bawiła, kiedy sobie pójdę.

Poklepuje JAHİ, która pluje na niego.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ: Czy byłbyś tak dobry i odwrócił się na chwilę?

POMOCNIK (*przygotowuje się do torturowania MESCHIANY*): Gdybym był tak dobry, pewnego dnia z pewnością zostałbym połamany własnym kołem. Jeżeli jednak mój mistrz zastanie cię tu po powrocie, zaręczam ci, że zgodnie ze swoim życzeniem będziesz leżał obok niej.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ waha się, a następnie pośpiesznie wychodzi, uświadomiwszy sobie, co znaczą słowa POMOCNIKA.

SEN: Ta kobieta będzie matką mojego zięcia. Nie rób jej krzywdy. (Napina łańcuchy).

JAHİ (*tłumiąc ziewnięcie*): Nie spałam całą noc i choć duch we mnie nadal chętny, to ciało domaga się odpoczynku. Czy nie mógłbyś uwinąć się z nią szybciej i zabrać się do mnie?

POMOCNIK (*nie patrząc na nią*): Tutaj nie ma odpoczynku.

JAHİ: Naprawdę? Cóż, w takim razie nie będę mogła czuć się jak w domu. (Ponownie ziewa, a kiedy podnosi rękę, by zasłonić usta, kajdany zsuwają się na ziemię).

MESCHIANE: Musisz ją trzymać. Nie wydała jej ziemia, więc żelazo nie ma nad nią żadnej władzy.

POMOCNIK (*nie odrywając wzroku od torturowanej MESCHIANE*): Nie obawiaj się, nie ucieknie.

MESCHIANE: Olbrzymie, czy możesz się uwolnić? Od tego zależą losy świata!

SEN napina łańcuchy, lecz te nie chcą puścić.

JAHİ (*zrzuca pęta*): Tak! Ja ci odpowiadam, ponieważ w prawdziwym świecie jestem o wiele większa od każdego z was. (*Obchodzi biurko i zagląda POMOCNIKOWI przez ramię*). Bardzo interesujące! Może nieco prymitywne, ale interesujące.

POMOCNIK odwraca się i wytrzeszcza oczy, a ona ucieka, głośno się śmiejąc. POMOCNIK rzuca się w pogoń, lecz po chwili wraca przygnębiony.

POMOCNIK (*sapiąc*): Uciekła...

SEN: Tak. Wolna.

MESCHIANE: Teraz odnajdzie Meschię i wszystko zniszczy, tak jak kiedyś.

POMOCNIK: Nie zdajecie sobie sprawy, co to oznacza. Wkrótce wróci mój mistrz. Jestem już trupem.

SEN: Świat też już nie żyje. Powiedziała ci przecież.

MESCHIANE: Kacie, została ci tylko jedna szansa. Posłuchaj mnie uważnie: musisz uwolnić olbrzyma.

POMOCNIK: A on mnie zabije, po czym uwolni ciebie. Zastanowię się nad tym. Przynajmniej byłaby to szybka śmierć.

MESCHIANE: On nienawidzi Jahi, a choć nie jest mądry, z pewnością wie, gdzie jej szukać; w dodatku dysponuje ogromną siłą. Co więcej, mogę ci zdradzić, co powinienesz uczynić, aby był ci posłuszny. Daj mu klucz do kajdan, po czym przyłóż mi miecz do karku i każ mu przysiąc, że odnajdzie Jahi, a wtedy wróci tu i sam założy sobie pęta.

POMOCNIK się waha.

MESCHIANE: Nie masz nic do stracenia. Twój mistrz nawet nie wie o uwięzieniu olbrzyma, ale jeśli po powrocie nie zostanie tu tamtej kobiety...

POMOCNIK: Dobrze, zrobię to! (*Odpina klucz od pasa*).

SEN: Przysięgam na moją nadzieję, na połączenie przez małżeństwo z rodziną człowieka, przez co my, olbrzymy, będziemy mogli zwać się Synami Ojców, że pojmę dla ciebie tego złego ducha, sprowadzę go tutaj, przytrzymam, aby nie mógł już uciec, i ponownie założę sobie kajdany.

POMOCNIK: Czy to była ta przysięga?

MESCHIANE: Tak.

POMOCNIK rzuca SNOWI klucz, po czym wyciąga miecz i trzyma go nad głową MESCHIANY.

POMOCNIK: Myślisz, że mu się uda?

MESCHIANE: Musi się udać!

SEN (*zdejmuje kajdany*): Złapię ją. Jej ciało staje się coraz słabsze, jak sama powiedziała. Będzie je chłostać, zmuszając do wysiłku, ale nie wie, że sama chłosta czasem nie wystarczy. (*Wychodzi*).

POMOCNIK: Muszę znowu się tobą zająć. Mam nadzieję, że sama rozumiesz...

POMOCNIK torturuje MESCHIANE, która wzywa pomocy.

POMOCNIK (*sotto voce*): Jakaż ona piękna! Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach.

Na scenie zapada ciemność. Słysząc tupot stóp biegnącej JAHI. Po pewnym czasie w słabym świetle pojawia się SEN pędzący wielkimi susami przez korytarze Domu Absolutu. Na ekranach pojawiają się coraz to nowe rzeźby, obrazy i meble. Nagle spomiędzy nich wyłania się JAHI. SEN rzuca się w jej kierunku i zbiega ze sceny. JAHI wchodzi na scenę z lewej strony. Tuż za nią podąża DRUGI DEMON.

JAHI: Gdzie on się podział? W ogrodach zapadła już ciemność. Ty nie masz prawdziwego ciała, nie mógłbyś więc przybrać postaci sowy i odszukać go dla mnie?

DRUGI DEMON (*udaje zdumienie*): Kogo?

JAHI: Meschie! Poczekaj tylko, aż Ojciec dowie się, jak mnie traktowałeś, i że przez ciebie nasze wysiłki spełzyły na niczym.

DRUGI DEMON: Od kogo ma się tego dowiedzieć? Od ciebie? Przecież to ty opuściłaś Meschie, zwabiona przez tę kobietę. Co mu powiesz? „Uległam pokusie”? Nie robiliśmy tego już tak dawno, że chyba tylko ty i ja pamiętamy jeszcze, co to oznacza, a teraz ty zepsułaś znakomite kłamstwo, sprawiając, że stało się prawdą!

JAHI (*raptownie odwraca się do niego*): Ty mały, obrzydliwy szpiclu! Ty paskudny podglądaczu!

DRUGI DEMON (*odskakuje*): Zostaniesz za to zesłana do Krainy Snu, na wschód od Raju.

Za sceny dobiega odgłos kroków SNU. JAHI kryje się za klepsydrą, DRUGI DEMON zaś wyczarowuje z powietrza pikę i staje na baczność. Wchodzi SEN.

SEN: Jak długo już tu stoisz?

DRUGI DEMON (*salutuje*): Jak długo zechcesz, sieur.

SEN: Są jakieś nowiny?

DRUGI DEMON: Co tylko zechcesz, sieur. Olbrzym wielki jak wieża zabił kilku strażników, Autarcha zaś przepadł bez śladu. Tak często przeszukiwaliśmy ogrody, że gdybyśmy nosili nawóz zamiast broni, stokrotki byłyby już wielkości parasoli. Kaczki latają wysoko, podobnie jak ludzkie nadzieje, rzepa udała się jak nigdy dotąd. Jutro będzie piękna pogoda... (spogląda znacząco na klepsydrę) ...a naga kobieta biega po całym pałacu.

SEN: Co to jest?

DRUGI DEMON: Zegar wodny, sieur. Wiedząc, która godzina, możesz

dzięki niemu przekonać się, jak wiele wody upłynęło.

SEN (*przygląda się uważnie klepsydrze*): W moim kraju nic takiego nie ma. Czy te kukielki są poruszane właśnie przez wodę?

DRUGI DEMON: Wszystkie z wyjątkiem tej dużej, sieur.

JAHİ *zbiega ze sceny, uciekając przed SNEM, ale zanim zniknie publiczności z oczu, zawraca, przemyka mu między nogami i ponownie wbiega na scenę. Olbrzym zjawia się dopiero po pewnej chwili, dzięki czemu JAHİ może ukryć się w kufrze. Tymczasem DRUGI DEMON znika.*

SEN: Hej, stój! (*Przebiega przez scenę, po czym wraca*). To moja wina, moja! W ogrodzie przechodziła tak blisko mnie, że wystarczyło wyciągnąć ręce, a mógłbym ją zgnieść jak kota... jak robaka... jak mysz... jak węża. (*Zwraca się do widowni*). Nie śmiejcie się ze mnie! Mógłbym was wszystkich zabić! Całą waszą obrzydliwą rasę! Och, doliny wypełniłyby się waszymi białymi kośćmi... Ale teraz już ze mną koniec, a Meschiane, która mi zaufała, jest zgubiona!

Rozbija klepsydrę. Miedziane części rozsypują się po scenie, leje się woda.

SEN: Na cóż mi dar mowy, prócz tego, że mogę samego siebie przeklinać. Dobra matko wszystkich bestii, odbierz mi go! Stanę się na powrót tym, czym byłem, i znowu będę krzyczał bezgłośnie wśród wzgórz. Rozum mi mówi, że rozum daje tylko ból. Och, jakże mądrzy są ci, którzy zapominają i zaraz potem znowu są szczęśliwi.

Siada na kufrze, w którym ukrywa się JAHİ, i zakrywa twarz dłońmi. Światło przygasa, a kufer zaczyna pod jego ciężarem trzeszczeć. Kiedy znowu robi się jasno, scena ponownie przedstawia komnatę INKWIZYTORA. MESCHIANE jest poddawana torturom. POMOCNIK kręci kołem, kobieta przeraźliwie krzyczy.

POMOCNIK: Teraz poczułaś się lepiej, prawda? Mówiłem ci, że tak będzie. Dzięki temu sąsiedzi wiedzą, że nie śpimy. Nie uwierzyłybyś, ale w tym skrzydle znajduje się mnóstwo pustych pomieszczeń. Zostaliśmy tylko mój mistrz i ja. Nadal wykonujemy to, co do nas należy, i dzięki temu Wspólnota jeszcze trwa. Chcemy więc, aby wszyscy o tym wiedzieli.

Wchodzi AUTARCHA w podartych, poplamionych krwią szatach.

AUTARCHA: Co to za miejsce? (*Siada na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach, podobnie jak niedawno uczynił to SEN*).

POMOCNIK: Jakie miejsce? To przecież Komnata Miłosierdzia, ty łachudro! W jaki sposób zdołałeś tu dotrzeć, skoro nie wiedziałeś, dokąd idziesz?

AUTARCHA: Tej nocy ścigano mnie po całym domu, mogłem więc znaleźć się gdziekolwiek. Dajcie mi trochę wina – albo wody, jeśli nie macie wina – i zabarykadujcie drzwi.

POMOCNIK: Mamy tylko krew, a jeśli chodzi o drzwi, to ani myślę ich barykadować, gdyż lada chwila spodziewam się powrotu mistrza.

AUTARCHA (z naciskiem): Rób, co ci każę!

POMOCNIK (łagodnie): Za dużo wypiełeś, przyjacielu. Idź sobie.

AUTARCHA: Jestem... Zresztą jakie to ma znaczenie? Koniec już się zbliża. Nie byłem człowiekiem ani gorszym, ani lepszym od was.

W oddali słychać kroki zbliżającego się SNU.

POMOCNIK: Nie udało mu się! Wiedziałem, że tak będzie.

MESCHIANE: Właśnie, że mu się udało! W przeciwnym razie nie wróciłby tak szybko. Może jeszcze uda się uratować świat!

AUTARCHA: O czym ty mówisz?

Wchodzi SEN. Jego błagania o szaleństwo zostały spełnione, lecz mimo to ciągnie za sobą JAHİ. POMOCNIK podbiega z kajdanami.

MESCHIANE: Ktoś musi ją trzymać, bo w przeciwnym razie znowu ucieknie.

POMOCNIK oplątuje SEN łańcuchami i zatrzaskuje zamki, po czym unieruchamia jego ramiona w taki sposób, że olbrzym trzyma JAHİ w objęciach. SEN wzmacnia uścisk.

POMOCNIK: On ją zabije! Puszczaj, ty góro mięsa!

POMOCNIK chwyta metalowy pręt i zaczyna okładać nim SEN, który wydaje potworny ryk, próbuje go złapać i pozwala nieprzytomnej JAHİ osunąć się na ziemię. POMOCNIK łapie ją za nogę, po czym ciągnie w kierunku AUTARCHY.

POMOCNIK: Dobra, ty też się nadasz.

Błyskawicznie pęta AUTARCHĘ w taki sposób, że jedna jego ręka jest zaciśnięta na przegubie JAHİ, po czym dalej torturuje MESCHIANE. Za jego plecami SEN uwalnia się z łańcuchów.

rozdział 25

Bitwa z hierodulami

Mimo iż przedstawienie odbywało się na otwartym powietrzu, gdzie dźwięki łatwo rozplývają się w bezkresnych przestrzeniach, wyraźnie usłyszałem hałas, z jakim Baldanders wyswobadzał się z więzów. Słyszałem także rozmowy dobiegające z widowni. Jedna dotyczyła samego przedstawienia (dowiedziałem się z niej o zawartych w nim aluzjach, których istnienia nie tylko ja nie podejrzewałem, ale zapewne także doktor Talos), druga zaś jakiejś sprawy sądowej, w której Autarcha – zdaniem człowieka mówiącego z arystokratyczną manierą w głosie – z całą pewnością podejmie błędną decyzję. Wykonując kolejny obrót skrzypiącym kołem, odważyłem się rzucić ukradkowe spojrzenie na tych, którzy przybyli nas oglądać.

Zajętych było nie więcej niż dziesięć miejsc siedzących, ale wiele wysokich postaci stało z lewej i prawej strony widowni, a także za nią. Dostrzegłem kilka kobiet w sukniach bardzo podobnych do tych, jakie swego czasu widziałem w Lazurowym Pałacu: z głębokimi dekolami i suto marszczonymi spódnicami, często składającymi się niemal z samych koronek. Kobiety miały proste fryzury, lecz przystrojone kwiatami lub klejnotami.

Zdecydowaną większość widzów stanowili jednak mężczyźni, a z każdą chwilą przybywało ich coraz więcej. Niektórzy byli równie wysocy jak Vodalus albo nawet wyżsi od niego. Stali owinięci szczelnie płaszczami, jakby lękali się podmuchów ciepłego wiosennego wiatru. Nie mogłem dostrzec ich twarzy ukrytych pod rozłożystymi kapeluszami.

Kajdany Baldandersa upadły z łoskotem na scenę, a Dorcas krzyknęła przeraźliwie na znak, że olbrzym jest już wolny. Odwróciłem się gwałtownie, po czym złapałem najbliższą pochodnię i zacząłem się

cofać, zasłaniając się nią przed nim jak tarczą.

Baldanders znakomicie odgrywał rolę szaleńca. Zmierzwione włosy opadły mu na oczy, które płonęły tak dziko, że bez trudu mogłem je dostrzec. Z ust kapąca mu ślina, między wargami błyskały wielkie pożółkłe zęby, a ramiona co najmniej dwa razy dłuższe od moich wysunęły się w moją stronę.

Tym jednak, co naprawdę mnie przerażyło – a przyznaję, że byłem tak przerażony, iż żałowałem, że zamiast pochodni nie ściskam w dłoni rękojeści Terminus Est – był wyraz jego twarzy. Widziałem go tak, jak się czasem widzi ciemną wodę pod cienką warstwą świeżego lodu. Baldanders nie posiadał się z zachwytu, że może robić to, co właśnie robi, a stojąc z nim twarzą w twarz, uświadomiłem sobie po raz pierwszy, iż nie tyle udaje szaleńca na scenie, co raczej normalnego, skromnego człowieka poza nią. Przyszło mi wówczas do głowy pytanie, jak wielki był jego wpływ na treść sztuki, choć prawda mogła wyglądać również w ten sposób, że doktor Talos po prostu znał i rozumiał swego pacjenta znacznie lepiej niż ja.

Rzecz jasna nie zamierzaliśmy przerazić dworzan Autarchy, tak jak czyniliśmy to z prostymi ludźmi. Scena miała zakończyć się w ten sposób, że Baldanders wyrwie mi pochodnię i uda, że łamie mi kark. On jednak tego nie uczynił. Nie wiem, czy jego prawdziwa wściekłość dorównywała udawanej, czy też może rozgniewała go nasza publiczność. Przypuszczalnie i jedno, i drugie.

Olbrzym wyszarpnął mi pochodnię z ręki, a następnie rzucił się ku widzom, wymachując płonącym drzewcem i rozsiewając dokoła snopy iskier. Instynktownie schyliłem się po leżący u moich stóp miecz, którym niedawno groziłem Dorcas, ale kiedy się wyprostowałem, Baldanders znajdował się już wśród widzów. Pochodnia zgasła, posługiwał się więc nią jak maczugą.

Ktoś strzelił z pistoletu. Pocisk zapalił kostium olbrzyma, lecz nie dosięgnął ciała. Kilku arystokratów obnażyło miecze, a ktoś – nie byłem w stanie stwierdzić kto – użył najrzadziej spotykanej broni, to znaczy snu. Przypominał ciężki, smolisty dym, lecz poruszał się znacznie szybciej i w okamgnieniu spowił Baldandera od stóp do głów. Odniosłem wrażenie, jakby olbrzym znalazł się w samym środku czegoś, co było przeszłością, a jednocześnie nigdy się nie zdarzyło: z ciemnego obłoku wychynęła jakaś siwowłosa kobieta, w powietrzu pojawiła się na chwilę rybacka łódź, a lodowaty wiatr ugasił płomień pożerający kostium.

Lecz wizje, które pozbawiają żołnierzy ochoty do walki i czynią ich bezbronnymi wobec nieprzyjaciela, nie zrobiły na Baldandersie najmniejszego wrażenia. Nadal kroczył naprzód, torując sobie drogę uderzeniami maczugi.

Tuż przed tym, jak rzuciłem się do ucieczki (gdyż szybko doszedłem do wniosku, iż nie pozostaje mi nic innego, jak oddalić się z miejsca bezsensownej walki), zobaczyłem, jak kilka postaci zrzuca kapelusze oraz ukryte do tej pory w głębokim cieniu twarze. Spod nich – wydawały się zrobione z równie niematerialnej substancji jak notule – wyłoniły się potworności, jakich istnienia nigdy bym nie podejrzewał: okrągłe usta, pełne ostrych niczym szpilki zębów, oczy złożone z tysiąca mniejszych oczu, stłoczonych jak łuski na szyszce, szczęki przypominające szczypce. Maskary te pozostały w mojej pamięci, podobnie jak wszystko, co kiedykolwiek widziałem, i mogłem je potem jeszcze wiele razy oglądać w najciemniejszych mrokach nocy. Zawsze cieszę się, zwracając wzrok ku gwiazdom lub przesączonym księżycowym blaskiem obłokom, że dostrzegłem wówczas tylko kilka postaci stojących najbliżej oświetlonej sceny.

Powiedziałem już, że uciekłem, ale niewiele brakowało, żebym drogo zapłacił za tych kilka chwil, jakie straciłem na podniesienie Terminus Est i obserwowanie szaleńczego ataku Baldandersa. Kiedy odwróciłem się, aby złapać Dorcas za rękę i odprowadzić ją w bezpieczne miejsce, już jej nie było.

Dopiero wtedy zbiegłem ze sceny. W gruncie rzeczy nie myślałem o tym, by uciec przed wściekłością Baldandersa, pretorianami Autarchy (których należało spodziewać się lada chwila) czy kakogenami z widowni, lecz o tym, żeby odnaleźć Dorcas. Biegąc przed siebie i wykrzykując głośno jej imię, mijałem kolejne fontanny, sadzawki i studnie ciągnącego się w nieskończoność ogrodu, aż wreszcie niemal bez tchu w piersi i na uginających się nogach zwolniłem kroku.

Nie jestem w stanie opisać żalu, jaki wówczas mnie ogarnął. Nie mogłem znieść myśli o tym, że odnalazłem Dorcas tylko po to, by ją utracić. Kobiety wierzą – albo przynajmniej często udają, że wierzą – iż czułość, jaką im okazujemy, bierze się z pożądania, i że kochamy je tylko dopóty, dopóki ich nie zdobędziemy, potem zaś zaspokojeni (albo raczej wyczerpani) odtrącamy je jak niepotrzebne sprzęty. Choć pogląd ten może wydawać się słuszny, to nie ma w nim ani odrobiny prawdy. Kiedy jesteśmy w stanie silnego podniecenia, potrafimy udawać wielką czułość, w nadziei, że podniecenie to zostanie zaspokojone. Jednocześnie

nigdy tak często jak wtedy nie traktujemy kobiet brutalnie i z pogardą, dążąc jedynie do zadośćuczynienia własnym żądom. Wędrując przez pogrążone w ciemności ogrody, nie odczuwałem wobec Dorcas fizycznego pożądania (mimo iż po raz ostatni cieszyłem się jej ciałem, kiedy spaliśmy w fortecy dimarchów w pobliżu Okrutnego Pola), ponieważ kilkakrotnie dałem upust swym chuciom z Jolentą w łodzi. Mimo to gdybym znalazł Dorcas, obsypałbym jej twarz pocałunkami, natomiast do Jolenty, której do tej pory raczej nie lubiłem, czułem jedynie coś w rodzaju na wpół obojętnej sympatii.

Nie spotkałem jednak żadnej z nich. Nie ujrzałem także ani żołnierzy, ani ludzi, których mieliśmy bawić. Wynikało z tego, że obchody urządzono jedynie w ściśle określonej części ogrodów, a ja znalazłem się daleko poza nią. Nawet teraz nie jestem pewien, jak wielki obszar zajmuje Dom Absolutu. Istnieją co prawda mapy, ale są niekompletne, a w dodatku często zawierają sprzeczne informacje. Jeżeli natomiast chodzi o Drugi Pałac, to nigdy nie było i nadal nie ma żadnych map przedstawiających przebieg tamtejszych korytarzy, a sam Ojciec Inire wspominał mi przy kilku okazjach, iż nawet on zdążył już zapomnieć o wielu jego tajemnicach. Wędrując jego wąskimi korytarzami, nigdy nie natrafiłem na białe wilki, znalazłem natomiast schody prowadzące do rozległych pomieszczeń ukrytych pod korytem rzeki oraz włązy, za którymi zaczynają się nieprzebyte lasy. (Niektóre z tych wejść można odnaleźć także z zewnątrz, gdyż są schowane w zrujnowanych, porośniętych chwastami marmurowych stelach). Kiedy zamykałem za sobą te włązy i niechętnie wracałem do świata wypełnionego sztucznym, przesyconym wonią rozkładu powietrzem, często zastanawiałem się, czy któreś z tajemnych przejść nie prowadzi do Cytadeli. Stary Ultan wspominał kiedyś, że jego biblioteka sięga aż do Domu Absolutu, czy nie można więc powiedzieć, że Dom Absolutu sięga do jego biblioteki? Niektóre rejony Drugiego Pałacu przypominają ślepe korytarze, w których szukałem Triskele. Całkiem możliwe, iż są to właśnie te korytarze, a jeśli tak jest naprawdę, to podjąłem wówczas znacznie większe ryzyko, niż mogłem przypuszczać.

Niezależnie od tego, jak wiele moje spekulacje mają wspólnego z rzeczywistością, wtedy kiedy działały się opisywane przeze mnie wydarzenia, nie zaprzętałem sobie nimi głowy. Z całą naiwnością przypuszczałem, że granice Domu Absolutu – które przebiegają zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, sięgając znacznie dalej, niż komukolwiek mogłoby się wydawać – są ściśle określone i że albo lada chwila je minę,

albo już to uczyniłem.

Szedłem przez całą noc, kierując się na północ. Aby zająć czymś myśli, odtwarzałem w pamięci swoje życie, a więc robiłem to, czego zawsze tak bardzo starałem się unikać przed zaśnięciem. Znowu Drotte, Roche i ja pływaliśmy w zbiorniku z wodą pod Wieżą Dzwonów; znowu zabrałem Josephy lalkę, a podłożyłem żywą żabę; znowu chwyciłem drzewce topora, który rozplątałby głowę wielkiemu Vodalusowi; znowu ujrzałem szkarłatną strużkę sączącą się spod drzwi celi Thecli, pochylającego się nade mną mistrza Malrubiusa, Jonasa niknącego w nieskończoności rozciągającej się między wymiarami; znowu bawiłem się kamykami na dziedzińcu w pobliżu wyłomu w murze.

Jeszcze długo po tym, jak minąłem ostatnią ozdobną balustradę, obawiałem się spotkania z żołnierzami Autarchy, jednak w miarę upływu czasu, kiedy nawet z daleka nie dostrzegłem choćby najmniejszego patrolu, zacząłem myśleć o nich z coraz większą pogardą, przypuszczając, że ich nieskuteczność bierze się z ogólnego nieporządku panującego we Wspólnocie. Byłem coraz bardziej pewien, że Vodalus rozprawi się z nimi niezależnie od tego, czy postanowię mu w tym pomóc; ba, mógłby dokonać tego nawet teraz, w tej chwili, gdyby tylko uderzył.

A jednak androgyn w żółtej szacie, który znał hasło podane mi przez Vodalusa i najwyraźniej oczekiwał od niego wiadomości, był na pewno autarchą, zwierzchnikiem żołnierzy, a także całej Wspólnoty – naturalnie o ile założymy, że Wspólnota jako taka w ogóle uznaje czyjekolwiek zwierzchnictwo. Thecla widywała go dość często, a jej wspomnienia stały się teraz częścią mnie, podobnie jak ona sama. Jeżeli Vodalus już zwyciężył, to dlaczego pozostaje w ukryciu? A może działał na polecenie i za zgodą Autarchy? W takim razie jak wytłumaczyć fakt, że Vodalus wyrażał się o nim tak, jakby Autarcha był jego sługą? Próbowałem wmówić sobie, że wszystko, co wydarzyło się w pokoju za obrazem, było tylko snem, ale wiedziałem, że to nieprawda. W dodatku zniknął metalowy przedmiot, który otrzymałem od Vodalusa.

Tym sposobem przypomniałem sobie o Pazurze, który sam Autarcha polecił mi zwrócić kapłankom zwanym Pelerynami. Wyjąłem go z buta. Świecił łagodnym blaskiem, nie tak intensywnym jak w kopalni ani też nie tak przyćmionym jak wówczas, kiedy wraz z Jonasem obserwowałem go w przedpokoju. Chociaż leżał na mojej dłoni, wydawało mi się, że jest ogromnym jeziorem błękitnej wody, czystszej niż ta w zbiorniku pod Wieżą Dzwonów i dużo czystszej niż w Gyoll.

Mógłbym się w niej zanurzyć, choć nie wiedzieć czemu nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż aby to zrobić, musiałbym wznieść się w górę. Myśl ta była uspokajająca i jednocześnie budząca niepokój, schowałem więc pośpiesznie klejnot i ruszyłem w dalszą drogę.

Świt zastał mnie na wąskiej ścieżce wijącej się przez las jeszcze bardziej dostojny od tego, jaki zaczynał się tuż za murem Nessus. Co prawda brakowało tutaj wielkich paproci, ale z pni potężnych drzew zwieszały się grube pnącza, przypominające obsypane kwiatami zielone zasłony. W gałęziach śpiewały nieznane mi ptaki, a raz udało mi się dostrzec małpę, która właściwie mogłaby być niskim rudobrodym człowiekiem odzianym w skórę, gdyby nie to, że miała czworo ramion. Kiedy już nie byłem w stanie iść dalej, znalazłem między sterczącymi z ziemi korzeniami suche, dobrze osłonięte miejsce i położyłem się tam, owinięty szczelnie płaszczem.

Często musiałem gonić za snem jak za najtrudniej uchwytaną z chimer, pół legendą i pół powietrzem. Tym razem jednak to on znienacka mnie dopadł. Ledwo zdążyłem zamknąć oczy, kiedy ponownie ujrzałem ogarniętego szaleństwem olbrzymia. Tym razem miałem w rękę Terminus Est, który jednak wydawał się cienki i kruchy jak suchy kij. Zamiast na scenie staliśmy na wąskiej skalnej półce. Po jednej stronie płonęły pochodnie wielkiej armii, po drugiej otwierała się przepaść, na której dnie znajdowało się lazurowe jezioro, podobne i jednocześnie niepodobne do tego, jakie ujrzałem we wnętrzu Pazura. Baldanders podniósł pochodnię, a ja zamieniłem się w maleńką figurkę, którą widziałem pod powierzchnią morza. Byłem pewien, że ogromne kobiety nie mogą być daleko. Maczuga ze straszliwą siłą opadła.

Kiedy się obudziłem, było już popołudnie, a po mojej piersi maszerowały kolorowe mrówki, które widocznie uznały, że tędy będzie im najbliżej. Po jeszcze dwóch lub trzech wachtach spędzonych na wędrówce przez piękny, lecz skazany na zagładę las, dotarłem do szerszej ścieżki, a po kolejnej wachcie, kiedy cienie zaczęły się już wyraźnie wydłużać, przystanąłem i wciągnąłem głęboko powietrze w płuca. Tak, to na pewno był zapach dymu. Kiszki marsza mi grały

z głodu, ruszyłem więc szybko naprzód.

rozdział 26

Rozstanie

W miejscu, w którym moja ścieżka krzyżowała się z inną, przy małym ognisku siedziało czworo ludzi. Najpierw rozpoznałem Jolentę, której uroda sprawiła, że niewielka polana przypominała raj. W chwilę potem zauważyła mnie Dorcas i podbiegła, aby mnie ucałować, ja zaś dostrzegłem lisią twarz doktora Talosa wychylającą się zza szerokich pleców Baldandersa.

Olbrzym, z którego rozpoznaniem powinienem był mieć najmniej kłopotów, niewyobrażalnie się zmienił. Głowę miał owiniętą brudnymi bandażami, a zamiast obszarpanego czarnego płaszcza, w którym zawsze paradował, miał na ramionach kleistą maź przypominającą barwą glinę i cuchnącą stęchlizną.

– Wspaniale, że jesteś! – zawołał doktor Talos. – Niepokoiłiśmy się o ciebie.

Baldanders wykonał nieznaczny ruch głową mający oznaczać, że w rzeczywistości tylko Dorcas się niepokoiła. Mogłem się tego domyślić bez jego pomocy.

– Uciekłem – poinformowałem go. – Tak samo jak Dorcas. Dziwne, że was nie zabito.

– Niewiele brakowało – odparł doktor, kiwając głową.

Jolenta wzruszyła ramionami, lecz w jej wykonaniu ten prosty gest przeistoczył się w coś w rodzaju ceremonii.

– Ja też uciekłam. – Ujęła swoje wielkie piersi w dłonie. – Czy nie sądzisz jednak, że nie jestem stworzona do biegania? I tak zresztą prawie od razu wpadłam na jakiegoś arystokratę, który powiedział, że nie muszę nigdzie uciekać, ponieważ on mnie obroni. Potem jednak zjawili się kawalerzyści na wspaniałych rumakach – chciałabym, żeby kiedyś takie zaprzęgnięto do mojego powozu – a z nimi wysoki urzędnik,

jeden z tych, co to nie zwracają uwagi na kobiety. Miałam nadzieję, że zostanę zaprowadzona przed oblicze Autarchy – którego oczy są jaśniejsze od gwiazd – tak jak to się prawie stało na scenie. Niestety, żołnierze kazali arystokracie odejść, po czym odstawili mnie z powrotem do teatru, gdzie oni już byli. – Wskazała ruchem głowy doktora Talosa i Baldandersa. – Doktor opatrywał mu rany. Żołnierze najpierw chcieli nas zabić – choć jestem pewna, że mnie darowaliby życie – ale potem nas wypuścili i tak oto trafiliśmy tutaj.

– Znaleźliśmy Dorcas o świcie – uzupełnił jej relację doktor Talos. – A raczej ona znalazła nas. Ruszyliśmy pomału w kierunku gór. Pomału, gdyż tylko Baldanders, choć taki chory, ma dość sił, aby nieść bagaże, a mimo że większość rzeczy pozostawiliśmy w ogrodzie Domu Absolutu, to i tak całkiem sporo zostało.

Powiedziałem, iż jestem zdumiony, widząc Baldandersa jedynie chorego, gdyż byłem pewien, że już nie żyje.

– Doktor Talos zdołał go powstrzymać – wyjaśniła Dorcas. – Czyż nie tak, doktorze? Dzięki temu został pojmany. Dziwne, że ich obu nie zabito.

– Jednak jak widzisz, obaj żyjemy – stwierdził doktor z uśmiechem. – A choć wyglądamy nieszczęśliwie, to nareszcie jesteśmy bogaci. Baldandersie, pokaż Severianowi nasze pieniądze.

Olbrzym z trudem zmienił pozycję i wy dobył nabitą skórzaną sakiewkę. Przez chwilę spoglądał na doktora, jakby oczekując jakichś dodatkowych poleceń, a następnie wysypał na dłoń mnóstwo świeżo wybitych chrisos.

Doktor Talos wziął jedną z monet w palce i podniósł ją tak, by padły na nią promienie słońca.

– Jak myślisz, ile czasu wieśniak znad jeziora Diuturna będzie gotów pracować przy wznoszeniu ścian naszego domu, żeby dostać ten pieniążek?

– Co najmniej rok.

– Dwa lata! Dzień w dzień, latem i zimą, bez względu na pogodę, naturalnie pod warunkiem, że co jakiś czas będziemy wypłacać mu część należności w miedzi, co też uczynimy. Zatrudnimy pięćdziesięciu takich ludzi.

– Jeżeli będą chcieli pracować – odezwał się dudniącym głosem Baldanders.

Rudowłosy doktor podskoczył jak ukłuty nożem.

– Oczywiście, że będą chcieli! Możesz mi wierzyć, od poprzedniego

razu zdążyłem już tego i owego się nauczyć.

– Przypuszczam, że część tych pieniędzy należy do mnie oraz do tych dwóch kobiet – wtrąciłem się.

Doktor Talos natychmiast się uspokoił.

– Naturalnie, byłbym zapomniał. One dostały już swój udział. Połowa tego, co widzisz, jest twoja. Bądź co bądź, bez ciebie na pewno byśmy tego nie zarobili.

Wyjął pieniądze z dłoni olbrzyma i zaczął układać na ziemi w dwa stosiki.

Odniosłem wrażenie, że jego uwaga odnosi się tylko do mego udziału w sztuce, ale Dorcas, która chyba wyczuła, iż kryje się za tym coś jeszcze, zapytała:

– Co pan ma na myśli, doktorze?

Na lisiej twarzy doktora Talosa pojawił się uśmiech.

– Severian ma wysoko postawionych przyjaciół. Muszę przyznać, iż podejrzewałem to od samego początku. Kat przemierzający kraj od miasta do miasta niczym jakiś włóczęga to trochę za dużo nawet dla Baldandersa, a ja lubię czasem myśleć, że jestem od niego nieco bystrzejszy.

– Nawet jeśli rzeczywiście mam takich przyjaciół, to nic o nich nie wiem – odparłem.

Stosiki były już równe. Doktor przesunął jeden w moją stronę, drugi zaś w kierunku olbrzyma.

– Kiedy znalazłem cię w łóżu z Baldandersem, w pierwszej chwili pomyślałem, że wysłano cię w charakterze ostrzeżenia, żebym zrezygnował z zamiaru wystawienia swojej sztuki. Jak zapewne sam zauważyłeś, pod wieloma względami – przynajmniej pozornie – traktuje ona osobę Autarchy cokolwiek krytycznie.

– Cokolwiek! – prychnęła z przekąsem Jolenta.

– Jednak potem doszedłem do wniosku, że wysyłanie z Cytadeli kata tylko po to, by napędzić stracha dwóm wędrowcom, nie miałyby najmniejszego sensu. Jeszcze później uświadomiłem sobie, iż wystawienie sztuki jest dla ciebie znakomitym kamuflażem. Mało kto byłby gotów podejrzewać sługę Autarchy o bratanie się z aktorami. Dlatego stworzyłem dodatkowo postać Pomocnika, aby lepiej uzasadnić twoją obecność na scenie.

– Nie wiedziałem o tym.

– Naturalnie. Nie chciałem przecież dopuścić do tego, żebyś stracił do nas zaufanie. Kiedy wczoraj zaczęliśmy przygotowywać scenę, zjawił się

wysoki urzędnik z Domu Absolutu i zapytał, czy wchodzisz w skład naszej trupy oraz czy jesteś gdzieś w pobliżu. Właśnie wtedy uznałeś za stosowne oddalić się z Jolentą, ja jednak odpowiedziałem twierdząco na oba pytania. On wówczas zapytał, jak duży jest twój udział w przedstawieniu, a kiedy mu powiedziałem, poinformował mnie, że polecono mu zapłacić nam z góry za występ. Okazało się to dla nas bardzo szczęśliwym rozwiązaniem, gdyż wątpię, czy po popisach tego niezrównoważonego osiłka udałoby nam się uzyskać choćby złamane asimi.

Chyba po raz pierwszy zauważyłem wtedy, że Baldandersowi docinki jego lekarza sprawiały przykrość. Zadał sobie trud, żeby odwrócić się do nas plecami, mimo że z pewnością musiał okupić to dodatkowym bólem.

Dorcas powiedziała mi, że kiedy spałem w namiocie doktora Talosa, byłem tam zupełnie sam. Teraz wyczułem, że olbrzym myśli tak samo. W tej chwili był na polanie tylko on oraz kilka małych zwierzątek, czasem zabawnych, ale ostatnio coraz częściej nużących.

– On już zapłacił za swoją porywczosć – powiedziałem. – Widzę, że jest mocno poparzony.

Doktor skinął głową.

– I tak miał sporo szczęścia. Hierodule zmniejszyły moc swoich promieni, gdyż nie chciały go zabić, a tylko powstrzymać. Żyje dzięki ich łasce i wkrótce się zregeneruje.

– To znaczy wykuruje? – zapytała Dorcas. – Życzę mu tego. Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi go żal.

– Masz litościwe serce, może nawet zbyt litościwe. Baldanders wciąż jeszcze rośnie, a rosnące dzieci błyskawicznie powracają do zdrowia.

– Rośnie? – zdziwiłem się. – Przecież ma już siwe włosy.

Doktor roześmiał się.

– A więc widocznie siwieje, rosnąc. – Poderwał się z ziemi i otrzepał spodnie. – Drodzy przyjaciele, dotarliśmy do miejsca, w którym, jak mawiają poeci, każdy musi skierować się ku swemu przeznaczeniu. Zatrzymaliśmy się tutaj, Severianie, nie tylko dlatego, że byliśmy znużeni, ale także dlatego, że właśnie tutaj rozdzielają się drogi prowadzące do Thraxu, dokąd ty zmierzasz, i nad jezioro Diuturna, dokąd my pragniemy dotrzeć. Nie chciałem minąć tego punktu – ostatniego, w którym mogliśmy się spotkać – zanim nie podzieliłem się z tobą zarobkiem. Teraz jednak mamy to za sobą. Czy poinformujesz swych dobroczyńców z Domu Absolutu, że rozliczyłem się z tobą jak należy?

Stosik chrisos wciąż leżał przede mną na ziemi.

– Tutaj jest sto razy więcej, niż kiedykolwiek spodziewałem się otrzymać – odparłem. – Oczywiście, powiem im.

Zgarnąłem monety i wrzuciłem je do sakwy.

Dorcas i Jolenta wymieniły szybkie spojrzenia.

– Idę z Severianem do Thraxu, jeżeli on właśnie tam zmierza – oświadczyła Dorcas.

Jolenta wyciągnęła rękę w kierunku doktora, najwyraźniej oczekując, że pomoże jej wstać.

– Baldanders i ja będziemy szli tylko we dwóch, a tej nocy nie zatrzymamy się nawet na chwilę – powiedział doktor Talos. – Będzie nam bardzo was wszystkich brakować, lecz czas rozstania już nadszedł. Dorcas, moje dziecko, cieszę się niezmiernie, że będziesz miała obrońcę. – Ręka Jolenty już spoczywała na jego udzie. – Chodź, Baldandersie. Musimy ruszać.

Olbrzym dzwignął się z ziemi, i choć nawet nie jęknął, bez trudu dostrzegłem, jak wiele cierpienia to go kosztowało. Jego bandaże były przesączone potem i krwią.

– Baldanders i ja musimy porozmawiać przez chwilę na osobności – oznajmiłem. – Czy mogę was prosić, żebyście wszyscy odeszli na jakieś sto kroków?

Kobiety natychmiast zastosowały się do mego życzenia – Dorcas ruszyła przed siebie jedną ścieżką, Jolentą zaś drugą – natomiast doktor Talos pozostał w miejscu, w związku z czym musiałem prośbę powtórzyć.

– Naprawdę chcesz, żebym także odszedł? To nie ma żadnego sensu. Baldanders powtórzy mi wszystko, jak tylko do mnie wróci. Jolento! Zbliź się, moja droga.

– Zrobiła to, o co ją poprosiłem.

– Owszem, tyle tylko, że wybrała niewłaściwą drogę, a ja nie mogę na to pozwolić. Jolento!

– Doktorze, chcę tylko pomóc twojemu przyjacielowi albo niewolnikowi, kimkolwiek jest.

Niespodziewanie spod grubej warstwy bandaży doleciał basowy głos Baldandersa:

– Jestem jego panem.

– Otóż to – powiedział doktor, po czym podniósł z ziemi stosik pieniędzy, który popchnął w stronę olbrzyma, i włożył mu go do kieszeni.

Kiedy Jolenta przykuśtykała do nas, po jej policzkach płynęły ciurkiem łzy.

– Doktorze, czy mogę iść z tobą?

– Oczywiście, że nie – odparł lodowatym tonem, jakby była dzieckiem, które poprosiło o drugi kawałek ciasta. Jolenta osunęła się na ziemię u jego stóp.

Podniosłem wzrok na olbrzyma.

– Baldandersie, myślę, że mogę ci pomóc. Nie tak dawno temu pomogłem swojemu przyjacielowi, który doznał równie poważnych obrażeń jak ty teraz. Nie zrobię jednak tego, dopóki doktor Talos i Jolenta będą się przyglądać. Czy pójdziesz ze mną kawałek ścieżką prowadzącą z powrotem do Domu Absolutu?

Olbrzym powoli pokręcił głową.

– On zna lekarstwo, które mu proponujesz – roześmiał się doktor. – Osobiście aplikował je wielu ludziom, ale sam zbyt wysoko ceni swoje życie.

– Proponuję mu właśnie życie, nie śmierć.

Doktor uniósł brwi.

– Doprawdy? A gdzie teraz jest twój przyjaciel?

Baldanders zacisnął dłonie na uchwytych wózka załadowanego bagażami.

– Czy słyszałeś kiedyś o Łagodzicielu? – zapytałem go.

– To było dawno temu – odparł. – Teraz nie ma już żadnego znaczenia.

Ruszył przed siebie tą ścieżką, której nie wybrała Dorcas. Doktor Talos, z Jolantą uczeploną jego ramienia, zrobił kilka kroków w tym samym kierunku, po czym się zatrzymał.

– Severianie, z tego, co mi opowiadałeś, wynika, że strzegłeś już wielu więźniów. Czy zająłbyś się tą istotą, gdyby Baldanders dał ci jeszcze jedno chrisos, i zatrzymałbyś ją tak długo, aż oddalimy się na znaczną odległość?

Wciąż jeszcze nie mogłem dojść do siebie, myśląc o bólu olbrzyma i mojej porażce, lecz zdołałem na tyle wziąć się w garść, aby odpowiedzieć:

– Jako członek konfraterni mogę przyjmować takie polecenia jedynie od przedstawicieli legalnych władz.

– W takim razie zabijemy ją, jak tylko znikniemy wam z oczu.

– To jest sprawa wyłącznie między tobą i nią – odparłem, po czym ruszyłem za Dorcas.

Ledwo jednak ją dogoniłem, kiedy oboje usłyszeliśmy przeraźliwe krzyki Jolenty. Dorcas złapała mnie za rękę i zapytała, co te głosy oznaczają, ja zaś powiedziałem jej o groźbie doktora.

– I pozwoliłeś jej iść?

– Nie sądziłem, że mówi poważnie.

Natychmiast zawróciliśmy, lecz zanim zrobiliśmy dziesięć kroków, krzyki umilkły i zapadła cisza tak głęboka, że słyszeliśmy nawet szelest spadających liści. Pobiegliśmy tak szybko, jak tylko mogliśmy, choć podejrzewałem, że nasz pośpiech nie ma już najmniejszego sensu, i prawdę mówiąc, biegłem tylko dlatego, że Dorcas czułaby się zawiedziona, gdybym tego nie uczynił.

Okazało się jednak, że nie miałem racji. Kiedy minęliśmy zakręt, ujrzelśmy Jolentę pędzącą ku nam z rękami skrzyżowanymi na piersiach, co miało zapobiec ich kołysaniu. Wspaniałe rudozłote włosy opadły jej w nieładzie na oczy, a cienka koszula z organzyny wisiała na niej w strzępach. Zemdlała natychmiast, jak tylko padła w objęcia Dorcas.

– Pobili ją, niegodziwcy!

– Przed chwilą obawialiśmy się, że ją zamordują – zwróciłem jej uwagę, po czym obejrzałem się na grzbiecie pięknej kobiety. – Przypuszczam, że te ślady zostawiła laska doktora Talosa. Powinna mu być wdzięczna, że nie kazał zająć się nią Baldandersowi.

– Ale co teraz zrobimy?

– Spróbujemy tego. – Wyjąłem z buta Pazur Łagodziciela i pokazałem jej. – Pamiętasz, co znaleźliśmy w mojej sakwie? Powiedziałaś wtedy, że to nie jest prawdziwy klejnot. Okazało się jednak, że nim jest i że czasem pomaga leczyć rany. Chciałem użyć go na Baldandersie, lecz on się nie zgodził.

Przez chwilę potrzymałem Pazur nad głową Jolenty, a następnie przesunąłem go nad sińcami na jej plecach, lecz nie zapłonął jaśniejszym blaskiem, a ona nie poczuła się ani odrobinę lepiej.

– Nie działa – stwierdziłem. – Będę musiał ją nieść.

– Przerzuć ją sobie przez ramię, bo inaczej trzymałbyś ją tam, gdzie ją najbardziej boli.

Dorcas wzięła ode mnie Terminus Est, ja zaś postąpiłem zgodnie z jej radą. Jolenta okazała się niemal tak ciężka jak mężczyzna. Minęło sporo czasu, który upłynął nam na powolnej wędrówce pod zielonym baldachimem liści, zanim otworzyła oczy. Nawet po odzyskaniu przytomności nie była jednak w stanie samodzielnie iść, stać, a nawet

zaczesać wspaniałych włosów do tyłu, aby odsłonić doskonały owal mokrej od łez twarzy.

– Doktor nie pozwolił mi ze sobą iść – powiedziała.

Dorcas skinęła głową.

– Na to wygląda.

Mówiła takim tonem, jakby rozmawiała z kimś znacznie od siebie młodszym.

– Zginę bez niego.

Zapytałem, dlaczego tak myśli, ale Jolenta tylko potrząsnęła głową.

– Czy mogę pójść z tobą, Severianie? – odezwała się po dłuższej chwili. – Nie mam pieniędzy. Baldanders zabrał wszystko, co otrzymałam od doktora. – Zerknęła z ukosa na Dorcas. – Ona dostała dużo więcej, chyba tyle samo co ty.

– Severian o tym wie – poinformowała ją Dorcas. – Wie też, że moje pieniądze należą do niego i może zrobić z nimi, co tylko zechce.

Postanowiłem zmienić temat.

– Myślę, iż obie powinniście zdawać sobie sprawę, że może nie pójde bezpośrednio do Thraxu. Wszystko zależy od tego, czy zdołam ustalić miejsce pobytu kobiet zwanych Pelerynami.

Jolenta spojrzała na mnie tak, jakbym był szalony.

– Słyszałam, że one krążą po całym świecie. Poza tym nie przyjmują mężczyzn w swoje szeregi.

– Nie chcę się do nich przyłączyć, tylko je odnaleźć. Według najnowszych informacji, jakie do mnie dotarły, skierowały się właśnie na północ, ale będę musiał spotkać się z nimi, nawet gdyby oznaczało to konieczność zawrócenia na południe.

– Idę tam, dokąd i ty idziesz – oświadczyła stanowczo Dorcas. – Choćby nie do Thraxu.

– A ja nigdzie nie idę – powiedziała Jolenta, głęboko wzdychając.

Jak tylko okazało się, że nie musimy jej podtrzymywać, Dorcas i ja wysforowaliśmy się nieco naprzód. Po pewnym czasie obejrzałem się, aby sprawdzić, jak sobie radzi, i ku swemu zdumieniu zobaczyłem kogoś zupełnie innego od wyniosłej piękności, która towarzyszyła doktorowi Talosowi. Tamta trzymała się prosto i miała hardo podniesioną głowę, a jej oczy błyszczały jak brylanty, ta zaś szła zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– O czym rozmawiałeś z doktorem i olbrzymem? – zapytała Dorcas.

– Już ci powiedziałem.

– W pewnej chwili odezwałeś się tak głośno, że cię usłyszałam. Zapytałeś: „Czy słyszałeś kiedyś o Łagodzicielu?”. Nie mogłam jednak odgadnąć, czy sam nigdy o nim nie słyszałeś, czy tylko chciałeś się dowiedzieć, co jeden z nich na ten temat wie.

– Słyszałem bardzo niewiele, właściwie nic. Widziałem jego wizerunki, lecz tak bardzo różnią się między sobą, że z pewnością nie mogą przedstawiać tego samego człowieka.

– Są jeszcze legendy.

– Większość z nich jest po prostu głupia. Szkoda, że nie ma z nami Jonasa. Zająłby się Jolentą, a poza tym na pewno wiedziałby dużo o Łagodzicielu. Jonas to ten człowiek, którego spotkaliśmy u wejścia do Bramy Skruchy. Jechał na klaczy. Przez pewien czas był moim dobrym przyjacielem.

– A gdzie jest teraz?

– Pytał mnie o to doktor Talos. Nie wiem i nie chcę o tym mówić. Jeżeli koniecznie musisz rozmawiać, to lepiej opowiedz mi o Łagodzicielu.

Bez wątpienia zabrzmiało to głupio, ale jak tylko wymieniłem to imię, w lesie zapadła głucha cisza. Szmer słabego wiatru głaszczącego najwyższe gałęzie drzew przypominał westchnienia ciężko chorego człowieka, a bladzielone, spragnione słońca liście wyglądały jak twarze głodnych dzieci.

– Nikt zbyt wiele o nim nie wie, a ja chyba jeszcze mniej od ciebie – zaczęła Dorcas. – Nie pamiętam nawet, od kogo usłyszałam to, co wiem. W każdym razie niektórzy twierdzą, że był zaledwie chłopcem, inni znowu, że nie był nawet człowiekiem ani też kakogenem, tylko ucieleśnioną na nasz użytek myślą jakiejś trudnej do wyobrażenia istoty, dla której rzeczywistość znaczy tyle, co papierowy teatrzyk cieni. Podobno kiedyś dotknął jedną ręką umierającej kobiety, drugą zaś ujął gwiazdę, łącząc w ten sposób na wieki ludzkość z wszechświatem i wszechświat z ludzkością. Potrafił zniknąć i pojawić się wówczas, gdy wszyscy myśleli, że nie żyje, czasem nawet po tym, jak został pochowany. Można było go spotkać pod postacią zwierzęcia przemawiającego ludzkim głosem, a jakiejś pobożnej kobiecie objawił się kiedyś jako krzak róży.

Przypomniałem sobie uroczystość nadania mi godności czeladnika.

– Świętej Katarzynie podczas jej egzekucji.

– Jest też wiele innych, bardziej ponurych legend.

– Opowiedz mi je.

– Boję się ich – odparła Dorcas. – Poza tym prawie nic nie pamiętam. Czy w twojej brązowej książce nie ma żadnej wzmianki na jego temat?

Natychmiast to sprawdziłem. Okazało się, że była, ale ponieważ miałbym trudności z czytaniem podczas marszu, schowałem książkę do sakwy i postanowiłem przeczytać ten rozdział, kiedy zatrzymamy się na odpoczynek.

rozdział 27

W kierunku Thraxu

Aż do zmroku podążaliśmy ścieżką przez gęsty las. Mniej więcej wachnię po zapadnięciu ciemności dotarliśmy do brzegu rzeki znacznie mniejszej od Gyoll i szybciej od niej płynącej; w blasku księżyca ujrzeliśmy po drugiej stronie pola falującej trzciny cukrowej. Jolenta już od dłuższego czasu popłakiwała ze zmęczenia, więc Dorcas i ja uznaliśmy, że wszystkim nam należy się odpoczynek. Początkowo obawiałem się, że nie będziemy mieli z czego zrobić ogniska, gdyż nigdy nie ośmieliłbym się użyć Terminus Est do rąbania drewna, leżące zaś na ziemi gałęzie były albo przesiąknięte wilgocią, albo już tak zgniłe, że rozpadały się przy dotknięciu, lecz na szczęście na samym brzegu znaleźliśmy mnóstwo wysuszonych przez wiatr i słońce patyków.

Ułożyliśmy z nich sporą stertę, kiedy przypomniałem sobie, że nie mam już metalowego przedmiotu otrzymanego od Vodalusa – został w rękach Autarchy, który (nie miałem co do tego żadnych wątpliwości) był także tym „wysokim urzędnikiem z Domu Absolutu”, od którego doktor Talos otrzymał sakiewkę pełną złotych chrisos. Na szczęście w bagażach Dorcas znalazły się krzemień, krzesiwo i hubka, dzięki czemu już wkrótce siedzieliśmy przy trzaskającym ogniu. Jolenta bała się dzikich bestii, mimo moich wyjaśnień, że jest mało prawdopodobne, aby żołnierze pozwolili jakimś niebezpiecznym zwierzętom żyć w lesie łączącym się bezpośrednio z ogrodami Domu Absolutu. Aby ją uspokoić, wsadziłem w ognisko trzy grube kije, aby w razie niebezpieczeństwa chwycić je i posłużyć się nimi jak pochodniami.

Żadne bestie jednak się nie zjawily, natomiast dym odstraszył komary, dzięki czemu mogliśmy wygodnie położyć się na wznak i obserwować ulatujące w nocne niebo iskry. Od czasu do czasu znacznie wyżej przemykały światła ślizgaczy niosących na swych

pokładach ministrów i generałów Autarchy. Dorcas i ja zastanawialiśmy się, co sobie mogli pomyśleć, jeśli akurat spojrzeli w dół i zobaczyli maleńką szkarłatną gwiazdkę naszego ogniska. Doszliśmy do wniosku, że chyba dziwią się nam co najmniej tak samo jak my im, próbując dociec, kim jesteśmy, dokąd zmierzamy i dlaczego. Potem Dorcas zaśpiewała mi piosenkę o dziewczynie, która spaceruje wiosną po lesie i tęskni za swoimi przyjaciółmi, ubiegłorocznymi liśćmi.

Jolenta wybrała miejsce między ogniskiem a brzegiem rzeki – przypuszczalnie dlatego, że tam czuła się najbezpieczniej. Dorcas i ja leżeliśmy po drugiej stronie ognia, nie tylko dlatego, że chcieliśmy znaleźć się poza zasięgiem jej wzroku, jednocześnie zbytnio się nie oddalając, ale przede wszystkim z powodu niemiłych skojarzeń, jakie budził u Dorcas szum płynącej wody.

– Zupełnie jak robak – powiedziała. – Albo jak wielki wąż, który co prawda akurat nie jest głodny, ale wie, gdzie jesteśmy, i prędzej czy później na pewno zjawi się, by nas pożreć. Czy ty nie boisz się węży, Severianie?

Thecla bardzo się ich bała. Poczulem w sobie drgnięcie jej strachu i skinąłem głową.

– Słyszałam, że w gorących lasach północy autarchą wszystkich węży jest Uroboros, brat Abaii, i że myśliwym, którzy natrafili na jego kryjówkę, wydaje się, że znaleźli tunel prowadzący pod dnem oceanu. Zagłębiając się w niego, w rzeczywistości wchodzi mu do ust i podążają w głąb gardła, tak że są już trupami, choć wydaje im się, że jeszcze żyją. Z kolei inni twierdzą, że Uroboros to tylko ogromna rzeka wpadająca do własnych źródeł albo sam ocean, który pożera żyjące w nim istoty.

Opowiadając o tym, Dorcas przysuwała się coraz bliżej, aż wreszcie mocno przygarnąłem ją do piersi. Wiedziałem, że chce się ze mną kochać, chociaż nie mieliśmy żadnej pewności, czy Jolenta już zasnęła. Od czasu do czasu przez jej obfite ciało przebiegało drżenie, upodabniając ją na chwilę do ponętnego węża. Dorcas uniosła ku mnie swą małą, niewinną twarz, a ja pocałowałem ją, czując, jak przyciska się do mnie pełna pożądania.

– Tak mi zimno... – szepnęła.

Była naga, choć nie zauważyłem, kiedy zdjęła ubranie. Otulając ją płaszczem, odniosłem wrażenie, że jej skóra rozgrzana żarem bijącym od ognia niemal parzy. Drobne dłonie wsunęły się pod moje ubranie i zaczęły mnie delikatnie pieścić.

– Jaki wspaniały... Jaki gładki... – A potem zapytała jak dziecko (mimo

że przecież nie był to nasz pierwszy raz): – Czy nie będę za mała?

Kiedy się obudziłem, księżyc (trudno uwierzyć, że był to ten sam księżyc, który prowadził mnie przez ogrody Domu Absolutu) został już prawie połknięty przez wędrujący niestrudzenie ku górze zachodni horyzont. Jego szmaragdowy blask padał ukosem na rzekę, sprawiając, że każda, nawet najdrobniejsza zmarszczka na wodzie rzucała czarny cień niczym groźna fala.

Bez żadnego wyraźnego powodu ogarnął mnie niepokój. Obawy Jolenty przestały mi się wydawać takie zabawne, szybko więc zerwałem się z miejsca, a upewniwszy się, że zarówno ona, jak i Dorcas są zdrowe i całe, nazbierałem nieco drewna i wrzuciłem w dogasający ogień. Nagle przypomniałem sobie słowa Jonasa, który ostrzegął mnie, że notule bardzo często są wysyłane nocą, a zaraz potem zacząłem rozmyślać o tajemniczym stworzeniu żyjącym w przedpokoju Domu Absolutu. W górze przelatywały nocne ptaki – nie tylko sowy, których mnóstwo gnieździło się w zrujnowanych wieżach Cytadeli, a które łatwo było rozpoznać po okrągłych głowach i szerokich, poruszających się bezszelestnie skrzydłach – ale także zupełnie inne, o rozdwojonych ogonach. Część z nich opadała ku rzece i piła w locie, chwytając otwartymi dziobami krople wody. Od czasu do czasu z drzewa na drzewo przelatywały największe ćmy, jakie kiedykolwiek widziałem. Ich pokryte rysunkami skrzydła miały długość męskiego ramienia. Ćmy rozmawiały między sobą niemal jak ludzie, tyle tylko, że bardzo wysokimi, prawie niesłyszalnymi głosami.

Kiedy dorzuciłem patyków do ognia, upewniłem się, że mój miecz leży tam, gdzie go położyłem, i popatrzyłem przez chwilę na niewinną twarz pogrążonej we śnie Dorcas, po czym ponownie ułożyłem się na swoim miejscu i obserwując ptaki podróżujące między konstelacjami, zapuściłem się w krainę wspomnień. Kraina ta – wszystko jedno, czy akurat przyjazna mi, czy też wroga – nigdy się przede mną całkowicie nie zamyka.

Pragnąłem odtworzyć w pamięci obchody dnia Świętej Katarzyny, które odbyły się rok po tym, jak zostałem kapitanem uczniów, ale zanim ponownie ujrzałem rozpoczynające się przygotowania, niewyraźny jeszcze obraz przesłoniły inne, nieproszone wspomnienia, tłoczące się bez ładu i składu. Podniosłem do ust kubek wina ukradzonego

w kuchni, ale on nagle zamienił się w pierś wezbraną ciepłym mlekiem. Była to pierś mojej matki, mnie zaś ogarnęła ogromna radość, że po tylu bezowocnych wysiłkach wreszcie będę mógł jej dotknąć. Wyciągnąłem ręce, a gdybym tylko był w stanie, podniósłbym także oczy, by na nią spojrzeć. Tak, to na pewno była moja matka, ponieważ dzieci trafiające do konfraterni nigdy nie są karmione piersią. A więc szarość wypełniająca obrzeże mego pola widzenia to były ściany celi, skąd wkrótce zostanie zabrana, aby doświadczać cierpień zadawanych przez aparat lub naszyjnik Allowina. Chciałem ją jakoś przytrzymać, zaznaczyć tę chwilę, by móc wrócić do niej za każdym razem, kiedy przyjdzie mi ochota, lecz moja matka nagle rozplynęła się jak mgła ustępująca przy najłżejszym nawet podmuchu wiatru.

Znowu byłem dzieckiem... dziewczynką... Theclą. Stałam we wspaniałej komnacie z lustrami zamiast okien – lustrami, które nie tylko odbijały obrazy, ale także oświetlały całe pomieszczenie. Otaczały mnie piękne, mniej lub bardziej rozebrane kobiety, wszystkie znacznie wyższe ode mnie. Powietrze było gęste od zapachu perfum. Szukałam tu kogoś, lecz spoglądając na wymalowane twarze kobiet, tak piękne, że aż doskonałe, zaczęłam wątpić, czy rozpoznam tę, którą pragnęłam znaleźć. Po moich policzkach popłynęły łzy. Podbiegły do mnie trzy kobiety, a ja zobaczyłam, jak ich oczy maleją do rozmiarów odległych gwiazd, nad ustami zaś wyrastają półprzeźrocyste, delikatne skrzydła.

– Severianie...

Usiadłem raptownie, nie bardzo wiedząc, kiedy wspomnienia przeistoczyły się w sen. Głos był słodki, chociaż bardzo niski, a ja zdając sobie doskonale sprawę, że już go kiedyś słyszałem, nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie ani kiedy to było. Księżyc skrył się już niemal całkowicie za zachodnim horyzontem, a ognisko ponownie przygasło. Dorcas odrzuciła przykrycie i leżała zupełnie naga pod kopułą nocnego nieba. Widząc jej jasne ciało, jeszcze bledsze w zielonkawym blasku księżycy (z wyjątkiem miejsc, gdzie padało na nie rubinowe światło żarzących się głowni), poczułem tak wielkie pożądanie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czułem – ani wtedy, kiedy ścisnąłem Agię na Schodach Adamniana, ani wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Jolentę na scenie, ani nawet wtedy, kiedy pędziłem co sił w nogach do celi Thecli. Jednak obiektem mego pożądania wcale nie była Dorcas. Kochałem się z nią zaledwie kilka chwil temu, a choć wierzyłem, iż darzy mnie prawdziwym uczuciem, to przypuszczałem jednak, że oddała mi się tak chętnie wyłącznie dlatego, że podejrzewała mnie o igraszki z Jolentą

przed wczorajszym spektaklem oraz że była niemal pewna, iż teraz Jolenta obserwuje nas ze swego miejsca po drugiej stronie ogniska.

Nie pożałowałem także lekko pochrapującej Jolenty. Pragnąłem obu tych kobiet naraz, a także Thecli, bezimiennej dziewczyny udającej ją w Lazurowym Pałacu, jej przyjaciółki, która wcieliła się w postać Thei, oraz Agii, Valerii, Morwenny i tysiąca innych kobiet. Wspominałem wiedźmy, ich szaleństwo i dzikie tańce, jakie urządziły na Starym Dziedzińcu w strugach deszczu, wspominałem też chłodny dziewiczy urok odzianych na czerwono Peleryn.

– Severianie...

To nie był sen. Ptaki drzemiące na gałęziach pobliskich drzew zatrzepotały skrzydłami. Obnażyłem Terminus Est i zbliżyłem go do ognia, aby płomień odbił się w jego ostrzu, dzięki czemu ten, kto wypowiedział moje imię, mógł zobaczyć z daleka, że jestem uzbrojony.

Ponownie zapadła cisza, chyba nawet jeszcze głębsza niż ta panująca w nocy. Czekałem, rozglądając się uważnie dokoła w poszukiwaniu tajemniczej osoby, choć jednocześnie zdawałem sobie sprawę, iż byłoby lepiej, gdybym wyglądał na kogoś, kto wie, z której strony zbliża się zagrożenie. Dorcas poruszyła się i cicho jęknęła, lecz nie obudziła się, podobnie jak Jolenta. Do moich uszu docierał jedynie szelest liści poruszanych porannym wiatrem, trzask dogasającego ogniska i chlupot wody.

– Gdzie jesteś? – zapytałem szeptem, lecz nie uzyskałem odpowiedzi. W rzece rzuciła się ryba.

– Severianie...

Choć bardzo niski, z pewnością był to kobiecy głos. Odniosłem wrażenie, że drży z żądz i podniecenia. Nie schowałem jednak miecza, gdyż przypomniałem sobie Agię.

– Piaszczysta łacha...

Mimo iż podejrzewałem, że to tylko podstęp, który miał skłonić mnie do odwrócenia się plecami do ściany lasu, powiodłem spojrzeniem po rzece. W odległości mniej więcej dwustu kroków od naszego obozowiska dostrzegłem szeroką łachę piasku.

– Chodź do mnie.

A więc to nie był podstęp – lub przynajmniej nie taki, jakiego się obawiałem. Głos rzeczywiście dobiegał od strony rzeki.

– Chodź, proszę... Kiedy tam stoisz, nie słyszysz twojego głosu.

– Nic nie mówiłem – odparłem, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Nadal stałem niezdecydowany, lękając się zostawić Dorcas i Jolentę bez

opieki.

– Proszę... Kiedy promienie słońca padną na wodę, będę musiała zniknąć. To być może nasza jedyna szansa.

W okolicy łąchy rzeka była znacznie szersza, a ja mogłem dojść suchą stopą niemal na sam jej środek. Po mojej lewej stronie koryto się zwężyło, po prawej zaś miałem głęboki basen szerokości około dwudziestu kroków, z którego woda wypływała szybko, lecz bez żadnych widocznych zawirowań. Stałem na piasku, opierając się obiema rękami na rękojeści miecza.

– Jestem – powiedziałem głośno. – Gdzie mam cię szukać? Czy teraz mnie słyszysz?

Trzy ryby wyskoczyły jednocześnie nad wodę, a potem jeszcze raz, pokrywając jej powierzchnię mnóstwem koncentrycznych okręgów. Tuż obok mojej nogi przesunął się brązowy wąż, gruby jak przedramię, ze złotymi i czarnymi plamami na skórze, podniósł na chwilę głowę, zasyczał cicho, po czym zsunął się do wody i odpłynął, dostojnie falując.

– Nie lękaj się. Spójrz na mnie. Przekonaj się, że nie chcę wyrządzić ci krzywdy.

Woda przybrała jeszcze bardziej intensywny zielony kolor. Na jej powierzchni pojawiły się tysiące szmaragdowych wijących się macek, potem zaś szybko rosnący jasny okrąg o średnicy jakichś trzech kroków.

Zrozumiałem, co to jest, dopiero wówczas, kiedy znalazł się tuż przy powierzchni – a i to tylko dlatego, że otworzył oczy. Spod wody spoglądała na mnie kobieta tak wielka, że Baldanders przy niej wyglądał jak zabawka. Miała szkarłatne oczy, a usta tak mocno purpurowe, iż w pierwszej chwili wziąłem je za coś zupełnie innego. Spomiędzy warg błyskały niezliczone ostro zakończone zęby. Okalające twarz macki były włosami kobiety.

– Przybyłam tu po ciebie, Severianie – powiedziała. – Nie, to nie jest sen.

rozdział 28

Odaliski Abaii

– Kiedyś śniłem o was – odparłem.

Pod wodą widziałem jej ogromne nagie ciało.

– Śledziłyśmy olbrzymia i dzięki temu znalazłyśmy ciebie. Niestety, szybko straciłyśmy cię z oczu, kiedy się rozdzieliliście. Myślałeś wówczas, że cię nienawidzimy, nie podejrzewając nawet, jak bardzo jesteś kochany. Morza całego świata zakołysały się z żalu po tobie, a fale roniły słone łzy i ogarnięte rozpaczą rzucały się na skały.

– Czego ode mnie chcesz?

– Tylko miłości. Tylko twojej miłości.

Na powierzchni wody pojawiła się jej prawa ręka i spoczęła tam niczym tratwa zbudowana z pięciu białych pni. Była to ręka prawdziwej olbrzymki; na czubku każdego palca bez trudu mogła zmieścić się mapa całego jej królestwa.

– Czyż nie jestem piękna? Gdzie mógłbyś ujrzeć skórę jaśniejszą od mojej albo bardziej czerwone usta?

– Twój widok zapiera dech w piersiach – odparłem zgodnie z prawdą.

– Czy mogę jednak zapytać, dlaczego śledziłyście Baldandersa? I dlaczego nie zaczęłyście mnie śledzić, choć wnioskuje, iż bardzo wam na tym zależało?

– Obserwujemy go, ponieważ on wciąż rośnie. Pod tym względem przypomina zarówno nas, jak i naszego ojca męża, Abaię. Kiedy ziemia nie będzie już mogła go unieść, zamieszka w wodzie. Ty jednak możesz uczynić to już teraz, jeśli tylko zechcesz. Pozwolimy ci oddychać tam równie łatwo jak w tej chwili, a kiedy zechcesz, wrócisz na ląd po koronę, która ci się należy. Ta rzeka, Cephissus, łączy się z Gyoll, która z kolei wpada do morza. Będiesz mógł jeździć na grzbiecie delfina nad ciągnącymi się bez końca koralowymi polami. Moje siostry i ja

pokażemy ci zbudowane przed wiekami miasta, gdzie przez wiele pokoleń żyli i rozmnażali się ludzie tacy jak ty, o których już zapomnieliście.

– Nie czeka na mnie żadna korona – powiedziałem. – Bierzesz mnie za kogoś innego.

– Wszystkie będziemy twoje w szkarłatnych i białych ogrodach, wśród płasających ryb.

Mówiąc to, odchyliła wielką głowę do tyłu, tak że jej twarz znalazła się równoległe do powierzchni wody. Wkrótce potem ujrzałem białą szyję i wielkie piersi o krwistoczerwonych sutkach, pieszczone przez drobne fale. Kilka oddechów później jej czterdziestołokciowej długości ciało leżało przede mną w całej okazałości.

Wy, którzy to czytacie, być może nie będziecie w stanie zrozumieć, jak coś tak potwornie wielkiego mogło mnie pociągać. Prawda przedstawia się jednak w ten sposób, że pragnąłem jej uwierzyć i pójść za nią równie mocno, jak tonący pragnie nabrać powietrza w płuca. Gdybym do końca zaufał jej słowom, z pewnością wskoczyłbym do wody, zapominając o całym świecie.

– Owszem, czeka, choć ty jeszcze nic o tym nie wiesz. Czy przypuszczasz, że my, które pluszczemy się w tak wielu wodach – nawet między gwiazdami – jesteśmy ograniczone tylko do jednego czasu? Już widziałyśmy, kim byłeś i kim się staniesz. Zaledwie wczoraj leżałeś w mojej dłoni, a ja wyniosłam cię nad gęste od roślin wody Gyoll, ratując ci życie.

– Daj mi moc oddychania wodą i pozwól mi ją sprawdzić po drugiej stronie łąchy – zażądałem. – Pójdę z tobą, jeśli przekonam się, że mówisz prawdę.

Obserwowałem, jak jej wielkie usta się poruszają. Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak głośno musiała mówić pod wodą, skoro bez żadnego trudu ją słyszałem, ale kiedy się odezwała, kilka ryb ponownie wyskoczyło nad powierzchnię.

– To nie jest takie proste. Najpierw musisz mi zaufać, choćby na krótką chwilę. Chodź.

Wyciągnęła do mnie rękę, a ja w tym samym momencie usłyszałem przerażony głos Dorcas wołającej o pomoc.

Odwróciłem się w stronę ogniska, lecz myślę, że gdyby olbrzymka zaczęła, poszedłbym za nią. Ona jednak tego nie uczyniła. Woda podniosła się w rzece z ogłuszającym rykiem i z furią na mnie runęła. Poczulem się tak, jakby całe jezioro wylano mi na głowę. Kiedy potop

minął, znalazłem się na brzegu, całkowicie przemoczony, poturbowany i bez miecza. W odległości pięćdziesięciu kroków ode mnie z wody wyłoniła się olbrzymka. Jej ciało natychmiast obwisło, grożąc połamaniem ukrytym pod nim kościom, a włosy przestały się poruszać, spływając po plecach aż do mokrego piasku. Nagle z ogromnych nozdrzy buchnęła krew, mieszając się z wodą.

Uciekłem, a kiedy dotarłem do obozowiska, olbrzymka zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie powoli zamierający wir w wymieszanej z mułem wodzie.

Twarz Dorcas była śmiertelnie blada.

– Co to było? – wyszeptwała drżącymi wargami. – Gdzie byłeś?

– A więc ty także ją widziałaś. Bałem się już, że...

– Jakie to okropne! – Rzuciła mi się w ramiona i mocno przytuliła. – Okropne!

– Ale chyba nie dlatego krzyczałaś, prawda? Mogłaś zobaczyć ją stąd dopiero wtedy, kiedy wyłoniła się z wody.

Dorcas bez słowa wskazała na leżącą po drugiej stronie ogniska Jolentę. Ziemia wokół niej była przesiąknięta krwią.

Na lewym przedramieniu Jolenty, w pobliżu przegubu, ujrzałem dwa wąskie nacięcia długości mojego kciuka. Dotknąłem ich Pazurem, lecz krew nie chciała zakrzepnąć. Opatrzyliśmy więc rany bandażami sporządzonymi naprędce ze skromnego zapasu garderoby Dorcas, ja zaś zagotowałem w rondlu wodę, do której wrzuciłem igłę i nitkę, po czym zaszyłem oba nacięcia. Przez cały czas Jolenta była półprzytomna; zdarzało się, że otwierała oczy, ale zaraz je zamykała, jej spojrzenie zaś świadczyło o tym, że nie poznawała ani mnie, ani Dorcas. Odezwała się tylko jeden jedyny raz:

– Widzisz teraz, że ten, którego czciłeś jak bóstwo, z zaciętą twarzą doradzi ci to samo, co słyszałeś ode mnie. Zacznijmy wszystko od początku, jeszcze zanim wzejdzie Nowe Słońce.

Wówczas nie skojarzyłem sobie, że jest to fragment jej roli.

Kiedy rana przestała krwawić, przenieśliśmy Jolentę w inne miejsce i obmyliśmy ją z krwi. Zaraz potem wróciłem tam, gdzie wzburzona woda mnie wyrzuciła, a po krótkich poszukiwaniach udało mi się odnaleźć Terminus Est. Był tak głęboko zagrzebany w piasku, że sterczała z niego tylko końcówka rękojeści.

Czyszcząc i smarując ostrze oliwą, zastanawiałem się wspólnie z Dorcas, co powinniśmy uczynić. Opowiedziałem jej sen, jaki przyśnił mi się ostatniej nocy przed spotkaniem z Baldandersem i doktorem

Talosem, potem zaś zrelacjonowałem niedawną rozmowę z olbrzymką.

– Myślisz, że ona jeszcze tam jest? Może tylko ukryła się na samym dnie, by nie było jej widać z brzegu?

Potrząsnąłem głową.

– Wątpię. Chyba coś jej się stało, kiedy próbowała rzucić się na mnie, a sądząc po bladej jej cery, raczej nie mogłaby przebywać w dzień w rzece płytszej niż Gyoll. Jednak nawet gdyby tam była, nie dostrzegłbym jej, gdyż woda jest bardzo zmacona.

Dorcas – która nigdy nie wyglądała bardziej uroczonie niż w tej chwili, siedząc na ziemi z podkuloną nogą i brodą opartą na kolanie – milczała przez jakiś czas, obserwując obłoki nad wschodnim horyzontem, rozpalone od środka tajemniczą, powracającą co dnia nadzieją na nadejście świtu.

– Chyba bardzo cię pragnęła – powiedziała wreszcie.

– Dlatego, że usiłowała wyjść z wody? Zapewne kiedyś żyła na lądzie, tak jak my wszyscy, i po prostu na chwilę zapomniała, iż nie ma już dla niej powrotu.

– Ale przedtem musiała płynąć pod prąd brudną Gyoll i tą wąską, płytką rzeką. Z pewnością miała nadzieję porwać cię podczas przeprawy, ale przekonała się, że nie może pokonać piaszczystej łachy, i dlatego ściągnęła cię na brzeg. Dla kogoś przyzwyczajonego do pływania wśród gwiazd nie była to z pewnością przyjemna podróż.

– Więc wierzysz jej?

– Kiedy odszedłeś, pozostawiając mnie z doktorem Talosem, wielokrotnie słyszałam od niego i od Jolenty, że jestem okropnie naiwna, wierząc w opowieści ludzi spotykanych po drodze, w historyjki Baldandersa, a nawet w to, co oni sami mi mówią. Mimo to sądzę, iż nawet łgarze mówią prawdę częściej niż kłamstwa. Przecież tak jest łatwiej! Po co miałyby twierdzić, że ocalała ci życie, gdyby to była nieprawda? Albo że pływa między gwiazdami? Widzę jednak, że coś cię niepokoi. Opowiesz mi o tym?

Nie chciałem relacjonować ze szczegółami spotkania z Autarchą, powiedziałem więc tylko:

– Niedawno widziałem w jakiejś książce ilustrację przedstawiającą istotę, która żyje w przestrzeni między słońcami. Miała skrzydła, ale nie takie jak ptak, tylko nieskończenie wielkie płachty czarnego materiału, i odpychała się nimi od blasku gwiazd.

Dorcas spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Czy ta ilustracja jest w twojej brązowej książce?

– Nie, w innej. Nie wziąłem jej ze sobą.

– To mi przypomina, że chcieliśmy sprawdzić, co twoja książka może nam powiedzieć o Łagodzicielu. Masz ją jeszcze?

Miałem i wydobyłem z sakwy. Była cała wilgotna po kąpieli, otworzyłem więc ją i położyłem w miejscu, gdzie docierały promienie słońca, a lekki wietrzyk odwracał kartki. Rozmawiając z Dorcas, spoglądałem na kolejne wizerunki mężczyzn, kobiet i potworów, dzięki czemu pozostały w mojej pamięci aż po dziś dzień. Od czasu do czasu pojedyncze słowa lub nawet całe wyrażenia zdawały się wyskakiwać z kart, kiedy promienie stojącego nisko na niebie słońca załśniły szczególnie mocno w błyszczącym atramencie. „Bezlitosny wojownik...”, „...klarowna żółć...”, „Działo się to w dawnych czasach, kiedy świat był młody”, „Piekło nie ma granic ani też nie jest w żaden sposób określone, gdyż istnieje tylko tam, gdzie my jesteśmy, a gdzie my jesteśmy, tam musi być Piekło”.

– Nie chcesz teraz czytać? – zapytała Dorcas.

– Nie. Chcę usłyszeć, co się stało z Jolentą.

– Naprawdę nie wiem. Spałam, a śniło mi się... to, co zawsze. Weszłam do sklepu z zabawkami. Na półkach tłoczyło się mnóstwo lalek, pośrodku zaś znajdowała się studnia, na której cembrowinie też siedziały lalki. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że moje dziecko jest jeszcze za małe, by bawić się lalkami, ale one były takie śliczne, a ja od dawna nie miałam żadnej lalki, postanowiłam więc kupić sobie jedną i zachować dla dziecka. Wybrałam najładniejszą – jedną z tych, które siedziały na studni – ale kiedy sprzedawca mi ją podał, zobaczyłam, że to Jolenta, i wypuściłam ją z rąk. Spadała bardzo długo w kierunku jakiejś ciemnej wody. Potem obudziłam się i oczywiście spojrzałam na nią, żeby się przekonać, czy nic jej nie jest...

– I zobaczyłaś, że krwawi?

Dorcas skinęła głową. Promienie słońca załśniły w jej złotych włosach.

– Zawołałam więc ciebie dwa razy, a potem zobaczyłam cię na łasze piasku obok tej okropnej rzeczy, która wyłoniła się z wody.

– Nie musisz się już niczego bać – powiedziałem. – Jolenta została ugryziona przez jakieś zwierzę, to zupełnie oczywiste. Nie mam pojęcia, co to za zwierzę, ale sądząc po wielkości ukąszenia, było raczej niewielkie. Nie powinniśmy obawiać się go bardziej niż innych małych zwierząt o ostrych zębach i paskudnym charakterze.

– Pamiętam, jak kiedyś opowiadano mi o żyjących na północy

nietoperzach, które odżywiają się ludzką krwią. Straszono mnie nimi, kiedy byłam dzieckiem. Kilka lat później do naszego domu dostał się zwykły nietoperz. Został zabity, a ja zapytałam ojca, czy to był ten pijący krew i czy takie stworzenia naprawdę istnieją. Powiedział, że istnieją i żyją na dalekiej północy, w gorących, wilgotnych lasach rosnących w samym sercu świata. Nocami kłają śpiących ludzi lub pasące się bydło, ich ślina zaś jest tak trująca, że rany w ogóle nie chcą się goić. – Umilkła na chwilę i spojrzała na wierzchołki drzew. – Ojciec powiedział także, że miasto od początku swego istnienia przesuwa się coraz bardziej na północ i że prędzej czy później dotrze do obszarów zamieszkałych przez te nietoperze, a one osiedlą się wówczas w opuszczonych budynkach. Mieszkańcy Domu Absolutu już teraz muszą mieć z nimi spore problemy, a przecież my jeszcze się na dobre nie oddaliliśmy od niego.

– Głęboko współczuję Autarsze – powiedziałem. – Po raz pierwszy słyszę cię mówiącą tak wiele o przeszłości. Czy pamiętasz swego ojca i dom, w którym zabito nietoperza?

Podniosła się z ziemi, lecz choć starała się nadrabiać miną, widziałem, że cała drży z lęku.

– Każdego ranka po przebudzeniu się z kolejnego snu pamiętam coraz więcej. Severianie, musimy już iść. Jolenta na pewno będzie bardzo osłabiona. Potrzebuje jedzenia i czystej wody do picia. Nie możemy tutaj zostać.

Ja sam byłem potwornie głodny. Schowałem książkę do sakwy i wsunąłem świeżo naoliwione ostrze Terminus Est do pochwy, Dorcas zaś zarzuciła sobie na ramię niewielki tobołek z dobytkiem.

Zaraz potem ruszyliśmy w drogę, przeprawiając się przez rzekę powyżej piaszczystej łachy. Jolenta była tak słaba, że musieliśmy podtrzymywać ją z obu stron. Jej twarz przypominała nieruchomą maskę, a choć odzyskała już przytomność, to prawie się nie odzywała. Dopiero teraz zauważyłem, że ma bardzo wąskie wargi, dolna zaś utraciła całą sprężystość i opada bezsilnie, odsłaniając nie tylko zęby, ale nawet posiniałe dziąsła. Odniosłem wrażenie, że całe jej ciało, wczoraj takie obfite, stopiło się jak воск. Jeszcze niedawno wyglądała przy Dorcas jak rozwinięta kobieta przy dziecku, teraz zaś można ją było porównać do schyłku lata, podczas gdy Dorcas uosabiała wiosenną świeżość.

Idąc wąską piaszczystą ścieżką graniczącą po obu stronach z polami trzciny cukrowej, rozmyślałem bez końca o tym, jak bardzo jej

pożądałem, choć znaleźliśmy się przecież tak krótko. Moja pamięć – tak doskonała i nieomylna, bardziej odurzająca od najsilniejszego narkotyku – podsuwała mi obraz, jaki ujrzałem wówczas, gdy nocą wyszliśmy z Dorcas zza kępy drzew i ujrzeliśmy na łące jasno oświetloną scenę doktora Talosa. Jakże dziwiłem się nazajutrz, kiedy wyruszyliśmy w drogę, że za dnia Jolenta jest równie piękna jak nocą, w blasku płonących pochodni.

Miłość i pożądanie są podobno jedynie dalekimi krewnymi. Przekonałem się o tym, prowadząc Jolentę uczeponą mojej szyi, ale teraz uważam, że prawda wygląda nieco inaczej. Wydaje mi się, iż miłość była zaledwie ciemniejszą stroną kobiecego ideału, jaki pielęgnowałem w sobie, śniąc o Valerii, Thecli, Agii, Dorcas, Jolencie, a nawet o towarzyszcze Vodalusa o twarzy w kształcie serca i głosie gołębicy, która potem okazała się przyrodnią siostrą Thecli, kasztelanką Theą. Podczas wędrówki między dwiema ścianami trzciny cukrowej, kiedy minęło całe pożądanie i spoglądałem na Jolentę już tylko ze współczuciem, przekonałem się, iż choć jeszcze niedawno wydawało mi się, że zależy mi wyłącznie na jej natarczywym zaróżowionym ciele i pozornie niezgrabnych, a przecież pociągających ruchach, to jednak ją kocham.

rozdział 29

Pasterz

Przez większą część poranka szliśmy ścieżką prowadzącą przez pole trzciny, nikogo po drodze nie spotykając. O ile mogłem się zorientować, Jolencie ani nie przybyło, ani nie ubyło sił. Jeśli chodzi o mnie, to głód, zmęczenie i bezlitosne promienie słońca zaczęły powoli dawać mi się we znaki, bo zerkając kątem oka na Jolentę, kilka razy odniosłem wrażenie, że obok mnie idzie jakaś inna kobieta, którą znam, lecz akurat w tej chwili nie potrafię zidentyfikować. Kiedy jednak odwracałem głowę, aby lepiej się jej przyjrzeć, owo ulotne wrażenie zniknęło bez śladu.

Szliśmy w niemal całkowitym milczeniu. Po raz pierwszy od chwili, kiedy odebrałem Terminus Est z rąk mistrza Palaemona, miecz wydał mi się niezmiernie ciężki. Na ramieniu, na którym go oparłem, powstała otwarta rana.

Uciąłem dla każdego po kawałku trzciny. Potem czyniłem to jeszcze wielokrotnie, abyśmy mogli przynajmniej częściowo zaspokoić pragnienie słodkim sokiem. W związku z tym musieliśmy się często zatrzymywać, gdyż Jolenta nie była w stanie iść bez naszej pomocy, a idąc, nie mogła poradzić sobie z trzcina. Muszę przyznać, że czułem się trochę dziwnie, patrząc na te wspaniałe nogi o smukłych łydkach i bujnych udach, które okazały się tak bardzo bezużyteczne.

Jeszcze tego samego dnia dotarliśmy do skraju pola i wyszliśmy na prawdziwe pampasy, rozciągające się wokół nas niczym morze trawy. Gdzieś tam rosły drzewa, lecz było ich tak niewiele, że stojąc pod jednym, widziało się najwyżej dwa lub trzy inne. Do każdego z nich przywiązano rzemieniami z surowej skóry jakieś drapieżne zwierzę z przednimi łapami rozstawionymi szeroko jak ramiona. W większości były to często spotykane na tych obszarach cętkowane tygrysy, lecz dostrzegłem także kilka troxów o niemal ludzkich włosach oraz zębiaste

smilodony. Najczęściej pozostały z nich już tylko kości, ale kilka jeszcze żyło i wydawało odgłosy, które w opinii wielu ludzi odstraszały inne drapieżniki, aby nie napadały na bydło.

Właśnie to bydło stanowiło dla nas większe zagrożenie niż jakiegokolwiek drapieżne koty. Byk stojący na czele stada jest gotów zaatakować wszystko, co pojawi się w zasięgu jego wzroku, dlatego też omijaliśmy każde stado szerokim łukiem, starając się w miarę możliwości iść nie z wiatrem, lecz pod wiatr. Dorcas musiała wtedy samodzielnie podtrzymywać Jolentę, gdyż ja szedłem z przodu, bliżej zwierząt. Raz byłem nawet zmuszony odskoczyć tuż przed nacierającym bykiem i odciąć mu łeb. Nazbieraliśmy wtedy suchej trawy, rozpaliliśmy ognisko i upiekliśmy mięso.

Przy innej okazji wydobyłem Pazur Łagodziciela, a wówczas szarżujący czarny byk natychmiast złagodniał, podszedł do mnie i pokornie polizał mnie po ręce. Wsadziłem mu na grzbiet Jolentę i Dorcas, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę. Musiałem jednak pamiętać, aby iść przed nim, tak by spoglądał na błękitny blask Pazura.

Do kolejnego drzewa – jednego z ostatnich, jakie widzieliśmy – był przywiązany żywy smilodon. Obawiałem się, że spłoszy byka, ale on nawet nie zaryczał, tylko wpatrywał się we mnie wielkimi żółtymi oczami przypominającymi oczy gołębia. Czując w ustach opuchnięty z pragnienia język, podszedłem do niego i przeciąłem krępujące go pęta. Myślałem, że mnie zaatakuje, lecz drapieżny kot był już tak bardzo osłabiony, że osunął się na ziemię, a ja, nie mogąc mu dać ani odrobiny wody, odwróciłem się i odszedłem.

Krótko po południu dostrzegłem krążącego nad nami sępa. Mówi się, że te ptaki potrafią z daleka wyczuć śmierć, a ja pamiętałem, że kiedyś, gdy czeladnicy przez kilka dni mieli tyle pracy, że prawie nie wychodzili z komnaty przesłuchań, my, uczniowie, musieliśmy rzucać kamieniami w nieruchome sylwetki siedzące ze stulonymi skrzydłami na zrujnowanym murze, w obawie, że ich obecność jeszcze bardziej pogorszy i tak już nie najlepszą reputację Cytadeli. Myśl o tym, iż Jolenta miałaby niedługo umrzeć, była dla mnie tak odrażająca, że gdybym miał pod ręką łuk, z pewnością spróbowałbym ustrzelić wielkie ptaszydło.

Po pewnym czasie dołączyły do niego dwa mniejsze; po jaskrawym upierzeniu głów, widocznym nawet z tak dużej odległości, zidentyfikowałem je jako katartydy, wobec czego pierwszy, o trzykrotnie większej rozpiętości skrzydeł, musiał być górskim teratornisem, jednym z tych, które podobno atakują wspinaczy, raniąc

ich twarze szponami i spychając w przepaść uderzeniami skrzydeł. Od czasu do czasu, kiedy tamte dwa zanadto się zbliżyły, większy sęp odganiał je od siebie. Do naszych uszu docierał wówczas jego ochrypły, przeraźliwy wrzask. W pewnej chwili, ulegając jakiejś makabrycznej zachciance, dałem im znak, by do nas dołączyły. Wszystkie trzy natychmiast zniżyły lot, ale ja obnażyłem miecz i je odegnałem, po czym zaprzestałem niemądrych żartów.

Kiedy zachodni horyzont sięgnął już prawie tarczy słońca, dotarliśmy do niskiej chaty zbudowanej w całości z torfu. Przed wejściem siedział na ławce żylasty mężczyzna w skórzanych spodniach, popijając matę i udając, że z zainteresowaniem obserwuje pyszniące się soczystymi barwami obłoki. W rzeczywistości z pewnością dostrzegł nas znacznie wcześniej nim my jego, gdyż był nieduży i brązowy i siedział obok niedużego brązowego domu, podczas gdy nasze sylwetki rysowały się wyraźnie na tle nieba.

Na jego widok schowałem pośpiesznie Pazur, mimo że nie byłem pewien, co zrobi byk, kiedy błękitny blask klejnotu zniknie sprzed jego oczu. Nic nie zrobił, tylko dalej szedł spokojnie z dwiema kobietami na grzbiecie. Kiedy dotarliśmy do chaty, pomogłem dziewczętom zejść na ziemię, zwierzę zaś podniosło pysk, wciągnęło badawczo powietrze, po czym spojrzało na mnie jednym okiem. Wskazałem na falujące morze traw, dając do zrozumienia, że już go nie potrzebuję. Chyba dopiero wtedy zauważył, iż moja ręka jest pusta, gdyż natychmiast zawrócił i z powrotem potruchtał.

Pasterz wyjął z ust koniec cynowej rurki zanurzonej w dzbanie.

– To był wół – powiedział.

Skinąłem głową.

– Pożyczyliśmy go sobie, żeby poniósł na grzbiecie tę chorą kobietę. Czy należy do ciebie? Mieliśmy nadzieję, że nie weźmiesz nam tego za złe, a poza tym nie zrobiliśmy mu żadnej krzywdy.

– Oczywiście. – Pasterz machnął lekceważąco ręką. – Powiedziałem to tylko dlatego, że kiedy zobaczyłem was z daleka, wydawało mi się, że to byk. Moje oczy nie są już tak dobre jak kiedyś. – Uraczył nas opowieścią o tym, jak bardzo były dobre. – Ale to jednak jest wół – zakończył.

Tym razem oboje z Dorcas skinęliśmy głowami.

– Widzicie, jak to jest, kiedy człowiek się starzeje. Byłbym gotów pocałować ostrze tego nożyka – poklepał rękojeść sterczącą z za jego szerokiego pasa – i przysięgłbym na słońce, że zauważyłem coś między jego nogami, ale przecież nikt nie jeździ po pampasach na byku. Czasem

robi to tylko czerwona pantera, ale wtedy trzyma się mocno pazurami, a i tak zdarza się, że musi przyplącić taką przejażdżkę życiem. Tak, to na pewno było opuszczone wymię, które ten wół odziedziczył po swojej matce.

Odparłem, że pochodzę z miasta i niewiele wiem na temat bydła.

– Ja wiem jeszcze mniej od ciebie – powiedział pasterz, pociągnawszy przez rurkę kolejny łyk mate. – Tutaj wszyscy są ignorantami, a w dodatku eklektykami. Wiesz, kto to są eklektycy? To ludzie, którzy nic nie wiedzą. Jak można się czegokolwiek dowiedzieć, mając takich sąsiadów?

– Czy pozwolisz nam wprowadzić tę kobietę do chaty, żeby mogła się położyć? – zapytała Dorcas. – Obawiam się, że ona umiera.

– Powiedziałem wam, że nic nie wiem. Powinnaś zapytać tego człowieka, który potrafi prowadzić wołu, a może byka, tak jakby to był pies.

– Ale on nie może jej pomóc, tylko ty!

Pasterz mrugnął do mnie porozumiewawczo, co miało chyba oznaczać, iż uzyskał potwierdzenie swoich przypuszczeń, że to ja okiełznałem byka, nie zaś Dorcas.

– Bardzo mi przykro z powodu waszej przyjaciółki, która, jak widzę, musiała kiedyś być piękną kobietą. Tak się jednak składa, że ja także mam przyjaciela, który właśnie teraz leży w tej chacie. Obawiacie się, że ona umrze, ja natomiast wiem, że jego na pewno to spotka, i chciałbym pozwolić mu odejść w spokoju.

– Doskonale cię rozumiemy, ale możesz nam wierzyć, że nie chcemy mu przeszkadzać. Kto wie, może nawet nam się uda mu pomóc?

Pasterz przeniósł spojrzenie ze mnie na Dorcas, a potem znowu na mnie.

– Dziwni z was ludzie... Ale co ja właściwie wiem? Na pewno nie więcej od tych głupich eklektyków. Wchodźcie, ale zachowujcie się cicho i pamiętajcie, że jesteście moimi gośćmi.

Wstał, po czym otworzył drzwi, które były tak niskie, że musiałem prawie zgiąć się wpół, aby wejść do środka. W chacie było tylko jedno pomieszczenie, ciemne i cuchnące dymem. Na sienniku przed paleniskiem leżał mężczyzna młodszy ode mnie i, jak mi się wydawało, znacznie wyższy od gospodarza. Miał równie brązową skórę, ale nie było w niej chyba ani odrobiny krwi, gdyż jego czoło i policzki wyglądały tak, jakby zostały posmarowane błotem. Nigdzie nie mogłem dostrzec drugiego posłania, rozpostarliśmy więc na klepisku poszarpany

płaszcz Dorcas i ułożyliśmy na nim Jolentę. Otworzyła na chwilę oczy, lecz miała zupełnie nieprzytomne spojrzenie, a żywa niegdyś zieleń oczu zbladła jak sprany lachman, który zbyt długo leżał na słońcu.

Gospodarz pokręcił głową, po czym szepnął:

– Nie pociągnie dłużej niż ten ignorant Manahen. Może nawet umrze pierwsza.

– Ona potrzebuje wody – powiedziała również szeptem Dorcas.

– Jest z tyłu, w beczce. Zaraz przyniosę.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, wydobyłem z ukrycia Pazur. Tym razem rozbłysnął tak intensywnie, iż zacząłem się obawiać, czy błękitnozielone promienie nie wydostaną się na zewnątrz przez szczeliny w ścianach chaty. Młody człowiek leżący na sienniku nabrał głęboko w płuca powietrza, po czym wypuścił je z donośnym westchnieniem. Pośpiesznie schowałem Pazur.

– Nie pomógł jej – zauważyła Dorcas.

– Może woda lepiej podziała. Straciła mnóstwo krwi.

Dorcas wyciągnęła rękę i pogładziła Jolentę po włosach. Zaczęły wypadać, tak jak wypadają włosy starych kobiet oraz ludzi mających wysoką gorączkę. Mimo panującego w chacie półmroku bez trudu dostrzegłem gęste pasma, które przywarły do wilgotnej dłoni Dorcas.

– Ona chyba zawsze była chora – szepnęła Dorcas. – Już wtedy, kiedy ją poznałam. Doktor Talos dawał jej coś, po czym czuła się lepiej, ale teraz kazał jej iść precz, mszcząc się za to, że była tak wymagająca.

– Nie wydaje mi się, żeby celowo aż tak surowo ją ukarał.

– Ani mnie. Posłuchaj, Severianie, on i Baldanders z pewnością niebawem się zatrzymają, aby wystawić sztukę i szpiegować. Być może uda nam się ich odnaleźć.

– Szpiegować? – Byłem tak zdumiony, że nawet nie starałem się tego ukryć.

– Zawsze wydawało mi się, że podróżują po to, by zdobyć pieniądze, ale także by mieć oko na wszystko, co się na świecie dzieje. Kiedyś doktor Talos powiedział mi to wprost, choć nigdy nie udało mi się odkryć, na czym bardziej im zależy.

Wrócił pasterz, niosąc tykwę wypełnioną wodą. Uniosłem Jolentę do pozycji siedzącej, a Dorcas przysunęła jej naczynie do ust. Woda polała się na wymiętą koszulę Jolenty, ale trochę trafiło także do gardła kobiety. Kiedy pasterz ponownie napełnił tykwę, Jolenta była już w stanie samodzielnie przełykać.

Zapytałem naszego gospodarza, czy wie, gdzie leży jezioro Diuturna.

– Jestem zwykłym ignorantem – odparł. – Nigdy nie podróżowałem tak daleko. Mówiono mi, że to gdzieś tam. – Wyciągnął rękę. – Na północ i na zachód stąd. Chcecie tam iść?

Skinąłem głową.

– W takim razie będziecie musieli przebyć złe miejsce. Może nawet wiele złych miejsc, ale kamienne miasto będzie pierwszym z nich.

– A więc gdzieś w pobliżu jest miasto?

– Owszem, tyle tylko, że bez ludzi. Eklektycy mieszkający w jego pobliżu twierdzą, że miasto przesuwa się, tak że każdy musi przez nie przejść, bez względu na to, dokąd zmierza. – Roześmiał się cicho, lecz natychmiast spoważniał. – To nieprawda. Miasto ma jednak inną szczególną cechę: wciąż masz je przed sobą, chociaż wydaje ci się, że lada chwila z niego wyjdiesz. Rozumiesz? Wydaje mi się, że nie.

Przypomniałem sobie Ogrody Botaniczne i skinąłem głową.

– Rozumiem. Mów dalej.

– Idąc na północ i na zachód, i tak byście na nie trafili. Wcale nie musiałyby się przesuwać. Niektórzy widzą w nim tylko rozpadające się ściany, ale podobno są i tacy, którzy znajdują wielkie skarby. Wielu przynosi stamtąd dziwne opowieści, wielu także nigdy nie wraca. Przypuszczam, że żadna z tych kobiet nie jest dziewicą?

Dorcas prychnęła, a ja potrząsnąłem głową.

– To dobrze, bo to one najczęściej nie wracają. Spróbujcie przejść przez miasto za dnia, mając rano słońce za prawym ramieniem, a wieczorem z przodu, z lewej strony. Jeśli jednak zastanie was tam noc, nie zatrzymujcie się ani nigdzie nie skręcajcie, tylko kierujcie się wprost na gwiazdozbiór Ihuaiwulu.

Już zamierzałem zadać kolejne pytanie, kiedy nagle umierający mężczyzna otworzył oczy i usiadł na posłaniu. Koc zsunął się z jego ciała, a ja ujrzałem przesiąknięty krwią bandaż spowijający pierś. Mężczyzna wybałuszył na mnie oczy i coś krzyknął. W następnej chwili poczułem na gardle nóż pasterza.

– Nie obawiaj się, nie robi ci krzywdy – powiedział pasterz. Posługiwał się tym samym dialektem, co młody człowiek, ale rozumiałem go znacznie lepiej, ponieważ mówił wolno i wyraźnie. – Chyba nawet nie wie, kim jesteś.

– Powiadam ci, ojcze, to nowy liktor z Thraxu. Posłano po niego, a heraldzi już ogłaszali, że się zbliża. Zabij go! Zabij go, bo jeśli tego nie zrobisz, to on zgładzi wszystkich, którzy jeszcze żyją!

Zdumiało mnie, że wspomniał o Thraksie, od którego dzielił mnie

jeszcze szmat drogi. Chciałem go o to zapytać i sędzę, że udałoby mi się jakoś dogadać zarówno z nim, jak i z jego ojcem, lecz Dorcas uderzyła pasterza w głowę pustą tykwą. Był to słaby kobiecy cios, wywołujący lekki ból, ale żadnego poważnego efektu. Niski mężczyzna zamachnął się na nią nożem o zakrzywionym ostrzu, lecz ja chwyciłem go za ramię, złamałem je, a potem to samo uczyniłem z nożem. Jego syn, Manahen, próbował podnieść się z siennika, ale nawet jeżeli Pazur przywrócił mu życie, to na pewno nie siły, gdyż Dorcas bez trudu pchnęła go z powrotem na posłanie.

– Teraz umrzemy z głodu – jęknął pasterz. Sądząc po grymasie, jaki pojawił się na jego brązowej twarzy, musiał mocno się starać, żeby nie krzyczeć z bólu.

– Pielęgnowałeś syna, a teraz on będzie pielęgnował ciebie, jak tylko odzyska siły, co już niedługo nastąpi. Co mu się właściwie stało?

Obaj milczeli jak zakłęci.

Nastawiłem złamaną kość i usztywniłem ramię, po czym spożyliśmy z Dorcas posiłek i przespaliśmy noc przed chatą, uprzedziwszy ojca i syna, że zabijemy ich, jeśli Jolencie stanie się jakaś krzywda. Rano, kiedy jeszcze spali, dotknąłem Pazurem złamanego ramienia pasterza. W pobliżu chaty pasł się dorodny wierzchowiec. Dosiadłszy go, zdołałem schwycić jeszcze jednego dla Dorcas i Jolenty. Prowadząc go w stronę chaty, spostrzegłem, że jej ściany pokryły się świeżą zielenią.

rozdział 30

Ponownie Borsuk

Pomimo tego, co usłyszałem od pasterza, miałem nadzieję, że znajdziemy się w osadzie podobnej do Saltus, gdzie będzie pod dostatkiem czystej wody, a kilka aes zapewni nam pożywienie i nocny odpoczynek. Tymczasem naszym oczom ukazało się coś, co z trudem można by uznać nawet za resztki miasta. Między popękаныmi kamiennymi płytami tworzącymi niegdyś chodniki rosła gęsta trawa, a tu i ówdzie leżały pozostałości kolumn, przypominające pnie drzew powalone jakimś nieprawdopodobnie silnym wiatrem. Kilka z nich przetrwało w pozycji pionowej i teraz lśniły oślepiającą bielą w promieniach słońca. Gdzieniedzie wygrzewały się jaszczurki o jasnych, błyszczących oczach i gruzłowatych grzbietach. Budynki zamieniły się w niewysokie pagórki pokryte trawą, która wyrosła na glebie naniesionej podmuchami wiatru.

Nie widziałem powodu, dla którego mielibyśmy zbaczać z ustalonej trasy, w dalszym ciągu podążaliśmy więc na północny zachód, od czasu do czasu poganiając nasze wierzchowce. Dopiero tutaj po raz pierwszy dostrzegłem czekające na nas góry; co prawda były zaledwie wąską niebieską kreską na horyzoncie, niemniej jednak istniały, podobnie jak istnieli ogarnięci szaleństwem klienci z trzeciego poziomu lochów, chociaż nigdy nie opuszczali ani swojego korytarza, ani nawet cel. Gdzieś w tych górach leżało jezioro Diuturna, podobnie jak Thrax. Z tego, co wiedziałem, między szczytami i przepaściami wędrowały także Peleryny, niosąc pomoc żołnierzom, którzy odnieśli rany w niekończącej się wojnie z Ascianami. Tysiące ludzi straciło już życie, walcząc o trudno dostępne przełęcze i doliny.

Tymczasem jednak znajdowaliśmy się w mieście, gdzie panowała martwa cisza, jeśli nie liczyć chrapliwego pokrzykiwania kruków. Woda,

którą zabraliśmy w skórzanych bukłakach z chaty pasterza, prawie się skończyła. Jolenta znowu wyraźnie osłabła i ani dla mnie, ani dla Dorcas nie ulegało wątpliwości, że umrze, jeśli nie uda nam się przed zachodem słońca znaleźć więcej wody. Kiedy czerwona tarcza zaczęła kryć się za horyzontem, dotarliśmy do zniszczonego ołtarza, w którego zagłębieniu zebrało się nieco deszczówki. Woda była brudna i cuchnąca, lecz mimo to pozwoliliśmy Jolencie wypić kilka łyków, które natychmiast wymiotowała. Wkrótce potem na niebie pojawił się księżyc, a jego zielonkawy blask zastąpił światło słońca.

Gdybyśmy wówczas natrafili na rozpalone przez kogoś ognisko, należałoby to uznać za niesłychany cud. To, co ujrzelśmy, było w pewnym sensie jeszcze bardziej zaskakujące, choć mniej tajemnicze. W pewnej chwili Dorcas wyciągnęła rękę w lewo, a kiedy spojrzałem w tamtą stronę, dostrzegłem – tak mi się przynajmniej wydawało – meteor.

– To spadająca gwiazda – powiedziałem. – Nigdy nie widziałas czegoś takiego? Czasem pojawiają się jedna za drugą.

– Nie! Przecież to budynek, nie widzisz? Jest czarniejszy od nieba. Ma płaski dach, na którym ktoś próbuje rozniecić ogień.

Chciałem już powiedzieć, że dała się ponieść wyobraźni, kiedy nagle tam, gdzie padły iskry, pojawił się czerwony punkcik nie większy od łebka szpilki, a zaraz potem wypełzły z niego języki ognia.

Budynek znajdował się niedaleko, ale na dotarcie do niego potrzebowaliśmy sporo czasu, gdyż musieliśmy pokonać wiele zdradliwych nierówności terenu. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się na miejscu, płomienie buchały już wysoko, rzucając migotliwy blask na trzy przycupnięte wokół nich postacie.

– Potrzebujemy waszej pomocy! – zawołałem. – Ta kobieta umiera.

Cała trójka podniosła głowy, a skrzeczący kobiecy głos zapytał:

– Kto to mówi? Słyszę cię, ale nie widzę. Kim jesteś?

– Jestem tutaj – odparłem, zsuwając z głowy kaptur i rozchylając fuliginowy płaszcz. – Po waszej lewej stronie. Mam czarne ubranie, dlatego mnie nie widać.

– Rzeczywiście. A kto umiera? Widzę jakieś złote włosy... Nie mamy lekarza, ale za to znajdzie się trochę wina. Schody są z tyłu.

Poprowadziłem zwierzęta za róg budynku. Księżyc skrył się za kamiennymi ścianami, pozostawiając nas w całkowitej ciemności, lecz szczęśliwym zbiegiem okoliczności niemal od razu natrafiłem na nierówne schody, ułożone prawdopodobnie z resztek rozpadających się

budowli. Uwiązałem wierzchowce, po czym wziąłem Jolentę na ręce i ruszyłem w górę za Dorcas, która miała badać drogę i uprzedzać mnie o ewentualnych niebezpieczeństwach.

Kiedy dotarliśmy na dach, okazało się, że wcale nie jest płaski; spadek był na tyle duży, że obawiałem się, iż lada chwila stracę równowagę i zsunę się po stromiźnie. Twarda, nierówna powierzchnia chyba została wykonana z dachówek – jedna z nich, zapewne od dawna już obluzowana, zjechała z hurgotem na skraj dachu, by zaraz potem roztrzaskać się na resztkach kamiennego chodnika.

Kiedy byłem jeszcze uczniem – w dodatku zbyt młodym, aby liczyć na otrzymanie jakiegoś poważniejszego zadania – dostałem kiedyś list, który miałem zanieść do wieży zamieszkaanej przez wiedźmy, a znajdującej się po drugiej stronie Starego Dziedzińca. (Dużo później dowiedziałem się, że nie bez przyczyny posyłano tam jedynie małych chłopców, którzy nie osiągnęli jeszcze pełnej dojrzałości). Teraz, kiedy już wiem, jak wielkie przerażenie budziła nasza własna wieża, nie tylko w ludziach z najbliższych dzielnic Nessus, lecz także w mieszkańcach samej Cytadeli, mój ówczesny strach wydaje mi się śmieszny, choć dla chłopaczka, jakim wtedy byłem, stanowił coś bardzo realnego. Słyszałem przecież okropne opowieści powtarzane przez starszych uczniów i widziałem na własne oczy, jak chłopcom dużo odważniejszym ode mnie trzęsą się ze strachu nogi. W tej najbardziej posępnej z niezliczonych wież Cytadeli nocą płonęły światła o przedziwnych barwach. Przerażliwe krzyki docierające przez okrągłe okienka do naszej bursy nie dobiegały z podziemi, tak jak u nas, lecz z najwyższych pięter. Wiedzieliśmy, że to same wiedźmy krzyczą, nie zaś ich klienci, gdyż tych po prostu nie miały. Poza tym w tych wrzaskach nie było ani szaleństwa, ani cierpienia.

Kazano mi umyć ręce, abym nie pobrudził koperty, i kiedy szedłem przez dziedziniec, starannie wybierając drogę między zamarzniętymi kałużami, czułem, że mam wilgotne dłonie, i widziałem ich zaczerwienioną skórę. Wyobrażałem sobie, że zostanę przyjęty przez jakąś niezwykle dostojną wiedźmę, która najpierw obrzuci mnie pogardliwym spojrzeniem za to, że ośmieliłem się podać list takimi czerwonymi rękami, a potem ukarze mnie w jakiś odrażający sposób i odeśle do mistrza Malrubiusa.

Byłem wtedy naprawdę bardzo mały, gdyż musiałem podskoczyć, aby dosięgnąć kołatki. Do dziś czuję pod stopami szeroki, głęboko wyżłobiony próg Wiedźmińca.

– Słucham?

Twarz, która się pojawiła, nie znajdowała się wcale wyżej od mojej. Należała do tych twarzy, które natychmiast rzucają się w oczy i pozostają na długo w pamięci, ponieważ będąc piękne, są również naznaczone piętnem choroby. Wiedźma wydała mi się wówczas niezmiernie stara, przypuszczam więc, że miała około dwudziestu lat. Była jednak niska, a w dodatku poruszała się zgięta niemal w pół, tak jak bardzo wiekowe osoby. Jej urocza, pozbawiona kropli krwi twarz przypominała maskę wyrzeźbioną z kości słoniowej przez jakiegoś znakomitego artystę.

Bez słowa podałem list.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Najbardziej obawiałem się, że usłyszę te właśnie słowa, a teraz, kiedy już zostały wypowiedziane, wydały mi się równie nieuchronne jak następstwo pór roku.

Wszedłem do wieży zupełnie innej niż ta, jaką znałem. Nasza była przytłaczająco solidna, zbudowana z metalowych płyt tak ciasno dopasowanych, że ich krawędzie stopiły się ze sobą, tworząc jednolitą powierzchnię. W Wiedźmińcu mało rzeczy sprawiało wrażenie solidnych, a jeszcze mniej takimi było. Znacznie później mistrz Palaemon wyjaśnił mi, że Wiedźminiec jest dużo starszy od pozostałych części Cytadeli i że został wzniesiony w czasach, gdy każda budowla stanowiła imitację ludzkiego ciała, to znaczy składała się ze stalowego szkieletu pokrytego znacznie mniej trwałymi substancjami. Z biegiem stuleci szkielet uległ korozji, a całość trzymała się wyłącznie dzięki niezliczonym naprawom dokonywanym przez kolejne pokolenia. Ogromne pokoje miały ściany nie grubsze od draperii, żadna podłoga nie była pozioma, żadne schody proste, a każda poręcz, jakiej dotknąłem, sprawiała wrażenie, iż lada chwila rozsypie się w rękę. Ściany pokrywały białe, zielone i fioletowe malowidła, umeblowanie zaś określiłbym jako co najwyżej skromne. Powietrze wydawało się tu chłodniejsze niż na zewnątrz.

Po pokonaniu wielu krętych schodów oraz trzeszczących drabin połączonych ze sobą jeszcze świeżymi pnączami dotarłem przed oblicze starej kobiety siedzącej w jedynym fotelu, jaki w tej wieży zobaczyłem. Kobieta wpatrywała się w coś w rodzaju stołu, na którym pod grubym

szkłem znajdowała się plastyczna mapa jakiegoś terenu, zamieszкана przez maleńkie bezwłose zwierzęta. Wręczyłem jej list i zostałem natychmiast wyprowadzony z pokoju, nie wcześniej jednak, nim stara kobieta zdążyła dokładnie mi się przyjrzeć. Jej twarz, podobnie jak twarz starej młodej wiedźmy, która otworzyła mi drzwi, na zawsze pozostała w mojej pamięci.

Opowiadam o tym wszystkim, gdyż położywszy Jolentę na dachu obok ogniska, odniosłem wrażenie, że znam obie kobiety. Naturalnie było to niemożliwe: ta, której wręczyłem list, z pewnością od dawna już nie żyła, młodsza natomiast (o ile nie umarła z powodu toczącej ją choroby) musiała zmienić się nie do poznania, podobnie jak ja. A jednak twarze, które zwróciły się ku mnie, były twarzami zapamiętanymi z dzieciństwa. Może na świecie są tylko dwie wiedźmy, które wciąż od nowa rodzą się i umierają?

– Co jej się stało? – zapytała młodsza kobieta. Dorcas i ja zaczęliśmy jej wyjaśniać.

Jeszcze nim skończyliśmy, starsza kobieta uniosła nieco głowę Jolenty i wlała jej do ust trochę wina.

– Zaszкодziłoby jej, gdyby było mocne, ale to w trzech czwartych czysta woda – powiedziała. – Jeżeli naprawdę nie chcecie, aby umarła, to macie sporo szczęścia, że trafiliście właśnie na nas. Nie wiem tylko, czy mogę to samo o niej powiedzieć.

Podziękowałem staruszce, a następnie zapytałem, gdzie podziła się trzecia postać, którą widzieliśmy przy ognisku.

Stara kobieta spojrzała na mnie, po czym westchnęła i ponownie skoncentrowała uwagę na Jolencie.

– Jesteśmy tu tylko my dwie – odparła młodsza. – Widziałeś jeszcze kogoś?

– I to bardzo wyraźnie. Twoja babka, jeśli oczywiście nią jest, odezwała się do mnie, a ty i tamta osoba podniosłyście głowy, by zaraz je opuścić.

– To Cumaeana.

Słyszałem już wcześniej to imię, ale przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć gdzie, a z nieruchomej twarzy młodszej kobiety nie byłem w stanie nic wyczytać.

– Wizjonerka – wyjaśniła mi Dorcas. – A kim ty jesteś?

– Jej uczennicą. Nazywam się Merryn. Możliwe, iż ma to jakieś znaczenie, że was troje dostrzegło przy ognisku także troje ludzi, podczas gdy my, będąc tylko we dwie, ujrzałyśmy najpierw także tylko dwoje.

Spojrzała na Cumaeanę, jakby oczekując od niej potwierdzenia, a potem z powrotem na nas.

– Jestem pewien, że widziałem trzecią postać, większą od was – powiedziałem.

– To niezwykła noc. Czasem zdarza się, że ci, którzy unoszą się w ciemności na skrzydłach wiatru, przybierają na chwilę ludzką postać. Pozostaje tylko pytanie, w jakim celu ktoś taki miałby ci się pokazywać.

Jej ciemne oczy i doskonale spokojna twarz wywarły na mnie tak ogromne wrażenie, że może nawet bym jej uwierzył, gdyby nie Dorcas, która wykonała głową prawie niedostrzegalny ruch, sugerując, iż trzecia, tajemnicza osoba, mogła ukryć się po drugiej stronie dachu, za jego szczytem.

– Będzie żyła – oznajmiła Cumaeaną, nie odrywając wzroku od twarzy Jolenty. – Chociaż chyba tego nie chce.

– Mieliśmy szczęście, że choć jesteście tylko dwie, to zostało wam jeszcze tak dużo wina – powiedziałem.

Stara kobieta nie chwyciła przynęty.

– Rzeczywiście – odparła po prostu. – Wy na pewno, a może i ona.

Merryn wzięła do ręki kij i podsunęła płonące szczapy bliżej środka ogniska.

– Śmierć nie istnieje – oznajmiła.

Roześmiałem się, chyba przede wszystkim dlatego, że przestałem już tak bardzo martwić się o Jolentę.

– Moi bracia z konfraterni myślą inaczej.

– Twój bracia się mylą.

– Doktorze... – szepnęła Jolenta. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała od rana.

– Nie potrzebujesz już doktora – poinformowała ją Merryn. – Masz tu kogoś lepszego.

– Ona szuka swojego kochanka – mruknęła Cumaeaną.

– A więc nie jest nim ten człowiek w fuliginie, matko? Ja także od początku myślałam, że ona wybrałaby kochanka ze szlachetniejszego rodu.

– To tylko kat. Jej trzeba kogoś gorszego.

Merryn skinęła głową, po czym zwróciła się do nas:

– Właściwie nie powinno się jej teraz ruszać, lecz musimy prosić was, byście przenieśli się gdzieś dalej. Bez trudu znajdziecie mnóstwo miejsc lepiej nadających się na obóz, a tutaj groziłoby wam poważne niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo śmierci? – zapytałem. – Przed chwilą sama powiedziałaś, że śmierć nie istnieje. Uwierzyłem ci, czego więc mam się lękać? A gdybym ci nie uwierzył, dlaczego miałbym to zrobić teraz?

Mimo to wstałem z miejsca. Cumaeana podniosła na mnie wzrok.

– Ona ma rację – zaskrzeczała. – Co prawda nic nie wie i tylko powtarza to, czego się nauczyła, jak papuga zamknięta w klatce, ale ma rację. Śmierć jest niczym i właśnie z tego powodu należy się jej lękać. Czy istnieje coś, co może budzić większy strach?

Ponownie wybuchnąłem śmiechem.

– Nie jestem w stanie dyskutować z kimś tak mądrym jak ty. Odejdziemy, skoro tego chcecie, ale tylko dlatego, że nam pomogliście.

Cumaeana zaczęła, aż wezmę Jolentę na ręce, po czym się odezwała:

– Wcale tego nie chcę. Moja uczennica wciąż jeszcze uważa, że świat jest planszą, na której ona może ustawiać figury wedle własnego uznania. Wielcy Magowie okazali się na tyle łaskawi, by zaliczyć mnie do swego wąskiego grona, lecz szybko utraciłabym to zaszczytne miejsce, gdybym zapomniała o tym, że ludzie tacy jak my są jedynie małymi rybkami, które muszą posłusznie ulegać silnym prądom, gdyż w przeciwnym razie szybko stracą siły i zginą, niczego nie osiągnąwszy. Owiń tę biedną istotę swoim płaszczem i połóż ją przy ogniu. Zajmę się ponownie jej raną, kiedy Urth zwróci się twarzą ku słońcu.

Stałem niezdecydowany, nie wiedząc, czy powinniśmy odejść, czy też zostać. Cumaeana miała chyba jak najlepsze intencje, lecz metafora, jakiej użyła, obudziła we mnie niemiłe wspomnienia związane z olbrzymką. Wpatrując się w jej twarz, zacząłem nagle wątpić, czy naprawdę jest taka stara. Oczami wyobraźni ponownie ujrzałem okropne oblicza kakogenów, którzy zrzucili maski, kiedy Baldanders ruszył do ataku.

– Zawstydzasz mnie, matko – odezwała się Merryn. – Czy mam go zawołać?

– Na pewno nas słyszał. Przyjdzie bez twego wołania.

Miała rację. Do moich uszu dotarł dobiegający z za szczytu dachu odgłos ostrożnych kroków.

– Widzę, że się zaniepokoiłeś. Może położyłbyś tę kobietę przy ogniu,

tak jak ci proponowałam, żebyś w razie potrzeby mógł wyciągnąć miecz i wystąpić w jej obronie? Zapewniam cię jednak, że nie będzie takiej potrzeby.

Jeszcze zanim skończyła mówić, ujrzałem na tle nocnego nieba wysoki kapelusz, wielką głowę i szerokie ramiona. Położyłem Jolentę na dachu i wyjąłem Terminus Est z pochwy.

– Nie trudź się, młody człowieku – rozległ się głęboki głos. – Pokazałbym się wcześniej, aby odnowić naszą znajomość, ale nie wiedziałem, jakie będzie życzenie kasztelanki. Mój pan – i twój także – przesyła ci pozdrowienia.

Był to Hildegrin.

rozdział 31

Oczyszczenie

– Możesz poinformować swego pana, że przekazałem jego wiadomość – powiedziałem.

Hildegryn uśmiechnął się.

– A otrzymałeś jakąś odpowiedź, szlachetny panie? O ile pamiętasz, przybywam z najgłębszych otchłani niewiedzy.

– Nie – odparłem. – Żadnej.

– Za to ja mam coś do przekazania – odezwała się niespodziewanie Dorcas. – Pewien człowiek, którego spotkałam w ogrodach Domu Absolutu, powiedział mi, że poznam kogoś, kto przedstawi się właśnie w taki sposób. Oto, co mam mu przekazać: „Kiedy liście wyrosną, las ruszy na północ”.

Hildegryn z namysłem podrapał się po nosie.

– Cały las? Czy tak właśnie powiedział?

– Kazał mi zapamiętać te słowa, które przed chwilą powtórzyłam, i nic więcej.

– Dlaczego zataiłaś to przede mną? – zapytałem.

– Odkąd spotkaliśmy się na skrzyżowaniu ścieżek, właściwie nie miałam okazji porozmawiać z tobą w cztery oczy, a poza tym wydawało mi się, że z tą sprawą mogą wiązać się jakieś niebezpieczeństwa, i nie chciałam cię na nie narażać. To był ten sam człowiek, który dał doktorowi pieniądze. Wiem o tym, gdyż przysłuchiwałam się ich rozmowie. Potem powiedział mi, że jest twoim przyjacielem, i kazał zapamiętać to zdanie.

– Zapewne polecił ci też, żebyś mi je powtórzyła?

Dorcas pokręciła głową.

Rechot Hildegryna zabrzmiał tak, jakby wydobywał się spod ziemi.

– Teraz chyba nie ma to już żadnego znaczenia, prawda? Wiadomość

została dostarczona, a jeśli o mnie chodzi, to powiem wam w sekrecie, że nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nastąpiło to trochę później. Na szczęście wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi, może z wyjątkiem tej chorej dziewczyny, ale ona chyba nas nie słyszy, a nawet jeśli słyszy, to z pewnością nie rozumie, o czym mówimy. Jak ona się nazywa? Tam, po drugiej stronie dachu, nie słyszałem was zbyt dobrze.

– To dlatego, że nie wymieniłem jej imienia – odparłem. – Nazywa się Jolenta.

Wymawiając jej imię, spojrzałem na nią i przekonałem się, że już nie jest Jolentą. W niczym nie przypominała pięknej kobiety, w której zakochał się Jonas.

– I powiadasz, że nietoperz ją ugryzł? Ostatnio robią się coraz bardziej zuchwałe.

Spojrzałem na niego ostro, a on pośpiesznie dodał:

– Tak, widziałem ją już wcześniej, młody panie, podobnie jak ciebie i małą Dorcas. Chyba nie przypuszczałeś, że pozwolę tobie i tamtej dziewczce jakby nigdy nic opuścić Ogrody Botaniczne, po tym, jak dowiedziałem się od ciebie, że masz zamiar udać się na północ, lecz najpierw stoczysz pojedynek z oficerem Septentrionów? Widziałem, jak walczyłeś i skróciłeś tego nieszczęśnika o głowę. Nawiasem mówiąc, to ja pomogłem go schwytać, gdyż podejrzewałem, że naprawdę może mieć coś wspólnego z Domem Absolutu, potem zaś stałem za plecami ludzi podziwiających wasze występy na scenie. Straciłem cię z oczu dopiero nazajutrz, po tym zamieszanu w bramie. Tak więc widziałem ciebie i widziałem ją, choć muszę przyznać, że jeśli o nią chodzi, to zostały tylko włosy, ale nawet one wyglądają gorzej niż przedtem.

– Czy mam im powiedzieć, matko? – zapytała Merryn, spoglądając na Cumaeanę.

Stara kobieta skinęła głową.

– Jeśli dasz sobie radę, moje dziecko.

– Rzucono na nią urok, dzięki któremu stała się piękna. Teraz jednak jego działanie słabnie, ponieważ straciła mnóstwo krwi i jest wycieńczona. Do rana nie pozostanie po nim nawet ślad.

Dorcas gwałtownie się cofnęła.

– Czary!

– Nie ma czegoś takiego jak czary. Jest tylko wiedza, bardziej lub mniej ukryta.

Hildegryn przyglądał się Jolencie w zamyśleniu.

– Nie przypuszczałem, że można aż tak bardzo zmienić czyjś wygląd.

To może nam się przydać... Czy twoja pani potrafi coś takiego zrobić?

– Potrafiłaby znacznie więcej, gdyby tylko zechciała.

– Ale jak to możliwe? – szepnęła Dorcas.

– Do jej krwi dodano substancje uzyskane z gruczołów różnych zwierząt, dzięki czemu miała szczupłą kibić, piersi jak melony i tak dalej. Możliwe, iż właśnie w ten sposób wydłużono także jej nogi. Odświeżające napary odmłodziły jej twarz, zęby zostały oczyszczone, niektóre zaś spiłowane i pokryte koronkami. Jedna z nich już wypadła, jak widzicie. Przefarbowano także jej włosy i dodano im gęstości, wplatając w nie jedwabne nici. Z kolei w wielu innych miejscach usunięto sporo włosów i przynajmniej to pozostanie już bez zmian. Co najważniejsze, obiecano jej wieczną urodę, a w takie obietnice każda kobieta wierzy jak dziecko, jej wiara zaś umocniła także waszą.

– Czy już nic nie można dla niej zrobić? – zapytała Dorcas.

– Ja za mało jeszcze potrafię, Cumaeano, a zaś podejmuje się takich zadań jedynie w chwilach wielkiej potrzeby.

– Ale ona będzie żyła?

– Tak jak słyszeliście: owszem, choć z pewnością wolałaby umrzeć.

Hildegryn odchrząknął głośno, po czym splunął poza krawędź dachu.

– A więc załatwione. Zrobiliśmy dla niej wszystko, co mogliśmy, i nic więcej nie da się już wymyślić. Proponuję więc, żebyśmy zajęli się swoimi sprawami. Jak powiedziałaś, Cumaeano, dobrze się stało, że doszło do naszego spotkania. Mam teraz wiadomość, na którą czekałem, tych dwoje zaś jest przyjaciółmi Suzerena Liści, podobnie jak ja. Ten szlachetny młodzian pomoże mi rozprawić się z Apu-Punchau, co napełni moją duszę radością, jeśli wziąć pod uwagę, że moi dwaj towarzysze zostali bez życia na drodze. Co więc powstrzymuje nas przed tym, żebyśmy ruszyli naprzód?

– Nic – odparła cicho Cumaeano. – Gwiazda już wschodzi.

– Czy nie powinniśmy wiedzieć, co zamierzasz, jeżeli mamy ci w tym pomóc? – zapytała Dorcas.

– Chcę przywrócić przeszłość – odparł podniosłym tonem Hildegryn. – Pragnę ponownie zanurzyć się w czasach wielkości dawnej Urth. Tutaj, gdzie siedzimy, żył kiedyś pewien człowiek dysponujący wiedzą, która teraz mogłaby nam się przydać. Pragnę go przywołać. Będzie to szczytowe osiągnięcie w mojej karierze, jeśli wolno mi się tak wyrazić, która już i tak w pewnych kręgach wywołuje wielki podziw i zainteresowanie.

– Chcesz otworzyć grobowiec? – zapytałem. – Przecież nawet

z pomocą alzabo nie...

Cumaeana wyciągnęła rękę i pogładziła Jolentę po czole.

– To był raczej jego dom niż grobowiec – wyjaśniła mi.

– Od czasu do czasu wyświadczałem tej oto kasztelance jakąś przysługę – ciągnął Hildegrin. – Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, aż wreszcie pomyślałem sobie, że pora wyrównać rachunki. Ma się rozumieć, wspomniałem Władcy Lasu o swoim małym planie, on zaś wyraził na niego zgodę i oto tu jestem.

– Wielokrotnie dawano mi do zrozumienia, że Cumaeana służy Ojcu Inire – zauważyłem.

– Ale spłaca swoje długi – odparł Hildegrin, nie mrugnawszy nawet okiem. – Podobnie jak wszyscy prawdziwie wielcy ludzie. Poza tym nie trzeba być mądrą kobietą, aby wiedzieć, że warto mieć paru przyjaciół po drugiej stronie, choćby na wypadek, gdyby właśnie tamta strona zwyciężyła.

– Kim był ów Apu-Punchau i dlaczego ten dom jeszcze stoi, podczas gdy wszystkie inne już dawno leży w gruzach? – zapytała Dorcas, spoglądając na Cumaeanę.

Stara kobieta jednak milczała, natomiast odezwała się Merryn.

– Trudno nazwać to legendą, gdyż nawet najwięksi uczeni nie pamiętają już tej historii. Matka wyjaśniła nam, że jego imię znaczy tyle co Głowa Dnia. Bardzo dawno temu zjawił się wśród mieszkających tu ludzi i nauczył ich wielu cudownych rzeczy. Często znikał, ale zawsze wracał. Kiedyś jednak nie wrócił, a wtedy najeźdźcy zrównali miasto z ziemią. Teraz pojawi się znowu, po raz ostatni.

– Bez żadnych czarów?

Cumaeana podniosła głowę i spojrzała na Dorcas oczami płonącymi jak gwiazdy.

– Słowa są jedynie symbolami. Merryn stara się traktować magię i czary tak, jakby nie istniały... więc nie istnieją. Gdybyś jednak to, co tu uczynimy, pragnęła nazwać czarami, to istniałyby one tak długo, jak długo byśmy je czyniły. W przeszłości, w bardzo odległym kraju, istniały dwa cesarstwa oddzielone od siebie górami. Jedno ubierało swoich żołnierzy na żółto, drugie zaś na zielono. Przez sto pokoleń walczyły zaciekle ze sobą... Ale widzę, że twój towarzysz zna tę opowieść.

– A w sto pierwszym pokoleniu zjawił się pewien pustelnik i doradził cesarzowi dowodzącemu żółtą armią, by ubrał swoich ludzi na zielono, władcy zielonych zaś, aby kazał swoim ludziom założyć żółte stroje. Mimo to walki nadal się toczyły. W mojej sakwie spoczywa książka

zatytułowana *Cuda Urth i Nieba*. Ta opowieść znajduje się na jej kartach.

– Jest to najmądrzejsza ze wszystkich ksiązek napisanych przez człowieka, choć niewielu znajdzie się takich, którzy potrafią dzięki niej odnieść jakiś pożytek – powiedziała Cumaeaną. – Dziecko, wyjaśnij temu młodzieńcowi, który kiedyś będzie mędrce, co zamierzamy dzisiejszej nocy uczynić.

Młoda wiedźma skinęła głową.

– Cały czas istnieje jednocześnie – tak brzmi prawda ukryta w legendach powtarzanych przez mędrców. Gdyby przyszłość jeszcze nie istniała, to w jaki sposób moglibyśmy ku niej podążać? Gdyby przeszłość już nie istniała, w jaki sposób moglibyśmy zostawiać ją za sobą? Pogrążony we śnie umysł dostaje się we władanie czasu i dlatego właśnie tak często słyszymy wtedy głosy zmarłych lub dowiadujemy się o wydarzeniach, które dopiero mają nastąpić. Ci, którzy – tak jak matka – nauczyli się osiągać ten sam stan na jawie, żyją otoczeni przeszłością i przyszłością, odbierając je razem jako trwającą całą wieczność chwilę.

Noc była prawie bezwietrzna. Zauważyłem, że nawet te słabe podmuchy, jakie pojawiały się od czasu do czasu, teraz zupełnie ustały. Zapadła tak głęboka cisza, że kiedy Dorcas ją przerwała, jej słowa, choć wypowiedziane cichym głosem, zabrzmiały z siłą spiżowego dzwonu.

– Czy właśnie to ma uczynić kobieta, którą nazywacie Cumaeaną? Wprowadzi się w ów stan, po czym, przemawiając głosami umarłych, powie temu człowiekowi wszystko, co on chce wiedzieć?

– To jej się nie uda. Jest bardzo stara, lecz miasto, w którym teraz się znajdujemy, uległo zniszczeniu na długo przed tym, jak przyszła na świat. Otacza ją tylko jej własny czas, gdyż nic więcej nie byłaby w stanie zrozumieć. Musimy wykorzystać umysł, który istniał już wówczas, kiedy miasto żyło.

– Czy jest na świecie ktoś aż tak stary?

Cumaeaną potrząsnęła głową.

– Na świecie? Nie. Taki umysł istnieje, choć zupełnie gdzie indziej. Spójrz, moje dziecko, tam, nad obłoki. Ta czerwona gwiazda nazywa się Rybie Usta, a na jej jedynej ocalałej planecie mieszka nadzwyczaj mądra starożytna istota. Merryn, weź mnie za rękę, a ty, Borsuku, za drugą. Kacie, podaj rękę Hildegrinowi, drugą zaś zaciśnij na dłoni swojej chorej przyjaciółki. Twoja dziewczyna musi stanąć między nią a Merryn... Teraz jesteśmy połączeni: mężczyźni po jednej stronie, kobiety po drugiej.

– I jeśli mamy coś zrobić, róbmy to szybko! – burknął Hildegrin. –

Nadciągająca burza.

– Na pewno zdążymy. Teraz muszę wykorzystać umysły was wszystkich, choć z tej chorej kobiety nie będzie zbyt wiele pożytku. Za chwilę poczujecie, jak kieruję waszymi myślami. Nie opierajcie się, tylko postępujcie zgodnie z moją wolą.

Stara kobieta (o ile rzeczywiście była kobietą) wypuściła na chwilę rękę Merryn, sięgnęła pod ubranie i wyciągnęła coś w rodzaju pręta. Był niewiele dłuższy od sztyletu, mnie jednak wydawało się, że jego końce rozmywają się w ciemności, jakby nie mieścił się w moim polu widzenia. Cumaeana otworzyła usta. Myślałem, że chce wziąć pręt w zęby, ona jednak go połknęła. W chwilę później dostrzegłem go ponownie – świecił przytłumionym szkarłatem w jej gardle.

– Zamknijcie wszyscy oczy... Jest tu kobieta, której nie znam, wysokiego rodu... Nieważne, kacie, już ją znam. Nie cofaj dłoni... Niech nikt z was nie cofa dłoni...

Wiedziałem, co to znaczy dzielić swój umysł z innymi, gdyż zaznałem tego uczucia podczas wydanej przez Vodalusa uczyty. Tym razem jednak było zupełnie inaczej. Nie ujrzałem Cumaeany takiej, jaką widziałem do tej pory, nie objawiła mi się także w młodszym wcieleniu. Poczulem raczej, że jej myśli otaczają moje, tak jak bąbel niewidzialnej wody otacza rybę pływającą w kulistym szklanym naczyniu. Była ze mną Thecla, lecz nie mogłem jej dostrzec, zupełnie jakby stała za mną, a ja czulem jedynie dotknięcie jej ręki na ramieniu i oddech na szyi.

Potem znikła, a wraz z nią wszystko. Moje myśli uleciały w ciemność i rozproszyły się między ruinami.

Kiedy odzyskałem przytomność, przekonałem się, że leżę na dachu przy ognisku. W ustach miałem pełno spienionej śliny zmieszanej z krwią, gdyż pogryzłem sobie dotkliwie język i wargi. Moje nogi były zbyt słabe, żebym mógł stanąć, ale udało mi się usiąść.

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że zostałem sam. Dach, na którym siedziałem, był twardy i solidny, natomiast ludzie wydawali mi się na pół przezroczyści, jak duchy. Po mojej prawej stronie leżał na wznak Hildegrin; bez trudu wsunąłem rękę w jego pierś i poczułem serce trzepoczące niczym ćma, która pragnie wyrwać się na wolność. Najmniej wyraźnie widziałem Jolentę, jednak udało mi się dostrzec, że uczyniono jej znacznie więcej, niż Merryn przypuszczała: pod skórą

znajdowały się druty i metalowe wzmocnienia. Potem spojrzałem na siebie, na swoje nogi i stopy, i zobaczyłem błękitny blask Pazura sączący się przez but. Wyciągnąłem po niego rękę, ale nie miałem nawet tyle siły, żeby zacisnąć na nim palce i go stamtąd wydobyć.

Dorcas zdawała się pogrążona we śnie. Nie miała na ustach piany i wyglądała znacznie lepiej niż Hildegrin. Merryn przypominała małą ubraną na czarno lalkę, tak wiotką, że Dorcas sprawiała przy niej wrażenie niemal tęgiej. Teraz, kiedy żadna myśl nie ożywiała twarzy młodej wiedźmy, przekonałem się, iż w rzeczywistości nie jest to twarz, lecz pergamin naciągnięty na gołe kości.

Tak jak podejrzewałem, Cumaeana wcale nie była kobietą, ale nie przypominała także żadnej z tych okropnych istot, jakie ujrzałem w ogrodach Domu Absolutu. Wokół słabo jarzącego się pręta owinęło się coś, co w pierwszej chwili uznałem za węża. Nie mogłem jednak nigdzie dopatrzeć się głowy, mimo że każdy z rysunków na grzbiecie przedstawiał twarz, w której oczy zdawały się świecić ekstatycznym blaskiem.

Wkrótce potem Dorcas się obudziła.

– Co się z nami stało? – zapytała.

Hildegrin jęknął i lekko się poruszył.

– Myślę, że spoglądamy teraz na siebie ze znacznie większej perspektywy niż do tej pory.

Mimo że groźne chmury nie przyniosły ze sobą wiatru, ulicami przesuwały się kłęby pyłu. Wyglądało to tak, jakby niezliczone chmury małych owadów, zamieszkujących szczeliny między kamiennymi płytami, zostały zwabione blaskiem księżyca i teraz odbywały swoje nocne gody. Nie wydawały żadnych odgłosów, w ich ruchu zaś nie sposób było dopatrzeć się jakiegokolwiek regularności, ale po pewnym czasie podzieliły się na gęste roje, wędrujące to w jedną, to w drugą stronę, by wreszcie opaść na potrzaskany chodnik. Odniosłem wrażenie, iż każdy z owadów czyni wszystko, aby znaleźć się jak najbliżej środka roju.

– One żyją – stwierdziłem.

– Są martwe – szepnęła Dorcas.

Miała rację. Owady, jeszcze przed chwilą tak bardzo aktywne, teraz ułożyły się w kształty przypominające odarte ze skóry i ciała klatki piersiowe oraz nagie czaszki, błyszczące zielonkawo w świetle księżyca. Między szkieletami przemykały jak zjawy aelurodony, wielkie, nienazwane stworzenia żyjące w głębinach jaskiń, a także jeszcze inne,

wszystkie bardziej niematerialne od nas, obserwujących je z dachu.

Potem bestie zaczęły znikać, zmarli zaś podnieśli się z ziemi i zabrali do odbudowywania miasta. Kamienie znowu stawały na kamieniach, a na nowo wzniesionych ścianach pojawiały się belki stropowe, wskrzeszone cudownym sposobem z popiołów. Ludzie, którzy początkowo przypominali ożywione trupy, w miarę postępu prac odzyskiwali siły, by wkrótce przeistoczyć się w krzywonogich siłaczy, bez najmniejszego trudu przenoszących na barkach cyklopowe głązy. Niebawem miasto stanęło przed nami jak nowe, my zaś czekaliśmy, co będzie dalej.

Nocną ciszę rozdarł łoskot bębnow; słysząc ich dźwięk, domyśliłem się, że po raz pierwszy zagrały wtedy, kiedy wokół miasta rósł potężny las, gdyż taki głos mogły wydawać jedynie ogromne wydrążone pnie obciążone skórą. Ulicą przeszedł zupełnie nagi szaman z ogoloną głową. Jego ciało pokrywały znaki nieznanego mi pisma, tak ekspresyjne, iż samym swoim wyglądem zdawały się przekazywać ukryte w nich znaczenie.

Za nim szli rzędem tancerze. Było ich około setki, a każdy trzymał ręce na głowie poprzednika. Twarze mieli zwrócone ku górze, w związku z czym zacząłem się zastanawiać (i nie przestałem po dziś dzień), czy w swoim tańcu nie starali się naśladować węża o tysiącu oczu, którego zwaliśmy Cumaeaną. Powoli przemierzali ulicę, skręcając to w lewo, to w prawo, aż wreszcie dotarli do drzwi domu, z którego dachu ich obserwowaliśmy. Rozległ się huk jak od uderzenia gromu i kamienna płyta odchyliła się na potężnych zawiasach. Zapachniało mirrą i różami.

Z wnętrza budynku wyszedł na spotkanie tancerzy jakiś mężczyzna. Moje zaskoczenie nie byłoby większe nawet wtedy, gdyby miał sto rąk albo niósł głowę pod pachą. Jego twarz znałem od dzieciństwa, gdyż to właśnie ona została wyrzeźbiona w brązie w grobowcu służącym mi niegdyś za miejsce zabaw. Na ramionach miał mnóstwo złotych bransolet wysadzanych hiacyntami, opalami, topazami i migocącymi brylantami. Idąc nieśpiesznie równym krokiem, dotarł do środka procesji, po czym nagle zatrzymał się i uniósł twarz i obie ręce. Patrzył wprost na nas, a ja zrozumiałem, że spośród setek zgromadzonych ludzi tak naprawdę widzi tylko nas.

Byłem tak pochłonięty tym, co działo się na dole, że nie zauważyłem, kiedy Hildegrin zszedł z dachu. Teraz pojawił się między tancerzami, przemknął między nimi – o ile można tak powiedzieć o równie potężnie

zbudowanym człowieku – dopadł Apu-Punchau i zamknął go w żelaznym uścisku.

Doprawdy nie wiem, jak opisać wydarzenia, jakie się rozegrały na ulicy, przypominały nieco to, czego byłem świadkiem w domku z żółtego drewna w Ogrodach Botanicznych, tyle tylko, że były o wiele dziwniejsze. Wówczas, w Ogrodach, wiedziałem przynajmniej, że kobieta, jej brat oraz dzikus znajdują się pod wpływem zaklęcia. Teraz z kolei wydawało się, że jakieś czary spłynęły na mnie, Hildegrina i Dorcas. Jestem całkowicie pewien, że tancerze nie widzieli Hildegrina, lecz mimo to zdawali sobie sprawę z jego obecności, gdyż gniewnie pokrzykiwali i siekli powietrze nabijanymi kamieniami pałkami.

Natomiast Apu-Punchau go widział, tak jak nas wszystkich na dachu, i jak Isangomo widział mnie i Agię w Ogrodach Botanicznych. Mimo to odniosłem wrażenie, iż to, co ujrzał przed sobą, musiało wydać mu się równie niezwykle, jak mnie wydała się Cumaeana pod swoją prawdziwą postacią. Tymczasem Hildegrin trzymał go w żelaznym uścisku, lecz nie mógł obezwładnić; Apu-Punchau zaś walczył ze wszystkimi siłami, ale nie był w stanie się uwolnić. Hildegrin spojrzał w moją stronę i krzyknął, bym przyszedł mu z pomocą.

Nie wiem, dlaczego go posłuchałem, bo przecież nie chciałem już służyć ani Vodalusowi, ani jego sprawie. Przypuszczam, iż przyczyną mogło być utrzymujące się jeszcze działanie alzabo lub też wspomnienie o tym, jak Hildegrin przewoził Dorcas i mnie przez Ptasię Jezioro.

Usiłowałem przedrzeć się przez tłum krzywonożych ludzi, lecz jeden z nich trafił mnie pałką w skroń. Ogłuszony, padłem na kolana, a kiedy wstałem, w tłumie wrzeszczących i podskakujących tancerzy nie mogłem dostrzec Apu-Punchau. Ujrzałem natomiast dwóch Hildegrinów: jeden z nich wziął się ze mną za bary, drugi walczył z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem. Ogarnięty szalem, odtrąciłem pierwszego i rzuciłem się na pomoc drugiemu.

– Severianie!

Obudziły mnie krople deszczu padające mi na twarz – wielkie, zimne, kłuszące jak grad. Nad pampasami przetoczył się grzmot. Przez chwilę wydawało mi się, że oślepiłem, ale zaraz potem upiorny blask błyskawicy wydobył z ciemności rozfalowane morze traw i rozsypane bezładnie kamienie.

– Severianie!

Rozpoznałem głos Dorcas. Spróbowałem wstać, ale kiedy podparłem się ręką, natrafiłem na leżący w błocie materiał. Był to długi, wąski pas jedwabiu ozdobiony chwastami.

– Severianie!

W tym krzyku wyraźnie usłyszałem przerażenie.

– Tutaj! – zawołałem. – Tutaj jestem!

W blasku kolejnej błyskawicy ujrzałem budynek i Dorcas stojącą na jego dachu. Wstałem, okrążyłem budowlę i dotarłem do schodów. Nasze wierzchowce zniknęły, podobnie jak więdźmy. Samotna Dorcas pochylała się nad ciałem Jolenty. Jeszcze jedna błyskawica wydobyła z ciemności martwą twarz kelnerki, która obsługiwała doktora Talosa, Baldandersa i mnie w kawiarence w Nessus. Była całkowicie odarta z piękna. W ostatecznym rozrachunku pozostaje nam jedynie miłość. Naszym największym grzechem jest to, że potrafimy być tylko tym, kim jesteśmy.

Tutaj ponownie przerywam swą opowieść, przeprowadziwszy cię, czytelniku, z miasta do miasta: z małej górniczej osady Saltus do zdewastowanego kamiennego grodu, którego nazwa przepadła bez śladu gdzieś w zawierusze dziejów. Saltus stanowiło dla mnie pierwszy przystanek w podróży przez świat rozciągający się poza Niezniszczalnym Miastem, kamienny gród zaś był ostatnim przystankiem przed górami, które dostrzegłem na horyzoncie. Trasa mojej wędrówki miała teraz przez długi czas prowadzić wśród ich poszarpanych szczytów i bezdennych przepaści.

Tutaj przerywam. Jeżeli nie zechcesz pójść ze mną dalej, czytelniku, nie będę miał ci tego za złe, gdyż niełatwa to droga.

dodatek

Stosunki społeczne we Wspólnocie

Jednym z najtrudniejszych zadań, z jakimi przychodzi tłumaczowi się borykać, jest takie oddanie wszelkich spraw związanych z hierarchią społeczną, aby stały się one dla czytelników jak najłatwiejsze do pojęcia. W przypadku *Księgi Nowego Słońca* brak jakichkolwiek materiałów porównawczych czynił to zadanie podwójnie trudnym. Pragnę teraz zaprezentować drobny szkic dotyczący tego problemu.

O ile można ustalić na podstawie rękopisów, społeczeństwo Wspólnoty dzieliło się na siedem podstawowych grup, z których przynajmniej jedna wydaje się całkowicie zamknięta. Mężczyzna lub kobieta musieli urodzić się arystokratami i pozostawali nimi do końca życia. Nawet jeżeli istniało wewnętrzne zróżnicowanie tej warstwy, to w rękopisach nie ma na ten temat żadnej wzmianki. Należące do owej grupy kobiety noszą tytuł kasztelanki, mężczyzn zaś określa się na wiele różnych sposobów. Poza granicami miasta, któremu na użytek czytelników nadałem nazwę Nessus, ludzie ci zajmują się administracją i organizacją codziennego życia społeczeństwa. Dziedziczne dążenie do władzy zdaje się pozostawać w rażącej sprzeczności z duchem Wspólnoty i chyba w wystarczający sposób tłumaczy liczne napięcia występujące na linii arystokracja – autarchia. Mimo to trudno sobie wyobrazić, aby w tamtych warunkach lokalne władze mogły być lepiej zorganizowane. Demokracja bez wątpienia przeistoczyłaby się w niekończące się targi, powstanie zaś biurokracji opartej na mianowaniu urzędników staje się możliwe dopiero wówczas, gdy istnieje znaczna grupa wykształconych, lecz niezbyt zamożnych ludzi gotowych objąć niższe stanowiska. Tak czy inaczej, autarchowie bez wątpienia zdawali sobie sprawę, że całkowite utożsamianie się z klasą rządzącą oznaczałoby dla nich pewny koniec. Spośród postaci występujących w rękopisach do arystokracji zaliczają się Thecla, Thea oraz Vodalus.

Zbrojna szlachta przypomina arystokrację, choć na nieco mniejszą skalę. Wbrew swojej nazwie ta grupa społeczna bynajmniej nie zmonopolizowała najważniejszych stanowisk w armii. Ich rolę można porównać do tej, jaką samurajowie pełnili w feudalnej Japonii. Ze

szlachty wywodzą się Lomer, Nicarete, Racho i Valeria.

Optymacy zdają się mniej lub bardziej zamożnymi kupcami. Spośród wszystkich siedmiu grup oni najrzadziej są wymieniani w rękopisach, mimo że wiele wskazuje na to, iż Dorcas kiedyś należała właśnie do tej warstwy.

Najliczniejszą grupą w każdym społeczeństwie jest pospólstwo. Tworzą je ludzie zadowoleni ze swego losu, niewiele wiedzący, ponieważ brakuje środków na ich wykształcenie, mający za złe arystokratom ich arogancję i otaczający wielką czią Autarchę. Do tej klasy społecznej należą Jolenta, Hildegrin, mieszkańcy Saltus oraz mnóstwo innych postaci przewijających się przez karty rękopisów.

Otoczenie Autarchy – który nie ufa arystokratom, zapewne nie bez powodu – stanowią dworzanie. Zajmują się administracją oraz są doradcami zarówno w sprawach cywilnych, jak i wojskowych. Prawdopodobnie wywodzą się z pospólstwa i warto zwrócić uwagę, że wysoko sobie cenią zdobyte wykształcenie. (Porównajmy to z pogardą, z jaką odnosi się do nich Thecla). Do dworzan możemy zaliczyć Severiana, a także pozostałych mieszkańców Cytadeli, z wyjątkiem starego Ultana.

Duchowni stanowią niemal równie wielką zagadkę jak bóg, któremu służą. Jest to ponad wszelką wątpliwość bóstwo ściśle związane ze słońcem, lecz nie apollińskie. (Ponieważ Łagodziciel otrzymuje Pazar, nasuwa się łatwe skojarzenie z orłem Jowisza, ale może ono być zbyt proste, a przez to fałszywe). Podobnie jak współczesny nam kler rzymskokatolicki należą do przeróżnych zakonów, ale nie wydają się podlegać żadnej centralnej władzy. Pomimo ich oczywistego monoteizmu chwilami nie sposób nie dostrzec podobieństw z hinduizmem. Peleryny, odgrywające w rękopisach rolę większą niż jakiegokolwiek inne religijne zgromadzenie, stanowią grupę kapłanek, którym towarzyszy (co należy uznać za zrozumiałe, zważywszy na czas i miejsce akcji) silnie uzbrojony oddział mężczyzn, prawdopodobnie służących.

Wreszcie kakogenowie reprezentują – i tutaj musimy oprzeć się już niemal wyłącznie na domysłach – obcy element (obcy w najbardziej uniwersalnym znaczeniu tego słowa), z jakim mamy do czynienia w każdym znanym nam społeczeństwie. Ponieważ określa się ich jedną wspólną nazwą, należy przypuszczać, iż pospólstwo odnosi się do nich z lękiem albo przynajmniej nienawiścią. Z kolei ich obecność w Domu Absolutu zdaje się świadczyć o tym, że – choć z oporami – są jednak

akceptowani na dworze. Mimo iż społeczeństwo w czasach Severiana uważało ich za grupę homogeniczną, z pewnością bardzo różnili się między sobą. Kakogenami są Ojciec Inire oraz Cumaeana.

Honorificum, które oddałem słowem „sieur”, przysługiwało wyłącznie przedstawicielom klas wyższych, choć było często używane także przez ludzi należących do nizin społecznych. Z kolei „dobrodziej” oznaczał przede wszystkim gospodarza lub właściciela domu.

Pieniądze, miary i czas

Mimo usilnych starań nie zdołałem określić dokładnych wartości monet wymienionych w rękopisie *Księgi Nowego Słońca*. Nie będąc niczego pewnym, postanowiłem użyć słowa „chrisos” dla określenia kawałka złota z wybitym profilem autarchy. Choć bez wątplenia istniało wiele ich rodzajów, różniących się wagą i czystością, z tekstu wynika, że wszystkie miały zbliżoną wartość.

Jeszcze bardziej zróżnicowanym srebrnym monetom używanym w tamtych czasach nadałem wspólną nazwę „asimi”.

Duże mosiężne monety (sądząc z informacji zawartych w rękopisach, były one najbardziej popularnym środkiem płatniczym wśród społeczeństwa) nazwałem „orichalkami”.

Z kolei rozmaite mosiężne, brązowe i miedziane pieniążki, bite nie przez rząd centralny, lecz przez władze lokalne i przeznaczone tylko do lokalnego obiegu, otrzymały nazwę „aes”. Za jedno aes można było kupić jajko, za orichalka – wynająć na cały dzień robotnika, za asimi – kupić piękny płaszcz w sam raz dla optymata, za chrisos – dobrego wierzchowca.

Należy pamiętać o tym, że jednostki miar występujące w *Księdze Nowego Słońca* nie stanowią ujednoliconego systemu i w żaden sposób nie wynikają jedne z drugich. Mila oznacza odległość rzędu pięciu kilometrów i jest używana dla określenia odległości między osiedlami, a także wewnątrz wielkich miast, takich jak Nessus.

Piędź to odległość między wyciągniętym kciukiem a czubkiem wskazującego palca – około dwudziestu centymetrów. Z kolei łańcuch równa się długości łańcucha składającego się ze stu ogniów, po jednej piędzi każde, czyli w sumie około dwustu metrów.

Krok to rzeczywiście krok, czyli siedemdziesiąt pięć centymetrów. Najpowszechniej używaną jednostkę długości, wyznaczoną przez

odległość między łokciem dorosłego mężczyzny a czubkiem jego najdłuższego palca (około pięćdziesięciu centymetrów), nazwałem – jakżeby inaczej – łokciem. (Zwracam uwagę, że pracując nad przekładem, starałem się wyszukiwać w miarę współczesne odpowiedniki, które pozwolą czytelnikowi na łatwe zrozumienie tekstu).

W rękopisach występuje bardzo niewiele wyrazów określających czas. Można odnieść wrażenie, iż poczucie czasu autora, jak również społeczeństwa, do którego należał, uległo dość istotnym zmianom spowodowanym częstymi kontaktami z istotami, które na własnej skórze doświadczyły skutków einsteinowskiego paradoksu. Tam, gdzie takie wyrazy jednak się pojawiają, „chiliada” oznacza tysiąc lat, „wiek” – okres, jaki upłynął między wyczerpaniem naturalnych zasobów dwóch surowców (na przykład siarki i cynku), „miesiąc” równa się dwudziestu ośmiu dniom, „tydzień” zaś jest dokładnym odpowiednikiem naszego tygodnia: to jedna czwarta miesiąca, czyli siedem dni. „Wachta” trwa tyle, co jedna zmiana straży – dziesiątą część nocy, a więc w przybliżeniu godzinę i piętnaście minut.

G.W.